

CLIVE BARKER

IMAJICA

POJEDNANIE

Przełożył Wojciech Szypuła

Wydawnictwo MAG

Warszawa 2002



Tytuł oryginału:

Imajica

Copyright © 1991 by Clive Barker

Copyright for the Polish translation

© 2002 by Wydawnictwo MAG

Redakcja:

Maria Rawska

Korekta:

Urszula Okrzeja

Ilustracja na okładce:

© Michael Whelan /via Thomas Schlück GmbH

Opracowanie graficzne okładki:

Jarosław Musiał

Projekt typograficzny, skład i łamanie:

Tomek Laisar Fruń

ISBN 83-89004-05-4

Wydanie I

Wydawca:

Wydawnictwo MAG

ul. Cypryjska 54, 02-761 Warszawa

tel./fax (0-22) 642 45 45 lub (0-22) 642 82 85

e-mail: kurz@mag.com.pl

<http://www.mag.com.pl>

Spis treści

<u>Spis treści.....</u>	<u>3</u>
<u>ROZDZIAŁ 37.....</u>	<u>6</u>
<u>ROZDZIAŁ 38.....</u>	<u>27</u>
<u>ROZDZIAŁ 39.....</u>	<u>47</u>
<u>1.....</u>	<u>47</u>
<u>2.....</u>	<u>54</u>
<u>ROZDZIAŁ 40.....</u>	<u>61</u>
<u>1.....</u>	<u>61</u>
<u>2.....</u>	<u>69</u>
<u>ROZDZIAŁ 41.....</u>	<u>76</u>
<u>ROZDZIAŁ 42.....</u>	<u>92</u>
<u>1.....</u>	<u>92</u>
<u>2.....</u>	<u>99</u>
<u>3.....</u>	<u>106</u>
<u>ROZDZIAŁ 43.....</u>	<u>110</u>
<u>1.....</u>	<u>110</u>
<u>2.....</u>	<u>112</u>
<u>3.....</u>	<u>115</u>
<u>ROZDZIAŁ 44.....</u>	<u>120</u>
<u>1.....</u>	<u>120</u>
<u>2.....</u>	<u>122</u>
<u>ROZDZIAŁ 45.....</u>	<u>151</u>
<u>1.....</u>	<u>151</u>
<u>2.....</u>	<u>153</u>
<u>3.....</u>	<u>158</u>
<u>ROZDZIAŁ 46.....</u>	<u>164</u>
<u>1.....</u>	<u>164</u>
<u>2.....</u>	<u>172</u>
<u>3.....</u>	<u>175</u>

<u>ROZDZIAŁ 47.....</u>	<u>179</u>
<u>1.....</u>	<u>179</u>
<u>2.....</u>	<u>185</u>
<u>ROZDZIAŁ 48.....</u>	<u>188</u>
<u>ROZDZIAŁ 49.....</u>	<u>206</u>
<u>1.....</u>	<u>206</u>
<u>2.....</u>	<u>216</u>
<u>3.....</u>	<u>217</u>
<u>ROZDZIAŁ 50.....</u>	<u>222</u>
<u>1.....</u>	<u>222</u>
<u>2.....</u>	<u>225</u>
<u>3.....</u>	<u>228</u>
<u>ROZDZIAŁ 51.....</u>	<u>236</u>
<u>ROZDZIAŁ 52.....</u>	<u>250</u>
<u>1.....</u>	<u>250</u>
<u>2.....</u>	<u>256</u>
<u>3.....</u>	<u>260</u>
<u>ROZDZIAŁ 53.....</u>	<u>269</u>
<u>ROZDZIAŁ 54.....</u>	<u>280</u>
<u>1.....</u>	<u>280</u>
<u>2.....</u>	<u>286</u>
<u>3.....</u>	<u>291</u>
<u>4.....</u>	<u>295</u>
<u>5.....</u>	<u>297</u>
<u>ROZDZIAŁ 55.....</u>	<u>306</u>
<u>1.....</u>	<u>306</u>
<u>2.....</u>	<u>310</u>
<u>ROZDZIAŁ 56.....</u>	<u>318</u>
<u>ROZDZIAŁ 57.....</u>	<u>327</u>
<u>ROZDZIAŁ 58.....</u>	<u>335</u>
<u>ROZDZIAŁ 59.....</u>	<u>346</u>
<u>1.....</u>	<u>346</u>
<u>2.....</u>	<u>349</u>
<u>3.....</u>	<u>351</u>

<u>ROZDZIAŁ 60.....</u>	<u>372</u>
<u>1.....</u>	<u>372</u>
<u>2.....</u>	<u>376</u>
<u>ROZDZIAŁ 61.....</u>	<u>395</u>
<u>1.....</u>	<u>395</u>
<u>2.....</u>	<u>405</u>
<u>ROZDZIAŁ 62.....</u>	<u>410</u>
<u>1.....</u>	<u>410</u>
<u>2.....</u>	<u>411</u>
<u>3.....</u>	<u>414</u>
<u>4.....</u>	<u>423</u>

ROZDZIAŁ 37

Podobnie jak wiele dzielnic rozrywki w innych dużych miastach Imajiki - czy to w Pojednanych Dominiach, czy w Piątym - okolica, w której znajdował się „Ipse”, miała niezbyt chlubną przeszłość. W minionych czasach aktorzy obojga płci dorabiali sobie do pensji występami w starej jak świat pięcioaktówce wystawianej dzień i noc, bez przerwy: krótkie targi, cichy kąć, łatwy flirt, szybkie zbliżenie i stosowna zapłata. Z czasem jednak centrum tego rodzaju zabaw przeniosło się na przeciwległą stronę miasta, gdzie wywodząca się z klasy średniej - coraz liczniejsza - klientela czuła się mniej wystawiona na natrętne spojrzenia sąsiadów szukających bardziej szacownej rozrywki. Wystarczyło kilka miesięcy, by na Lubieżnej i w pobliżu wyrosło mrowie domów, tworząc trzeci pod względem zamożności kesparat Yzordderrex. Dzielnica teatrów mogła śmiało pograżyć się w praworządności.

Może właśnie dzięki temu, że mało kto się nią interesował, przetrwała wstrząsy ostatnich kilku godzin w znacznie lepszym stanie niż inne kesparaty. Nie żeby nic się w niej nie działo: oddziały generała Mattalausea przemaszerowały tędy, zmierzając na południe, ku grobli, gdzie buntownicy próbowali zbudować prowizoryczny most w poprzek rzecznej delty; później z Karmelowej Kuchni przybyło kilka rodzin, żeby ukryć się w należącym do Koppocowego „Rialto”. Nikt jednak nie budował barykad, nikt nie palił domów. Poranek miał zastać Deliquium nietknięte - ale wcale nie dlatego, że nikt się nim nie interesował, lecz ze względu na sąsiedztwo Błedego Kopca, który ani nie był błady, ani nie przypominał kopca. Był to pamiątkowy krąg, pośrodku którego znajdowała się studnia. Od niepamiętnych czasów używano jej jako zbiorowej mogiły dla skazańców, samobójców, żebraków oraz - czasami - romantyków, którym zamarzyło się gnić w takim towarzystwie. Nazajutrz miała rozejść się plotka, że zapomniane dusze powstały z martwych, by bronić swojej ziemi; że ocaliły kesparat, ponieważ nawiedzając „Ipse” i „Rialto”, i wyjąc niczym psy obłąkane od pogoni za ogonem komety, przepłoszyły wandali i budowniczych barykad.

*

Quaisoir - w łachmanach, z pokorną modlitwą na ustach - kilkakrotnie uszła z ognia walki praktycznie nie drażnięta. Tej nocy na ulicach Yzordderrex znalazło się wiele otepiałych od smutku kobiet, które błagały Hapexamendiosa, żeby zwrócił im dzieci i mężów. Zazwyczaj bez przeszkód przepuszczano je przez linie frontu - ich szloch wystarczał za

przepustkę.

Oglądanie samych walk nie było jeszcze najgorsze - w swoim czasie zorganizowała dostatecznie dużo masowych egzekucji, by się z nimi oswoić. Kiedy jednak zaczynały spadać głowy, oddalała się czym prędzej z miejsca widowiska, zostawiając sprzątanie innym. Teraz musiała boso przemierzać podobne do jatek ulice. Jej legendarna obojętność wobec śmierci zawodziła w obliczu takich potworności. Nie raz i nie dwa musiała kluczyć po mieście, żeby uniknąć ulic szczególnie śmierdzących wnętrznościami i przypaloną krwią. Wiedziała, że gdy wreszcie spotka Syna Smutku, będzie musiała wypowiadać się przed Nim ze swojego tchórzostwa, ale tyle grzechów obciążało jej sumienie, że jeden więcej nie robił różnicy.

Kiedy skręciła w ulicę, na której końcu stał należący do Pluthero teatr, ktoś zawołał ją po imieniu. Zatrzymała się i rozejrzała. Siedzący na schodach domu mężczyzna w niebieskich szatach wstał na jej widok. W jednej ręce trzymał nóż, w drugiej owoc, który obierał. Nie był chyba przekonany, kogo ma przed sobą.

- Jesteś jego żoną - powiedział niepewnie.

Czyżby to był Pan? Człowiek, którego widziała w porcie na dachu, miał za plecami rozświetlone niebo i nie widziała wyraźnie jego twarzy. Czy to mógł być On?

Mężczyzna krzyknął do kogoś, kto znajdował się w głębi budynku - dawnego burdelu, jak kazały się domyślać nieprzyzwoite zdobienia na portyku. Ze środka wynurzył się oethac z butelką w jednej ręce. Drugą dłonią burzył włosy na głowie chłopca, który miał nagie, błyszczące ciało i twarz kretyna. Quaisoir zaczęła podejrzewać, że pomyliła się w ocenie nieznanego, ale postanowiła poczekać, aż jej nadzieje potwierdzą się lub legną w gruzach.

- Czy to ty jesteś Synem Smutku?

Człowiek z owocem w dłoni wzruszył ramionami.

- A kto nim nie jest w taką noc?

Odrzucił owoc. Kretyn zbiegł po schodach, porwał go i wepchnął sobie w całości do ust. Policzki mu się wybrzuszyły, sok pociekł po brodzie.

- To przez ciebie. - Mężczyzna dźgnął nożem w kierunku Quaisoir i odwrócił się do oethaca. - Była w porcie. Widziałem.

- Kto to jest?

- Quaisoir, żona autarchy. - Zrobił krok w jej stronę. - Mam rację, prawda?

Nie potrafiła zaprzeczyć, tak jak nie umiałaby w tej chwili uciec. Jeżeli to rzeczywiście był Jezu, nie mogła zaczynać błagań o przebaczenie od kłamstwa.

- Tak, to ja - odparła. - Byłam żoną autarchy.

- Ładna jest, w mordę - stwierdził oethac.

- Nie ma znaczenia, jak wygląda. Liczy się tylko to, co zrobiła.

- Tak... - Quaisoir zaczynała nieśmiało wierzyć, że faktycznie ma przed sobą syna Dawida. - Tylko to, co zrobiłam.

- Egzekucje...

- Właśnie.

- Pogromy...

- Tak.

- Straciłem wielu przyjaciół. Wszystko przez ciebie...

- Przebacz mi, Panie. - Quaisoir padła na kolana.

- Widziałem cię dziś rano w porcie - stwierdził Jezu, podchodząc bliżej. - Uśmiechałaś się.

- Przebacz mi.

- Rozglądałaś się dookoła i uśmiechałaś. Pomyślałem sobie, kiedy cię tam zobaczyłem...

Był trzy kroki od niej.

- ...oczy tak ci błyszczały...

Lepką od soku dłonią złapał ją za głowę.

- Pomyślałem, że te oczy... Uniósł nóż...

- ...muszą zgasnąć.

...i pchnął w dół, szybko i mocno, mocno i szybko. Oślepił swoją czcicielkę, zanim zdążyła krzyknąć.

*

Łzy, które nagle napłynęły Jude do oczu, zakłuły boleśnie. Jęknęła i przycisnęła dłonie do oczodołów, żeby powstrzymać strumień łez. Na próżno; płynęły nieprzerwanie, gorące i piekące. Ból pulsował jej w głowie. Dowd złapał ją za ramię i była mu za to wdzięczna. Przewróciłaby się, nie znalazłszy w nim oparcia.

- Co się stało? - zapytał.

Nie mogła mu powiedzieć, że czuje ból Quaisoir.

- To przez ten dym - odparła. - Ledwo widzę.

- Jesteśmy już niedaleko „Ipsse”, ale jeszcze kawałek musimy przejść. Na otwartym terenie nie jesteśmy bezpieczni.

Nie mylił się. Choć w tej chwili przed oczami latały jej tylko czerwone plamy, to przez ostatnią godzinę naoglądała się dość okropności, żeby mieć koszmary do końca życia. Wyśnione Yzordderrex - miasto, którego korzenny aromat kilka miesięcy wcześniej

przyzywał ją do Azylu niczym kochanek do łoża - leżało w ruinie. Może dlatego Quaisoir tak płakała.

Łzy w końcu obeschły, lecz ból nie ustępował. Nienawidziła mężczyzny, który służył jej swoim ramieniem, ale bez niego by upadła i nie miała siły wstać. Przekonywał ją do każdego kolejnego kroku; „Ipsa” jest już blisko, mówił - przecznice, najwyżej dwie stąd. Tam będzie mogła odpocząć, on zaś zacznie wspominać dawną chwałę. Słuchała go jednym uchem; myślała tylko o swojej siostrze, chociaż wizja spotkania z nią napawała niepokojem. Oby Quaisoir zjawiała się w asyście strażników, na których widok Dowd wycofa się i nie będzie im przeszkadzał. Co się jednak stanie, jeżeli nie ulegnie przesądnemu lękowi, lecz zareaguje agresją? Czy Quaisoir będzie umiała się obronić przed jego pajakami? Potykając się, Jude zaczęła trzeć oczy; w kluczowej chwili musi dobrze widzieć, żeby móc Dowdowi uciec.

Nagle jego monolog gwałtownie się urwał. Dowd stanął w miejscu i pociągnął Jude za ramię. Zatrzymała się. Podniosła wzrok. Ulica, którą szli, nie była najlepiej oświetlona, tylko między domami przesączała się poświata odległych pożarów. W jej blasku Jude ujrzała siostrę. Quaisoir czołgała się po ziemi, zbliżając się do jednego z tych słabych snopów światła. Szloch wyrwał się z piersi Jude, bo Quaisoir miała wylupione oczy, a ci, którzy ją skrzywdzili, deptali jej po piętach. Jeden z nich był chłopcem, drugi oethakiem, trzeci zaś - cały we krwi - najbardziej przypominał człowieka, chociaż miał twarz wykrzywioną zgoła nieludzkim grymasem rozkoszy. W dłoni wciąż trzymał nóż, którym oślepił Quaisoir. Wzniósł ostrze do ciosu nad jej obnażoną szyją.

- Zostaw ją! - krzyknęła Jude.

Nóż znieruchomiał w powietrzu i wszyscy trzej prześladowcy Quaisoir spojrzeli na Jude. Bezmyślna pusta twarz dziecka nawet nie drgnęła. Człowiek z nożem przyglądał się Jude z niedowierzaniem, ale milczał. Pierwszy odezwał się oethac.

- Nie... nie zbliżaj się... - powiedział, wodząc przerażonym wzrokiem od oślepionej kobiety do jej zdrowego lustrzanego odbicia i z powrotem. Mężczyzna z nożem odzyskał mowę i próbował go uspokoić, ale oethac bełkotał dalej: - Zobacz! Co to, kurwa, jest? Co? Sam zobacz!

- Zamknij jadaczkę! Ona nas nawet palcem nie tknie.

- Skąd wiesz? - Oethac złapał chłopca jedną ręką i zarzucił go sobie na plecy. - To nie ja. - Cofnął się. - Nawet jej nie dotknąłem. Przysięgam. Przysięgam na wszystkie moje blizny!

Nie zwracając na niego uwagi, Jude zrobiła krok w stronę Quaisoir. Oethac rzucił się

do ucieczki, ale człowiek z nożem nie tracił rezonu.

- Ciebie też tak załatwię - ostrzegł. - Gównu mnie obchodzi, kim jesteś. Załatwię cię!

Za jej plecami rozległ się głos Dowda. Nigdy nie słyszała, żeby mówił tak zdecydowanie:

- Na twoim miejscu dałbym jej spokój.

Quaisoir obróciła głowę w jego kierunku. Oczu nie miała przebitych nożem, lecz wydlubane z oczodołów. Na widok ziejących tam dziur Jude zrobiło się wstyd, że tak się załamała, czując niewielki przecieź - w porównaniu z nią - ból.

- Panie? - odezwała się Quaisoir niemal z radością. - Słodki Panie, czy dostatecznie zostałam ukarana? Czy teraz mi już przebaczysz?

Ani omyłka Quaisoir, ani wynikająca z niej ironia sytuacji nie uszły uwagi Jude. Dowd nie był Zbawicielem, ale chyba z przyjemnością wszedł w tę rolę. Kiedy odpowiedział Quaisoir, przemawiał równie łagodnie jak wcześniej stanowczo:

- Naturalnie, że ci przebaczę. Po to tu jestem.

Jude miałaby może ochotę od razu pozbawić Quaisoir wszelkich złudzeń, gdyby nie fakt, że występ Dowda zupełnie zaskoczył nożownika.

- Powiedz mi, kim jesteś, dziecko - ciągnął Dowd.

- Dobrze wiesz, kim jest! - wycedził mężczyzna. - To Quaisoir. Ta kurwa Quaisoir!

Dowd zerknął na Jude. Nie zdziwił się zbytnio; na jego twarzy odbiło raczej zrozumienie. Przeniósł wzrok na nożownika.

- Zgadza się - przytaknął.

- Obaj wiemy, co zrobiła. Zasluguje na jeszcze gorsze traktowanie.

- Gorsze, powiadasz? - Dowd ruszył w stronę napastnika, który niepewnie przerzucał nóż z ręki do ręki. Wyczuł chyba, że Dowd okrucieństwem przewyższa go tysiąckrotnie, i szykował się do obrony. - A co gorszego chciałbyś jej zrobić?

- To samo, co ona robiła ludziom. Wiele razy.

- Sądzisz, że osobiście się tym zajmowała?

- Wcale bym się nie zdziwił. Kto ich wie, co oni robią tam, na górze? Ludzie znikają bez śladu, a potem rzeka wyrzuca ich na brzeg w kawałkach... - Nożownik uśmiechnął się lekko. Widać było, że jest zdenerwowany. - Wiesz, że na to zasługuje.

- A ty? Na co ty zasługujesz?

- Nie twierdzę, że jestem bohaterem. Powiedziałem tylko, że jej się należy.

- Rozumiem - rzekł Dowd.

Jude bardziej się domyślała, niż widziała, co się później wydarzyło. Oprawca Quaisoir

skrzywił się z obrzydzeniem i cofnął o krok, a potem nagle skoczył w przód, próbując pchnąć Dowda w serce. Wtedy znalazł się w zasięgu pajaków. Musiały go obleźć, nim ostrze sięgnęło ciała Dowda, bo z wrzaskiem odskoczył w tył. Wolną ręką złapał się za twarz. To, co działo się później, raz już widziała: darł sobie paznokciami oczy, nozdrza i usta; nogi ugięły się pod nim, gdy pajaki niszczyły jego ciało od środka. Upadł u stóp Dowda i zaczął wściekle miotać się po ziemi, aż w końcu wepchnął sobie nóż do ust, próbując wygarnąć robactwo, które go odczyniało. Popłynęła krew, zaraz potem umarł. Ręka opadła mu z twarzy, tylko ostrze noża zostało w ustach, jakby się nim zadławił.

- Już po wszystkim - powiedział Dowd do Quaisoir, która skulona leżała kilka metrów od trupa swojego oprawcy. - Już cię nie skrzywdzi.

- Dzięki ci, Panie.

- A te oskarżenia pod twoim adresem, dziecko...

- To wszystko prawda.

- Straszne rzeczy.

- Tak.

- Jesteś winna tych czynów?

- Tak. Chcę się z nich wyświadczyć przed śmiercią. Wysłuchasz mnie, Panie?

- Wysłucham - odparł wspaniałomyślnie Dowd.

Jude, która do tej pory biernie śledziła rozwój wypadków, teraz postanowiła podejść bliżej. Na dźwięk jej kroków Dowd odwrócił się i pokręcił głową.

- Zgrzeszyłam, Panie Jezu - mówiła Quaisoir. - Po wielokroć. Błagam, przebacz mi.

Rozpacz w głosie siostry - bardziej niż nieme polecenie Dowda - powstrzymała Jude przed ujawnieniem swojej obecności. Quaisoir była bliska śmierci; skoro chciała się wyświadczyć jakiejś współczującej duszy, nikt nie miał prawa jej przeszkadzać. Myliła się, biorąc Dowda za Chrystusa, ale jakie to miało znaczenie? Gdyby Jude wyjawiała prawdę, tylko przysporzyłyby siostrze nowych cierpień.

Dowd uklęknął przy żonie autarchy i wziął ją w ramiona; Jude nigdy by go nie podejrzewała o zdolność do takiej czułości - ani prawdziwej, ani nawet udawanej. Quaisoir, choć w agonii, była wniebowzięta. Ścisnęła poły marynarki Dowda i raz po raz dziękowała mu za łaskawość. Szeptał do niej łagodnie, zapewniając, że nie musi wyliczać wszystkich swoich win.

- Masz je w sercu - powiedział. - Widzę wszystko i wybaczam ci. Opowiedz mi o swoim mężu. Gdzie teraz jest? Dlaczego nie przybył wraz z tobą, by prosić o przebaczenie?

- Nie uwierzył, że przybyłeś, Panie. Mówiłam, że widziałam Cię w porcie, ale nie ma

w nim wiary.

- Nic a nic?

- Wierzy tylko w siebie - odparła z goryczą.

Dowd zaczął kołysać ją w ramionach, zadając dalsze pytania. Skupiony bez reszty na Quaisoir, nie zauważył, kiedy Jude podeszła bliżej. Pozazdrościła mu; sama chciałaby tak tulić siostrę.

- A kim właściwie jest twój mąż? - zapytał Dowd.

- Znasz go, Panie. To autarcha, którzy rządzi Imajicą.

- Ale przecież nie zawsze był autarchą, prawda?

- Tak.

- Kim zatem był wcześniej? Zwyczajnym człowiekiem?

- Nie. Chyba nigdy nie był taki całkiem zwyczajny. Nie pamiętam za dobrze...

Dowd znieruchomiał.

- Mnie się wydaje, że pamiętasz. - Ton jego głosu nieco się zmienił. - Powiedz mi. Kim był, nim zawładnął Yzordderrex? I kim ty byłaś?

- Ja byłam nikim.

- Jak zatem udało się wam zająć tak wysoko?

- Kochał mnie. Od samego początku mnie kochał.

- Nie odprawiliście przypadkiem jakiegoś wstrętnego rytuału, żeby się tak wywyżżyć? - spytał Dowd, a widząc wahanie Quaisoir, naciskał dalej: - Co takiego zrobiliście? Co?!

W jego słowach pobrzmiwało echo tonu Oscara; był sługą, który przemawiał głosem swego pana. Quaisoir, bojąc się jego nagłej złości, odparła:

- Wiele razy byłam w Bastionie Banu. I do Aneksu też chodziłam.

- Kto tam mieszka?

- Wariatki. Kobiety, które zabiły swoich mężów, dzieci...

- Po co szukałaś towarzystwa takich żalonych istot?

- W nich drzemią... ukryte... moce.

Jude słuchała z uwagą.

- Jakie moce? - Dowd zadał pytanie, które sama bezgłośnie wypowiedziała.

- Nie zrobiłam nic złego - zastrzegła się Quaisoir. - Chciałam tylko zostać oczyszczona. W snach widziałam Oś. Co noc padał na mnie jej cień, przygniatał mnie. Pragnęłam się od niego uwolnić.

- Udało ci się? - spytał Dowd. Quaisoir milczała, powtórzył więc z naciskiem: - Udało

ci się?

- Nie zostałam oczyszczona, lecz odmieniona. Te kobiety mnie splugawiły. Noszę w swoim ciele skazę. Chcę się jej pozbyć! - Quaisoir rozdarła na sobie szaty, odsłaniając piersi i brzuch. - Wymazać ją! Zesłała mi nowe sny, jeszcze gorsze od tamtych.

- Uspokój się.

- Chcę się jej pozbyć! Na zawsze! - Ciałem Quaisoir wstrząsnęły drgawki tak gwałtowne, że wyrwała się z objęć Dowda. - Czuję ją! - krzyknęła, rozdrapując sobie skórę na piersiach.

Jude zerknęła na Dowda, próbując siłą woli zmusić go do jakiejś reakcji, ale on tylko wstał i z nieskrywaną przyjemnością obserwował miotającą się Quaisoir. Ona zaś nie żartowała: po brzuchu płynęły jej strugi krwi, kiedy krzyczała, że chce zetrzeć skazę. Jej ciało przechodziło przemianę, tak jakby plugastwo, o którym mówiła, wysączało się zeń wszystkimi porami. Skóra połyskiwała opalizująco, zmieniając powoli kolor. Jude знаła ten odcień błękitu, który od szyi Quaisoir rozprzestrzenił się w obu kierunkach - w dół, na całe ciało, i w górę, na wykrzywioną twarz. To był błękit kamiennego oka, błękit bogini.

- Co się dzieje? - zdziwił się Dowd.

- Wyjdź ze mnie! Wyjdź!

Przykucnął obok żony autarchy.

- Czy to jest ta skaza?

- Wymaż ją ze mnie! - zaszlochała i znów zaczęła się kaleczyć.

Jude nie mogła dłużej tego znieść. Pozwolić siostrze umrzeć w pokoju w ramionach zastępczego bóstwa - to jedno, ale patrzeć, jak się maltretuje - zupełnie coś innego.

- Powstrzymaj ją - zażądała.

Dowd spojrział na nią i przesunął kciukiem po gardle, żeby ją uciszyć. Spóźnił się jednak, oszalała z bólu Quaisoir usłyszała głos siostry. Przestała się miotać i zwróciła ku Jude twarz o krwawych oczodołach.

- Kto tam jest? - zapytała.

Dowd skrzywił się z wściekłości, ale jeszcze próbował ją uciszyć. Na próżno.

- Kto jest z Tobą, Panie?

Odpowiadając, popełnił błąd, którym zniszczył jej złudzenia:

- Nikogo tu nie ma - skłamał.

- Słyszałam kobiecy głos. Kto tam jest?

- Powiedziałem ci przecież. Nikogo nie ma. Uspokój się. Jesteśmy sami.

- To nieprawda.

- Nie wierzysz mi, moje dziecko? - Głos Dowda, tak ostry przy niedawnych pytaniach, zabrzmiał nagle tak łagodnie, jakby nieufnością zraniła go do głębi. Bez słowa ujęła jego dłoń w błękitne, zalane krwią ręce. - Tak lepiej - powiedział.

Przesunęła palcami po wnętrzu jego dłoni.

- Nie masz blizn - stwierdziła.

- Blizny zostają na zawsze - odparł dostojnie.

Nie zrozumiał jednak, co miała na myśli.

- Na twojej dłoni nie ma blizn - powtórzyła.

Cofnął rękę.

- Zaufaj mi - powiedział.

- Nie. Nie jesteś Synem Smutku. - Uniesienie i radość zniknęły z jej głosu. - Nie możesz mnie zbawić. - Zaczęła młócić na oślep ramionami, chcąc odpędzić oszusta jak najdalej. - Gdzie mój Zbawiciel? Chcę do Zbawiciela!

- Nie ma go tutaj - odparła Jude. - Nigdy go tu nie było.

Quaisoir odwróciła się do niej.

- Kim jesteś? Skądś znam twój głos...

- Zamknij jadaczkę! - Dowd wycelował w Jude palec. - Albo, słowo daję, zapoznasz się bliżej z pajakami...

- Nie bój się go - przerwała mu Quaisoir.

- Ona wie, że mam rację - zauważył Dowd. - Widziała, co potrafię.

Chcąc dać Quaisoir szansę usłyszenia głosu, który znała, lecz którego nie potrafiła rozpoznać, Jude postanowiła potwierdzić słowa Dowda:

- To prawda. On może nas obie skrzywdzić. Nie jest Synem Smutku, siostrze.

Nie wiadomo, czy sprawiły to słowa, które sama kilkakrotnie powtórzyła - Syn Smutku - czy też fakt, że została nazwana siostrą, ale Quaisoir nagle zobojętniała. Zaczęła się podnosić z ziemi.

- Jak masz na imię? - wychrypiła. - Powiedz mi, jak masz na imię?

- Ona jest nikim - wtrącił Dowd, jakby cytując jej własne słowa sprzed kilku chwil. - Jest martwą kobietą. - Ruszył w stronę Jude. - Tak mało rozumiesz, a ja wiele ci przez to wybaczyłem, lecz nie mogę ci dłużej pobłażać. Zepsułaś mi zabawę. Mam tego dość. - Podniósł lewą dłoń i położył sobie palec na ustach. - Zostało mi już niewiele pajaków, więc jeden będzie musiał wystarczyć. Trochę to potrwa, ale nawet taki cień jak ty można odczynić.

- Więc teraz jestem cieniem, tak? A wydawało mi się, że jesteśmy podobni, pamiętasz? Pamiętasz, jak to mówiłeś?

- To było w innym życiu, kochaniutka. Tu wszystko wygląda inaczej. Tutaj mogłabyś zrobić mi krzywdę, więc nie pozostaje mi nic innego, jak powiedzieć „Dziękuję i dobranoc państwu”.

Jude cofała się przed nim. Nie wiedziała, jak daleko musi się odsunąć, żeby znaleźć się poza zasięgiem jego ohydnych pajaków. Obserwował ją z wyrazem udawanego zatroskania na twarzy.

- To na nic, kochaniutka. Znam tę okolicę jak własną kieszeń.

Zignorowała jego protekcyjny ton i zrobiła następny krok do tyłu. Nie odrywała wzroku od ust Dowda, gdzie gnieździły się pająki, ale kątem oka widziała, że Quaisoir stoi obok niego.

- Siostró? - zapytała Quaisoir.

Dowd odwrócił się, dając Jude czas na ucieczkę. Krzyknął coś i Quaisoir, kierując się jego głosem, zaatakowała. Złapała go za szyję i rękę, i wydała z siebie dźwięk, jakiego Jude nigdy nie słyszała z ludzkich ust. Zazdrościła jej tego wrzasku; zdawał się zdolny kruszyć kości niczym szkło i wyciskać wszelkie barwy z powietrza. Gdyby znajdowała się bliżej Quaisoir, powaliłby ją na kolana.

Odwróciła się tylko raz. Widziała, jak Dowd wypluł zabójcze pająki wprost w puste oczodoły Quaisoir. Modliła się, żeby jej siostra umiała lepiej się przed nimi bronić niż człowiek, który wyłupił jej oczy. W każdym razie ona jej pomóc nie mogła; powinna uciekać, póki ma jeszcze szansę. Przynajmniej jedna z nich przeżyje kataklizm.

Skręciła w pierwszą przecznicę i dalej biegła krętą ścieżką. Im więcej zakrętów pokona, tym dłużej Dowd będzie musiał zastanawiać się, którądy uciekła. Z pewnością nie przechwalał się na próżno i naprawdę świetnie znał dzielnicę, w której kiedyś - jak twierdził - triumfował. Wobec tego im prędzej Jude zostawi za sobą te uliczki i znajdzie się na terenie obcym dla nich obojga, tym łatwiej go zgubi. Tymczasem zaś musiała się spieszyć i nie rzucać w oczy; stać się jak cień, o którym mówił Dowd, jak plama mroku w ciemności, ulotna, rozmazana, nieuchwytna.

Jednak ciało nie chciało jej słuchać; było zmęczone, obolałe i rozdygotane. W piersiach palił ją żywy ogień - podwójny, jakby w każdym płucu z osobna rozgorzał pożar; niewidzialne ręce zdzierały jej do krwi skórę z pięt. Nie odważyła się zwolnić kroku, dopóki burdele i teatry nie zostały daleko z tyłu. Znalazła się w miejscu, które mogłoby posłużyć za scenę którejś z tragedii Pluthero Quexosa. Okrągły plac miał sto metrów średnicy, a otaczały go wysokie ściany z gładkiego czarnego kamienia. Tutaj ognisty żywioł nie szalał tak jak w innych dzielnicach; małe białe płomyczki niczym błędne ogniki pełgały po koronie muru,

rozświetlając chodnik, który opadał łagodnie ku czarnej dziurze w samym środku kręgu. Jude nie miała pojęcia, co to jest. Zejście do świata podziemnego? A może zwyczajna studnia? Wszędzie dookoła leżały kwiaty, których płatki opadły i zaczęły gnić; bruk zrobił się od nich oślizły i musiała bardzo uważnie stawiać stopy. Narastało w niej przeświadczenie, że jeżeli rzeczywiście ma przed sobą studnię, to w wodzie unoszą się ludzkie zwłoki, czyniąc ją niezdarną do picia. Na chodniku wszędzie widniały klepsydry - nazwiska, daty, kilka słów, czasem niezdarny rysunek; im bliżej studni się znajdowała, tym było ich więcej. Niektóre wryto nawet od wewnątrz cembrowiny. Żałobnicy, którzy ryzykując upadek wyrysowali je w takim miejscu, musieli być albo bardzo odważni, albo beznadziejnie zrozpaczeni.

Mimo że otwór w ziemi ją przyciągał - podobnie jak to bywa z przepaścią w górach - i zachęcał, by zajrzała w głąb, oparła się pokusie i zatrzymała o kilka kroków od jego krawędzi. Mdlący odór w powietrzu nie dawał się tu zbyt widać. Być może, studni od dawna nie używano - a może jej obecni mieszkańcy spoczywali naprawdę głęboko.

Rozejrzała się dookoła. Na plac prowadziło osiem dróg (dziewięć, jeśli liczyć studnię). Podeszła do wylotu dokładnie naprzeciwko zaułka, którym przyszła. Uliczka była ciemna, zadymiona i Jude chętnie by się w nią zagłębiła, gdyby nie sterta gruzu, która sygnalizowała, że kawałek dalej przejście może być zablokowane. W następną również nie udało się jej wejść - zwalone belki lizał ogień. Chciała zajrzeć w trzecią z kolei, gdy za plecami usłyszała Dowda. Odwróciła się. Stał po drugiej stronie studni. Przekrzywił lekko głowę, udając troskę, niczym rodzic, który właśnie dopędził swoje włóczące się na wagarach dziecko.

- A nie mówiłem? Znam tę okolicę...

- Już to słyszałam.

- Właściwie to nawet dobrze się składa, że tu przyszłaś. - Ruszył w jej stronę. - Zaoszczędzę pajęczka.

- Dlaczego chcesz mnie skrzywdzić?

- Mógłbym ci zadać to samo pytanie. Bo przecież chciałabyś mnie skrzywdzić, prawda? Z rozkoszą byś to zrobiła. Nie zaprzeczaj!

- Nie zaprzeczam.

- No proszę... Nie uważasz, że mimo wszystko dobry ze mnie spowiednik? A to dopiero początek. Skrywasz sekrety, których istnienia nawet nie podejrzewasz. - Zakręcił dłonią w powietrzu. - Zaczynam dostrzegać doskonałość tej sytuacji; historia zatoczyła koło, wszystko wraca tam, gdzie się zaczęło. To znaczy: do niej. Albo do ciebie, to bez znaczenia. Jesteście takie same.

- Jak bliźniaczki? - spytała Jude. - Czy o to chodzi?

- To zbyt trywialne, kochaniutka. Obraziłem cię, nazywając cieniem. Jesteś czymś o wiele cudowniejszym. Jesteś... - Zawiesił głos. - Nie, zaczekaj. To nie fair. Opowiadam ci wszystko, co wiem, a ty nie dajesz mi nic w zamian.

- Bo nic nie wiem. A szkoda.

Dowd schylił się i podniósł z ziemi kwiat - jeden z nielicznych, które uchowały się nietknięte.

- Wiesz wszystko to, co Quaisoir - powiedział. - A już na pewno wiesz, co poszło nie tak.

- Z czym?

- Z Pojednaniem. Byłaś tam. Ależ naturalnie, zdaję sobie sprawę, że uważasz się tylko za niewinną obserwatorkę, ale w tej sprawie nikt nie jest niewinny. Nikt. Ani Estabrook, ani Godolphin, ani Gentle, ani ten jego mistyf. Wszyscy mają coś na sumieniu.

- Ty też?

- Cóż... Ze mną sprawa wygląda nieco inaczej. - Dowd westchnął i powąchał kwiat. - Jestem aktorem. Udaję rozkosz. Chciałbym zmienić świat, a kończę jako komediant, podczas gdy was wszystkich, kochanków - prychnął pogardliwie - gównem cały ten świat obchodzi, póki kieruje wami namiętność. To przez was płoną miasta i umierają narody. To wy jesteście siłą sprawczą tragedii, choć zwykle nie macie o tym pojęcia. Co wobec tego ma robić aktor, który chce być poważnie traktowany? Powiem ci: musi się nauczyć grać uczucia tak dobrze, żebyście pozwolili mu zejść ze sceny i wpuścili go do prawdziwego świata. Wierz mi, zanim znalazłem się tu, gdzie jestem, solidnie się napracowałem. Zaczynałem praktycznie od zera. Byłem gońcem. Statystą. Kiedyś w roli alfonsa służyłem nawet Niewidzianemu, ale to był jednorazowy występ. A potem wróciłem do służby u kochanków...

- Takich jak Oscar?

- Takich jak Oscar.

- Nienawidziłeś go, prawda?

- Nie. Oscar zwyczajnie mnie nudził, on i cała jego rodzina. Był taki sam jak jego ojciec, dziadek i wszyscy przodkowie, aż do szurniętego Joshuy. Straciłem cierpliwość. Wiedziałem, że mój czas kiedyś wreszcie nadejdzie, ale czekanie mnie męczyło i od czasu do czasu dawałem temu wyraz.

- Spiskowałeś.

- Naturalnie! Chciałem przyspieszyć bieg wydarzeń, prowadzących do mojej... emancypacji. Wszystko to sobie wyliczyłem. Bo ja już taki jestem, rozumiesz? Artysta o duszy księgowego.

- Wynajęłeś Pie, żeby mnie zabił?

- Świadomie nie. Uruchomiłem pewien proces, ale nigdy nie wyobrażałem sobie, że sprawy zajdą tak daleko. Nawet nie wiedziałem o istnieniu tego mistyfa. W miarę rozwoju sytuacji zacząłem jednak rozumieć, że to było nieuniknione. Najpierw zjawił się Pie, potem ty spotkałaś Godolphina, pokochaliście się... Tak musiało być. Po to się urodziłaś. A tak nawiasem mówiąc, tęsknisz za nim? Powiedz, tylko szczerze.

- Prawie o nim nie myślę - odparła Jude, zdumiona, jak prawdziwe jest to stwierdzenie.

- Co z oczu, to z serca, nie? Jak ja się cieszę, że nie odczuwam miłości. Jest żałosna. Zwyczajnie, beznadziejnie żałosna. - Dowd zastanowił się chwilę. - Czuję się prawie tak, jakby to był pierwszy raz. Kochankowie płoną z tęsknoty, świat drży w posadach. Rzecz jasna z tą różnicą, że ostatnio byłem statystą. Teraz zamierzam być księciem.

- Co miałaś na myśli, mówiąc, że urodziłam się po to, by pokochać Godolphina? Nie przypominam sobie, żebym w ogóle się urodziła.

- Chyba czas to zmienić. - Dowd zbliżył się jeszcze bardziej i odrzucił kwiat. - Rytuały inicjacyjne nigdy nie są przyjemne, więc przygotuj się, kochaniutka, na najgorsze. Przynajmniej wybrałaś dobre miejsce. Siądziemy na brzegu studni, zwiesimy nóżki w dół i pogadamy sobie o tym, jak to przyszedliśmy na świat.

- Nie ma mowy - odparła zdecydowanie Jude. - Nie zbliżę się do tej dziury.

- Myślisz, że zamierzam cię zabić? Nie zamierzam. Chcę ci tylko ulżyć, odciążyc cię, ująć ci wspomnień. Chyba nie proszę o zbyt wiele, prawda? Bądź uczciwa. Pozwoliłem ci zajrzeć w moje serce, teraz ty pokaż mi swoje. Nie odmawiaj. - Dowd złapał ją za rękę i pociągnął na skraj studni.

Jude zakreśliło się w głowie. Przeklinała Dowda, że zaciągnął ją tu siłą, ale cieszyła się zarazem, że mocno ją trzyma.

- Usiądziesz? - zapytał, a kiedy odmówiła, ciągnął dalej: - Jak chcesz. Stojąc, możesz łatwiej się pośliznąć i spaść, ale decyzja należy do ciebie. Zauważyłem, kochaniutka, że zrobiłaś się uparta. Z początku byłaś bardziej ustepliwa. Bądź co bądź, tak cię wychowano.

- Nijak mnie nie wychowano.

- Skąd ta pewność? Przed chwilą twierdziłaś, że nie pamiętasz własnej przeszłości. Skąd wiesz, kim miałaś być? Kim cię stworzono? - Dowd spojrzał w głąb studni. - Te wspomnienia tkwią gdzieś w twojej główce, kochaniutka. Musisz tylko wywabić je z kryjówki. Quaisoir szukała jakiejś bogini; może z tobą było podobnie, chociaż tego nie pamiętasz. A jeśli tak, to może jesteś kimś więcej niż Mirabelką Joshuy; kimś, kogo w tej

rozgrywce nie uwzględniłem.

- A gdzie ja miałabym spotkać jakieś boginie, Dowd? Mieszkam w Piątym Dominium, w Londynie. W Notting Hill Gate nie ma bogów.

Ledwie skończyła mówić, pomyślała o Celestine, pogrzebanej pod należącym do Tabula Rasa wieżowcem. Czy Celestine mogła być siostrą bóstw nawiedzających Yzordderrex? Uosobieniem zmienności, uwięzionym przez przedstawicieli płci, która wielbi stałość? Na wspomnienie jej celi Jude nagle rozjaśniło się w głowie, jakby wypła szklaneczkę whisky na pusty żołądek. Przecież doświadczyła wtedy cudu - a skoro wtedy, to może i wcześniej, w przeszłości, której nie pamiętała?

- Nie wiem, jak odnaleźć te wspomnienia - poskarżyła się jak dziecko.

- To proste. Wyobraź sobie, jak to było: urodzić się.

- Nie pamiętam nawet swojego dzieciństwa.

- Bo go nie miałaś, kochaniutka. I nie miałaś młodości. Urodziłaś się od razu taka, jaka jesteś. Quaisoir była pierwszą Judith, ty zaś, moja droga, jesteś jej kopią. Być może doskonałą, ale tylko kopią.

- Nie... Nie wierzę ci.

- Oczywiście z początku musisz zaprzeczyć faktom. To całkowicie zrozumiałe. Twoje ciało wie jednak, co jest prawdą, a co nie. Cała się trzęsiesz, od środka też...

- Jestem zmęczona - wyjaśniła Jude, wiedząc, jak żałośnie brzmi ta wymówka.

- To chyba coś więcej niż zmęczenie, prawda? Powiedz że tak.

Przypomniała sobie, co się stało, gdy poprzednio usłyszała prawdę o swojej przeszłości - padła na kuchenną posadzkę, jakby niewidzialny nóż przeciął jej ścięgna w nogach. Bała się, że teraz, na skraju studni ogarnie ją podobna słabość. A Dowd o tym wiedział.

- Musisz stawić czoło wspomnieniom. Wyrzuć je z siebie. Śmiało. Od razu lepiej się poczujesz.

Czuła, jak słabnie jej ciało i wola. Perspektywa spotkania z tym, co kryło się w mrocznej otchłani jej umysłu (a chociaż nie ufała Dowdowi, nie miała wątpliwości, że drzemią tam koszmary) przerażała ją nie mniej od tego, że mogłaby wpaść do studni. Może lepiej by było, gdyby zginęła właśnie tutaj, w tej chwili; siostry odeszłyby ze świata o jednej godzinie. Nigdy by się nie dowiedziała, czy Dowd miał rację. Załóżmy jednak, że cały czas ją okłamywał - dając wielki pokaz aktorstwa - i że nie była cieniem, kopią stworzoną po to, by służyć, lecz prawdziwym dzieckiem prawdziwych rodziców, samodzielną istotą, rzeczywistą, kompletną. Wówczas poddałaby się śmierci ze strachu przed samą sobą. Dowd zapisałby

kolejną ofiarę na swym koncie. Mogła go pokonać tylko w jeden sposób. Musiała sprawdzić, czy nie blefuje. Posłuchać go, sięgnąć w głąb swojej jaźni i nie cofać się przed tym, co tam znajdzie. Którąkolwiek Judith była - oryginałem czy kopią, naturalną czy wyhodowaną - najważniejsze, że istniała. Nie mogła przed sobą uciec, lepiej więc było poznać prawdę.

Gdy podjęła decyzję, pod czaszką zapłonął jej mały ognek i oczyma wyobraźni ujrzała pierwsze cienie przeszłości.

- O bogini! - mruknęła półgłosem. Odrzuciła głowę do tyłu. - Co to? Co to jest?

Widziała siebie samą, jak leży na gołych deskach w pustym pokoju. Spała, grzejąc się w ciepłe ognia na kominku. Blask ognia pochlebnie kładł się na jej nagiej skórze. Korzystając z tego, że śpi, ktoś wymalował na jej ciele niezwykle symbol. Wyglądał znajomo: rozpoznała w nim rysunek, który wyobraziła sobie, kochając się pierwszy raz z Oscarem, a potem dostrzegła jeszcze raz, przez mgnienie oka, w czasie podróży między dominiami. Spirala jej ciała namalowana na tymże ciele wieloma barwami. Kiedy poruszyła się przez sen, wzór zdawał się zostawiać po sobie ślad w powietrzu. Trwał jeszcze, gdy jej uwagę zwrócił inny ruch - tym razem krąg z piasku, który okalał jej twarde łożo, uniósł się niczym zasłona. Przypominał zorzę polarną, gdy migotał tymi samymi kolorami co rysunek na jej skórze. Miała wrażenie, że jakiś kluczowy element jej natury przenika powietrze w pokoju. Widok był tak piękny, że stała zauroczona.

- Co widzisz? - usłyszała pytanie Dowda.

- Siebie... Leżę na podłodze... dookoła mnie jest krąg z piasku...

- Jesteś pewna, że to ty?

Już miała odburknąć coś pogardliwie, gdy nagle zdała sobie sprawę ze znaczenia jego słów. Może widziała nie siebie, lecz siostrę.

- Jak mam nas rozróżnić? - zapytała.

- Wkrótce się dowiesz.

I rzeczywiście. Piaskowy parawan zaczął gwałtownie falować, jak gdyby wewnątrz kręgu zerwał się wiatr. Drobinki piasku rozbryzgiwały się na boki, wyraźnie odcinając się od ciemnego tła: punkciki czystego koloru wzbijały się wysoko niczym wschodzące gwiazdy, po czym spadały, płonąc w miejscu, gdzie leżała na podłodze obok siostry. Chłonęła wielobarwny deszcz jak wdzięczna gleba, która potrzebuje go, by wydać owoce.

- Czym jestem? - spytała, wodząc wzrokiem za spadającymi światełkami. Ziemia, na którą spadały, migotała w ich blasku.

Piękno tego spektaklu uspiło jej czujność. Widok własnego niedokończonego ciała był jak nagły cios, który wytrącił ją ze wspomnień. Nagle stwierdziła, że balansuje na krawędzi

studni i tylko uścisk dłoni Dowda powstrzymuje ją przed upadkiem. Objął ją lodowaty pot.

- Nie puszczaj mnie - powiedziała.

- Co widzisz?

- Czy tak wyglądają narodziny? - zaszlochała. - Chryste Panie, czy tak to właśnie wygląda?

- Wracaj do wspomnień - ponaglił ją Dowd. - Dokończ, co zaczęłaś! Słyszysz mnie? - Potrząsnął nią. - Słyszysz mnie? Dokończ to!

Widziała przed sobą jego wściekle wykrzywioną twarz, widziała kuszącą otchłań studni za jego plecami. Pomiędzy nimi, w rozświetlonym ogniem pokoju, który czyhał gdzieś w głębi jej umysłu, ujrzała widok jeszcze bardziej koszmarny: jej na wpół skończone ciało leżało w kręgu ohydnych formuł magicznych. Patrzyła, jak mięśnie pokrywają się skórą powstałą z wydzielin ciała drugiej kobiety; jak ta skóra nabiera koloru; jak oczy zaczynają lśnić, a usta połyskiwać; jak zarysowują się takie same piersi, brzuch i genitalia. Oglądała nie narodziny, lecz duplikację. Była kopią, podobizną wykradzioną pogrążonemu we śnie oryginałowi.

- Nie mogę na to patrzeć - powiedziała.

- Przecież cię ostrzegałem, kochaniutka. Powtórka z początku naszego istnienia nigdy nie jest łatwa.

- Nie jestem nawet prawdziwa.

- Nie bawmy się w metafizykę - usłyszała w odpowiedzi. - Jesteś, czym jesteś. Prędzej czy później musiałaś się tego dowiedzieć.

- To ponad moje siły! Nie zniosę tego!

- Ależ właśnie to znosisz. Nie spiesz się. Powoli.

- Więcej nie...

- Ależ tak. Dużo więcej. To było najgorsze, dalej będzie łatwiej.

Dowd kłamał. Kiedy znów - bez żadnej zachęty z jej strony - zawładnęły nią wspomnienia, trzymała ramiona w górze, czekając, aż kolory zgęstnieją wokół wyciągniętych palców. Nawet ładnie to wyglądało, przynajmniej dopóki nie opuściła jednej ręki i nie wyczuła leżącej obok, dzielącej z nią łono istoty. Odwróciła się w jej stronę i krzyknęła.

- Co się stało? - spytał Dowd. - Bogini cię nawiedziła?

To nie była bogini, lecz drugi niedokończony twór, który wpatrywał się w nią pozbawionymi powiek oczami. Wysunął bezbarwny język, tak szorstki, że przy dotyku zdarłby jej świeżą skórę. Cofnęła się; jej strach rozbawił bladego stwora, który zatrząsł się ze śmiechu. On również zbierał cętki kradzionych kolorów, ale nie pławił się w nich tak jak ona;

łapał je w ręce i napawał się własną nagością, odsuwając moment, kiedy okryje się skórą.

- Czy to bogini? - dopytywał się Dowd. - Co widzisz? Mów, kobieto! Powiedz to...

Nagle jego głos ucichł. Zapadła cisza, która trwała ułamek sekundy, zanim przeszył ją ostry krzyk. Wizja kręgu i drugiej znajdującej się w nim istoty natychmiast się rozwiała. Jude poczuła, że Dowd już jej nie trzyma za rękę, a potem się przewróciła. Przez chwilę młóciła na oslep ramionami - i mogła mówić o szczęściu, gdyż nie wpadła do studni, lecz przy jej skraju. Zaczęła ześlizgiwać się do środka. Próbowwała zaczepić się palcami o bruk, ale liczne stopy tak go przez wieki wygładziły, że zsuwała się dalej. Ciemna otchłań upominała się o nią jak o dawno zapomniany dług. Jude wierzgnęła nogami w powietrzu. Przejechała biodrami przez krawędź studni, wciąż szukając punktu zaczepienia dla rąk - głębiej wyrytego nazwiska, różanego ciernia, który utkwiał między kamieniami, czegokolwiek. Usłyszała drugi krzyk Dowda. Podniosła wzrok i ujrzała dowód cudu.

Quaisoir przeżyła spotkanie z pajakami. Przemiany, które dokonywały się w jej ciele, gdy stawiała czoło Dowdowi, dobiegły końca. Cała jej skóra przybrała błękitny odcień, a twarz, niedawno tak okrutnie okaleczona, promieniała. Były to jednak drobiazgi. Z pleców wyrastały jej długie na kilka metrów macki, ocierające się o ziemię, nad którą unosiła się w niezwykłym locie. Przepelniała ją moc, którą zdobyła w Bastionie. Dowd cofnął się przed nią na skraj studni. Nic nie mówił. Przykucnął, zamierzając przemknąć dołem pomiędzy skręcającymi się w powietrzu mackami.

Jude poczuła, że jej palce ślizgają się po bruku. Krzyknęła.

- Siostro? - zapytała Quaisoir.

- Tutaj! - zawołała Jude. - Szybko!

Quaisoir pomknęła w jej stronę, odpychając się od ziemi muśnięciem macek. Dowd wybrał ten moment na ucieczkę, ale źle wymierzył: jedna z macek trafiła na jego ramię, owinęła się wokół szyi i cisnęła nim w czeluść. W tej samej chwili Jude straciła oparcie i wydała ostatni rozpaczliwy okrzyk. Quaisoir jednak równie szybko przysła jej w sukurs, jak wcześniej przyniosła Dowdowi zagładę. Zanim brzeg studni zdołał przesłonić Jude cały świat, oplotła mackami jej rękę i pociągnęła do góry. Jude przetoczyła się po bruku, dysząc jak sprinter na mecie biegu.

Usiadła wyprostowana, słysząc dobiegające z wnętrza studni błagania Dowda. W jego krzykach nie było nic, czego nie spodziewałaby się po człowieku, który od pokoleń ćwiczył się w pozornej służalczości. Obiecywał Quaisoir wieczne posłuszeństwo, jeśli tylko go oszczędzi. Czy miłosierdzie nie jest klejnotem w koronach istot niebieskich? I czy ona sama nie jest aniołem?

- Nie - odparła Quaisoir. - Tak jak nie jestem oblubienicą Chrystusa.

Niezrażony Dowd nadal błagał i wychwalał jej cnoty. Quaisoir nigdzie nie znalazłaby lepszego sługi, wierniejszego akolity. Czego chce? Jego męskości? Proszę bardzo! On, Dowd, może się na miejscu wykastrować. Wystarczy jedno jej słowo.

Jeśli Jude miała jeszcze jakieś wątpliwości co do siły Quaisoir, teraz się rozwiały. Macki wydobyły więźnia ponad krawędź studni. Ociekał pochlebstwami jak dziurawe wiadro wodą.

- Dziękuję, pani, dziękuję po tysiąckroć...

Dopiero teraz dostrzegła, że Dowdowi zagraża podwójne niebezpieczeństwo: nie dość, że wisiał w powietrzu nad studnią, to jeszcze macki Quaisoir zaciskały mu się na gardle z taką siłą, że udusiłby się, gdyby nie wcisnął pod nie palców. Po jego policzkach łzy spływały w teatralnym nadmiarze.

- Szlachetne panie! - zaczął. - Jak ja się wam odwdzięczę?

- Dlaczego dałam ci się zwieść? - odpowiedziała pytaniem Quaisoir. - Jesteś tylko człowiekiem. Co wiesz o istotach boskich?

Dowd wyglądał, jakby bał się odpowiedzieć; wahał się, co byłoby groźniejsze - zaprzeczenie czy potwierdzenie?

- Powiedz prawdę - doradziła mu Jude.

- Kiedyś służyłem Niewidzianemu - odparł Dowd. - Znalazł mnie na pustyni i wysłał do Piątego Dominium.

- Po co?

- Żebym coś dla niego załatwił.

- Co?

Dowd znów zaczął się wic w więzach. Łzy mu obeschły, dramatyczny ton ulotnił się z głosu.

- Potrzebował kobiety, która urodzi mu syna w Piątym Dominium.

- Znalazłeś mu ją?

- Tak. Nazywała się Celestine.

- Co się z nią stało?

- Nie wiem. Zrobiłem, co mi kazano, i...

- Co się z nią stało? - powtórzyła z naciskiem Quaisoir.

- Umarła... - Dowd zawiesił głos, czekając na ewentualne wyrazy powątpiewania. Kiedy nikt się nie odezwał, ciągnął z zapalem: - Tak, tak, odeszła ze świata. Prawdopodobnie zmarła w połogu. Bo widzicie, Hapexamendios zapłodnił ją, ale jej biedne ciało nie potrafiło

znieść takiej odpowiedzialności.

Tym razem jego zachowanie było zbyt znajome, żeby Jude dała się zwieść. Znała melodię, która przenikała do jego głosu, gdy kłamał; teraz też wyraźnie ją usłyszała. Dobrze wiedział, że Celestine żyje. Melodii tej brakowało jednak w jego wcześniejszych odpowiedziach o stręczeniu dla Hapexamendiosa, co wskazywałoby, że istotnie służył Bogu.

- Co się stało z dzieckiem? - pytała dalej Quaisoir. - To był chłopiec czy dziewczynka?

- Nie wiem. Naprawdę nie wiem.

Kolejne kłamstwo, które tym razem wyczuła Quaisoir. Poluzowała pętlę i Dowd zsunął się o parę centymetrów. Zaszlochał z przerażenia, zacisnął dłonie na mackach.

- Nie puszczaj mnie! Na Boga, trzymaj!

- Co z dzieckiem?

- Skąd miałbym wiedzieć? - Kiedy tym razem w oczach Dowda wezbrały łzy, były prawdziwe. - Jestem nikim. Gońcem. Statystą.

- Alfonsem - dodała Quaisoir.

- To też, przyznaję. Jestem alfonsem! Ale poza tym nikim, zupełnie nikim! Powiedz jej, Jude: jestem marnym aktorzyną, do cholery! Nic niewartym aktorzyną!

- Nic niewartym, tak?

- Nic a nic!

- W takim razie dobranoc - powiedziała Quaisoir i puściła Dowda.

Pętla macek prześliznęła mu się przez palce tak niespodziewanie, że nie zdążył jej mocniej chwycić. Spadł jak odcięty ze stryczka wisielec; przez kilka sekund nawet nie krzychał, jakby niedowierzanie zamknęło mu usta. Dopiero gdy krąg zadymionego nieba nad głową zmniejszył się do rozmiarów punkcika, wrzasnął - piskliwie i krótko.

Jude oparła się dłońmi o bruk i nie patrząc na Quaisoir, wymamrotała słowa podziękowań za ocalenie i za zglądzenie Dowda.

- Kto to był? - zaciekawiała się Quaisoir.

- Niewiele o nim wiem.

- Po kawałku... Tak właśnie uczymy się wszystko rozumieć. Po... kawałku...

Głos Quaisoir zdradzał wyczerpanie i gdy Jude podniosła na nią wzrok, zorientowała się, że cud dobiega końca. Quaisoir opadła na ziemię. Jej ciało zapadało się w sobie, błękit zniknął ze skóry. Jude wstała i odkuśtykała od krawędzi otworu.

- Dokąd idziesz? - zapytała Quaisoir, słysząc dźwięk jej kroków.

- Jak najdalej od studni - odparła Jude. Oparła się dłońmi i czołem o przyjemnie chłodny mur. - Wiesz, kim jestem? - spytała po chwili.

- Tak... Jesteś tą częścią mnie, którą straciłam. Drugą Judith.

- Zgadza się.

Odwróciwszy się, Jude stwierdziła, że Quaisoir mimo bólu się uśmiecha.

- To dobrze. Jeżeli przeżyjemy, może zaczniesz wszystko od nowa. Za nas obie. Może ujrzysz wizje, do których ja odwróciłam się plecami.

- Jakie wizje? Quaisoir westchnęła.

- Kiedyś kochał się we mnie pewien wielki maestro. Pokazał mi anioły. Zjawiały się przy naszym stole opromienione słońcem. Słowo daję, anioły w promieniach słońca. Wydawało mi się, że będziemy żyć wiecznie i poznam wszystkie sekrety morza. Ale pozwoliłam mu się wywieść ze słonecznych krain; dałam się przekonać, że duchy nic nie znaczą. Liczy się tylko nasza wola. Jeżeli chcemy zadawać ból, to jest to mądrość. Tak szybko się zgubiłam, Judith. Tak szybko. - Wzdrygnęła się. - Moje zbrodnie mnie oślepiły, jeszcze zanim zrobiło to ostrze noża.

Jude ze współczuciem spojrzała na okaleczoną twarz siostry.

- Musimy znaleźć kogoś, kto oczyści ci rany.

- Wątpię, czy w Yzordderrex ostał się choć jeden lekarz. Podczas rewolucji lekarze zawsze uciekają pierwsi, prawda? Razem z poborcami podatkowymi, poetami...

- Jeżeli nikogo nie znajdziemy, sama to zrobię - stwierdziła Jude. Odsunęła się od dającej poczucie bezpieczeństwa ściany i wróciła na pochyły bruk, do siedzącej na nim Quaisoir.

- Wydawało mi się wczoraj, że widzę Jezusa. Stał na dachu z rozłożonymi rękoma. Miałam nadzieję, że przyszedł po mnie, że będę mogła się wypowiedzieć. Dlatego tu przyszłam. Szukałam Jezusa. Słyszałam Jego posłańca.

- To byłam ja.

- Ty... w moich myślach?

- Tak.

- Znalazłam więc ciebie zamiast Christosa. To chyba jeszcze większy cud. - Wyciągnęła rękę do Jude. - Nie mam racji, siostrze?

- Jeszcze nie wiem - odparła Jude, ściskając jej dłoń. - Dziś rano byłam sobą. A teraz kim jestem? Kopia. Falsyfikatem.

Przypomniał się jej Gentle, gnojek, jak nazywał go Klein; fałszerz, który zarabiał na geniuszu innych. Czy dlatego miał obsesję na jej punkcie? Czyżby dostrzegł cień jej prawdziwej natury, która go pociągała? Czy podążał za nią, by odkryć, jak nędzną jest podróbką?

- Byłam szczęśliwa - ciągnęła, wracając pamięcią do szczęśliwych chwil spędzonych z Gentle'em. - Może nie zawsze zdawałam sobie z tego sprawę, ale byłam szczęśliwa. Byłam sobą.

- Nadal jesteś.

- Nie. - Jude nigdy nie była tak zrozpaczona. - Jestem częścią innej osoby.

- Wszyscy jesteśmy częstkami - odparła Quaisoir. - I ci, którzy się rodzą, i ci, którzy zostają stworzeni. - Zacisnęła palce na dłoni Jude. - I wszyscy mamy nadzieję kiedyś znów stać się całością. Zaprowadzisz mnie na górę, do pałacu? Tam będzie bezpieczniej.

- Oczywiście. - Jude pomogła jej wstać.

- Wiesz, w którą stronę iść?

Mimo ciemności i dymu ściany pałacu majaczyły nad nimi - masywne, chociaż odległe.

- Czeka nas nielecha wspinaczka - stwierdziła Jude. - Nie wiem, czy zdążymy przed świtem.

- Noce w Yzordderrex są długie.

- Ale nie trwają wiecznie.

- Dla mnie tak.

- Przepraszam, nie pomyślałam. Chodziło mi o to...

- Nie przepraszaj. Lubię mrok, bo w nim lepiej pamiętam słońce. Słońce i anioły przy stole. Będziesz mnie prowadzić za rękę, siostrze? Nie chciałabym cię znowu stracić.

ROZDZIAŁ 38

W innych okolicznościach Gentle czułby się może przygnębiony taką ilością zamkniętych na głucho i opieczętowanych pomieszczeń, ale gdy zbliżali się z Lazarevichem do wieży, cieszył się, że nikt i nic łatwo się przez te drzwi nie wydostanie. Lazarevich odzywał się rzadko - tylko wówczas, gdy proponował Gentle'owi, żeby dalszą drogę odbył sam.

- To niedaleko stąd - mówił. - Nie będę ci już potrzebny.

- Nie tak się umawialiśmy - przypominał mu Gentle.

Żołnierz kłął, biadolił, a potem szedł jakiś czas w milczeniu, aż wrzask dobiegający z bocznych tuneli albo odbłask światła w kałuży krwi pod nogami kazały mu powtórzyć prośby o zwolnienie z zobowiązania.

Nikt ich nie zatrzymywał. Może kiedyś w tych gigantycznych komnatach panował tłok (w każdej zmieściłaby się mała armia), ale już całkiem opustoszały. Nieliczni intendenci i służący, których spotkali, uciekali z pałacu, niosąc pospiesznie zebrane drobiazgi. Martwili się przede wszystkim o własne życie, zakrwawiony żołnierz i jego niechlujnie odziany towarzysz nie budzili ich zainteresowania.

W końcu ukazały się nie opieczętowane drzwi, za które Lazarevich za żadne skarby nie chciał wejść.

- To jest Wieża Osi - oznajmił ledwie słyszalnym szeptem.

- Skąd mam wiedzieć, że nie kłamiesz?

- Nic nie czujesz?

Gentle musiał przyznać, że odczuwa w dłoniach, jądrach i pod czaszką niezwykle, ledwie uchwytnie mrowienie.

- Przysięgam, że to tutaj - szepnął Lazarevich.

- No dobrze. - Gentle dał się przekonać. - Zrobięś, co do ciebie należało. Teraz znikaj.

- Mówisz serio? - Lazarevich uśmiechnął się z niedowierzaniem.

- Jak najbardziej.

- Nie wiem, kim jesteś, ale dziękuję ci. Dziękuję.

Zanim jednak zdążył się oddalić, Gentle złapał go pod ramię i przyciągnął do siebie.

- Powiedz swoim dzieciom, żeby nie szły do wojska. Niech lepiej zostaną poetami,

może pucybutami... Byle nie żołnierzami. Rozumiesz?

Lazarevich pokiwał z zapalem głową, ale Gentle wątpił, by choć słowo zrozumiał. Myślał wyłącznie o ucieczce; gdy tylko odzyskał wolność, zawrócił i w dwie sekundy nie było po nim śladu. Gentle uchylił kute mosiężne drzwi i wszedł. Końcówki nerwów w kroczu i czubkach palców podpowiadały mu, że nie jest to zwyczajne miejsce - delikatne do niedawna mrowienie stawało się bolesne. Za drzwiami zalegał mrok. Gentle przystanął i odczekał, aż wzrok przywyknie mu do ciemności. Wyglądało na to, że nie znalazł się jeszcze w sąsiedztwie Wieży Osi, lecz w dusznym jak szpitalna sala przedpokoju o nagich ścianach. Był tu jedynie stół, na którym leżała przewrócona, pusta klatka dla kanarka. Po przeciwnej stronie stołu znajdowały się drugie drzwi. Gentle przeszedł przez nie i znalazł się w korytarzu, w którym powietrze było jeszcze bardziej zastałe niż w komnacie. Niepokojący, monotonny dźwięk, który w nim rozbrzmiewał, w innych okolicznościach mógłby nawet być kojący. Nie wiedząc, skąd dobiega, Gentle skierował się w prawo i zaczął ostrożnie brnąć przed siebie. Z lewej strony odchodziły w bok schody, które zaraz ginęły w ciemnościach. Nie skręcił na nie, lecz poszedł prosto i po chwili ujrzał z przodu słabą poświatę. Buczenie, którego źródłem była zapewne Oś, wzmagalo się, przez co miał wrażenie, że pakuje się prosto w pułapkę, ale nie ustępował - musiał się upewnić, że Pie nie jest więziony w jednym z tych korytarzy.

Do otwartych drzwi kolejnej komnaty brakowało mu dosłownie kilku kroków, gdy ciemna sylwetka zasłoniła na chwilę światło, ale zniknęła zbyt szybko, by zdołał ją rozpoznać. Przyłgnał płasko do ściany i zaczął się powoli przesuwac do wejścia. Blask, który go zwabił, rzucała stojąca na stole lampa oliwna, obok niej na kilku talerzach dostrzegł resztki jakiegoś posiłku. Stał przy drzwiach, czekając, aż nieznajomy - zapewne strażnik - znowu się pojawi. Nie chciał go zabijać, dopóki nie okaże się to absolutnie konieczne; nawet bez jego ingerencji w Yzordderrex będzie o świecie dostatecznie dużo wdów i sierot. Kilka razy słyszał, jak strażnik puszcza wiatry ze swobodą człowieka, który jest przekonany, że nikt go nie widzi i nie słyszy. Potem skrzypnęły jakieś drzwi i kroki nieznajomego zaczęły się oddalać.

Gentle sprawdził, czy pokój jest pusty. Wszedł do środka, żeby zabrać ze stołu leżące na nim dwa noże. Na jednym z talerzy znalazł garść przebranych już cukierków. Nie oparł się pokusie, wziął jeden i wkładał go do ust, gdy ktoś z tyłu zapytał:

- To ty, Rosengarten?

Gentle się odwrócił. Gdy zobaczył twarz człowieka naprzeciwko, odruchowo zacisnął szczęki i zgryzł cukierek. Widok i smak połączyły się w jedno doznanie; zachwiał się na

nogach, porażony docierającą do mózgu falą słodczy.

Miał przed sobą żywe lustrzane odbicie. Widział swoje oczy, swój nos i usta, włosy i sylwetkę; swoje zakłopotanie i zmęczenie. Tylko krój płaszcza i żałoba pod paznokciami różniły odbicie od oryginału. No i z pewnością imię.

Przełknąwszy słodkie nadzienie cukierka, Gentle wykrztusił:

- Kim... jesteś... na litość boską?

Na twarzy nieznanego zdumienie ustąpiło miejsca rozbawieniu. Pokręcił głową.

- Kreauchee...

- Tak się nazywasz? Kreauchee? - upewnił się Gentle.

Podczas wędrówki przez dominia słyszał już dziwniejsze imiona. Jego sobowtór uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- To nie byłby taki zły pomysł - odparł. - Mam go dość w organizmie. Autarcha Kreauchee... Nieźle brzmi.

Gentle wypluł resztki cukierka.

- Autarcha?

Nieznajomy spoważniał.

- Pokazałeś mi się, wystarczy. A teraz spadaj, gnojku. - Autarcha zamknął oczy. - Weź się w garść - szepnął. - Wszystko przez to cholerne kreauchee. Nie pierwszy raz ci się to zdarza. I nie ostatni.

Gentle zrozumiał, co się dzieje.

- Myślisz, że ci się śnię, prawda? - zapytał.

Autarcha otworzył oczy, zły, że halucynacje nie ustępują.

- Mówiłem ci...

- Co to jest kreauchee? Jakiś alkohol? Narkotyk? Że niby naćpałeś się i ja ci się zwiduję? No więc nie.

Gentle ruszył w stronę autarchy, który odsunął się zaniepokojony.

- Daj spokój. - Gentle wyciągnął do niego rękę. - Dotknij mnie. Ja naprawdę istnieję. Nazywam się John Zacharias i przybyłem z bardzo daleka, żeby się z tobą spotkać. Nie wiedziałem, że o to właśnie mi chodziło, ale teraz jestem tego pewien.

Autarcha przycisnął pięści do skroni, jakby chciał wydusić sobie z mózgu narkotykowe zwidy.

- To niemożliwe - stwierdził głosem, w którym oprócz niedowierzania brzmiał lęk. - Nie mogłeś tu wrócić. Nie po tylu latach.

- A jednak. Możesz mi wierzyć, mam taki sam mętlik w głowie jak ty, ale naprawdę

jestem tutaj.

Autarcha przyglądał mu się uważnie, kręcąc głową na wszystkie strony, jakby wciąż liczył na to, że uda mu się zdemaskować zjawę.

- Skąd się tu wzięłeś? - zapytał niepewnie.

- Myślałem, że wiesz.

- Z Piątego Dominium?

- Tak.

- Chcesz mnie obalić, prawda? Jak to możliwe, że wcześniej tego nie rozumiałem? To ty wzniciłeś rewolucję! Wyszedłeś na ulice i zasiałeś ziarno buntu! Nic dziwnego, że nie mogłem go stłumić. Cały czas się zastanawiałem: Kto za tym stoi? Kto knuje przeciwko mnie? Tyle było egzekucji, tyle czystek, ale nigdy nie dotarłem do tego, który wszystkim kierował. Do człowieka, który dorównywał mi mądrością. Tyle bezsennych nocy strawiłem na rozmyślaniach: Kto to jest? Kto?! Zrobiłem listę nazwisk długą jak moja ręka, ale ciebie na niej nie było, maestro. Nie było Sartoriego!

Gentle doznał wstrząsu. W głowie zaszumiało mu tak samo jak na peronie stacji w Mai-Ké. Zwymiotował wszystko, co miał w żołądku. Chciał się oprzeć o stół, żeby nie stracić równowagi, ale nie trafił w blat i upadł na podłogę, we własne wymiociny. Ślizgając się w nich, próbował otrząsnąć się i uciszyć chaos w głowie, zdołał jednak tylko wychwycić z niego pojedyncze słowa.

Sartori! To on jest Sartorim! Nie było sensu podawać tego w wątpliwość. Wiedział, że to prawda; czuł, że to jego imię. Niosło mnogość znaczeń bardziej poplątanych niż wszystko, co widział w dominiach; całe światy odsłaniały się przed nim, jakby nagle w jakimś domu otwarły się szeroko wszystkie okiennice. Wiedział, że nie będzie ich już w stanie zamknąć.

Słyszał to imię w setkach wspomnień. Kobieta wypowiadała je z westchnieniem, przywołując go do rozścielonego łoża; ksiądz skandował je z ambony, wieszcząc potępienie; hazardzista szeptał je, chuchając w trzymane w dłoni kości. Potępieni czynili z niego modlitwę, pijacy je wyśmiewali, biesiadnicy wyśpiewywali na całe gardło. Jego sława sięgała daleko. Podczas odpustu na świętego Bartłomieja trupy aktorskie nabijały sobie kabzę, odgrywając jego dzieje jako farsę; właściciel burdelu w Bloomsbury chełpił się, że ma u siebie zakonnice, którą dotyk Sartoriego wpędził w nimfomanię i która (tak twierdziła) modli się do niego, gdy klienci ją rzną. Stał się symbolem wszystkiego, co wspaniałe i zakazane; był groźbą dla trzeźwo myślących mężczyzn, sekretną uciechą dla ich żon. A dla dzieci, które za urzędnikiem parafialnym przechodziły sznureczkiem obok jego domu... Dla dzieci był rymowanką:

Maestro Sartori

Bardzo pragnie sławy.

Kocha koty oraz psy,

Damy zmienia w żaby,

A ze szczura czapkę robi.

Ale to nie nasze sprawy.

Ten wierszyk, wyśpiewywany piskliwymi głosikami parafialnych sierot, był na swój sposób gorszy niż szloch, modlitwy i klątwy z ambony. Powtarzał się, trwał w nieskończoność, nie zyskując ani na melodii, ani na znaczeniu - podobnie jak dotychczasowe, pozbawione celu życie Gentle'a.

- Zapomniałeś o tym? - zdziwił się autarcha.

- O tak! - zaśmiał się gorzko Gentle. - Zapomniałem.

Nawet teraz, gdy przywołane z pamięci głosy chrzcily go na nowo, nie potrafił w to uwierzyć. Czy jego ciało mogło przeżyć z górą dwa stulecia w Piątym Dominium, gdy umysł sam się oszukiwał? Pamiętał tylko ostatnie dziesięć lat, a ukrywał resztę. Gdzie mieszkał przez ten czas? Kim był? Jeżeli to, co słyszał, było prawdą, to przypomniał sobie zaledwie cząstkę przeszłości. Dwieście lat wspomnień tkwiło gdzieś w jego mózgu, czekając na odkrycie. Nic dziwnego, że Pie o niczym mu nie mówił. Już teraz miał wrażenie, że znalazł się o krok od obłądzenia. Wstał, opierając się o stół.

- Czy Pie'oh'pah jest tutaj?

- Ten mistyf? Nie. A czemu pytasz? Przybyliście razem?

- Owszem.

Autarcha uśmiechnął się przelotnie.

- Czyż one nie są niezwykłe? Sam miałem kiedyś mistyfa. Albo dwa... Trzeba w nich zasmakować, ale potem nigdy się ich nie zapomina. Tego twojego nie widziałem.

- A Judith?

- Ach, Judith... Rozumiem, że masz na myśli kobietę Godolphina? Ma wiele imion, prawda? Tak jak my wszyscy. Jak ty się ostatnio nazywasz?

- Już mówiłem. John Furie Zacharias. Albo Gentle.

- Paru przyjaciół nazywa mnie Sartorim. Chciałbym, żebyś i ty się do nich zaliczał. A może zależy ci na odzyskaniu tego imienia?

- Wystarczy Gentle. Ale mówiliśmy o Judith. Była rano w porcie.

- Chrystusa też tam widziałeś?

- Jakiego Chrystusa?

- Wróciła tu przepelniona bojaźnią bożą, twierdząc, że widziała Syna Smutku. Zwariowała. - Autarcha westchnął. - To był naprawdę przykry widok. Najpierw myślałem, że kreauchee jej zaszkodziło, ale nie, po prostu postradała zmysły. Całkiem jakby mózg wylał się jej uszami.

- O kim mówisz? - spytał Gentle, dochodząc do wniosku, że któryś z nich dwóch musiał się pogubić w tej rozmowie.

- O Quaisoir, mojej żonie. Przybyła tu ze mną z Piątego Dominium.

- Miałem na myśli Judith.

- Ja też.

- Czy to znaczy...

- Są dwie. Rany boskie, przecież jedną sam zrobiłeś! A może tego też nie pamiętasz?

- Nie. Nie pamiętam.

- Była piękna, ale nie na tyle, żeby poświęcić dla niej Imajicę. Popeliłeś wielki błąd. Trzeba było myśleć głową, a nie pałą; wtedy ja bym się nie narodził, Bóg mieszkałby sobie spokojnie w niebie, a ty zostałbyś papieżem Sartorim. Ha! Czy po to właśnie wróciłeś? Chcesz być papieżem? Za późno, bracie. Nim wstanie dzień, z Yzordderrex zostaną zgliszczą. To moja ostatnia noc w tym mieście, wracam do Piątego Dominium. Zbuduję tam nowe imperium.

- Po co?

- Nie pamiętasz, co śpiewały dzieci? Dla sławy.

- Nie dość ci jej jeszcze?

- I kto to mówi! Wszystko, co czuję w sercu, pochodzi od ciebie. Nie mów mi, że nie śniłeś o władzy. Byłeś największym maestrem w Europie. Nikt nie mógł się z tobą równać. Takie uczucia nie ulatniają się w jedną noc. - Po raz pierwszy od początku rozmowy autarcha zrobił krok w stronę Gentle'a. Położył mu dłoń na ramieniu. - Sądzę, że powinieneś zobaczyć Oś, bracie. Przypomnisz sobie, co znaczy moc. Dobrze się czujesz?

- Mniej więcej.

- W takim razie chodźmy.

Wrócili w korytarz i do kręconych schodów, które Gentle ominął. Teraz wszedł na nie za autarchą i stanęli przed pozbawionymi klamki drzwiami.

- Odkąd zbudowano tę wieżę, nikt poza mną nie oglądał Osi - rzekł autarcha. - Stała się bardzo wrażliwa na spojrzenia innych.

- Moje oczy są twoimi oczami - przypomniał mu Gentle.

- Oś wyczuje różnicę. Będzie cię chciała... sprawdzić. - Seksualny podtekst słów autarchy nie uszedł uwagi Gentle'a. - Odpreż się i spróbuj myśleć o Anglii, to nie potrwa długo.

Poślinił kciuk i przytknął go do znajdującej się pośrodku drzwi prostokątnej płytki z szarego kamienia. Mechanizm zareagował, zgrzytnęły zamki.

- Więc ślina też działa? - mruknął Gentle. - Myślałem, że tylko oddech.

- Używasz pneумы? W takim razie ja też mogę, chociaż na razie jakoś nie opanowałem tej sztuki. Będziesz musiał mnie nauczyć. Ja ci w zamian... przypomnę parę influencji.

- Nie wiem, jak działają pneумы.

- No to będziemy się uczyć razem. Podstawowe reguły są proste. Umysł i materia; materia i umysł. Jedno przekształca drugie... Może to właśnie zrobimy, zmienimy się nawzajem.

Sartori pchnął drzwi, które - choć grube na piętnaście centymetrów - ustąpiły bezszelestnie. Gestem wskazał Gentle'owi drogę, mówiąc:

- Podobno Hapexamendios ustawił Oś w centrum Imajiki, żeby jego płodność spływała po niej na wszystkie dominia. - Zniżył głos, jakby zdradzał jakiś sekret. - Inaczej mówiąc: Oś jest fallusem Niewidzianego.

Rzecz jasna, Gentle widział już tę kamienną wieżę z zewnątrz - strzelała wysoko ponad inne pałacowe kopuły i iglice - ale dopiero teraz w pełni ogarnął jej niewiarygodne rozmiary. Miała w podstawie kwadrat o boku długości dwudziestu, może dwudziestu pięciu metrów, była zaś tak wysoka, że sznur umieszczonych na ścianach reflektorów ciągnął się w górę i ginął w mroku pod jej szczytem jak szereg lamp na autostradzie. Widok był niesamowity, tym bardziej że wewnątrz zajmował tylko monolit, dla którego wieżę zbudowano.

Gentle przygotował się na atak. Zęby drżały mu od dźwięku, który wcześniej słyszał w korytarzu; mrowienie paliło mu palce. Nie wydarzyło się jednak nic niezwykłego, co tym bardziej go zaniepokoiło. Oś wiedziała o jego obecności w wieży, ale nie reagowała. Oceniała go.

Uderzyły go w niej dwie rzeczy. Po pierwsze, była piękna. Miała kolor burzowych chmur i migotała światłem, jak gdyby od środka przesywały ją pioruny. Po drugie, nie wyrastała z ziemi, lecz pomimo ogromnych rozmiarów unosiła się trzy metry nad posadzką. Niżej zalegał cień tak gęsty, że mógłby stanowić jej fundament.

- Robi wrażenie, prawda? - mruknął Sartori. Jego lekceważący ton wydał się

Gentle'owi równie niestosowny jak śmiech przed ołtarzem. - Możesz pod nią wejść, śmiało. Nic ci się nie stanie.

Gentle nie miał na to ochoty, wiedział jednak, że autarcha szuka jego słabych punktów. Jeżeli teraz okaże strach, Sartori wykorzysta to przeciwko niemu. Wystarczy, że widział go wymiotującego i na kolanach.

Odwrócił się do autarchy.

- Nie pójdziesz ze mną?

- To bardzo osobista chwila - odparł Sartori i cofnął się.

Gentle sam zagłębił się w cień. Miał wrażenie, jakby znów znalazł się na pustkowiach Jokalaylau. Ziąb przeniknął go do szpiku kości. Powietrze wydarło mu się z płuc i zawisło przed nim w postaci zmrożonej pary. Bez tchu podniósł wzrok. Nie wiedział, czy poddać się racjonalnej chęci bliższego zbadania tego cudu, czy raczej paść na kolana i błagać, żeby go nie zmiadził. Sufit wieży miał pięć boków - po jednym na każde dominium - które, podobnie jak ściany obelisku, połyskiwały światłem błyskawic. Z bliska widział, że nie jest to zwyczajne złudzenie; skały nad jego głową naprawdę kłębiły się jak burzowe chmury. Zerknął na Sartoriego, który z obojętnym wyrazem twarzy stał przy drzwiach i właśnie wkładał papierosa do ust. Kiedy go zapalił, ogień wydał się Gentle'owi tak daleki, jakby błyskał w innym świecie. Nie zazdrościł autarsze jego ciepła. Marzył w cieniu Osi, ale nie mógł się doczekać chwili, gdy kamienne niebo objawi mu swoją moc. Z pogardą odwrócił wzrok. Przyszło mu do głowy, że mimo przechwałek Sartoriego o posiadaniu Osi na własność, lata, które monolit spędził zamknięty w wieży, były dla niego jak krótka chwila; Gentle i Sartori przeminą, ci, którzy przyjdą po nich, zatrą wszelkie ich ślady, a dla kamiennego olbrzyma wszystko to potrwa nie dłużej niż mgnienie oka.

Być może, kolumna odczytała tę myśl wprost z jego mózgu - i przytaknęła, gdyż rozbłysła łagodnym światłem. Oprócz piorunów w kamieniu rozbłysło słońce; ogień mógł ogrzewać, nie tylko zabijać. Oś rozjaśniła się i snopy światła padły najpierw na ziemię wokół stóp Gentle'a, a zaraz potem także na jego twarz. Przypomniawszy sobie wydarzenia z przeszłości, które zapowiadały tę chwilę. Stał kiedyś na Highgate Hill (główna droga była wtedy jeszcze gliniastą ścieżką) i patrzył, jak z chmur sączy się cudowny blask; ten sam widok oglądał z okna swojego pokoju przy Gamut Street; patrzył, jak obłoki dymu rozwiewają się po nocnym bombardowaniu i jak przedziera się przez nie słońce. To było w 1941 roku, w okresie szczytowego nasilenia niemieckich nalotów. Gdzieś w sercu, tak głęboko, że bał się tam sięgnąć, czuł wówczas, że zapomniał o czymś wspaniałym i że jeżeli kiedyś dowie się, co to było - jeśli cudowne światło wypali zasłonę niepamięci - odsłoni się przed nim cały świat.

Teraz wrażenie było podobne, lecz znacznie bardziej konkretne. Dźwięk, który wibrował mu niedawno w głowie, rozbrzmiał ponownie, łącząc się ze światłem. W ledwie słyszalnych zmianach tonu zaczął rozumieć słowa. To Oś do niego przemówiła:

- Pojednawco...

Miał ochotę zatkać sobie uszy, żeby nie słyszeć tego głosu. Chciał upaść na twarz niczym prorok, który błaga Boga, by uwolnił go od brzemienia proroctwa. Na próżno. Słowa uparcie rozbrzmiewały mu pod czaszką. Nie mógł przed nimi uciec.

- Zadanie nie zostało jeszcze ukończone.

- Jakie zadanie?

- Dobrze wiesz jakie.

Wiedział, naturalnie; ale poprzednia próba sprawiła mu wiele bólu i nie był gotów podjąć następnej.

- Dlaczego odmawiasz?

Gentle spojrział wprost w blask Osi.

- Raz już zawiodłem. Wielu ludzi zginęło. Nie mogę drugi raz do tego dopuścić.

Proszę.

- Po co tu przybyłeś?

Głos zabrzmiał tak słabo, że Gentle wstrzymał oddech, by nie uronić ani słowa. Wrócił pamięcią do leżącego na łożu śmierci Taylora, który go prosił, by zrozumiał wszystko za niego.

- Żeby zrozumieć...

- Co zrozumieć?

- Nie wiem, jak to powiedzieć... To takie żałosne...

- Mów, ja słucham.

- Żeby zrozumieć, po co się urodziłem. Po co wszyscy się rodzimy.

- Przecież wiesz, po co przyszedłeś na świat.

- Nie. Żałuję, ale naprawdę nie wiem.

- Jesteś tym, który zjednoczy dominia. Uzdrowicielem Imajiki. Spróbuj temu zaprzeczyć, a uchyłisz się przed zrozumieniem. Wspomnienia nie są najgorszą udręką; inni cierpią katusze, ponieważ ty nie dokończyłeś swojego dzieła. Wróć do Piątego Dominium i zrób, co do ciebie należy. Niech dzięki tobie dominia staną się jednością. To dla ciebie jedyna droga wybawienia.

Kamienne niebo znów zaczęło falować, chmury zakryły słońce. Wrócił mrok, a wraz z nim chłód, lecz Gentle wciąż nie wychodził z cienia Osi. Miał nadzieję, że otworzy się

jeszcze jakaś szczelina i Bóg przemówi po raz ostatni, pocieszy go, może szepnie, jak przekazać brzemie komuś lepiej przygotowanemu. Nic się jednak nie stało. Wizja się rozmyła. Nie pozostało nic innego, jak skulić się z zimna i wycofać do miejsca, gdzie stał Sartori. Papieros wypadł autarsze z ręki i dopalał się u jego stóp. Twarz Sartoriego zdradzała, że choć nie rozumiał wszystkich szczegółów, wiedział mniej więcej, co się wydarzyło.

- Niewidziany przemówił - stwierdził głosem równie bezbarwnym jak głos Boga.

- Ja nie chcę...

- A ja nie sądzę, żeby to było najlepsze miejsce do odmawiania Mu. - Autarcha obrzucił Oś niepewnym spojrzeniem.

- Nie odmawiam - zauważył Gentle. - Po prostu nie chcę tego robić.

- O tym też lepiej rozmawiać na osobności - odparł szeptem Sartori i otworzył drzwi.

Nie wrócili jednak do małego, skąpo urządzonego pokoiku, w którym się spotkali. Autarcha poprowadził Gentle'a do komnaty na drugim końcu korytarza, która mogła się pochwalić jednym z nielicznych w okolicy okien. Było wąskie i brudne, lecz i tak wyglądało lepiej niż niebo, które się za nim rozpościerało. Brzask muskał już chmury, ale słupy gęstego dymu prawie całkowicie tłumili jego światło.

- Nie po to tu przybyłem - rzekł Gentle, wyglądając na zewnątrz. - Szukałem odpowiedzi.

- Znalazłeś je.

- Mam wziąć to, co do mnie należy? Choćby nie wiem jakie ohydztwo mi się trafiło?!

- Nie tobie, lecz nam. To nasza odpowiedzialność, nasz ból... - Autarcha zawiesił głos.

- ...I nasza sława, rzecz jasna.

Gentle zerknął na niego przelotnie.

- Moja - poprawił go.

Sartori wzruszył ramionami, jakby to słowo nic dla niego nie znaczyło. Gentle rozpoznał w tym geście jedną z własnych sztuczek. Ileż razy identycznie wzruszał ramionami, unosił brwi, wydymał usta i z udawaną obojętnością spuszczał wzrok! Postanowił nie wyprowadzać Sartoriego z błędu. Niech myśli, że blef zadziałał.

- Cieszę się, że się ze mną zgadzasz - dodał. - To naprawdę moje brzemie.

- Poprzednio zawiodłeś.

- Ale byłem blisko - odparował Gentle, udając, że pamięta więcej niż w rzeczywistości. Miał nadzieję, że odpowiedź Sartoriego rozjaśni mu w głowie.

- „Blisko” to za mało. „Blisko” to śmiertelne niebezpieczeństwo. Tragedia. Sam widzisz, jak skończyłeś. Wielki maestro ledwie zachował resztki rozumu.

- Oś we mnie wierzy.

Trafił chyba w czuły punkt, bo autarcha zaczął krzyżeć:

- Gównu mnie ta cała Oś obchodzi! Dlaczego to ty masz dokonać Pojednania, co? Dlaczego?! Sto pięćdziesiąt lat rządziłem Imajicą! Wiem, jak używać władzy, a ty nie masz o tym pojęcia!

- O to ci właśnie chodzi? - spytał Gentle, pozwalając mu złapać haczyk. - Chcesz zająć moje miejsce? Chcesz być Pojednawcą?

Sartori szalał.

- Lepiej się do tego nadaję! Ty potrafisz tylko uganiać się za babami!

- A ty nie? Jesteś impotentem?

- Wiem, co ci chodzi po głowie, na twoim miejscu zrobiłbym to samo. Podpuszczasz mnie. Czekasz, aż się podłożę. Nie licz na to. Nie tylko potrafię wszystko to, co ty, ale jestem od ciebie lepszy! Przez lata ukrywałeś się i traciłeś czas, a ja nie próżnowałem. Nauczyłem się budować imperia. A ty? - Autarcha nie czekał na odpowiedź; za dobrze znał swojego rozmówcę. - Niczego się nie nauczyłeś. Gdybyś teraz spróbował dokonać Pojednania, popełniłbyś te same błędy.

- To znaczy?

- Właściwie wszystko sprowadza się do jednego błędu: do Judith. Gdybyś jej tak nie pragnął... - Sartori urwał, obserwując Gentle'a badawczo. - Nawet tego nie pamiętasz, prawda?

- Nie - przyznał Gentle. - Jeszcze nie.

- Opowiem ci coś, bracie. - Sartori podszedł do Gentle'a na wyciągnięcie ręki. - Ale to smutna historia.

- Nie będę płakał.

- Judith była najpiękniejszą kobietą w Anglii; niektórzy twierdzili, że w całej Europie. Należała jednak do Joshuy Godolphina, który strzegł jej jak oka w głowie.

- Byli małżeństwem?

- Nie. Była jego kochanką, ale kochał ją o wiele goręcej, niż gdyby miał ją za żonę. Wiedział, naturalnie, co do niej czujesz. Wcale się z tym nie kryłeś. Bał się - mój Boże, jak on się bał! - że prędzej czy później uwiedziesz ją i mu odbierzesz. Zrobiłbyś to bez trudu, ty, Sartori, wszechmocny maestro. Był jednym z twoich mecenasów, więc wolałeś się nie spieszyć; może czekałeś, aż się nią znudzi. Wtedy mógłbyś ją mieć, nie psując sobie stosunków z nim. Niestety, nie znudził się. Mijały miesiące, a on niezmiennie ją kochał. Nigdy przedtem nie musiałeś tak długo czekać na kobietę. Męczyłeś się jak chory z miłości

dzieciak, nie mogłeś spać, na dźwięk jej głosu serce waliło ci jak młotem... Nie wróżyło to dobrze próbie Pojednania, toteż Godolphin równie gorąco jak ty pragnął znaleźć wyjście z tej kabały. Kiedy złożyłeś mu propozycję, nie wahał się.

- Jaką propozycję?

- Że zrobisz drugą Judith, identyczną jak oryginał. Znałeś odpowiednie sztuki.

- On miałby jedną...

- ...a ty drugą. Proste, prawda? Otóż nie. Wcale nie takie proste. I bardzo niebezpieczne. Ale wtedy nikt o tym nie myślał. Wyglądało na to, że wystarczy kilka obrzędów, aby dominia, od zarania dziejów niedostępne dla ludzi, nagle stanęły otworem. Niebo było na wyciągnięcie ręki. Stworzenie Judith to przy tym pestka. Wyjaśniłeś mu wszystko, a on się zgodził...

- Tak po prostu?

- Przekupiłeś go. Obiecałeś, że dostanie nową Judith, lepszą od dawnej; taką, która nie będzie się starzeć i do śmierci dotrzyma towarzystwa jemu, a potem jego synom i wnukom. Miała po wsze czasy być własnością mężczyzn z rodu Godolphinów, kochanką uległą, skromną, doskonałą.

- A co na to oryginał?

- Prawdziwa Judith o niczym nie wiedziała. Uśpiłeś ją, przeniosłeś do domu przy Gamut Street, rozebrałeś do naga, namaściłeś olejkiem, położyłeś w kręgu usypanym z piasku zebranego na granicy Drugiego Dominium... To najświętsza ziemia w Imajice. Potem zmówiłeś modlitwę i czekałeś, co się stanie. - Autarcha przerwał dla nabrania oddechu. Dobrze się bawił. - Przypomnę ci może, że stworzenie takiej kopii zajmuje dużo czasu, co najmniej jedenaście godzin. Zadbaleś oczywiście, żeby w domu nie było nikogo, nawet twojego ukochanego mistyfa. Chciałeś zachować rytuał w tajemnicy, byłeś więc sam. Szybko ci się znudziło. Zacząłeś pić. Siedziałeś pijany w pokoju i zachwycałeś się doskonałym ciałem Judith rysującym się w blasku ognia. A gdy brandy zamąciła ci w głowie, popełniłeś największy błąd w życiu. Rozebrałeś się, wszedłeś do kręgu i zrobiłeś z nią chyba wszystko, co mężczyzna może zrobić z kobietą; nie przejmowałeś się tym, że jest w śpiączce ani że masz pijackie zwidy. Rznąłeś ją raz po raz, zupełnie jakbyś chciał cały w nią wleźć. Bez przerwy. A potem zasnąłeś i zwałeś się na podłogę.

Gentle zaczął rozumieć.

- Zasnąłem w kręgu?

- Nie inaczej.

- I stąd ty się wzięłeś.

- Właśnie. Trzeba ci wiedzieć, że niegorsze miałem narodziny. Ludzie zwykle nie pamiętają swojego przyjścia na świat, a ja tak! Gdy otworzyłem oczy, leżałem w kręgu obok Judith, a z góry spływał deszcz materii, która gęstniała wokół mojego ducha. Stawała się moim ciałem. - Twarz autarchy przybrała obojętny wyraz. - Pamiętam, jak w którymś momencie Judith zorientowała się, że nie jest sama. Odwróciła się do mnie, a ja jeszcze nie byłem skończony. Musiałem wyglądać jak żywy, krwawy manekin do lekcji anatomii. Ale się wydarła...

- A ja cały czas spałem?

- Zczołgałeś się po schodach na parter, żeby zmoczyć sobie głowę, i tam zasnąłeś. Wiem o tym, bo kiedy cię potem znalazłem, leżałeś rozwalony na stole w jadalni.

- To znaczy, że influencja zadziałała, chociaż wyszedłem z kręgu?

- Ależ z ciebie teoretyk! Tak, zadziałała. Byłeś łatwym obiektem. Odkodowanie i skopiowanie Judith ciągnęło się bardzo długo, za to ty nie stanowiłeś zagadki. Influencja odczytała cię błyskawicznie, powstałem w parę godzin.

- I od razu wiedziałeś, kim jesteś?

- Pewnie. Byłem tobą. Czuję twoją chciwą, miałem twoje pijackie zwidy, chciałem rznąć i rznąć. Ale wiedziałem też, jak się czułeś po tym wszystkim, z pustymi jajami i głową; rozumiałem, jak to jest, siedzieć między jej nogami i nie pamiętać, po co się żyje. Tym człowiekiem też byłem. To pomieszanie uczuć mnie przerażało... - Autarcha zamyślił się. - Nadal mnie przeraża.

- Pomógłbym ci wtedy, gdybym zdawał sobie sprawę, co się stało.

- Pomógłbyś mi? Raczej skrócił moje męczarnie. Wyprowadziłbyś mnie do ogrodu i zastrzelił jak wściekłego psa. Nie mogłem przewidzieć, co zrobisz. Zszedłem na dół; spałeś jak zabity. Chciałem cię nawet obudzić, żeby mieć z kim dzielić ten straszny lęk, ale zanim zebrałem się na odwagę, tuż przed świtem zjawił się Godolphin. Chciał zabrać Judith do domu. Ukryłem się i widziałem, jak cię obudził. Chwilę rozmawialiście, a potem poszliście na piętro. Wyglądaliście jak ojcowie, którzy wyczekują narodzin potomka. Kiedy z góry dobiegły wasze triumfalne okrzyki, wiedziałem z całą pewnością, że jestem niechcianym dzieckiem.

- Co zrobiłeś potem?

- Ukradłem trochę pieniędzy, jakieś ubranie... Uciekłem. Po jakimś czasie wyzbyłem się strachu, zaczęło do mnie docierać, kim jestem. I zrozumiałem, że czuję tę samą żądzę co ty... Żądzę sławy.

Gentle podszedł do okna. Właśnie wschodziła kometa, odsłaniając pełnię zniszczeń w

mieście.

- To wszystko dla sławy? Wspaniałe dzieło, bracie, bez dwóch zdań.

- Yzordderrex było pięknym miastem, ale teraz powstaną inne, jeszcze cudowniejsze. Zbudujemy je wspólnie i wspólnie będziemy nimi rządzić.

- Nie zrozumieliśmy się. Ja nie chcę włądać imperium.

- Nie masz wyboru! - zaprotestował rozgorączkowany Sartori. - Jesteś Pojednawcą, bracie. Uzdrawicielem Imajiki. Wiesz, co to dla nas znaczy? Jeżeli połączysz dominia, potrzebne będzie nowe Yzordderrex, żeby nimi rządzić. Ja je znajdę i będę nim zarządzał, a ty możesz zostać nowym papieżem.

- Nie chcę być papieżem.

- To o co ci właściwie chodzi?

- Przede wszystkim o Pie'oh'paha. A poza tym chciałbym po prostu zrozumieć, co się dzieje.

- Nie wystarczy ci, że urodziłeś się Pojednawcą? Koniecznie potrzebujesz innego celu w życiu? Nie uciekaj przed tym.

- A jaki jest sens twojego istnienia? Nie możesz w nieskończoność budować nowych miast. - Gentle powiódł wzrokiem po spustoszonej metropolii. - Czy dlatego zniszczyłeś Yzordderrex? Chcesz zacząć wszystko od nowa?

- Nie zniszczyłem go. Wybuchła rewolucja.

- Do jej wybuchu doprowadziły egzekucje, które nakazałeś - przypomniał ma Gentle. - Kilka tygodni temu przejeżdżałem przez Beatrix. To mała wioska...

- Taaak, Beatrix... - westchnął ciężko autarcha. - To musiałeś być ty. Wiedziałem, że ktoś mnie obserwuje, ale nie miałem pojęcia kto. Byłem taki sfrustrowany, że mnie poniosło. A wtedy bywam okrutny.

- Okrutny? To było nieludzkie!

- Na razie tego nie rozumiesz, ale od czasu do czasu taka demonstracja siły jest niezbędna.

- Znałem tych ludzi.

- Nie będziesz musiał brudzić sobie rąk w równie nieprzyjemny sposób. Obiecuję, że wszystkim się zajmę.

- Ja również.

Sartori zmarszczył brwi.

- Grozisz mi?

- Wszystko zaczęło się ode mnie i na mnie się skończy.

- Którego siebie masz na myśli, maestro? Tego? - Autarcha wskazał Gentle'a. - Czy tego? - Pokazał na siebie. - Naprawdę nie rozumiesz, że nie powinniśmy być wrogami? Znacznie więcej osiągniemy współpracując. - Położył mu dłoń na ramieniu. - Przeznaczenie sprawiło, że poznaliśmy się w takich okolicznościach. To dlatego Oś przez tyle lat milczała jak zaklęta. Czekwała na twoje przybycie i nasze zjednoczenie. Nie chcę mieć w tobie wroga - dodał z obojętnym wyrazem twarzy. - Na samą myśl...

Z korytarza dobiegł czyjś krzyk i autarcha umilkł w pół zdania. Do komnaty wpadł żołnierz. Trzymał się za poderżnięte gardło i bezskutecznie usiłował powstrzymać krwotok. Zatoczył się, oparł o ścianę i osunął na ziemię.

- Tłuszcza musi być blisko - stwierdził Sartori z nutą zadowolenia w głosie. - Czas podjąć decyzję, bracie. Czy dalej pójdziemy razem, czy też sam mam rządzić Piątym Dominium?

Tym razem hałas uniemożliwił dalszą wymianę zdań. Sartori wyszedł na korytarz.

- Zostań tu - polecił Gentle'owi. - Zastanów się nad tym, co powiedziałem.

Ledwie zniknął za zakrętem, Gentle ruszył za nim. Odgłosy zamieszania ucichły, słyhać było jedynie świst powietrza w rozciętej tętnicy żołnierza. Gentle przyspieszył kroku; nagle poczuł lęk, że jego sobowtór mógł wpaść w zasadzkę. Sartori zasługiwał na śmierć, a Gentle był nie lepszy od niego, lecz jeszcze nie wszystko z niego wycisnął. Przede wszystkim musiał się dowiedzieć, dlaczego nie powiodła się poprzednia próba Pojednania. Należało więc chronić autarchę, przynajmniej do czasu wydobycia z niego wszystkich informacji. Przyjdzie czas, gdy obaj słono zapłacą za swoje zbrodnie - ale jeszcze nie teraz.

Przestąpił nad ciałem umierającego żołnierza, gdy nagle usłyszał głos mistyfa:

- Gentle...

Żaden głos - ani we śnie, ani na jawie - nie brzmiał równie cudownie. Na jego dźwięk Gentle zapomniał o bezpieczeństwie Sartoriego i własnym. Musiał natychmiast znaleźć mistyfa, zobaczyć go, objąć. Rozłąka trwała zbyt długo. Zaczął biec, obiecując sobie w duchu, że nigdy - choćby wszelkie możliwe prawa, zobowiązania i ludzka złośliwość chciały ich rozdzielić - przenigdy się z nim nie rozstanie.

Skręcił w boczny korytarz prowadzący do przedpokoju. Sartori stał w drugim końcu pomieszczenia, częściowo schowany za załomem ściany. Na dźwięk kroków Gentle'a odwrócił się i uśmiech, którym powitał Pie'oh'paha, zniknął mu z twarzy. Dwoma krokami przemierzył odległość dzielącą go od drzwi, żeby zatrzasnąć je swojemu stwórcy przed nosem. Widząc, co się święci, Gentle próbował zawołać Pie po imieniu, ale zanim krzyknął, drzwi się zamknęły i został sam w ciemnym korytarzu. Przysięga, którą sam sobie złożył

chwilę wcześniej, została złamana - znów zostali z mistyfm rozdzieleni, zanim zdążyli się choćby zobaczyć. Z wściekłością wyrznął barkiem w drzwi, które jednak były solidne jak cała wieża i miały przetrwać wieki. Uderzył w nie jeszcze parę razy, lecz zarobił tylko parę siniaków. Bolały, ale wspomnienie obleśnego uśmiechu Sartoriego, jaki towarzyszył wzmiance o mistyfach, bolało jeszcze bardziej. W tej chwili autarcha ścisnął zapewne Pie'oh'paha w ramionach. Obejmował go, całował. Miał na własność.

Gentle ostatni raz rzucił się na drzwi i zrezygnował z dalszych prymitywnych ataków. Nabral powietrza do płuc, wydmuchnął je w dłoń i skierował pneumę w drzwi, tak jak nauczył się to robić w Jokalaylau. Wtedy miał przed sobą lód, który pękł dopiero po kilku próbach. Tym razem - może dlatego że bardziej chciał się znaleźć po drugiej stronie drzwi niż wówczas uwolnić kobiety z lodu, a może przez to, że był już maestro Sartorim, znał swoje prawdziwe imię i (przynajmniej częściowo) możliwości - stał ustąpiła już po pierwszej pneumie. W drzwiach pojawiła się poszarpana szczelina.

Usłyszał krzyk autarchy, ale nie tracił czasu, żeby zrozumieć słowa. Uderzył w drzwi drugą pneumą. Poleciały strzepy blachy, jego dłoń przebiła metal. Trzeci raz przyłożył rękę do ust. Poczł zapach własnej krwi, ale nawet jeśli wyrządził sobie krzywdę, jego mózg nie rejestrował w tej chwili bólu. Wziął wdech i wypuścił trzecią pneumę z okrzykiem, jakiego samuraj by się nie powstydzil. Zawiasy zgrzytnęły, drzwi wyleciały z futryny. Nie zdążyły jeszcze upaść na posadzkę, gdy Gentle wskoczył do pokoju. Znalazł tylko trupy. Trzej towarzysze żołnierza, który podniósł alarm, leżeli z rozrzuconymi ramionami i poderżniętymi gardłami. Przeskoczył nad zwłokami. Krew ciekąca mu z dłoni skapywała w kałuże, które rozbryzgiwał, idąc dalej.

W korytarzu kłębił się gryzący dym, jakby w trzewiach pałacu paliły się gnijące odpadki. Mimo to Gentle dostrzegł biegnących Sartoriego i Pie'oh'paha. Nie miał pojęcia, jakim kłamstwem autarchia odwiódł mistyfa od wypełnienia nakazanej mu misji, ale poskutkowało. Uciekali z wieży, nie oglądając się za siebie, jak kochankowie, którzy właśnie wyrwali się ze szponów śmierci.

Nabrał powietrza do płuc, by zawołać mistyfa po imieniu. Dym rozsnuwał się przed jego wołaniem na boki, tak jakby słowa maestra miały materialną postać. Pie się zatrzymał. Choć Sartori szarpał go i naglił do biegu, odtrącił jego rękę i zrobił krok w stronę Gentle'a. Zasłona dymu, na chwilę rozdarta okrzykiem, zgęstniała z powrotem, zamazując Gentle'owi obraz twarzy Pie, ale całe jego ciało wyrażało wahanie. Mistyf nie wiedział, co powinien zrobić.

- To ja! - krzyknął Gentle. - To ja!

Widział stojącego przy mistyfie Sartoriego; dolatywały go strzępy ostrzegawczych szeptów autarchy, który wyjaśniał wpływ Osi na umysły.

- To nie złudzenie, Pie - powiedział Gentle, zbliżając się do nich. - To ja, Gentle. Istnieję naprawdę.

Mistyf pokręcił głową. Spojrzał na Sartoriego, znów odwrócił się do Gentle'a.

- To taka sztuczka. - Sartori nie silił się już na szept. - Chodź, Pie, zanim na dobre tobą zawładnie. Można od tego oszaleć.

Za późno, pomyślał Gentle. Znalazł się dość blisko, by dobrze widzieć wyraz twarzy Pie. Mistyf wyglądał jak obłąkany, miał wytrzeszczone oczy i zaciśnięte zęby, a pot łączył się z krwią i różowymi strużkami spływał mu po twarzy. Dawny zabójca dawno nie pałał żądzą mordu - tego Gentle mógł być pewien już nad Kołyską, kiedy mistyf wahał się w walce, chociaż chodziło o jego życie - ale tu, w pałacu, znów musiał zabijać. Cała jego twarz wyrażała ból. Nic dziwnego, że Sartori łatwo przekonał go do porzucenia krwawej misji. Pie był o krok od załamania nerwowego, teraz zaś, w obliczu dwóch identycznych postaci, z których każda przemawiała głosem ukochanego, tracił resztki zdrowego rozsądku.

Opuścił dłoń do pasa, z którego zwisała jedna z ostrych jak brzytwy wstęg. Gentle widział taką broń w rękach plutonu egzekucyjnego. Świsnęła przenikliwie. Przelana krew nie stepiła jej ostrza.

- Dlaczego nie? - powiedział stojący za plecami mistyfa Sartori. - To tylko cień.

Mistyf wziął zamach wstęgą. Gentle stanął w miejscu; krok dalej znalazłby się w zasięgu broni.

- Dalej! - zachęcał mistyfa Sartori. - Zabij go! Jeden cień mniej, jeden więcej...

Gentle na ułamek sekundy przeniósł wzrok na autarchę. Ten minimalny ruch najwyraźniej wystarczył, żeby sprowokować Pie. Wstęga śmignęła w powietrzu, mistyf skoczył naprzód. Gentle cofnął się odruchowo - srebrzyste ostrze przecięłoby mu pierś, gdyby się zawahał - ale Pie najwyraźniej nie zamierzał drugi raz popełnić tego samego błędu i zrobił krok do przodu. Gentle odsunął się, unosząc ręce w pokojowym geście, lecz mistyf pozostał obojętny. Chciał tylko, żeby ten obłąd jak najszybciej się skończył.

- Pie?! - Wysapał Gentle. - To ja! Naprawdę ja! Zostawiłem cię w kesparacie, pamiętasz?!

Pie ciął wstęgą na odlew - nie raz, lecz dwa razy. Drugim ciosem sięgnął celu. Ostrze przecięło ubranie i skórę na ramieniu i piersi Gentle'a, który zachwiał się, dzięki czemu uniknął następnego trafienia. Odskoczył i poczuł pod plecami twardą ścianę korytarza. Nie miał już gdzie uciekać.

- Nie będzie ostatniej wieczerzy? - zapytał, patrząc nie na wstęgę, lecz prosto w oczy Pie, jakby szukał w nich umysłu, który tonął w oparach morderczej furii. - Obiecałeś mi ją, Pie. Nie pamiętasz? Ryba w rybie, ta w następnej rybie i...

Mistyf zamarł bez ruchu. Wstęga zatrzepotała na wysokości jego ramienia.

- ...w jeszcze jednej.

Ostrze drżało, lecz nie opadło.

- Powiedz, że to pamiętasz, Pie. Proszę cię, przypomnij sobie. Gdzieś w głębi korytarza Sartori znów zaczął coś krzyczeć.

Gentle patrzył w oczy mistyfa. Wypatrywał znaku, który potwierdziłby, że jego słowa dotarły do niedoszłego kata. Pie westchnął płytko.

- Gentle?

Gentle milczał. Opuścił ręce i stał nieruchomo pod ścianą.

- Zabij go! - powtarzał Sartori. - Zabij! To iluzja!

Pie odwrócił się. Wciąż trzymał rękę wzniesioną do ciosu.

- Nie... - zaczął Gentle, ale mistyf już rzucił się na autarchę. Gentle odepchnął się od ściany, próbując go złapać. - Pie! Posłuchaj mnie...

Mistyf odwrócił do niego głowę, a wtedy Sartori jednym płynnym ruchem podniósł rękę do oka, wyłuskał je z oczodołu, wyprostował ramię i otworzył pięść. Z jego dłoni wyleciało coś więcej niż samo oko - pod postacią dymiącej kuli wystrzeliła cała esencja jego zabójczego spojrzenia. Gentle wyciągnął rękę, żeby zepchnąć Pie z drogi influencji, ale chybił. Pocisk trafił w cel. Mistyf pchnięty impetem uderzenia poleciał w tył, upadł Gentle'owi w ramiona. Przewrócili się. Gentle błyskawicznie przetoczył się na bok, wysliznął spod ciała mistyfa i podniósł dłoń do ust, Sartori jednak rzucił się do ucieczki. Wyraz jego twarzy w tej chwili miał przez wiele dni i nocy prześladować Gentle'a: więcej było w nim strachu niż triumfu, więcej smutku niż złości.

- Kto nas teraz połączy? - spytał autarcha i zniknął, zupełnie jakby władał dymem i mógł się w nim ukryć.

Zamiast biec za nim, Gentle uklęknął przy Pie.

- Kto to był? - spytał mistyf.

- Sam go stworzyłem, kiedy byłem maestrem.

- Drugi Sartori?

- Tak.

- No to złap go i zabij! Tacy są najbardziej...

- Później.

- ...żeby nie uciekł.

- On nie może przede mną uciec. Nie ma miejsca, w którym mógłby się ukryć.

Pie przyciskał ręce do piersi, gdzie trafiła go influencja autarchy.

- Pokaż - powiedział Gentle. Rozwarł jego palce i rozdarł koszulę. Rana wyglądała jak plama na ciele, czarna w środku, bliżej krawędzi żółknąca niczym wrzód.

- Gdzie Huzzah? - zapytał z wysiłkiem Pie.

- Nie żyje. Zabił ją nullianac.

- Tyle zabijania... Śmierć mnie oślepiła. Zabiłbym i ciebie, nie wiedząc, co robię.

- Nie czas na rozmowy o śmierci - rzekł Gentle. - Musimy cię jakoś wyleczyć.

- Są ważniejsze sprawy. Przybyłem tu, by zamordować autarchę...

- Nie, Pie...

- Taki zapadł wyrok - upierał się Pie. - Ale teraz nie mogę wykonać zadania. Zrobisz to za mnie?

Gentle pomógł mu usiąść.

- To niemożliwe - odparł.

- Dlaczego? Zabiłbyś go pneumą.

- Nie, Pie. Wtedy zabiłbym samego siebie.

- Jak to? - zdumiał się Pie, ale zanim Gentle zdołał mu cokolwiek wyjaśnić, westchnął żałośnie: - O mój Boże!

- Natknąłem się na niego w Wieży Osi. Z początku nie mogłem uwierzyć...

- Autarcha Sartori - powiedział Pie, jakby bawił się dźwiękiem tych słów. - Brzmi nieźle - dodał grobowym tonem.

- Od początku wiedziałeś, że jestem maestrem, prawda?

- Naturalnie.

- Nie powiedziałaś mi!

- Podpowiadałem ci, jak mogłem. Bałem się. Przysięgałem, że nigdy ci nie przypomnę, kim byłeś.

- Kto zmusił cię do takiej przysięgi?

- Ty, maestro. Cierpiełaś strasznie i chciałeś zapomnieć o bólu.

- Jak to się stało, że faktycznie zapomniałem?

- To prosta sztuka.

- Twoje dzieło?

Pie skinął głową.

- Byłem twoim wiernym sługą. Obiecałem, że kiedy będzie po wszystkim, kiedy

przeszłość zniknie, nigdy powtórnie ci jej nie objawię. Przysięgi się nie starzeją.

- A jednak cały czas miałeś nadzieję, że zadam właściwe pytanie...

- Tak.

- I wspomnienia powrócą.

- Właśnie. Niewiele brakowało.

- W Mai-Ké. I w górach.

- Nigdy jednak nie znalazłeś się dość blisko, by zwolnić mnie z danego słowa.

Musiałem milczeć.

- Od tej pory przysięga cię nie obowiązuje, mój drogi. Kiedy wyzdrowiejesz...

- Nie, maestro. Takiej rany nie da się wyleczyć.

- Da się. Już ja o to zadbam - uciszył go Gentle, nie dopuszczając do siebie myśli o porażce.

Przypomniało mu się, co Nikaetomaas mówiła o znajdującym się na granicy Pierwszego i Drugiego Dominium obozowisku niebytowców. Tam właśnie miał trafić Estabrook. I tam ponoć zdarzały się cudowne uzdrowienia. Pomógł mistyfowi wstać.

- Czeka nas nielicha podróż, przyjacielu.

- Nie wysilaj się. Możemy się tutaj pożegnać.

- Nie zamierzam się z tobą żegnać. Ani tutaj, ani nigdzie indziej. No, obejmij mnie, kochany. Przed nami długa droga.

ROZDZIAŁ 39

1

Mimo że po wschodzie komety Yzordderrex zostało zalane światłem dnia, okrucieństwa nie ustały. Przeciwnie - w mieście niepodzielnie królował bóg zagłady; mieszkańcy świętowali jego koronację, obnosili triumfalnie oznaki jego władzy (najczęściej martwe) i szykowali się do dworskich ceremonii, oczekując długiego panowania odrażającego bóstwa. Umazane popiołem dzieci niosły w rączkach znalezione w zgliszczach głowy rodziców, dymiące jak kadzielnice. Psy panoszyły się w mieście i bezkarnie pożerały ciała swoich niedawnych panów. Padlinożerne ptaki, które Sartori przywabiał z pustyni, podsuwając im zepsute mięso, gromadziły się na ulicach w rozwrzeszczane stada i ucztowały na zwłokach.

Rzecz jasna, z pożogi ocaleli i tacy, którym marzył się dawny porządek. Zbierali się w grupy, przekopywali gruzы w poszukiwaniu żywych, gasili pożary w domach, które opłacało się jeszcze ocalić, podtrzymywali na duchu strapionych i nieśli szybką śmierć najciężej rannym, którym nie starczało sił, by zaczerpnąć powietrza w płuca. Byli jednak zbyt nieliczni; mieszkańcy Yzordderrex w większości stoczyli się w objęcia obłędu i przywitali komетę z zamętem w sercach. Przed południem, gdy Gentle i Pie stanęli przy bramie prowadzącej na pustynię, ci, którzy rankiem obiecali sobie walczyć o ocalenie czegoś z tego kataklizmu, poddali się i uchodzili z miasta zadowoleni, że żyją. Rozpoczęła się wędrówka ludów, która w kilka dni miała pozbawić Yzordderrex większości jego obywateli.

*

Gentle mógł kierować się tylko niejasną sugestią Nikaetomaas, że na pustyni, przy granicy dominium, znajduje się obozowisko, do którego niebytowcy zabrali Estabrooka. Nie miał pojęcia, gdzie go szukać. Liczył na to, że po drodze spotka kogoś, kto udzieli mu dokładniejszych wskazówek, ale uchodźcy byli tak wyczerpani - psychicznie i fizycznie - że nikogo takiego nie znalazł. Przed opuszczeniem pałacu opatrzył sobie najlepiej jak umiał poranioną dłoń. Kłuta rana, którą odniósł w walce o Huzzah, i cięcie wstęgi mistyfa nie dokuczały mu zbyt. Jego ciało, wzmocnione naturalną u maestra odpornością, przetrwało

bez większych uszczerbków trzy ludzkie żywoty i teraz też regenerowało się błyskawicznie.

Nie dało się tego powiedzieć o poranionym Pie. Influencja Sartoriego okazała się wyjątkowo zjadliwa, systematycznie wysysała z ofiary siłę i świadomość. Gdy opuszczali miasto, mistyf ledwie powłóczył nogami, przez co Gentle zmuszony był go prawie nieść. Miał nadzieję, że znajdą niebawem jakiś środek transportu; na własnych nogach nie doszliby do celu. Nie mogli liczyć na to, że podwiezie ich któryś z opuszczających Yzordderrex uchodźców - większość szła pieszo, a ci, którzy jechali na wychudzonych mułach, wozach i innych pojazdach, mieli zazwyczaj nadkomplet pasażerów. Niektóre przeciążone wehikuly odmówiły posłuszeństwa tuż przed bramą; na poboczu pasażerowie, którzy zapłacili za transport, wykłócali się z ich właścicielami. Większość jednak posuwała się naprzód w dziwnym pośpiechu, nie odrywając wzroku od drogi.

Na rozstajach zrobił się mały zator, niezdecydowani uciekinierzy kręcili się w kółko, nie wiedząc, którą z trzech odnóg wybrać. Na wprost w dość dużej odległości od miasta piętrzyły się góry równie ogromne i potężne jak pasmo Jokalaylau. W prawo droga przecinała zielone obszary uprawne - nic więc dziwnego, że większość podróżnych tam skręcała. Najmniejszym powodzeniem cieszył się trakt odbijający na skrzyżowaniu w prawo, który z punktu widzenia Gentle'a prezentował się najbardziej obiecująco. Kiepsko utrzymana bita droga wiała się wśród jałowej równiny i można było mieć nadzieję, że dalej wyprowadza w głąb pustyni. Po kilku miesiącach spędzonych w dominach Gentle zdawał sobie jednak sprawę, że krajobraz Imajiki potrafi się błyskawicznie zmienić. Nie wiedział, czy dalej, gdzie trakt nikał mu z oczu, nie rozpościerają się żyzne pastwiska, ani czy szlak wiodący w drugą stronę nie kończy się w niegościnniej dzicy.

Stał w samym środku zgiełkliwego tłumu i rozmyślał, gdy dobiegł go piskliwy głosik. W tumanach kurzu mignął mu niski, półnagi, łysy człowiek w okularach, który przeciskał się w jego stronę.

- Zacharias! - wołał. - Zacharias!

Gentle wiedział, że go zna, chociaż nie mógł sobie przypomnieć skąd. Człowiek ten jednak, najwyraźniej przyzwyczajony, że ludzie z trudem go kojarzą, pospieszył z wyjaśnieniami:

- Jestem Floccus Dado. Pamiętasz mnie?

Oczywiście, to był towarzysz Nikaetomaas. Zdjął okulary i spojrzał na Gentle'a z ukosa.

- Twoja pani musi być bardzo chora - zauważył.

- To nie żadna pani, to mistyf.

- Przepraszam, przepraszam. - Floccus zamrugał z zakłopotaniem i wcisnął okulary z powrotem na nos. - Pomyliłem się. Nigdy nie byłem mocny w seksie. Bardzo z nim źle?

- Obawiam się, że tak.

- Jest z wami Nikae? - Floccus rozejrzył się dookoła. - Tylko nie chcę słyszeć, że poszła dalej sama. Kazałem jej tu czekać, gdybyśmy się rozdzielili.

- Nikaetomaas nie przyjdzie, Floccusie.

- Dlaczego nie, na Hyo?!

- Bo nie żyje.

Nerwowe tiki i mruganie momentalnie ustąpiły. Floccus patrzył na Gentle'a z lekkim uśmiechem, jakby przyzwyczajony, że wszyscy się z niego nabijają. Chciał wierzyć, że i tym razem padł ofiarą żartu.

- Niemożliwe - powiedział.

- A jednak. Zginęła w pałacu.

Floccus znów zdjął okulary i przetarł palcami oczy.

- To smutne.

- Była bardzo odważna - zapewnił go Gentle.

- W istocie.

- Dzielnie się broniła, ale mieli przewagę liczebną.

- A jak tobie udało się uciec? - spytał Floccus całkiem niewinnie.

- To długa historia i chyba nie jestem jeszcze gotowy, żeby ją opowiedzieć.

- Dokąd idziecie?

- Nikaetomaas mówiła mi, że wy, niebytowcy, macie jakiś obóz na granicy Pierwszego Dominium. Czy to prawda?

- Owszem.

- Tam właśnie się udajemy. Podobno wyleczyliście mojego znajomego, Estabrooka. Mówi ci coś to nazwisko? Chciałbym uzdrowić Pie.

- Pojedźmy razem. I tak nie mam już na co czekać. Duch Nikae na pewno dawno tędy przemknął.

- Masz jakiś pojazd?

- W rzeczy samej - rozpromienił się Floccus. - W Karmelowej Kuchni znalazłem piękny samochód. Tam stoi. - Wyciągnął rękę przed siebie.

- Jeśli jeszcze stoi.

- Zostawiłem go pod strażą - odparł Floccus z uśmiechem. - Chodź, pomogę ci z mistykiem.

Złapał nieprzytomnego Pie pod ramię, Gentle stanął z drugiej strony i razem zagłębili się w tłum. Floccus próbował okrzykami torować im drogę, ale tłuszcza pozostała obojętna, dopóki nie wydarł się:

- Ruukassh! Ruukassh!

Ludzie się rozstapili.

- Co to jest ruukassh? - zdziwił się Gentle.

- Taka choroba. Chodź, już niedaleko.

Po kilku krokach faktycznie ujrzeni samochód. Floccus w roli szabrownika miał znakomity gust. Od czasu wspaniałej podróży Drogą Patashoquańską Gentle nie widział pojazdu równie smukłego, błyszczącego - i równie niezdatnego do jazdy przez pustynię. Jasnoblękitna karoseria ze srebrnym wykończeniem, białe opony i wnętrze obite futrzaną tapicerką. Na masce zaś, uwiązany smyczą do jednego z lusterek, siedział strażnik pięknego samochodu, a zarazem jego całkowite przeciwieństwo - zwierzę spokrewnione chyba z ragemem i hieną jednocześnie, po których odziedziczyło najmniej sympatyczne cechy. Stwór był gruby jak prosię, grzbiet i boki miał porośnięte cętkowaną sierścią, a z krótkiego pyska sterczały mu długie, sztywne wąsy. Na widok Floccusa zastrzygł uszami jak pies i wydał z siebie serie szczeknięć i kwiknięć tak piskliwych, że głos Dado brzmiał przy nich jak głęboki bas:

- Dobra mała, dobra. Grzeczna.

Zwierzę poderwało się i stanęło na króciutkich nóżkach, kręcąc kuprem ze szczęścia. Widoczne na jego podbrzuszu liczne sutki podskakiwały w rytm radosnych podrygów.

Floccus Dado otworzył drzwi. Na fotelu pasażera znajdował się skarb strażniczki wozu: pięć rozszczekanych szczeniąt, malutkich, ale podobnych do matki jak dwie krople wody. Floccus wskazał Gentle'owi i Pie tylną kanapę; Mamuśka Sighshy, jak ją nazywał, miała się usadowić przy młodych. W środku unosił się zwierzęcy odór. Na szczęście dzięki zamilowaniu poprzedniego właściciela do komfortu wnętrze było naprawdę wygodne i Gentle mógł podłożyć mistyfowi poduszkę pod głowę. Kiedy Sighshy zajęła swoje miejsce (warcząc przy tym wrogo na Gentle'a), smród spotęgował się dziesięciokrotnie, ale Floccus zagadał do niej przyjaźnie i wkrótce ułożyła się na fotelu, a małe zabrały się do ssania. Ruszyli w stronę gór.

*

Po dwóch, może trzech kilometrach zmęczenie dało znać o sobie i Gentle zasnął, oparłszy głowę na ramieniu mistyfa. Przez następne kilka godzin nawierzchnia stawała się coraz gorsza i podskoki na wybojach parę razy wyrywały go z drzemki, chociaż trudno mu

było całkiem otrząsnąć się ze snu. Nie śnił o Yzordderrex ani o przygodach, które przeżyli z Pie w podróży przez Imajicę. Jego umysł wracał do Piątego Dominium, wycofując się przed potwornościami Pojedanych Dominiów na znane, bezpieczne terytorium.

Chociaż... wcale nie takie znowu bezpieczne. Człowiek, którym był - ulubieniec Kleina, gnojek, lowelas i fałszerz - nigdy naprawdę nie istniał. Nie było dla niego powrotu do tamtego prostego, wygodnego życia. Żył kłamstwem, z którego skali nie zdawały sobie sprawy nawet najbardziej podejrzliwe kochanki (takie jak Vanessa, od rozstania z którą wszystko się zaczęło). Trwał w zakłamaniu przez pełne trzy pokolenia. Pomyślał o Londynie, przypomniał sobie smutek i żal, które czuł, gdy całe jego życie dawało się zawrzeć w tym, co miał na sobie, w serii krótkotrwałych romansów i paru podrobionych obrazach. Teraz go to bawiło, ale wtedy wydawało mu się, że niżej już upaść nie może. Cóż za naiwność! Od tamtej pory zaznał dość rozpaczy, żeby wspomnieniami o niej wypełnić książkę. A ten, przez którego cierpiał najwięcej, spał ranny obok niego.

Myśl o tym, że mógłby stracić Pie, była bardzo bolesna, ale nie pozwalał sobie jej ignorować. W przeszłości aż nazbyt często odwracał się plecami do wszystkiego, co niemiłe, i zwykle miało to katastrofalne skutki. Tym razem postanowił stawić czoło faktom. Mistyf słabł z godziny na godzinę, skórę miał lodowatą, oddychał tak płytko, że chwilami Gentle miał wątpliwości, czy żyje. Nawet jeżeli w rewelacjach Nikaetomaas o uzdrowicielskiej mocy Wybielu było ziarno prawdy, z pewnością nie ma cudownego lekarstwa na tak straszną przypadłość. To znaczyłoby, że musi sam wybrać się do Piątego Dominium i mieć nadzieję, że Pie wkrótce do niego dołączy. Im dłużej będzie zwlekał z powrotem, tym mniejsze ma szanse zebrać sprzymierzeńców w wojnie z Sartorim - bo nie miał wątpliwości, że do wojny dojdzie. Chęć podboju jak ogień płonęła w duszy jego bliźniaka. Kiedyś zapewne i on pałał podobnym pragnieniem, zanim stłumiła je żądza, zapomnienie i wygodne życie. Gdzie powinien szukać wsparcia? Czy znajdzie ludzi, którzy nie wyśmieją go, gdy opowie o podróży przez dominia i o zagrożeniu ze strony człowieka, który ma jego twarz? Pół roku wcześniej sam się śmiał z takich pomysłów. Nie miał znajomych, którym wyobraźnia pozwoliłaby pogodzić się z rewelacjami, jakie chciałby im przekazać. Zgodnie z obowiązującą modą nie kryli się ze swoim niedowiarstwem. Nawet jeśli nie wiedzieć czemu zrywali się w nocy z łaniem zimnym potem, rano wszystko umieli sobie racjonalnie wyjaśnić. Skłonni byli się przyznać jedynie do mętnego panteizmu, ale i temu na trzeźwo zaprzeczali. Jeden Clem powiedział kiedyś, że bliski mu jest zorganizowany kult religijny, lecz jego dogmaty były równie odległe od posłania Imajiki jak poglądy nihilisty. Nawet gdyby udało się go przekonać, żeby zapomniał o komunii świętej i przystał do Gentle'a, byłoby ich dwóch

przeciwko maestrowi, który tak długo doskonalił swoją moc, aż pozwoliła mu zapanować nad dominiami.

Pozostała jeszcze jedna możliwość. Judith. Ona z pewnością nie roześmiałaby mu się w twarz, ale od początku całej tej tragedii traktował ją tak okrutnie, że nie oczekiwał przebaczenia - ani tym bardziej współpracy. Poza tym nie mógł być pewien, po czyjej stronie ostatecznie się opowie. Z pozoru nie różniła się niczym od Quaisoir, ale powstała z tego samego bezkrwawego łona, w którym poczęty został Sartori. Czy nie była zatem jego duchową siostrą? Podobnie jak on nie urodziła się, lecz została stworzona. Czy na pewno nie poparłaby rzeźnika Yzorderrex, jeżeli przyszłoby jej wybierać pomiędzy nim a ludźmi, którzy chcą go zniszczyć? Przecież ich zwycięstwo oznaczałoby, że Judith straci jedyną w całej Imajice istotę, która dzieliła jej los. Kiedyś wiele dla siebie z Gentle'em znaczyli (ciekawe, ile razy spotykali się przez te dwa stulecia? Ile razy rozniecali na nowo ogień pożądania, który złączył ich na początku? Jak często rozstawali się i zapominali o sobie?), teraz jednak musiał traktować ją z największą ostrożnością. W dawnych rozgrywkach mogła być niewinna, jak zabawka w rękach okrutnych i obojętnych ludzi, ale kobieta, którą się stała, nie była ani zabawką, ani ofiarą. Jeżeli pozna swoją przeszłość, czy raczej kiedy ją pozna, może chcieć zemścić się na swoim stwórcy, choćby niegdyś żarliwie go kochała.

Widząc, że Gentle nie śpi, Floccus zdał mu krótką relację z dotychczasowej podróży. Twierdził, że utrzymują dobre tempo i za godzinę powinni być w górach. A za górami zaczynała się pustynia.

- Jak daleko jest do Wybielu? - spytał Gentle.

- Dojedziemy przed zmrokiem. Co z mistyfm?

- Chyba nie najlepiej.

- Nie smuć się - pocieszył go Floccus. - Znałem ludzi stojących nad grobem, którzy na Wybielu wrócili do zdrowia. Tam zdarzają się cuda. Zresztą wszędzie się zdarzają, tylko trzeba wiedzieć, jak ich szukać. Ojciec Athanasius mi to powtarzał. Siedzieliście razem w więzieniu, prawda?

- Ja właściwie nie byłem więźniem... Nie w tym sensie co on.

- Ale poznałeś go tam?

- Tak. Udzielił nam ślubu.

- Wam? Tobie i mistyfowi? Jesteście małżeństwem? - Floccus gwizdnął przez zęby. - No to prawdziwy szczęściarz z ciebie. Dużo słyszałem o mistyfach, ale żeby któryś wziął ślub... nigdy. Zwykle są kochankami, łamią innym serca. - Znów gwizdnął z podziwem. - Coś wspaniałego! Nic się nie bój, zrobimy wszystko, żeby z tego wyszła... Och, przepraszam, to

nie jest „ona”, nie powinienem o tym zapominać. Tylko że jak na nią... to znaczy na niego patrzę, widzę kobietę, rozumiesz? Na tym chyba polega ich niezwykłość.

- Między innymi.

- Mogę cię o coś zapytać?

- Śmiało.

- Kogo ty widzisz, gdy na nią patrzysz?

- Różnie. Widziałem kobiety, mężczyzn... Nawet siebie samego.

- A w tej chwili?

Gentle odwrócił się do mistyfa.

- Widzę Pie. Widzę twarz, którą kocham.

Floccus nie odpowiedział. Gentle zdał sobie sprawę, że po takim wybuchu entuzjazmu jego milczenie musi być znaczące.

- O czym myślisz? - zapytał.

- Naprawdę chcesz wiedzieć?

- Tak. Jesteśmy przecież przyjaciółmi, prawda? A przynajmniej zaprzyjaźniamy się. Powiedz mi.

- Boję się, że za bardzo się przejmujesz jej wyglądem. Na Wybielu nie należy przyjmować rzeczy takimi, jak się wydają. Ludzie tam nie tylko zdrowieją, ale przy okazji się zmieniają. Rozumiesz? - Floccus zdjął ręce z kierownicy i podniósł dłonie jak szalki wagi. - Równowaga musi zostać zachowana. Coś dostajesz, coś tracisz.

- Jakie to są zmiany?

- Różne. Sam się niedługo przekonasz. W pobliżu Pierwszego Dominium nic nie jest takie, jak się wydaje.

- Nie tylko tam - zauważył Gentle. - Im dłużej żyję, tym mniej widzę rzeczy, których prawdziwej natury mogę być pewien.

Floccus się zamyślił. Pogodny ton ulotnił się z jego głosu.

- O tym ojciec Athanasius chyba nie mówił. Chociaż... nie wszystko pamiętam.

Na tym rozmowa się skończyła i Gentle został sam ze swoimi wątpliwościami. Oto mistyf wracał na skraj dominium, z którego wygnano jego lud. Gentle zastanawiał się, czy wioząc go do krainy wiecznej zmienności, nie rozplątuje węzła, którym ojciec Athanasius złączył ich na wyspie pośród wód Kołyski Chzercemit.

Jude zawsze drażnił brak umiaru w architekturze, a dziedzińce i korytarze pałacu autarchy nie pomagały jej zmienić zdania. Niektóre widoki zachwycaly swoją naturalnością - kiedy dym snuł się po zapomnianych ogrodach jak poranna mgła albo oblepiał zimny kamień - wież niczym chmura skalną iglicę - ale niewiele miała takich przyjemności. Dominował bezmyślny przepych. Olbrzymie budowle miały zapewne wzbudzać nabożny lęk, lecz dla niej były pozbawione wyrazu.

Ucieszyła się, gdy wreszcie dotarły do komnat Quaisoir, którym absurdalna ilość ozdób nadawała dziwnie ludzki wyraz. Właśnie w nich usłyszały pierwsze od wielu godzin przyjazne słowa, które jednak zmieniły się w wyrazy przerażenia, gdy Concupiscentia, wieloogoniasta służąca, ujrzała, że jej pani w poszukiwaniu zbawienia straciła oczy i zyskała siostrę bliźniaczkę. Dopiero po długich lamentach dała się przekonać, że powinna zająć się Quaisoir. Roztrzęsiona zabrała się do pracy.

Kometa wspięła się już na niebo i z okna roztaczał się rozległy widok na zrujnowane miasto. Jude widziała i słyszała dość, by zdawać sobie sprawę, że tragedia zasłużyła jej dotknąć. Wielu mieszkańców podsycalo ogień, który trawił kesparaty; nazywali go sprawiedliwym i oczyszczającym. Nawet Peccable, który nie miał natury anarchisty, sugerował, że nadchodzi koniec miasta. Nie zmieniało to faktu, że było jej żal Yzorderrex. Nie bez powodu błagała Oscara, żeby ją tu zabrał. Tęskniła za aromatycznym wiatrem i rajskim ciepłem, które sączyły się tamtego pamiętnego dnia z Azylu. A teraz miała wrócić do Piątego Dominium, przynosząc na podszwach popioły, a na skórze sadzę spalonego miasta - jak turysta, który z tonącej Wenecji przywiózłby zdjęcia bąbelków wody w zatoce.

- Jestem taka zmęczona - powiedziała Quaisoir. - Myślisz, że mogę się zdrzemnąć?

- Ależ oczywiście! - odparła Jude.

- Czy łóżko jest ciągle brudne od krwi Seiduxa?

- Tak, proszę pani - odparła Concupiscentia.

- Wobec tego położę się gdzie indziej. - Quaisoir wyciągnęła rękę. - Zaprowadź mnie do niebieskiego pokoju, tam się zdrzemnę. Tobie też by się to przydało, Judith. Wykap się i prześpij. Musimy sporo przemyśleć i zaplanować.

- Tak?

- Tak, siostrze. Ale nie teraz...

Concupiscentia wyprowadziła Quaisoir i Jude została sama w apartamentach żony autarchy. Rzeczywiście, na pościeli zostały plamki krwi, ale łóżko wyglądało i pachniało niezwykle kusząco. Oparła się jego puchowym pokusom i postanowiła znaleźć łazienkę. Spodziewała się ujrzeć kolejny barokowy salon, lecz łazienka okazała się jedynym pomieszczeniem w okolicy, które od biedy można by nazwać skromnie urządzone. Jude z przyjemnością zabawiła tam dłużej; zrobiła sobie gorącą kąpiel i odmoczyła popiół ze skóry, podziwiając swoje rozmazane odbicie w zaparowanych czarnych kafelkach.

Kiedy wyszła z wanny z zaróżowioną od gorąca skórą, brudne ubranie wydało się jej odpychające. Zostawiła je na podłodze i włożywszy najskromniejszą spośród rozrzuconych po pokoju szat, wśliznęła się do perfumowanej pościeli. Zaledwie przed kilkoma godzinami w tym łóżku zabito człowieka, ale ta myśl - chociaż dawniej obrzydliłaby jej całą sypialnię, nie tylko łóżko - nie robiła na niej żadnego wrażenia. Musiała przyznać, że słodki aromat poduszki może mieć pewien wpływ na tę obojętność. W połączeniu z ciepłem kąpiel i zmęczeniem rozleniwiał ją do tego stopnia, że nie ruszyłaby się z miejsca, choćby od tego zależało jej życie. Napięcie ustąpiło z mięśni i stawów, żołądek przestał się zaciskać w lodowatą kulę. Zamknęła oczy i pozwoliła, żeby łóżko siostry ukołysało ją do snu.

*

W najczarniejszych rozmyślaniach na skraju pozostałej po Osi dziury Sartori nie odczuwał samotności tak dotkliwie jak teraz, oddzielony od brata. Po spotkaniu z Gentle'em, którego Oś wezwała do zjednoczenia Imajiki, czuł, że otwierają się przed nim nowe możliwości. Miał nadzieję, że jego dwie połowy złączą się i staną jednością. Lecz Gentle go wyśmiał; wolał mistyfa od brata. Po śmierci Pie'oh'paha mógł zmienić zdanie, ale Sartori mocno w to wątpił. Gdyby to on był Gentle'em - a przecież nim był - jego żal nie miałby granic. Wyczekiwałby tylko dogodnej chwili do zemsty. Tak więc zostali wrogami i nie powinien liczyć na pojednanie.

Nie wspominał o niczym Rosengartenowi, który znalazł go w pałacyku, zajętego popijaniem czekolady i pogrążonego w smutnych myślach. Nie chciał też słuchać relacji z nocnych wydarzeń (generałowie nie żyli, a pozostali przy życiu żołnierze zbuntowali się przeciw niemu). Zapowiedział Rosengartenowi, że muszą wspólnie zaplanować przyszłość, zamiast rozwodzić się nad tym, co zostało stracone.

- Wracamy do Piątego Dominium - oznajmił autarcha. - Tam zbudujemy nowe Yzordderrex.

- W Piątce? - uśmiechnął się Rosengarten.

- Wiem, jak wyglądała przed laty, ale wiele wskazuje na to, że w tej chwili świeci pustkami. Maestrowie, których znałem, pomarli, ich mądrość została zapomniana. Piąte Dominium jest bezbronne. Zaskoczmy ich takimi influencjami, że nie zorientują się, kiedy stracili władzę. A potem Nowe Yzordderrex na dobre zapadnie im w serca.

Rosengarten mruknął z aprobatą.

- Pożegnaj się, z kim musisz - dodał Sartori. - Ja też to zrobię.

- Wyruszamy od razu?

- Zanim dopalą się zgliszcza.

*

Jude znów miała dziwny sen, ale wystarczająco często zapuszczała się do krainy nieświadomości, żeby czuć się w niej bezpiecznie. Tym razem nie przeniosła się nigdzie z sypialni, tylko napawała jej przepychem, falując na wietrze jak otaczające łóżko muśliny. Z leżącego daleko w dole dziedzińca od czasu do czasu dobiegały ją jakieś odgłosy, otwierała wtedy na moment oczy i z przyjemnością ponownie je zamykała. Raz zbudził ją głos Concupiscentii, która śpiewała coś w dalszych komnatach. Nie rozumiała słów, wiedziała jednak, że słyszy tren przepełniony tęsknotą za tym, co bezpowrotnie minęło. Wśliznęła się w sen z myślą, że żałobne pieśni brzmią podobnie w każdym języku - celtyckim, navajo czy patashoquańskim. Muzyka była esencją tęsknoty, podobnie jak symbol, który Jude sobie wyobrażała, był esencją jej istnienia. I tak jak on, muzyka potrafiła przenikać między dominiami.

Melodia i zapach pościeli działały jak narkotyk, tak że po kilku melancholijnych wersach pieśni Jude nie miała pewności, czy lament się jej śni, czy może słyszy go na jawie, wyzwolona z cielesnych pęt mocą perfum i unosząca się ponad łóżem. Niewiele ją to obchodziło; wrażenie było przyjemne, a ona ostatnio miała tak mało przyjemności...

Tak, to z pewnością był sen. Jakiś cień stanął w drzwiach komnaty. Rozpoznała go, zanim jeszcze się zbliżył. Ostatnio rzadko o nim myślała, zdziwiła się więc, że jej umysł przywołał właśnie jego, ale stało się. Poczowała niezwykle podniecenie. Przed nią stał Gentle, dokładnie taki, jakiego zapamiętała. Twarz miał zatroskaną (co często mu się zdarzało), dłońmi gładził zasłony łóżka, jakby głaskał jej uda, które rozdzielił pieszczotą.

- Nie spodziewałem się znaleźć cię tutaj - powiedział. Głos miał chrapliwy, a z jego twarzy bił równie wielki żal, jak z pieśni Concupiscentii. - Kiedy wróciłaś?

- Przed chwilą.

- Słodko pachniesz...

- Wykąpałam się.

- Kiedy tak na ciebie patrzę... to żałuję, że nie mogę cię zabrać ze sobą.

- Dokąd?

- Wracam do Piątego Dominium. Przyszedłem się pożegnać.

- Tak na odległość?

Uśmiechnął się przesadnie, Jude zaś natychmiast przypomniała sobie, z jaką łatwością uwodził kobiety - wystarczył jeden taki uśmiech, a już zsuwały z palców obrączki i zdejmowały majtki. Ale co z tego? To była jej erotyczna fantazja, a nie jakiś test silnej woli. Musiał jednak dostrzec jej oskarżycielskie spojrzenie, bo zaczął ją przeproszać:

- Wiem, że cię skrzywdziłem.

- To było dawno - odparła wielkodusznie.

- Kiedy na ciebie patrzę...

- Nie rozczulaj się. Nie mam ochoty na sentymenty. Chcę cię tu mieć.

Rozłożyła nogi, odsłaniając przygotowane dla niego zagłębienie. Nie wahał się dłużej. Odgarnął zasłonę i wszedł na łóżko, zdzierając z niej przy okazji szatę. Przywarł ustami do jej ust. Nie wiedziała dlaczego, ale w tym śnie smakował jej czekoladę. Zdziwiło ją to, lecz nie przeszkodziło w pocałunkach.

Próbowała go rozebrać, ale wyśnione ubranie stawiało opór. Ciemnoniebieska koszula, jakby uszyta specjalnie dla fetyszystki, miała niewiarygodną ilość troczków i guzików. Cała była pokryta drobniutką łuską, jak gdyby liczna jaszczurcza rodzina zrzuciła skóry, żeby Gentle miał co na siebie włożyć.

Miała ciało wydelikaczone po kąpieli. Kiedy położył się na niej i potarł szorstką koszulą o jej brzuch i piersi, było to niezwykle podniecające doznanie. Oplotła go nogami. Nie oponował, coraz mocniej i gwałtowniej ją całował.

- Wszystko, co zrobiliśmy... - wymruczał. - To, co zrobiliśmy...

Błądząc myślami, przeskakiwała od jednego wspomnienia do drugiego, aż cofnęła się pamięcią do znalezionej w mieszkaniu Estabrooka książki, którą Oscar przywiózł z dominiów i dał bratu w prezencie. Wówczas niezwykle podręcznik wydał się jej szokujący. Pozycje, które proponował, były możliwe chyba jedynie w bezwstydnym śnie; wymagałyby rozdzielenia mężczyzny i kobiety na kawałki i splecenia ich w całkiem nowych kombinacjach. Jude przysunęła usta do ucha wyśnionego kochanka i szepnęła, że niczego mu nie zabroni i że jest gotowa dzielić z nim najbardziej niezwykle doznania, jakie podsunie mu fantazja. Tym razem nie uśmiechnął się (co ją ucieszyło), tylko uniósł na wyprostowanych rękach, wsparty na poduszkach po obu stronach jej głowy. Spojrzał na nią z tym samym smutkiem w oczach, który widziała przed chwilą, gdy stanął w drzwiach.

- Ostatni raz, co? - zapytał.

- Wcale nie musi być ostatni - zauważyła. - Zawsze mogę cię wyśnić.

- A ja ciebie - oparł czule.

Sięgnęła w dół pomiędzy ich ciała, zdjęła mu pasek i mocnym szarpnięciem rozdarła spodnie, nie chcąc się bawić w rozpinanie guzików. Poczła w dłoni obiekt równie miękki, jak szorstki był materiał, który go skrywał; na razie był dopiero na wpół nabrzmiały, ale tym chętniej zaczęła go głaskać. Gentle westchnął i pochylił głowę. Przesunął językiem po jej wargach i zębach; poczuła w ustach smak czekolady. Wyprężyła się i przeciągnęła swoim wilgotnym rowkiem od spodu po jego członku. Wymruczał coś, zapewne jakieś czule słówka, chociaż - podobnie jak pieśń *Concupiscentii* - w całkiem obcym języku. Brzmiały tak samo słodko, jak smakowała jego ślina, i pieszczotliwie niczym kołysanka, zupełnie jakby chciał ją uspić we śnie. Przymknęła oczy. Poczła, jak Gentle unosi biodra i odsuwa się od jej sromu, a potem jednym potężnym pchnięciem wchodzi, aż zaparło jej dech w piersi.

Czułości się skończyły, pocałunki również. Jedną rękę położył jej na czole i wplótł palce we włosy, drugą oparł na szyi, wsłuchany w dobywające się z jej gardła westchnienia. Powiedziała mu, że może z nią zrobić wszystko, i nie zamierzała cofać tej obietnicy tylko dlatego, że tak nagle ją posiadał. Uniosła uda i skrzyżowała nogi za jego plecami, a potem zaczęła go prowokować: co to, tylko na tyle go stać? Głębiej nie sięgnie? W dodatku nie jest ani dość twardy, ani wystarczająco napalony, a ona chce czegoś więcej. Przyspieszył i przycisnął mocniej jej tchawicę, chociaż nie na tyle, żeby zaczęła się dusić. Dysząc, za każdym razem rzucała nowe obelgi.

- Mógłbym cię tak rznąć bez końca - powiedział, a w jego głosie rozkosz łączyła się z groźbą. - Zrobisz, co każę. Powiesz, co każę. Będę cię rznął bez końca.

Nie chciałyby słyszeć takich słów, wypowiedzianych przez prawdziwego kochanka z krwi i kości, ale we śnie brzmiały podniecająco. Pozwalała mu na wszystko, rozchylając szerzej ramiona i uda, on zaś opowiadał, co z nią robi. Rytm tej litanii odpowiadał rytmowi jego ruchów. Przytulny pokój *Quaisoir*, który Jude sobie wyśniła, rozmywał się, odsłaniając inne wnętrza, bardziej mroczne i rozjaśnione blaskiem płomieni. Kochanek ze snu nie rozwiął się jednak wraz z nim. Był na niej i w niej, a jego pchnięcia i obietnice stały się jeszcze bardziej żarliwe. Widziała go nad sobą, jak gdyby ten sam blask, który ogrzewał jej nagie ciało, oświetlał jego rysy. Twarz miał spoconą i zastygłą w grymasie pożądania, przez zaciśnięte zęby wyliczał kolejne obietnice. Uczyni z niej lalkę, dziwkę, żonę i boginię; wypełni sobą każdy otwór jej ciała, raz na zawsze; posiadać ją, będzie wielbił, wyróci ją na nice. Znow przysły jej na myśl rysunki z książki *Estabrooka*. Miała wrażenie, że pod

wpływem tego wspomnienia wszystkie komórki jej ciała nabrzmiewają jak pąki kwiatów; rozkosz tworzyła ich płatki, które pachniały jej jękiem i westchnieniami. Ten aromat dodatkowo podniecał Gentle'a, który na przemian szeptał do niej czule i zapowiadał najgorsze okrucieństwa. W jednej chwili chciał być jej niewolnikiem, gotowym na każde skinienie, karmiącym się jej odchodami i mlekiem wyssanym z jej piersi. Zaraz potem była dla niego mniej warta niż ekskrementy, o które przed momentem błagał, a on stawał się jej jedyną nadzieją na przetrwanie. Różąc, wskrzeszał ją z martwych, wypełniał ognistym strumieniem, który wypłukiwał jej oczy z czaszki, aż zaczynała się w nim topić. Mówił dalej, ale Jude coraz głośniejsze krzyczała z rozkoszy i coraz słabiej go słyszała. Widziała też coraz mniej, przymknęła oczy i przenikające się komnaty - pełna muślinów sypialnia i nagi, oświetlony ogniem pokój - zniknęły. W jej myślach płonęły kształty, które zawsze towarzyszyły rozkoszy, jakby przedstawiający ją symbol rozplatał się i łączył w nowe formy.

Wtedy właśnie, gdy znalazła się o krok od pierwszego szczytu (a przed nią rozciągało się całe pasmo sięgających stratosfery wierzchołków), poczuła, jak Gentle zadygotał i znieruchomiał. Nie mogła uwierzyć, że już skończył. Wyśniła go sobie, powinien być zupełnie inny niż prawdziwi mężczyźni. Miał ją kochać, jak długo ona tego zechce, a nie rozchlapywać swoje obietnice i dyszeć przeprasząco. Nie miał prawa jej tak zostawić!

Otworzyła oczy. Mroczny pokój zniknął, a wraz z nim zgasł ogień w oczach Gentle'a. Kochanek wysunął się z niej i poczuła między udami jego palce, mokre i lepkie.

- Kusi mnie, żeby zostać - powiedział. - Ale mam mnóstwo pracy.

Pracy? Jakiej pracy? Co senna zjawa ma do roboty poza spełnianiem zachcianek tego, kto ją wyśnił?!

- Nie odchodź - rozkazała mu.

- Ja już skończyłem.

Wstał z łóżka. Wyciągnęła rękę, ale nawet we śnie była rozleniwiona. Zdażył zniknąć za zasłoną, zanim go złapała. Opadła wolno na poduszki i patrzyła, jak jego postać rozmywa się, gdy przybywało oddzielających ich warstw muślinu.

- Jeżeli nadal będziesz taka piękna - dodał - to może wrócę po ciebie, kiedy już zbuduję Nowe Yzordderrex.

Nie wiedziała, co miał na myśli, ale nic jej to nie obchodziło. Był przecież jej własnym tworem, żalonym i bezwartościowym. Nie próbowała go zatrzymać, gdy przystanął w drzwiach - może obejrzał się po raz ostami przez ramię - i zniknął. Ledwie jednak pozwoliła mu odejść, dla równowagi jej umysł powołał do istnienia nową istotę. Zasłony u stóp łóżka rozchyliły się, odsłaniając Concupiscentię, która przyglądała się jej pożądliwie. Nie czekając

na zaproszenie, wśliznęła się na łóżko. Nie odrywała wzroku od łona Jude i oblizywała się łakomie. Jude rozłożyła nogi, a wtedy niezwykła istota pochyliła głowę i zaczęła zlizywać to, co pozostawił po sobie widmowy kochanek. Jedwabistymi dłońmi gładziła uda Jude, która, ukojona pieścizotą, przyglądała się jej spod półprzymkniętych powiek. Concupiscentia obmyła ją do czysta, ale zanim jeszcze skończyła, sen stał się niewyraźny i na umysł Jude opadła kolejna zasłona - tym razem odebrała jej i wzrok, i resztki świadomości.

ROZDZIAŁ 40

1

Jak dawne galeony łapiące w żagle pustynny wiatr, namioty niebytowców przedstawiały z daleka wspaniały widok. Dopiero gdy Gentle mógł z bliska należycie ocenić ich rozmiary, zwykle zainteresowanie zmieniło się w nabożny podziw. Potężne, wydęte wiatrem wieże w kolorach ochry i szkarłatu miały wysokość pięciopiętrowych domów. Odcinały się jaskrawymi kolorami od pustyni, która z piaskowej zmieniała pod wieczór barwę na czarną. Wznoszące się ponad nią góry, oddzielające Drugie Dominium od nieznanego świata Hapexamendiosa, były ciemnoszare.

Floccus zatrzymał samochód trzysta metrów od obozowiska.

- Powinienem pójść tam sam i wyjaśnić, co nas tu sprowadza - powiedział.

- Tylko się pospiesz.

Floccus pomknął przed siebie jak gazela, chociaż grunt z piaszczystego zrobił się kamienisty - ziemię zaścielały ostre odłamki skał, jakby odłupane z gigantycznego posągu. Gentle spojrzał na Pie, który z pogodną twarzą spał w jego ramionach. Poglaskał go po chłodnym policzku. Zastanawiał się, ilu przyjaciół i kochanków sam stracił podczas z górą dwóch stuleci życia. Usunął te wspomnienia ze świadomości, ale z pewnością odcisnęły piętno w jego umyśle; zmieniły mu serce w kamień i nauczyły lęku przed chorobami. Może zawsze był tylko lowelasem i fałszerzem, mistrzem podrobionych emocji, ale jak tu się dziwić człowiekowi, który wie, że cały ten dramat - nawet najbardziej rozdzierający - powtarza się regularnie? Twarze się zmieniały, scenariusz nie. Klein lubił powtarzać, że oryginalność nie istnieje. Wszystko już ktoś powiedział. Albo przecierpiał. Nic dziwnego, że dla kogoś, kto zdawał sobie z tego sprawę, miłość stawała się czynnością mechaniczną, a śmierć przykrym widowiskiem, którego należało unikać. Ani jedna, ani druga nie miała żadnej ponadczasowej wartości - były zaledwie jednym z wielu obrotów na karuzeli, przy których twarze widzów zlewają się w jedną smugę. A jednak uczucia, jakie żywił wobec mistyfa, były prawdziwe. Nie bez powodu. W samozapreczeniach, jakimi częstował go Pie na początku znajomości („Jestem nikim i niczym”), Gentle słyszał echo cierpienia, które sam odczuwał; w jego

oczach, znużonych przeżyтыми latami, dostrzegał bratnią duszę, która rozumie jego nienazwany ból. To dzięki mistyfowi wyzbył się fałszu i manieryzmu, pojął, kim był i kim jeszcze się stanie. A mając taką moc, mógł działać wiele dobrego - leczyć rany, budzić ze snu narody, odnawiać nadzieje. Jeżeli miał stać się wielkim Pojednawcą, potrzebował inspiracji mistyfa.

- Kocham cię, Pie'oh'pahu - wyszeptał.

- Gentle! - wołał go Floccus. Stał przy samochodzie. - Widziałem się z Athanasiusem. Macie iść prosto do niego.

- Świetnie! - odparł Gentle. Otworzył drzwi na oścież. - Doskonale!

- Mam ci pomóc z mistyferem?

- Nie, sam go zaniosę.

Gentle wysiadł i wyciągnął Pie z tylnego siedzenia.

- Czy zdajesz sobie sprawę, że to miejsce święte? - spytał Floccus, prowadząc go w stronę namiotów.

- Mamy nie śpiewać, nie tańczyć i nie pierdzieć, tak? Nie rób takiej zbolalej miny, Floccusie, wiem, o co ci chodzi.

Kiedy podeszli bliżej, Gentle zdał sobie sprawę, że to, co brał do tej pory za skupisko odrębnych namiotów, jest w istocie ciągiem różnej wielkości pawilonów. Te mniejsze, przycupnięte obok większych, łączyły obóz w olbrzymią bestię z wiatru i płótna.

W jej targanych wiatrem trzewiach panował wieczny ruch. Nawet najmocniej napięte ściany dygotały, a pod sklepieniem płachty materiału wirowały jak szaty tańczących derwiszów, wydając niekończące się westchnienia. Pośród nich przemykali ludzie - jedni poruszali się po pajęczynach lin jak po twardym granicie, inni siedzieli przy olbrzymich otwartych oknach w dachu, zwróceniem twarzami w stronę Pierwszego Dominium, jak gdyby oczekiwali wezwania, które lada chwila miało stamtąd nadejść. Nawet gdyby nadeszło, nie należało spodziewać się gorączkowego pośpiechu. Atmosfera w obozie była spokojna i kojąca jak szelest płacht u sufitu.

- Gdzie znajdziemy lekarza? - spytał Floccusa Gentle.

- Tu nie ma lekarzy. Chodź ze mną, wiem, gdzie położyć mistyfa.

- Na pewno macie tu jakichś medyków.

- Mamy czystą wodę i ubrania; może znalazłoby się jakieś laudanum czy coś w tym guście, ale mistyfowi to na nic. Influencji, która go zraniła, nie da się odczynić lekarstwami. Tylko bliskość Pierwszego Dominium może mu pomóc.

- W takim razie powinniśmy go wynieść na zewnątrz, jak najbliżej Wybielu.

- Ani ja, ani ty, Gentle, nie mamy dość siły, żeby bardziej się zbliżyć do Wybielu. Chodź już. I zachowuj się przyzwoicie.

Floccus poprowadził Gentle'a w głąb rozedrganego ciała pustynnej bestii, do małego namiotu, w którym stało kilkanaście łóżek. Niektóre były zajęte, ale większość nie miała właścicieli. Gentle położył Pie i zaczął rozpinać mu koszulę, Floccus zaś poszedł rozejrzeć się za chłodną wodą do obmycia rozpalonej skóry mistyfa. Miał też przynieść coś do jedzenia. Czekając na jego powrót, Gentle obejrzał ranę, z której choroba rozprzestrzeniała się po całym ciele. Nie mógł obejrzeć Pie dokładniej, nie rozbierając go, a tego nie chciał robić, gdy w pobliżu kręciło się mnóstwo obcych ludzi. Pie zawsze zazdrośnie strzegł swojej prywatności - upłynęło wiele czasu, zanim Gentle pierwszy raz ujrzał go nagiego - i jego życzenie należało uszanować. W rzeczywistości prawie nikt nie zwracał na nich uwagi i po jakimś czasie Gentle się rozluźnił; strach, który go dręczył, trochę zelżał. Niewiele mógł zrobić. Dotarli na skraj znanych dominiów, tu kończyły się wszystkie mapy i zaczynało nieznanie. Nie było sensu się bać; powinien zaufać mocy, która przepełniała Wybiel, i czekać na rozwój wypadków z godnością i opanowaniem.

Kiedy Floccus wrócił, Gentle zapytał go, czy może zostawić ich samych, bo chciał dyskretnie umyć mistyfa.

- Naturalnie - odparł Floccus. - Gdzieś tu powinni być moi przyjaciele, chętnie ich odszukam i odwiedzę.

Kiedy wyszedł, Gentle zaczął obmywać nabrzmiałe wrzody na ciele Pie. Zamiast krwi sączyła się z nich srebrzysta ropa, której zapach drażnił nozdrza jak amoniak. Ciało, z którego wypływała, wydawało się dziwnie półmaterialne, jakby za chwilę miało rozplynać się w powietrzu. Gentle nie miał pojęcia, czy to wpływ influencji, czy tylko naturalny stan u mistyfa, który z wolna traci życie, a wraz z nim zdolność wpływania na zmysły obserwatora. Przypomniawszy sobie, w jakich postaciach objawiał się mu się Pie. Jako Judith, naturalnie; zabójca, obnoszący się ze swoją nagością jak z pancerzem; kochający hermafrodyta - w poślubną noc na wyspie Kołyski, gdy na moment przybrał jego twarz, jakby prorokował mu spotkanie z Sartorim. Teraz zaś wyglądał niczym utkana z lśniącej mgły powłoka, która przepływała mu prawie między palcami.

- To ty, Gentle? Nie wiedziałem, że widzisz w ciemnościach.

Gentle podniósł wzrok. Zajęty mistyfa i zatopiony we wspomnieniach nie zauważył nawet, kiedy zapadł zmierzch. Przy sąsiednich łóżkach paliły się lampki, ale przy Pie'oh'pahu rzeczywiście było ciemno. Ledwie widział jego ciało.

- Ja też nie - odparł i wstał, żeby przywitać się z gościem.

To Athanasius przyniósł mu lampę. W blasku jej płomienia - targanego wiatrem nie mniej od płótna namiotów - widać było, że został ranny w dogorywającym Yzordderrex: miał strupy na twarzy i szyi oraz szeroką szramę na brzuchu. Człowiek, który czcił niedzielę, przywdziewając koronę cierniową, zapewne zbytnio się nimi nie przejął.

- Przepraszam, że nie przyszedłem wcześniej, ale mamy tylu rannych, że udzielanie ostatniej posługi zajmuje mi mnóstwo czasu.

Gentle milczał, tylko po krzyżu przebiegł mu lodowaty dreszcz.

- Dociera do nas wielu żołnierzy autarchy. Martwi mnie to, bo zaczynam się bać, że w końcu wpuścimy jakiegoś zamachowca samobójcę, który wysadzi obozowisko w powietrze. To by było coś w stylu tego skurczybyka; został obalony, więc niech cały świat się zawali.

- Jestem pewien, że bardziej troszczy się o własny tyłek - stwierdził Gentle.

- A dokąd miałyby uciec? Wieści rozniosły się już po Imajice. W Patashoqua wybuchło powstanie, na Postnej Drodze trwają walki... W dominiach wrze. Nawet w Pierwszym.

- W Pierwszym? Jak to?

- Nic nie widziałeś? Najwyraźniej nie... Chodź.

Gentle skinął głową na Pie.

- Mistyf będzie tu bezpieczny - zapewnił go Athanasius. - Zresztą to nie potrwa długo.

Wyszli z brzucha bestii na pustynię. Mrok gęstniał. Floccus ostrzegał wprawdzie przed szkodliwym wpływem Wybielu, ale Gentle nie czuł nic niezwykłego. Albo chroniła go obecność Athanasiusa, albo wykazywał jakąś naturalną odporność - w każdym razie mógł bez przeszkód podziwiać rozgrywający się przed nim spektakl.

Granica między Drugim Dominium a królestwem Hapexamendiosa nie istniała, nie wyznaczał jej ani pas mgły, ani nawet głębsza ciemność. Pustynia rozmywała się po prostu w nicość, traciła barwy i szczegóły jak rysunek wycierany przez drzemiącą w oddali moc. Widok rozplywającej się rzeczywistości, materii, która ustępuje miejsca kompletnej pustce, przyprawił Gentle'a o dreszcze. Zbieżność między znikającym światem i stanem Pie nie uszła jego uwagi.

- Mówiłeś, że Wybiel się porusza - szepnął.

Athanasius patrzył w nicość, szukając jakichś znaków.

- Nie przez cały czas - westchnął. - Bywają jednak chwile, gdy przebiegają po nim fale.

- Czy to rzadki widok?

- Najdawniejsze relacje pochodzą z odległej przeszłości, ale ta okolica nie zachęca do naukowych badań. Obserwatorzy robią się tu romantyczni, naukowcy zmieniają się w

poetów... - Athanasius się zaśmiał. - To tylko żart. Na wypadek gdybyś się bał, że zaczniesz rymować mimo woli.

- Jak się czujesz, kiedy patrzysz na Wybiel?

- Przeraza mnie. Nie jestem gotów, tam się znaleźć.

- Ja też nie, ale obawiam się, że dla Pie czas już nadszedł. Żałuję, że tu przyjechałem, Athanasiusie. Może powinienem go jeszcze stąd zabrać, póki to możliwe?

- Sam musisz zdecydować, jednak moim zdaniem umrze, jeżeli spróbujesz go gdzieś przenieść. Ta influenza wsączyła w jego ciało paskudny jad. Jeżeli Pie ma wyzdrowieć, to tylko tu, na granicy Pierwszego Dominium.

Gentle zapatrzył się na niepokojącą nicość Wybielu.

- Czy rozplnięcie się w nicość oznacza wyzdrowienie? Mnie raczej przypomina śmierć.

- Śmierć i uleczenie mogą być sobie bliższe, niż się nam wydaje.

- Nie chcę tego słuchać. Zostajesz tu?

- Jeszcze chwilę... Gdybyś postanowił odejść, odzyskaj mnie przedtem. Chciałbym się pożegnać, dobrze?

- Oczywiście.

Gentle zostawił Athanasiusa wpatzonego w pustkę i wrócił do namiotu. Przyszło mu do głowy, że chętnie znalazłby jakąś knajpę i zamówił coś mocniejszego. Ruszył w stronę łóżka Pie, gdy nagle powstrzymał go chrapliwy, niewyraźny głos. Brzmiał niestosownie w tak świątobliwym miejscu, a przy tym sugerował, że jego właściciel naprawdę znalazł jakiś bar - i osuszył w nim wszystkie butelki.

- Gentle! Ty stary draniu!

Stanął przed nim uśmiechnięty szeroko Estabrook. Brakowało mu paru zębów.

- Słyszałem, że tu jesteś, i nie mogłem uwierzyć. - Uścisnął Gentle'owi dłoń. - Ale to prawda, Gentle we własnej osobie. Kto by pomyślał, że się tu spotkamy?

Życie w obozie odcisnęło na Charliem wyraźne piętno. W niczym nie przypominał obłąkanego z rozpaczy spiskowca, którego Gentle spotkał na Parliament Hill. Właściwie mógłby udawać kłowna: spodnie w paski, postrzępione szelki i wielobarwna, niedopięta kamizelka, a do tego łysina i szczerbaty uśmiech.

- Tak się cieszę, że cię widzę! - Estabrook nie posiadał się ze szczęścia. - Musimy porozmawiać. To doskonały moment. Wszyscy wychodzą z namiotów i medytują nad własną niewiedzą. Na krótką metę to nawet przyjemne, ale jaka ta pustynia jest nudna, Boże! Chodź, chodź ze mną! Dostałem tu własny kąt, żeby się im nie pętał pod nogami.

- Może później - odparł Gentle. - Muszę odwiedzić pewną chorą osobę.

- Coś o tym słyszałem... Masz na myśli mistyfa, tak? Tak to się mówi?

- Tak się mówi.

- Podobno są kapitalne. Bardzo seksowne. Może byśmy razem zajrzeli do pacjenta, co?

Gentle nie miał ochoty spędzać z Estabrookiem więcej czasu, niż to się okaże konieczne. Miał nadzieję, że na widok Pie nieproszony gość czmychnie gdzie pieprz rośnie - gdy tylko rozpozna w nim niedoszłego płatnego zabójcę żony.

Razem stanęli przy łóżku mistyfa, gdzie zastali już Floccusa z lampą i zapasem jedzenia. Floccus wstał, żując, gdy Gentle dokonał prezentacji, ale Estabrook ledwie na niego zerknął. Nie odrywał wzroku od Pie, który leżał z twarzą ukrytą w cieniu, zwróconą w stronę Pierwszego Dominium.

- Ty farciarzu - powiedział. - Śliczna dziewczyna.

Floccus spojrział na Gentle'a, ciekaw reakcji na ewidentną pomyłkę gościa, ale Gentle ledwie dostrzegalnie pokręcił głową. Nie posiadał się ze zdumienia. Ciało Pie reagowało na ludzi jak dawniej, pokazując im się tak, jak chcieli je widzieć. Choroba w niczym nie przeszkadzała. Było to tym bardziej niezwykle, że on, Gentle, widział zupełnie co innego - jego ukochany stawał się z godziny na godzinę coraz bardziej bezcielesny. Czy tylko maestro mógł widzieć i rozumieć tę prawdę? Uklęknął przy łóżku, wpatrzony w coraz mniej materialną twarz mistyfa. Oczy Pie poruszały się pod zamkniętymi powiekami.

- Śniesz o mnie? - szepnął Gentle.

- Co z nią? Ma się lepiej? - zainteresował się Estabrook.

- Nie wiem. To miejsce ma podobno uzdrawiające właściwości, ale nie jestem tego pewien.

- Chyba naprawdę powinniśmy pogadać - rzekł Estabrook, siląc się na nonszalancję, niczym ktoś, kto ma coś ważnego do powiedzenia, ale nie w szerszym gronie. - Może wpadniesz do mnie na drinka? Floccus na pewno po ciebie przyjdzie, gdyby coś się stało.

Floccus pokiwał głową w rytm ruchu szczęk i Gentle przyjął zaproszenie. Estabrook mógł wiedzieć coś, co pomoże mu podjąć decyzję, czy zostać w obozie.

- Wracam za pięć minut - zapowiedział i pozwolił się Estabrookowi zaprowadzić do namiotu.

Płócienny pokój, który właściciel próbował oswoić za pomocą kilku przywiezionych z Ziemi drobiazgów, znajdował się nieco na uboczu. Na łóżkiem - niczym wystrzępiony sztandar zdobyty w wiekopomnej bitwie - wisiała koszula poplamiona zakrzepłą już krwią. Portfel, grzebień, pudełko zapalek, rulon miętowych dropsów i kilka kolumnienek drobnych

monet tworzyło na nocnym stoliku ołtarzyk ku czci duszka zamieszkującego kieszenie Estabrooka.

- Skromnie tu jest - przyznał gospodarz - ale to mój dom.

- Jesteś tu więźniem? - Gentle usiadł na krześle obok łóżka.

- Skądże!

Estabrook wyjął spod poduszki butelkę, która wydała się Gentle'owi znajoma. Widział takie flaszki w Oke T'Noon, w knajpce, w której przesiedzieli z Huzzah cały dzień. Zawierały kloupo, sfermentowaną żywicę kwiatu porastającego bagna w Trzecim Dominium. Estabrook pociągnął solidny łyk. Tak samo wyglądał tamtego dnia na Parliament Hill, gdy popijał brandy z piersiówki. Wtedy Gentle nie przyjął poczęstunku, teraz dał się skusić.

- Mógłbym stąd odejść w każdej chwili - ciągnął Estabrook. - Ale za każdym razem sobie powtarzam: dokąd pójdziesz, Charlie? Właśnie, dokąd?

- Nie wróciłbyś do Piątego Dominium?

- Po co, na litość boską?!

- Nie tęsknisz za domem? Nic a nic?

- Może trochę... Czasem się rozklejam i piję - to znaczy, piję więcej - i mam sny.

- Co ci się śni?

- Wiesz, głównie moje dzieciństwo; szczegóły, które dla innych ludzi byłyby bez znaczenia. - Estabrook zabrał butelkę Gentle'owi i pociągnął łyk. - Ale przeszłość nie wróci, więc po co sobie łamać serce? Było, minęło. Gentle chrząknął z powątpiewaniem.

- Nie zgadzasz się ze mną - zauważył Estabrook.

- Nie do końca.

- Wymień chociaż jedną rzecz, która trwa wiecznie.

- Ja nie...

- Nie, nie, mów. Jedną rzecz.

- Miłość.

- Ha! Wracamy do punktu wyjścia, co? Miłość! Wiesz co? Pół roku temu przyznałbym ci rację, nie ukrywam. Nie wyobrażałem sobie, że mógłbym przestać kochać Judith. Ale stało się. Kiedy pomyślę, co do niej czułem, wydaje mi się to żalosne. Teraz przyszła kolej na Oscara, on jest nią naprawdę zafascynowany. Najpierw ty, potem ja, teraz Oscar... ale i on długo nie wytrwa.

- Dlaczego tak uważasz?

- Za dużo srok próbuje złapać za ogon. To się musi źle skończyć. Słyszałeś chyba o Tabula Rasa, co?

- Nie...

- No tak, niby skąd? Zostałeś w tę sprawę wplątany, o niczym nie mając pojęcia, prawda? To moja wina. Nie żeby poczucie winy mogło nam pomóc, ale chcę, byś wiedział, że nie zdawałem sobie sprawy z konsekwencji tego, co robię. Gdyby było inaczej, przysięgam, że zostawiłbym Judith w spokoju.

- To akurat było chyba ponad nasze siły.

- Co? Dać Jude święty spokój? Może tak... To przeznaczenie, prawda? Słuchaj, nie twierdzę, że jestem niewinny, bo bym skłamał. Zdarzało mi się w życiu paskudnie rozrabiać, na samo wspomnienie robi mi się słabo, ale w porównaniu z Tabulą Rasa albo z tym świrem Sartorim nie jestem taki znowu najgorszy. Kiedy rano wychodzę popatrzeć na Bożą Pustkę...

- Tak ją tu nazywają?

- Gdzie tam! Oni mają do niej znacznie więcej szacunku. Sam wymyśliłem tę ksywkę. Więc kiedy tak na nią patrzę, to sobie myślę, że niedługo wszystkich nas pochłonie, świrów, kochanków, pijaków... Nie będzie w nas przebierać. Prędzej czy później obrócimy się w nicość. I wiesz, co ci powiem? Może już jestem stary, ale wcale się tym nie przejmuję. Każdy ma swoje pięć minut i na każdego przychodzi koniec.

- Przecież musi być coś dalej, Charlie, po drugiej stronie.

- To wszystko bzdury. - Estabrook pokręcił głową. - Widziałem mnóstwo ludzi, którzy poszli na Wybiel. Modlili się, a po kilku krokach znikali bez śladu. Tak jakby nigdy nie było ich na świecie.

- Ale są tacy, którzy tu zdrowieją. Tak jak ty.

- Rzeczywiście, Oscar nieźle mnie poharatał, a ja wciąż żyję, ale wątpię, żeby mój pobyt w obozie miał z tym coś wspólnego. Zastanów się. Czy gdyby Bóg naprawdę mieszkał za tymi górami i taki był, cholera, chętny do leczenia, to czy nie wyciągnąłby ręki trochę dalej, żeby powstrzymać szaleństwo w Yzordderrex? Czemu miałby tolerować taki koszmar? Nie, Gentle. Mówię „Boża Pustka”, ale ta nazwa jest tylko w połowie prawdziwa. Boga tu nie ma. Może kiedyś był...

Estabrook zawiesił głos. Zabułgotało kloupo, gdy podniósł butelkę do ust.

- Dzięki - powiedział Gentle.

- Za co?

- Pomogłeś mi podjąć decyzję.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Cholernie trudno się myśli, kiedy wiatr tak bez przerwy duje, nie? Trafisz sam do swojej ślicznej pani? Czy chcesz, żebym cię odprowadził?

- Dam sobie radę - odparł Gentle.

Szybko pożałował, że odrzucił propozycję Estabrooka. Już po paru zakrętach przekonał się, że w blasku lamp korytarze o ścianach z płótna wyglądają niemal identycznie i że nie tylko nie umie wrócić do łóżka Pie, ale chyba nie trafiłby już z powrotem do pokoju Estabrooka. Przypadkiem zaszedł do kaplicy, gdzie kilkoro niebytowców klęczało przed oknem wychodzącym na Bożą Pustkę. W nocnych ciemnościach Wybiel wyglądał tak samo jak o zmierzchu - ciut jaśniejszy niż otaczający go mrok, ale bynajmniej nie rozświetlony. Nicość za oknem poruszyła Gentle'a bardziej niż koszmar w Beatrix czy zamurowane pokoje w pałacu. Odwrócił się plecami do Wybielu i jego czcicieli i poszedł dalej na poszukiwanie mistyfa. Kiedy całkiem przypadkowo trafił do właściwego pomieszczenia, łóżko Pie było puste. Już miał zamiar zapytać któregoś z pacjentów, czy na pewno się nie pomylił, ale na podłodze przy łóżku dostrzegł resztki posiłku Floccusa, okruchy i parę dokładnie obgryzionych kości. Zatem nie pomylił się - tylko gdzie jest Pie? Rozejrzył się po pokoju. Pozostali chorzy spali lub leżeli nieprzytomni, lecz to nie mogło mu przeszkodzić. Musiał wiedzieć, co się stało. Podeszedł do najbliższego łóżka, gdy usłyszał tupot stóp i głos Floccusa.

- Tu jesteś! Wszędzie cię szukałem...

- Mistryfa nie ma w łóżku, Floccusie.

- Wiem o tym, wiem. Poszedłem opróżnić pęcherz; nie było mnie najwyżej dwie minutki, a kiedy wróciłem, zniknął. Mistryf, naturalnie, nie mój pęcherz. Pomyślałem, że może ty go zabrałeś.

- Dlaczego miałbym to robić?

- Nie złość się. Nic mu się tu nie stanie. Możesz mi wierzyć.

Po rozmowie z Estabrookiem Gentle wcale nie był przekonany, że Floccus ma rację, ale nie zamierzał tracić czasu na kłótnie.

- Gdzie go szukałeś?

- Wszędzie!

- Mógłbyś wyrażać się bardziej precyzyjnie?

- Zabłądziłem - odparł roztrzęsiony Floccus. - Te namioty są takie do siebie podobne!

- Wychodziłeś na zewnątrz?

- Nie, a po co? - Floccus nie był już podenerwowany, lecz ciężko chory z przerażenia.

- Chyba nie podejrzewasz, że poszedł na Wybiel?

- Tego się nie dowiemy, póki nie sprawdzimy sami. Którędy poszedłem z

Athanasium? Wyszliśmy przez drzwi...

- Zaczekaj! Zaczekaj! - Floccus złapał Gentle'a za rękaw. - Nie możesz tak po prostu...

- Czyżby? Jestem przecież maestrem.

- Są odpowiednie rytuały...

- ...które mnie gównem obchodzą.

Nie czekając na reakcję Floccusa, Gentle wyszedł z pokoju, mając nadzieję, że idzie w dobrym kierunku. Floccus dreptał obok i co parę kroków zasypywał go nowymi argumentami. Nocą Wybiel jest niespokojny, twierdził; podobno tworzą się w nim dziury i zawirowania; niebezpiecznie jest wtedy włączyć się po okolicy, bardzo niebezpiecznie; poza tym idąc tam, zbecześci Wybiel. Może sobie być maestrem, ale to go nie zwalnia od obowiązku przestrzegania etykiety. Jest przecież gościem w obozie; skoro został zaproszony, powinien się zachowywać zgodnie z pewnymi regułami. Tym bardziej że reguła nie wymyślono ot tak, dla zabawy, lecz po to, by obcy nie włązili, gdzie nie trzeba. Ich ignorancja mogła dla wszystkich mieć katastrofalne skutki.

- Po co komu reguły, skoro nikt nie rozumie, co się tam naprawdę dzieje? - spytał Gentle.

- Jak to nikt? My rozumiemy! Tam się zaczyna Bóg.

- Jak zginę na Wybielu, będziesz wiedział, co napisać w moim nekrologu. „Gentle skończył w miejscu, w którym Bóg się zaczyna”.

- To nie jest zabawne, Gentle.

- Nie, nie jest.

- To kwestia życia i śmierci.

- Zgadza się.

- No to dlaczego tam idziesz?

- Bo moje miejsce jest przy Pie. Wydawało mi się, że rozumie to nawet taki półwidz i krótkogłówek jak ty!

- Chyba krótkowidz i półgłówek...

- Ty to powiedziałeś, nie ja.

Znaleźli się przed drzwiami, przez które wcześniej Gentle wyszedł z Athanasiumem na pustynię. Były otwarte i nikt ich nie pilnował.

- Chciałem tylko powiedzieć...

- Daj spokój, Floccusie.

- ...że nasza przyjaźń trwała zbyt krótko.

Gentle stanął jak wryty, zawstydzony słowami Floccusa.

- Nie oplakuj mnie jeszcze - odparł półgłosem.

Floccus bez słowa cofnął się od drzwi, ustępując mu z drogi. Noc była cicha, wiatr osłabł i tylko leciutko poruszał płótnami. Gentle rozejrzał się na boki. Niebytowcy klęczeli z pochylonymi głowami, pogrążeni w medytacjach nad Bożą Pustką. Nie chciał im przeszkadzać, szedł jak umiał najciszej. Mimo to drobne kamyki usuwały mu się spod nóg, grzechocząc donośnie, jakby chciały wszem wobec rozgłosić jego przybycie. Nie tylko one reagowały na jego obecność. Powietrze, które tak często wykorzystywał do zabijania, wydobywało się teraz z jego ust pod postacią ciemnych chmur przesytych szkarłatnymi liniami. Obłoki te nie rozpląwały się na wietrze, lecz opadały w dół, jak gdyby pod ciężarem śmierci, którą mogły zadać. Niczym żałobny całun otulały tułów i nogi Gentle'a. Nie próbował się od nich opędzać, chociaż wkrótce zgęstniały przy ziemi na tyle, że musiał zwolnić kroku. Nie miał też wątpliwości, skąd się wzięły. Próbował wejść na Wybiel bez Athanasiusa i powietrze zamierzało go zdradzić. Nie był zwyczajnym, niewinnym człowiekiem, który szuka swojej ukochanej. Czerń szat i werble kamieni nie pozwalały mu zamaskować prawdy. Był maestrem, umiał zabijać i nie mógł tego ukryć ani przed Wybielem, ani przed tymi, którzy medytowali nad jego naturą.

Stukot kamyków wyrwał kilku niebytowców z zadumy. Podnieśli wzrok na kroczącą wśród nich złowieszczą postać odzianą w czerń. Jeden, który klęczał samotnie i znalazł się najbliżej Gentle'a, zerwał się w panice i uciekł z modlitwą na ustach, inny skulił się na ziemi i szlochał bezsilnie. Zamiast przerażać ich dodatkowo swoim spojrzeniem, Gentle próbował przeniknąć wzrokiem Wybiel. Na granicy materii i nicości szukał śladów Pie'oh'paha. Boża Pustka nie niepokoiła go już tak bardzo jak za pierwszym razem. Nie krył się ze swoją mocą i szedł odważnie na spotkanie Wybielu. Jeżeli podjął się w przeszłości próby Pojednania, musiał wówczas rozwikłać i tę tajemnicę. Nie miał więc czego się bać.

Kiedy dostrzegł Pie, znajdował się już dobre trzysta, może czterysta kroków od drzwi i grono wiernych wyraźnie się przerzedziło. Tak daleko zapuszczali się jedynie najodważniejsi, którym najbardziej zależało na samotności. Niektórzy na jego widok wracali do obozu, ale kilku niewzruszonych zostało, poświęcając mu tylko przelotne spojrzenie. Gentle zawołał mistyfa po imieniu, bojąc się, że Pie nie rozpozna go za czarną zasłoną. Okrzyk pozostał bez odpowiedzi. Głowa mistyfa była tylko niewyraźną plamą mroku, Gentle wiedział jednak, że Pie nie patrzy w jego stronę. Wzrok miał utkwiony w ciemność, w tajemnicę, która przyciągała go tak jak przepaść przyciąga samobójcę. Gentle przyspieszył kroku; coraz większe kamienie przetaczały mu się z łoskotem pod stopami. Nie wyglądało na to, żeby Pie szczególnie się spieszył, ale Gentle bał się, że gdy znajdzie się na granicy rzeczywistości i

nicości, nie będzie dla niego powrotu.

- Pie! - zawołał. - Słyszysz mnie? Stój! Proszę cię, stój!

Słowa wypłynęły chmurą z jego ust i oblekły go jak płaszcz, ale mistyf nie zareagował, dopóki nie wydał mu rozkazu:

- Pie'oh'pahu, to ja, twój maestro. Zatrzymaj się!

Mistyf potknął się, jakby Gentle rzucił mu coś pod nogi. Jęknął cicho jak udręczone zwierzę, ale wykonał polecenie tego, który dawno temu go wezwał. Zatrzymał się jak posłuszny sługa i czekał, aż jego pan się z nim zrówna.

Dzieliło ich zaledwie dziesięć kroków. Z tej odległości Gentle widział już, jak dalece zaawansowany był proces rozpadu. Pie wyglądał jak cień pośród cieni, jego ciało stało się prawie niematerialne, rysów nie dało się rozeznaczyć. Jeżeli Gentle jeszcze wątpił, czy Wybiel ma cudowne właściwości uzdrawiające, wystarczyło spojrzeć na wrzody: wyglądały lepiej niż ciało; którym się karmiły. Były sine i pulsowały słabą poświatą, niczym żarzące się węgle na wietrze.

- Dlaczego wstałeś z łóżka? - zapytał Gentle i zwolnił kroku. Mistyf wyglądał tak delikatnie, jakby miał się rozpaść przy pierwszym gwałtowniejszym ruchu. - Za Wybielem niczego nie znajdziesz, Pie. Twoje miejsce jest przy mnie. Tu powinienes żyć.

Mistyf nie odpowiedział od razu, a gdy się odezwał, jego głos brzmiał słabo, jak ostatnie błaganie umierającego ducha.

- Moje życie dobiegło końca, maestro.

- O tym ja zadecyduję. Obiecałem sobie, że więcej się nie rozstaniemy, Pie. Zaopiekuję się tobą; chcę, żebyś przy mnie wrócił do zdrowia. Rozumiem już, że niepotrzebnie cię tu przywiozłem. Przykro mi, że sprawiłem ci ból, ale teraz cię stąd zabiorę...

- Postąpiłeś słusznie, przybywając tutaj. Miałeś swoje powody.

- Ty jesteś moim powodem, Pie. Nie wiedziałem, kim jestem, dopóki mnie nie znalazłeś. Jeśli cię zabraknie, znowu zapomnę sam siebie.

- Już nie. - Rozmyty kontur głowy mistyfa poruszył się i odwrócił do Gentle'a. Mimo że żaden blask nie wskazywał, gdzie znajdowały się jego oczy, Gentle był pewien, że Pie na niego patrzy. - Byłeś maestrem, Sartorim, Pojednawcą Imajiki. - Mistyf umilkł na dłuższą chwilę, po czym ciągnął ledwie słyszalnym szeptem: - Byłeś także moim panem, mężem i ukochanym bratem... Zostanę, jeżeli mi każesz, ale jeśli mnie kochasz, Gentle... proszę cię... pozwól... mi... odejść.

Trudno byłoby wyrazić tę prośbę prościej lub bardziej jednoznacznie. Gdyby Gentle przypuszczał, że po drugiej stronie pustki jest rajski ogród, a w nim miejsce przygotowane na

przyjęcie ducha Pie, nie wahałby się ani chwili dłużej. Pozwoliłby mu odejść, niepomny własnego bólu. Nie wierzył w to jednak i nie zamierzał się z tym kryć, nawet w bezpośrednim sąsiedztwie Wybielu.

- To nie jest niebo, Pie. Może przebywa tam Bóg, a może nie. Dopóki nie mamy pewności...

- Może sam pójde i się przekonam? Nie boję się. W tamtym dominium narodził się mój lud. Chcę je zobaczyć. - Pierwszy raz w słowach Pie zabrzmiał cień emocji. - Umieram, maestro. Muszę się położyć. Zasnąć.

- A jeżeli tam niczego nie ma, Pie? Jeśli to tylko pustka?

- Wolę nieistnienie od bólu.

Na to Gentle nie znalazł odpowiedzi.

- W takim razie idź - rzekł.

Żałował, że nie potrafi czulej pożegnać się z mistyfelem, ale nie był w stanie maskować osamotnienia gładkimi słówkami. Bardzo chciał oszczędzić mu cierpień, lecz współczucie dla Pie nie równoważyło pragnienia bycia z nim. Nie umiał wyzbyć się instynktu posiadacza, który - choć niechlubny - stanowił nieodłączny składnik uczuć, jakimi go darzył.

- Szkoda, że nie możemy w tę ostatnią podróż wyruszyć razem, maestro - powiedział Pie. - Wiem jednak, że masz do wykonania zadanie. Wspaniałe zadanie.

- Jak mam je wykonać bez ciebie? - spytał Gentle, zdając sobie sprawę, że to cios poniżej pasa. Było mu wstyd, ale nie chciał rozstawać się z mistyfelem, używał wszystkich argumentów, żeby go zatrzymać.

- Nie jesteś sam. Poznałeś Tickę Raw, poznałeś Scopique'a. Obaj uczestniczyli w ostatnim Synodzie i chętnie ponowią próbę Pojednania.

- Tick Raw i Scopique są maestrami?

- Teraz już tak. Poprzednio byli nowicjuszami, ale wiele się nauczyli. Ty wrócisz do Piątego Dominium, a oni zajmą się przygotowaniami u siebie.

- Czekali tyle czasu?

- Wiedzieli, że przyjdiesz. A jak nie ty, to ktoś, kto cię zastąpi.

A ja ich tak nieuprzejmie potraktowałem, pomyślał Gentle. Zwłaszcza Tickę.

- Kto zajmie się Pierwszym Dominium? Kto Drugim?

- W Yzordderrex mieszkał pewien Eurhetemec, który chciał ci pomagać w Drugim Dominium, ale zmarł. Poprzednim razem był już stary. Nie mógł tak długo czekać. Prosiłem Scopique'a, żeby znalazł kogoś na jego miejsce.

- A tutaj?

- Miałem nadzieję, że mnie przypadnie ten zaszczyt, ale teraz musisz poszukać kogoś innego. Nie martw się, maestro, proszę cię. Byłeś znakomitym Pojednawcą...

- Zawiodłem. To nie powód do dumy.

- Drugi raz nie zawiedziesz.

- Nawet nie znam rytuałów.

- Przypomnisz sobie. Wszystko w swoim czasie.

- Jak to?

- Wszystko, co robiliśmy, czuliśmy i o czym rozmawialiśmy, czeka na ciebie w domu przy Gamut Street. Nasze przygotowania, dyskusje... nawet ja sam.

- Wspomnienia nie wystarczą, Pie.

- Wiem o tym...

- Chcę cię mieć naprawdę. I... na zawsze.

- Może jeszcze się spotkamy, gdy zjednoczysz Imajicę i Pierwsze Dominium zostanie otwarte.

Rzeczywiście, to jest jakiś cień nadziei, przyznał w duchu Gentle. Nie wiedział jednak, czy ten cień wystarczy, by nie stoczyć się w otchłań rozpacz, gdy zabraknie Pie.

- Mogę odejść? - zapytał mistyf.

Nigdy w życiu żadne słowo nie przeszło Gentle'owi przez gardło z takim trudem jak ta krótka sylaba:

- Tak.

Pie położył mu na ustach rękę - a właściwie opatrzone pięcioma palcami pasemko mgły. Gentle nie poczuł dotknięcia, ale serce podskoczyło mu w piersi.

- Jeszcze nie wszystko stracone - szepnął Pie. - Nie zapominaj.

Ruszył w stronę Wybielu, od którego dzielił go może z tuzin kroków. Gentle patrzył, jak ta odległość nieuchronnie się zmniejsza. Serce waliło mu jak młotem, krew tętniła w skroniach. Nawet teraz, gdy nie mógł już cofnąć danego słowa, z najwyższym trudem powstrzymywał się, żeby nie pobiec za Pie i nie zatrzymać go jeszcze na chwilę. Chciał stanąć przy nim, usłyszeć jego głos, stać się cieniem jego cienia.

Mistyf się nie obejrzał. Z kamiennym spokojem szedł przez krainę niczyją. Gentle nie spuścił oczu - odprowadzał go wzrokiem z uporem graniczącym z heroizmem. Wybiel zasługiwał na swoją nazwę; postać mistyfa blakła z każdym krokiem, jak szkic do rysunku, który spełnił swoją rolę i można go zetrzeć. Jednak w przeciwieństwie do szkicu (który - nawet najstaranniej wytarty - wciąż pozwalał wychwycić błąd rysownika) Pie zniknął bez śladu. Gdyby Gentle nie zachował go w pamięci, tej jakże niepewnej księdze, mistyf mógłby

nigdy nie istnieć.

ROZDZIAŁ 41

Kiedy wrócił do obozu, przy wejściu czekało na niego ponad pięćdziesiąt osób, które - choć z daleka - widziały, co się wydarzyło. Dopóki ich nie minął, nikt nie odważył się nawet kasznąć, ale gdy Gentle wszedł do namiotu, szepty zabrzmiały jak bzyczenie roju owadów. Czy naprawdę nie mieli nic lepszego do roboty, tylko plotkować o jego smutku? Pora się stąd wynosić, uznał. Pożegna się z Estabrookiem i Floccusem i odejdzie.

Wrócił do łóżka, które zajmował Pie. Miał cichą nadzieję, że mistyf zostawił mu jakąś pamiątkę, ale jedynym śladem było zagłębienie w poduszce, gdzie jeszcze niedawno spoczywała jego piękna głowa. Gentle sam miał ogromną ochotę położyć się i zapłakać, ale nie chciał tego robić publicznie. Odda się rozpaczy, gdy znajdzie się daleko stąd.

Wychodził już, gdy zjawił się Floccus. Poruszał się nerwowo, podskakiwał jak bokser robiący uniki.

- Przepraszam, że przeszkadzam.

- I tak miałem iść cię poszukać. Chciałem ci podziękować i pożegnać się.

- Muszę ci coś powiedzieć - powiedział Floccus. Mrugał nerwowo i zaciął się przy każdym słowie. Wyglądał, jakby wypocił całą krew z twarzy. - Zanim sobie pójdziesz. Mam wiadomość.

- Przepraszam za moje zachowanie - rzekł pojednawczo Gentle. - Zrobiłeś, co mogłeś, a ja się tylko na ciebie wściekłem.

- Nie przepraszaj.

- Pie musiał odejść, a ja muszę zostać. Po prostu.

- Cieszę się, że wróciłeś - wykrztusił Floccus. - Naprawdę, maestro. Naprawdę.

„Maestro” był dla Gentle'a jednoznaczną wskazówką.

- Ty się mnie boisz, Floccusie, prawda?

- Czy się boję? Eee, no... Trochę. W pewnym sensie. Tak. Po tym, co tam się wydarzyło, jak poszedłeś na sam skraj Wybielu i nie zniknąłeś, i w dodatku tak się zmieniłeś...

Gentle zdał sobie sprawę, że wciąż otula go czarny całun, rozplywa się powoli jak gęsty dym.

- Nie miałem pojęcia... - jękał się dalej Floccus. - Wybacz mi, proszę, byłem głupi, bo

widzisz, nie wiedziałem, że znalazłem się w towarzystwie takiej... takiej mocy. Jeżeli, rozumiesz, czymś cię uraziłem...

- Nie uraziłeś mnie.
- Bo ja czasem przesadzam w żartach.
- Miło mi było z tobą podróżować, Floccusie.
- Dziękuję ci, maestro. Dziękuję. Bardzo dziękuję.
- Przestań mi dziękować.
- Oczywiście, już przestaję. Dziękuję.
- Mówiłeś, że masz dla mnie wiadomość.
- Tak? Ach tak, mówiłem.
- Od kogo?
- Od Athanasiusa. Bardzo chciałby się z tobą spotkać.

No tak, to trzecia osoba, której jestem winien pożegnanie, pomyślał Gentle.

- Zaprowadź mnie do niego, jeśli łaska - powiedział.

Floccus, któremu wyraźnie ulżyło, że przeżył tę rozmowę, wyprowadził go z pokoju.

*

Przejsie przez labirynt w namiocie zajęło im kilka minut. W tym czasie wiatr, który o zmierzchu ucichł niemal zupełnie, zerwał się z nową energią i kiedy Floccus wskazał Gentle'owi pokój, gdzie czekał Athanasius, wichura szarpała ściany z dzikim zapalem. Stojące na podłodze lampy migotały przy każdym podmuchu, jakby bały się wiatru. W ich niepewnym blasku Gentle zrozumiał, jak ponure miejsce wybrał Athanasius na to spotkanie. Znajdowali się w kostnicy, której całą podłogę zaścielały okryte najróżniejszymi łachmanami ciała - niektóre zgrabnie zawinięto w całuny, ale większość była ledwie przysłonięta. Miał przed sobą kolejny dowód (tak jakby jeszcze potrzebował dowodów!), że obóz nie sprawdzał się w roli uzdrowiska. Ale uznał to za kwestię czysto akademicką - nie zamierzał urazić uczuć Athanasiusa, zwłaszcza gdy ze wszystkich stron otaczały go zwłoki.

- Mam zostać z wami? - zapytał Floccus, modląc się w duchu, żeby Athanasius pozwolił mu odejść.

- Nie, nie musisz. Idź już.

Floccus uklonił się Gentle'owi.

- Jestem zaszczycony, że cię spotkałem - powiedział i czmychnął z kostnicy.

Gentle odprowadził Floccusa wzrokiem, a potem odwrócił się do Athanasiusa, który tymczasem przeszedł w kąt pokoju i przyglądał się jednemu z owiniętych w całun ciał. Był ubrany stosownie do atmosfery kostnicy; zamiast jasnej, luźnej szaty przywdział strój

granatowy, tak ciemny, że wpadał w czerń.

- Maestro... - odezwał się. - Szukałem wśród nas Judasza, ale ciebie przegapiłem. To chyba nieostrożność z mojej strony.

Mówił tonem spokojnym, uprzejmym, przez co jego słowa - i tak niejednoznaczne - jeszcze bardziej zmieszały Gentle'a.

- Co masz na myśli?

- Podstępem dostałeś się do naszych namiotów, a teraz zamierzasz odejść, nie bacząc na świętokradztwo, którego się dopuściłeś.

- Nie użyłem podstępu. Mistyf był chory; myślałem, że tutaj wyzdrowieje. A jeżeli naruszyłem wasze reguły, musisz mi wybaczyć. Nie miałem czasu na lekcje teologii.

- Mistyf wcale nie chorował. A jeśli nawet, sam wywołałeś tę chorobę, żeby się zakraść pomiędzy nas. Nawet nie próbuj zaprzeczać. Widziałem, co zrobiłeś na Wybielu. Jakie zadanie wyznaczyłeś mistyfowi? Ma na nas donieść Niewidzianemu?

- O co ty mnie właściwie oskarżasz?

- Wiesz, zastanawiam się nawet nad tym, czy naprawdę przybyliście z Piątego Dominium. Może to też kłamstwo, element spisku.

- Nie ma żadnego spisku.

- Słyszałem, że w Piątym Dominium rewolucja i teologia nie idą w parze. Dla nas to oczywiście brzmi dziwnie, bo niby jak można je rozdzielić? Jeżeli zmienisz swoje życie, choćby nawet minimalnie, musisz liczyć się z tym, że ta wieść dotrze do uszu bogów. A wtedy lepiej żebyś umiał się z tego wytłumaczyć.

Gentle słuchał Athanasiusa i zastanawiał się, czy nie powinien po prostu wyjść, bo przecież kapłan ewidentnie bredził od rzeczy. Uznał jednak, że jest mu winien odrobinę cierpliwości, choćby za te kilka mądrych słów, które usłyszał od niego na ślubnej ceremonii.

- Uważasz, że jestem zamieszany w jakiś spisek - stwierdził. - Dobrze cię rozumiem?

- Uważam, że jesteś mordercą, kłamcą i wysłannikiem autarchy.

- Ty mnie nazywasz kłamcą?! A kto przekonał tych wszystkich biedaków, że zostaną tu uleczeni, co? Ja czy ty? Spójrz na nich! - Gentle wskazał leżące wokół ciała. - Nazywasz to uzdrowieniem? Bo ja nie. Gdyby mogli przemówić...

Schylił się i ściągnął całun z najbliższego trupa. Była to piękna kobieta. Miała otwarte, szkliste oczy i twarz pomalowaną i błyszczącą. Wyrzeźbioną, pomalowaną i błyszczącą. Szarpnął całun mocniej, słysząc za plecami ponury śmiech Athanasiusa. W zgięciu ręki kobieta trzymała wyrzeźbione, pomalowane dziecko, którego główkę otaczała złocona aureola. Malutką rączkę miało wzniesioną do błogosławieństwa.

- Rzeczywiście, nie rusza się - stwierdził Athanasius. - Ale pozory mylą. Nie jest martwa.

Gentle przeszedł dalej i odsłonił sąsiednie ciało - kolejną Matkę Boską, wykonaną w bardziej barokowym stylu, z oczami wniesionymi ku niebu. Całun wysliznął mu się spomiędzy palców.

- Słabo ci, maestro? Umiesz ukryć strach, ale mnie nie oszukasz.

Gentle powiódł wzrokiem po pokoju. Dookoła leżało co najmniej trzydzieści ciał.

- Czy to wszystko są Madonny?

Athanasius, który opacznie zrozumiał zdumienie Gentle'a, odparł:

- Widzę, że się boisz. To święta ziemia. Bogini się nią opiekuje.

- Dlaczego?

- Wedle tradycji niedaleko stąd dokonano zbrodni na przedstawicielce jej płci. Kobieta z Piątego Dominium została tu zgwałcona. Matka Boska każe czcić takie miejsca. - Athanasius przyklęknął, odsłonił następną rzeźbę i dotknął jej z szacunkiem. - Jest tutaj z nami. W każdym posągu, w każdym kamieniu, w każdym podmuchu wiatru. Błogosławi nas, ponieważ odważyliśmy się podejść tak blisko dominium jej nieprzyjaciela.

- Jakiego nieprzyjaciela?

- Co to, nie możesz wymówić jego imienia, nie padłszy na kolana? Hapexamendiosa. Twojego pana. Niewidzianego. Przyznaj się. Czemu się wzbranasz? Znasz moją tajemnicę, a ja znam twoją; jesteśmy dla siebie nawzajem jak otwarte księgi. Chociaż nie, mam jeszcze jedno pytanie, zanim odejdiesz...

- Słucham.

- Skąd się dowiedziałeś, że czcimy boginię? Floccus ci o tym powiedział? Czy Nikaetomaas?

- Nikt mi nie powiedział. Nie wiedziałem o tym, a teraz, kiedy wiem, nic mnie to nie obchodzi. - Gentle ruszył w stronę Athanasiusa. - Nie boję się twoich bogiń.

Zatrzymał się przy najbliższym posągu i odsłonił go - od gwiazdzistej korony po spowite chmurami stopy. Madonna miała dłonie złożone jak do modlitwy. Pochylił się, tak jak wcześniej Athanasius, i położył rękę na splecionych palcach rzeźby.

- Chociaż nie da się ukryć, że są piękne. Wiem, co mówię. Kiedyś byłem artystą.

- Muszę przyznać, że jesteś silny, maestro. Spodziewałem się, że nasza pani rzuci cię na kolana.

- Najpierw mam klękać przed Hapexamendiose, a teraz przed nią?

- Przed nim - z obowiązku; przed nią - ze strachu.

- Przykro mi, że cię rozczaruję, ale moje nogi należą tylko do mnie. Klękam, kiedy chcę. Jeśli chcę.

- Ty chyba naprawdę wierzysz w to, co mówisz - stwierdził zaskoczony Athanasius.

- Tak, do cholery! Nie mam pojęcia, o co mnie oskarżasz, ale przysięgam ci, że nie ma żadnego spisku.

- Może jesteś tylko bezwolnym narzędziem w jego rękach. Nie wiesz, jaki ma cel.

- Nie, nie, dobrze wiem, co mam zrobić, i nie widzę powodu do wstydu. Jeśli tylko zdołam, przyłączę Piąte Dominium do Imajiki. Chcę, żeby stanowiła jedność; wydawało mi się, że i ty powinienes tego pragnąć. Mógłbyś wybrać się do Watykanu. Tam mają Matek Boskich w bród.

Wiatr, jak gdyby do głębi poruszony jego słowami, z impetem uderzył w płótno, przedarł się do wnętrza namiotu, zerwał kilka całunów i zgasił jedną lampę.

- On cię nie ocali - rzekł Athanasius, najwyraźniej przekonany, że wiatr ma zanieść Gentle'a w bezpieczne miejsce. - Twoja niewiedza też ci nie pomoże, nawet jeśli do tej pory cię chroniła. - Odwrócił się w stronę ciał, którym przyglądał się na początku rozmowy. - Wybacz nam, pani, że robimy to przy tobie.

Te słowa musiały być umówionym sygnałem, bo cztery posągi poruszyły się nagle, usiadły i odrzuciły całuny. Nie były Madonnami, lecz niebytowcami uzbrojonymi w noże o sierpowatych ostrzach. Athanasius spojrział na Gentle'a.

- Czy przed śmiercią przyjmiesz błogosławieństwo naszej pani?

Słyszac za plecami słowa modlitwy, Gentle odwrócił się i ujrzał jeszcze troje zabójców. Dwóch miało takie same niezwykle noże, trzecim była dziewczyna mniej więcej w wieku Huzzah, półnaga, o sarnich oczach. Idąc, odkrywała mijane posągi. Nie było wśród nich dwóch jednakowych - jedno wykuto w kamieniu, inne wyrzeźbiono w drewnie, jeszcze inne odlano z gipsu; niektóre miały ledwie rozpoznawalne kształty, a niektóre wyglądały tak prawdziwie, jakby lada chwila miały zaczerpnąć tchu i wstać. Mimo że przed chwilą Gentle sam dotknął jednego z nich, teraz nogi się pod nim ugięły. Czyżby Athanasius wiedział o maestrach coś, o czym on nie miał pojęcia? Czy podobizna Madonny może osłabiać jego moc, tak jak w poprzednim życiu rozbrajał go widok nagiej - lub rozbierającej się - kobiety?

Może i była w tym jakaś tajemnica, ale nie zamierzał biernie czekać, aż Athanasius go zamorduje. Nabrał powietrza i przyłożył dłoń do ust, patrząc, jak kapłan sięga po broń i rusza w jego stronę. Oddech był szybszy niż ostrze; Gentle wypuścił pneumę pod nogi Athanasiusa, tak że roztrzaskała kamienie i obsypała kapłana odłamkami. Athanasius zatoczył się w tył, wypuścił nóż, przewrócił się i złapał obiema rękami za twarz. Krzyknął - bardziej chyba ze

złości niż z bólu - i nawet jeśli w jego słowach krył się jakiś rozkaz, zabójcy go nie dosłyszeli albo zignorowali. Nie zbliżali się do Gentle'a, gdy szedł w stronę ich rannego przywódcy. W powietrzu unosił się jeszcze szary obłok kamiennego pyłu. Gentle ukucnął przy Athanasiusie i delikatnie odsunął jego dłonie. Z głębokich ran pod lewym i nad prawym okiem - a także z mnóstwa drobnych skaleczeń - tryskała krew, ale żadna nie mogła być groźna dla człowieka, który nosił blizny jak inni biżuterię. Kiedy się zagoją, staną się ozdobą jego kolekcji.

- Odwołaj swoich ludzi, Athanasiusie. Nie przybyłem tu nikogo skrzywdzić, ale jeżeli zostanę do tego zmuszony, zabiję wszystkich, co do jednego. Rozumiesz? - Gentle pomógł kapłanowi wstać. - Każ im się cofnąć.

Athanasius strząsnął jego dłoń z ramienia i przez zalewającą mu oczy krew spojrzął na swoją kohortę.

- Zostawcie go - polecił. - Innym razem się nim zajmiemy.

Zabójcy stojący Gentle'owi na drodze do drzwi rozstąpili się, chociaż nie opuścili broni. Gentle wstał i ruszył do wyjścia. Zatrzymał się jeszcze na chwilę.

- Nie chciałem zabić człowieka, który udzielił mi ślubu - powiedział. - Proszę cię, Athanasiusie, zanim ponownie zaatakujesz, przemyśl sobie, jakie dowody masz przeciwko mnie. Zajrzyj w głąb swojej duszy. Nie jestem twoim wrogiem, chcę tylko uzdrowić Imajicę. Czy twoja bogini nie pragnie tego samego?

Jeśli nawet Athanasius chciał mu coś odpowiedzieć, nie zdążył. Zanim otworzył usta, gdzieś z zewnątrz dobiegł okrzyk, zaraz po nim następny, i jeszcze jeden. Chwilę później rozległ się zwielokrotniony wrzask bólu i strachu, tak zniekształcony wiatrem, że brzmiał jak piskliwy zgrzyt. Kiedy Gentle odwrócił się do drzwi, wichura objęła pokój w posiadanie. Jedna ze ścian wydeła się, wzburzyła i uniosła, jakby szarpnęła ją jakaś olbrzymia dłoń. Niosący wrzaski przerażenia wiatr wpadł do środka i powywracał lampy; oliwa rozlała się na podłogę i buchnęła płomieniem. W blasku ognistych kul Gentle oglądał rozgrywające się dookoła makabryczne sceny. Zabójcy przewracali się jak lampy, nie mogąc oprzeć się sile wichury; jeden nadział się na własny nóż, inny wpadł w ogień i spłonął w mgnieniu oka.

- Co to jest?! - zawołał Athanasius. - Jaką siłę przywołałeś?

- To nie ja - odparł Gentle.

Athanasius piskliwym głosem wykrzyczał jakieś następne oskarżenie, ale jego słowa utonęły w ogólnym zgiełku. Następna ściana została podarta w strzępy, które jak kurtyna uniosły się i odsłoniły obraz rozgrywającej się na zewnątrz tragedii. Burza szalała w całym obozowisku, patrosząc piękną, szkarłatną bestię, w której trzewia Gentle zanurzył się z tak nabożnym lękiem. Wyrывała z ziemi kolejne namioty, rwała płótno na kawałki; liny i kołki

śmigwały dookoła z morderczym impetem. Za ścianą wichury widać było jej źródło: Wybiel, niedawno pozbawiony wszelkiej formy, przetaczał się i burzył tak samo jak niebo, które Gentle oglądał ponad Osią. Wydawało mu się, że ośrodkiem potężnego wiru jest wyrwa w samym sercu Wybielu. Może oskarżenia Athanasiusa nie były takie bezpodstawne; może istotnie - zagrożony mocą Madonn i śmiercią z rąk zabójców - podświadomie przywołał z Pierwszego Dominium jakąś istotę, która teraz próbowała go chronić? Jeśli rzeczywiście tak było, musiał ją odszukać i nad nią zapanować, zanim śmierć kolejnych niewinnych ludzi obciąży jego sumienie.

Ze wzrokiem utkwionym w wyrwę, ruszył prosto w stronę Wybielu. Szedł tą samą drogą, którą wybrała burza. W powietrzu unosiły się resztki namiotów, a wichura wracała do miejsc spustoszonych pierwszym atakiem, by wylapać tych, którzy jeszcze żyli. Porywała ich, ciskała pod niebo jak worki zakrwawionego pierza i rozpruwała, zanim spadli na ziemię. Z góry padał krwawy deszcz. Zbryzgany szkarłatem Gentle szedł uparcie naprzód - o dziwo, siła, która masakrowała ludzi dookoła, jemu nie czyniła najmniejszej krzywdy. Nawet nie próbowała go przewrócić. Co go chroniło? Oddech, który Pie nazwał kiedyś źródłem całej jego magii.

Czarny płaszcz otulał Gentle'a ciasno i - najwyraźniej - osłaniał przed wściekłością żywiołu. Mimo że nie przeszkadzał już w marszu, przydawał mu ciężaru znacznie ponad ludzką miarę.

W pół drogi Gentle obejrzał się za siebie, ciekaw, czy rzeźbione Madonny wykazują jakieś oznaki życia. Mimo wszechobecnego chaosu łatwo odszukał wzrokiem rzekomą kostnicę. Stała w płomieniach, ustawicznie podsycanych wiatrem. W powietrzu gęstym od krwi i szczątków materii rzeźby podniosły się z kamiennych katafalków, otaczając kręgiem Athanasiusa i jego ocalałych podwładnych. Gentle'owi wydawało się, że stanowią wąż osłonę, ale kilku innych niebytowców już czołgało się w ich stronę, nie odrywając oczu od posągów.

Odwrócił się i ruszył na spotkanie Wybielu. Dostrzegł jeszcze jedną postać, która z powodzeniem opierała się wichurze. Mężczyzna w szacie tej samej barwy, co podarte namioty, siedział po turecku na ziemi nie dalej niż dwadzieścia metrów od źródła huraganu. Na głowie miał kaptur, twarz trzymał zwróconą w stronę Wybielu. Gentle'owi przyszło do głowy, że to może być potwór, którego przywołał - bo jeśli nie, jakim cudem zdołał ocaleć, znajdując się tak blisko środka wiru?

Krzyknął, chociaż wątpił, by wśród zgiełku i wycia wiatru wołanie coś dało, ale mnich odwrócił się do niego. Miał łagodną, miłą twarz. Jego policzkom przydałaby się brzytwa, nos

- w przeszłości złamany - można by nastawić i wyprostować, za to oczom niczego nie brakowało. Na widok maestra odmalowała się w nich radość. Mnich uśmiechnął się szeroko, zerwał na równe nogi i uklonił.

- To dla mnie zaszczyt gościć cię tutaj, maestro - powiedział. Nie musiał podnosić głosu, Gentle doskonale słyszał jego słowa. - Widziałeś już mistyfa?

- Odszedł - odparł Gentle, zdając sobie sprawę, że też nie musi krzyżeć. Zupełnie jakby jego głos, podobnie jak ciało, stał się bardziej materialny, cięższy.

- Widziałem to - przytaknął mnich - ale wiem też, że wrócił, maestro. Przebił się przez Wybiel i ściągnął na nas burzę.

- Gdzie? - Gentle rozejrzał się dookoła. - Gdzie jest? - Posłał mnichowi oskarżycielskie spojrzenie. - Znalazłby mnie, gdyby wrócił.

- Próbuje cię znaleźć, wierz mi. - Mnich odrzucił kaptur. Miał przeredzone rude włosy, ale wciąż zachował urok chłopca z kościelnego chóru. - Jest już bardzo blisko, maestro.

Odwrócił się do Wybielu; nie patrzył jednak przed siebie ani na boki, lecz w górę, w głąb trąby powietrznej. Gentle podążył za jego spojrzeniem. Wysoko na wietrze miały się strzępy płótna, szybowwały niepewnie, niczym olbrzymie, poranione ptaki. Obok fruwały kawałki mebli, resztki ubrań i fragmenty ciał. Przez tę chmurę śmiecia przedzierał się jakiś ciemny kształt. Opadał w dół. Mnich podszedł do Gentle'a.

- To mistyf - stwierdził. - Chcesz, żebym cię chronił, maestro?

- Jest moim przyjacielem. Nie potrzebuję ochrony.

- Myślę, że się mylisz.

Mnich wzniosł ręce nad głowę i rozcapierzył palce. Zbliżający się duch na widok tego gestu zwolnił i Gentle mógł mu się dobrze przyjrzeć. Rzeczywiście, miał przed sobą Pie - a w każdym razie coś, co go przypominało. Trudno było powiedzieć, czy ukradkiem, czy na siłę przedarło się przez zaporę Wybielu, w każdym razie niewiele dobrego mu z tego przyszło. Owrzodzenie zaogniło się jeszcze bardziej i rozlało niemal po całym ciele. Mistyf był przejmująco. Chyba nawet wyprucie wnętrzości nie sprawiłoby mu większego bólu.

Zatrzymał się w locie, zawisł nad Gentle'em i mnichem jak zamrożony w locie nurek - z rozpostartymi ramionami i odrzuconą w tył głową (czy raczej tym, co z niej zostało).

- Pie? - odezwał się Gentle. - Ty to zrobiłeś?

Mistyf był jak opętany. Jeśli nawet próbował odpowiedzieć, Gentle nic z tego nie rozumiał.

- Muszę z nim porozmawiać - powiedział, zwracając się do swojego obrońcy. - Jeżeli

przez ciebie tak cierpi, zostaw go w spokoju, na miłość boską!

- Krzyczy tak od samego początku, odkąd wrócił.

- Przynajmniej opuść ręce.

- Zaatakuję nas.

- Jestem skłonny zaryzykować.

Mnich opuścił ręce. Ciemny kształt w powietrzu zwinął się, skręcił i obrócił, ale nie opadł niżej i Gentle zdał sobie sprawę, że spętała go inna siła. Mistyf walczył z mocą Wybielu, który upominał się o niego i kazał wracać, skąd przybył.

- Słyszysz mnie, Pie? - zapytał Gentle.

Bolesne wycie nie milkło.

- Jeżeli możesz mówić, mów!

- On mówi - zauważył mnich.

- Ja słyszę tylko skowyt.

- Wsłuchaj się w słowa.

Mistyf szarpał się coraz bardziej rozpaczliwie, z jego ran ciekła ropa. Cuchnęła zgnilizną i - kiedy skapnęła Gentle'owi na twarz - wżerała się w skórę, ale krzyk stał się bardziej zrozumiały.

- ...Odczyniony... Wszyscy jesteśmy... odczynieni...

- Dlaczego rozpętałeś burzę?

- To nie... ja. Przysłał ją... żeby mnie... zabrała.

- Nadciągnęła z Pierwszego Dominium?

- Taka jest... Jego wola - odparł Pie. - Jego... wola...

Mimo że skulona w męczarniach postać prawie wcale nie przypominała istoty, którą kochał i z którą się ożenił, Gentle rozpoznawał w jej słowach cień dawnego Pie'oh'paha i sam miał ochotę wyc z wściekłości, że musi być świadkiem jego tortury. Przecież po to mistyf odszedł do Pierwszego Dominium, żeby więcej nie cierpieć - tymczasem jego męka wcale się nie skończyła, a w dodatku był wobec niej całkowicie bezsilny. Jedyne, co Gentle mógł dla niego zrobić, to zapewnić go, że go rozumie. Nie kłamał. Wiedział, co Pie próbuje mu przekazać. Przy ich bolesnym rozstaniu mistyf wyczuł jego wahanie, które teraz jednak zniknęło bez śladu. Musiał mu to powiedzieć.

- Wiem, co muszę zrobić - rzekł. - Możesz być spokojny, Pie. Rozumiem. Jestem Pojednawcą. Nie będę uciekał przed przeznaczeniem.

Mistyf szarpnął się jak ryba na haczyku; nie mógł dłużej opierać się rybakowi, który próbował go wciągnąć do Pierwszego Dominium. Drapał paznokciami powietrze, jakby

nabranie w dłonie drobinek kurzu mogło dać mu oparcie, lecz moc, która w pogoń za nim wysłała huragan, trzymała go nadal w uścisku. Duch mistyfa został pociągnięty w stronę Wybielu. Gentle instynktownie sięgnął w jego kierunku mimo ostrzegawczego krzyku mnicha. Mistyf w odpowiedzi wyciągnął rękę; mroczna materia jego ciała oplótła palce maestra, który zadygotał i byłby upadł na ziemię, gdyby mnich go nie podtrzymał. Gentle miał wrażenie, że szpik w kościach rozgorzał mu żywym ogniem; poczuł bijącą od Pie woń zgnilizny, tak jakby śmierć brała ciało w posiadanie od zewnątrz i od środka jednocześnie. Miał ochotę puścić dłoń mistyfa, przestać wsłuchiwać się w jego skowyt, ale zwalczył tę pokusę, desperacko szukając sensu w tych kilku sylabach, które zdołał wychwycić. Trzy z nich składały się na jego imię:

- Sartori...

- Jestem tu, Pie - odparł, przypuszczając, że mistyf już go nie widzi. - Cały czas.

Ale Pie nie jego miał na myśli:

- Ten drugi - powiedział. - Drugi...

- Co z nim?

- On wie. Znajdź go, Gentle. On wie.

Po tych słowach ich palce się rozdzieliły. Pie jeszcze raz wyciągnął rękę, ale w chwili gdy stracił oparcie w Gentle'u, natychmiast padł łupem Wybielu i został wessany w wyrwę, przez którą przybył. Gentle rzucił się za nim w pościg, nie zdawał sobie jednak sprawy, jak bardzo wstrząs wywołany dotykiem Pie poraził jego kończyny; nogi ugięły się pod nim i upadł jak długi na ziemię. Zdażył podnieść głowę w samą porę, by ujrzeć, jak mistyf znika w oku cyklonu. Leżąc, przypomniał sobie, jak pierwszy raz ścigał Pie po pustych ulicach Manhattanu. Wtedy też się przewrócił i podniósłszy głowę widział, jak tajemnica wymyka mu się z rąk nierozwikłana. Wówczas jednak mistyf odwrócił się do niego, odwrócił i przemówił ponad Piątą Aleją dzielącą ich jak rzeka. Dał mu nadzieję, choćby nikłą, że jeszcze się spotkają. Teraz było inaczej. Pie zniknął w Wybielu jak dym zassany przez szparę w drzwiach. Jego skowyt ucichł jak nożem uciął.

- Znowu... - mruknął Gentle.

Mnich przykucnął przy nim.

- Dasz radę wstać? - zapytał. - Czy mam iść po pomoc?

Gentle oparł się na rękach i bez słowa uklęknął. Odkąd mistyk zniknął, wiatr, który towarzyszył jego przybyciu i wyrządził tyle szkód w obozowisku, słabł z każdą chwilą. Z góry posypały się śmieci, do tej pory unoszone przez wichurę. Mnich znów utworzył z rąk barierę ochronną, ale Gentle ledwie zdawał sobie sprawę, co się dzieje. Patrzył na Wybiel,

który na jego oczach przestawał się kotłować. Zanim deszcz szmat, kamieni i ludzkich szczątków ustał, z Wybielu zniknął wszelki ślad ruchu i kształtu, oko znów gubiło się w jego próżni, bezskutecznie szukając punktu zaczepienia.

Gentle wstał i ogarnął spojrzeniem otaczające go z trzech stron pobojowisko. Krąg Madonn, który mignął mu wcześniej, przetrwał burzę nienaruszony, dając schronienie kilkudziesięciu ludziom. Niektórzy modlili się i szlochali na kolanach, inni całowali stopy posągów, jeszcze inni wpatrywali się w Wybiel, skąd nadciągnęła zagłada, z której ocaleli tylko oni, maestro i samotny mnich.

- Widzisz gdzieś Athanasiusa? - zapytał Gentle.

- Nie, ale na pewno żyje. Jest podobny do ciebie, maestro. Wola życia jest w nim zbyt silna, żeby mógł zginąć.

- Wola życia nie ocaliłaby mnie, gdyby ciebie tu nie było. W twoich żyłach płynie prawdziwa moc.

- Może trochę... - przyznał skromnie mnich. - Miałem znakomitego nauczyciela.

- Ja też - szepnął Gentle. - Straciłem go.

Widząc łzy wzbierające w oczach maestra, mnich chciał odejść, ale Gentle go powstrzymał.

- To nic takiego. Zbyt długo już uciekałem od łez. Chciałbym o coś prosić. Nie będę ci miał za złe, jeżeli odmówisz.

- Słucham, maestro.

- Kiedy stąd odejdę, wrócę do Piątego Dominium, żeby przygotować się do Pojednania. Czy zaufasz mi i dołączysz do Synodu? Czy będziesz w nim reprezentował Pierwsze Dominium?

Mnich rozpromienił się cały; wyglądał, jakby nagle lat mu ubyło.

- Jestem zaszczycony, maestro.

- To ryzykowne zadanie - uprzedził go Gentle.

- Nie ono jedno. Ale gdyby nie ty, nie byłoby mnie tutaj.

- Co masz na myśli?

- Jesteś moim natchnieniem, maestro. - Mnich z szacunkiem schylił głowę. - O cokolwiek poprosisz, zrobię wszystko, by nie zawieść twojego zaufania.

- Zatem zostań tutaj. Obserwuj Wybiel i czekaj na mnie. Znajdę cię, kiedy nadejdzie czas.

W słowach Gentle'a brzmiało przekonanie, którego bynajmniej nie czuł w sercu, ale stwarzanie złudzenia pewności siebie najwyraźniej stanowiło część repertuaru każdego

maestra.

- Będę czekał - powiedział mnich.

- Jak się nazywasz?

- Kiedy przystałem do niebytowców, nazwali mnie Chicka Jackeen.

- Jackeen?

- To znaczy: człowiek bezwartościowy.

- Widzę, że wiele nas łączy. - Gentle uściśnął jego dłoń. - Nie zapomnij o mnie, Jackeen.

- Zawsze o tobie pamiętam.

Gentle czuł, że jakiś podtekst słów Jackeena mu się wymyka, ale nie miał czasu na drażnienie tej kwestii. Czekala go trudna, niebezpieczna podróż: do Yzordderrex, a stamtąd do Azylu. Podziękował Jackeenowi za przysługę i zostawiwszy go na skraju Wybielu, klucząc wśród śmiecia, ruszył w stronę kręgu posągów. Ci, którzy ocalili, właśnie zaczęli wyczołgiwać się spod ich osłony; domyślał się, że mają nadzieję znaleźć jakichś rannych w zdruzgotanym obozie. Aż nazbyt często w drodze przez dominia oglądał podobne smutne sceny. Bardzo chciał wierzyć, że działo się tak wskutek zbiegu okoliczności, ale nie powinien sam siebie oszukiwać. Z burzą, która przeszła nad obozem, łączyły go śluby równie trwałe jak z Pie. Może nawet silniejsze, odkąd mistyfa zabrakło.

Jackeen nie mylił się co do Athanasiusa. Przywódca niebytowców stał pośrodku kręgu Madonn w grupie wiernych, wspólnie z nimi zanosząc dziękczynne modły do Matki Boskiej, która ich ocaliła. Kiedy Gentle się zbliżył, Athanasius podniósł głowę. Jedno oko zlepiła mu zakrzepła krew zmieszana z ziemią, za to nienawiść, jaką pałało drugie, wystarczyłaby, żeby oddzielić pół tuzina ludzi. Gentle nie spuścił wzroku. Zatrzymał się, a kapłan zniżył głos do szeptu, nie chcąc, by bluźnierca słyszał słowa modlitwy. Kilka zdań doleciało jednak na granicę okręgu tworzonego przez święte figury. Mimo że posągi bez wątpienia przedstawiały Maryję Dziewicę, najwyraźniej zdaniem niebytowców miała ona jeszcze inne imiona, a może wzywali jej siostry. Usłyszał:

„Uma Umagammagi, Matka Imajica”; usłyszał też imię, które Huzzah zdradziła mu szeptem w podziemnej celi *maison de sante*: Tishalulle. Było i trzecie, którego zrazu nie był pewien, ale wkrótce przekonał się, że się nie myli - Jokalaylau. Athanasius prosił Jokalaylau, żeby przygotowała im miejsce w swoim śnieżnym rajku. Gentle pomyślał z goryczą, że kapłan chyba nigdy nie musiał przemierzać bezmiernego pustkowia gór, skoro wyobrażał je sobie jako rajską krainę.

O ile same nazwy brzmiały dziwnie, o tyle duch, który przenikał wiernych, był

znajomy. Mizerna trzódka Athanasiusa modliła się do tej samej miłosiernej bogini, w której świątyniach w Piątym Dominium codziennie zapalano niezliczone świece. Nawet taki poganin jak Gentle zawsze ją czcił, choć w jedyny znany sobie sposób - uwodził przedstawicielki jej płci, żeby choć na krótko ją posiąść. Gdyby miał kochającą matkę (czy choćby siostrę), może poznałby inne niż żądza formy uwielbienia, głęboko wierzył jednak, że święta pani mu wybaczy - nawet jeśli Athanasius nie da się ubłagać. To było pocieszające. W bitwie, do której zbierał siły, przyda mu się każde wsparcie. Świadomość, że Matka Imajica ma swoje kaplice w Piątym Dominium, w którym bitwa się rozegra, działała kojąco.

Zaimprovizowane nabożeństwo dobiegło końca i wierni rozchodzili się, żeby przeskakać zrujnowany obóz. Athanasius stał nieruchomo, aż zostali przy nim tylko ci, którzy zdążyli się schronić pod opiekę Madonn, lecz mimo to nie przeżyli.

- Podejdz, maestro - odezwał się. - Chciałbym ci coś pokazać.

Gentle wszedł w krąg. Spodziewał się, że Athanasius pokaże mu zwłoki dziecka albo jakiejś pięknej dziewczyny, tymczasem twarz, na którą zwrócił jego uwagę, należała do mężczyzny, i to niemłodego.

- Znałeś go, prawda? - zapytał kapłan.

- Tak. Nazywał się Estabrook.

Charlie miał zamknięte oczy i usta. Nie było po nim widać żadnych poważnych obrażeń, tak jakby jego serce zwyczajnie nie wytrzymało napięcia.

- Nikaetomaas mówiła, że znalazł się tutaj, bo pomyliliście go ze mną - przypomniał sobie Gentle.

- Myśleliśmy, że jest mesjaszem. Kiedy zrozumieliśmy nasz błąd, szukaliśmy dalej, czekając na cud. A zamiast cudu...

- ...doczekaliście się mnie. Nie wiem, czy cię to pocieszy, ale na dobrą sprawę miałeś rację, to przeze mnie rozpętała się ta niszczycielska nawałnica. Nie rozumiem dokładnie, jak do tego doszło, i nie spodziewam się przebaczenia z twojej strony, ale chcę, byś wiedział, że nie sprawiło mi to frajdy. Teraz zależy mi już tylko na tym, żeby śmierć tych ludzi nie poszła na marne.

- Co w związku z tym zamierzasz, maestro? - W jedynym zdrowym oku Athanasiusa wezbrały łzy, gdy patrzył na zwłoki. - Wskrzesisz ich tym, co ci dynda między nogami? Znasz taką sztuczkę? Zerzniesz ich, a oni ożyją?

Gentle odchrząknął z niesmakiem.

- Bo przecież tak się właśnie wam, maestrom, wydaje, prawda? Nie chcecie cierpieć, tylko pławić się w chwale. Dotykasz swoją laską ziemi, a ona rodzi owoce. Chcielibyście,

żeby tak było, ale to niemożliwe. Ziemia pragnie waszej krwi, waszej ofiary. Dopóki temu zaprzeczacie, inni umierają za was. Możesz mi wierzyć, że poderżnąłbym sobie gardło, gdybym mógł w ten sposób wskrzesić tych ludzi. Kłopot w tym, że splątano mi paskudnego figla. Mam dość siły, żeby to zrobić, ale moja krew jest gównem warta. Twoja - to co innego. Nie wiem, dlaczego tak jest, żałuję, ale to fakt.

- Czy Uma Umagammagi chciałaby mojej krwi? A Tishalulle? Albo Jokalaylau? Czy tego właśnie pragną wasze miłościwe, kochające matki?

- Ty do nich nie należysz. Nie wiem, skąd się wziąłeś, bo z pewnością nie narodziłeś się z ich słodkich ciał.

- Skądś jednak muszę pochodzić. - Pierwszy raz w życiu Gentle ubrał tę myśl w słowa.
- Jest we mnie wola. Myślę, że dał mi ją Bóg.

- Nie szukaj jej źródła zbyt wytrwale, maestro. Może się okazać, że twoja niewiedza jest naszą jedyną obroną. Porzuć swoje ambicje, zanim się dowiesz, na co naprawdę cię stać.

- Nie mogę.

- To nie takie trudne. Popełnij samobójstwo, maestro. Podaruj ziemi swoją krew. To największa przysługa, jaką możesz oddać dominium.

W słowach Athanasiusa Gentle usłyszał gorzkie echo listu, który czytał kilka miesięcy wcześniej, w innym, choć nie mniej dzikim świecie. Vanessa napisała: „Zrób to dla wszystkich kobiet tego świata. Poderżnij sobie gardło”.

Czy naprawdę tylko po to przemierzył dominia, żeby rada, której udzieliła mu zdradzona kochanka, wróciła do niego jak bumerang? Tyle czasu walczył o zrozumienie, a na koniec okazał się maestrem równie okrutnym i nieszczerym jak wcześniej kochankiem?

Athanasius wyczytał w jego twarzy, że ostatnie słowa sięgnęły celu. Uśmiechnął się drapieżnie, próbując dobić ofiarę.

- Pospiesz się, maestro. W dominiach i bez twojej pomocy jest dostatecznie dużo sierot. Nie możemy czekać, aż zaspokoisz swoje ambicje kosztem następnych.

Gentle puścił jego słowa mimo uszu.

- Athanasiusie, udzieliłeś mi ślubu z istotą, którą kocham nad życie. Nie zapomnę ci tej łaski.

- Biedny Pie'oh'pah. Kolejna z twoich ofiar. Ileż musi być w tobie jadu, maestro!

Gentle odwrócił się i w milczeniu wyszedł z kręgu, żegnany ponagleniami kapłana:

- Zabij się, maestro. Zrób to dla siebie, dla Pie i dla nas wszystkich. Byle szybko.

*

W kwadrans Gentle wy dostał się ze zdruzgotanego obozowiska na otwarty teren. Miał

nadzieję, że uda mu się znaleźć jakiś pojazd - na przykład samochód Floccusa - którym wróci do Yzordderrex. Gdyby nic mu się nie trafiło, zapowiadała się długa piesza wędrówka, ale nie miał wyboru. Pożar, który zostawił za sobą, przez krótki czas oświetlał mu drogę, potem musiało wystarczyć światło gwiazd. Zapewne przegapiłby samochód, gdyby nie pisk towarzyski Floccusa, Sighshy, która razem z małymi siedziała zamknięta w wozie. Huragan wyrzucił pojazd, toteż Gentle skręcił w jego stronę tylko po to, żeby uwolnić zwierzęta; zanosilo się na to, że i tak musi poszukać innego środka transportu. Kiedy jednak mocował się z klamką, w zaparowanym oknie pojawiła się ludzka twarz. Floccus, który również siedział wewnątrz, przywitał Gentle'a wybuchem radości nie mniej hałaśliwym od skomlenia Sighshy. Gentle wdrapał się na burtę auta, poklął trochę, napocił się, ale wreszcie szarpnięte z całej siły drzwi ustąpiły.

- Jak ja się cieszę, że cię widzę, maestro! - wykrzyknął Floccus. - Bałem się już, że się uduszę.

Ze środka bił taki smród, że Gentle'a dosłownie zatkało. Gdy kierowca wygramolił się na zewnątrz, odór jeszcze się wzmógł. Całe ubranie Floccusa było pokryte warstwą zaskorupałych odchodów Sighshy i szczeniąt.

- Jakżeś tam wlaźł, człowieku? - zdziwił się Gentle.

Floccus przetarł okulary.

- Kiedy Athanasius kazał mi cię przyprowadzić, pomyślałem sobie: Coś tu nie gra, Dado; zmywaj się, póki możesz. Ledwie zdążyłem wskoczyć do samochodu, jak rozszalała się ta wichura. Przewróciła wóz, z nami w środku. Zamki się zacięły, szyby są pancerne... Nie miałem jak wyjść.

- Powinieneś się cieszyć, że tu siedziałeś.

- Też mi się tak wydaje. - Floccus spojrział na zniszczony obóz w oddali. - Co się tam stało?

- Coś przybyło z Pierwszego Dominium w pogoni za Pie'oh'pahem.

- To dzieło Niewidzianego?

- Na to wygląda.

- To nieładnie z jego strony - przyznał Floccus z nadmierną powściągliwością.

Wyjął z auta Sighshy i szczeniaki - dwa młode zginęły, gdy matka je przygniotła - a potem spróbowali z Gentle'em postawić samochód na kołach. Nie było to łatwe zadanie, ale Floccus, choć niski, okazał się całkiem silny i w końcu sobie poradził. Gentle nie ukrywał, że zamierza wrócić do Yzordderrex, nie wiedział jednak, co planuje Floccus, dopóki nie zapuścili silnika.

- Jedziesz ze mną? - zapytał.

- Powinienem tu zostać - odparł Floccus i niepewnie zawiesił głos. - Ale nie radzę sobie z bliskością śmierci.

- O seksie też mówiłeś coś podobnego.

- To prawda.

- Niewiele ci w takim razie zostaje, co?

- Chciałbyś jechać sam, maestro?

- W żadnym razie. Jeśli chcesz, możemy jechać razem, ale ruszmy się już. Zamierzam przed świtem być w Yzorderrex.

- Dlaczego? Co ma do tego świt? - W głosie Floccusa zabrzmiała przesadna nuta.

- Zacznie się nowy dzień.

- I powinniśmy się z tego cieszyć? - upewnił się Floccus, jakby przeczuwał głębiej mądrości w słowach maestra, lecz nie umiał jej do końca pojąć.

- W rzeczy samej, Floccusie. W rzeczy samej. Z nowego dnia i nowej szansy.

- Eee... Jakiej... jaką dokładnie szansę masz na myśli?

- Może uda się zmienić świat.

- Ach tak... naturalnie. Zmienić świat. Od dziś będę się o to modlił.

- Razem ułożymy tę modlitwę. Teraz wszystko musimy wymyślić od nowa: kim jesteśmy, w co wierzymy... Za często podążaliśmy wydeptanymi ścieżkami, zbyt chętnie odgrywaliśmy stare dramaty. Do jutra musimy znaleźć sobie nową drogę.

- Nową drogę.

- Właśnie. Postawmy sobie taki cel, dobrze? Zanim wzejdzie kometa, staniemy się nowymi ludźmi.

Nawet w słabym świetle gwiazd widać było, że Floccus się waha.

- Mamy mało czasu - zauważył.

Gentle w duchu przyznał mu rację. W Piątym Dominium zbliżało się letnie przesilenie, a choć nie rozumiał jeszcze wszystkich powodów, wiedział, że właśnie tego dnia musi dojść do Pojednania. Co za ironia losu, pomyślał. Przebalował kilka ludzkich żywotów, uganiając się za przyjemnościami, a czas, jaki został mu na naprawienie tego błędu, mierzyło się w godzinach.

- Wystarczy - odparł na głos.

Liczył na to, że rozwieje wątpliwości Floccusa i przytłumi własne, w głębi serca wiedział jednak, że nie osiągnie ani jednego, ani drugiego.

ROZDZIAŁ 42

1

Ze snu, w który zapadła na wonnym królewskim łożu, obudził ją nie dźwięk - przywykła już do dobiegającego z ulic jazgotu, który nie milkł nawet w nocy - lecz dziwny niepokój; zbyt delikatny, by rozpoznała jego źródło, zbyt natarczywy jednak, żeby go zignorować. Coś ważnego stało się w tym dominium i choć Jude przebudziła się jeszcze otumaniona rozkoszą, nerwy nie pozwoliły jej przyłożyć głowy z powrotem do poduszki. Z pulsującą bólem głową wygramoliła się z łóżka i poszła szukać siostry. Concupiscentia przy drzwiach uśmiechnęła się ukradkiem. Jude miała wrażenie, że pamięta ją z któregoś ze snów, ale wspomnienie tonęło we mgle, a złe przecucia, które kazały jej wstać, były ważniejsze od niedawnych fantazji. Quaisoir siedziała przy oknie w ciemnym pokoju.

- Coś cię obudziło, siostrze? - zapytała, słysząc kroki Jude.

- Tak, chociaż właściwie nie wiem co. Może ty mi powiesz?

- Coś się stało na pustyni - odparła Quaisoir i odwróciła się do okna, chociaż nie mogła przez nie nic zobaczyć. - Coś bardzo doniosłego.

- Możemy się dowiedzieć czegoś więcej?

- Nie ma na to łatwego sposobu - westchnęła Quaisoir.

- A trudny?

- Owszem. Pod Wieżą Osi...

Concupiscentia, która zakradła za Jude aż tutaj, na dźwięk tej nazwy chciała wyjść z pokoju. Nie była jednak dość szybka ani wystarczająco dyskretna i Quaisoir wezwała ją do siebie.

- Nie bój się - powiedziała. - Nie musisz z nami wchodzić. Tylko weź ze sobą lampę, dobrze? I coś do jedzenia i picia. Możemy tam zabawić dłużej.

*

Odkąd Jude i Quaisoir schroniły się w królewskich komnatach, minęło półtora dnia. Do tego czasu wszyscy pozostali mieszkańcy pałacu pouciekali, niewątpliwie ze strachu przed gorączką powstańczą, która miała oczyścić gmach ze wszystkich śladów autarchy - w

tym także z jego biurokratów. Uciekli więc, ale ich miejsca wcale nie zajęli fanatycy. Jude słyszała przez sen hałasy na dziedzińcach, lecz wszystko rozgrywało się daleko od pokojów królowej. Albo gniew, który poruszył rewolucyjną lawinę, chwilowo się wyczerpał i buntownicy odpoczywali przed szturmem na pałac, albo w ogóle stracili zapal i powyrzynali się nawzajem w walce o prawo pierwszeństwa w plądrowaniu miasta. Skutek był jeden: pałac, który mógł pomieścić tysiące ludzi - służących, żołnierzy, gryzipiórków, kucharzy, lokajów, gońców, oprawców i majordomów - opustoszał i kiedy szły przez niego (Jude podążała za światłem lampy Concupiscentii, prowadząc Quaisoir), wyglądały jak trzy drobinki życia zagubione w przeogromnej mrocznej maszynie. Ciszę mącił tylko tupot ich stóp i naturalne dźwięki tej zwalnianej maszynierii: rury z ciepłą wodą pstrykały cicho, gdy gasł ogień w zasilających je piecach; miotane wiatrem okiennice rozbijały się w drzazgi o mury pustych pokojów; złe psy szczekały jak opętane i gryzły smycze. Bały się, że ich panowie mogą już nie wrócić - i miały rację. Piece wystygną, okiennice się porozpadają, a psy, wyszkolone w zadawaniu śmierci, doczekają chwili, gdy śmierć sama do nich przyjdzie. Panowanie maestra Sartoriego dobiegło końca, a nowa epoka jeszcze się nie zaczęła.

Kiedy po drodze Jude zapytała o miejsce, do którego się udają, Quaisoir opowiedziała jej historię Osi. Żadne machinacje autarchy mające na celu okiełznanie Imajiki - ani obalenie wielkich religii i nieprzyjaznych rządów, ani szczucie władców przeciw sobie nawzajem - na nic by mu się nie zdały, mówiła królowa. Nie utrzymałby się na szczycie nawet przez dziesięć lat, gdyby nie jedno genialne posunięcie. Kazał ukraść i przenieść do centrum swojego imperium najpotężniejszy symbol władzy we wszystkich dominiach. Sam Hapexamendios postawił Oś w środku Imajiki. Najwyraźniej pozwolił autarsze dotknąć jej - a nawet ją przenieść - co dla wielu mieszkańców dominiów było dowodem, że choć nienawidzą Sartoriego, nie mają szans go obalić, był przecież bożym pomazańcem. Nawet Quaisoir nie miała pojęcia, jaką moc ma Oś.

- Bywały chwile, gdy tak naćpał się kreauchee, że opowiadał o niej, jakby byli sobie poślubieni, jakby to on był jej żoną. Powtarzał to nawet, kiedy się kochaliśmy; mówił, że Oś wnika w niego tak samo, jak on we mnie. Później zawsze temu zaprzeczał, ale nie potrafił przestać o niej myśleć. Wszyscy mężczyźni są tacy.

Jude dała wyraz swoim wątpliwościom.

- Ależ oni chcą, żeby ktoś ich posiadał - odparła Quaisoir. - Pragną, by przeniknął ich jakiś Duch Święty. Posłuchaj ich modłów.

- Rzadko mam okazję.

- Jeszcze je usłyszysz, niech no tylko dymy opadną. Będą przerażeni, gdy okaże się, że

autarcha zniknął. Nienawidzili go, ale jego brak okaże się jeszcze gorszy.

- Wystraszeni mogą być niebezpieczni - stwierdziła Jude. Zauważyła, że podobne słowa mogłaby usłyszeć od Clary Leash. - Wcale nie pobożni.

Zanim Quaisoir podjęła swoją opowieść, idąca przodem Concupiscentia zatrzymała się i zaczęła mruczeć pacierz pod nosem.

- To tutaj? - zapytała królowa.

Służąca przerwała modlitwę i przytaknęła. Ani drzwi, przed którymi stanęły, ani kręcone schody po bokach niczym szczególnym się nie wyróżniały; były olbrzymie, co w tym gmachu oznaczało - zwyczajne. Minęły już dziesiątki podobnych przejść w stygnących trzewiach pałacu. Tym razem jednak widać było, że Concupiscentia trzęsie się ze strachu.

- Czy stąd jest już blisko do Osi? - spytała Jude.

- Wieża wznosi się dokładnie nad naszymi głowami - odrzekła Quaisoir.

- To nie idziemy do niej?

- Nie. Oś najprawdopodobniej zabiłaby nas obie. W podziemiach pod wieżą jest jednak komnata, do której spływają zbierane przez Oś wieści. Często do niej zaglądałam. Nigdy się o tym nie dowiedział.

Jude puściła rękę Quaisoir i podeszła do drzwi, usiłując nie dać po sobie poznać, jaka jest zła. Więc jednak nie zobaczy Osi, wspaniałego tworu wzniesionego ponoć boską ręką. Mimo ostrzeżeń królowej nie mogła mieć pewności, dopóki nie spróbuje. Może straszne pogłoski to jedynie wymysł autarchy? Dzięki nim cieszył się Osią w samotności. Świetnie mu się żyło pod jej ochroną. Co mógłby zrobić inny człowiek, gdyby zyskał jej błogosławieństwo? Zmienić noc w dzień?

Przekreśliła klamkę i otworzyła drzwi. Ze środka powiało chłodem i stęchlizną. Zabrała Concupiscentii lampę i podniosła ją do góry. Za drzwiami zaczynał się wąski korytarz o pochyłej podłodze i wygładzonych do połysku ścianach.

- Mam zaczekać, pani? - spytała służąca.

- Daj nam jedzenie i zostań tutaj - odparła Quaisoir. - Dopiero gdybyś kogoś zobaczyła lub usłyszała, wejdź do środka i zawiadom nas. Wiem, że to nie będzie dla ciebie miłe, ale musisz być dzielna. Rozumiesz, skarbie?

- Tak, pani. - Concupiscentia podała jej butelkę i zawiniątko z prowiantem.

Quaisoir wzięła Jude pod ramię i razem weszły w korytarz. Pałacowa machina najwyraźniej była jeszcze częściowo sprawna; zamknięcie drzwi spowodowało zamknięcie jakiegoś obwodu i poczuły na skórze drżenie powietrza. Drżenie i szept.

- To one - powiedziała Quaisoir. - Wiadomości.

Jude uznała, że to zbyt cywilizowane słowo. W korytarzu panował przyciszony chaos, jakby mieszały się w nim głosy z tysiąca stacji radiowych wylapywanych szybko obracającym pokrętelem odbiornika. Podniosła lampę i spojrzała do przodu. Korytarz kończył się dziesięć metrów dalej, ale szum z każdym krokiem narastał - nie stawał się głośniejszy, lecz coraz bardziej złożony, jak gdyby ściany dostrajały się do coraz to nowych fal. Żadna stacja nie nadawała muzyki; czasem rozbrzmiewał gwar wielu głosów, czasem słowa jednej osoby, szloch, krzyki i recytacje.

- Co to za hałas?

- Oś wyczuwa każdą drobinę magii w dominiach, słyszy każdą inwokację, spowiedź, przysięgę na łożu śmierci. Dzięki temu Niewidziany wie, jakich innych bogów czczą mieszkańcy Imajiki. I jakie boginie.

- Podsluchuje umierających? - Jude była zdeglustowana.

- Jest wszędzie tam, gdzie śmiertelnik przemawia do bóstwa. Nieważne, czy to bóstwo odpowie na modlitwy ani czy w ogóle istnieje. On słyszy.

- Tu też?

- Nie, dopóki nie zaczniesz się modlić.

- Nie zamierzam.

Doszły do końca korytarza. Zrobiło się chłodniej. Ściany rozbrzmiewały tysiącami głosów. W świetle lampy ukazał się pokój o kształcie dużej miski i średnicy nieco ponad pięciu metrów. Ściany miał tak samo wypolerowane jak korytarz. Pośrodku podłogi znajdował się przykryty kratą otwór - jak ściek pod rzeźnickim stołem: tamtędy wypływały strzępki modlitw niesione łzami radości lub wyrwane z serc żałobników. Wsiąkały w głąb góry, na której zbudowano Yzordderrex. Jude nie potrafiła się pogodzić z tym, że pacierze można zgromadzić, przeanalizować, a potem splukać do rynsztoka jak czysto materialne twory. Zdawała sobie sprawę, że wszystkiemu winien jest świat, w którym mieszkała, świat pozbawiony radości transformacji. Wiedziała już, że nie ma rzeczy tak namacalnych, by nie dało się ich odcieleścić; nie ma też nic duchowego, co by nie istniało w świecie materialnym. Po jakimś czasie modlitwa mogła stać się ciałem, a myśl (którą do czasu zdarzenia z błękitnym okiem uważała za uwięzioną w głębi czaszki) szybować swobodnie jak ptak, oglądając świat z dala od tego, kto ją splodził; pająk umiał odczytać ludzkie ciało, jeśli tylko znalazł do niego szyfr, ciało zaś przenosiło się między światami jak rysunek wykreślony w umyśle kierującym teleportacją. Wszystkie te tajemnice składały się na spójny system, którego prawideł na razie nie udało się jej odkryć. Jedna forma przechodziła w drugą, ta w następną, tamta w jeszcze następną, tworząc wspaniały cykl przemian, których sumę

stanowiła esencja istnienia.

Nieprzypadkowo właśnie tutaj Jude dostrzegła tę możliwość. Mimo że na razie nie rozróżniała dobiegających zewsząd głosów, wyczuwała, że czegoś od niej chcą. Puściła ramię Quaisoir i wyszła na środek komnaty. Postawiła lampę na ziemi, przy odpływie. Rozumiała, że przybyła tu w konkretnym celu, którego musiała się trzymać, by potok modlitw nie uniósł jej myśli w dal.

- Co trzeba zrobić, żeby je zrozumieć? - spytała.

- To musi potrwać - odparła jej siostra. - Nawet ja potrzebuję czasu. Wyrysowałam na ścianach symbole stron świata. Widzisz je?

Widziała - niezdarne znaki wyryte w lśniącej powierzchni.

- Wybiel znajduje się na północny zachód stąd. Zwracając się w jego kierunku, częściowo się dostroimy. - Quaisoir rozłożyła ręce jak duch. - Zaprowadź mnie na środek pokoju.

Jude spełniła jej prośbę i obie odwróciły się w stronę Wybielu. Niewiele jej to pomogło, chaos wcale nie zmniejszył. Quaisoir natomiast opuściła ramiona i, kręcąc lekko głową, z natężeniem wsłuchiwała się w głosy. Upłynęło kilka minut. Jude nie odzywała się, żeby nie przeszkadzać. W końcu jej cierpliwość została nagrodzona.

- Modlą się do Madonny - szepnęła Quaisoir.

- A kto?

- Niebytowcy. Na skraju Wybielu. Dziękują za ocalenie i proszą, żeby przyjęła dusze zmarłych do raju.

Quaisoir umilkła, a Jude, mając z grubsza pojęcie, czego nasłuchiwać, starała się filtrować napływające jej do głowy wiadomości. Jednak mimo że była już w stanie wyłowić pojedyncze słowa i zdania, na żadnym nie umiała się skupić dość długo, by złożyć je w sensowną całość. Po dłuższej chwili Quaisoir wzruszyła ramionami.

- Teraz są już tylko strzępki - stwierdziła. - Pewnie znajdują ciała. Słysząc szloch i przekleństwa.

- Wiesz, co się stało?

- Minęło już trochę czasu; modlitwy dotarły do Osi przed paroma godzinami. Ale z całą pewnością wydarzyła się jakaś tragedia. Jest mnóstwo ofiar.

- Tak jakby zagłada, która dosięgła Yzordderrex, rozprzestrzeniła się.

- Może... Zjemy coś?

- Tutaj?

- A czemu nie? Na mnie ten szmer działa kojąco. - Quaisoir oparła się o Jude i

przykucnęła. - Przyzwyczaisz się do niego; może nawet od niego uzależnisz. A skoro o uzależnieniach mowa... Gdzie jest jedzenie?

Jude włożyła jej do rąk pakunek.

- Mam nadzieję, że moja mała zapakowała trochę kreauchee - dodała Quaisoir.

Mocnymi palcami rozdarła materiał, włożyła dłonie do środka. Podążyła Jude jakieś owoce, trzy bochenki razowego chleba, mięso. Na końcu z jękiem radości wydobyła paczuszkę, której nie oddała Jude. Obwąchała ją.

- Bystra mała. Wie, czego mi trzeba.

- To jakiś narkotyk? - spytała Jude, odkładając jedzenie na bok. - Nie chcę, żebyś go brała. Jesteś mi potrzebna; nie pora na odloty.

- Chcesz mi zabronić przyjemności? Po tym, jak spałaś w moim łóżku? Tak, tak, słyszałam, jak jęczysz i wzdychasz. Kogo sobie wyśniłaś?

- To moja sprawa.

- A to - moja. - Quaisoir odwinęła papier, którym Concupiscentia starannie opakowała sześciościenne grudkę kreauchee. Wyglądało apetycznie, przypominało cukierek. - Możesz moralizować, siostrze, bo nie masz żadnych nałogów. Ale ja i tak nie będę cię słuchać.

Włożyła do ust całą porcję i z zadowoleniem zaczęła żuć. Jude znalazła sobie tymczasem bardziej tradycyjny pokarm. Wybrała owoc, który wyglądał jak karłowaty ananas. Smakował też podobnie - sok miał kwaskowy, ale miąższ bardzo smaczny. Potem sięgnęła po chleb i pokrojone w plastry mięso. Pierwsze kęsy pobudziły jej apetyt i jadła z zapałem, splukując pożywienie gorzkawą wodą z butelki. Natłok głosów, który w pierwszej chwili wydał się jej nie do zniesienia, nie wytrzymał konkurencji z cielesnymi doznaniem po spożyciu owocu, chleba, wody i mięsa - rozbrzmiewał w tle i nie myślała o nim, dopóki nie skończyła jeść. Kreauchee zdążyło już zadziałać na Quaisoir, która kołysała się w przód i w tył, jakby kołysana falami niewidocznego przypływu.

- Słyszysz mnie? - zapytała ją Jude.

- Podejź bliżej - odparła po chwili milczenia Quaisoir. - Pocałuj mnie; podzielimy się kreauchee. Z ust do ust, z umysłu do umysłu.

- Nie chcę cię całować.

- Dlaczego? Czy tak bardzo się nienawidzisz, że nie chciałabyś się ze mną kochać? - Quaisoir uśmiechnęła się na myśl o perwersyjnej logice tego pytania. - Robiłaś to kiedyś z kobietą?

- Nie przypominam sobie.

- Ja tak, w Bastionie. Było lepiej niż z mężczyzną. - Quaisoir wyciągnęła przed siebie

ramiona i złapała Jude za rękę z taką pewnością, jakby wcale nie była niewidoma. - Zmarzłaś.

Jude odsunęła się od niej.

- Nie, to ty masz gorączkę.

- Wiesz, dlaczego tu jest tak zimno, siostrzo? Wieje chłodem z czeluści pod miastem, w której przepadł fałszywy Odkupiciel.

Jude spojrzała w dół, na kratę w podłodze. Wzdrygnęła się. Gdzieś tam leżeli umarli.

- Masz skórę zimną jak trup - ciągnęła Quaisoir śpiewnie, kołysząc się w rytm słów. - I serce z lodu. Moja biedna siostrzyczka. Umarła za życia.

- Mam tego dość! - Do tej pory udawało się Jude zachować spokój, ale gadanina Quaisoir wyprowadziła ją z równowagi. - Zostawię cię tutaj, jeśli się nie zamkniesz.

- Nie rób tego. Chcę, żebyś została i kochała się tu ze mną.

- Już ci powiedziałam...

- Z ust do ust. Z umysłu do umysłu.

- Powtarzasz się.

- Taki stworzono ten świat. Zapętłony, powtarzalny. - Quaisoir przytknęła dłoń do ust, jakby chciała je zasłonić, i uśmiechnęła się złowieszczo. - Nie ma wejścia i nie ma wyjścia. Tak mówi bogini. Kiedy się kochamy, poruszamy się w koło...

Drugi raz bezbłędnie złapała Jude za rękę - i drugi raz Jude uwolniła się z uścisku. Quaisoir prowadziła z nią jakąś własną, egoistyczną grę. Dwa identyczne ciała zamknięte w kręgu. Czy naprawdę tak wygląda świat? Jude poczuła, że jest w pułapce, z której postanowiła natychmiast się uwolnić.

- Nie mogę tu zostać - stwierdziła.

- Ale wrócisz?

- Tak, wkrótce.

W odpowiedzi usłyszała kolejną powtórkę:

- Ale wrócisz...

Nie tracąc czasu na odpowiedź, wróciła do korytarza i otworzyła drzwi. Concupiscentia drzemała na parapecie; światło brzasku podkreślało miękkie kontury jej ciała. Jude zdziwiła się, widząc, że świt jest tak blisko; była przekonana, że do wschodu komety pozostało jeszcze kilka godzin. Musiała być bardzo zdezorientowana, skoro spędziła z Quaisoir nie minuty, jak sądziła, lecz godziny na słuchaniu modlitw, jedzeniu i dyskusji.

Wyjrzała przez okno na skryte w półmroku dziedzińce. Gdzieś poniżej, za załomem muru, ptaki przebudziły się i zerwały do lotu. Wystrzeliły wprost w jaśniejące niebo, a ona podążyła za nimi wzrokiem, patrząc w górę Wieży Osi. Quaisoir nie powiedziała wyraźnie,

czego powinna się w wieży obawiać; ale czy mimo gadania o miłości między kobietami nie była wciąż niewolnicą mitu człowieka, który uczynił ją królową Yzordderrex? Czy w związku z tym nie uważała, że skoro nie pozwalał jej zapuszczać się do wieży, to coś mogło jej tam grozić? Jude uznała, że lepsza okazja do sprawdzenia tej mitologii już się nie nadarzy. Wstawał nowy dzień, a siła, która wyrwała Oś z ziemi, przeniosła ją tutaj i obudowała murem - odeszła z miasta.

Schody zakreśliły i Jude znalazła się w całkowitej ciemności. Szła naprzód tak samo ślepa jak siostra, którą zostawiła w podziemiach. Opierała się o zimną ścianę, ale po jakichś trzydziestu krokach namacała w niej drzwi, ciężkie i masywne, tak że z początku uznała, iż muszą być solidnie zamknięte. Zaparła się jednak i pchnęła z całej siły. Za nimi znajdował się korytarz, w którym było więcej światła niż na schodach, choć i tak widziała najwyżej na dziesięć metrów. Nie odrywając dłoni od ściany, z największą ostrożnością ruszyła dalej. Korytarz dawniej kończył się drzwiami - wyrwane z zawiasów i potrzaskane leżały na podłodze komnaty, której kiedyś strzegły. Zatrzymała się, nasłuchując; nie wiedziała, czy ten, kto je zniszczył, nie czai się w pobliżu. Nic się nie poruszało, weszła więc do środka, gdzie jej wzrok przyciągnęły odchodzące w lewo schody. Skręciła na nie i poszła dalej do góry. Najpierw znowu zrobiło się całkiem ciemno, a potem mrok przebiła blada smuga światła. Schody kończyły się przed lekko uchylonymi drzwiami.

Przystanęła. Nie czuła żadnych ewidentnych emanacji mocy (atmosfera była niemalże sielska), ale nie miała wątpliwości, że potęga, z którą chciała się zmierzyć, czeka na nią za tymi właśnie drzwiami. I że prawie na pewno jest to świadomy byt. Może ten spokój był tylko pozorny, może cisza i łagodne światło miały uspić jej czujność, ale jeżeli Oś chciała ją zwabić do siebie, musiała mieć jakiś powód. A jeśli nie - jeśli była równie martwa i niema jak kamienne schody - to Jude nie miała nic do stracenia.

- Przekonamy się, z czego jesteś zrobiona - powiedziała, rzucając wyzwanie i Osi, i sobie samej. Podeszła do drzwi.

2

Chociaż do wieży prowadziły zapewne dziesiątki krótszych dróg niż ta, którą przeszli z Nikaetomaas, Gentle wolał próbować odtworzyć ją z pamięci, niż iść na skróty i zabłądzić w pałacowym labiryncie. Rozstał się z Floccusem, Sighshy i szczeniakami przy Bramie

Dwóch Świętych i zagłębił się w sieć korytarzy. Z każdego okna sprawdzał, gdzie znajduje się Wieża Osi.

Świt był blisko. Ptaki ze śpiewem zrywały się z gniazd w krużgankach, śmigały ponad dziedzińcami, nie bacząc na gryzący dym, który tego ranka zastąpił mgłą. Wprawdzie Gentle zdołał się trochę zdrzemnąć, kiedy jechali z Wybielu do miasta, ale czuł, że przenikające do szpiku kości zmęczenie wkrótce go pokona - tym szybciej chciał więc załatwić to, co miał do zrobienia. Wrócił do Yzordderrex z dwóch powodów. Przede wszystkim zamierzał dokończyć zadanie, od którego oderwało go pojawienie się Pie i późniejsze próby uratowania go - chciał zabić Sartoriego. A potem, bez względu na to, czy uda mu się znaleźć go w pałacu, wróci do Piątego Dominium; Sartori wspomniał, że tam właśnie chciałby zbudować Nowe Yzordderrex. Gentle był przekonany, że odkąd jest świadomym swojej mocy maestrem, nie powinien mieć problemu z powrotem - i to nawet bez mistyfa, który wskazałby mu drogę. Z pewnością wygrzebie z pamięci jakiś sposób przemieszczania się między dominiami.

Ale najpierw Sartori. Minęły dwa dni, odkąd pozwolił mu uciec, miał jednak nadzieję, że autarcha wciąż pomieszkuje w pałacu. Porzucenie własnoręcznie stworzonego gniazdka, w którym każde jego słowo było rozkazem, a każdy czyn powodem do uwielbienia ze strony podwładnych, musiało być bolesne. Dlatego Gentle spodziewał się, że Sartori zabawi jeszcze trochę w domu i nie będzie zbytnio oddalał się od Osi, która czyniła z niego niekwestionowanego władcę wszystkich dominii.

Właśnie zaczął się w duchu przeklinać za gapiostwo, gdy trafił do komnaty, w której Pie został ranny. Rozpoznał ją od razu, tak jak rozpoznał drzwi prowadzące do sali Osi. Zatrzymał się i pozwolił sobie na chwilę zadumy, ale nie myślał o czułych słówkach, jakie wymieniali z Pie, lecz o ostatnich słowach, które mistyf wypowiedział w bólu, tuż przed tym, jak Wybiel go zagarnął:

- Sartori... Znajdź go. On wie...

Cokolwiek wiedział Sartori - a Pie przypuszczalnie miał na myśli plany spisku przeciw Pojednaniu - Gentle był gotów zrobić wszystko, co okaże się konieczne, by wydusić z autarchy te informacje, nim zada mu śmiertelny cios. Skrupuły nie wchodziły w grę. Jeżeli okaże się, że musi połamać Sartoriemu wszystkie kości, i tak będzie to nic w porównaniu ze zbrodniami, których dopuścił się autarcha. Gentle z przyjemnością się nim zajmie.

Myśli o torturach - i o radości, jaką by z nich czerpał - wyrwały go z transu. Przestał szukać równowagi wewnętrznej; z sercem pełnym jadu zagłębił się w korytarz, otworzył drzwi i wszedł do wieży. Zrobił się już późny ranek i kometa wspięła się wysoko na niebo, ale niewiele jej światła przenikało do wnętrza budowli. W półmroku widać było odchodzące

we wszystkich kierunkach korytarze. Gentle szedł ostrożnie naprzód.

W tym labiryncie nieprzyjaciele mogli kryć się w każdej komnacie. Był trochę ociążały ze zmęczenia, ale bez przeszkód dotarł do schodów wiodących w górę silosu. Wszedł na stopnie. Pamiętał, że drzwi u szczytu schodów otwierał odcisk kciuka Sartoriego; wiedział, że będzie musiał otworzyć je w ten sam sposób. Palce mieli identyczne, aż do najmniejszego zakrzywienia linii papilarnych.

Drzwi zostały otwarte; ktoś wszedł do środka. Gentle zatrzymał się dziesięć kroków od progu i wstrzymał oddech. Musiał szybko unieszkodliwić przeciwnika - jedna pneuma w prawą rękę, druga w lewą. Nabrał powietrza w płuca i pobiegł do drzwi.

Jego nieprzyjaciel stał pod Osią i wyciągał w jej stronę wzniesione ramiona. Był w cieniu. Gentle podniósł pięść do ust, dmuchnął. Kiedy powietrze wypełniło jego dłoń, rzekomy Sartori odezwał się. Kobięcym głosem. Gentle zrozumiał swoją pomyłkę i zacisnął pięść, lecz pneuma wyrwała mu się spomiędzy palców, rozdrobniona, choć wcale nie osłabiona. Jej fragmenty pofrunęły we wszystkie strony - jedne pomknęły po ścianach silosu, inne śmignęły w górę Osi, inne zgasły w jej cieniu. Kobieta krzyknęła ze strachu i cofnęła się pod przeciwległą ścianę, gdzie światło dosięgło jej doskonałych kształtów. To była Judith. Takie w każdym razie miał wrażenie. Raz już widział tę twarz w Yzordderrex - i wtedy się pomylił.

- Gentle? - spytała. - To ty?

Głos też pasował, ale przecież Gentle obiecał Roxboroughowi, że kopia będzie nie do odróżnienia od oryginału.

- To ja - dodała. - Jude.

Prawie dał się przekonać. Ostatnie słowo brzmiało tak prawdziwie, że żadne złudzenie wzrokowe nie mogłoby się z nim równać. Nikt z adoratorów nie nazywał jej Jude. Nikt poza Gentle'em. Niektórzy mówili „Judy”, inni „Juju” - ale nigdy Jude. On wymyślił to zdrobnienie i chyba z nikim nie musiał się nim dzielić.

Opuścił dłoń, powtórzył jej imię. Widząc uśmiech na jego twarzy, podeszła bliżej, znikając w cieniu Osi. Ten ruch ocalił jej życie; w sekundę po tym, jak odsunęła się od ściany, w tym właśnie miejscu spadł olbrzymi kawał kamienia odłupany gdzieś wysoko siłą pneumy. Zaraz po nim ze wszystkich stron sypnął zabójczy deszcz odłamków, ale Oś chroniła ich oboje. W jej cieniu objęli się i pocałowali, jak gdyby rozstali się nie kilka tygodni temu, ale znacznie dawniej, w innym wcieleniu - co na dobrą sprawę było prawdą. Łoskot kamieni (choć spadły dosłownie kilka metrów od nich) w cieniu brzmiał słabo i nie zagłuszał ich szeptów. Jude ujęła twarz Gentle'a w dłonie.

- Tęskniłam... - powiedziała łagodnym, ciepłym głosem, jakże miłym po poprzednich oskarżeniach i gniewie. - Śniłam nawet o tobie...

- Opowiedz mi o tym. - Gentle przytknął wargi do jej warg.

- Później. - Oddała pocałunek. - Mam ci tyle do opowiedzenia...

- Ja tobie też.

- Może znajdziemy sobie jakąś lepszą kryjówkę?

- Tu jesteśmy bezpieczni.

- Jak długo?

Gruz wciąż sypał się z góry. Skala zniszczeń dalece przewyższała uwolnioną przez Gentle'a moc, tak jakby Oś wchłonęła pneumę i wielokrotnie ją wzmocniła. Może wiedziała (jak mogłaby nie wiedzieć?), że odszedł człowiek, który ją spętał, i chciała wydostać się z więzienia, które dla niej zbudował? Sądząc po rozmiarach walących się na ziemię kamiennych płyt - podłoga pękała pod ich uderzeniami - rozpad wieży postępował w szalonym tempie.

- Mój Boże! - krzyknęła Jude. - Quaisoir!

- Co? Kto?

- Jest tam, na dole! - Jude patrzyła bezradnie na poszerzające się szpary w posadzce. - Pod nami jest komnata, w której została Quaisoir!

- Pewnie dawno uciekła.

- Nie! Naćpała się kreauchee. Musimy po nią zejść!

Podeszła do skraju ich schronienia, ale zanim zdecydowała się przebiec do otwartych drzwi, nowy grad kamieni zawalił jej drogę. Gentle zauważył, że sypią się nie tylko kawałki wieży. Wśród gruzu widniały spore odłamki Osi. Co chciała osiągnąć? Unicestwić siebie samą? Czy raczej zrzucić starą skórę i odsłonić rdzeń? W każdym razie schronienie w jej cieniu z każdą chwilą stawało się coraz bardziej niepewne. Szczeliny w podłodze miały już po trzydzieści centymetrów szerokości i rosły w oczach. Zawieszony w powietrzu monolit drżał, jakby wysiłek związany z utrzymaniem się nad ziemią był ponad jego siły. Lada chwila Oś mogła runąć im na głowy. Nie mieli wyboru, musieli zaryzykować i wystawić się na kamienny grad.

Gentle rozpaczliwie szukał w pamięci jakiegoś sposobu ochrony - i przypomniał sobie Chicę Jackeena, jak stał na skraju Wybielu i wzniesionymi rękoma osłaniał ich obu przed deszczem szczątków. Czy i on to potrafi? Nie czekając, aż pojawią się wątpliwości, wzorem Jackeena podniósł ręce nad głowę, rozczapierzył palce i wyszedł z cienia Osi. Rzut oka w górę potwierdził jego podejrzenia, że Oś się rozpada, i uświadomił mu skalę ryzyka.

Powietrze zgęstniało od kurzu, ale widział, jak z potężnej kolumny odłupują się kamienne drzazgi zdolne zmiążyć ich oboje. Na szczęście zapora wytrzymała. Metr nad jego głową wielkie skalne bloki rozłupywały się na kawałeczki, które osypywały się po chroniącym go niewidzialnym kloszu. Czuł każde uderzenie jako wstrząs w nadgarstkach, łokciach i barkach, i wiedział, że tę sztukę może podtrzymywać zaledwie przez parę chwil. Na szczęście Jude błyskawicznie zrozumiała jego zamiar i doskoczyła do niego. Od drzwi dzieliło ich mniej więcej dziesięć kroków.

- Prowadź mnie - powiedział Gentle. Bał się, że jeżeli odwróci wzrok, zdekoncentruje się i osłabi moc sztuki.

Jude go objęła. Kiedy szli, mówiła mu, gdzie ma stawiać stopy, żeby ominąć kamienie, i ostrzegała o miejscach, gdzie gruzu było tak dużo, że musieli w nim brnąć. Szli bardzo wolno, Gentle'owi słabły ręce; kiedy dotarli do drzwi, dłonie miał tuż nad głową, ale wytrzymał. Razem wymknęli się z komnaty. Z wieży i Osi sywał się już nieprzerwany strumień odłamków.

Jude natychmiast popędziła w dół po ciemnych schodach. Mur drżał i pękał pod wpływem wstrząsów, ale udało się obojgu zejść po schodach, pokonać korytarz i drugie schody, na niższy poziom podziemi. Gentle'a zaskoczył widok Concupiscentii, która miotła się po korytarzu, piszcząc jak przerażona małpka. Za nic nie dałaby się namówić, żeby włączyć się w poszukiwania jej pani. Jude zresztą na nią nie czekała. Zbiegła do komnaty na końcu pochylego tunelu, wołając Quaisoir. Gentle ruszył za nią, ale musiał zwolnić kroku, gdy uderzyła go fala dźwięków: łoskot rozgrywającej się nad ich głowami katastrofy mieszał się z natężonymi szepciami wielu ludzi. Zanim wpadł do pokoju, Jude poderwała siostrę na nogi. W suficie pojawiły się szpary, przez które sączyły się strużki pyłu, Quaisoir jednak najwyraźniej nie zdawała sobie sprawy z niebezpieczeństwa.

- Wiedziałam, że wrócisz. Mówiłam tak, prawda? Prawda? Chcesz mnie pocałować? Pocałuj mnie, siostrze, proszę.

- O czym ona mówi? - zdziwił się Gentle.

Quaisoir z wrzaskiem wyrwała się z uścisku Jude.

- Coś ty najlepszego zrobiła? - krzyknęła. - Po co go tu sprowadziłaś?

- On nam pomoże - odparła Jude.

Quaisoir splunęła w kierunku, skąd dobiegł ją głos Gentle'a.

- Daj mi spokój! - wydarła się. - Nie dość mnie już skrzywdziłeś? Chcesz mi jeszcze odebrać siostrę?! Ty łajdaku! Nie oddam ci jej! Obie zginiemy, zanim pozwolę ci ją tknąć! - Wyciągnęła ręce do Jude i zanosła się szlochem. - Siostrze! Siostrze!

- Nie bój się - uspokajała ją Jude - To przyjaciel. - Spojrzała na Gentle'a. - Przekonaj ją jakoś; powiedz, kim jesteś, bo inaczej stąd nie wyjdziemy.

- Obawiam się, że ona już wie.

Jude nie zdążyła zapytać „Co takiego?“, gdy Quaisoir znów poddała się fali paniki.

- To Sartori! - krzyknęła ogłuszająco. - To Sartori, siostrze! Sartori!

Gentle podniósł ręce w udawanym geście rezygnacji. Cofnął się.

- Nawet cię nie dotknę - powiedział. - Wytłumacz jej, Jude. Nie zamierzam jej skrzywdzić.

Ale Quaisoir skowyczała rozpaczliwie:

- Nie zostawiaj mnie, siostrze! - Złapała Jude za rękę. - Nie zabije nas obu!

- Nie możesz tu zostać.

- Nigdzie nie pójde! On ma żołnierzy! I Rosengartena! I oprawców!

- Na zewnątrz będzie bezpieczniej niż tutaj. - Jude spojrzała na sufit, który w kilku miejscach się wybrzuszył. - Musimy się pośpieszyć.

Quaisoir wilgotną od potu dłonią głaskała ją po policzku krótkimi, nerwowymi ruchami.

- Zostaniemy razem - wymamrotała. - Z ust do ust. Z umysłu do umysłu.

- Nie - odparła Jude, starając się zachować spokój. - Ani ja, ani ty nie chcemy dać się pogrzebać żywcem.

- Jeżeli zginiemy, to trudno. Nie chcę, żeby mnie dotykał, rozumiesz?

- Rozumiem.

- Nigdy mnie nie dotknie! Nigdy!

- Nie dotknie cię. - Jude chwyciła dłoń Quaisoir. - Już go tu nie ma. Więcej się do nas nie zbliży.

Gentle rzeczywiście wycofał się w korytarz, ale mimo znaków, jakie dawała mu Jude, nie chciał się ruszyć ani kroku dalej. Zbyt często takie nagłe rozstania źle się kończyły, żeby miał ją teraz stracić z oczu.

- Na pewno sobie poszedł?

- Na pewno.

- Może się czaić gdzieś na zewnątrz.

- Nie, siostrze, wystraszył się i uciekł.

Quaisoir uśmiechnęła się z zadowoleniem.

- Bał się?

- Jeszcze jak!

- A nie mówiłam? Wszyscy są tacy sami. Mocni w gębie, udają bohaterów, ale w ich żyłach płyną szczyny. - Quaisoir wybuchnęła śmiechem, równie beztraska, jak przed chwilą przerażona. - Wracajmy do sypialni - wykrztusiła wreszcie. - Prześpimy się.

- Jak chcesz - zgodziła się Jude. - Ale chodźmy czym prędzej.

Rozchichotana Quaisoir pozwoliła Jude poprowadzić się do drzwi. Były w połowie drogi - Gentle usunął się już na bok - gdy jeden z bąbli w suficie pękł i do komnaty sypnął się gruz. Gentle zdążył jeszcze zobaczyć, jak uderzona w głowę Jude pada na ziemię, a potem wszystko zniknęło w gęstym, niemal lepkim pyłe.

Kierując się ledwie widocznym światłem lampy, wpadł do pokoju. Nad jego głową grzmot obwieścił zawalenie się kolejnego kawałka wieży. Nie było czasu ani na sztuki ochronne, ani na dyskrecję; jeżeli nie znajdzie Jude w kilka sekund, zginą tu wszyscy troje. Zawołał ją, a kiedy odkrzyknęła, skierował się w stronę, skąd dochodził głos. Znalazł Jude na wpół zagrzebaną w stercie odłamków.

- Zdażymy - zapewniał ją, odrzucając pierwsze kamienie. - Na pewno zdażymy. Razem nam się uda.

Uwolnił spod gruzu jej ramiona, dzięki czemu mogła mu pomóc, a za chwilę objęła go, żeby wyciągnąć się na powierzchnię. Mając Jude uwieszoną u szyi, zaczął się prostować, gdy nagle zabrzmiał hałas, jakiego do tej pory nie słyszeli - nie grzmot zagłady, lecz wrzask wściekłości. W kurzawie nad ich głowami pojawiła się Quaisoir. Unosiła się w powietrzu kilka centymetrów pod splekanym sufitem. Jude była już raz świadkiem takiej przemiany, gdy wyrastające z pleców wypustki uniosły Quaisoir w powietrze, ale Gentle widział to po raz pierwszy. Rozdziawił usta i zamarł w bezruchu, zapominając o ucieczce.

- Ona jest moja! - krzyknęła Quaisoir, nurkując w ich stronę nieomylnie, z dokładnością, jaką wykazywała już wcześniej. Wyciągnęła przed siebie ręce, gotowa zerwać Gentle'owi głowę z karku.

Jude jednak była szybsza. Wyswobodziła się, zasłoniła Gentle'a swoim ciałem i zawołała ją po imieniu. Pikująca Quaisoir zawahała się i zatrzymała w powietrzu z rękoma dosłownie o centymetry od twarzy siostry.

- Nie jestem twoja! - krzyknęła Jude. - Ja do nikogo nie należę, słyszysz?! Do nikogo!

Quaisoir odrzuciła głowę w tył, zawyła z wściekłości - i to był jej koniec. Rozdygotany od jej wrzasku sufit zatrzęsł się i zawalił. Jude wydawało się, że Quaisoir ma jeszcze szansę uskoczyć; na Błędym Kopcu poruszała się przecież z szybkością błyskawicy. Jednak woła, którą ją wtedy napędzała, osłabła. Quaisoir trwała nieruchomo z twarzą wystawioną na sypiący się z góry gruz, a jej krzyk - który nie przeszedł bynajmniej w okrzyk

przerażenia, lecz wciąż pulsował gniewem - brzmiał nieprzerwanie do chwili, gdy kamienie pogrzebały ją żywcem. A trwało to długo. Skowyt Quaisoir, niosący zagładę jej samej, rozbrzmiewał jeszcze, gdy Gentle chwycił Jude za rękę i wciągnął ją w korytarz. W zamieszaniu zatracił zupełnie poczucie kierunku i nigdy nie trafiliby do drzwi, gdyby nie dobiegający zza nich pisk Concupiscentii.

Udało im się, chociaż wszechobecny kurz przytępił wszystkie zmysły. Przedśmiertny krzyk Quaisoir ucichł już, lecz łoskot za ich plecami systematycznie narastał. Ścigało ich rozrastające się pęknięcie w sklepieniu korytarza, ale byli szybsi. Gdy tylko Concupiscentia zrozumiała, że jej pani przepadła na dobre, wyprzedziła ich i pomknęła przodem do jakiejś swojej kryjówki, gdzie mogła oddać się lamentom.

Jude i Gentle biegli bez przerwy, aż wydostali się spod wszelkich kamiennych sklepień, dachów i łuków, które mogły zawalić się im na głowy. Wypadli na dziedziniec, gdzie roiło się od pszczoł uwijających się wokół krzewów, które akurat ten dzień wybrały sobie na kwitnienie. Wtedy objęli się znowu, pochlipując z wdzięczności i smutku, a ziemia drżała w rytmie katastrofy, przed którą uciekli.

3

Grunt pod ich stopami na dobrą sprawę uspokoił się, dopiero gdy wyszli poza mury pałacu i zagłębili się w ruiny Yzordderrex. Jude zaproponowała, żeby jak najszybciej wrócili do domu Peccable'a, gdzie (jak wyjaśniła Gentle'owi) znajdował się początek często używanego przejścia między Drugim i Piątym Dominium. Gentle nie oponował. Nie przeszukał wprawdzie wszystkich potencjalnych kryjówek Sartoriego - w tak rozległej budowli byłoby to chyba niemożliwe - ale był kompletnie wyczerpany; jego ciało, umysł i wola rozpaczliwie domagały się wytchnienia. Jeżeli autarcha ukrywał się gdzieś w Yzordderrex, nie stanowił wielkiego zagrożenia; teraz szczególnej opieki wymagało Piąte Dominium. Świat, w którym magia poszła w zapomnienie, mógł łatwo paść łupem szaleńca.

W większości kespapatów ulice zmieniły się w krwawe wąwozy wśród wysokich stert gruzu, Jude znalazła jednak dość punktów orientacyjnych, żeby wrócić do dzielnicy, w której znajdował się dom Peccable'a. Nie miała oczywiście pewności, że dom jeszcze stoi - kataklizm trwał przecież cały dzień i noc - ale była gotowa w razie potrzeby gołymi rękami odgruzować piwnicę.

Przez pierwsze pół godziny w ogóle się nie odzywali, dopiero później Gentle zaczął - naturalnie - od wyjaśnienia, dlaczego Quaisoir wzięła go za swojego męża. Relację poprzedził ostrzeżeniem, że nie zamierza się usprawiedliwiać ani za nic przepraszać i że opowie wydarzenia zwyczajnie, jak ponurą baśń. Tak też zrobił, chociaż w swojej opowieści, skądinąd klarownej i treściwej, zmienił jeden znaczący szczegół. Opisuując spotkanie z autarchą, przedstawił go jako mężczyznę, który tylko nieznacznie go przypomina; człowieka tak oddanego złu, że popełnione zbrodnie odmieniły jego ciało. Nie skomentowała jego słów. Wyobraziła sobie istotę, która dosłownie emanuje nieludzkim okrucieństwem; potwora, którego ohydna powierzchowność wywołuje mdłości.

Kiedy Gentle skończył mówić o swoim sobowtórze, przejęła pałeczkę. Niektóre szczegóły, które przytoczyła, pochodziły z jej snów, inne wywnioskowała ze zdawkowych uwag Quaisoir, jeszcze inne ze słów Oscara Godolphina. Wzmianka o Oscarze rozpoczęła nowy wątek. Jude opowiedziała o romansie z nim, co z kolei zaprowadziło ją do Dowda, Clary Leash i stowarzyszenia Tabula Rasa.

- Nie będziesz miał w Londynie łatwego życia - uprzedziła, streściwszy mu pokrótce dzieje czystki, którą Tabula Rasa podjęła na podstawie edyktu Roxborougha. - Kiedy się dowiedzą, kim jesteś, nie zawahają się przed morderstwem.

- Niech spróbują - odparł Gentle. - Nie zaskoczą mnie. Mam zadanie do wykonania, nie mogą mi przeszkodzić.

- Skąd zaczniesz?

- Z Clerkenwell. Mieszkałem kiedyś przy Gamut Street; Pie twierdzi, że dom jeszcze stoi. Tam znajdę tajemnicę mojego życia.

Wszystko sobie przypomnę. Oboje potrzebujemy naszej przeszłości, Jude.

- A gdzie ja znajdę swoją?

- U mnie i u Godolphina.

- Dzięki za propozycję, ale wolałabym jakieś bardziej bezstronne źródła. Najpierw straciłam Clare, teraz Quaisoir. Muszę sobie kogoś poszukać.

Jude pomyślała o Celestine uśpionej w mrokach pod wieżowcem Tabula Rasa.

- Masz na myśli kogoś konkretnego? - zainteresował się Gentle.

- Może... - Na razie nie chciała się z nim dzielić tym sekretem.

Gentle zauważył tę próbę uniku.

- Będę potrzebował pomocy, Jude. Mam nadzieję, że wszystko, co między nami zaszło, dobre i złe, nie przeszkodzi nam we współpracy. Oboje możemy na tym skorzystać.

Pomysł był sympatyczny i kuszący, ale nie zamierzała skorzystać z propozycji.

- Ja też mam taką nadzieję - odparła krótko.

Nie naciskał. Zmienił temat rozmowy.

- Co ci się śniło? - zapytał, a kiedy zmarszczyła brwi, dodał: - Mówiłaś, że śniłaś o mnie, nie pamiętasz?

- Ach tak! To nic takiego. Było, minęło.

*

Dom Peccable'a stał nienaruszony, chociaż z kilku pobliskich budynków - za sprawą pocisków albo podpalaczy - zostały zgliszcza. Drzwi były otwarte, a wnętrze doszczętnie złupione; zniknął nawet wazon z tulipanami. Nigdzie jednak nie było śladów rzezi, tylko plamy krwi, które zostawił ranny Dowd. Jude miała więc nadzieję, że Hoi-Polloi i jej ojciec uszli z życiem. Wyglądało natomiast na to, że rabusie nie dotarli do piwnicy; z półek pozniwały wprawdzie wszystkie ikony, talizmany i posążki, ale pozbierano je spokojnie i systematycznie. Nie został żaden różaniec, nie było oznak zniszczeń. Z dawnego skarbcza został jedynie wmurowany w podłogę kamienny krąg, taki sam jak w Azylu.

- Tu właśnie wylądowaliśmy - powiedziała Jude. Gentle obejrzał wzór na posadzce.

- Co to jest? Jak działa?

- Nie wiem. A co za różnica? Jeżeli przeniesie nas do Piątego...

- Musimy bardziej uważać - przerwał jej Gentle. - Cały wszechświat tworzy spójny system. Dopóki nie zrozumiemy, gdzie jest nasze miejsce, jesteśmy bezbronni.

Spójny system. Jude zastanawiała się nad tym, gdy weszła do pokoju pod Wieżę Osi: Imajica jako nieskończenie złożony wzorzec przemian. No, ale czas na rozważania minął i trzeba było działać. Nie mogła rozvodzić się nad lękami Gentla'a.

- Jeżeli znasz inny sposób na to, żeby się stąd wydostać, powiedz. Ja przybyłam przez ten krąg. Wiem, że Godolphin używa go od lat i nigdy nie stała mu się krzywda, dopóki Dowd wszystkiego nie schrzanił.

Gentle przykucnął i powiódł palcami po tworzących mozaikę kamykach.

- Kręgi mają wielką moc... - mruknął.

- Użyjemy go czy nie?

Wzruszył ramionami.

- Nie znam lepszego sposobu - przyznał niepewnie. - Wystarczy wejść do środka?

- Tak.

Gentle wstał. Kiedy Jude położyła mu dłoń na ramieniu, złapał ją za rękę.

- Musimy się mocno trzymać - uprzedziła go. - Widziałam In Ovo tylko w przelocie, ale nie chciałabym się tam zgubić.

- Nie zgubimy się - zapewnił ją i wszedł w krąg.

Stała obok niego ułamek sekundy później. Ekspres Yzordderrex już nabierał szybkości. Ściany i półki w piwnicy zaczynały się rozmazywać. W ciałach podróżnych rysowały się kształty ich transponowanych jaźni.

Ta podróż obudziła w głowie Gentle'a wspomnienia poprzedniej, kiedy u jego boku zamiast Jude stał Pie'oh'pah. Poczł bezgraniczny żal po stracie mistyfa. W dominiach spotkał mnóstwo ludzi, których już nigdy nie zobaczy. Jedni - tacy jak Efreet Splendid, jego matka, Nikaetomaas czy Huzzah - zginęli; inni - jak Athanasius - nie chcieliby się z nim spotkać, skoro zbrodnie Sartoriego stały się jego zbrodniami i żadne dobre uczynki nie wymażą ich śladu. Ten żal był oczywiście niczym w porównaniu z bólem, jakiego zaznał na Wybielu, ale do tej pory bał się o tym rozmyślać. Nie chciał, żeby rozpacz do reszty go obezwładniła. Teraz jednak dopuścił do siebie tę myśl i zalał się łzami, które zmyły ostatni ślad mozaiki w domu Peccable'a.

Gdyby opuszczał Yzordderrex samotnie, to - paradoksalnie - nie cierpiałby aż tak bardzo. Ale (jak lubił powtarzać mistyf) w każdym dramacie jest miejsce tylko dla trzech postaci. Kobieta, która wraz z nim znalazła się w tym wirze i której świetlisty kontur majaczył mu przez łzy, miała mu od tej pory zawsze przypominać, że odchodząc z Yzordderrex, stracił jedną z tych trzech istot.

ROZDZIAŁ 43

1

Sto pięćdziesiąt siedem dni po rozpoczęciu podróży przez Pojednane Dominia Gentle ponownie stanął na angielskiej ziemi. Był zaledwie początek czerwca, ale wiosna przyszła tego roku wcześniej i lato już deptało jej po piętach. Kwiaty, które jeszcze przez miesiąc powinny spokojnie drzemać, poprzekwitały już i opadały pod ciężarem nasion. Wszędzie roiło się od ptaków i owadów; gatunki, które zwykle ożywiały się w miesięcznych odstępach, tym razem rozpleniły się wszystkie jednocześnie. Nadejścia lata nie zwiastowały jakieś nieśmiałe trele, lecz pieśni śpiewane pełną piersią. W południe niebo od jednego wybrzeża do drugiego zapełniały miliony żywych istot, które ruszały na żer. Później z wolna ich ubywało, aż wieczorem dotychczasowy zgiełk stawał się muzyką (ci, którzy się nasycili, i ci, którzy przeżyli, zgodnie dziękowali za piękny dzień) - tak piękną, że nawet obłąkani zapadali w uzdrawiający sen. Gdyby rzeczywiście udało się doprowadzić do Pojednania w dzień letniego przesilenia, Imajica powitałaby w swoim gronie kraj w rozkwicie: Anglię dobrych plonów i rozśpiewanych niebios.

Muzyka towarzyszyła Gentle'owi, gdy wyszedł z Azylu i skierował się na skraj zagajnika. Park wyglądał znajomo, chociaż zadbane dawniej zakątki zmieniły się w dżunglę, a odkryte trawniki zarosły zielskiem.

- Tu mieszkał Joshua, prawda? - spytał. - Gdzie jest dom?

Jude wyciągnęła rękę ponad łąnem złocistych traw. Dach dworku majaczył w oddali wśród liści i motyli skrzydeł.

- Poznaliśmy się właśnie w tym domu - powiedział Gentle. - Pamiętam... Joshua zawołał, żebyś zeszła na dół... Nazywał cię tak jakoś pieszczotliwie, nie znosiłaś tego przydomka. Jak to było... Morelka? Ledwie cię zobaczyłem...

- Nie mnie. - Jude wyrwała go z romantycznej zadumy. - Quaisoir.

- Jesteś taka, jaka ona była.

- Wątpię. To dawne czasy, Gentle. Dom popadł w ruinę, żyje już tylko jeden Godolphin. Historia nie zatoczy koła. I bardzo dobrze. Nie chcę być niczyją własnością.

Na zawarte w jej słowach ostrzeżenie Gentle zareagował rodzajem oficjalnego komunikatu:

- Chcę naprawić wszystkie szkody, jakie mogłem wyrządzić tobie i wszystkim innym ludziom. Czy zrobiłem to z miłości, czy dlatego że byłem maestrem i wydawało mi się, że zwykła przyzwoitość mnie nie obowiązuje... Przybyłem tu, by zaleczyć rany. Chcę doprowadzić do Pojednania, Jude, między nami, między dominami, między żywymi i umarłymi, jeśli tylko zdołam.

- Jesteś cholernie ambitny.

- Z mojego punktu widzenia po prostu dostałem drugą szansę. Nie każdy ma tyle szczęścia.

Jego szczerość sprawiła, że Jude dała się ugłaskać.

- Chcesz zobaczyć dom? - zapytała. - Przez wzgląd na stare czasy?

- Nie pójdę tam bez ciebie.

- Piękne dzięki. Ja swoją działkę *déjà vu* przyswoiłam, kiedy Charlie mnie tu przywiózł. Wystarczy.

Gentle opowiedział jej, naturalnie, o spotkaniu z Estabrookiem w namiotach niebytowców i o jego późniejszej śmierci. Nie okazała wzruszenia.

- To był pokręcony stary piernik - dodała teraz. - Musiałam przeczuwać, że jest z Godolphinów, bo inaczej nie zdzierzyłabym jego kretyńskich zalotów.

- Wydaje mi się, że pod koniec życia się zmienił. Może byś go polubiła.

- Ty też się zmieniłeś - zauważyła Jude, gdy ruszyli do bramy. - Ludzie będą ci zadawać masę pytań, Gentle. Gdzie byłeś, co się z tobą działo...

- Czy ktokolwiek musi się dowiedzieć, że wróciłem? Właściwie tylko Taylorowi bym o tym powiedział, ale on nie żyje.

- I Clemowi.

- Być może.

- Sam zdecydujesz, ale kiedy ma się tylu wrogów, przyjaciele są tym bardziej potrzebni.

- Wolałbym nie rzucać się w oczy - odparł Gentle. - Wtedy nikt na mnie nie zwróci uwagi, ani przyjaciele, ani wrogowie.

Kiedy już widzieli okalający posiadłość mur, niebo z niewiarygodną szybkością się zachmurzyło. Nieliczne puchate obłoczki, które jeszcze przed chwilą szybowały po bezkresnym błękitnie, połączyły się w nisko wiszącą chmurę. Zaczął padać kapuśniaczek, który w minutę zmienił się w ulewę, jakby chmura pękła pod naporem wody. Deszcz miał też

swoje zalety - wypłukał z ich skóry, ubrań i włosów resztki przywleczonego z Yzordderrex kurzu i sadzy. Kiedy przedarli się przez zastępującą bramę, oplecione powojem drągi i deski, i błotnistą drogą dotarli do wsi, z powodzeniem mogli ująć za parę turystów (z dziwnym gustem, jeśli idzie o strój wycieczkowy), którzy za daleko zboczyli z utartego szlaku i beznadziejnie pobłądzili.

2

Byli bez grosza przy duszy, ale Jude zdołała przekonać jednego z dwóch chłopaków, którzy akurat zajechali na pocztę, żeby podrzucił ich do Londynu, obiecując sowitą zapłatę na miejscu. Burza się nasilała, lecz siedzący z tyłu Gentle otworzył okno i chłonał wzrokiem mijane krajobrazy, których nie widział od pół roku. Nie przeszkadzało mu, że deszcz przemoczy go do suchej nitki. Jude musiała tymczasem cierpliwie słuchać monologu kierowcy, a że chłopak mówił z natury bełkotliwie, co trzecie słowo było praktycznie niezrozumiałe. Na szczęście sens całości dało się zrozumieć. Wszyscy, którzy jako tako znali się na pogodzie - a miał na myśli ludzi, co to żyli na roli i zawsze lepiej od przemądrzałych meteorologów umieli przewidywać susze i powodzie - otóż wszyscy, których znał, twierdzili, że lato będzie beznadziejne.

- Albo się potopimy - wyjaśnił - albo usmażymy żywcem.

Nieraz słyszała już podobne słowa (dla Anglików temat pogody jest prawdziwą obsesją), ale po powrocie z Yzordderrex, gdzie na niebie płonęło ogniste oko komety, a w powietrzu unosił się odór śmierci, niepokoił ją apokaliptyczny bełkot kierowcy. Wyglądało to tak, jakby chciał, żeby kataklizm spustoszył cały świat - i jakby nie zdawał sobie sprawy, co by to znaczyło dla niego osobiście.

Kiedy znudziło mu się krakanie, zaczął wypytywać Jude, skąd szli z Gentle'em i dokąd się wybierali, kiedy burza ich zaskoczyła. Nie widziała powodu, żeby przemilczeć wizytę w posiadłości Godolphinów, więc opowiedziała o niej. Uzyskała efekt, jakiego wcześniej nie osiągnęła trzema kwadransami uporczywego milczenia: chłopak zaniemówił. Spojrzał na nią groźnie w lusterku i włączył radio, co dowodziło, że cień Godolphinów skutecznie uciszyłyby samą Kasandrę. Dojechali na przedmieścia Londynu bez zbędnych słów; kierowca odzywał się tylko po to, żeby zapytać o drogę.

- Podrzucić cię do pracowni? - spytała Jude Gentle'a.

Milczał przez chwilę, zanim stwierdził, że to dobry pomysł.

Jude wytłumaczyła kierowcy, jak ma jechać, i odwróciła się do Gentle'a, który cały czas wyglądał przez okno. Kropelki deszczu jak pot ściekały mu po czole i policzkach, zawisały na rzesach, nosie i podbródku. Uśmiechał się lekko, prawie niedostrzegalnie. Przyglądając mu się teraz, kiedy się tego nie spodziewał, żałowała, że odepchnęła go w posiadłości Godolphinów. Przecież ta właśnie twarz przyśniła jej się, gdy zasnęła w łóżu Quaisoir. Był wyśnionym kochankiem, po którego nierzeczywistych pieszczotach jej okrzyki rozkoszy słyszała nawet śpiąca dwa pokoje dalej Quaisoir. Z pewnością nie było dla nich powrotu do osiemnastego stulecia i czasu zalotów, ale wspólna historia połączyła ich na wiele sposobów, z których nie wszystkie jeszcze odkryli. Może kiedy poznają wszelkie tajemnice, znajdą sposób, by zrealizować marzenia z królewskiej sypialni.

Burza ich uprzedziła. Nadciągnęła nad Londyn, wyszałała się i przeszła dalej, tak że gdy znaleźli się na przedmieściach, strzępki błękitu nad ich głowami zapowiadały ciepły, choć wilgotny po deszczu wieczór. Korki uliczne jeszcze się nie rozładowały i pokonanie ostatnich pięciu czy sześciu kilometrów zajęło im niemal tyle samo czasu co przejechanie poprzednich pięćdziesięciu. Zanim dojechali do domu Gentle'a, kierowca, przyzwyczajony do spokojnych wiejskich dróg, miał serdecznie dosyć całego przedsięwzięcia. Głośno przeklinał londyński ruch uliczny i zapowiadał, że zażąda bardzo konkretnej rekompensaty za zszargane nerwy.

Pasażerowie wysiedli i weszli na schody, gdzie chłopak nie mógł ich słyszeć. Jude spytała Gentle'a, czy ma w domu dość pieniędzy, żeby zapłacić; sama woli, jak stwierdziła, pojechać do siebie taksówką, niż dalej znosić towarzystwo wieśniaka. Gentle odparł jednak, że jeśli nawet w pracowni są jakieś pieniądze, na pewno za mało.

- No to chyba wdepnęłam - stwierdziła Jude. - Muszę z nim jechać dalej. Nieważne. Chcesz, żebym weszła z tobą na górę? Masz klucze?

- Na parterze na pewno kogoś zastanę - uspokoił ją Gentle. - Mają zapasowy komplet.

- To chyba byłoby tyle. - Pożegnanie wypadło żałośnie po tym wszystkim, co razem przeszli. - Przekręcę do ciebie, jak odeśpię ostatnie parę dni.

- Podejrzewam, że odłączyli mi telefon.

- W takim razie zadzwoń do mnie z budki, dobra? Będę w domu, nie u Oscara.

Na tym pewnie rozmowa by się skończyła, gdyby nie odpowiedź Gentle'a:

- Nie musisz go unikać z mojego powodu.

- Co masz na myśli?

- Ty masz swoje romanse...

- A ty swoje, tak? O to ci chodzi?

- Nie do końca...

- A o co?

- Nie do końca romanse. - Gentle pokręcił głową. - Nieważne. Porozmawiamy o tym kiedy indziej. - Odwrócił się.

- Nie. - Jude złapała go za ramię. - Porozmawiamy teraz.

- To i tak nie ma znaczenia - westchnął ciężko.

- Tym bardziej możesz mi powiedzieć.

Gentle się zawahał.

- Ożeniłem się - przyznał wreszcie.

- Naprawdę? - spytała Jude z udawaną obojętnością. - Kim jest ta szczęściara? Chyba nie masz na myśli dzieciaka, o którym mi opowiadałeś?

- Huzzah? Nie, na miłość boską!

Gentle umilkł. Zmarszczył brwi.

- No śmiało - zachęciła go Jude. - Wykrztuś to.

- Ożeniłem się z Pie'oh'pahem.

Najpierw miała ochotę się roześmiać, tak absurdalny był ten pomysł, ale zanim prychnęła, mars na czole Gentle'a dał jej do myślenia. Poczwała odrazę. Facet nie żartował. Naprawdę ożenił się z tym mordercą, z pozbawioną płci istotą, która reagowała na każde życzenie kochanków. Co ją właściwie tak zaskoczyło? Przecież kiedy Oscar opowiadał jej o mistyfach, sama zauważyła, że Gentle tak właśnie wyobraża sobie raj.

- Niezły sekrecik - stwierdziła.

- Wcześniej czy później i tak bym ci powiedział.

Teraz nie wytrzymała - parsknęła cicho, z goryczą.

- A jeszcze niedawno myślałam, że naprawdę coś nas łączy.

- Bo tak było. Zawsze coś nas będzie łączyć.

- Jakie to ma teraz dla ciebie znaczenie?

- Muszę zachować coś ze swojej przeszłości. Z tego, o czym marzyłem.

- To znaczy?

- Śniło mi się, że... - Gentle westchnął. - Że znajdziemy jakiś sposób na to, by być razem. We troje. - Nie patrzył na nią; spuścił głowę i wbił wzrok w dzielący ich stopień, gdzie powinien stać jego ukochany mistyf. - On by się nauczył cię kochać...

- Nie chcę tego słuchać.

- Stałby się wszystkim, co tylko by ci się zamarzyło.

- Przestań - powiedziała. - Po prostu przestań.

Wzruszył ramionami.

- Już wszystko w porządku. Pie nie żyje, a nasze drogi się rozchodzą. To był tylko taki głupi sen. Pomyślałem, że ci o nim opowiem.

- Nic od ciebie nie chcę - odparła chłodno Jude. - Od tej pory zachowaj swoje poronione pomysły dla siebie!

Dawno już puściła jego ramię, ale ociągał się z wejściem na schody. Patrzył na nią, mrużąc oczy jak pijaczek, który z trudem łączy niepokorne myśli w spójny ciąg. W końcu to ona odeszła; odwróciła się, pokręciła głową i zeszła do samochodu, omijając kałuże na chodniku. Trzasnęły drzwiczki. Kazała kierowcy jechać i wóz ruszył.

Nie ruszając się z miejsca, Gentle długo wpatrywał się w skrzyżowanie, na którym zniknęło auto, jakby oczekiwał, że spóźnione słowa ukojenia wypłyną mu na usta, pomkną za Jude i sprowadzą ją z powrotem. Zabrakło mu argumentów. Wrócił tu jako Pojednawca, ale zdawał sobie sprawę, że właśnie otworzył ranę, której nie mógł zaleczyć - przynajmniej dopóki się nie prześpi i nie odzyska pełni władz umysłowych.

3

Czterdzieści pięć minut po rozstaniu z Gentle'em Jude otwierała okna w swoim mieszkaniu, żeby wpuścić słońce i trochę świeżego powietrza. Jazda do domu upłynęła jej błyskawicznie, tak była zaszokowana. Gentle się ożenił! To wyznanie, choć z pozoru absurdalne, jakoś jej nie śmieszyło. Wróciła do mieszkania po wielotygodniowej nieobecności (tylko najodporniejsze kwiaty zniosły tak długą samotność; ona sama zapomniała, jak działa ekspres do kawy i zamki w oknach), ale tu czuła się najlepiej. Jak w domu. Po kilku filiżankach kawy, prysznicu i zmianie ubrania stwierdziła, że dominium, które opuściła zaledwie kilka godzin wcześniej, zaciera się w jej pamięci. Wobec tylu znajomych widoków i zapachów niezwykłość Yzordderrex nie była jego siłą, lecz słabością. Jej umysł nieproszony zaczął już wykreślać linię oddzielającą miasto, z którego przybyła, od tego, w którym się znalazła - podział tak sztywny, jak między snem i jawą. Nic dziwnego, pomyślała, że Oscar uczynił swoisty rytuał z wizyt w skarbcu i przeglądania zgromadzonych zbiorów. Tylko w ten sposób mógł zachować łączność z krainą, która zacierała się w codzienności.

Kiedy kilka porcji kofeiny zaczęło na dobre krążyć w jej żyłach, zmęczenie ulotniło

się bez śladu. Postanowiła wykorzystać wieczór na wizytę u Oscara. Dzwoniła do niego kilkakrotnie i choć nikt nie podniósł słuchawki, wiedziała, że nie świadczy to jeszcze, iż Oscar wyjechał czy umarł. Rzadko odbierał telefony (ten obowiązek należał do Dowda); nie krył też pogardy do wszelkich urządzeń i maszyn. Powiedział kiedyś, że w raju przeciętna błogosławiona dusza używa telegrafu, a święci - mówiących gołębic. Telefony są tylko w piekle.

Okolo siódmej wyszła więc z domu, złapała taksówkę i kazała się zawieźć na Regent's Park Road. Dom zastała zamknięty - nie było nawet jednego uchylonego okna, co w tak pogodny wieczór dobitnie świadczyło o nieobecności właścicieli. Dla pewności obeszła go od tyłu i zajrzała przez okno do środka. Na jej widok trzy papugi zerwały się z żerdeń i narobiły straszego jazgotu. Nie uspokoiła ich bynajmniej, gdy osłoniwszy oczy stulonymi dłońmi przytknęła twarz do szyby, żeby sprawdzić, czy mają wodę i pokarm w miseczkach. Naczynia stały jednak za daleko od okna, a rozdrażnienie ptaków kazało się jej spodziewać najgorszego. Oscar najwyraźniej dawno ich już nie głaskał. Gdzie się w takim razie podziewał? Umarł pod Azylem i leży martwy gdzieś w wysokiej trawie? Nawet jeśli tak, nie było sensu wracać i szukać go w tej chwili - do zmroku pozostała najwyżej godzina. Poza tym kiedy mignął jej po raz ostami, wstawał z ziemi, opierając się o drzwi. Był może rozpustny, ale krzepki; nie mogła uwierzyć, że nie żyje. Prędzej uwierzyłaby, że ukrywa się przed Tabulą Rasą. Wróciła do drzwi frontowych, nagryzmoliła anonimową notkę, w której zapewniała go, że dobrze się czuje, i wrzuciła ją do skrzynki na listy. Oscar się domyśli. Kto inny mógłby napisać, że wrócił do domu ekspresem cały i zdrowy?

*

Było po wpół do jedenastej i miała już się kłaść, gdy ktoś zawołał ją z ulicy. Wyszła na balkon i ujrzała Clema, który i na cały głos wykrzykiwał jej imię. Nie rozmawiali od miesięcy i choć ucieszyła się, że go widzi, zaraz poczuła wyrzuty sumienia, że tak go zaniedbała. Ale po tym, jaka ulga odbiła się na jego twarzy i jak szczerze ją później wyściskał, poznała, że nie przyszedł domagać się przeprosin. Chce jej powiedzieć o czymś absolutnie niesamowitym, powiedział, ale zanim to zrobi (a ona pomyśli, że zwariował), musi się napić. Czy mógłby dostać szklaneczkę brandy? Oczywiście, poczęstowała go. Przelknął brandy jednym haustem i spytał:

- Gdzie Gentle?

Kompletnie ją zaskoczył - i samym pytaniem, i nie znoszącym sprzeciwu tonem. Gentle chciał zniknąć i chociaż była na niego wściekła, czuła się zobowiązana dotrzymać tajemnicy. Ale Clemowi strasznie zależało, żeby się tego dowiedzieć.

- Nie było go jakiś czas, prawda? - mówił dalej. - Klein mi mówił, że próbował się do niego dodzwonić, ale Gentle'owi odłączyli telefon. Więc napisał list, na który nie doczekał się odpowiedzi...

- Tak - przerwała mu Jude. - Chyba wyjechał.

- Właśnie wrócił!

- Poważnie? - Jude była coraz bardziej zdezorientowana. - Chyba lepiej ode mnie wiesz, co się z nim dzieje.

- Nie ja - odparł Clem i dolał sobie brandy. - Taylor.

- Jaki Taylor? Co ty wygadujesz?

Clem opróżnił szklaneczkę.

- Powiesz, że zwariowałem, ale najpierw mnie wysłuchaj, dobrze?

- Już cię słucham.

- Staralem się nie rozkleić po śmierci Taylora; nie przesiadywałem w domu, czytając listy miłosne, które od niego dostałem; nie słuchałem piosenek, przy których tańczyliśmy. Próbowałem gdzieś wyjść, poruszać się, dla odmiany zrobić coś pożytecznego. Ale w jego pokoju niczego nie dotykałem. Nie mogłem się zebrać, żeby przejrzeć ubrania po nim, czy choćby zdjąć pościel. Odkładałem to na później. A im dłużej zwlekałem, tym trudniej było mi się do tego zabrać. Kiedy dzisiaj wróciłem do domu koło ósmej, usłyszałem czyjś głos. - Clem siedział nieruchomo, jak zauroczony tym wspomnieniem. - Pomyślałem, że zostawiłem włączone radio, ale nie; głos dobiegał z góry, z jego sypialni. To był on, Judy. Wołał mnie tak samo jak zawsze. Tak się spietrałem, że prawie uciekłem. Głupie, nie? Najpierw modliłem się i modliłem, by Bóg dał mi jakiś sygnał, że Taylor jest w dobrych rękach, a kiedy zesłał mi znak, prawie zesrałem się ze strachu. Wiesz co? Pół godziny przesiadywałem na schodach, czekając, aż w końcu przestanie mnie wołać. Czasem głos cichł, a ja zaczynałem sobie wmawiać, że mi się zdawało. Wtedy znów się odzywał. Nie rozczulał się, po prostu mówił, że mam się nie bać i przyjść się przywitać. No więc w końcu do niego poszedłem. - Łzy napłynęły Clemowi do oczu, ale głos miał radosny. - Lubił przesiadywać u siebie popołudniami. Pokój jest wtedy taki słoneczny... Nie widziałem go, ale wiedziałem, że jest blisko. Sam mi to powiedział. I dodał, że dobrze wyglądam. „To wspaniały dzień, Clem”, mówił dalej. „Gentle wrócił. Zna odpowiedzi”.

- Jakie odpowiedzi? - wtrąciła Jude.

- O to samo go zapytałem: „Jakie odpowiedzi, Tay?”. Ale sama wiesz, jaki jest Taylor, kiedy się cieszy. Wariuje jak dziecko. - Clem uśmiechnął się, zapatrzony w sceny z dawnych dobrych czasów. - Taki był uszczęśliwiony, powrotem Gentle'a, że niewiele więcej mogłem z

niego wyciągnąć. - Spojrzał na Jude. - Dzień się kończył, słońce zachodziło; chyba chciał odejść razem z nim. Powiedział jeszcze, że musimy pomóc Gentle'owi, że to nasz obowiązek. Dlatego do mnie przyszedł. Mówił, że to nie było łatwe, ale rola anioła stróża sama w sobie jest trudna. Zapytałem: „Dlaczego tylko jeden? Jeden anioł na nas dwóch?”. A on na to: „Jesteśmy jednością, Clem. Zawsze byliśmy i zawsze będziemy jednym”. Tak właśnie powiedział, przysięgam. Potem odszedł. Wiesz, co sobie pomyślałem?

- No?

- Żałuję, że tyle czasu przesiedziałem na schodach, zamiast spędzić go z nim. - Clem odstawił szklanekę, wyjął chusteczkę i wytarł nos. - To tyle.

- Całkiem sporo - zauważyła Jude.

- Wiem, co sobie myślisz - zaśmiał się. - Biedny Clem. Nie umiał płakać i wpędził się w halucynacje.

- Nie - odparła cicho. - Myślę co innego. Gentle nie ma pojęcia, jaki z niego szczęściarz, że ma takich aniołów stróżów jak wy.

- Nie pocieszaj mnie.

- Wcale nie próbuję cię pocieszyć. Wierzę, że było dokładnie tak, jak mówisz.

- Serio?

- Tak.

Clem prychnął.

- Dlaczego?

- Bo Gentle naprawdę wrócił dziś do domu, a ja byłem jedyną osobą, która o tym wiedziała.

*

Dziesięć minut później Clem wyszedł, zadowolony chyba, że nawet jeśli zwariował, to wśród bliskich znajomych miał bratnią obłąkaną duszę, do której mógł przyjść ze swoim obłędem. Jude opowiedziała mu tyle, ile uznała za konieczne w tej sytuacji - czyli niewiele - ale obiecała skontaktować się w jego imieniu z Gentle'em i opowiedzieć mu o wizycie Taylora. Clem rozpływał się z wdzięczności, ale nie tak, żeby nie zauważyć, że coś przed nim ukrywa.

- Wiesz znacznie więcej, niż mi mówisz, prawda?

- Tak. Może wkrótce będę mogła powiedzieć ci coś jeszcze.

- Czy Gentle'owi grozi niebezpieczeństwo? Czy chociaż tyle możesz mi zdradzić?

- Wszystkim nam grozi, tobie, mnie, Gentle'owi, Taylorowi.

- Taylor nie żyje, odszedł do światła. Nic mu się nie stanie.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz - odparła ponuro Jude. - Ale jeżeli jeszcze raz przyjdzie...

- Przyjdzie, na pewno przyjdzie.

- Ostrzeż go. Powiedz mu, że nikt nie jest bezpieczny. To, że Gentle znów jest... że wrócił, nie oznacza, że kłopoty się skończyły. Przeciwnie, dopiero się zaczną.

- Tay mówił, że stanie się coś wzniosłego. Właśnie takiego sformułowania użył: coś wzniosłego.

- To możliwe, ale mnóstwo rzeczy może się nie udać. A jeśli coś pójdzie nie tak... - Zawiesiła głos, przypomniawszy sobie In Ovo i ruiny Yzordderrex.

- W porządku, powiesz mi, kiedy będziesz gotowa. Ja zawsze cię wysłucham. Obaj cię wysłuchamy. - Clem spojrział na zegarek. - Na mnie już czas. Jestem spóźniony.

- Na imprezę?

- Nie, pracuję w schronisku dla bezdomnych. W nocy mamy dyżury, zbieramy dzieci z ulic. W mieście jest ich pełno.

Jude odprowadziła go do drzwi.

- Pamiętasz nasze pogańskie przyjęcie bożonarodzeniowe? - zapytał na progu.

- Pewnie - uśmiechnęła się. - Niezła imprezka.

- Kiedy goście sobie poszli, Taylor zalał się w pestkę. Wiedział, że większości z nich już nigdy nie zobaczy. Potem oczywiście w środku nocy zrobiło mu się niedobrze i w efekcie zamiast spać, gadaliśmy o... Rany, o wszystkim, co nam do głowy przyszło. I wtedy mi powiedział, że zawsze kochał Gentle'a, który był dla niego chodzącą zagadką. Śnił mu się nawet, jak mówił w dziwnych językach.

- Mnie też o tym wspominał.

- I nagle ni z tego, ni z owego stwierdził, że w przyszłym roku muszę urządzić Boże Narodzenie jak się patrzy. I iść na pasterkę, tak jak kiedyś razem chodziliśmy. Wydawało mi się, że doszliśmy do wniosku, że cała ta szopka nie ma sensu. Powiedziałem mu o tym. I wiesz, co on na to? Światło to światło, mówi. Możesz je różnie nazywać, ale lepiej jest, kiedy promieniuje ze znajomej twarzy. - Clem uśmiechnął się. - Wtedy byłem pewien, że ma na myśli Chrystusa, ale teraz... Teraz sam nie wiem.

Jude wyściskała go z całej siły i ucałowała w zarumienione policzki. W tym, co mówił, było zapewne ziarenko prawdy, ale nie mogła zmusić się do tego, żeby przyznać mu rację. Wiedziała przecież, że ta sama twarz - dla Taya uosobienie jasności słońca - równie dobrze może reprezentować mrok, który wkrótce ich wszystkich pochłonie.

ROZDZIAŁ 44

1

Łóżko, na które poprzedniej nocy zwałił się jak kłoda, pachniało kurzem, poduszka była nieprzyjemnie wilgotna, ale chyba sama Matka Ziemia lepiej nie ukołysałyby go do snu. Obudził się piętnaście godzin później w piękny czerwcowy poranek, a sen bez marzeń przywrócił mu siły. W domu nie było gazu, prądu ani ogrzewania, musiał więc wykopać się i ogolić w zimnej wodzie; prysznic był doświadczeniem orzeźwiającym, golenie - krwawym. Odświeżony poświęcił trochę czasu na ocenę stanu pracowni, która nie ostała się całkowicie nietknięta podczas jego nieobecności: w którymś momencie musiała zajrzeć tu albo któraś z jego dawnych sympatii, albo jakiś wybredny złodziej (dwa okna Gentle zostawił otwarte, więc wejście do środka nie stanowiło problemu). W każdym razie człowiek ten zabrał tylko część ubrań i trochę osobistych drobiazgów. Minęło tyle czasu, że nie był nawet pewien, co właściwie zginęło - jakieś listy i pocztówki z półki nad kominkiem; kilka zdjęć (teraz rozumiał przynajmniej, dlaczego nigdy nie lubił się fotografować), drobna biżuteria (złoty łańcuszek, dwa pierścionki, krzyżyk na szyję). Nie zmartwił się specjalnie, nigdy nie był kolekcjonerem pamiątek. Przedmioty traktował jak kolorowe magazyny - przez jeden dzień go bawiły, potem je wyrzucał.

Inne, bardziej obrzydliwe ślady swojej nieobecności znalazł w łazience: ubrania, które zostawił wilgotne i nie rozwieszzone, porosły zielonym futerkim; w śmierdzącej zgnilizną lodówce zaległy się larwy, które wyglądały jak młode zarzi. Musiał jakoś doprowadzić prąd do mieszkania, jeśli miał się wziąć za sprzątanie, a to wymagało odrobiny dyplomacji. W przeszłości zdarzało się już, że odcinano mu gaz, telefon i prąd, kiedy nastawały chude czasy - między sprzedażą jakiejś udanej kopii a spotkaniem z gotową go sponsorować kochanką. Gadkę, która pozwalała naprawić sytuację, miał wyćwiczoną do perfekcji, postanowił więc od tego zacząć.

Włożył najczystsze ubranie i poszedł na parter zameldować się u czcigodnej, choć ekscentrycznej pani Erskine. To ona wieczorem wpuściła go do domu. Nie omieszkała przy tym zauważyć - z typową dla niej szczerością - że Gentle wygląda, jakby ktoś skopał go

prawie na śmierć, na co odparł, że podobnie też się czuje. Nie wypytywała go o przyczyny tak długiej nieobecności, w czym nie było nic dziwnego (w pracowni zawsze pomieszkiwał nieregularnie), zapytała natomiast, czy tym razem zatrzyma się w domu na dłużej. Kiedy odparł, że najprawdopodobniej tak, wyraziła zadowolenie. W gorące letnie dni ludzie wariują, powiedziała, a ona od czasu śmierci pana Erskine'a czasem się boi. Zaparzyła herbatę, podczas gdy Gentle załatwiał z jej telefonu ponowne podłączenie mieszkania do cywilizacji. Było to dość frustrujące zajęcie. Stracił gdzieś dar przekonywania kobiet, żeby wyświadczyły mu przysługę. W odpowiedzi na uprzejmości i pochlebstwa napotykał tylko chłodny, oficjalny protekcyjnalizm. Dowiadywał się, że ma niezapłacone rachunki i dopóki nie ureguluje należności, nie ma co liczyć na wznowienie usług. Zjadł parę tostów, którymi poczęstowała go pani Erskine, wypił kilka filiżanek herbaty, a potem zszedł do piwnicy i zostawił notkę dla dozorczy, że wrócił już do domu i uprzejmie prosi o włączenie ciepłej wody.

W pracowni zamknął drzwi na zamek. Uznał, że jedna rozmowa dziennie w zupełności wystarczy. Zaciągnął żaluzje i zapalił dwie świece. Dymiły trochę, gdy zakurzone knoty stanęły w ogniu, ale dawały łagodniejsze światło niż oślepiające słońce. W ich blasku wziął się do przeglądania poczty, która niczym śnieg zalegała podłogę przy drzwiach. Znalazł, rzecz jasna, mnóstwo rachunków, drukowanych w coraz bardziej gryzących kolorach, nieuniknioną porcję reklamowego śmiecia i dosłownie garstkę osobistych listów, z których dwa dały mu do myślenia. Przysłała je Vanessa, której rada, żeby poderznął sobie gardło, odbiła się tak niepokojącym echem w słowach Athanasiusa na skraju Wybielu. Pisała, że tęskni za nim i nie może przestać o nim myśleć. W drugiej wiadomości jeszcze mniej było owijania w bawełnę: Vanessa chciała, żeby znów pojawił się w jej życiu. Jeżeli nadal chciałby spotykać się z innymi kobietami, ona się z tym pogodzi. Czy mógłby się chociaż odezwać? Życie jest za krótkie, żeby długo chować do siebie urazę.

Jej błagania Gentle'a trochę podbudowały, a następny list jeszcze bardziej poprawił mu humor. Klein pisał czerwonym atramentem na różowym papierze, z jego słów przebijał znajomy napuszony ton:

„Drogi gnojku! Czyjeż to serca teraz łamiesz i gdzie? Dziesiątki porzuconych kobiet wypłakuje mi się w rękaw, błagając, bym wybaczył ci wszelkie niecnoty i pozwolił wrócić na łono rodziny. Jest wśród nich przemiała

Vanessa. Wracaj do domu, na miłość boską, i ratuj mnie, bo inaczej ją uwiodę!
Mam erekcję w twoim imieniu".

Więc Vanessa poszła do Kleina; rzeczywiście musiała być zdesperowana. O ile dobrze sobie przypominał, spotkali się tylko raz, i twierdziła, że Kleina nie cierpi.

Zachował wszystkie trzy listy, chociaż nie miał zamiaru nic robić w ich sprawie. Wyczekiwał tylko jednego spotkania - z własnym domem w Clerkenwell, nie zamierzał jednak udawać się tam w środku dnia; na ulicach było za dużo światła i ruchu. Wolał zaczekać do zmroku, kiedy to przemknie przez miasto niewidzialny. Resztę listów podpalił i patrzył, jak płoną. Potem położył się do łóżka i przespał całe popołudnie, przygotowując się na pracowitą noc.

2

Odczekał, aż na ciemnoniebieskim niebie pojawią się pierwsze gwiazdy, zanim podniósł żaluzje. Ulica pod domem świeciła pustkami, ale zdawał sobie sprawę, że po drodze do Clerkenwell (nie miał pieniędzy na taksówkę) spotkałby jeszcze sporo ludzi. W tak piękny wieczór na Edgware Road musiało być tłoczno, w metrze też. Jeżeli chciał dotrzeć na miejsce niezauważony, musiał ubrać się w jakieś przeciętne ciuchy. Trochę czasu zajęło mu wybranie z przerzedzonej garderoby stroju, w którym jak najmniej rzucałby się w oczy. Z Marble Arch do Chancery Lane było tylko pięć stacji metra, ale wysiadł już na drugiej, roztrzęsiony i spocony jak neurotyk cierpiący na klaustrofobię. Przeklinając się w duchu za własną słabość, pół godziny siedział na stacji i odprowadzał wzrokiem kolejne pociągi; nie mógł się zmusić, żeby do któregoś wsiąść. Co za ironia losu! Oto on, człowiek, który przemierzył połowę Imajiki, siedzi bezradnie na ławce, bo boi się przejechać parę kilometrów metrem. Opanował dreszcze, poczekał na mniej zatłoczony pociąg i zajął w nim miejsce blisko drzwi. Przez całą drogę siedział z głową ukrytą w dłoniach.

Zanim wyszedł spod ziemi przy Chancery Lane, niebo mocno ściemniało. Długą chwilę stał na High Holborn z zadartą głową i chłonał ten widok. Kiedy wreszcie nogi przestały mu drżeć, skręcił w Gray's Inn Road, która prowadziła w pobliże Gamut Street. Prawie wszystkie domy przy głównych ulicach dawno zostały zajęte przez firmy i biura, ale z tyłu, za barykadą ciemnych o tej porze budynków biurowych, rozpościerała się płatanina

uliczek, które - zapewne dzięki nie najlepszej sławie tej okolicy - ostały się nietknięte. Wąskie, kręte zaułki ciągnęły się kilometrami, pozbawione oświetlenia i nazw, jak gdyby od pokoleń nikt o nich nie pamiętał.

Nie potrzebował światła ani tabliczek, przemierzał tę drogę setki razy. Shiverick Square ze zdziwiałym skwerkiem na środku,

Flaxen Street, Almoth, Sterne. A pośród nich - otulony mgłą anonimowości - cel jego wędrówki.

Kiedy do rogu Gamut Street zostało dwadzieścia metrów, zwolnił kroku, żeby dłużej rozkoszować się tym spotkaniem. W domu oczekiwały go niezliczone wspomnienia - także te związane z mistykiem; choć nie wszystkie równie radosne i miłe. Powinien ostrożnie się nimi sycić, jak człowiek o delikatnym żołądku, który siada przy suto zastawionym stole i musi zachować umiar. Kiedy poczuje, że ma dość, wróci do pracowni, przetrawi zdobytą wiedzę i dzięki niej stanie się silniejszy. Dopiero potem wróci po drugą porcję. Zdawał sobie sprawę, że odzyskanie pamięci długo potrwa, a czasu ma niewiele, ale nie potrafił oprzeć się wspomnieniom. Co komu przyjdzie z Pojednawcy, który zadławił się przeszłością?

Z bijącym sercem skręcił za róg i spojrzał na świętą Gamut Street. Niewykluczone, że żyjąc dwa stulecia w zapomnieniu, trafiał na nią wielokrotnie i jej widok nie był mu całkiem obcy, ale szczerze w to wątpił - najprawdopodobniej zaglądał tu po raz pierwszy od dwustu lat. Okolica prawie się nie zmieniła, chroniona przed planistami i hordami uzbrojonych w młoty pneumatyczne robotników za pomocą sztuk, o których autorach krążyły legendy. Rosnące przy ulicy drzewa uginały się pod ciężarem nieprzyciętych konarów i nadmiaru liści; w powietrzu - osłoniętym labiryntem uliczek przed spalinami z High Holborn i Gray's Inn Road - unosiła się ostra woń żywicy. Czy tylko mu się tak wydawało, czy też drzewo przy domu z numerem dwudziestym ósmym naprawdę było zdrowsze i bardziej zielone od innych, jakby odżywiało się magią przesączającą się do gleby z siedziby maestra?

Ruszył ku domowi. Wspomnienia już zaczynały zalewać go jak fale. Słyszał dziecięce głosy śpiewające tę samą piosenkę, która tak go poruszyła, gdy autarcha uświadomił mu, kim jest. „Sartori”, powiedział, i wraz z imieniem wróciła ta nędzna rymowanka, skandowana piskliwie. Wtedy mu się nie podobała; miała banalną melodię i beznadziejne słowa. Teraz jednak przypomniał sobie, kiedy pierwszy raz ją usłyszał. Szedł tym samym chodnikiem co teraz, a po drugiej stronie ulicy biegła gromadka dzieciaków. Jaki był dumny, że jego sława sięga tak daleko: znalazł się na ustach dzieci, które nigdy nie nauczą się czytać ani pisać - ba, prawdopodobnie nawet nie dożyją piętnastu lat. Cały Londyn go znał. To mu się podobało. Roxborough twierdził, że coraz częściej mówi się o nim na królewskim dworze i lada dzień

może się spodziewać zaproszenia. Ludzie, których ledwie kojarzył, przyznawali się do bliskiej z nim znajomości.

Byli jednak i tacy - dzięki Bogu! - którzy nie próbowali się z nim spoufalać. Jedna taka osoba mieszkała, jak pamiętał, w domu naprzeciwko. Allegra, piękna niczym nimfa, siadywała przy toalecie pod oknem w rozsznurowanym gorsecie, wiedząc, że z drugiej strony ulicy podgląda ją maestro. Miała małego kudłatego pieska; wieczorami słyszał czasem, jak wysokim głosem woła go na kolana - i zazdrościł mu. Pewnego popołudnia, dosłownie kilka kroków od miejsca, w którym się w tej chwili znajdował, spotkał ją osobiście. Wyszła z matką na spacer. Zachwycał się psiakiem, zniósł nawet to, że zwierzak polizał go po nosie - wszystko po to, by poczuć w jego sierści jej zapach. Co się z nią stało? Umarła jako dziewczica? Roztyła się i zestarzała, wspominając mężczyznę, który był jej najgorętszym wielbicielem?

Spojrzał w okno, przy którym zasiadała. Było ciemne, jak większość okien w okolicy. Z westchnieniem spojrzał na dom pod numerem dwudziestym ósmym, przeszedł ulicę i stanął przy drzwiach. Były oczywiście zamknięte, za to jedno z okien na parterze, rozbite dawno temu, nigdy nie zostało załatane. Włożył rękę przez stłuczoną szybę, podciągnął okno do góry i wśliznął się do środka. Powoli, upomniał się; nie spiesz się tak. Musisz panować nad tym, co się dzieje.

W środku było zupełnie ciemno, ale przewidział to, zabrał z domu świeczkę i zapalki. Z początku knot nie chciał się zapalić, potem cały pokój zachybotał w rytm jego niezdecydowania, aż wreszcie płomyczek się ustabilizował i Gentle poczuł coś, czego najmniej się spodziewał. Przepelniała go duma. Kiedyś w tym domu - jego domu - spotykały się wielkie indywidualności, by rozważać najpoważniejsze problemy; nie prowadziło się tu debat na przyziemne tematy. Na ploteczki i pogaduszki o polityce szło się do kawiarni; jeśli ktoś chciał rozmawiać o interesach, udawał się na giełdę. Tutaj mówiło się o cudach, o rozwoju duchowym i - tak, tak! - o miłości, o ile dotyczyła kóregoś z obecnych (a zwykle tak było) i wiązała się z rozlewem krwi. Sprawy prozaiczne i trywialne nie miały tu wstępu. Człowiek, który przynosił najbardziej niezwykłą opowieść, mógł liczyć na najgorętsze przyjęcie; wszelkie ekscesy były dopuszczalne, jeżeli zsyłały wizje, które następnie drobiazgowo analizowano w poszukiwaniu wskazówek na temat natury wieczności.

Wziął świecę do ręki i ruszył w głąb domu. Wszystkie pokoje - a było ich sporo - nosiły ślady straszego zaniedbania, osłabione zgnilizną i kornikami deski podłogi skrzypiały pod stopami, wilgoć kreśliła na ścianach mapy najdziwniejszych kontynentów. Ale terazniejszość mało go obchodziła; zanim stanął u stóp schodów, pamięć wszędzie pozapalała

świecie. Ich ciepły blask sączył się z jadalni i z pokoiów na piętrze; nagie ściany okrywały się kobiercami, puszyste dywany rozścielały się na ziemi, meble wracały na swoje miejsca. Dyskutanci próbowali wprawdzie sięgnąć esencji ducha, ale skoro już musieli znosić przekleństwo ciała, nie zamierzali gardzić wygodami. Kto by pomyślał, widząc z zewnątrz całkiem przeciętny, skromny dom, że kryje w swym wnętrzu taki przepych? Widok luksusów przywołał wspomnienie głosów tych, którzy się w nich pławili. Najpierw usłyszał śmiech. Potem zajadłą kłótnię gdzieś na schodach. Nie widział jeszcze rozmówców - zapewne umysł, któremu nakazał powściągliwość, chronił go przed nadmiarem emocji - ale rozpoznawał ich po głosie. Jednym z nich był Horace Tyrwhitt, drugim - Isaac Abelove. A ten śmiech? To był Joshua Godolphin, któż by inny? Śmiał się jak sam diabeł, głośno, gardłowo.

- Chodźcie do mnie - powiedział Gentle, zwracając się do wspomnień. - Chcę zobaczyć wasze twarze.

Nie musiał długo czekać. Na schodach pojawił się Tyrwhitt, jak zwykle ubrany z przesadą i nadmiernie upudrowany. Zachowywał bezpieczny dystans od idącego za nim Abelove'a, na wypadek gdyby sroka, którą Abelove trzymał w dłoniach, zerwała się do lotu.

- To zły znak! - mówił. - Ptak w domu przynosi pecha!

- Pech jest dobry dla rybaków i hazardzistów - odparł Abelove.

- Jeszcze trochę, a któraś twoich złotych myśli okaże się warta zapamiętania - zauważył Tyrwhitt. - A na razie wyrzuć stąd to ptaszysko, zanim mu łeb ukreję. - Spojrzał na Gentle'a. - Wytlumacz mu, Sartori.

Gentle był wstrząśnięty, że postać z jego wspomnień potrafi tak go przyszpilić wzrokiem. Zanim się zorientował, co się dzieje, odparł:

- Nikomu nie zrobi krzywdy. To też istota boża.

Sroka wyrwała się z rąk Abelove'a, podfrunęła i wypróżniła się wprost na jego twarz i perukę. Tyrwhitt roześmiał się głośno.

- Tylko nie wycieraj! - ostrzegł Abelove'a, gdy ptak odleciał. - To przynosi szczęście.

Jego śmiech wywabił z pokoju jak zwykle wyniosłego Joshuę Godolphina.

- Co tu się dzieje?

Abelove rzucił się w pogoń za sroką, ale swoimi okrzykami tylko dodatkowo ją płoszył. Fruwała w kółko po holu, skrzecząc rozpaczliwie.

- Otwórzcie drzwi, do diabła! - krzyknął Godolphin. - Wypuście to cholerstwo!

- Mamy sobie popsuć taką zabawę? - zaproponował Tyrwhitt.

- Jakbyście się wszyscy zamknęli, uspokoiłaby się i usiadła - zauważył Abelove.

- Po co właściwie ją przyniosłeś? - zainteresował się Joshua.

- Siedziała na schodkach. Myślałem, że coś jej się stało.

- Wygląda na zdrową. - Godolphin odwrócił się do Gentle'a. Twarz miał czerwoną od nadmiaru brandy. - Maestro... - powiedział z lekkim skinieniem głowy - Przykro mi, ale zaczęliśmy kolację bez ciebie. Wejdz, proszę. Niech te ptasie mózdzki bawią się dalej same.

Gentle skierował się do jadalni, gdy usłyszał za sobą głucho uderzenie. Odwrócił się i zobaczył, jak sroka po zderzeniu z szybą opada na ziemię. Abelove jęknął cicho; Tyrwhitt przestał się śmiać.

- No proszę! - powiedział. - Zabiłeś biedactwo!

- To nie ja! - zaperzył się Abelove.

- Chcesz ją wskrzesić? - spytał Joshua konspiracyjnym szeptem.

- Ze złamanym karkiem i skrzydłami? - zasmucił się Gentle. - To nie byłoby miłe.

- Ale zabawne. - W podpuchniętych oczach Joshuy błysnął psotny ognik.

- Nie sądzę - odparł Gentle kwaśno.

Patrząc, jak wesołość znika z twarzy Godolphina, pomyślał, że Joshua się boi. Moja moc go przeraża, pomyślał.

Joshua wszedł do jadalni, ale zanim Gentle zdążył przekroczyć jej próg, tuż obok niego wyrósł jak spod ziemi młody chłopak. Miał najwyżej osiemnaście lat, pociągłą twarz i loki jak cherubinek.

- Maestro?

Jego rysy wydały się Gentle'owi bardziej znajome niż twarze Godolphina i pozostałych - może za sprawą jakiejś niezwyklej nowoczesności w leniwym spojrzeniu, a może z powodu drobnych, niemal kobiecych ust. Nie sprawiał wrażenia inteligentnego, ale kiedy się odezwał, mówił spokojnie i ze swadą, chociaż widać było, że jest zdenerwowany. Bał się spojrzeć Sartoriumu w oczy.

- Chciałem zapytać, panie, czy rozważałeś sprawę, o której rozmawialiśmy? - odezwał się ze wzrokiem wbitym w ziemię.

„Jaką sprawę?”, chciał zapytać Gentle, gdy jego język zareagował odruchowo. Kiedy popłynęły słowa, wróciły wspomnienia:

- Wiem, że się niecierpliwisz, Luciusie.

Chłopak nazywał się Lucius Cobbitt, miał siedemnaście lat i znał na pamięć wszystkie wielkie dzieła, a w każdym razie ich zasadnicze tezy. Był ambitny, miał dryg do polityki, wybrał Tyrwhitta na swojego mecenasa (to, jakich usług zażądał w zamian Tyrwhitt, pozostało tajemnicą alkowy, ale z pewnością groził za nie stryczek) i jako jego sługa zapewnił sobie wstęp do domu Sartoriego. Nie zamierzał jednak na tym poprzestać; praktycznie co

wieczór próbował przebłagać maestra.

- Nie o moją cierpliwość tu chodzi, panie. Znam wszystkie rytuały. Na podstawie „Wizji” Flute’a wykreśliłem mapę In Ovo. Wiem, że to tylko początki, ale skopiowałem też wszystkie znane symbole magiczne i nauczyłem się ich na pamięć.

Lucius miał też talent artystyczny, kolejną cechę - poza ambicją i wątpliwymi zasadami moralnymi - która łączyła go z Gentle’em.

- Mogę ci pomóc, maestro - mówił dalej. - Przyda ci się ktoś, kto stanie przy tobie w tę noc.

- Doceniam i pochwalam twoje zdyscyplinowanie, Luciusie, ale próba Pojednania to nie przelewki. Nie mogę wziąć na siebie odpowiedzialności...

- Nie będziesz musiał, panie.

- Poza tym mam już asystenta.

Chłopak zmarkotniał.

- Tak?

- Naturalnie. Pie’oh’paha.

- Tu chodzi o twoje życie, panie! Zaufasz chowańcowi?

- A czemu nie?

- No bo... przecież on nawet nie jest człowiekiem!

- I właśnie dlatego mu ufam, Luciusie. Przykro mi, że musiałem cię rozczarować...

- Nie mógłbym chociaż popatrzeć, panie? Nie będę się do was zbliżał, obiecuję. Przysięgam! Przecież wszyscy tam będą...

Miał rację. Im bliżej było do nocy Pojednania, tym bardziej rozrastała się spodziewana publika. Mecenasi, którzy z początku bardzo poważnie potraktowali obietnice zachowania tajemnicy, przeczuwali bliską już chwilę triumfu, a to rozwiązało im języki. Ze wstydem przyznawali się, że zaprosili przyjaciela czy krewnego, żeby był świadkiem ceremonii; kimże był on, narzędzie w ich rękach, żeby pozbawić ich tej chwili pławienia się w blasku cudzej chwały? Nie ułatwiał im życia, kiedy przychodzili mu to wyznać, ale w gruncie rzeczy niewiele sobie z tego robił. Lubił być podziwiany. A kiedy dojdzie do Pojednania, im więcej będzie świadków, którzy pochwalą jego sprawcę, tym lepiej.

Lucius nie ustępował:

- Błagam, panie, będę ci wdzięczny do grobowej deski.

Gentle skinął głową i zмирzył mu włosy.

- Możesz się przyglądać.

Chłopak ze łzami w oczach podniósł jego dłoń do ust.

- Jestem najszcześniejszym człowiekiem w Anglii. Dziękuję, panie. Dziękuję.

Gentle uciszył go gestem i wszedł do jadalni. Zastanawiał się, czy naprawdę wszystkie te wydarzenia i rozmowy tak zgrabnie się zazębiały, czy też raczej jego umysł wybrał fragmenty różnych dni i nocy i połączył je w całość. Jeśli - jak podejrzewał - oglądał tylko wybór wspomnień, prawdopodobnie zawierały się w nim wskazówki do nieodkrytych jeszcze tajemnic. Powinien starać się zapamiętać wszystkie szczegóły. Miał z tym jednak sporo kłopotu, był jednocześnie Gentle'em i Sartorim, świadkiem i aktorem. Nie potrafił jednocześnie grać i patrzeć, nie umiał wychwycić głębszego znaczenia faktów. Nie dość, że z pozorów wszystko wyglądało tak idealnie, to w dodatku sam grał pierwsze skrzypce we wszystkich scenach. Ci ludzie traktowali go jak boga! Słuchali jego beknięć i pierdnięć jak kazań, a kosmologiczne teorie (w których się lubował) przyjmowali z czcią i wdzięcznością - wszyscy, nawet ci najważniejsi.

Trzech z nich już czekało. Zebrali się przy końcu stołu, który - choć nakryty dla czterech osób - ugiął się pod ciężarem takiej ilości dań, że cała Gamut Street nie przejadłaby ich w tydzień. W tej trójce znalazł się naturalnie Joshua, a także Roxborough o ascetycznych rysach, wydatnym, haczykowato zakrzywionym nosie i przysłoniętych dłonią ustach, i jego odwieczne alter ego, Oliver McGann. McGann zdążył już sobie zdrowo wypić, Roxborough zaś był jak zwykle trzeźwy i milczący. Gentle'owi przyszło do głowy, że musi nienawidzić swoich ust, gdyż zdradzają jego prawdziwą naturę; mimo niezmiernego bogactwa i zamiłowania do spirytyzmu był bowiem małostkowy, skąpy i ponury.

- Religia jest dla wiernych - mówił właśnie McGann. - Modlą się, a kiedy nikt nie słucha, ich wiara się umacnia. Magia zaś... - Przerwał i skupił pijackie spojrzenie na stojącym w drzwiach Gentle'u. - No proszę, o wilku mowa! Tak, panowie! Powiedz im, Sartori! Powiedz, czym jest magia.

Roxborough zetknął dłonie czubkami palców, unosząc je na wysokość nosa.

- Prosimy, maestro - zawtórował. - Oświeć nas.

- Z przyjemnością. - Gentle wziął od McGanna kieliszek z winem i zwilżył gardło, szykując się do przemówienia. - Magia jest największą religią tego świata. Jej moc może nas scalić, otworzyć nasze oczy na dominia, przywrócić nam samych siebie.

- Piękne słowa - stwierdził bezbarwnym głosem Roxborough. - Ale co naprawdę znaczą?

- Ich znaczenie jest oczywiste - wtrącił McGann.

- Nie dla mnie.

- Rodzimy się podzieleni, Roxborough - wyjaśnił Sartori. - I od początku tęsknimy za

zespoleciem.

- Czyżby?

- Tak sądzę.

- Po co nam to zespolenie? Wytłumacz mi. Wydawało mi się, że sami dla siebie jesteśmy jedynym towarzystwem, którego możemy być pewni.

W głosie Roxborougha brzmiała irytująca pewność siebie, ale maestro znał jego sposób bycia i miał gotową odpowiedź.

- Jesteśmy także wszystkim, co nami nie jest - odparł i podszedł do stołu. Ponad dymiącymi świecami spojrzął Roxboroughowi w oczy. - Jesteśmy połączeni ze wszystkim, co było i co będzie, z całą Imajcą, od najmniejszej drobinki kurzu, która unosi się nad tym płomieniem, po samo Bóstwo. - Odetchnął głęboko, dając Roxboroughowi czas na reakcję, a ponieważ się jej nie doczekał, mówił dalej: - Śmierć nie będzie dla nas ograniczeniem. Przeciwnie, staniemy się więksi, osiągniemy wielkość całego Stworzenia.

- Właśnie... - wysyczał uśmiechnięty drapieżnie McGann.

- Magia pozwala nam osiągnąć to objawienie wcześniej, kiedy jeszcze mamy ciało - dodał maestro.

- Czy uważasz, że ktoś nas do tego objawienia dopuszcza? - spytał z powątpiewaniem Roxborough. - A może je wykradamy?

- Rodzimy się po to, by osiąść wszelką wiedzę, jaką zdołamy.

- Rodzimy się, by cierpieć w naszych ciałach.

- Może ty cierpisz. Ja nie.

McGann parsknął śmiechem.

- Zamknięcie w ciele nie jest karą - ciągnął maestro. - Ciało ma być źródłem radości, choć stanowi zarazem granicę między nami i resztą Stworzenia. Tak przynajmniej się nam wydaje. To naturalnie złudzenie.

- Świetne... - przyznał Godolphin. - To mi się podoba.

- Powiedz, czy podejmujemy dzieło boskie, czy nie? - Roxborough domagał się wyraźnej odpowiedzi.

- A co, masz wątpliwości?

- Jeszcze jakie - mruknął McGann. Roxborough spiorunował go wzrokiem.

- A czy przysięgaliśmy ich nie mieć? Nie przypominam sobie. Dlaczego karcicie mnie za to, że zadałem proste pytanie?

- Przepraszam - powiedział McGann. - Powiedz mu, maestro. To, co robimy, to jest boże dzieło, prawda?

- Czy Bóstwo chce, żebyśmy byli bardziej sobą niż w tej chwili? - zapytał retorycznie Gentle. - Oczywiście! Czy chce, żebyśmy kochali? Żebyśmy się zjednoczyli, stali całością? Naturalnie. Czy chce, żebyśmy na wieki uczestniczyli w Jego chwale? Tak.

- Zawsze mówisz o Bogu „Bóstwo”, w rodzaju nijakim. Dlaczego? - zdziwił się McGann.

- Stwórca i jego dzieło, Stworzenie, są jednym, czyż nie?

- Tak.

- W Stworzeniu jest tyle samo mężczyzn, co i kobiet, prawda?

- Prawda, oczywiście że prawda.

- Co nie przestaje mnie cieszyć. - Gentle zerknął z ukosa na Godolphina. - W łóżku i poza nim.

Joshua zaśmiał się swoim szatańskim śmiechem.

- Zatem w boskości jest pierwiastek męski i żeński, a ja dla wygody mówię „Bóstwo” - dokończył Gentle.

- Odważne słowa! - przyznał Joshua. - Uwielbiam cię słuchać, Sartori. Mogę mieć namącone w głowie, ale wystarczy jedno twoje zdanie i myśli robią mi się klarowne jak źródłana woda.

- Mam nadzieję, że bez przesady - zauważył maestro. - Nie potrzeba nam purytanów, którzy zepsuliby ceremonię Pojednania.

- Przecież mnie znasz - odparł Joshua, patrząc mu w oczy.

W tej samej chwili Gentle uzyskał ostateczny dowód na potwierdzenie swoich podejrzeń, że te rozmowy, chociaż połączone w nieprzerwany ciąg, odbywały się w różnych chwilach i sytuacjach, i tylko jego pamięć splatała je w całość, gdy pokoje, do których zaglądał, budziły wspomnienia ze snu. Postaci McGanna i Roxborougha zbladły i rozplynęły się w powietrzu, świece w większości pogasły, zniknęły karafki, kieliszki i półmiski. Zostali przy stole we dwóch z Joshuą, jak para konspiratorów. Wszyscy inni spali.

- Chcę przy tym być - powiedział właśnie Joshua, śmiertelnie poważny, niespokojny, zmartwiony nawet. - Ona jest dla mnie bezcenna, Sartori. Gdyby coś jej się stało, postradałbym chyba zmysły.

- Będzie całkowicie bezpieczna - zapewnił go maestro.

Usiadł przy stole. Leżała na nim rozłożona mapa Imajiki, na której wpisano imiona maistrów i ich asystentów z różnych dominiów - każde w pobliżu miejsca, w którym mieli odprawić rytuał. Stwierdził, że niektóre z nich brzmią znajomo: pamiętał Ticka Raw, który miał asystować Uterowi Musky'emu; rozpoznał imię Scopique'a - pomocnika asystenta

Heratae Hammeryocka (zapewne dalekiego krewnego Hammeryocka, którego poznali z mistyfem w Vanaeph). Imiona z dwóch przeszłości spotykały się na mapie.

- Słuchasz mnie?

- Powiedziałem, że nic jej nie grozi - odparł maestro. - Ta ceremonia wymaga precyzji, ale nie jest niebezpieczna.

- Pozwól mi przy niej być - prosił Godolphin, wyłamując palce. - Będę ci asystował zamiast tego paskudnego mistyfa.

- Nawet nie powiedziałem Pie'oh'pahowi, co zamierzamy; to sprawa między nami dwoma, tylko i wyłącznie. Przyrowadź jutro Judith, a ja zajmę się resztą.

- Ona jest taka delikatna.

- Mnie się wydaje bardzo opanowana. Poza tym ma chyba temperament, co?

Gniew zmroził zatroskane rysy Godolphina.

- Uspokój się, Sartori. Nie dość, że przez cały wczorajszy dzień musiałem wysłuchiwać Roxborougha, który nic, tylko powtarzał, że ci nie ufa, to jeszcze teraz ty popisujesz się swoją arogancją.

- Roxborough nic nie rozumie.

- Twierdzi, że masz obsesję na punkcie kobiet, więc nie jest taki głupi. Podobno podglądasz jakąś dziewczynę z domu naprzeciwko...

- Jeśli nawet, to co z tego?

- Jak możesz w pełni poświęcić się Pojednaniu, skoro pochłaniają cię takie sprawy?

- Chcesz mnie przekonać, żebym zapomniał o Judith?

- Myślałem, że magia jest twoją religią.

- Magia też.

- Najwyższym prawem. Uświęconą tajemnicą.

- Obie są dla mnie sekretem - roześmiał się Gentle. - Kiedy ją pierwszy raz ujrzałem, wydawało mi się, że otworzył się przede mną inny świat. Zrozumiałem, że zaryzykuję własne życie, byle tylko znaleźć się w niej. Kiedy jestem przy niej, czuję się znów jak adept sztuki, który wyczekuje cudu. Jestem taki niepewny, podniecony...

- Przestań!

- Mówisz poważnie? Nie interesuje cię, dlaczego tak bardzo chcę w niej być?

- Niespecjalnie, ale jeśli mi nie powiesz, i tak będę się zastanawiał - odparł zrezygnowany Godolphin.

- Bo wtedy chociaż na chwilę zapomnę, kim jestem. Wszystko, co małosłowne i nieważne, zniknie. Nie będzie ambicji, nie będzie przeszłości; rozplynie się w nicość. A to

stan najbliższy boskości.

- Jak ty to robisz, że zawsze wszystko sprowadzasz do Boga? Nawet swoją żądę!

- Wszystko jest jednością.

- Nie lubię, kiedy mówisz o jedności. Przypominasz mi Roxborougha z tymi jego maksymami: „W prostocie siła” i tak dalej...

- Wiesz, że nie o to mi chodzi. Widzisz, kobiety znajdują się u początku wszechrzeczy, a ja, jak by to powiedzieć... lubię być blisko źródła.

- Uważasz, że jesteś doskonały, prawda?

- Skąd u ciebie ta gorycz? Jeszcze tydzień temu spijałeś każde słowo z moich ust.

- Nie podoba mi się to, co chcemy zrobić. Chcę mieć Judith dla siebie.

- Będziesz ją miał. Obaj będziemy ją mieli i to jest w tym wszystkim najwspanialsze.

- Niczym się nie będą różnić?

- Niczym. Będą identyczne, co do zmarszczki, co do rzęsy.

- To dlaczego mam się zadowolić kopią?

- Znasz odpowiedź. Oryginał kocha mnie, nie ciebie.

- Niepotrzebnie was ze sobą poznałem.

- Nie zdołałbyś nas długo trzymać w nieświadomości. Nie krzyw się tak żałośnie. Zrobię ci Judith, która będzie cię ubóstwiać. Ciebie, twoich synów, ich synów i wszystkie następne pokolenia mężczyzn, aż nazwisko Godolphinów zniknie z powierzchni Ziemi. Co w tym złego?

Nagle zgasły wszystkie świece poza tą, którą trzymał w dłoni; wraz z nimi odeszła przeszłość. Znowu był sam w pustym domu. Gdzieś niedaleko zawodziła policyjna syrena. Wrócił do holu i zdążył dostrzec radiowóz pędzący Gamut Street, rzucający na wszystkie strony niebieskie odblaski. Chwilę później przejechał następny wóz na sygnale, potem zaś, mimo że wycie syren ucichło, migotanie bynajmniej nie ustąpiło - światło z niebieskiego zrobiło się białe i straciło rytm, a w jego blasku dom znów wrócił do dawnej wspaniałości. Tym razem nikt się w nim nie śmiał, nie prowadził uczonych dysput; zewsząd dobiegał szloch, z zakamarków niósł się zwierzęcy odór strachu. Zagrzmiało, dachówki zaklekotały, ale deszcz nie padał.

Nie chcę tu być, pomyślał Gentle. Tamte pierwsze wspomnienia były zabawne, podobała mu się rola, jaką odgrywał. Teraz zaś z ciemności wyzierała śmierć, przed którą miał ochotę uciec jak najdalej.

Następny makabrycznie jasny piorun przeszył niebo. W jego świetle Gentle ujrzał stojącego na schodach Luciusa Cobbitta, który trzymał się kurczowo poręczy, jakby od tego

zależało jego życie. Musiał sobie przygryźć język albo wargę, bo zmieszana ze śliną krew ściekała mu po ustach i lepiała się do brody. Z bliska Gentle poczuł odór kału; zwieracze nie wytrzymały i chłopak narobił w spodnie. Na widok Gentle'a podniósł wzrok.

- Dlaczego nam się nie udało, maestro? - spytał. - Dlaczego?

Gentle wzdrygnął się, gdy obudzone pytaniem Luciusa obrazy zaczęły nieproszone napływać mu do głowy. Wyglądały potwornie, gorzej niż rzeź, której był świadkiem przy Wybielu. Niepowodzenie przyszło nagle, zastało maistrów w trudnej chwili, gdy zupełnie nie mogli zapobiec katastrofie. Duchy całej piątki wzniosły się już ponad Imajicą. Każdy niósł w sobie podobiznę świata, z którego wyruszył. Spotkały się wszystkie w Ana, nienaruszalnej, bezpiecznej strefie, która co dwieście lat tworzy się w samym sercu In Ovo. W niej właśnie przez krótki czas możliwe są cuda; maestrowie - bezpieczni od zagrożeń In Ovo, a zarazem wolni od ograniczeń narzucanych przez byt materialny - pozbyli się brzemienia światów i czekali, by duch Ana ostatecznie zespolił dominia. To był delikatny moment, ale zbliżał się ku końcowi, gdy nagle krąg, w którym maestro Sartori zostawił swoje ciało i który chronił Ziemię przed bezpośrednim kontaktem z In Ovo, pękł. Z wielu możliwych tragedii, które groziły niepowodzeniem rytuału, ta była najmniej prawdopodobna - tak jakby cud Przemienienia nie nastąpił, bo ktoś wypiekł hostię bez soli. A jednak stało się, krąg pękł i nie mogło być mowy o załataniu szczeliny, póki maestrowie nie wrócili do swoich ciał fizycznych i nie użyli odpowiednich sztuk. Przez ten czas jednak wygłodniałe bestie z In Ovo miały swobodny dostęp do Piątego Dominium - i nie tylko do niego, lecz także do niczego niespodziewających się maistrów, którzy wracając, sami zaprowadzili je do swoich ciał.

Gdyby nie interwencja Pie'oh'paha, Sartori także by zginął razem z pozostałymi. Kiedy krąg został przerwany, mistyfa właśnie wyrzucano z Azylu na wyraźny rozkaz Godolphina, gdyż wyczuwając niebezpieczeństwo, szepnął ostrzeżenie, czym przeszkodził publiczności. Obowiązek usunięcia go przypadł w udziale Abelove'owi i Cobbittowi, ale nie mieli dość siły, żeby powstrzymać mistyfa. Pie wyrwał im się, przebiegł przez Azyl i skoczył do środka kręgu, w którym ciało jego pana widoczne było jako oślepiająca plama światła. Mistryf wiele się nauczył pod okiem maestra; umiał obronić się przed wypełniającą krąg mocą i wyszarpnął Sartoriego spod samych nosów wygłodniałych mieszkańców In Ovo.

Reszta towarzystwa - rozdartą między ostrzegawczymi okrzykami mistyfa i słowami Roxborougha, który desperacko próbował zaprowadzić porządek - stała niezdecydowana, gdy stwory wydostały się z kręgu.

Były szybkie. Azyl, który chwilę wcześniej stanowił dla widzów pomost do metafizycznego przeżycia, w mgnieniu oka zmienił się w rzeźnię. Oszołomiony swoim

nagłym upadkiem maestro widział tylko urywki masakry, ale te kilka chwil na trwałe wypaliło mu się w mózgu i teraz oglądał je ze wszystkimi makabrycznymi szczegółami. Pamiętał Abelove'a, który leżał przerażony na ziemi, gdy potwór wielkości byka (choć o wyglądzie płodu jakiejś nienazwanej istoty) otworzył pozbawioną zębów paszczę i wciągnął go do środka jęzorami długimi jak bicze; McGanna, któremu smukłe czarne zwierzę o falującym ciele odgryzło ramię, ale on mimo to odczołgał się, brocząc krwią; i Floresa, biednego Floresa, który dzień wcześniej zjawił się na Gamut Street z listem polecającym od Casanovy, a którego dopadły dwie bestie o czaszkach płaskich jak łopaty i przezroczystej skórze (dzięki czemu widać było, jak umiera, gdy jedna odgryzła mu głowę, a druga pożarła nogi).

Ale najbardziej zapadła Gentle'owi w pamięć makabryczna śmierć siostry Roxborougha - także dlatego, że brat starał się za wszelką cenę nie dopuścić do jej obecności w Azylu. Poniżył się przed maestrem, błagając go, by ją przekonał. Owszem, porozmawiał z nią, ale zamiast ostrzec, starał się ją uwieść (co prawie mu się udało) i kiedy przyszła obejrzyć Pojednanie, uczyniła tak nie tylko dla samej ceremonii, ale i po to, by jeszcze raz spojrzeć mu w oczy. Zapłaciła za to straszliwą cenę. Potwory były się o nią jak głodne wilki o kość, a ona wyła i modliła się o ratunek, gdy wreszcie wywlekły jej wnętrzności i rozplątały czaszkę. Zanim maestro z pomocą Pie'oh'paha zebrał dość sił i użył swoich sztuk, by zapędzić bestie do kręgu, umarła zaplątana we własne jelita. Do końca miotła się jak nadziana na hak, wypatroszona ryba.

Później dowiedział się, jakie potworności wydarzyły się w sąsiedztwie innych kręgów. Wszędzie było tak samo. Istoty z In Ovo wdarły się w tłum niewinnych widzów, urządziły rzeź i dopiero któremuś z asystentów maestra udawało się je powstrzymać. Sami maestrowie - poza Sartorim - zginęli.

- Szkoda że nie umarłem z nimi - powiedział do Luciusa.

Chłopak próbował go przekonać, że nie ma racji, ale łyzy zdławiły mu głos.

- Sartori! - zawołał ktoś z dołu schodów. Ten głos był chrapliwy, przepelniony smutkiem, ale silny. - Sartori!

W holu stał Joshua. Elegancki jasnobłękitny płaszcz miał cały zachlapany krwią. Ręce i twarz również.

- Co teraz będzie? - krzyczał. - Ta burza rozedrze nasz świat na strzępy!

- Nie, Joshua.

- Nie okłamuj mnie! Takiej nawałnicy nigdy jeszcze nie było! Nigdy, słyszysz?!

- Opanuj się...

- Chryste, wybacz nam nasze winy!

- To nic nie pomoże, Joshua.

Godolphin przytknął do ust trzymany w dłoniach krzyżyk.

- Ty bezbożne ścierwo! Jesteś demonem?! Przyszedłeś zabrać nam dusze?! - Łzy spływały mu po wykrzywionej w opętańczym grymasie twarzy. - Z jakiego piekła przybywasz?

- Z tego samego co ty. Piekła ludzkości.

- Powinienem być słuchać Roxborougha. On wiedział! Cały czas powtarzał, że masz jakiś plan, a ja nie chciałem mu uwierzyć, bo Judith cię kochała, a jak istota tak czysta może pokochać człowieka przeklętego? Ale i przed nią ukryłeś swą prawdziwą naturę, prawda? Biedna, słodka Judith! Co jej zrobiłeś, że cię pokochała? Co jej zrobiłeś?

- Nic innego nie przychodzi ci do głowy?

- Gadaj! Jak to zrobiłeś?

Godolphin nie panował już nad sobą, rzucił się na maestra. Gentle podniósł rękę do ust. Godolphin zatrzymał się; znał jego moc.

- Czy nie dość przelano dziś krwi? - zapytał maestro.

- Ty ją przelałeś, nie ja - odparł Godolphin i wyciągnął oskarżycielsko palec. Z zaciśniętej pięści zwisał krucyfiks na łańcuszku. - Nie zaznasz spokoju. Roxborough już nawołuje do przeprowadzenia czystki, a ja zamierzam go wesprzeć każdą gwineą, jaką mam, byle tylko przetrącił ci kark. Bądź przeklęty, ty i twoje dzieło!

- Judith też?

- Nie chcę więcej widzieć tego monstrum na oczy!

- Ależ ona należy do ciebie, Joshua - zauważył spokojnie maestro i zaczął schodzić po schodach. - Jest twoja na wieki. Nie będzie się starzeć, nie umrze... Należy do rodu Godolphinów do czasu, aż słońce zgaśnie.

- Zabiję ją.

- Chcesz mieć jej niewinną duszę na sumieniu?

- Ona nie ma duszy!

- Obiecałem ci Judith, która będzie nie do odróżnienia od oryginału, i taka właśnie jest. Jak religia. Jak najwyższe prawo. Jak uświęcona tajemnica, pamiętasz?

Godolphin ukrył twarz w dłoniach.

- To jedyna prawdziwie niewinna istota z nas wszystkich, Joshua. Dbaj o nią. Kochaj ją tak, jak nigdy nie kochałeś żadnego żywego stworzenia. Ona jest naszym jedynym sukcesem. - Złapał Godolphina za rękę i odsunął mu je od twarzy. - Nie wstydz się ambicji. I

nie wierz nikomu, kto by twierdził, że to dzieło diabła. Zrobiliśmy to z miłości.

- Co masz na myśli? Judith czy Pojednanie?

- Wszystko jest jednością. Przynajmniej w to spróbuj uwierzyć.

Godolphin wyszarpnął ręce z jego uchwytu.

- W nic już nie uwierzę.

Odwrócił się i znużony wyszedł.

Stojąc na schodach i patrząc, jak odchodzi, Gentle żegnał się z nim po raz drugi. Po tamtej nocy więcej go już nie spotkał. Kilka tygodni później Godolphin zaszył się w swojej wiejskiej posiadłości i dogorywał tam w umartwieniu, aż wrażliwe serce pękło mu z rozpacz.

- To moja wina - odezwał się stojący z tyłu chłopiec.

Gentle całkiem o nim zapomniał.

- Nie - odparł. - Nie obwiniaj się.

Lucius otarł krew z brody, ale nie potrafił zapanować nad dreszczami.

- Zrobiłem wszystko, co kazałeś, panie... - wyjąkał, szczękając zębami. - Naprawdę... Przysięgam... Ale coś musiałem przegapić w rytuałach... albo... sam nie wiem... Może pomyliłem kamienie...

- O czym ty mówisz?

- Dałeś mi kamienie, panie, żebym wymienił te, które były uszkodzone.

- Nie dawałem ci żadnych kamieni, Luciusie.

- Dawałeś, maestro! Dwa kamienie, które miały znaleźć się w kręgu. Te, które wyjąłem, miałem zakopać pod progiem. Nie pamiętasz, panie?

Śluchając go, Gentle zrozumiał wreszcie, dlaczego nie doszło do Pojednania. Jego sobowtór, zrodzony w tym właśnie domu, na piętrze, kazał Luciusowi zastąpić część kręgu kamieniami, które do złudzenia przypominały prawdziwe (talent do fałszerstw jest dziedziczny). Wiedział, że w kluczowym momencie krąg będzie musiał pęknąć.

O ile jednak człowiek, który oglądał te sceny jako wspomnienia, rozumiał, co się stało, o tyle prawdziwy maestro Sartori, nieświadomy istnienia bliźniaka, nie umiał rozwikłać tej tajemnicy.

- Nie wydałem ci takiego polecenia.

- Rozumiem - odparł chłopak. - Musisz zrzucić winę na mnie, panie. Po to właśnie maestrom potrzebni są adepci. Błagałem cię o szczyptę odpowiedzialności i cieszę się, że ją dostałem. Chociaż zawiodłem. - Sięgnął do kieszeni. - Wybacz mi, maestro - dodał, wyciągnął z kieszeni nóż i pchnął się w serce. Gdy tylko ostrze przebiło skórę, maestro

wyrwał mu nóż i cisnął na schody.

- Kto ci pozwolił to zrobić? - zapytał. - Wydawało mi się, że chcesz być adeptem.

- Bo chciałem.

- A teraz już ci przeszło? Zrozumiałeś, co znaczy upokorzenie, i już masz dość?

- Nie! Dalej pragnę mądrości, ale dziś cię zawiodłem.

- Dzisiaj wszyscy zawiedliśmy! - Maestro położył chłopcu dłonie na ramionach i mówił cicho dalej: - Nie wiem, jak doszło do tej tragedii, ale w powietrzu czuję coś więcej niż tylko twoją kupę, mały. Ktoś tu uknuł spisek, ktoś, kto chciał pokrzyżować nasze wzniosłe plany. Gdyby nie zaślepiła mnie żądza sławy, może bym to dostrzegł wcześniej. Nie jesteś niczemu winien, Luciusie. To, że umrzesz, nie wróci życia ani Abelove'owi, ani Esther... nikomu. Posłuchaj mnie.

- Słucham, panie.

- Czy wciąż chcesz być moim uczniem?

- Oczywiście!

- Czy zatem wypełnisz moje polecenia? Co do joty?

- Zrobię, co zechcesz, maestro! Tylko powiedz.

- Weź moje księgi - tyle, ile zdołasz udźwignąć - i odejdz jak najdalej stąd; jeżeli ci się uda, możesz udać się nawet na drugi kraniec Imajiki. Zaszuj się gdzieś, gdzie nie znajdą cię psy gończe Roxborougha. Dla takich jak my nadchodzą ciężkie czasy, przeżyją tylko najsprytniejsi. Ale ty przecież jesteś sprytny, prawda?

- Tak.

- Nie wątpię - uśmiechnął się maestro. - Studiuj księgi w sekrecie, Luciusie, naucz się żyć poza czasem. Wtedy lata nie będą się ciebie imać, a gdy Roxborough umrze, będziesz mógł spróbować jeszcze raz.

- Gdzie wtedy będziesz, maestro?

- Jeżeli dopisze mi szczęście, zostanę zapomniany. Chociaż nie sądzę, by ludzie kiedykolwiek mi wybaczyli. Nie bądź taki przygnębiony; muszę wiedzieć, że wciąż istnieje nadzieja. Chcę, żebyś ty ją ucieleśniał.

- To dla mnie zaszczyt, maestro.

Gentle znów miał wrażenie *déjà vu*, tak jak kiedy pierwszy raz spotkał Luciusa przy wejściu do jadalni - tym razem jednak było słabsze i ulotniło się, nim zdołał je ogarnąć.

- Pamiętaj, Luciusie, że wszystko, czego się uczysz, jest już częścią ciebie. Nawet Bóstwo. Dlatego studiując, nie zapominaj, że wszystko to już wiesz. Kiedy zechcesz coś czcić, czcij tylko jako swoje prawdziwe „ja”. Niczego się nie obawiaj... - wzdrygnął się, jakby

na chwilę opanowały go złe przeczucia - ...i miej zawsze świadomość, że twój nieprzyjaciel też jest w tobie i że tylko ty możesz go uzdrowić. Wszystko, co złe, zawiera się w bólu. Zapamiętasz?

- Najlepiej jak umiem - odparł niepewnie chłopiec.

- To nam będzie musiało wystarczyć. A teraz zmykaj, zanim przyjdą ludzie Roxborougha i zaczną się czystka.

Puścił chłopca, który tyłem wycofał się po schodach, jak prostak sprzed oblicza króla. Odwrócił się dopiero w holu na dole.

Burza szalała dokładnie nad Gamut Street i kiedy wraz z Luciušem zniknął smród odchodów, powietrze przesyciła woń ozonu. Płomień świecy w ręce Gentle'a zadrżał; przez chwilę wydawało mu się, że zgaśnie, oznajmiając koniec przedstawienia (przynajmniej tej nocy), ale czekały dalsze atrakcje.

- Byłeś bardzo miły - powiedział Pie'oh'pah.

Gentle odwrócił się. Mistyf stał u szczytu schodów. Ze zwykłą sobie niechęcią pozbył się zabrudzonych szat, ale spodnie i biała koszula w zupełności wystarczały, by wyglądał absolutnie idealnie. W całej Imajice nie ma piękniejszej twarzy, pomyślał Gentle. Ani wdzięczniejszej sylwetki. Makabryczne sceny, które przywołała burza, traciły wszelkie znaczenie, dopóki mógł się napawać jego widokiem. Ale maestro, którym był w tej scenie, nie popełnił jeszcze tragicznego błędu i nie stracił mistyfa, toteż bardziej zmartwił się tym, że jego oszustwo może wyjść na jaw.

- Byłeś tutaj, kiedy przyszedł Godolphin? - zapytał.

- Tak.

- W takim razie wiesz o Judith?

- Domyślam się.

- Nie mówiłem ci o tym, bo wiedziałem, że ten pomysł ci się nie spodoba.

- Nie do mnie należy ocena twoich pomysłów. Nie jestem twoją żoną; nie musisz obawiać się mojej opinii.

- A jednak się obawiam. Pomyślałem sobie, że po udanym Pojednaniu będzie to wyglądało jak drobne ustępstwo na rzecz zmysłów, a ty powiesz, że na nie zasłużyłem, po tym, czego dokonałem. Teraz zaś cała rzecz wygląda jak zbrodnia. Żałuję, że nie mogę cofnąć czasu.

- Żałujesz? Z głębi serca?

Maestro podniósł wzrok.

- Nie - odparł zdziwiony nagłym odkryciem. Zaczął wchodzić po schodach na górę. -

Chyba wierzę w to, co powiedziałem Godolphinowi, że ona jest naszym jedynym...

- Sukcesem. - Pie usunął się na bok, przepuszczając Gentle'a, który skierował się do pokoju medytacyjnego, pustego jak zawsze. - Chcesz zostać sam?

- Nie - odrzekł pośpiesznie maestro. - Proszę - dodał ciszej.

Podszedł do okna, z którego tyle razy podglądał Allegrę przy wieczornej toalecie. Gałęzie drzewa, które ich rozdzielały, były starte na miazgę od uderzania w okiennice.

- Umiesz sprawić, bym o wszystkim zapomniał. Pie'oh'pahu? Są przecież odpowiednie sztuki, prawda?

- Naturalnie. Ale czy tego właśnie chcesz?

- Nie. Nade wszystko chciałbym umrzeć, tylko na razie za bardzo boję się śmierci. Tak że... zapomnienie będzie mi musiało na razie wystarczyć.

- Prawdziwy maestro włączyłby ból w swoje doświadczenie.

- Nie jestem prawdziwym maestrem. Brak mi odwagi. Pomóż mi zapomnieć, mistyfie. Oddziel mnie na zawsze od tego, kim jestem i co zrobiłem. Niech twoja sztuka stanie się rzeką, za którą zostawię tę chwilę, i niech mnie nie kusi, żeby ją przekroczyć.

- Jak będziesz żył?

Maestro zamyślił się na chwilę.

- Po kawałku. Każdy kolejny kawałek będzie nieświadomy tego, który był przed nim. Zrobisz to dla mnie?

- Oczywiście.

- Ja zrobiłem to samo kobiecie, którą stworzyłem dla Godolphina. Co dziesięć lat jej życie będzie się rozpadać, a ona wymyśli sobie nowe i zapomni, co było wcześniej.

Gentle słyszał we własnych słowach jakąś pokrętną satysfakcję. Skazywał się na dwieście lat beznadziei, ale zdawał sobie dokładnie sprawę, co robi. Dokładnie tak samo ułożył życie nowej Judith i w jej imieniu rozważył wszystkie konsekwencje. To nie tchórzostwo kazało mu się wyzbyć wspomnień - w ten sposób mścił się na samym sobie za to, że zawiódł pokładane w nim nadzieje, planował sobie tak samo pustą przyszłość, jak istocie, którą stworzył.

- To może być przyjemne, Pie - mówił dalej. - Będę wędrował po świecie i żył chwilą, nie będę tylko umiał zebrać tych chwil w całość.

- A co ze mną?

- Kiedy zrobisz to, o co proszę, będziesz wolny.

- Co z tego? Co się ze mną stanie?

- Albo zostaniesz dziwką, albo płatnym mordercą. Nic mnie to nie obchodzi.

Rzucił tę uwagę od niechcenia; z pewnością nie zamierzał rozkazywać mistyfowi - ale czy obowiązkiem niewolnika było odróżniać polecenia, których miał bezwzględnie przestrzegać, od tych, które jego pan wydawał dla żartu? Nie. Niewolnik miał służyć i słuchać, zwłaszcza kiedy polecenie pochodziło z ust ukochanej osoby. W ten sposób maestro jednym przypadkowym zdaniem określił życie Pie na następne dwa stulecia, zmuszając go do rzeczy, które z pewnością były mu wstrętne.

Widział, że oczy mistyfa zaszyły łzami, poczuł jego cierpienie jak cios potężnego młota wymierzony w samo serce. Brzydził się swojej arogancji i bezmyślności - to przez nie skrzywdził istotę, która tylko chciała go kochać. Nigdy tak bardzo za nim nie tęsknił, jak w tej chwili; gdyby mógł, błagałby go o przebaczenie.

- Chcę zapomnieć - powiedział. - Niech się to wszystko skończy.

Pie poruszył wargami. Maestro nie słyszał jednak słów, które przyniosły mu zapomnienie. Poruszony oddechem mistyfa płomyk świecy zadrżał niespokojnie i zgasł, a wraz z nim zniknęły wszystkie wspomnienia.

Gentle wymacał w ciemności zapalki. Zapalił dymiący jeszcze knot, ale burzliwa noc przeszła tymczasem do historii, a z nią Pie'oh'pah - piękny, posłuszny, kochający Pie'oh'pah. Tak go stracił. Usiadł przy świecy i czekał na zakończenie przedstawienia, lecz dom był pusty i martwy od piwnic po dach.

- Co dalej, maestro? - powiedział na głos.

Odpowiedział mu własny żołądek; zagrzmiało, jakby burza przeniosła się do jego wnętrza.

- Głodny jesteś? - zapytał Gentle i usłyszał radosny gulgot w odpowiedzi. - Ja też.

Wstał i zaczął schodzić na dół, szykując się na powrót do współczesności. Kiedy jednak znalazł się na dole, usłyszał jakieś chrobotanie. Podniósł świecę.

- Kto tam?! - zawołał.

Ani światło, ani głos nie sprowokowały wyraźnej reakcji, lecz chrobot nie ustawał. Dołączyły do niego inne, równie nieprzyjemne dźwięki: cichy, bolesny jęk, wilgotne szuranie, rżący oddech. Gentle był ciekaw, jaki melodramat szykuje mu pamięć, skoro potrzebuje tak wyświechtanych rekwizytów. Kiedyś może by się ich nawet wystraszył, ale nie teraz; zbyt często stawał twarzą w twarz z makabrą, żeby przejąć się imitacją.

- Co jest grane? - zapytał i zdziwił się, gdy tym razem nadeszła odpowiedź:

- Długo na ciebie czekaliśmy - zabrzmiał świszczący głos.

- Myśleliśmy, że już nie przyjdiesz - zawtórował mu drugi, bardziej dźwięczny, jakby kobiecy.

Gentle na granicy kręgu światła dostrzegł coś, co wyglądało jak fałda szkarłatnej sukni, która jednak zaraz zniknęła w cieniu. Na deskach podłogi połyskiwała świeża krew. Zatrzymał się i nasłuchiwał. Nie musiał długo czekać.

- To była twoja wina - zaświszczal mężczyzna. - Ale ból był nasz. Tyle lat musieliśmy czekać.

Głos, chociaż zniekształcony złością, wydał się Gentle'owi znajomy. Słyszał go już w tym domu.

- To ty, Abelove?

- Pamiętasz srokę? Tyle razy sobie wmawiałem, że to był mój błąd, że nie powinienem był przynosić tego ptaka do domu. Tyrwhitt nie chciał mieć z nim nic wspólnego... i przeżył, prawda? Zmarł jako dziecięciniały staruszek. Roxborough też ocalał, i Godolphin, i ty. Nic wam się nie stało. A ja? Cierpiałem tu, tłukąc się o szybę, ale nie mogłem uderzyć dość mocno, żeby zginąć. - Abelove jęknął znowu i choć jego słowa były kompletnie pozbawione sensu, Gentle'a przebiegł dreszcz. - Nie jestem sam, naturalnie. Jest ze mną Esther, Flores, i Byam-Shaw, i szwagier Bloxhama. Pamiętasz go? Nie będziesz się nudził.

- Nie zostanę z wami - odparł Gentle.

- Zostaniesz - powiedziała Esther. - Tyle przynajmniej możesz dla nas zrobić.

- Zdmuchnij świecę - polecił Abelove. - Oszczędź sobie naszego widoku. Kiedy wyłupimy ci oczy, będziesz mógł żyć wśród nas. Jako ślepiec.

- Nie ma mowy. - Gentle podniósł świecę, rozszerzając krąg światła.

Zobaczył ich. Stali na granicy cienia, światło połyskiwało na wywleczonych z brzucha jelitach. To, co wziął za rąbek sukni Esther, było w istocie wleczonym po podłodze płatem skóry zdartym z jej biodra i nogi. Przytrzymała go ręką, próbując zasłonić łono przed wzrokiem Gentle'a. Ta próba zachowania pozorów była absurda, ale nie wiedział, czy dwustuletnia sława kobieciarza nie sprawiła, że Esther - nawet w tak potwornym stanie - boi się jego żądy.

Poza tym to nie jej widok był najbardziej odrażający. Byam-Shaw prawie nie przypominał człowieka, a szwagier Bloxhama wyglądał, jakby pogryzły go tygrysy. Wszyscy jednak byli gotowi się zemścić i na rozkaz Abelove'a zaczęli zacieśniać krąg wokół Gentle'a.

- Dość się już nacierpieliście - powiedział. - Nie chcę wam robić krzywdy. Lepiej mnie przepuście.

- A po co? - zdziwił się Abelove, coraz lepiej widoczny w blasku świecy. Miał zdartą skórę z czaszki, jedno oko wypłynęło mu na policzek, gdzie trzymało się na włóknach nerwu. Kiedy podniósł rękę w oskarżycielskim geście, wskazał Gentle'a małym palcem, jedynym

ocalałym. - Chcesz spróbować jeszcze raz, prawda? Nie masz co zaprzeczać! Stare ambicje wcale nie wywietrzały ci z głowy!

- Umarliście w imię Pojednania - odparł Gentle. - Nie chcecie go zobaczyć?

- To potworność, która nigdy nie powinna się wydarzyć! Nasza śmierć właśnie tego dowodzi. Jeżeli spróbujesz ponownie i znów ci się nie uda, nasza ofiara będzie daremna.

- Uda mi się.

- Nie - wtrąciła Esther. Wypuściła z ręki płat skóry i wyciągnęła sobie z brzucha kawałek jelita, chwytając je oburącz jak garotę. - Nie uda ci się, bo nie będziesz miał okazji spróbować.

Rzut oka na ich twarze wystarczył, by Gentle zrozumiał, że nie zdoła ich przekonać. Nie po to czekali tyle lat, żeby teraz dać wiarę jego argumentom. Pragnęli zemsty. Musiał powstrzymać ich pnie, chociaż nie chciał przysparzać im cierpień. Przełożył świecę do lewej ręki - i w tej samej chwili ktoś od tyłu złapał go za ramiona. Świeca upadła i potoczyła się w kierunku napastników, ale zanim płomień utonął w wosku, Abelove ujął ją w okaleczoną dłoń.

- Doskonale, Flores - powiedział.

Mężczyzna przytrzymujący Gentle'a chrząknął potakująco i potrząsnął jeńcem. Jego ręce, choć obdarte ze skóry, trzymały jak imadło. Abelove skrzywił się w grymasie mającym uchodzić za uśmiech; jego twarz, która miała strzępy skóry zamiast policzków i szereg wrzodów zamiast ust, wyglądała makabrycznie.

- Nie stawiasz oporu - stwierdził, podchodząc bliżej. - Czemu? Pogodziłeś się z tym, że do nas dołączysz? A może wydaje ci się, że wzruszeni twoim męczeńskim spokojem puścimy cię wolno? Ładniutki jesteś - westchnął, przekrzywiając głowę. - Ludzie kochali tę twarz. I tę pierś. Kobiety biły się o to, żeby złożyć na niej głowę! - Rozdarł Gentle'owi koszulę na piersi. - Jaki blady! I bezwłosy! To chyba nie jest włoskie ciało, co?

- A jakie to ma znaczenie? - spytała Esther. - Grunt, że krwawi. - Nigdy nie raczył nam nic o sobie powiedzieć. Musieliśmy wierzyć we wszystko, co chciał, bo miał moc. Tyrwhitt uważał go za boga. Ale nawet bogowie mają rodziców. - Abelove nachylił się tak blisko, że płomień świecy opalił Gentle'owi rzęsy. - Kim naprawdę jesteś? Nie jesteś Włochem. Może Holendrem? Mógłbyś być Holendrem. Albo Szwajcarem, taki opanowany i dokładny. I co? Mam rację? Czy po prostu jesteś dzieckiem szatana?

- Abelove! - Esther próbowała przywołać go do porządku.

- Chcę wiedzieć! - zakwilił Abelove. - Chcę usłyszeć, jak mówi, że jest synem Lucyfera! No, dalej, mów!

- Nie jestem nim.

- Żaden maestro w całym chrześcijańskim świecie nie mógł ci dorównać w sztukach.

A przecież taka moc musi skądś pochodzić. Jak to z tobą było, Sartori?

Gdyby Gentle znał odpowiedź, chętnie by jej teraz udzielił, ale był bezradny.

- Kimkolwiek jestem i cokolwiek wam zrobiłem...

- Cokolwiek! - prychnęła Esther. - Słyszeliście?! Cokolwiek! Cokolwiek!

Odepchnęła Abelove'a i zarzuciła Gentle'owi na szyję pętlę swoich jelit. Abelove próbował zaprotestować, ale zbyt długo już tokował. Wyśmiali go, a najgłośniej śmiała się Esther. Szarpnęła stryczek, próbując przewrócić Gentle'a na podłogę: bardziej wyczuwał, niż widział czyhające na niego monstra. Któreś ugryzło go w nogę, inne uderzyło w genitalia. Ból był straszny i Gentle zaczął się miotać na wszystkie strony, ale trzymali go zbyt mocno - rękoma, zębami, jelitem - i nie mógł się uwolnić. Czerwona mgiełka krwi Esther zasnuwała mu widok. Ujrzał w niej, jak Abelove żegna się jednopalczystą dłonią i podnosi świecę do ust.

- Nie! - krzyknął. Najmniejsza nawet odrobina światła była lepsza od całkowitej ciemności.

Abelove spojrział na niego, wrzucił ramionami i dmuchnął. Oślizłe ciała opadły Gentle'a ze wszystkich stron i pociągnęły w dół. Pięść, która biła go po genitaliach, otworzyła się i zacisnęła na nich. Krzyknął z bólu, a potem zawył całą oktawę wyżej, gdy ktoś wgrzyzł mu się w ścięgno pod kolanem.

- Na ziemię go! - wrzasnęła zgrzytliwie Esther. - Na ziemię!

Zaciśnięte na szyi jelito nie pozwalało mu zaczerpnąć tchu. Przyduszony, obity i pogryziony Gentle przewrócił się, zdołał jeszcze tylko odrzucić głowę w tył. Wiedział, że będą chcieli wyłupić mu oczy - i jeśli im na to pozwoli, będzie po nim. Gdyby nawet jakimś cudem uszedł z życiem, byłby bezradny. Mógł żyć pozbawiony męskości, ale nie ślepy. Upadł na kolana; czuł na sobie palce, którymi próbowali dosięgnąć jego twarzy. Wiedząc, że za kilka sekund może stracić oczy, otworzył je i w zalegającym pod sufitem mroku wypatrywał ostatniej pięknej rzeczy, na której mógłby zaczepić wzrok - wystarczyłby snop księżycowego światła, rozedrgana pajęczyna... Ale w górze panowała absolutna ciemność. Stracił oczy, zanim zdążył ich ponownie użyć.

I wtedy coś drgnęło w tej ciemności, przepłynęło jak dym, układając się w urojony kształt. Zapewne halucynował z bólu, ale ucieszył się na widok cherubinkowatej twarzy dziecka, które patrzyło wprost na niego.

- Otwórz się na mnie - powiedziało. - Poddaj się. Pozwól mi w siebie wniknąć.

Następny znajomy motyw, pomyślał. Przyszedł do mnie we śnie mały orędownik,

który mnie obroni; pokona koszmar, w którym mam zostać wykastrowany i oślepiiony. Ale skoro koszmar jest prawdziwy - a ból najlepiej tego dowodzi - to może i ta wizja... Dziecko poruszyło ustami.

- Wpuść mnie do swojej głowy. Do serca.

- Jak?! - krzyknął.

Abelove i pozostali zaczęli go przedrzeźniać.

- Jak? Jak? Jak? - powtarzali rytmicznie.

- Poddaj się - odparło dziecko.

To nie mogło być trudne. I tak przegrywał, więc co właściwie miał do stracenia? Patrząc w oczy dziecka, rozluźnił wszystkie mięśnie, przestał zaciskać pięści, kopać, otworzył usta i pochylił głowę.

- Otwórz się na mnie - usłyszał.

- Tak...

Gdzieś w głębi umysłu delikatnie jak ćma zatrzepotały ostatnie wątpliwości. Czy ta scena od początku nie pachniała melodramatem? Opowieść o duszy, którą cherubin wyrwał z czyścica i która otwierała się na zbawienie. Ale serce otworzył już szeroko i zanim niepewność zdążyła je zatrzaskać, dziecko rzuciło się na nie. Poczł jego obecność w gardle, chłód zmroził mu żyły. Mały intruz dotrzymał słowa - dręczyciele rozpływali się w powietrzu, ich krzyk ginął we mgle.

Upadł. Dotknął twarzą podłogi - suchej, choć jeszcze przed chwilą ścielił się po niej krwawy tren Esther. Zniknął też bez śladu ohydny, dławiący odór. Gentle przetoczył się na bok i ostrożnie obmacał ścięgna; były nietknięte. Jądra, o których myślał, że zostały zmiażdżone na papkę, nawet nie bolały. Roześmiał się z ulgą i wyciągnął rękę, żeby namacać świecę. Urojenie! To były tylko zwidy, ostatni rytuał, którego jego umysł musiał dopełnić, żeby wyzbył się poczucia winy i wolny od jej brzemienia stał się Pojednawcą. Duchy świetnie się spisały. Był wolny.

Znalazł świecę. Podniósł ją, chwilę biedził się nad zapałkami, ale w końcu zapalił knot. Teatr, który zapełnił ghulami i cherubinami, był pusty od sceny po galerię. Gentle wstał. Mimo że rany i obrażenia istniały tylko w jego wyobraźni, szarpał się i walczył z potworami na serio. Jego ciało (po okrucieństwach Yzorderrex dalekie od najwyższej formy) źle to zniosło. Zaczął kuśtykać do drzwi, gdy usłyszał cherubina:

- Nareszcie sami.

Odwrócił się na pięcie - głos dobiegał zza jego pleców, ale na schodach nie było nikogo, podobnie jak na podeście i w odchodzących od holu korytarzach.

- Niesamowite, prawda? - odezwało się znowu dziecko. - Słyszeć, nie widząc. Można od tego oszaleć.

Gentle odwrócił się błyskawicznie. Płomień świecy zadygotał.

- Nadal tu jestem - powiedział cherubinek. - Nie opuszczę cię przez długi czas, więc lepiej będzie, jak polubimy się nawzajem. O czym chciałbyś pogadać? O polityce? O jedzeniu? Mnie to bez różnicy, byleśmy trzymali się z dala od religii.

Kiedy i tym razem Gentle spojrzął do tyłu, kątem oka dostrzegł ruch. Jego towarzysz nie przypominał już cherubina, raczej małą małą, miał bladą, jakby upudrowaną lub anemiczną, twarz, oczy jak czarne paciorki i ogromną paszczę. Zamiast tracić siły na pościg za zwinną bestią (która przed chwilą zwieszała się przecież spod sufitu), Gentle stał nieruchomo. Małpka gadała jak nakręcona - pewnie zaraz znów się odezwie, i w końcu mu się pokaże.

Nie musiał długo czekać.

- Te twoje demony musiały być naprawdę straszne - usłyszała. - Tak się rzuciłeś i kłąłeś...

- Nie widziałeś ich?

- Nie. I nie chcę ich widzieć.

- Włożyłeś mi paluchy do mózgu, prawda?

- Tak, ale nie zamierzam ci w nim grzebać. To nie moja sprawa.

- A co jest twoją sprawą?

- Jak ty możesz żyć w tym mózgu? Jest taki mały i ciasny.

- Co z twoimi sprawami?

- Mam ci dotrzymać towarzystwa.

- Ja niedługo wychodzę.

- Nie sędzę. Jest to, naturalnie, tylko moja prywatna opinia...

- Kim jesteś?

- Możesz mnie nazywać Spokojkiem.

- Co to za imię?

- Mój ojciec był strażnikiem więziennym. Spokojek to była jego ulubiona cela. Powinienem się cieszyć, że nie zajmował się obrzezywaniem chłopców, bo nazywałbym się pewnie...

- Wystarczy.

- Próbuje tylko podtrzymać rozmowę. Jesteś zdenerwowany. Niepotrzebnie. Nic ci się nie stanie, przynajmniej dopóki nie wystąpisz przeciwko mojemu maestrowi.

- Mówisz o Sartorim.

- Właśnie. Wiedział, że tu przyjdiesz, że przygna cię tu tęsknota i duma. Miał rację. Pewnie sam zrobiłby dokładnie to samo; w twoim umyśle nie ma nic, czego nie znałbym z jego umysłu. Poza mną samym, naturalnie. Nawiasem mówiąc, powinienem ci podziękować za pośpiech. Maestro kazał mi uzbroić się w cierpliwość, a ty przybyłeś już po dwóch dniach. Musiało ci strasznie zależeć na tych wspomnieniach.

Małpa kontynuowała swój monolog, gulgocząc gdzieś w głębi świadomości Gentle'a, ale on nie zwracał na nią uwagi. Planował następny krok. Kimkolwiek był ten stwór, przeniknął w głąb jego czaszki podstępem. Otwórz się na mnie, powiedział, a on, głupiec, posłuchał. Dał mu się posiąść i teraz musiał wymyślić jakiś sposób, żeby się go pozbyć.

- Tam, skąd przybyły, jest ich więcej.

Gentle zdążył już zgubić wątek.

- Czego więcej? - spytał.

- Wspomnień. Chciałeś poznać przeszłość, ale na razie widziałeś tylko ułamek ułamka całości. Najlepsze jeszcze przed tobą.

- Nie chcę niczego więcej.

- Dlaczego? To cały ty, maestro, tylko w różnych wcieleniach. Powinieneś dostać wszystko, co do ciebie należy. A może boisz się, że utoniesz w tym, czym byłeś?

Nie odpowiedział. Podejrzał, że wiele szkody może mu wyrządzić przeszłość, gdyby się nią zachłysnął. Przed przyjściem do domu starał się przewidzieć taką możliwość i zabezpieczyć przed nią. Spokojek musiał wyczuć, że puls mu przyspieszył.

- Rozumiem, że się boisz - stwierdził. - Masz tyle na sumieniu, prawda?

Czuł, że musi jak najszybciej wyjść z tego domu. Dopóki tu siedział, prosił się o kłopoty.

- Dokąd to? - zainteresował się Spokojek, gdy Gentle ruszył do drzwi.

- Chcę się przespać - odparł niewinnym tonem.

- Możesz spać tutaj.

- Tu nie ma łóżka.

- Połóż się na podłodze. Zaśpiewam ci kołysankę.

- Nie ma też nic do jedzenia i picia.

- W tej chwili nie potrzebujesz pokarmu.

- Jestem głodny.

- Krótki post ci nie zaszkodzi.

Dlaczego Spokojek tak usilnie próbował go zatrzymać? Chciał go zameczyć

bezsennością i głodem, nie dając mu wyjść? Czy też bał się, bo na progu kończy się jego moc? Gentle'owi serce zabiło żywiej na tę myśl, ale próbował nie dać nic po sobie poznać. Czuł, że intruz nie potrafi przejrzeć wszystkich jego myśli, chociaż chełpił się tym, że siedzi mu w mózgu i w sercu. Nie mógł nim sterować; w przeciwnym razie po prostu kazałby mu rozluźnić całe ciało i położyć się. A Gentle wciąż miał wolną wolę, nawet jeśli Spokojek zawładnął jego pamięcią. Miał zatem szansę dopaść drzwi i wydostać się poza zasięg jego mocy. Na razie stanął tyłem do wyjścia, próbując uspić czujność intruza.

- W takim razie chyba zostanę - powiedział.

- Mamy przynajmniej siebie nawzajem dla towarzystwa. Pozwól tylko, że wyjaśnię jedną rzecz. Nie ma mowy o żadnym związku cielesnym, choćbyś nie wiem jak bardzo mnie pragnął. Nie uznaj tego za afront: po prostu znam twoją reputację i korzystając z okazji podkreślam, że seks mnie nie interesuje.

- Nie chcesz mieć dzieci?

- To co innego. Składam dzieci w głowach moich wrogów.

- Czy to ostrzeżenie?

- Ależ skąd. Chociaż jestem pewien, że mógłbyś przygarnąć małą rodzinę. Wszystko jest przecież jednością, prawda? - Intruz zmienił głos, naśladując Gentle'a: - „Śmierć nie będzie dla nas ograniczeniem. Przeciwnie, osiągniemy wielkość całego Stworzenia”. Wyobraź sobie, że jestem częścią tej całości. Dogadamy się.

- Dopóki mnie nie zabijesz.

- Po co miałbym to robić?

- Sartori chce mojej śmierci.

- Niesłusznie go podejrzewasz. Nie zatrudnił mnie do roli zabójcy. Mam tylko dopilnować, żebyś do dnia letniego przesilenia nie miał okazji wziąć się do roboty. Nie chce, żebyś dokonał Pojednania, bo wtedy przybędą tu jego wrogowie. I nie można mieć o to do niego pretensji. Zamierza zbudować Nowe Yzordderrex i rządzić całym Piątym Dominium. Wiedziałeś o tym?

- Coś mi wspominał...

- Kiedy osiągnie swój cel, z pewnością przyjmie cię jak brata.

- A tymczasem?

- Tymczasem mam zrobić wszystko, co konieczne, żebyś nie został Pojednawcą. Jeżeli będę musiał w tym celu doprowadzić cię do oblędu twoimi własnymi wspomnieniami...

- Zrobisz to.

- Nie mam wyjścia. Jestem z natury posłuszny...

Gadaj zdrów, pomyślał Gentle, jednym uchem słuchając poetyckiego opisu służalczości intruza. Uznał, że nie uda mu się uciec przez drzwi, z pewnością zamknięte na głucho. Okno, przez które tu wszedł, wyglądało bardziej obiecująco; może rzucić się na nie całym ciałem. Jeśli nawet połamie przy tym parę kości, będzie to umiarkowana zapłata za możliwość ucieczki.

Rozejrzał się, jakby chciał wybrać wygodne miejsce do spania. Ani razu nie zerknął przy tym na frontowe wyjście. Od drzwi pokoju z otwartym oknem dzieliło go jakieś dziesięć kroków, dalej miał następne dziesięć do ściany. Spokojek bełkotał coś do siebie, zagubiony w labiryncie własnej pokory. Lepsza okazja mogła się już nie nadarzyć.

Dla odwrócenia uwagi Gentle zrobił jeden krok w stronę schodów, a potem skręcił w miejscu i rzucił się pędem do pokoju. Zdażył zrobić trzy kroki, zanim intruz zorientował się w sytuacji.

- Nie bądź głupi! - warknął.

Gentle zauważył, że był zbyt ostrożny w obliczeniach. Do drzwi miał zaledwie osiem kroków, a do okna tylko sześć następnych.

- Ostrzegam! - wrzasnął Spokojek, ale widząc, że słowa na nic się nie zdadzą, postanowił działać.

Gentle znajdował się dosłownie o krok od progu, gdy poczuł, jak w głowie otwiera mu się jakaś klapka. Szczelina, przez którą wspomnienia sączyły się dotąd wątlą strużką, rozwarła się szeroko i miejsce strużki zajął wezbrany strumień. Krok później stał się spienioną rzeką, po następnym był jak zalew. Gentle widział już okno i biegnącą za nim ulicę, ale powódź wspomnień zmyła bez śladu wolę, która kazała mu tam dotrzeć.

Między Sartorim i Johnem Furie Zachariasem żył dziewiętnaście razy. Zaprogramowana przez Pie podświadomość pozwalała mu porzucić stare życie i rozpocząć nowe, a zasłona niewiedzy podnosiła się, dopiero gdy było po wszystkim. Budził się wtedy w obcym mieście, z nazwiskiem ściągniętym z książki telefonicznej albo z przypadkiem podsłuchanej rozmowy. Wszędzie, gdzie się zjawiał, zostawiał po sobie cierpienie. Zawsze starał się oddzielić od ludzi, z którymi się związał i - odchodząc - zatrzeć ślady, ale jego nagłe zniknięcie na pewno przysparzało wiele smutku tym, którzy darzyli go cieplejszymi uczuciami. Tylko on sam wychodził z kolejnych historii nawet nie draśnięty.

Aż do teraz, kiedy wszystkie te żywoty go dopadły i cały ból, którego tak starannie unikał, odezwał się jednocześnie. Jego umysł wypełniły wspomnienia: fragmenty dziewiętnastu niedokończonych opowieści, które po sobie zostawił; opowieści, które cechowała ta sama dziecinna żądza sensacji, co życie ostatniego Johna Furie Zachariasa. Za

każdym razem był podziwiany, kochany, ubóstwiany - za urok osobisty, za charakter, za tajemniczość. Teraz jednak nie osłodziło mu to męczarni; nie uchroniło też przed strachem, gdy odrobina własnej jaźni, którą znał i rozumiał, ugięła się pod mnogością szczegółów zawartych w innych życiorysach.

Przez dwieście lat nie musiał zmagać się z pytaniami, które co drugi człowiek prędzej czy później sobie stawia: Kim jestem? Po co zostałem stworzony? Co się ze mną stanie, gdy umrę?

Teraz znał zbyt wiele odpowiedzi, co było gorsze od niewiedzy. Miał całą gromadkę jaźni, które zdejmował i zakładał jak maski; każda z nich miała swoje własne, trywialne powody, by istnieć. Dotychczas jednak pamiętał za każdym razem zbyt mało, by zgłębiać swój żal i poczucie winy - tym trudniej przychodziło mu znieść to, co działo się z nim teraz. Nigdy też nie przerażała go śmierć, nie bolała zbyt długa żałoba. Zapomnienie koło nerwy, lecz zrobił się bardzo delikatny.

Stało się to, czego się obawiał; natłok wrażeń okazał się zbyt silny i choć usilnie starał się nie zapomnieć, kim był, gdy przekraczał próg tego domu, świadomość ta szybko zatonała w powodzi obrazów. Gdzieś po drodze od drzwi do okna pragnienie ucieczki, wyrosłe z przekonania, że musi się bronić, ulotniło się bez śladu. Wyraz zdecydowania zniknął z jego twarzy niczym kolejna maska, ale nic nie zajęło jego miejsca. Gentle stał na środku pokoju jak niewzruszony wartownik. Żaden ślad wewnętrznego wzburzenia nie mącił łagodnej symetrii jego rysów.

*

Noc ciągnęła się bez końca, odmierzana odległym dźwiękiem dzwonów, ale nawet jeśli je słyszał, nie poruszył się. Dopiero gdy świt wstawał nad Gamut Street i brzask wśliznął się przez okno, do którego tak rozpaczliwie zmierzał, świat na zewnątrz wywołał jakąś reakcję. Gentle zapłakał - nie nad sobą, raczej nad łagodnością bursztynowego światła, które na twardej podłodze tworzyło promieniste plamy. Przyszła mu do głowy myśl (choć bardzo niesprecyzowana), że mógłby wyjść na dwór i poszukać źródła tego cudu. Ktoś jednak, kto siedział w jego głowie, domagał się odpowiedzi na proste pytanie, zanim pozwoli mu pójść się pobawić. Jego głos wznosił się ponad panujące w umyśle Gentle'a zamieszanie:

- Kim jesteś? - dopytywał się.

Nie umiał odpowiedzieć. Pamiętał wiele imion, do każdego pasowało mnóstwo wspomnień, ale nie wiedział, którym z tych ludzi naprawdę jest. Musiałby przekopać się przez masę drobiazgów, żeby dojść do jakichś wniosków - a dzień był zbyt piękny, żeby zajmować się takimi żalnymi problemami. Światło w oknie zachęcało, by wyszedł

poszukać jego źródła.

- Kim jesteś? - powtórzył głos.

Musiał mu powiedzieć prawdę:

- Nie wiem.

- Głos chyba się tym zadowolił.

- W takim razie możesz iść - powiedział. - Ale chciałbym, żebyś czasem do mnie wracał. Zrobisz to?

Odparł, że tak, naturalnie, będzie go odwiedzał, w odpowiedzi usłyszał, że jest wolny i może odejść. Nogi tak mu zeszywniały, że gdy próbował się poruszyć, upadł i musiał przeczołgać się do miejsca, w którym światło padało na podłogę. Odpoczął chwilę, zebrał siły i wygramolił się przez okno na ulicę.

Gdyby wyskakując na chodnik potrafił sobie przypomnieć wydarzenia ubiegłej nocy, wiedziałby, że słusznie domyślił się interwencji wysłannika Sartoriego i że cherubin istotnie nie miał nad nim władzy poza domem. Nie zdawał sobie jednak sprawy, że przed nim ucieka. Poprzedniego wieczora znalazł się w tym domu jako człowiek gotowy na wszystko, Pojednawca Imajiki, który przyszedł zmierzyć się z własną przeszłością i w samopoznaniu odnaleźć siłę. Teraz wychodził z niego pokonany tą właśnie wiedzą. Stał na ulicy jak człowiek obłąkany, ze wzrokiem utkwionym w słońce, nie mając pojęcia, że łuk, który zakreśla na niebie, przybliży świat do dnia przesilenia. A w tym dniu człowiek, którym dawniej był, musiał zrobić, co do niego należało - albo ponieść ostateczną klęskę.

ROZDZIAŁ 45

1

Mimo że Jude nie spała najlepiej po spotkaniu z Clemem (śniły jej się rzędy żarówek migające szyfrem, którego nie potrafiła złamać), obudziła się wcześniej i zaplanowała sobie zajęcia na cały dzień. Zamierzała pojechać na Highgate Hill i spróbować dostać się do celi w podziemiach wieżowca, gdzie spoczywała zapomniana przez wszystkich jedyna kobieta, która mogła jej pomóc. Wiedziała o nieszczęsnej więcej niż podczas pierwszej wizyty, w sylwestra. Dowd sprowadził Celestine Niewidzianemu, tak w każdym razie twierdził; zabrał ją z ulic Londynu i wywiózł na granicę Pierwszego Dominium. Sam fakt, że przeżyła ten koszmar, ograniczył z cudem; Jude rozumiała, że liczyć na to, iż Celestine ostała się przy zdrowych zmysłach, to nadmiar optymizmu. Na szczęście nie było to ważne: zdrowa czy obłąkana, Celestine mogła stać się nieocenionym źródłem wiedzy. Jude wiedziała, że musi z nią porozmawiać.

Wieżowiec był tak absolutnie nijaki, że za pierwszym razem minęła go, nie zdając sobie nawet z tego sprawy. Zawróciła, zaparkowała w bocznej uliczce i poszła dalej pieszo. Na podjeździe nie było ani jednego wozu, w oknach nie dostrzegła ani śladu życia, ale zadzwoniła do drzwi - miała nadzieję, że może przekona dozorcę, by wpuścił ją do środka. Postanowiła powołać się na Oscara. Igrała z ogniem, ale nie miała czasu na subtelności. Bez względu na to, czy Gentle zrealizuje swój ambitny plan, w najbliższych dniach roztoczą się przed nią możliwości wprost nieograniczone. To, co zamknięte, otworzy się; istoty, które dotąd milczały, nabiorą tchu, by przemówić.

Drzwi pozostały zamknięte, chociaż dzwoniła i dobijała się do nich dłuższą chwilę. Rozdrażniona obeszła gmach od tyłu; ścieżka była zarosła kolczastym zielskiem znacznie gęściej niż pół roku wcześniej. Miejsce śmierci Clary znajdowało się w cieniu wieży, namokła ziemia śmierdziała stojącą wodą. Dopóki Jude nie stanęła przed drzwiami wieżowca, nie myślała o szukaniu kawałków błękitnego oka, ale nie mogła wykluczyć, że jej podświadomość od samego początku snuła takie właśnie plany. Nie znalazłszy innego wejścia do budynku, zaczęła rozglądać się za odłamkami. Wspomnienia poprzedniej wizyty były

wciąż wyraźne, lecz nie potrafiła dokładnie wskazać, w którym miejscu pająki Dowda pochłonęły kamień. Całą godzinę kręciła się po okolicy, przeczesując gęstą trawę, aż w końcu jej cierpliwość została wynagrodzona. Daleko od budynku - znacznie dalej, niż początkowo sądziła - znalazła resztkę kamienia. Była wielkości małego otoczaka, który nie zwróciłby niczyjej uwagi, jednak charakterystyczny odcień błękitu nie pozostawiał cienia wątpliwości. Ze czcią przyklęknęła i podniosła go z ziemi. Wyglądał jak złożone w wymoszczonym trawą gniazdku jajo, które tylko czeka, by ciepło czyjś ciała obudziło je do życia.

Wstając, usłyszała dobiegający od frontu trzask drzwiczek samochodu. Ścisnęła w dłoni kamyk i zaczęła wracać, skradając się pod boczną ścianą wieżowca. Z podjazdu dobiegało kilka głosów męskich, jeden damski. Przybysze wymieniali uprzejme pozdrowienia. Wyjrzała zza rogu wieżowca. Oto oni: Tabula Rasa. Wyobrażała ich sobie jako wielkich inkwizytorów, surowych i bezlitosnych sędziów, którzy okrucieństwo mają wypisane na twarzach. I może rzeczywiście jeden z czwórki stojących przed gmachem ludzi - najstarszy z trzech mężczyzn - nie wyglądałby idiotycznie w szatach inkwizycji, pozostali jednak byli tak bezbarwni, że żaden strój nie mógł im przydać dostojeństwa. Żadne z nich nie cieszyło się chyba specjalnie z tego, co muszą robić. Sądząc z wyrazu oczu, sen nie był ostatnio ich bliskim przyjacielem; kosztowny ubiór w kolorze smolistej czerni nie mógł zamaskować zmęczenia w ich ruchach.

Odczekała, aż wejdą do środka, licząc na to, że ostami z wchodzących zostawi uchylone drzwi - ale zamknęli je starannie, a ona tym razem nie miała ochoty pukać. Może udałoby się jej przegadać dozorcę, lecz wobec tej czwórki nie dawała sobie cienia szansy. Ledwie odeszła od drzwi, kolejny samochód skręcił z głównej drogi i wjechał na dziedziniec. Kierował nim mężczyzna młodszy od wszystkich, których przed chwilą widziała. Nie miała czasu szukać kryjówki, pomachała więc przyjaźnie i wyszła mu na spotkanie. Kiedy zrównała się z samochodem, zatrzymał się. Przyspieszyła kroku. Słyszała, jak otworzyły się drzwi wozu i zabrzmiał przesadnie wyniosły głos:

- Halo! Co pani tu robi?

Nie zatrzymała się. Z trudem zwalczyła pokusę, by nie zacząć biec, chociaż słyszała kroki kierowcy na żwirze, a potem następny okrzyk. Udawała, że nie zwraca na niego uwagi, dopóki nie znalazła się przy ogrodzeniu. Miał ją na wyciągnięcie ręki, kiedy odwróciła się i zapytała z uśmiechem:

- Wołał mnie pan?

- To teren prywatny.

- Najmocniej przepraszam, musiałam pomylić adres. Nie jest pan ginekologiem,

prawda? - Nie miała pojęcia, co ją podkusiło, żeby to powiedzieć, ale mężczyzna natychmiast poczerwieniał. - Muszę się pilnie skonsultować z lekarzem.

Pokręcił zmieszany głową.

- Szpital jest gdzie indziej - wykrztusił. - Minęła go pani po drodze, w połowie podjazdu na wzgórzu.

Dzięki Ci, Boże, za Anglików, pomyślała. Jedna wzmianka o kwestiach płci robiła z nich zupełnych idiotów.

- Na pewno nie jest pan lekarzem? - upewniła się, bawiąc się jego zawstydzeniem. - Może chociaż studentem medycyny? Wystarczyłby mi student.

Cofnął się, słysząc to, jakby się bał, że zażąda natychmiastowego badania.

- Nie, ja... Przykro mi.

- Mnie również. - Podała mu rękę. Był tak zmieszany, że odruchowo uścisnął jej dłoń.

- Siostra Concupiscentia¹.

- Bloxham.

- Szkoda, że nie jest pan ginekologiem - dodała z uznaniem. - Ma pan takie cudowne, ciepłe dłonie.

Zostawiła go, żeby rumienił się w samotności.

2

Po powrocie do domu zastała na automatycznej sekretarce wiadomość od Chestera Kleina; zapraszał ją wieczorem do siebie na przyjęcie mające uczcić, jak to nazwał, „powrót gnojka do świata żywych”. Zdziwiła się, że Gentle jednak postanowił się spotkać z przyjaciółmi - tak przecież należał na zachowanie dyskrecji - ale czuła się pochwalebiona jej, że posłuchał jej rady. Może zbyt pospiesznie go odepchnęła. Pobyt w Yzordderrex, choć krótki, sprawił, że myślała i zachowywała się w sposób, jaki wcześniej nie przyszedłby jej do głowy. Co dopiero powiedzieć o Gentle'u, którego przygody zapełniłyby tuzin pamiętników. Może teraz, wróciwszy na Ziemię, zaczynał opierać się dziwnym wpływom innych dominiów, tak jak człowiek, który po pobycie wśród dzikusów wraca do cywilizacji, zmywa z twarzy barwy wojenne i na nowo uczy się chodzić w butach. Oddzwoniła do Kleina i przyjęła zaproszenie.

*

¹ od *concupiscentia* (ang.) - pożądanie

- Drogie dziecko! Cóż to za uczta dla oczu! - powitał ją wieczorem. - Stylowo wychudzona, niedożywiona *à la mode*. Idealna.

Dawno się nie widzieli, ale nie przypominała sobie, żeby kiedykolwiek jego pochlebstwa były równie przesadzone i nieszczerze. Ucałował ją w oba policzki i zaprowadził do ogrodu na tyłach domu. Zachodzące słońce grzało przyjemnie, na trawniku czworo gości Kleina - dwoje z nich Jude już znała - popijało koktajle. Nieduży, ogrodzony wysokim murem ogród przypominał tropikalny park. Znając naturę Kleina, można się było domyślać, że zdominują go kwiaty; żadna roślina, która nie kwitła z bezwstydną obfitością, nie mogła liczyć na przychyłność gospodarza.

Klein oprowadził Jude, żeby mogła przywitać się po kolei ze wszystkimi - zaczęła od Vanessy, której twarz (choć bardzo zmieniona, odkąd ostatnio się widziały) była jedną z dwóch znajomych. Vanessa wyraźnie przybrała na wadze - i na makijażu, jakby chciała jednym nadmiarem zatuszować drugi. Kiedy się przywitały, Jude poznała po jej oczach, że od krzyku rozpaczy powstrzymują ją tylko resztki przyzwoitości.

- Czy Gentle przyszedł z tobą? - zapytała Vanessa bez wstępów.

- Nie - odparł Klein. - Napij się jeszcze i idź wąchać róże.

Niezrażona pogardą w jego głosie, Vanessa sięgnęła po butelkę szampana, Klein zaś przedstawił Jude dwóm nieznanym jej gościom. Łysawy mężczyzna w okularach przeciwsłonecznych nazywał się Duncan Skeet.

- Jest malarzem - wyjaśnił Klein. - A właściwie impresjonistą. Mam rację, Duncanie? Malujesz przecież impresje: z Modiglianiego, Corota, Gauguina...

Duncan nie rozumiał żartu, przeciwnie niż Jude.

- Czy to nie jest nielegalne? - zapytała.

- Byłoby, gdyby trzymał to w tajemnicy - odparł Klein, na co wąsaty mężczyzna, który rozmawiał dotąd z Duncanem, parsknął śmiechem. Miał na imię Luis i mówił z dziwnym akcentem.

- Luis nie jest żadnym artystą - dodał Klein. - Ty chyba w ogóle nic nie robisz, Luisie?

- A co z jedzeniem lotosów?

Źródłem zapachu, który Jude wzięła początkowo za woń kwiatów na rabatach, był używany przez Luisa płyn po goleniu.

- Wypiję za to - powiedział Klein i wraz z Jude podszedł do ostatniej osoby w towarzystwie.

Kobieta wyglądała znajomo, ale Jude nijak nie potrafiła skojarzyć jej twarzy. Dopiero kiedy Klein zwrócił się do niej po imieniu - Simone - przypomniała sobie rozmowę u Clema i

Taylora, która zakończyła się, gdy Simone poszła upolować nową zdobycz. Klein zostawił je i wrócił do domu otworzyć następnego szampana.

- Poznałyśmy się w Boże Narodzenie - zauważyła Simone. Pamiętasz mnie?

- Oczywiście.

- Zmieniłam fryzurę i słowo daję, nie poznaje mnie co drugi znajomy.

- Do twarzy ci w niej.

- Klein twierdzi, że powinnam była zachować ścięte włosy i kazać je przerobić na biżuterię. Na przełomie wieków brosze z włosami były podobno szczytem elegancji.

- Tylko jako *memento mori* - odparła Jude, a widząc pytające spojrzenie Simone, dodała: - Włosy zwykle pochodziły od zmarłych.

Trochę już pijana szampanem Simone zrozumiała, co Jude ma na myśli, dopiero po dłuższej chwili. Jęknęła z niesmakiem.

- To chyba miał być żart - stwierdziła. - Ten facet nie ma za grosz przyzwoitości. - Klein właśnie szedł w ich stronę z butelką. - Tak, o tobie mówię! Czy ty w ogóle myślisz poważnie o śmierci?

- Coś przegapiłem? - zdziwił się Klein.

- Stary piernik! - Simone podeszła i rzuciła mu pod nogi kieliszek. - W dodatku bezguście.

- Co ja takiego zrobiłem?

Luis przyszedł mu z pomocą, próbował ugłaskać Simone. Jude nie miała ochoty bardziej angażować się w konflikt. Zeszła na odchodzącą w bok ścieżkę, gładząc trzymane w kieszeni jajo z niebieskiego kamienia. Zacisnęła na nim dłoń. Przystanąła, zauroczona widokiem pięknych róż, ale kiedy je powąchała, okazało się, że nie wydzielają żadnego zapachu, jakby były martwe. Dotknęła ich płatków - suche jak pieprz. Wstała i powiodła wzrokiem po innych kwiatach; wszystkie były sztuczne.

Lament Simone ucichł, zaniknął też głos Luisa. Kiedy się obejrzała, z domu do ogrodu wchodził właśnie Gentle.

- Ratuj! - powiedział Klein. - Bo mnie Simone żywcem ze skóry obedrze.

Gentle posłał mu olśniewający uśmiech i podszedł, żeby go przytulić.

- Dość kłótni.

- Powiedz to Simone.

- Simone, czy naprzykrzasz się Chesterowi?

- To drań!

- Nie, to ja jestem draniem. Pocałuj mnie i powiedz, że mu wybaczasz.

- Wybaczam mu.

- Pokój Chesterowi dobrej woli.

Wszyscy się roześmiali i Gentle zaczął witać się z gośćmi, rozdając całusy i uściski. Najdłużej - z zamierzonym zapewne okrucieństwem - tulił Vanesę.

- Kogoś przegapiłeś - zauważył Klein, wskazując mu Jude.

Nie próbował olśnić jej uśmiechem; wiedział, że jej nie oszuka. Spojrzał na nią niemal przepaszająco i uniósł kieliszek, który Klein zdążył mu już włożyć w dłoń. Zawsze błyskawicznie się zmieniał (może w ten właśnie trywialny sposób objawiała się w nim moc maestra) i tym razem Jude też widziała przed sobą zupełnie nowego człowieka - nie miał nic wspólnego z tym Gentle'em, którego pożegnała dwadzieścia cztery godziny wcześniej. Przyszytył nieporządne włosy, domył się i ogolił. W białym stroju wyglądał jak gracz w krykieta, który dopiero co zszedł z pola gry opromieniony zwycięstwem. Szukała w nim choćby cienia udęczonego człowieka, którym był poprzedniej nocy, ale doskonale ukrywał zdenerwowanie, za co musiała go podziwiać. Więcej niż podziwiać. Był tym samym kochankiem, którego wyśniła sobie na łożu Quaisoir, tak samo na nią działał. We śnie znalazła się już raz w jego ramionach, co skończyło się bólem i łzami. Dopraszanie się o powtórkę zakrawało na masochizm, ale pozwalało zapomnieć o poważniejszych problemach.

A jednak... A jednak. Czy to naprawdę było nieuniknione, że prędzej czy później musieli się odnaleźć? A skoro tak, może ta zabawa w spojrzenia miała poważniejszy sens? Może sugerował, że powinni zapomnieć o wrogości i pogodzić się z tym, że są nierozłączni? Zнали już swoją przeszłość i mogli budować przyszłość na solidnych podstawach, zamiast dać się nękać historii, której żadne z nich nie rozumiało. Pod warunkiem że i on tego chciał.

Klein próbował przywołać ją skinieniem ręki - ciekaw, jak potoczy się akcja dramatu, który zainscenizował - ale nie ruszyła się z miejsca. On sam, Luis i Duncan byli widzami, przyszli oglądać scenę sądu nad Parysem. Simone, Vanessa i Jude zostały obsadzone w rolach bogiń, Gentle zaś miał dokonać wyboru jednej z nich. Sytuacja rozwijała się groteskowo i Jude uznała, że nie ma ochoty na udział w tym przedstawieniu. Odeszła w głąb ogrodu, zostawiając za sobą zgiełk przyjęcia. Pod samym murem w sztucznej kwiatowej dżungli znajdowała się polanka, a na niej rósł maleńki różany krzew, prawdziwy, choć znacznie mniej wytworny od otaczających go falsyfikatów. Jude przyglądała mu się zakłopotana, gdy zjawił się obok niej Luis z kieliszkiem szampana w dłoni.

- Tu leży pochowany jeden z jego kotów - wyjaśnił. - Gloriana. W marcu wpadła pod samochód. Był wstrząśnięty, źle sypiał, z nikim nie rozmawiał. Bałem się, że palnie sobie w łeb.

- Jest dziwny. - Jude zerknęła przez ramię na Kleina, który, wsparty na Gentle'u, zaśmiewał się do rozpuku. - Udaje, że wszystko jest grą...

- To przez to, że jest taki wrażliwy.

- Wątpię.

- Od dwudziestu jeden... nie, dwudziestu dwóch lat prowadzę z nim interesy. Kłócimy się, godzimy, znów kłócimy, ale to dobry człowiek, możesz mi wierzyć. Tylko tak panicznie boi się uczuć, że woli wszystko obracać w żart. Nie jesteś Angielką?

- Jestem.

- To powinnaś go zrozumieć. Też masz pewnie małe, pochowane tu i tam nagrobki.

- Tysiące. - Patrzyła, jak Gentle znika w domu Kleina. - Przepraszam cię na chwilę.

Wróciła do reszty towarzystwa; Luis podążał za nią krok w krok. Kiedy Klein próbował zastąpić jej drogę, podała mu kieliszek i weszła do domu.

Zastała Gentle'a w kuchni. Buszował w lodówce, zaglądając do wszystkich garnków.

- To tyle, jeśli idzie o niewidzialność - zauważyła.

- Wolałabyś mnie nie oglądać?

- Czy to znaczy, że gdybym poprosiła, tobyś nie przyszedł?

Uśmiechnął się, jakby właśnie znalazł wyjątkowy smakołyk.

- To znaczy, że oni się nie liczą. Przyszedłem, bo wiedziałem, że tu będziesz. - Włożył dwa palce do salaterki i rozsmarował na języku porcję musu czekoladowego. - Chcesz?

Z początku nie chciała, ale jego apetyt okazał się zaraźliwy. Nabrała sobie trochę - mus był słodki i kremowy.

- Co, dobre? - zapytał Gentle.

- Grzeszne. Dlaczego zmieniłeś zdanie?

- W jakiej sprawie?

- W sprawie ukrywania się.

- Życie jest za krótkie. - Wepchnął palce do ust. - Poza tym powtarzam: wiedziałem, że tu będziesz.

- Co to znaczy? Umiesz czytać ludziom w myślach?

- Rozwijam się - odparł. W jego uśmiechu było teraz więcej czekolady niż bieli zębów. Wyrafinowany facet, którego niedawno widziała w ogrodzie, zmienił się w łakomego chłopczyka.

- Cały się umazałeś czekoladą.

- Chcesz ją scałować?

- Tak.

Nie było sensu się oszukiwać. W przeszłości sekrety wyrządziły im sporo szkody.

- No to czemu jesteście tu jeszcze?

- Klein nam nie wybaczy, jeśli teraz się urwiemy. To przyjęcie na twoją cześć.

- Mogą o nas rozmawiać i bez nas. - Gentle odłożył salaterkę i otarł usta wierzchem dłoni. - Pewnie nawet by woleli, żebyśmy sobie poszli. Dlatego znikajmy, zanim się zorientują. Tracimy czas na gadanie...

- ...a moglibyśmy się kochać.

- Wydawało mi się, że to ja umiem czytać w myślach.

Otwierając drzwi frontowe, usłyszeli jeszcze Kleina, który wołał ich z ogrodu. Jude poczuła nawet wyrzuty sumienia, które jednak szybko ustąpiły, gdy przypomniała sobie jego minę na widok Gentle'a - był dumny, że skompletował pierwszorzędą obsadę do swojej małej farsy. Poczucie winy ustąpiło miejsca irytacji. Trzasnęła drzwiami na tyle mocno, żeby na pewno to usłyszał.

3

Kiedy wrócili do mieszkania, Jude pootwierała okna, żeby łagodny, nocny powiew mógł swobodnie wpłynąć do środka. Wraz z nim wpuściła też odgłosy ulicy, ale w mieście nie działo się nic niezwykłego: czasem zawyła syrena, jacyś ludzie rozmawiali na chodniku, w klubie przy sąsiedniej przecznicy (gdzie okna też były otwarte na oścież) rozbrzmiewał jazz. Usiadła na łóżku obok Gentle'a. Przyszedł czas, żeby naprawdę szczerze porozmawiali.

- Nie sądziłam, że tak się to skończy - powiedziała. - Że wylądujemy tutaj. Razem.

- Cieszysz się z tego?

- Cieszę - przytaknęła po chwili wahania. - Dobrze się stało.

- To świetnie. Dla mnie to też naturalny układ.

Położył się za jej plecami, wplótł palce w jej włosy i zaczął ją głaskać po głowie. Westchnęła.

- Lubisz to? - zapytał.

- Tak.

- Chcesz mi powiedzieć, co czujesz?

- W związku z czym?

- Ze mną. Z nami.

- Powiedziałam już: dobrze się stało.

- To wszystko?

- Nie.

- Co jeszcze?

Zamknęła oczy. Miała wrażenie, że dotykiem namawia ją do odpowiedzi.

- Cieszę się, że tu jesteś, bo chyba możemy się od siebie sporo nauczyć. Może nawet znów się pokochać. Co ty na to?

- Mnie pasuje.

- O czym myślisz?

- Że zapomniałem, jak dziwne jest to dominium. I że potrzebuję twojej pomocy, żeby odzyskać siłę. Boję się, że czasem mogę się dziwnie zachowywać, robić błędy... Chcę, byś kochała mnie wystarczająco mocno, żeby mi wybaczyć. Co ty na to?

- Wiesz, że ci wybaczę.

- Chcę, żebyś dzieliła ze mną moje wizje, Judith. Żebyś dostrzegła to, co we mnie błyszczący najjaśniej, i nie bała się tego.

- Nie boję się.

- Miło mi to słyszeć. Bardzo miło. - Nachylił się i przysunął usta do jej ucha. - Od tej pory to my ustanawiamy zasady - szepnął. - A świat musi podążać za nami. Zgoda? Jesteśmy jedynym prawem; liczy się tylko to, czego chcemy i co czujemy. Ogień, który nas pochłonie, sam się rozprzestrzeni. Zobaczysz.

Pocałował ją w ucho, w policzek, na koniec w usta. Odpowiedziała na jego pocałunki od razu, namiętnie, ujęła jego głowę w dłonie, gładziła ją, czuła na skórze dotyk jego włosów. Sięgnął rękoma do jej karku, ale nie bawił się w rozpinanie bluzki; rozdzierał ją miarowo, bez pośpiechu, rytmicznymi szarpnięciami, jakby dokonywał rytualnego odsłonięcia jej ciała. Gdy tylko obnażył jej piersi, zaczął je całować. Miała rozpaloną skórę, ale jego język był jeszcze gorętszy, gdy wodził po nich spiralną linią, zdążając ku brodawkom, w końcu zamknął je w ustach i czuł, jak twardnieją. Zdzierał z niej spódnicę równie metodycznie, jak przed chwilą bluzkę. Osunęła się na łóżko, na strzępy ubrania. Spojrzał na nią z góry i położył jej dłoń między nogami, chociaż dostępu wciąż broniła mu cienka warstwa bielizny.

- Ilu cię miało? - zapytał spokojnie. Nie widziała wyrazu jego twarzy, ciemnej na tle wydętych wiatrem zasłon w oknie. - Ilu? - powtórzył i poruszył dłonią, zataczając nią małe kółeczka.

Gdyby ktoś inny zadał jej to pytanie, byłaby urażona, może nawet zła, ale lubiła jego ciekawość.

- Kilku.

Sięgnął między jej uda, wsunął dwa palce pod figi i dotknął jej od tyłu.

- A tutaj?

To pytanie - i dotyk w tym miejscu - było mniej przyjemne.

- Powiedz - Gentle nie ustępował. - Kto tu był?

- Tylko jeden.

- Godolphin?

- Tak.

Cofnął dłoń i wstał.

- Rodzinne zamięłowania - zauważył.

- Gdzie idziesz?

- Zasłonię okna. To, co planujemy, lepiej robić po ciemku. - Zaciągnął zasłony. - Masz na sobie jakąś biżuterię?

- Tylko kolczyki.

- Zdejmij je.

- Nie możemy zapalić światła?

- I tak jest za jasno - odparł, chociaż ledwie majaczył w mroku. Rozbierając się, wiedziała, że na nią patrzy. Widział, jak odpina kolczyki i zdejmuje bieliznę. Zanim się rozebrała, był już nagi.

- Nie poprzestanę na jakiejś części ciebie - zapowiedział, podchodząc do łóżka. - Pożądam cię całej, do ostatka. I chcę, żebyś ty tak samo mnie pragnęła.

- Pragnę cię.

- Mam nadzieję, że mówisz serio.

- Jak mam ci to udowodnić?

Zdawało jej się, że jego sylwetka, do tej pory szara, pociemniała nagle, jakby rozplywała się w cieniu. Mówił, że stanie się niewidzialny - i tak właśnie było. Mimo że czuła, jak chwyta ją za kostkę, spuściwszy wzrok nic nie dostrzegła. Najważniejsze było to, że jego dotyk przepelniał ją rozkoszą.

- Chcę tego - powiedział, pieszcząc jej stopę. - I tego. - Przesunął się wyżej, na łydkę, na udo... - I tego. - ...na srom. - Chcę cię mieć całą. - Brzuch. Piersi. Wszędzie czuła jego dotyk, musiał być więc bardzo blisko, ale nadal go nie widziała. - Pragnę tej pięknej szyi i cudownej głowy. - Zsunął dłonie w dół jej ramion. - Rąk również, po czubki palców.

Wrócił do jej stóp, ale wszędzie tam, gdzie ją dotknął - czyli na całym ciele - drżała, wyczekując ponownego muśnięcia. Podniosła głowę, próbując zobaczyć go w ciemności.

- Połóż się - powiedział

- Chcę cię zobaczyć.

- Jestem tutaj - odparł i w jego oczach mignął skradziony skądś błysk; dwa jasne punkciki osadzone w przestrzeni, która (gdyby nie świadomość, że jest ograniczona) mogłaby rozciągać się w nieskończoność. Później zostało już tylko jego tchnienie. Jude nie mogła się powstrzymać; poddała mu się, zrównała rytm oddechu z jego oddechem, z powolną, usypiającą regularnością.

Podniósł jej stopę do ust i jednym ruchem przesunął językiem od pięty po palce. Za chwilę poczuła jego oddech; chłodził ślinę, która została na skórze. Kolejne wydechy stawały się coraz rzadsze, aż Jude - wciąż dopasowana do niego - miała wrażenie, że umiera, nie mogąc doczekać się chwili, gdy znów zaczerpnie powietrza; ciało trwało przez sekundę zawieszony między istnieniem a niebytem, niepewne, czy ten oddech nie był właśnie ostatnim. W tej krótkiej chwili poza czasem, między wydechem i wdechem, mogły dziać się cuda, gdyż ani ciało, ani rozum nie miały do niej przystępu. Jude poczuła, jak Gentle otwiera usta, zamyka je na jej palcach, a potem - chociaż wydawało się to niemożliwe - zaczyna pochłaniać jej stopę.

Połknie mnie całą, pomyślała, przywołując wspomnienie znalezionej u Estabrooka książki, w której ilustracje przedstawiały kochanków zaklętych w zamkniętym kręgu - pożerali się nawzajem i znikali oboje. Wcale jej to nie martwiło. To, co robili, nie należało do świata rzeczywistego, w którym strach pał się na ludzkich obawach i gdzie tak wiele można było stracić lub zyskać. Znajdowali się w azylu kochanków, gdzie zawsze wychodzili na swoje.

Podniósł jej drugą nogę i owionęło ją takie samo gorąco. Ująwszy ją za biodra, zaparł się, wpychając ją sobie centymetr po centymetrze coraz głębiej do gardła. Być może, jego ciało rozszerzyło się bezgranicznie, jego usta zmieniły się w paszczę potwora, jego przełyk - w ogromny tunel; a może to ona zrobiła się miękka jak jedwab i wciągał ją tak samo, jak iluzjonista upycha w różdżce sztuczne kwiaty? Chciała dotknąć cudu, ale nie umiała rozpoznać, co czują jej palce. Dotykała swojego ciała czy Gentle'a? Kostki czy policzka? Nie miała pojęcia - i właściwie jej to nie obchodziło. Chciała tylko naśladować parę z książki i odpowiedzieć mu tym samym.

Złapała za brzeg łóżka i przetoczyła się na bok, pociągając go za sobą. Mimo całkowitej ciemności widziała teraz jego cień, spleciony z cieniem jej ciała. Nic się w nim nie zmieniło: pożerał ją, ale jego ciało wcale nie było zdeformowane. Leżał przy niej, jakby spał. Dotknęła go ponownie i tym razem wiedziała, na co trafia. To było jego udo, łydka, kostka.

To stopa. Kiedy tak przesuwała dłonią po jego ciele, zmieniało się pod jej dotykiem, jak gdyby miękło. Pot pachniał tak apetycznie, że poczuła skurcz w żołądku. Przysunęła głowę do jego stóp, dotknęła ich wargami. I nagle zaczęła się nim karmić, rozpostarła swój głód wokół niego jak olbrzymie usta, zacisnęła umysł na jego wilgotnej skórze. Zadygotał; poczuła jego rozkosz jak własną. Pochłonał ją po same biodra, ale miała nie mniejszy od niego apetyt: przełknęła jego nogi, wchłonęła członek i brzuch. Podobała jej się absurdalność tego, co robili: ich ciała zaprzeczały prawom fizyki i biologii, definiując je na nowo. Czy poza miłością mogło istnieć coś równie prostego i skomplikowanego zarazem? A czym, jak nie miłością, był paradoks, który tworzyli spleceni w tej pościeli? Gentle zwolnił i zaczekał na nią; teraz mogli zamknąć pętlę, aż ich ciała stały się tylko urojeniem, a oni sami znaleźli się usta w usta.

Jakieś zdarzenie za oknem - może krzyk na ulicy, może fałszywy akord saksofonu - przywróciło Jude z powrotem do świata rozsądku i ujrzała źródło ich wspólnej fantazji. Wyglądało zwyczajnie - oplatała nogami jego biodra, a on tkwił głęboko w niej. Nie widziała jego twarzy, ale wiedziała, że nie ma go przy niej; został tam, gdzie wciąż mógł śnić, jak ją pożera. Spanikowała, że nie może wrócić do tego drugiego świata, świata wizji. Zacisnęła się mocniej na nim, czym sprowokowała go do ruchu bioder. Zaczął się w niej poruszać, dysząc powoli prosto w jej twarz. Zapomniała o lęku i znów zrównała się z nim oddechem. Świat wokół niej rozplątał się i wróciła do miejsca, z którego została wbrew woli wyrwana. Pętla, którą tworzyli, zaciskała się coraz silniej; on pochłaniał jej głowę, a ona odpowiadała mu tym samym, byli jak warstwy jakiejś fantastycznej cebuli - każda kolejna mniejsza od poprzedniej. Taka zagadka mogła istnieć tylko tam, gdzie materia zapadała się w głąb umysłu, który powołał ją do istnienia.

Rozkosz nie mogła jednak trwać wiecznie. Wkrótce wizja - skażona kolejnymi ingerencjami z zewnątrz - znów zaczęła tracić swą klarowność. Tym razem Jude wyczuła, że i Gentle odpływa ze świata złudzeń. Może ucząc się na nowo miłości, dowiedzą się także, jak utrzymać ten stan dłużej, jak spędzać dni i noce w nieskończonej chwili między oddechem i świtem. Na razie jednak ekstaza, której zaznali, musiała jej wystarczyć. Niechętnie pozwoliła, by tropikalna noc, w której wzajemnie się pochłaniali, roztopiła się w bardziej zwyczajnej ciemności i - nie wiedząc, gdzie zaczyna się, a gdzie kończy świadomość - zasnęła.

Obudziła się sama w łóżku, ale poza tym drobnym rozczarowaniem czuła się lekka i podekscytowana. To, czego doświadczyli, sprzedawałoby się lepiej niż krople na katar. Znaleźli sposób, jak być na haju i nie mieć potem kaca. Usiadła i sięgnęła po prześcieradło, żeby się nim owinąć, ale nie zdążyła wstać, gdy w szarudze przedświt usłyszała jego głos.

Gentle stał przy oknie. Dwoma palcami rozchylił zasłonę i przytknął oko do szpary.

- Muszę brać się do roboty - wyszeptał.

- Jeszcze jest wczesnie.

- Zaraz wszędzie słońce. Nie mam chwili do stracenia.

Puścił zasłonę i podszedł do łóżka. Objęła go mocno. Nie chciała się z nim rozstawać, wolała rozkoszować się jego spokojem, ale miał rację. Czekwały ich obowiązki.

- Wolałbym nie wracać do pracowni - dodał. - Mogę zostać?

- Podoba mi się ten pomysł.

- Będę przychodził i wychodził o dziwnych porach.

- Byleś tylko zaglądał czasem do łóżka.

- Będę przy tobie. - Przesunął dłonią w dół od jej szyi i pogładził ją po brzuchu. - Od tej pory będę przy tobie dniem i nocą.

ROZDZIAŁ 46

1

Mimo że obrazy ostatniej nocy wciąż tkwiły Jude żywo w pamięci, nie mogła sobie przypomnieć, żeby któreś z nich zdejmowało słuchawkę telefonu z widełek. A jednak tak właśnie się stało; odkryła to dopiero pół do dziesiątej rano, kiedy chciała zadzwonić do Clema. Odłożyła słuchawkę na miejsce. Chwilę później telefon się rozdzwonił i w słuchawce zabrzmiał głos, którego nie miała już nadziei usłyszeć. Oscar! Wydawało jej się, że jest bardzo zdyszany, ale po chwili zdała sobie sprawę, że z trudem powstrzymuje się od płaczu.

- Gdzie byłaś, najdroższa? Dzwonię i dzwonię, odkąd dostałem twój liścik. Myślałem, że nie żyjesz.

- Nic mi się nie stało, telefon był źle odłożony. Gdzie jesteś?

- W domu. Przyjedziesz? Proszę cię, przyjedź. Jesteś mi potrzebna. - W głosie Oscara narastała panika, zupełnie jakby Jude odmawiała mu spotkania. - Mamy mało czasu.

- Naturalnie, że przyjadę.

- Pospiesz się - nalegał. - Przyjeżdżaj natychmiast.

Obiecała, że za godzinę u niego będzie; odłożyła rozmowę z Clemem na później, umalowała się i wyszła z domu. Było jeszcze wczesnie, lecz słońce już grzało mocno i przypomniała sobie monolog kierowcy, który podwiózł ją i Gentle'a do Londynu - wieśniak przepowiadał monsunowe deszcze na przemian z falami upałów. A jak się cieszył swoim krakaniem! Wtedy jego entuzjazm wydał się jej groteskowy: ot, prosty chłopak, który wszystkim sprzedaje apokaliptyczne fantazje. Teraz jednak, po niezwyklej nocy spędzonej z Gentle'em, zastanawiała się, co by się stało, gdyby wszechpotężna ulewa spłukała z ulic samochody, a potem słoneczny żar rozmiękczył nawierzchnię, która spłynęłaby jak melasa, spajając miasto - podzielone dotąd na dzielnice lepsze i gorsze, publiczne i prywatne, enklawy zamożności i rynsztoki - w całość. Czy to właśnie miał na myśli Gentle, mówiąc o swojej wizji? Bo jeśli tak, była gotowa ją przyjąć.

Na Regent's Park Road panował mniejszy ruch niż zwykle. Nie było bawiących się na chodniku dzieci, a w promieniu kilometra od domu Oscara nie parkował żaden samochód -

choć dwie przecznice stąd musiała przebijać się przez piekielne korki! Dom stał opuszczony, jakby ktoś zostawił go specjalnie dla niej. Nie musiała pukać; nie zdążyła nawet postawić stopy na progu, a drzwi już się uchyliły i wymizerowany Oscar skinął na nią, by weszła do środka. Miał suche oczy, ale gdy tylko zatrzasnął drzwi i pozamykał je na trzy spusty, objął ją i wybuchnął płaczem. Całym jego potężnym ciałem wstrząsnął szloch. Powtarzał jej bez końca, jak ją kocha, jak za nią tęsknił i jak jej potrzebuje, nawet bardziej niż zwykle. Przytuliła go i próbowała pocieszyć.

Wreszcie opanował się i zaprowadził ją do kuchni. W całym domu płonęły lampy, ale w tak jasny dzień ich światło zdawało się słabe i żółtawe. Nie wyglądał w nim najlepiej, był blady (przynajmniej w tych miejscach, gdzie nie miał siniaków), ręce miał opuchnięte i poharatane do krwi. Domyślała się, że pod wymiętym ubraniem kryje się więcej ran; patrząc, jak parzy jej earl greya, zauważyła, że każdy gwałtowniejszy ruch sprawia mu ból. Rozmowa zesłała oczywiście na ich rozstanie w Azylu.

- Byłem przekonany, że jak tylko wylądujecie w Yzorderrex, Dowd poderźnie ci gardło...

- Palcem mnie nie tknął. No, w każdym razie na wstępie, bo później próbował. Ale z początku był poważnie ranny. - Jude zawiesiła głos. - Tak jak i ty.

- Faktycznie, źle się miałem - przyznał Oscar. - Chciałem pójść za tobą, ale ledwie trzymałem się na nogach, więc wróciłem do domu. Wylizałem się z najgorszych ran, wziąłem broń i poszedłem po ciebie, ale cię nie znalazłem.

- Szukałeś mnie?

- Oczywiście! Miałem cię zostawić w Yzorderrex?

Postawił przed nią ogromny kubek z herbatą, obok słoik miodu. Zwykle nie folgowała sobie ze słodyczami, ale tego dnia nie jadła śniadania, więc dostała do herbaty tyle miodu, że powstał aromatyczny syrop.

- U Peccable'a w domu nikogo nie zastałem - ciągnął Oscar. - Na ulicach wybuchły zamieszki. Nie miałem pojęcia, gdzie cię szukać. To był koszmar!

- Wiesz, że obalono autarchę?

- Nie, nie wiedziałem... ale i nie jestem szczególnie zdziwiony. W każdego sylwestra Peccable powtarzał: W tym roku będzie po nim, zobaczycie. A co się stało z Dowdem?

- Nie żyje - uśmiechnęła się z zadowoleniem Jude.

- Jesteś pewna? Takich jak on trudno zabić, kochanie, wiem to z doświadczenia. Gorzkiego doświadczenia.

- Mówiłeś, że...

- Tak, tak. Na czym stanąłem?

- Że kiedy poszedłeś za nami, dom Peccable'a był pusty.

- A pół miasta stało w ogniu - westchnął Oscar. - To był potworny widok. Bezmyślne zniszczenie, zemsta proli. Wiem, powinienem świętować zwycięstwo demokracji, ale co zostanie z tego miasta? Moje ukochane Yzordderrex legło w gruzach. Patrzyłem na nie i mówiłem sobie: Skończyła się jakaś epoka, Oscarze. Teraz wszystko się zmieni. Zapadną ciemności. - Podniósł wzrok znad kubka z herbatą. - Nie wiesz, co się stało z Peccable'em?

- Chcieli z Hoi-Polloi wyjechać z miasta. Przypuszczam, że zdążyli to zrobić; opróżnił piwnicę.

- Nie on, lecz ja. I cieszę się z tego.

Oscar spojrział na parapet, gdzie pośród domowych drobiazgów leżały maleńkie figurki - przypuszczalnie talizmany, domyśliła się Jude. Stanowiły część łupu z piwnicy Peccable'a. Niektóre były zwrócone twarzą do pokoju, inne na zewnątrz, ale wszystkie zdawały się ucieleśniać agresję w najczystszej postaci. Ich żywo pomalowane twarze wyrażały wściekłość i gniew.

- Jesteś moją najlepszą ochroną - dodał Oscar. - Dopóki jesteś ze mną, czuję, że mam szansę wyjść cało z tego bałaganu. - Położył dłoń na jej ręce. - Kiedy dostałem twój liścik i zrozumiałem, że żyjesz, wróciła mi odrobina nadziei. Potem, kiedy nie mogłem cię złapać, zacząłem wyobrażać sobie najgorsze rzeczy.

Spojrziała na niego i w zatroskanej twarzy dostrzegła rodzinne podobieństwo, które do tej pory uchodziło jej uwagi - przypominał jej Charliego, który siedział przy oknie w hospicjum Hampstead i opowiadał o znalezionych w deszczu zwłokach.

- Czemu nie przyjechałeś do mnie do mieszkania? - zapytała.

- Nie mogłem stąd wyjść.

- Aż tak źle się czujesz?

- To by mnie nie powstrzymało. - Oscar przyłożył dłoń do piersi. - Bardziej obawiam się tego, co jest na zewnątrz.

- Boisz się, że Tabula Rasa chce cię dopaść?

- Skądże! To najmniejsze z moich zmartwień. Zastanawiałem się nawet, czy kogoś z nich nie ostrzec. Anonimowo, rzecz jasna. Nie Shalesa czy McGanna, nie tego idiotę Bloxhama. Niech się smażą w piekle. Ale Lionel nawet na trzeźwo jest przyzwoitym facetem. No i panie; nie chciałbym ich mieć na sumieniu.

- Więc przed kim się ukrywasz?

- Szczerze mówiąc, sam nie wiem. Widziałem w Pucharze Bostońskim obrazy, których

nie rozumiem.

Zupełnie zapomniała o profetycznym pucharze z kamykami. Tymczasem Oscar najwyraźniej ślepo w niego wierzył.

- Coś tu przybyło z dominiów, to pewne. Widziałem, jak cię śledziło. Próbowало cię dopaść...

Wyglądał, jakby zaraz miał się znowu rozplakać. Jude poklepała go współczująco po ręku, niczym zdiadziałego staruszka.

- Nic mi nie będzie - zapewniła go. - Za dużo w ostatnim czasie przeszłam.

- Nie widziałaś jeszcze, co ta moc potrafi. Całe Piąte Dominium nie ma o niej pojęcia.

- Jeżeli pochodzi z dominiów, to musi być sprawka autarchy.

- Bardzo jesteś tego pewna.

- Bo go znam.

- Nasłuchałaś się Peccable'a. On na każdą okazję ma jakąś teorię, ale jego pomysły są guzik warte.

- Mam dostęp do bardziej wiarygodnych źródeł niż Peccable.

- Czyżby? - zdziwił się Oscar. - To znaczy? - spytał pojednawczo, gdy zrozumiał, że mógł ją urazić.

- Quaisoir.

- Quaisoir?! Jak to się stało, że ją spotkałaś?

Jego zdziwienie było równie szczerze, jak łagodność udawana.

- Naprawdę nie wiesz? Czy Dowd nigdy ci nie opowiadał o dawnych czasach?

Spojrzał na nią z rezerwą, niemal podejrzliwie.

- Dowd od pokoleń towarzyszył Godolphinom - ciągnęła. - O tym chyba wiedziałaś? Najpierw służył zwariowanemu Joshui; był jego prawą ręką, człowiekiem do wszystkiego, jeśli „człowiek” jest tu na miejscu.

- Wiem o tym.

- To i o mnie musiałaś wiedzieć.

Oscar nic nie odpowiedział.

- Tak czy nie, Oscarze?

- Nie rozmawiałem o tobie z Dowdem, jeśli o to pytasz.

- Dlaczego wymieniliście się mną z Charliem?

Tym razem to on poczuł się urażony; nie podobał mu się taki dobór słów.

- Tak właśnie było, Oscarze. Doszło do wymiany. Wiedzieliście, że zostanę przy Godolphinach. Mogłam gdzieś na chwilę zniknąć, mieć na boku jeden, dwa romanse, ale

zawsze musiałam wracać do rodziny.

- Obaj cię kochaliśmy - powiedział bezbarwnym głosem, patrząc na nią obojętnie. - Żaden z nas nie traktował tego jak gry politycznej.

- Czyżby? - Jude nie kryła powątpiewania.

- Wiem tylko, że cię kocham. To w tej chwili jedyny pewnik w moim życiu.

Miała ochotę zaprawić te słodkie słówka odrobiną goryczy, wypominając mu, jak Godolphinowie próbowali jej zaszkodzić, ale uznała, że nie miałyby to wielkiego sensu. Oscar był na skraju załamania nerwowego, nie wychodził z domu, uwięziony przez własne lęki. Okoliczności już zrobiły swoje; gdyby go teraz dobiła, byłaby to czysta złośliwość, a chociaż zdawała sobie sprawę, że z wielu powodów jest godny pogardy - szczególnie nie przypadła jej do gustu wzmianka o zemście proli - łączyło ich zbyt wiele wspomnień (także miłych), żeby mogła sobie pozwolić na takie okrucieństwo. Poza tym to, co chciała mu powiedzieć, będzie trudniejsze do zniesienia od najgorszych oskarżeń.

- Nie zostanę z tobą, Oscarze. Nie po to wróciłam, żeby zamknąć się w czterech ścianach.

- Świat jest niebezpieczny. Widziałem potwora, który przybył tu za tobą, widziałem go w Pucharze Bostońskim. Chcesz go zobaczyć? - Oscar wstał. - Chodź. Może zmienisz zdanie.

Zaprowadził ją na górę, do skarbcza. Cały czas gadał jak najęty:

- Odkąd to coś zjawilo się w Piątym Dominium, puchar żyje własnym życiem. Nie wymaga obserwatora, sam z siebie w kółko powtarza te same obrazy. Jest przerażony. Boi się tego, co pokazuje.

Usłyszała ten dźwięk, zanim stanęli przy drzwiach; przypominał grzechot gradu o spieczoną słońcem ziemię.

- Chyba nie należy zbyt długo mu się przyglądać - zasugerował Oscar. - Hipnotyzuje.

Otworzył drzwi. Puchar stał na podłodze na środku pokoju, w kręgu wotywnych świec. Płomienie dygotały w podmuchach powietrza wywołanych ruchem skaczących w misie kamieni. Kamyki fruwały w obrębie Pucharu niczym rój rozwścieczonych pszczoł, niektóre wyskakiwały nawet ponad krawędź. Oscar musiał osadzić Puchar w kopczyku piasku, żeby go nie przewróciły. Powietrze przesycala woń, którą nazwał zapachem strachu - gorzki, lekko metaliczny aromat, jaki czasem daje się wyczuć tuż przed burzą. Mimo że kamienie zdawały się nie wypadać poza obrys misy, Jude cofnęła się odruchowo, na wypadek gdyby któryś z nich wyskoczył za daleko i próbował ją trafić; przy takiej szybkości nawet najmniejszy z otoczków mógł wybić człowiekowi oko. Chociaż zatrzymała się w znacznej odległości od Pucharu i mogła zamiast niego podziwiać półki z rozlicznymi skarbami,

przyciągał jej wzrok jak magnes. Oscar wraz z całym pokojem rozplywał się w nicłość.

- To może chwilę potrwać - usłyszała. - Ale obrazy zaraz się pojawiają.

- Widzę - odparła.

Z chmury kamiaków wyłonił się Azyl, z kopułą na wpół przesłoniętą drzewami zagajnika. Zaraz zniknął i na jego miejscu pojawił się wieżowiec Tabula Rasa, a chwilę później inny budynek, zupełnie inny od dwóch poprzednich, chociaż podobnie jak Azyl częściowo zasłonięty liśćmi - tym razem jednego drzewa, rosnącego na chodniku obok.

- Co to za dom? - zapytała Oscara.

- Nie wiem, ale cały czas się pojawia. Na pewno jest gdzieś w Londynie.

- Skąd wiesz?

Dom niczym szczególnym się nie wyróżniał; miał dwa piętra, był dość nijaki i zaniedbany. Mógł znajdować się w każdym angielskim mieście. A nawet w wielu miastach w innych europejskich krajach.

- W Londynie koło się zamyka. Tu się wszystko zaczęło i tu się skończy.

Te słowa obudziły wspomnienia. Dowd, który na Bładym Kopcu mówił, że historia zatoczyła koło; ona i Gentle, pozerający się nawzajem w dążeniu do doskonałości.

- Znowu go widać - dodał Oscar.

Tym razem w oknach domu paliły się światła. Ktoś stał na schodkach. Miał spuszczone ręce i patrzył w niebo. Obraz był jednak niewyraźny i nie mogła rozeznaczyć rysów tego człowieka. Możliwe, że miała przed sobą jakiegoś anonimowego czciciela słońca, ale nie wydało jej się to prawdopodobne. Każdy szczegół w tym pokazie miał swoje znaczenie. Obraz rozpadł się na części, prześwietlone słońcem liście zniknęły, błękitne niebo zasnuł skłębiony, ciemny dym.

- Patrz teraz - powiedział Oscar.

W dymie poruszały się niewyraźne kształty - nadymały się, flaczały, opadały chmurą popiołu. Nieświadomie zrobiła krok w stronę Pucharu.

- Nie podchodź, kochanie - ostrzegł ją Oscar.

- Co to jest? - zapytała, nie zwracając uwagi na jego słowa.

- Moc. Siła, która przenika do Piątego Dominium. A może już przeniknęła.

- Ale to przecież nie jest Sartori.

- Sartori?

- Autarcha.

Zapominając o ostrożności, Oscar podszedł do Jude.

- Sartori? Maestro Sartori?

Nie odwróciła się. Monstrum z dymu bez reszty przykuwało jej uwagę. Mogło jej się to nie podobać, ale Oscar miał rację, mówiąc o niezbadanych mocach. Z pewnością działały tu siły niezrozumiałe dla śmiertelników; oszałamiające zjawisko przemieszczało się ponad ziemią, która z początku wydała się Jude porośnięta krótką szarą trawą. Przyjrząwszy się bliżej, ujrzała miasto. Żdźbła były w istocie budynkami, które waliły się w gruzy, gdy tajemnicza siła wypalała ich fundamenty.

Nic dziwnego, że Oscar trząśł się cały i nie chciał wyjść z domu. Widok był porażający, a Jude z pewnością nie była na niego przygotowana. Sartori mógł sobie być okrutnikiem, ale zapisał tylko jedną z wielu kart w długich, obrzydliwych dziejach tyranii w historii ludzi, którzy - przerażeni własną słabością - stali się potworami. Tu jednak widziała makabrę zupełnie innego rzędu; koszmar, którego nie rozwiązałyby ani polityka, ani trucicielstwo. Bezgraniczna, bezwzględna siła mogła w mgnieniu oka zmieść wszystkich maistrów i despotów, którzy próbowali odcisnąć swoje piętno na powierzchni ziemi. Czy uwolnił ją Sartori? Czy mógł być aż tak szalony, żeby myśleć, że przeżyje jej najście, a potem na gruzach świata zbuduje Nowe Yzordderrex? Czy jego obłęd sięgał aż tak daleko? Może niszczycielska chmura była w istocie metropolią, o której śnił - wszechpotężną burzą, która przetrwa do Końca Świata, bo tak właśnie się nazywa?

Puchar pociemniał. Jude wypuściła długo wstrzymywane w płucach powietrze.

- To jeszcze nie koniec - szepnął jej do ucha Oscar.

Ciemność w misie zaczęła się strzępić, odsłaniając leżącą na ziemi postać. To była Jude - może trochę niezdarnie odwzorowana, ale nie mogło być mowy o pomyłce.

- Ostrzegalem cię - dodał Oscar.

Czerń, z której wynurzył się obraz Jude, nie rozwiała się do końca; snuła się po Pucharze niczym mgła, aż wynurzyła się z niej druga sylwetka, która ułożyła się obok pierwszej. Zanim wydarzyło się coś więcej, wiedziała już, że Oscar się myli. Puchar nie wieszczęł zguby. Cień, który zaległ między jej nogami, nie należał do mordercy, lecz do Gentle'a. Obecność Pojednawcy w wizji, którą pokazał im Puchar, była znakiem nadziei, przeciwwagą dla rozpacz, jaka biła z poprzedniego obrazu. Słyszała, jak Oscar jęknął, gdy Gentle wsunął jej rękę między nogi, a potem ujął ją za stopę i zaczął pochłaniać.

- On cię zabija - powiedział.

Rzeczywiście, tak to racjonalnie należałoby tłumaczyć - tylko że ta wizja nie miała nic wspólnego ze śmiercią. To był akt miłosny, w dodatku nie prorokowany, lecz relacjonowany z przeszłości. Z ubiegłej nocy. Oscar patrzył na nich jak dziecko, które widzi rodziców w łóżku i myśli, że dzieje się tam jakiś gwałt. W pewnym sensie ucieszyła się z jego omyłki, bo

oszczędził jej kłopotliwego tłumaczenia całej sceny.

Wkrótce byli już z Pojednawcą nierozzerwalnie spleceni. Ciemność, która nie ustępowała przez cały czas, teraz zgęstniała, a wraz z nią pogłębiały się cienie. Zmieniona w węzeł para kochanków kurczyła się w mroku coraz bardziej, aż całkiem zniknęła. Grzechoczące kamienie nie pokazywały już nic.

Dziwnie intymnie zakończył się ten pokaz. Najpierw Azyl, potem wieżowiec, tajemniczy dom i burza - tu z obrazu na obraz wizja stawała się coraz bardziej ponura. Później jednak powiało optymizmem. Może miało to oznaczać, że zespolenie przyniesie kres dotychczasowej ciemności.

- Nic więcej nie ma - wyjaśnił Oscar. - Teraz zaczniesz pokazywać wszystko od nowa, w kółko.

Odwróciła się do niego, gdy kamienie, które wcześniej przycichły, znów głośniejsz zagrzechotały.

- Nie rozumiesz, że grozi ci niebezpieczeństwo? - zapytał.

- Wydaje mi się, że jestem tylko cieniem ważniejszych wydarzeń - powiedziała, próbując odwrócić jego uwagę od końcowej sekwencji.

- Nie dla mnie. - Objął ją i przytulił. Mimo że pokiereszowany, był silny. - Chcę cię chronić. To mój obowiązek. Teraz to rozumiem. Wiem, że źle cię traktowaliśmy, ale mogę ci to wynagrodzić. Zostaniesz ze mną i włos ci z głowy nie spadnie.

- Sądzisz, że my się tu zaszyjemy, a Sąd Ostateczny przejdzie bokiem?

- Masz lepszy pomysł?

- Tak. Stawimy mu czoło. Za wszelką cenę.

- Z tym, co widzieliśmy, nie da się wygrać.

Słyszała za plecami łoskot kamyków - znów pokazywały burzę.

- Tu przynajmniej możemy się bronić - mówił tymczasem Oscar. - Okien i drzwi pilnują duszki. Widziałaś te w kuchni? Są najmniejsze.

- Wszystkie są płci męskiej, prawda?

- A jakie to ma znaczenie?

- Nie obronią cię, Oscarze.

- Niczego więcej nie mamy.

- Może ty nie masz...

Jude uwolniła się z jego ramion i wyszła z pokoju. Stał obok niej na podeście schodów, dopytując się, co miała na myśli. Rozdrażniona jego tchórzostwem, wypaliła:

- Wielka moc od lat była na wyciągnięcie ręki.

- Jak to? Gdzie?

- Zamknięta w podziemiach wieży Roxborougha.

- O czym ty mówisz?!

- Nie wiesz, kim jest?

- Nie - odparł rozeźlony Oscar. - Bzdury wygadujesz.

- Ja ją widziałam, Oscarze.

- Niby jak? Nikt poza członkami Tabula Rasa nie ma wstępu do wieżowca.

- Mogłabym ci ją pokazać. Zaprowadzić cię do niej. - Jude zniżyła głos, obserwując malujący się na twarzy Oscara niepokój. - Podejrzewam, że jest boginią. Dwa razy próbowałam ją stamtąd wyciągnąć, ale mi się nie udało. Potrzebuję pomocy. Twojej.

- To niemożliwe. Ten wieżowiec jest strzeżony jak forteca! Zwłaszcza teraz. Posłuchaj mnie, mój dom to ostatnie bezpieczne schronienie w całym Londynie. Musiałbym być samobójcą, żeby stąd wyjść.

- W takim razie skończmy tę rozmowę - zdecydowała Jude. Nie miała ochoty zadawać się z tchórzem. Zaczęła schodzić po schodach, nie zwracając uwagi na wołanie Oscara.

- Nie możesz mnie tak zostawić - powiedział zdziwiony. - Kocham cię, słyszysz? Kocham cię!

- Są rzeczy ważniejsze niż miłość - odparła. Przyszło jej do głowy, że łatwo to mówić, gdy w domu czeka na nią Gentle, ale w gruncie rzeczy miała rację. Widziała, jak jej miasto zmienia się w gruzowisko. Powinna starać się temu zapobiec, a nie słuchać o miłości. Zwłaszcza w nieszczerym Oscarowym wydaniu. - Nie zapomnij za mną pozamykać - dodała, znalazłszy się przy drzwiach. - Nigdy nie wiadomo, kto następny do ciebie zapuka.

2

Po drodze do domu zrobiła zakupy. Nigdy za tym nie przepadała, ale tego dnia ta prosta czynność zdawała się graniczyć z surrealizmem - wszystko przez złe przecucia, które towarzyszyło jej nieprzerwanie, odkąd wyszła od Oscara. Kupowała niezbędne drobiazgi, a obraz burzowej chmury nie dawał jej spokoju. Życie jednak musiało toczyć się normalnie, nawet jeśli się zbliżał kataklizm. Potrzebowała mleka, chleba i papieru toaletowego; poza tym przydałby się dezodorant i worki na śmieci do kubła w kuchni. Tylko w książkach i filmach dawało się zapomnieć o codziennej rutynie, żeby zrobić na scenie miejsce dla głównych

wydarzeń. Będzie jeść, pocić się i trawić aż po kres swoich dni. Myśl ta wydała się jej dziwnie pocieszająca i choć cienie gromadzące się na obrzeżach jej świata powinny - zdałoby się - odwrócić jej uwagę od przyziemnych spraw, stało się dokładnie odwrotnie. Dłużej niż zwykle marudziła przy wyborze sera, a potem obwąchała z pół tuzina dezodorantów, zanim wybrała taki, który jej odpowiadał.

Na rozpalonych słońcem ulicach panował ożywiony ruch, gdy wracała po zakupach do domu. Wyglądało na to, że o pomocy Oscara nie ma co marzyć. Musiała szukać jej gdzie indziej, co przy wąskim kręgu znajomych oznaczało, że wybór ma niewielki - albo Clem, albo Gentle. Pojednawca miał naturalnie własne sprawy na głowie, ale po tym, jak obiecali sobie w nocy, że będą zawsze razem, by dzielić wszystkie wizje i lęki, z pewnością zrozumie jej pragnienie uwolnienia Celestine. Chociażby po to, by jej uwięzienie przestało być tajemnicą. Postanowiła jak najszybciej opowiedzieć mu wszystko, co wie o więźniu Roxborougha.

Nie zastała Gentle'a w domu, co bynajmniej jej nie zdziwiło. Uprzedzał przecież, że będą się widywali w dziwnych godzinach, kiedy zacznie przygotowywać Pojednanie. Przyrzadziła lunch, uznała, że nie ma apetytu, i poszła posprzątać w sypialni, gdzie po burzliwej nocy panował chaos. Ścieląc łóżko, odkryła w nim błękitny kamień (czy raczej, jak wolała o nim myśleć, jajo), który musiał wypaść z kieszeni jej podartej spódnicy. Na jego widok zapomniała o porządkach, usiadła na skraju materaca i zaczęła obracać jajo w dłoniach. Przyszło jej do głowy, że mogłoby ją przenieść chociaż na chwilę do celi, w której więziono Celestine. Pająki Dowda niewiele z niego zostawiły, ale przecież już kiedy pierwszy raz znalazła kamień w sejfie Estabrooka, stanowił tylko część większej całości, a mimo to miał moc. Może wciąż ma?

- Pokaż mi boginię - zażądała, ściskając kamień w rękach. - Pokaż mi boginię.

Kiedy tak mówiła, myśl o tym, że jej umysł mógłby opuścić ciało i fruwać gdzieś samodzielnie, wydał się absurdalny. W tym świecie takie rzeczy się nie zdarzały - może poza pewnymi wyjątkowymi nocami, teraz zaś było wczesne popołudnie; za oknem tętniło życiem miasta. Postanowiła jednak nie zamykać okna. Nie mogła chować się przed światem za każdym razem, gdy chciała wprowadzić się w odmienny stan świadomości. Ulica, ludzie, kurz, zgiełk, letnie niebo - wszystko musiało stać się częścią transcendentnego mechanizmu. W przeciwnym razie źle skończy, jak jej siostra, spętana i ślepa na długo przed tym, jak straciła oczy.

Zaczęła mówić do siebie.

- Raz już się to zdarzyło. Może się zatem powtórzyć. Cierpliwości, kobieto.

To było śmieszne. Ujrzała oczyma wyobraźni, jak siedzi na łóżku i niczym kretyńka

gapi się na kawałek kamienia. Kwintesencja głupoty.

- Ty idiotko - mruknęła.

Nagle znużona nieudanym eksperymentem wstała z łóżka - i natychmiast zrozumiała swój błąd. Oglądała samą siebie z dystansu, jakby stała przy oknie. Poczula nagłe ukłucie strachu i drugi raz w ciągu ostatnich trzydziestu sekund nazwała się idiotką - nie dlatego że traciła czas na gapienie się w kamienne jajko, ale ponieważ nie zorientowała się, iż obraz, który zinterpretowała jako potwierdzenie własnej niemocy, dowodził czegoś wręcz przeciwnego. Opuściła swoje ciało tak dyskretnie, że nawet tego nie zauważyła.

- Do celi - powiedziała. - Pokaż mi celę bogini.

Mimo że jej magiczne oczy znajdowały się przy samym oknie i mogły od razu przez nie wyfrunąć, poszybowały najpierw pod sufit. Zakręciło się jej w głowie. Widziała, jak zatacza się, siedząc na łóżku. Oczy opadły w dół. Własna głowa rozpościerała się przed nią niczym rozległa planeta widziana z kosmosu. Wtedy wpadła w głąb własnej czaszki i zanurzyła się w mrokach ciała. Czula otaczające ją ze wszystkich stron wyziewy strachu; serce waliło jej jak młotem, płuca pracowały szybko, wypełniały się płytkimi oddechami. Nie było w niej nawet cienia jasności, jaką znalazła w ciele Celestine, ani śladu błękitnej poświaty, której bogini używała kamieniowi - nic, tylko wzburzona czerń. Próbowала jakoś dać jaju do zrozumienia, że popełnia błąd; chciała jak najszybciej wydostać się z tej otchłani, ale prośby pozostały bez odpowiedzi. Spadała coraz głębiej i głębiej, była jak drobinka materii, która wpadła do studni i jeszcze przez wiele godzin nie osiągnie dna.

Nagle w dole dostrzegła świecący punkcik. Rósł w oczach i wkrótce zmienił się w falującą smugę blasku, niczym magiczny symbol nakreślony czystą esencją światła. Co mógł robić w jej ciele? Czy był śladem rytuału, w którym została stworzona? Cząstką sztuki Sartoriego, ukrytym jak podpis Gentle'a na podrobionym obrazie? Była tuż przy nim - czy raczej w nim; lśnił tak oślepiająco, że musiała zmrużyć oczy.

Z jasności płynęły obrazy. I to jakie! Nie wiedziała ani skąd pochodzą, ani czemu mają służyć, ale były tak niezwykle, że wybaczyła kamieniowi, iż zabrał ją tutaj, a nie do celi pod wieżowcem. Znajdowała się w rajskim mieście, zatopionym we wspaniałych roślinach, które rosły gęsto i bujnie dzięki wszechobecnej wodzie rozpryskującej się w postaci licznych fontann. W górze śmigwały roje gwiazd, kreśląc idealne koła na niebie. Przy ziemi snuła się mgła. Jude szła w tej mgle przez miasto jak święta pani, aż znalazła się w ogromnej, przewiewnej komnacie, gdzie zamiast drzwi znajdowały się kaskady wody, a najmniejszy promyk słońca budził do życia tęczę. Usiadła i magicznymi oczyma ujrzwała siebie samą, swoją twarz i piersi. Wznosiły się wysoko ponad nią, jakby należały do stojącego w świątyni

posągu. Czy wydawało jej się, czy naprawdę z jej piersi płynęło mleko? I czy rzeczywiście śpiewała kołysankę? Chyba tak, ale zanim zdążyła się upewnić, odwróciła się i spojrzała w drugą stronę. Do komnaty wszedł mężczyzna tak poraniony, że w pierwszej chwili go nie rozpoznała. Dopiero kiedy znalazł się tuż obok, zdała sobie sprawę, że to Gentle. Nieogolony, wychudzony Gentle witał ją łzami radości. Nie słyszała, czy coś mówi. Padł przed nią na kolana. Przeniosła wzrok z jego twarzy na swoją olbrzymią podobiznę stojącą za jego plecami. Widziała już, że posąg nie jest kamienny, lecz ma normalne ciało, że porusza się, płacze, nawet zerka na swoją wyznawczynię.

Jakby cała ta wizja nie była dość niesamowita, Jude ujrzała, jak Gentle wyciąga z czyjejś dłoni - nie mogła należeć do niej, była za mała! - niebieski kamyk, który zesłał jej te obrazy. Przyjął go z wdzięcznością, opanował szloch i wstał. Wyszedł przez wodną kaskadę, a światło znajdującego się na zewnątrz świata załało pokój.

Jude czuła, że zagadkowa wizja się kończy, lecz nie potrafiła jej zatrzymać. Znowu zobaczyła tkwiący w głębi jej ciała magiczny symbol i zaczęła się od niego oddalać niczym nurek od skarbu, którego morskie głębiny nie dały sobie wydrzeć. Przemknęła przez mrok i znalazła się w miejscu, w którym jej podróż się zaczęła.

W pokoju nic się nie zmieniło, za to przez otwarte okno wpadł poryw wiatru, niosąc falę deszczu. Jude wstała, ściskając kamyk w dłoni. Ciągłe kręciło się jej w głowie, więc się położyła, oddając głowę poduszce pod opiekę.

3

Wydawało jej się, że nie zasnęła, ale miała podobne kłopoty z rozróżnieniem, co jest snem, a co jawą, jak w łożu Quaisoir. Wizje, których doświadczyła w głębi swojego ciała, dręczyły ją niczym proroczy sen. Nie dawały jej spokoju, przy wtórze deszczu rozpamiętywała je wciąż na nowo. Dopiero kiedy chmury odpłynęły, zabierając ze sobą ulewę i odsłaniając słońce, przyszedł sen.

Obudził ją zgrzyt klucza w zamku. Musiał być późny wieczór, gdyż Gentle od razu włączył światło w drugim pokoju. Usiadła i już miała go zawołać, ale nagle się rozmyśliła i zaczęła mu się przyglądać przez szparę w drzwiach. Jego twarz mignęła jej tylko przez ułamek sekundy, ale to wystarczyło, żeby zamarzyła o jego pocałunkach. Nie przyszedł jednak do niej, lecz chodził po pokoju, rozcierając ręce od palców po nadgarstki, jakby

okropnie go bolały.

Wreszcie straciła cierpliwość. Zaspianym głosem wymruczała jego imię. Z początku jej nie usłyszał, musiała zawołać go drugi raz. Dopiero wtedy odwrócił się i uśmiechnął.

- Nie śpisz jeszcze? - spytał czule. - Nie trzeba było na mnie czekać.

- Nic ci nie jest?

- Oczywiście że nie. - Przesunął dłońmi po twarzy. - Wiesz, to ciężka robota. Nie wiedziałem, że będzie aż tak trudno.

- Chcesz mi o tym opowiedzieć?

- Kiedy indziej. - Podszedł, złapał ją za rękę. - Co to jest?

Wciąż ścisnęła kamienne jajo, które ze zręcznością kieszonkowca wyłuskała jej z dłoni. Chciała mu je odebrać, ale zwalczyła instynktowną pokusę.

- Ładna rzecz - stwierdził. - Skąd to masz? - spytał już mniej beztróskim tonem.

Dlaczego się zawahała? Czy chodziło o to, że był zmęczony i nie chciała mu się naprzykrzać z nowymi tajemnicami, kiedy miał dość własnych? Po części na pewno, ale w jej wahanii było coś więcej, coś, czego nie rozumiała. Widziała go w swojej wizji znacznie bardziej pokiereszowanego niż w tej chwili i czuła, że - nie wiedzieć czemu - powinna to na razie zachować w tajemnicy.

Podniósł kamyk do nosa.

- Czuję twój zapach - powiedział.

- Nie...

- Tak, czuję. Gdzie trzymałaś to чудо? - Wolną rękę włożył jej między nogi. - Tutaj?

Właściwie nawet nie tak bardzo się pomylił. Chętnie ukryłaby niebieskie jajo właśnie tam i cieszyła się jego ciężarem.

- Nie? - zdziwił się. - Na pewno tego żałuje. Założę się, że pół świata chciałoby ci się tam wcisnąć. Ale to moje miejsce, prawda?

- Tak.

- Nikt poza mną tam nie zagląda.

- Nikt - odpowiadała mechanicznie Jude, myśląc tylko o tym, jak odzyskać kamień.

- Masz coś, żebyśmy się mogli nakręcić? - zapytał.

- Powinnam mieć gdzieś trochę trawki...

- Gdzie?

- Ale chyba wypaliłam już resztki. Nie jestem pewna. Mam poszukać?

- Bardzo proszę.

Sięgnęła po jajo, ale nie zdążyła go złapać, gdy Gentle podniósł je do ust.

- Na razie zatrzymam kamyk - wyjaśnił. - Nacieszę się twoim zapachem. Nie masz chyba nic przeciwko temu?

- Chciałabym go dostać z powrotem.

- Nie dam - odparł przekornie, jakby go bawiła jej dziecinna zachłanność. - Potrzebuję pamiątki, która by mi o tobie przypominała.

- Dam ci moją bieliznę.

- To nie to samo.

Położył sobie kamień na języku i obrócił go w palcach, śliniąc ze wszystkich stron. Patrzyła, jak to robi. On też bacznie ją obserwował. Zdawał sobie sprawę, że bardzo zależy jej na tej zabawce.

- Mówiłaś coś o trawce - przypomniał.

Wróciła do sypialni, włączyła nocną lampkę i zajrzała do górnej szuflady, gdzie ostatnio trzymała marihuanę.

- Wychodziłaś gdzieś? - zapytał Gentle.

- Byłam u Oscara.

- Jakiego Oscara?

- Godolphina.

- Jak się miewa? Cały i zdrowy?

- Nie widzę trawy. Musiałam całą wypalić.

- Mówiliśmy o Oscarze.

- Zamknął się w domu i nie chce wyjść.

- A gdzie mieszka? Może powinienem go odwiedzić. Pocieszyć.

- Nie będzie chciał cię widzieć. Nikogo nie przyjmuje. Boi się, że nadchodzi koniec świata.

- A ty co o tym sądzisz?

Wzruszyła ramionami. Była na Gentle'a wściekła, chociaż nie wiedziała czemu. Zabrał na chwilę jajo, ale to przecież żadna zbrodnia. Jeżeli kamień dawał mu poczucie bezpieczeństwa, czy powinna być o niego zazdrosna? Nie lubiła w sobie tej małostkowości, ale musiała przyznać, że bez przepływających między nimi seksualnych fluidów wygląda jak prostak. Nie spodziewała się tego po nim. Chociaż Bóg jeden wiedział, że w swoim czasie oskarżała go o różne niedoskonałości, to finezji nigdy mu nie brakowało. Czasem przeciwnie - bywał nazbyt delikatny i ugrzeczniiony.

- Mówiłaś coś o końcu świata - przypomniał.

- Tak?

- Czy Oscar cię nastraszył?

- Nie, ale widziałam u niego coś, czego się boję. Opowiedziała mu pokrótce o Pucharze Bostońskim i jego prorocत्वach. Słuchał w milczeniu.

- Piąte Dominium chwieje się w posadach; oboje o tym wiemy - powiedział, kiedy skończyła. - Nam jednak nic nie grozi.

Te same - albo prawie te same - emocjonalne bzdury słyszała od Oscara. Obaj chcieli stworzyć jej przystań, w której schroni się przed burzą. Właściwie powinno jej to pochwlebiać.

Gentle spojrział na zegarek.

- Muszę wyjść. Nic ci się tu nie stanie, prawda?

- Spokojna głowa.

- Powinnaś się przespać, zebrać siły. Czekają nas mroczne czasy, zanim znów zabłyśnie słońce. Część tej ciemności odnajdziemy w sobie nawzajem. To naturalne, nie jesteśmy przecież aniołami - zachichotał. - No, może ty jesteś. Ja na pewno nie. - Schował kamień do kieszeni. - Wracaj do łóżka. Rano będę z powrotem. Nie bój się, poza mną nikt się do ciebie nawet nie zbliży. Przrzekam ci to. Będę przy tobie, Jude, przez cały czas. To nie są tylko czułe słówka zakochanego faceta.

Uśmiechnął się i wyszedł, a Jude zaczęła się głowić, o co właściwie mu chodziło, jeśli nie mówił tego z miłości.

ROZDZIAŁ 47

1

- Coś ty za jeden? - spytał brudny, brodaty włóczęga.

Nieznajomy, którego złapał za gardło, bezradnie pokręcił głową. Miał pecha, że napatoczył się na brodacza. Krew płynęła mu z czoła; pokaleczył się, gdy waląc głową o ścianę, próbował uciszyć zgiełk głosów pod czaszką. Na próżno - wciąż kłębiły mu się w myślach twarze i nazwiska, których nie potrafił rozpoznać. Dlatego teraz mógł tylko pokręcić głową. Nie wiedział, kim jest.

- Wypierdalaj stąd!

Brodacz trzymał w ręce butelkę taniego wina. W jego oddechu dało się wyczuć odór alkoholu zmieszany z inną, głębszą wonią zgnilizny. Pchnął intruza na ścianę w przejściu podziemnym.

- Nie będziesz tu, kurwo jedna, spał, jasne? Najpierw zapytaj, czy możesz. Bo to ja mówię, komu wolno tu spać, a komu nie. Mam rację?

Spojrzał przekrwionymi ślepiami w stronę bandy obszarpańców, którzy gramolili się z urządzonych w kartonach i wysłanych gazetami łóżek, by popatrzeć, jak szef się zabawia. Wiedzieli, że poleje się krew. Jak się Tolland wściekł, zawsze się łała, a nie wiedzieć czemu ten smutas drażnił go bardziej niż inni bezdomni, którzy próbowali schronić się tu bez jego zezwolenia.

- Mam rację?! - powtórzył. - Irish! Powiedz mu, czy mam rację?

Człowiek, do którego zwrócił się Tolland, zabełkotał coś niezrozumiale. Stojąca obok niego kobieta o włosach tak utlenionych, że praktycznie niewidocznych (poza odrostami, które były zupełnie czarne), podeszła na wyciągnięcie ręki do Tollanda - mało kto by się na to odważył - i odparła:

- Masz rację, Tolly. Absolutnie. - Bez cienia litości spojrzała na ofiarę. - Myślisz, że to parch? Ma taki żydowski nochal.

Tolland pociągnął wina z butelki.

- Jesteś Żydem, fiucie jeden?

Ktoś z pozostałych zaproponował, żeby go rozebrać i sprawdzić. Kobieta - znana pod wieloma imionami, chociaż Tolland mówił do niej Carol, kiedy ją rznął - już chciała to zrobić, ale wycofała się, gdy zamierzył się na nią.

- Zabieraj od niego te brudne łapska! Sam nam powie, prawda, bracie? Powiesz nam? To jak? Jesteś, zasrańcu, parchem, czy nie?

Złapał intruza za klapy kurtki.

- Czekam!

- ...Gentle... - z wysiłkiem odparł mężczyzna.

- Gentle? Żyd czy goj, właściwie mam to w dupie. Nie chcę cię tu widzieć!

Intruz skinął głową i zamierzał odejść, ale Tolland jeszcze nie skończył. Cisnął go na ścianę, aż wypchnął mu powietrze z płuc.

- Irish! Weź ode mnie flaszkę!

Irlandczyk zabrał od Tollanda butelkę i cofnął się, czekając, co będzie dalej.

- Tylko go nie zabij - powiedziała kobieta.

- Chuj ci do tego!

Tolland splunął i uderzył Gentle'a - raz, drugi, trzeci, czwarty - prosto w spłot słoneczny, a na koniec kopnął go kolanem w jądra. Trzymany za gardło Gentle niewiele mógł zrobić; zebrał pominie ciosy, z oczu pociekły mu łzy. Patrzył na Tollanda zdziwiony, jęknięciem kwitując każde uderzenie.

- On jest psychiczny - zauważył Irlandczyk. - Przyjrzyj mu się, on jest psychiczny!

Szef nie zwrócił na niego uwagi, tylko posłał kolejną serię ciosów. Gentle zwisał bezwładnie, przytrzymywany drugą ręką Tollanda. Jego twarz straciła wszelki wyraz.

- Słyszysz mnie, Tolly? To świrus. Nic nie czuje.

- Nie mieszaj się do tego, palancie!

- Daj mu spokój...

- Po co laź, gdzie go nie prosili?

Tolland pociągnął Gentle'a za sobą. Tłumek rozstał się przed nim. Kiedy Irish umilkł, nie było więcej sprzeciwów. Najpierw Tolland paroma uderzeniami przewrócił Gentle'a, potem zaczął go kopać. Gentle skulił się i pojękiwał, próbując osłonić głowę rękoma, ale Tolland nie zamierzał mu łatwo przepuścić. Chwytał go za dłonie i odciągnął je od twarzy. Wziął zamach nogą. Nie zdążył jednak kopnąć; butelka, którą oddał Irishowi, roztrzaskała się na betonie.

- Dlaczego to zrobiłeś, do kurwy nędzy?

- Nie można bić psychicznych - odparł Irish pojednawczo.

- Podskoczysz mi?

- Mówię tylko...

- Podskoczysz mi, kutasie?

- On ma nie po kolei w głowie, Tolly.

- W takim razie wkopię mu do łba trochę rozumu. Tolland puścił ofiarę i odwrócił się do buntownika.

- A może ty chcesz to zrobić?

Irish pokręcił głową.

- No, zrób to dla mnie. - Tolland ominął Gentle'a i ruszył w stronę Irisha. - Dalej, śmiało...

Irish zaczął się cofać, ale Tolland nie ustępował. Gentle przetoczył się na brzuch i próbował odczołgać. Krew płynęła mu z nosa i otwartych ran na czole. Nikt mu nie pomógł. Kiedy Tolland się wściekł, nie znał granic. Ktokolwiek wszedłby mu w drogę - mężczyzna, kobieta, dziecko - był stracony. Tolland bez namysłu łamał ludziom kości i karki. Kiedyś dwadzieścia metrów od przejścia podziemnego wbił szyjkę butelki w oko człowiekowi, który za długo mu się przyglądał. Słyszeli o nim wszyscy mieszkańcy kartonowych miasteczek po obu stronach rzeki - i modlili się, żeby nie przyszedł ich odwiedzić.

Irish podniósł ręce w geście rezygnacji.

- W porządku, Tolly, w porządku - powiedział. - Mój błąd. Słowo daję, przepraszam.

- Rozbiłeś moją butelkę, złamasie.

- Zaraz przyniosę ci drugą. Już lecę.

Irish znał Tollanda dłużej niż pozostali i wiedział, jak go ugłaskać. Należało go gorąco przeproszać, najlepiej w obecności całego plemienia poddanych. Ta metoda nie zawsze się sprawdzała, ale tym razem miał szczęście.

- Chcesz nową flaszkę? - upewnił się.

- Dwie, pokurczu jeden.

- Tak jest, Tolly. Jestem pokurczem. - I jedną dla Carol.

- Robi się.

Tolland wymierzył w niego palec.

- I nie próbuj mnie więcej ruchnąć, bo ci jaja oberwę.

Złożywszy tę obietnicę, odwrócił się do swojej ofiary. Widząc, że Gentle zdążył już kawałek odpełznąć, ryknął z wściekłości. Wszyscy, którzy stali mu na drodze, rozstąpili się czym prędzej, on jednak wcale się nie spieszył. Patrzył, jak Gentle z wysiłkiem wstaje i próbuje uciec, potykając się o kartony i posłania.

Młody - mniej więcej szesnastoletni - chłopak klęczał na betonie i rysował coś na nim kolorową kredą, od czasu do czasu zdmuchując nadmiar kredowego pyłu. Pochłonięty rysowaniem nie zauważył bójki, teraz jednak dobiegł go dudniący w tunelu głos Tollanda:

- Monday, pojechańcu! Złap go!

Chłopak podniósł wzrok. Włosy miał krótko przycięte i beznadziejnie zmierzwiłone, skórę całą w dziobach po ospie, uszy odstające jak uchwyty od garnka, a ręce zdeformowane od ukłuć igły. Był jednak bystry i w sekundę zrozumiał, jaki ma wybór. Jeśli złapie zakrwawionego uciekiniera, skaże go na śmierć; jeżeli tego nie zrobi, sam zginie. Udał zaskoczenie, chcąc zyskać na czasie; przytknął stuloną dłoń do ucha, jakby nie dosłyszał słów Tollanda.

- Zatrzymaj go!

Monday zaczął się prostować.

- Spierdalaj! - mruknął pod adresem intruza, ale ten kretyn zatrzymał się ze wzrokiem utkwionym w rysunek na ziemi. Monday skopiował w tym miejscu zdjęcie z gazety, przedstawiające młodą gwiazdkę filmową o wielkich oczach, z misiem koala w ramionach. Kobiętę odtworzył zdumiewająco wiernie, natomiast miś wyglądał jak jednooki potwór wzięty z jakiegoś patchworku.

- Nie słyszysz, co mówię?

Intruz nie zwracał na niego uwagi.

- Już nie żyjesz. - Monday wstał i odepchnął go od rysunku. - Zjeżdżaj stąd, bo mi zniszczysz obrazek! Wypad, facet! - Pchnął mocniej, ale intruz stał jak wrośnięty w ziemię. - Zakrwawisz go, kutafonie!

Tolland zawołał Irisha, który usłużnie wyrósł u jego boku jak spod ziemi.

- Co jest, Tolly?

- Przytrzymaj dzieciaka.

Irish posłusznie złapał Mondaya, Tolland zaś dopadł Gentle'a, który nie ruszył się z miejsca.

- Uważaj, żeby go nie zakrwawił! - krzyknął Monday.

Tolland spojrział na niego z ukosa - i wszedł na rysunek, zdzierając buciorami delikatną twarz. Monday jęczał bezsilnie, gdy jaskrawe barwy zmieniały się w brunatny pył.

- Nie rób tego, facet! Proszę cię, daj spokój!

Jeszcze bardziej rozwścieczony tym biadoleniem Tolland podszedł do puszki po cygarach, w której chłopiec trzymał kredę, i chciał ją kopnąć. Monday wyrwał się jednak Irishowi i zasłonił puszkę własnym ciałem. Dostał kopniaka w żebra, padł na ziemię, prosto w

kredowy pył. Tolland przewrócił puszkę i wrócił do jej niedoszłego obrońcy. Monday skulił się, czekając na drugi cios. Rozległ się głos Gentle'a:

- Nie rób tego.

Nikt Gentle'a nie trzymał, mógł spokojnie uciec, gdy Tolland zajął się Mondayem. Stał jednak w miejscu, ze wzrokiem utkwionym w człowieka, który zniszczył rysunek.

- Co ty, kurwa, gadasz? - Rozdziawione usta Tollanda wyglądały jak krwawa rana ukryta w gęstej brodzie.

- Powiedziałem: nie rób tego.

Do tej pory polowanie na intruza sprawiało Tollandowi przyjemność, lecz nagle sytuacja diametralnie się zmieniła - i każdy z jego ludzi to wyczuwał. Zabawa, której efektem byłoby odgryzione ucho czy połamane żebra, dobiegła końca. Ci, którzy nie mieli ochoty dalej patrzeć, wycofywali się jak najdalej; nawet najtwardsi odsunęli się o krok czy dwa, zdając sobie sprawę (w głębi zapitych, zaćpanych albo zwyczajnie otepiałych mózgów), że bójka skończy się czymś więcej niż zwykłym puszczeniem krwi.

Tolland odwrócił się do Gentle'a i sięgnął za pazuchę. Wyjął nóż, którego dwudziestocentymetrowe ostrze znaczyły liczne rysy i szczyrby. Na ten widok nawet Irish się odsunął. Tylko raz zdarzyło mu się widzieć, jak Tolland użył noża - i ten jeden raz na długo mu wystarczył.

Skończyły się wyzwiska i bijatyka na pięści. Tolland bez ostrzeżenia rzucił się na przeciwnika, żeby swoją masą przygwoździć go do ziemi. Gentle się uchylił. Spojrzał w dół, na rysunki. Przypominały mu obrazy, które przepełniały mu głowę; smugi jasnych barw wtarte w szarość. Z tej szarości wyłaniało się wspomnienie bardzo podobnego miejsca: prowizoryczne miasto, brudne, niebezpieczne, gdzie ktoś dybał na jego życie - tak jak ten człowiek teraz próbował go zabić. Tylko że tamten niósł w głowie ogień, którym mógł go wypalić na popiół, a on był bezbronny.

Podniósł ręce. Były zakrwawione po tym, jak próbował otrzeć płynącą z nosa krew. Postanowił użyć prawej. Zacisnął pięść (tak jak czynił to wiele razy wcześniej), nabrał powietrza i - nie rozumiejąc, co robi - podniósł dłoń do ust.

Pneuma wystrzeliła, zanim Tolland zdążył uderzyć. Trafiła go w bark. Przewrócił się na ziemię i na dłuższą chwilę zaniemówił. Zdrową ręką sięgnął do rany i zamiast ryku z jego ust dobył się pisk. Nieliczni świadkowie, którzy czekali na śmierć Gentle'a, stali jak skamieniali. Później, kiedy opowiadali o całym wydarzeniu, każdy mówił co innego: jeden widział nóż, którego Gentle dobył, pchnął nim i ukrył z powrotem w mgnieniu oka; inny twierdził, że z jego ust wystrzelił pocisk. W każdy razie nikt nie wątpił, że zdarzyło się coś

niesamowitego. Cudotwórca pojawił się wśród nich i obalił tyrana, nie tknąwszy go palcem.

Tolland jednak nie zamierzał się poddać. Mimo że stracił gdzieś nóż (kiedy wypadł mu z ręki, Monday dyskretnie podniósł go z ziemi), miał jeszcze swoich ludzi. Wezwał ich do siebie.

- Widzieliście, co mi zrobił? - wrzasnął. - Na co czekacie, skurwysyny? Łapcie go! Łapcie chuja! Nikt mnie tak nie załatwi! Irish? Irish?! Gdzie jesteś, kutasie jeden? Niech mi ktoś pomoże!

Podeszła Carol, ale ją odepchnął.

- Gdzie Irish?

- Tu jestem.

- Złap drania. Irish ani drgnął.

- Słyszałeś? To była jakaś żydowska sztuczka! Sam widziałeś, nie? Pierdolona żydowska sztuczka!

- Widziałem - przyznał Irish.

- On to może zrobić jeszcze raz! Tobie też!

- Ja tam myślę, że on już nikomu nic nie robi.

- To skręć mu kark!

- Jak chcesz, sam to zrób. Ja go palcem nie ruszę.

Mimo znacznej masy i osłabienia raną Tolland błyskawicznie poderwał się na nogi. Rzucił się jak rozjuszony byk na swojego dawnego porucznika - ale zanim go dopadł, palce Gentle'a zacisnęły się na jego ramieniu. Zatrzymał się, a widzowie mieli okazję zobaczyć drugi tego dnia cud: na twarzy Tollanda odmalował się strach. Co do tego byli zgodni. Kiedy wieść rozeszła się po mieście - a rozeszła się w godzinę, błyskawicznie przenikając między kartonowymi miasteczkami, które znały Tollanda - to mimo późniejszych ozdobników jej zasadnicza treść się nie zmieniła. Tolland zaczął się pocić, a z jego rozdziawionych ust pociekła strużka śliny. Niektórzy twierdzili, że zlał się w spodnie i nasikał sobie do butów.

- Zostaw Irisha w spokoju - powiedział Gentle. - Albo nie, wszystkich nas zostaw w spokoju.

Tolland nie odpowiedział. Spojrzał tylko na dłoń, która go przytrzymywała, i zdawał się kurczyć w oczach. Nie z powodu rany tak spotulniał, nawet nie ze strachu przed ponownym atakiem; w przeszłości znacznie poważniejsze obrażenia zwykle tylko go rozwścieczały. Bał się dotyku Gentle'a, lekko opartej na ramieniu dłoni. Cofnął się, zerkając na boki, jakby szukał pomocy. Nikt - nawet Irish i Carol - nie chciał się do niego zbliżyć.

- Nie wyślizgasz się... - zagroził Tolland, gdy od Gentle'a dzieliło go już pięć kroków.

- Ja mam wszędzie przyjaciół! Zginiesz, fiucie, zobaczysz. Już ja się postaram.

Gentle odwrócił się do niego plecami i zaczął zbierać rozrzucone na ziemi kawałki kredy. Ten niewinny gest wyrażał więcej niż wszelkie groźby czy demonstracje siły - świadczył o całkowitej obojętności. Tolland patrzył chwilę na pochylonego Gentle'a, jakby zastanawiał się, czy warto zaatakować - a potem, rozważywszy wszystkie za i przeciw, obrócił się na pięcie i uciekł.

- Zwiął. - Monday przykucnął obok Gentle'a.

- Masz ich więcej? - zapytał intruz, pokazując mu zebrane w dłoń odłamki kredy.

- W tej chwili nie, ale to nie problem. Rysujesz?

Gentle wstał.

- Czasem.

- Kopiujesz, tak jak ja?

- Nie pamiętam.

- Nauczę cię, jak będziesz chciał.

- Nie. Będę kopiował z głowy. - Gentle spojrzał na trzymane w dłoni kawałki. - W ten sposób ją opróżnię.

- A farby by ci się nie przydały? - spytał Irish, widząc, jak Gentle wodzi wzrokiem po betonowej posadzce.

- Macie farbę?

- Ja i Carol możemy ci wszystko załatwić. Czego tylko sobie zażyczysz, Gentle.

- Przynieście mi... wszystkie kolory, jakie znajdziecie.

- Tylko tyle? A nie napiłbyś się czegoś?

Gentle nie odpowiedział, bez słowa podszedł do kolumny, do której na początku przygoździł go Tolland. Żółtą kredą zaczął rysować słońce.

2

Kiedy Jude się obudziła, dochodziło południe. Od powrotu Gentle'a do domu minęło co najmniej jedenaście godzin. Zabrał jajo, które zesłało jej wizję nirwany, i gdzieś sobie poszedł. Nie chciało jej się ruszać z łóżka; promienie słońca raziły w oczy.

Nawet gdy skrzyła ciepłą wodę do minimum i stanęła pod zimnym prysznicem, jakoś nie mogła się obudzić. Wytarła się z grubsza i naga przeszła do kuchni. Od podmuchu z

otwartego okna na jej ciele pojawiła się gęsia skórka. To jest przynajmniej jakaś oznaka życia, pomyślała. Drobną, bo drobną, ale zawsze. Wstawiła kawę i włączyła telewizor. Trochę poskakała po różnych programach, a potem zostawiła na byle którym, żeby bełkotał do wtóru bulgoczącego ekspresu, i zaczęła się ubierać. Szukała właśnie drugiego buta, gdy zadzwonił telefon. Ze słuchawki dobiegł zgiełk ruchu ulicznego, a po paru sekundach zapadła głucha cisza. Jude nie odchodziła od telefonu. Przyszło jej do głowy, że może Gentle usiłuje się z nią skontaktować. Pół minuty później zabrzmiał następny dzwonek. Tym razem dobiegł ją męski głos, chrapliwy i ledwie słyszalny.

- Chryste Panie...

- Kto mówi?

- Och, Judith... Boże mój... Boże... Judith? To ja, Oscar...

- Gdzie jesteś? - spytała.

Na pewno nie dzwonił z domu.

- ...nie żyją, Judith.

- Kto nie żyje?

- A teraz ja. Chce mnie.

- Nic nie rozumiem. Kto nie żyje?

- Pomóż mi... Musisz... mi pomóc... Nigdzie nie jest... bezpiecznie.

- W takim razie przyjedź do mnie.

- Nie... ty przyjedź tutaj...

- To znaczy gdzie?

- Do St Martin's-in-the-Field... Wiesz, gdzie to jest?

- A co ty tam robisz, do cholery?!

- Będę czekał w środku. Pospiesz się. Znajdź mnie. Na pewno mnie znajdzie.

*

Przy placu korek był straszny, jak zwykle koło południa. Wietrzyk, który przed godziną przyprawiał Jude o gęsią skórę, osłabł i nie miał szans rozproszyć ani gęstej mgły spalin, ani ponurych nastrojów kierowców. W kościele powietrze też stało bez ruchu, choć w porównaniu z wonią strachu bijącą od człowieka, który siedział nieopodal ołtarza, pachniało jak najczystszy ozon. Mężczyzna tak mocno zaciskał ręce, że knykcie mu zbiegały.

- Mówiłeś, że nie wyjdiesz z domu - przypomniała mu Jude.

- Coś po mnie przyszło - odparł Oscar. Ze strachu oczy wychodziły mu z orbit. - W nocy. Próbowano wejść, ale nie dało rady. W którymś momencie rano, w biały dzień, papugi zaczęły strasznie jazgotać, a potem tylne drzwi wyleciały z zawiasów.

- Widziałeś, co to było?

- Gdybym widział, pewnie byśmy już nie rozmawiali. Co to, to nie; po pierwszym razie byłem gotowy i jak tylko usłyszałem krzyk ptaków, popędziłem do drzwi frontowych. Zrobił się straszny hałas, światła pogasły... - Oscar z całej siły złapał Jude za ramię. - Co mam teraz zrobić? Wcześniej czy później mnie znajdzie. Pozostałych już zabiło...

- Kogo?

- Nie oglądasz telewizji? Oni wszyscy nie żyją! Lionel, Bloxham, McGann. Kobiety też. Shales zginął we własnym łóżku. Sam nie wiem... Jaki potwór mógł to zrobić?

- Dyskretny.

- Jak możesz żartować?!

- Ja żartuję, ty umierasz ze strachu. Radzimy sobie, jak umiemy - westchnęła Jude. - Stać cię na więcej, Oscarze. Nie możesz się wечно ukrywać. Czeka nas sporo pracy.

- Nie chcę więcej słyszeć o tej twojej cholernej bogini, Judith. To przegrana sprawa. Wieżowiec pewnie dawno się zawalił.

- Jeżeli ktoś może nam pomóc, to właśnie ona. Jestem tego pewna. Chodź ze mną. Kiedyś potrafiłeś być odważny. Co się z tobą stało?

- Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Przez tyle lat jeździłem do Yzordderrex i z powrotem i nigdy się nie przejmowałem, gdzie wtykam nos. Nie obchodziło mnie, ile ryzykuję; chciałem tylko, żeby ciągle działo się coś nowego. To był inny świat. Może i ja byłem inny.

- A co z tym światem?

- To jest Anglia - odparł zakłopotany. - Bezpieczna, deszczowa i nudna Anglia, w której nie umiejmy grać w krykieta i podają ciepłe piwo. Tu nie powinno mi nic grozić.

- Ale prawda wygląda inaczej, Oscarze, czy ci się to podoba, czy nie. Takiego mroku, jaki tu nadciąga, Yzordderrex nigdy nie poznało. A ten mrok cię wytropił. Nie uciekniesz przed nim. Dopadnie cię. Mnie pewnie też.

- Dlaczego?

- Może myśli, że jesteś w stanie mu zaszkodzić.

- Jak?! Ja nic nie wiem!

- Razem możemy się czegoś nauczyć. Przynajmniej nie umrzemy pogrążeni w niewiedzy.

ROZDZIAŁ 48

Mimo ponurych przepowiedni Oscara wieżowiec Tabula Rasa stał na swoim miejscu, bardziej chyba anonimowy niż zwykle, w blasku słońca, które grzało, jakby stało w zenicie, chociaż było dawno po trzeciej. Żar dawał się we znaki nawet drzewom oddzielającym gmach od ulicy, liście zwisały z gałęzi jak wymięte ścierki. Jeśli jakieś ptaki znalazły wśród nich schronienie, były zbyt zmęczone, żeby śpiewać.

- Kiedy ostatnio tu byłaś? - spytał Oscar, gdy zajechali na pusty dziedziniec.

Opowiedziała mu o niedawnym spotkaniu z Bloxhamem, podkreślając humorystyczny aspekt całej sytuacji. Miała nadzieję oderwać Oscara od czarnych myśli.

- Nigdy nie przepadałem za Bloxhamem - odparł. - Był taki cholernie zarozumiały. No, właściwie wszyscy byliśmy... - Zawiesił głos i z entuzjazmem skazańca, który wkracza na szafot, wysiadł z samochodu.

- Nie słyhać alarmu - zauważył, gdy podeszli do drzwi. - Jeżeli ktoś jest w środku, musi mieć klucz. - Wyjął z kieszeni pęk kluczy i wybrał jeden. - Czy to na pewno dobry pomysł?

- Na pewno.

Zrezygnowany - chociaż bynajmniej nie przekonany - otworzył drzwi i z wahaniem wszedł do środka. W foyer panował półmrok i orzeźwiający chłód.

- Którędy do piwnicy? - spytała.

- Chcesz od razu tam zejść? Nie powinniśmy sprawdzić, co się dzieje na górze? Przecież ktoś tu może być.

- Ktoś na pewno tu jest, Oscarze. W piwnicy. Jeżeli chcesz, idź rozejrzeć się po piętach, ale ja schodzę na dół. Im mniej czasu stracimy, tym szybciej stąd wyjdziemy.

Tym argumentem go przekonała. Posłusznie przejrzał pęk kluczy, wybrał właściwy i podszedł do najmniejszych, znajdujących się najdalej od wejścia drzwiczek w holu. Nie spieszył się, grzebiąc w kluczach; teraz jeszcze wolniej wkładał ten wybrany do dziurki i próbował przekręcić.

- Często zaglądałeś do piwnicy? - zapytała Jude, kiedy biedził się z zamkiem.

- Tylko dwa razy. To dość ponure miejsce.

- Wiem o tym - przypomniała mu.

- Mój ojciec chyba lubił się tam zapuszczać. Mamy regulamin, który zabrania samodzielnego buszowania po bibliotece, na wypadek gdyby księgi miały kogoś skusić. Ojciec miał ten przepis w nosie. Jest! - Udało mu się przekręcić klucz. - Jeden mamy z głowy - dodał, wyszukał następny klucz i zaczął grzebać przy drugim zamku.

- Mówił ci coś o tej piwnicy?

- Raz czy dwa tak... Wiedział o dominiach więcej, niż powinien. Podejrzewam, że znał nawet parę sztuk, chociaż pewności nie mam. Był ostrożny, skubaniec. Ale pod koniec życia, jak już zwariował, wygadywał różne rzeczy. Zapamiętałem nazwę Patashoqua. Cały czas ją powtarzał.

- Myślisz, że był w innych dominiach?

- Wątpię.

- Czyli sam wpadłeś na to, jak się tam dostać?

- Znalazłem tu kilka ksiąg i przemyciłem je do domu. Użycie kręgu nie jest trudne. Magia się nie starzeje. Jest chyba jedyną rzeczą... - Chrząknął i mocniej napał na klucz. - Jedyną, o której można to powiedzieć. - Klucz zaczął się obracać, ale wciąż stawiał opór. - Myślę, że podobałoby się papie w Patashoqua. Biedaczysko! Do końca życia pozostało dla niego pustym słowem.

- Po Pojednaniu wszystko się zmieni. Wiem, że dla niego to za późno...

- Wręcz przeciwnie. - Oscar skrzywił się z wysiłku. - Moja wiedza podpowiada mi, że zmarli są tak samo uwięzieni na Ziemi jak zwykli ludzie. Peccable twierdzi, że wszędzie słyszą głosy duchów. Gadają i gadają.

- Tutaj też?

- Zwłaszcza tutaj.

Zamek poddał się i otworzył.

- No proszę, zupełnie jakbym użył czarów.

- Cudownie. - Jude poklepała Oscara po plecach. - Jesteś genialny.

Uśmiechnął się do niej. Ponury, zrezygnowany człowiek, którego przed godziną znalazła w kościelnej ławie, ożywił się wyraźnie, odkąd miał czym zająć myśli i zapomniał o rzekomo niechybnym wyroku śmierci. Wyjął klucz i nacisnął klamkę. Drzwi, chociaż masywne i ciężkie, uchyliły się łatwo. Oscar pierwszy zanurzył się w mrok.

- O ile mnie pamięć nie myli, tu gdzieś jest włącznik. Nie? - Pomacał ścianę obok drzwi. - Aaa, tu cię mam!

Coś pstryknęło i piwnicę rozświetlił blask zawieszonych pod sufitem gołych żarówek. Pomieszczenie było rozległe, wyłożone boazerią i urządzone po spartańsku.

- Ta komnata to poza piwnicą jedyna część starego domu, która przetrwała do naszych czasów - wyjaśnił Oscar. Pośrodku pokoju stał okrągły dębowy stół, a przy nim osiem krzeseł. - Tu założyciele Tabula Rasa pewnie się spotkali po raz pierwszy. Spotykali się zresztą i później, do czasu aż dom został zburzony.

- To znaczy?

- Do końca lat dwudziestych.

- Czyli na jednym z tych krzeseł półtora wieku temu Godolphinowie sadzali swoje tyłki.

- Zgadza się.

- Wśród nich Joshua.

- Najprawdopodobniej.

- Ciekawe, ilu z nich znałam.

- Nie pamiętasz?

- Niestety nie. Ciągle czekam, aż mi pamięć wróci. Właściwie zastanawiam się, czy to w ogóle nastąpi.

- Może nie bez powodu wypierasz wspomnienia?

- Co masz na myśli? Są tak straszne, że nie mogę ich znieść? Bo byłam dziwką, krążyłam wokół stołu jak butelka portwajnu, przekazywana z rąk do rąk? Nie, nie sądzę, żeby o to chodziło. Nic nie pamiętam, bo nie żyłam prawdziwym życiem. Lunatykowałam. Nikt nie chciał mnie obudzić.

Spojrzała na Oscara wyzywająco, jakby prowokowała go, żeby zaczął bronić rodzinnych praw do jej osoby. Nic nie powiedział, naturalnie, tylko podszedł do szerokiego kominka, wygrzebując po drodze trzeci klucz z pęku. Schylił się i wszedł do środka. Słyszała, jak wkłada klucz do zamka i przekręca; szcęknęły zapadki, kółka zębate i przeciwwaga, potem rozległ się zgrzyt i otworzyły się sekretne drzwi. Oscar obejrzał się przez ramię.

- Idziesz? Uważaj, schody są strome.

Były nie tylko strome, ale i długie. Po pierwszych kilku stopniach światło przesączające się z pokoju z kominkiem przestało im wystarczać i szli po ciemku, zanim Oscar namacał włącznik na ścianie i blask zalał ciągnące się przed nimi korytarze. Jude poczuła dreszcz triumfu. Odkąd sen niebieskiego oka zaprowadził ją do więzienia Celestine, wiele razy odkładała na później pomysł znalezienia drogi do tego podziemnego świata. Teraz jednak udawała się tam, gdzie dotarła w wizji. Miała pokonać pełen księżek labirynt i znaleźć boginię.

- Od czasów biblioteki aleksandryjskiej nie było na świecie większego zbioru świętych

ksiąg - powiedział Oscar tonem kustosa muzealnego. Jude miała wrażenie, że próbuje w ten sposób zaprzeczyć wielkości chwili, którą przeżywali. - O istnieniu niektórych przechowywanych tu tomów nie wie nawet Watykan. - Zniżył głos, jakby nie chciał przeszkadzać innym ewentualnym gościom. - Na łożu śmierci papa zdradził mi, że znalazł tu księgę napisaną przez czwartego króla.

- Przez kogo?

- Do Betlejem przybyli trzej królowie, pamiętasz? W każdym razie tak twierdzą ewangelie. To nieprawda. Królów było czterech. Szukali Pojednawcy.

- To Chrystus był Pojednawcą?

- Tak twierdził papa.

- Wierzysz w to?

- Nie miał powodu kłamać.

- Chodzi mi o księgę, Oscarze. W niej mogły być kłamstwa.

- A w Biblii nie? Papa mówił, że czwarty król spisał swoją historię, bo wiedział, że wyrzucą go z ewangelii. To on wymyślił nazwę „Imajica”; w tej jego księdze pojawia się po raz pierwszy. Papa mówił mi, że rozplakał się, kiedy ją zobaczył.

Jude z nowym szacunkiem spojrzała w głąb rozpoczynającego się u stóp schodów labiryntu.

- Próbowaleś odszukać tę księgę?

- Nie musiałem. Po śmierci papy zacząłem szukać tego, o czym mówiła. Podróżowałem po dominiach tam i z powrotem, jak gdyby Christosowi się udało i Piąte Dominium zostało zjednoczone z Imajicą. I znalazłem liczne dwory Niewidzianego.

Właśnie, pozostał jeszcze najbardziej zagadkowy aktor w tym interdominialnym dramacie. Hapexamendios. Czy to, że Christos był Pojednawcą, czyniło Niewidzianego jego ojcem? Czy moc ukryta za mgłą strzegącą granic Pierwszego Dominium była mocą Najwyższego? A jeśli tak, to dlaczego Najwyższy zniszczył wszystkie boginie Imajiki, jak mówiły legendy? Jedno pytanie rodziło kolejne, a wszystkie brały się z kilku słów człowieka, który był świadkiem Narodzenia Pańskiego. Nie dziwota, że Roxborough pogrzebał te księgi żywcem.

- Wiesz, gdzie ukrywa się twoja tajemnicza kobieta? - spytał Oscar.

- Nie bardzo.

- No to czeka nas sporo pracy, jeśli mamy ją znaleźć.

- Pamiętam, że tuż przy jej celi kochała się dwójka ludzi. Bloxham i jakaś kobieta.

- A to świntuchy... Czy sugerujesz, że powinniśmy szukać plam na podłodze? W

każdym razie proponuję się rozdzielić, bo inaczej spędzimy tu całe lato.

Rozstali się przy schodach. Jude wkrótce odkryła, jak dziwnie niesie się głos w tunelach. Chwilami słyszała kroki Godolphina tak wyraźnie, jakby szedł tuż za nią. Potem skręcała w boczny korytarz (albo Oscar gdzieś się zatrzymywał) i odgłos kroków nie zanikał stopniowo, lecz cichł jak nożem uciął i słyszała tylko tupot własnych stóp. Na tę głębokość nie przenikał nawet najcichszy szmer z ulicy, nie dochodziły też żadne dźwięki zza ścian - ani buczenie kabli elektrycznych, ani plusk wody w rurach.

Kilka razy korciło ją, żeby ściągnąć którąś książkę z półki; może przy odrobinie szczęścia natrafiłaby na pamiętnik czwartego króla. Powstrzymywała się jednak. Nie miała czasu, żeby pogrzebać w bibliotece, w dodatku księgi spisano w językach wielkich teologów i filozofów - łacinie, grece, sanskrycie i po hebrajsku. Nie знаła żadnego z nich. Musiała zaufać instynktowi i liczyć na łut szczęścia, do czego zdążyła już przywyknąć. Do pomocy miała jedynie niebieskie oko, ale odkąd Gentle zabrał jej kamień, straciła i tego sprzymierzeńca. Gdy tylko się spotkają, zażąda zwrotu jaja. Da mu w zamian wszystko, czego zażąda - nawet loczek włosów łonowych, jeśli takie będzie miał życzenie. Ale odbierze mu jajo, zimne błękitne jajo.

Może właśnie takie myśli zaprowadziły ją do miejsca, w którym w sylwestra stali kochankowie. A może ten sam łut szczęścia, który miał jej wskazać pamiętnik czwartego króla. Jeśli tak, to szczęście jej nie zawiodło. Nie miała cienia wątpliwości, że tu właśnie Bloxham parzył się ze swoją kochanką. To były te same półki, o które opierała się kobieta, gdy żaloszny kochaś starał się ją zaspokoić. Pomiedzy stojącymi na nich książkami zaprawa miała lekko błękitnawy odcień.

Jude postanowiła nie wołać Oscara. Podeszła bliżej, zdjęła z półek kilka naręczy ksiąg i dotknęła niebieskim płam. Ściana była lodowata. Zaprawa kruszyła się pod palcami, jak gdyby pot Jude ją rozpuszczał. Zaskoczona odsunęła się i obserwowała błyskawicznie postępujący proces rozkładu. Zaprawa sypała się spomiędzy cegieł jak drobniuteńki piasek. W ułamku sekundy wąła strużka stała się rwącą rzeką.

- Jestem tutaj - powiedziała Jude, zwracając się do uwięzionej za ścianą kobiety. - Bóg mi świadkiem, że długo to trwało, ale nareszcie jestem.

*

Oscar nie słyszał jej słów; nie dotarło do niego nawet ich echo. Dwie, może trzy minuty wcześniej jego uwagę przykuł dobiegający z góry dźwięk, wszedł więc po schodach, żeby sprawdzić, co jest jego źródłem. W ostatnich dniach jego męskość została wystarczająco upokorzona, chował się w domu jak najgorszy tchórz. Myśl o tym, że może dzięki

konfrontacji z intruzem odzyska szacunek w oczach Jude, dodała mu sił. Uzbrojony w znalezione przy schodach kawał deski, miał właściwie nadzieję, że się nie przesłyszał i że na górze spotka jakiegoś prawdziwego przeciwnika. Dość już uciekania przed plotkami i chowania się po kątach przed obrazkami z fruującymi kamieniami. Jeżeli tu, na górze, było jakieś materialne zagrożenie, chciał stawić mu czoło. Wiedział, że albo wyda na siebie wyrok, albo wyleczy się z tchórzostwa.

U szczytu schodów się zawahał. Światło przesączone pod drzwiami z pokoju Roxborougha poruszało się delikatnie. Ujął prowizoryczną maczugę oburącz i wszedł do środka. Sala zdawała się kołysać w rytm huśtających się żarówek; masywny stół i ciężkie krzesła falowały mu w oczach. Nic nie czaiło się w cieniu, podszedł więc jak najciszej do drzwi foyer. Chybotliwe światło się uspokoiło. Wyszedł z pokoju. W jednej chwili poczuł słodki zapach w nozdrzach i przenikliwy ból w boku. Chciał się odwrócić, ale deska wypadła mu z rąk. Zdażył jeszcze krzyknąć...

*

- Oscar?

Nie chciała odchodzić od muru więzienia Celestine, który tak ochoczo się rozsypywał - cegły osuwały się jedna na drugą, gdy zabrakło łączącej je zaprawy, a półki trzeszczały, jakby lada chwila miały spaść ze ściany - ale nie mogła zignorować krzyku Oscara. Wróciła przez labirynt do schodów, chociaż dudniący echem odgłos kruszącej się ściany nie pozwalał się jej skupić. W końcu jednak znalazła drzwi. Cały czas nawoływała Oscara, a kiedy nie odpowiedział z biblioteki, postanowiła wejść na górę, do sali spotkań. Tam też było cicho i pusto - podobnie zresztą jak w foyer, gdzie jedynym śladem obecności Oscara była porzucona przy drzwiach deska. Co on znowu wykombinował? Wyszła na zewnątrz, żeby sprawdzić, czy nie wrócił po coś do samochodu, ale nigdzie go nie znalazła. W takim razie została jej tylko jedna możliwość. Oscar musiał pójść gdzieś na górę.

Poirytowana, ale i zaniepokojona zerknęła w stronę otwartych drzwi do piwnicy. Stała chwilę w miejscu, rozdarta między pragnieniem powitania Celestine i odszukania Oscara na piętrach wieżowca. Tłumaczyła sobie, że Oscar nie jest ułomkiem i potrafi się w razie czego obronić, nie mogła jednak pozbyć się poczucia, że w jakimś sensie jest za niego odpowiedzialna. Namówiła go, żeby tu przyjechali.

Jedne z drzwi wyglądały tak, jakby za nimi znajdowała się winda. Jude usłyszała buczenie silnika. Cofnęła się na schody i zaczęła wchodzić na górę. Na klatce schodowej panował mrok. Przeskakiwała po trzy, cztery stopnie, aż dotarła do drzwi na ostatnim piętrze. Sięgnęła ręką do klamki, gdy zza drzwi dobiegł ją czyjś głos. Nie mogła rozróżnić słów,

choć brzmiał elegancko, nieco ostro. Czyżby jednak ktoś z Tabula Rasa ocalał? Może Bloxham, piwniczny Casanova?

Otworzyła drzwi. W środku było tylko trochę jaśniej, chociaż wszystkie pokoje, do których wchodziło się z korytarza, miały pozaciągane zasłony. Głos zaprowadził ją w końcu do uchylonych drzwi, za którymi paliło się światło. Ostrożnie podeszła bliżej. Gruby dywan skutecznie tłumił jej kroki. Nawet kiedy głos na chwilę ucichł, nie zatrzymała się. Uznała, że nie ma sensu dłużej czekać. Pchnęła drzwi.

Na środku pokoju znajdował się stół, a na nim leżał Oscar w podwójnej kałuży - krwi i światła. Nie krzyknęła, nie zrobiło się jej nawet niedobrze, chociaż miał rozprutą całą pierś, jak pacjent w trakcie operacji. Żył jeszcze. Widziała jego serce, które miotano się w piersi jak ryba w zbiorniku z krwią.

Obok leżał skalpel.

- Nareszcie jesteś - odezwał się chirurg, który do tej pory stał z boku, w cieniu. - Podejdź bliżej. To tylko ja, kochaniutka.

- Dowd...

- Ach, więc mnie pamiętasz! Jakie to miłe, prawda? Nie, wcale nie.

Nie wyzbył się teatralnych nawyków, chociaż melodyjna słodycz zniknęła z jego głosu. Przypominał własną karykaturę, wyglądał, jakby ktoś porzwał mu całą twarz tasakiem.

- Dołącz do nas, kochaniutka. Jedziemy przecież na jednym wózku.

Była oszołomiona jego widokiem (a Oscar ostrzegł ją, że istoty w rodzaju Dowda bardzo trudno zabić!), lecz nie czuła lęku.

Znała na wylot jego sztuczki i gierki. I widziała, jak zawieszony nad przepaścią błagał o życie. Teraz wydał się jej załosny.

- Ach, byłbym zapomniał... na twoim miejscu nie ruszałbym Godolphina - powiedział, gdy podeszła do stołu. - Jego życie wisi na włosku. Jeśli go poruszysz, słowo daję, bebechy wypadną mu z brzucha. Dlatego radzę go zostawić w spokoju i cieszyć się chwilą.

- Cieszyć się? - spytała, dając upust swojemu obrzydzeniu, chociaż zdawała sobie sprawę, że to właśnie chciał usłyszeć.

- Nie tak głośno, maleńka. - Dowd się skrzywił. - Obudzisz dzidziusia - zachichotał. - W porównaniu z nami jest naprawdę dzieckiem. Takie krótkie życie...

- Dlaczego to zrobiłeś?

- Od czego powinienem zacząć? Od najmniej istotnych powodów? Nie, od najważniejszego. Zrobiłem to, żeby się uwolnić. - Dowd nachylił się do Jude. W blasku wiszącej u góry lampy jego twarz wyglądała jak puzzle ze światła i cienia. - Kiedy wyzionie

ducha, kochaniutka, a to się stanie już niedługo, wygaśnie ród Godolphinów. Nie będziemy już niczymi niewolnikami.

- W Yzordderrex byłeś wolny.

- Nie. Miałem tylko długą smycz. Czułem jego pragnienia, wiedziałem, kiedy cierpi. Jakaś cząstka mnie szeptała mi do ucha, że powinienem być przy nim, w domu, robić herbatę i wycierać mu stopy. W głębi serca cały czas byłem jego niewolnikiem! To zakrawa na cud, jak długo ten facet trzyma się przy życiu. - Spojrzał na umierającego Oscara i sięgnął po skalpel.

- Zostaw go! - warknęła.

Dowd, o dziwo, nie zaprotestował. Odsunął się natychmiast.

Pochyliła się nad Oscarem. Mięśnie twarzy drgały mu nerwowo, podobnie jak zbielełe wargi. Bała się go dotknąć, żeby nie przysporzyć udręczonego organizmu o kolejny wstrząs, który mógłby okazać się śmiertelny.

- Oscar? Słyszysz mnie, Oscarze?

- Myśl o sobie, kochaniutka - mruknął Dowd. - Czemu tak się nad nim rozczulasz? Zapomniałaś, jak cię wykorzystał? Jak cię zniewolił?

Nachyliła się jeszcze bardziej i powtórzyła jego imię.

- Nigdy nie kochał ani ciebie, ani mnie - ciągnął Dowd. - Byliśmy dla niego niewolnikami, inwentarzem. Częścią...

Oscar zamrugał i otworzył oczy.

- ...spadku - dokończył Dowd prawie niesłyszalnie. Wycofał się w półmrok.

Białe wargi Oscara ułożyły się w imię Judith, choć nie towarzyszył temu żaden dźwięk.

- Mój Boże... - szepnęła. - Słyszysz mnie? Chcę, żebyś wiedział, że twoje cierpienie nie poszło na marne. Znalazłam ją. Rozumiesz? Znalazłam ją.

Oscar lekko skinął głową, a potem ostrożnie oblizał wargi i wykrztusił:

- To nieprawda...

Zrozumiała słowa, ale ich sens jej się wymykał.

- Co jest nieprawdą?

Jeszcze raz przesunął językiem po ustach. Wykrzywił twarz w grymasie bólu. Tym razem wypowiedział tylko jedno słowo:

- ...spadek...

- Nie byłam spadkiem? Wiem o tym.

Wtedy uśmiechnął się ledwie widocznym uśmiechem. Powiódł wzrokiem po jej

twarzy - od czoła, przez policzki, po usta, na koniec spojrzał jej w oczy. Nie unikała jego spojrzenia.

- Kochałem... cię...

- O tym też wiedziałam - odparła szeptem.

Oczy mu się zamglily, serce przestało bić, twarz się rozluźniła. Ostatni z Godolphinów zmarł na marmurowym stole Tabula Rasa.

Jude wyprostowała się, nie odrywając od niego wzroku, chociaż nie był to miły widok. Gdyby kiedyś korciło mnie, żeby wdać się w romans z siłami mroku, niech ten widok będzie przestrogą, pomyślała. W całej scenie nie było cienia poezji ani szlachetności. Tylko zniszczenie.

- No i już - stwierdził Dowd. - Zabawne, wcale nie czuję się inaczej. To wymaga czasu. Wolności trzeba się nauczyć tak samo jak wszystkiego innego.

Jude słyszała skrzętnie skrywaną rozpacz w jego głosie. Dowd cierpiał.

- Muszę ci coś jeszcze powiedzieć - dodał.

- Nie chcę cię słuchać.

- Zaczekaj, kochaniutka. Chcę, żebyś wiedziała... On zrobił mi dokładnie to samo, tu, na tym stole. Wypatroszył mnie na oczach całego Stowarzyszenia. Może to brzydko żywić pragnienie zemsty, ale przecież jestem tylko nędznym aktorzyną... Co ja mogę?

- I za to ich wszystkich zabiłeś?

- Kogo?

- Członków Stowarzyszenia.

- Jeszcze nie. Ale dopadnę ich, w imieniu nas obojga.

- Spóźniłeś się. Nie żyją.

Tym razem Dowd umilkł na długą chwilę, a kiedy znów się odezwał, jego gadanina brzmiała równie pusto jak cisza, którą usiłował wypełnić.

- Wszystko przez tę cholerną czystkę, wiesz? Narobili sobie wrogów. W najbliższych dniach z ukrycia wyleżą całe zastępy pomniejszych maistrów. Nielicha okazja się nam szykuje, prawda? Ja zamierzam się zalać w trupa, a ty? Jak uczcisz rocznicę? Sama? Z przyjaciółmi? Właśnie, ta kobieta, którą znalazłaś... Lubi się zabawić?

Jude przekłęła się w duchu za niedyskrecję.

- Kim właściwie jest? - dopytywał się Dowd. - Nie mów mi, że Clara miała siostrę - zaśmiał się. - Przepraszam, nie powinienem się śmiać, ale chyba sama widziałas, że kompletnie ześwirowała. Nie rozumiała cię. Tylko ja cię rozumiem, kochaniutka, bo...

- ...jesteśmy tacy sami.

- Właśnie! I nie jesteśmy już niczyją własnością. Jesteśmy sobą. Robimy, co chcemy, kiedy chcemy i w dupie mamy ewentualne konsekwencje.

- To ma być wolność? - Jude spojrzała mu prosto w twarz.

- Tylko mi nie mów, że jej nie chcesz. Nie każę ci mnie za to kochać. Nie jestem aż takim głupcem, ale mogłabyś chociaż przyznać, że sprawiedliwości stało się zadość.

- Dlaczego nie zamordowałeś go dawno temu, w domu, w łóżku?

- Byłem za słaby. Wiem, wiem, w tej chwili też nie jestem okazem siły i zdrowia, ale od naszego ostatniego spotkania bardzo się zmieniłem. Mieszkałem przez jakiś czas z umarłymi. To bardzo... kształcące doświadczenie. Kiedy byłem tam na dole, zaczął padać deszcz. A właściwie grad, kochaniutka, bardzo twardy grad. Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Chcesz zobaczyć, jak wyglądał?

Dowd podciągnął rękaw i wystawił rękę do światła. Jude zaczynała rozumieć, dlaczego wyglądał tak makabrycznie: całe przedramię - zapewne całe ciało - przypominało patchwork; skóra nie zasklepiła się jeszcze na ranach, w których tkwiły kawałki kamienia. Od razu rozpoznała charakterystyczną poświatę, która udzielała się całemu jego ciału. Deszcz, który zląpał go w studni, był deszczem odłamków Osi.

- Wiesz, co to jest, prawda?

Denerwowała ją łatwość, z jaką czytał w jej twarzy, ale nie było sensu mu zaprzeczać.

- Tak - przyznała. - Byłam w Wieży Osi, kiedy zaczęła się walić.

- Dar od Boga, co? Oczywiście wolniej się poruszam, odkąd noszę w sobie tyle kamienia, ale od dziś nie będę już chłopcem na posyłki, więc nie przeszkadza mi, że przejście przez pokój zajmie mi pół godziny. Mam za to moc, kochaniutka. Moc, którą mógłbym się podzielić... - Cofnął rękę. - Co to było?

Gdzieś z dołu dobiegł odległy grzmot.

- Co robiłaś w piwnicy? Mam nadzieję, że nie przyszło ci do głowy zniszczyć bibliotekę, tę frajdę rezerwuję dla siebie. A zresztą... Będę miał jeszcze nieraz okazję zabawić się w barbarzyńcę. Takie mamy czasy, nie uważasz?

Jude myślami była już przy Celestine. Dowd mógł ją skrzywdzić. Musiała wrócić i ostrzec boginię, może wymyślić jakiś sposób obrony. Ale na razie postanowiła podjąć grę.

- Dokąd stąd pójdziesz? - zapytała, siląc się na niedbały ton.

- Chyba wrócę na Regent's Park Road. Moglibyśmy spać razem w łóżku naszego pana. Co ja gadam! Nie myśl, że chodzi mi o twoje ciało. Wiem, że cały świat wariuje na twoim punkcie, ale po dwustuletnim celibacie popęd seksualny gdzieś mi się zapodział. Moglibyśmy żyć jak brat i siostra. Co ty na to?

- Nie. - Jude z trudem powstrzymała się, żeby nie napluć mu ze wstrętem w twarz.

- To co, zaczekasz na mnie na dole? Muszę tu jeszcze coś załatwić. Sama rozumiesz, rytuał to rytuał.

- Jak chcesz.

Zostawiła go, żeby odprawił swoją ceremonię pożegnalną, i wyszła. Dudnienie ustało, ale pędziła po schodach jak na skrzydłach. Wiedziała, że cela stoi otworem, że za chwilę zobaczy boginię i - co najważniejsze - bogini zobaczy ją. Dowd miał w pewnym sensie rację; śmierć Oscara uwolniła ją od klątwy, która towarzyszyła jej od chwili stworzenia. Teraz mogła się ujawnić.

W domu Roxborougha i na schodach do piwnicy wyczuwała zmianę, która zaszła podczas jej nieobecności. Nie musiała szukać drogi. Powietrze było przesycone energią, która płynęła wezbraną falą, niosąc ją prosto do źródła. Znalazła się pod celą - ściana zmieniła się w sięgającą pod sufit stertę gruzu, a rozpad wciąż postępował. Kolejne cegły leciały na ziemię, zaprawa kruszyła się jak piach. Jude wdrapała się na górę odłamków i zajrzała do celi. Kiedy oczy przywykły jej do ciemności, dostrzegła leżące na ziemi zmumifikowane ciało.

Nie poruszało się. Podeszła i zaczęła zdierać cieniutkie nici, którymi Roxborough lub jego wysłannicy spętali Celestine. Nie mogła zerwać ich palcami, więc brała je w zęby i przegryzała. Miały gorzki smak, ale kiedy pierwsza nić pękła, z następnymi poszło już łatwiej. Przez ciało przebiegł dreszcz, jak gdyby uwięziona kobieta oczekiwała wyzwolenia. Podobnie jak w wypadku rozpadającego się muru, tutaj również rozkład postępował lawinowo. Wystarczyło przerwanie pierwszych kilku włókien, a reszta z własnej woli napinała się i pękała, zwłaszcza gdy ciało zaczęło się ruszać. Jude odsunęła się na bezpieczną odległość, kiedy jedna z nici cięła ją boleśnie w policzek. Pozrywane włókna zakreślały krzywe w powietrzu, połyskując na końcach.

Ciało Celestine drżało konwulsyjnie, ożywiane gwałtownymi ruchami nici, które - jak zdała sobie sprawę Jude - nie miały się na oślep, lecz wyciągały we wszystkich kierunkach, sięgały do sufitu, do ścian. Wiedząc, jak przykry może być kontakt z nimi, postanowiła wycofać się na korytarz. Wdrapała się na górę cegieł i wyczołgała przez tę samą dziurę, którą weszła do środka.

- Co ty wyrabiasz, kochaniutka? - dobiegł ją skądś głos Dowda.

Szczerze mówiąc, sama nie bardzo wiedziała, co robi. Zainicjowała wprawdzie proces uwolnienia Celestine, ale szybko straciła nad nim panowanie. Więzy same się rozplątywały. Czy poruszała je moc Celestine, czy wpleciony w nie rozkaz Roxborougha, żeby unicestwić każdego, kto próbowałby uwolnić więźnia? Były nieokiełznane. Jedne szarpały mur przy

krawędzi otworu, inne - dziwnie elastyczne i ruchliwe - węszyły ponad górą gruzu, roztrzaskując cegły i książki.

- Mój Boże! - szepnął Dowd.

Stał w korytarzu parę metrów za plecami Jude. W jednej ręce ścisnął skalpel, w drugiej zakrwawioną chusteczkę. Dopiero teraz ujrzała całą jego postać i mogła docenić brzemień ciężących mu odłamków Osi. Wyglądał potwornie niezgrabnie, miał nierówne ramiona i lewą nogę skrzywoną do wewnątrz, jakby złamana kość źle się zrosła.

- Co tam jest? - spytał i podkuśtykał bliżej. - Twoja przyjaciółka?

- Radzę ci, nie podchodź za blisko.

- Czy Roxborough kogoś tam uwięził? - mówił dalej Dowd, jakby nie słyszał ostrzeżenia. - Popatrz tylko! To jakieś monstrum z In Ovo!

- Nie.

- A co? Godolphin nigdy mi o czymś takim nie wspomniał.

- Bo nie wiedział.

- A ty wiedziałas? - Zerknął na Jude z ukosa. - Jestem pod wrażeniem. Oboje mamy jakieś tajemnice.

Nagle jedna z nici uniosła się ponad gruzem i Dowd odskoczył odruchowo. Uniósł chusteczkę. Wypadł z niej kawałek ciała Oscara - jakiś strzęp wnętrzości, który chciał zachować na pamiątkę.

Jude jęknęła z odrazą. Kiedy Dowd schylił się, żeby podnieść krwawy ochłap, wybuchnęła gniewem.

- Ty gnoju! - krzyknęła i rzuciła się na niego, splótłszy dłonie nad głową.

Dowd, ociężały od wbitych w skórę kamieni, nie zdążył się uchylić. Trafiła go w kark, co zapewne bardziej zabolalo ją niż jego, ale stracił równowagę. Przewrócił się ciężko na ziemię i legł z rozrzuconymi ramionami.

- Ty głupia krowo! - wrzasnął, rozwścieczony tym poniżeniem. - Głupia, sentymentalna krowo! Weź go sobie! Weź, jeśli tak ci na nim zależy.

- Nie chcę go.

- Będę nalegał. To mój prezent dla ciebie. Od brata dla siostry.

- Nie jestem twoją siostrą! Nigdy nią nie byłam i nigdy nie będę.

Z ust Dowda zaczęły wypelzać pajaki. Dzięki mocy, która ze skóry przenikała w głąb jego ciała, były ogromne jak karaluchy. Jude nie miała pojęcia, czy Dowd chce ją zniszczyć, czy tylko bronić się przed stworzeniem zza ściany, ale na wszelki wypadek zrobiła krok do tyłu.

- Wybaczę ci to - stwierdził wspaniałomyślnie. - Wiem, że jesteś rozdrażniona. Pomóż mi wstać. - Wyciągnął do niej rękę. - Przepraszam, a o wszystkim zapomnę.

- Nienawidzę cię - odparła.

Mimo zagrożenia ze strony pajaków to nie odwaga, lecz instynkt samozachowawczy podpowiedział jej te słowa. W miejscu, gdzie płynęła taka moc, wolą powiedzieć prawdę, niż uciec się do dyplomatycznego kłamstwa.

Dowd zaczął podnosić się z ziemi. Jude tymczasem schyliła się po ostatnie szczątki Oscara. Kiedy się wyprostowała, kątem oka dostrzegła jakiś ruch. W ciemnej celi majaczył błądy kształt, zaokrąglony i łagodny w głębi poszarpanego otworu. Celestine szybowiała w powietrzu, a raczej unosiła się (tak jak kiedyś Quaisoir) wsparta na mackach wyrastających z jej ciała. Włókna z kokonu otulały ją jak postrzępiony płaszcz, a wokół głowy tworzyły żywy kaptur. Wyzierająca spod niego twarz miała delikatne, lecz poważne rysy; kiedyś zapewne była piękna, teraz szpecił ją obłęd.

Gramolący się z podłogi Dowd zobaczył bladego ducha. Nogi ugięły się pod nim i upadł na twarz. Z ust, w których kłębiły się pajaki, dobiegło jedno słowo:

- Celestine?

Celestine oparła się o cegły, które od stuleci ją więziły. Lekko je musnęła, ale to wystarczyło, żeby - jakby uciekając przed jej dotykiem - posypały się ze ściany. Teraz miała już dość miejsca, by wyjść z celi. Zatrzymała się jednak. Mrugała nerwowo, a jej wargi drżały, odsłaniając zęby, jakby szykowała się do przekazania jakiegoś makabrycznego objawienia. Odpowiedziała też jednym słowem:

- Dowd.

- Tak... - wyszeptał Dowd. - To ja.

Czasem jednak mówił prawdę, pomyślała Jude. Celestine znała go, a on znał ją.

- Kto ci to zrobił? - odezwał się.

- Czemu mnie o to pytasz? Przecież brałeś udział w tym spisku. - W głosie Celestine szaleństwo mieszało się z opanowaniem w podobny sposób, jak w jej ciele. W łagodnym tonie brzmiało jakieś chaotyczne trzepotanie, jakby równocześnie próbowały przemawiać dwie różne osoby.

- O niczym nie wiedziałem, przysięgam! - Dowd przekrzywił ociężałą głowę i spojrzał błagalnie na Jude. - Powiedz jej - poprosił.

Celestine przeniosła wzrok na Jude.

- Kim jesteś? - spytała. - Czy też knułeś przeciwko mnie?

- Nie. Przyszłam cię uwolnić.

- Sama się uwolniłam.
- Ode mnie wszystko się zaczęło.
- Podejdź tu. Niech ci się lepiej przyjrzę.

Jude zawahała się. Musiałaby zbliżyć się do Dowda, a w jego ustach wciąż roily się pająki. Dopiero kiedy rozkaz został powtórzony, posłuchała. Celestine podniosła głowę i pokręciła nią na boki, jakby chciała rozruszać zastałe mięśnie.

- Jesteś kobietą Roxborougha? - spytała.
- Nie.
- To dobrze. Czyją w takim razie? Do którego z nich należysz?
- Do nikogo nie należę. Oni nie żyją.
- Roxborough też?
- Zmarł dwieście lat temu.

Wreszcie oczy Celestine znieruchomiały - i stały się przez to jeszcze bardziej niepokojące. Taki wzrok mógł topić stal jak masło.

- Dwieście lat - powtórzyła. Nie zabrzmiało to jak pytanie, raczej jak oskarżenie. I to pod adresem Dowda. - Dlaczego po mnie nie przyszedłeś?

- Myślałem, że nie żyjesz.

- Nie żyję? O nie, to byłoby zbyt proste. Urodziłam dziecko, wychowywałam je nawet przez jakiś czas. Wiedziałeś o tym.

- Niby skąd miałem wiedzieć? To nie była moja sprawa.

- Stałam się twoją sprawą w dniu, kiedy wyrwałeś mnie z mojego życia i oddałeś Bogu. Nie prosiłam o to. Nie chciałam...

- Byłem tylko sługą.

- Chyba raczej psem. Kto teraz trzyma twoją smycz? Ta kobieta?

- Nikomu nie służę.

- To dobrze. Możesz służyć mnie.

- Nie ufaj mu - wtrąciła Jude.

- A komu, twoim zdaniem, powinnam ufać? - odpowiedziała pytaniem Celestine, nie racząc na nią spojrzeć. - Tobie? Chyba nie. Masz krew na rękach i śmierdzisz spermą.

Te słowa były tak pełne odrazy, że Jude nie zdołała powściągnąć języka.

- Gdyby nie ja, wciąż spałabyś za tą ścianą - wypaliła.

- Powiedzmy, że okażę ci wdzięczność, pozwalając ci stąd odejść. Moje towarzystwo i tak szybko by ci się znudziło.

W to akurat Jude była skłonna uwierzyć. Czekala na to spotkanie od miesięcy, ale nie

doznała żadnego objawienia. Poznała tylko szaleństwo i lodowaty gniew Celestine.

Dowd wstał wreszcie, a wtedy jedna z macek wynurzyła się z cienia i sięgnęła w jego stronę. Nie protestował. Przybrał podejrzanie pokorną pozę. Nie dość, że nie próbował uciekać, to jeszcze podał Celestine złożone ręce do skrępowania. Macka oplótła jego nadgarstki, zacisnęła się i szarpnęła, żeby podciągnąć go na kopiec cegieł.

- Uważaj - ostrzegła Jude boginię. - Jest silniejszy, niżby się mogło wydawać.

- To kradziona siła - odparła Celestine. - Tak jak wszystkie sztuczki, maniery, moc; Dowd nie ma nic własnego, bo Dowd jest aktorem. Prawda?

Skinął głową, jakby w pełni się z nią zgadzał, ale w tej samej chwili zapał się mocno o gruz i nie dał się dalej pociągnąć. Jude próbowała jeszcze raz ostrzec Celestine, lecz nie zdążyła, Dowd zacisnął dłonie na macce i mocno szarpnął. Zaskoczona Celestine poleciała do przodu, na krawędź prowadzącego do celi otworu. Zanim zdążyła się zaprzeć innymi mackami, Dowd podniósł ręce nad głowę i niedbałym ruchem zerwał cielesne włókno, którymi go spętała. Celestine zaskowyczała z bólu i cofnęła się w głąb wyrwy, wlokąc za sobą oberwaną mackę. Dowd nie zwlekał, rzucił się za nią w pościg.

- Nie jestem twoim niewolnikiem! - krzyczał. - Nie jestem psem! A ty nie jesteś żadną boginią, suko jedna!

Z rykiem wpadł do celi. Jude odważyła się podejść bliżej, ale oboje zniknęli w ciemności i nie mogła śledzić przebiegu walki. Słyszała jednak bolesne syczenie, łoskot ciał uderzających o mur. Ściany drżały, w całym korytarzu książki spadały z półek, luźne kartki i broszury fruwały w powietrzu, miotane płynącą wszędzie mocą jak ptaki huraganem. Najcięższe tomy spadały na ziemię z przetraconymi grzbietami.

Nagle wszystko się uspokoiło. Dopiero po chwili rozległ się jęk i nad gruzem pojawiła się dłoń, sięgnęła do krawędzi otworu. Dowd podciągnął się, zatoczył i wynurzył z półmroku. Drugą ręką trzymał się za twarz. Mimo że tkwiące w jego skórze odłamki miały wielką moc, cały organizm był bardzo słaby. Celestine wykorzystała tę słabość z wprawą doświadczonego wojownika. Połowę twarzy miał Dowd obdartą do kości, a resztę ciała zmasakrowaną bardziej niż zwłoki, które zostawił na górze. W brzuchu ziała mu wielka dziura, ręce i nogi były pogruchotane.

Upadł, zanim wydostał się na zewnątrz. Nie próbował wstać - zapewne nie byłby do tego zdolny - lecz czołgał się po gruzie jak ślepiec, wymacując drogę przed sobą. Szlochał i pojękiwał z bólu. Ucieczka szybko wyczerpywała resztki jego sił. Osunął się na podłogę, upadł twarzą na ziemię wśród drgających jeszcze książek.

Jude policzyła do dziesięciu, nie odrywając od niego wzroku, a potem ruszyła w stronę

celi. Znalazłszy się dwa metry od zwłok Dowda, dostrzegła jakiś ruch i zamarła. W jego ciele wciąż tliło się życie - chociaż nie jego własne. Pająki wybiegały z jego otwartych ust niczym pchły, które uciekają ze stygnącego żywiciela. Wyłaziły też nosem i uszami i choć pozbawione kierującej nimi woli były zapewne nieszkodliwe, nie zamierzała tego sprawdzać na sobie. Obeszła je szerokim łukiem i wdrapała się po gruzie na skraj kryjówki Celestine.

Zalegającą w niej ciemność potęgowały unoszące się w powietrzu tumany kurzu, pozostałe po starciu tytanicznych sił. Jude dostrzegła jednak Celestine, która leżała przechylona pod przeciwległą ścianą. Na udzie, barku i z boku tułowia w bladej skórze ziały otwarte, przypalone rany. Najwyraźniej duch Roxborougha, opętanego wizją oczyszczenia świata, wciąż błąkał się po wieżowcu; w ciągu godziny Jude była świadkiem klęski trzech istot, które mu się sprzeciwiały - jednej na górze i dwóch w piwnicy. Wyglądało na to, że Celestine, którą sam uwięził, najmniej ucierpiała. Była ranna, ale zwróciła ku Jude ogniste spojrzenie.

- Przyszedłeś się ze mnie naigrawać? - spytała.

- Próbowałam cię ostrzec - odparła Jude. - Nie chcę mieć w tobie wroga, Celestine. Chciałabym ci pomóc.

- Kto ci kazał to zrobić?

- Nikt. Dlaczego zakładasz, że wszyscy na tym świecie to niewolnicy, dziwki albo psy, do cholery?

- Bo to prawda.

- Świat się zmienił, Celestine.

- Naprawdę? To znaczy, że ludzie wymarli?

- Niewolnictwo nie leży w naturze ludzkiej.

- Co ty o tym wiesz? Niewiele wyczuwam w tobie z człowieka. Jesteś uzurpatorką, prawda? Dziełem maestra.

Takie słowa musiały zabołeć bez względu na to, kto je wypowiadał, ale Jude je usłyszała z ust kobiety, którą traktowała jak ucieleśnienie nadziei, i to było najgorsze. Tak bardzo się starała być czymś więcej niż kopią, falsyfikatem wyhodowanym w stworzonym przez człowieka łonie, tymczasem te parę słów pozbawiło ją złudzeń.

- Nawet nie jesteś istotą naturalną - dodała Celestine.

- Ty też nie.

- Przynajmniej kiedyś nią byłam. To mi daje siłę.

- Czerp siłę, skąd chcesz, ale faktów nie zmienisz. Żadna zwyczajna kobieta nie przeżyłaby dwustu lat.

- Żądza zemsty trzymała mnie przy życiu.
- Zemsty na Roxboroughu?
- Na wszystkich. Poza jednym.
- Poza kim?
- Poza maestrem... Maestrem Sartorim.
- Znałaś go?
- Zbyt słabo.

Jude wiedziała, że może ją pocieszyć. Mimo okrucieństwa Celestine nie zamierzała bardziej jej przygnębiać.

- Sartori żyje - powiedziała.

Celestine, która odwróciła się do ściany, znów spojrzała na nią.

- Jak to? Żyje?
- Jeśli chcesz, przyprowadzę go do ciebie.
- Naprawdę mogłabyś to zrobić?
- Tak.
- Jesteś jego kochanką?
- Niezupełnie.
- Gdzie on jest? Gdzieś w pobliżu?
- Nie wiem dokładnie. Na pewno jest w mieście.
- Dobrze, przyprowadź go. Bardzo cię proszę. - Celestine oparła się o ścianę i usiadła wygodniej. - Nie wie, kim jestem, ale ja go znam.
- Co mu mam powiedzieć, że do kogo go zabieram?
- Zapytaj... Zapytaj, czy pamięta Nisi Nirvanę.
- Kogo?
- Powtórz mu moje słowa.
- Nisi Nirvanę?
- Tak.

Jude wstała i podeszła do wyrwy w ścianie. Miała już przestąpić jej krawędź, gdy Celestine zapytała:

- Jak masz na imię?
- Judith.

- Nie dość, że śmierdzisz spermą, Judith, to jeszcze ściskasz w dłoni kawałek świeżego mięsa. Niepotrzebnie. Wyrzuć go.

Wstrząśnięta Jude spojrzała na swoją dłoń. Strzęp jelita zwisał jej z zaciśniętej pięści.

Cisnęła go na podłogę.

- Jesteś zaskoczona, że wzięłam cię za dziwkę? - spytała Celestine.

- Obie popełniłyśmy błąd - odparła Jude. - Myślałam, że jesteś moim zbawieniem.

- Myliłaś się bardziej niż ja.

Po tej ostatniej porcji pogardy Jude wyszła z celi. Pająki kręciły się bez celu po piwnicy, szukając nowego właściciela. Ciało, z którego wyszły, zniknęło. Nie zdziwiła się zbytnio - Dowd do ostatka pozostał aktorem. Zamierzał w nieskończoność odwlekać pożegnanie; liczył na to, że w ostatnim akcie, zanim spadnie kurtyna, znajdzie się na środku sceny, w centrum uwagi. Nadzieja ta wydała się Jude płonna, jeśli wziąć pod uwagę, z kim przyszło mu grać. Nie zamierzała jej z nim dzielić. Im lepiej rozumiała rozgrywający się wokół niej dramat, osnuty na motywach opowieści o Christosie Pojednawcy, tym mniejszą miała ochotę brać w nim udział. Tak jak dla czwartego króla, odsuniętego od cudu Narodzenia, dla niej też miało zabraknąć miejsca w przyszłej ewangelii. Poznawszy zaś żalosne losy jego testamentu, nie zamierzała spisywać własnego.

ROZDZIAŁ 49

1

Clem uporał się z przewidzianymi na tę noc obowiązkami. Wyszedł z domu o siódmej wieczór. Zajmowało go to co zwykle: wyszukiwał bezdomnych, którzy byli zbyt słabi lub za młodzi, żeby przetrwać na ulicy, mając goły beton i tekturę za posłanie. Do letniego przesilenia zostały już tylko dwa dni; noce zrobiły się krótkie i ciepłe, lecz oprócz zimna najsłabszym groziło jeszcze inne niebezpieczeństwo, z ludzką twarzą. Właśnie przed nim próbował chronić ich Clem, kiedy spędzał na ulicach puste godziny nocy i przedświt. Zawsze był potem wykończony, ale zbyt naładowany energią, żeby po prostu położyć się spać. Przez trzy miesiące, odkąd pracował z bezdomnymi, więcej się napatrzył na ludzką niedolę niż przez poprzednie czterdzieści lat swojego życia. Na wyciągnięcie ręki od symboli sprawiedliwości, wiary i demokracji, którymi szczyliło się miasto, ludzie żyli w skrajnej nędzy - bez grosza przy duszy, bez nadziei, a często (i to były najsmutniejsze spotkania) pozbawieni resztek rozumu. Pustki, którą pozostawiło odejście Taylora, nie umiał wypełnić, ale dzięki nocnym wędrówkom przynajmniej mógł o niej na jakiś czas zapomnieć. Kiedy wracał rankiem do domu, obrazy, które nosił w głowie, sprawiały, że wydawało mu się, iż wiedzie beztroski żywot.

Tej nocy zabawił na ulicach dłużej niż zwykle. Zdawał sobie sprawę, że gdy słońce wszędzie, nie wystarczy mu już czasu na sen. Nie martwił się tym zbyt. Minęły dwa dni, odkąd po wizycie Taylora postanowił odwiedzić Judy i opowiedzieć jej o aniołach; od tamtej pory Taylor się nie pojawił, jednak Clem wszędzie napotykał ślady działania sił z zaświatów, dokąd odszedł jego ukochany.

Na przykład dowód z ostatniej nocy: niedługo po dwunastej człowiek nazwiskiem Tolland, który najwyraźniej napawał lękiem różne kruche społeczności nocujące pod mostami i na stacjach w okolicy Westminsteru, zaczął rozrabiać w Soho. Poturbował w zaułku dwóch pijaczków, którzy narazili mu się tylko tym, że znaleźli się na jego drodze. Clem nie widział tej bójkę na własne oczy. Dopiero później - Tolland siedział już wtedy w areszcie - zjawił się w Soho, żeby wyciągnąć z rynsztoka chociaż kilku spośród tych, którzy przez Tollanda

stracili nędzny dobytek. Nikogo nie przekonał, za to pewna kobieta, którą do tej pory zawsze widywał całą we łzach, z uśmiechem mu wytłumaczyła, że tej nocy powinien zostać z nimi, zamiast chować się do łóżka. Pan nadchodzi, twierdziła, i właśnie ludzie ulicy pierwsi Go zobaczą. Gdyby nie przelotne odwiedziny Taylora, nie przywiązywałby wagi do jej nawiedzonego bełkotu, ale zbyt wiele niezwykłych fluidów przesycalo powietrze, żeby mógł zignorować choćby najmniejszą zapowiedź cudu. Zapytał więc, kogo kobieta ma na myśli, mówiąc o Panu, na co odparła (całkiem przytomnie), że to nie ma żadnego znaczenia. Co ją obchodzi, kim będzie Pan? Najważniejsze, że przyjdzie.

Teraz, godzinę przed świtem, przechodził właśnie po Waterloo Bridge na drugą stronę Tamizy. Słyszał, że Tolland najczęściej grasował na południowym brzegu rzeki, więc musiało wydarzyć się coś niezwykłego, żeby zapuścił się tak daleko na północ. Wątpiła to była wskazówka, ale wystarczyła, by pchnąć Clema w drogę, chociaż oddalał się przez to od ciepłego kominka i łóżka.

Betonowe bunkry zabudowań kompleksu South Bank były dla Taylora ulubionym obiektem narzekań - za każdym razem, gdy rozmowa schodziła na dokonania współczesnej architektury, mógł przeklinać ich wyjątkową brzydotę. Noc kryła jeszcze brudne, szare fasady, ale zmieniała też okoliczne uliczki i przejścia podziemne w labirynt, w który nie zapuściłby się żaden przyzwoity mieszczanin ceniący sobie własne życie - lub portfel. Doświadczenia ostatnich miesięcy nauczyły Clema, że tego rodzaju lęki są raczej nieuzasadnione. Dzielnice te zamieszkiwali zwykle ludzie, którzy częściej padali ofiarami agresji, niż sami zachowywali się agresywnie; dusze, których krzyki miały być obroną przed wymagowanymi wrogami i których tyrady - choć brzmiały przerażająco, dopóki mówca krył się w cieniu - najczęściej kończyły się łzami.

Schodząc z mostu, nie słyszał w ciemności nawet najcichszych szeptów, chociaż tam, gdzie sięgało żalosne światło latarni, widział obrzeża kartonowego miasta. Większość posłań kryła się przed ludzkim wzrokiem w cieniu przejść podziemnych, gdzie zalegała cisza. Zaczynał już podejrzewać, że Tolland nie był jedynym, który porzucił swój skrawek ziemi i podążył na północ. I rzeczywiście, jego podejrzenia się potwierdziły, gdy zajrzał do pierwszych z brzegu pudeł. Zagłębił się w mrok, przyświecając sobie latarką. Na ziemi widział te same odpadki co wszędzie: resztki psującego się jedzenia, szkło z rozbitych butelek, zaschnięte wymiociny. Tylko kartony i gazetowe łóżka z brudnymi kocami były puste. Coraz bardziej zaintrygowany, brnął przez śmieci w nadziei, że znajdzie jakąś istotę - za słabą albo zbyt obłąkaną, żeby opuścić South Bank - która wyjaśni mu przyczyny tego nagłego exodusu. Przeszedł jednak przez całą papierową metropolię, nie napotkawszy żywej

duszy, aż znalazł się w miejscu, które planiści tego betonowego piekła nazwali placem zabaw. Z zabawek został tylko ponury szkielec zjeżdżalni i jedna drabinka, za to chodnik pokrywały kolorowe obrazki. Podeszedłszy bliżej, Clem znalazł się w samym środku galerii kiczu - kredowe portrety gwiazd filmowych i pań z magazynów dla panów ciągnęły się w dal, znikając w mroku poza zasięgiem światła.

Poświecił latarką nieco dalej. Rysunki kończyły się przy ścianie, którą również zdobiły obrazy, lecz o klasę lepszego autora. Tutaj artysta nie bawił się w kopiowanie rzeczywistości, lecz stworzył dzieło o takim rozmachu, że Clem musiał długą chwilę wodzić snopem światła w tę i z powrotem, zanim ogarnął całość jego zamysłu. Najwidoczniej grupa malarzy filantropów postanowiła ożywić ponurą okolicę. W efekcie powstał krajobraz rodem ze snu - z zielonym, poznaczonym żółtymi pasmami niebem, które rozciągało się nad czerwono-pomarańczową, piaszczystą równiną. Na piasku stało miasto. Znad otaczającego je muru strzelały pod niebo najbardziej niezwykle w kształcie iglice i wieże. Kiedy światło latarki wyłowilo z ciemności ostrzejszy połysk, Clem podeszedł bliżej i stwierdził, że artyści dopiero niedawno zakończyli pracę. W wielu miejscach farba była jeszcze świeża. Z bliska przekonał się też, że nakładano ją z pozoru byle jak, w pośpiechu. Na całe miasto poszło niespełna dziesięć maźnięć pędzla, a do wymalowania biegnącej od jego bram drogi wystarczyła jedna kręta smuga.

Kiedy oderwał się od podziwiania obrazu i poświecił przed siebie, zrozumiał, dlaczego malarze tak się spieszyli. Ozdobili swoimi dziełami wszystkie okoliczne mury. Powstała galeria niezwykle kolorowych prac, z których miasto na pustyni wcale nie było najbardziej niesamowite. Po lewej Clem dostrzegł człowieka, który w miejscu głowy miał dwie złożone dłonie. Między nimi przeskakiwały błyskawice. Z prawej miał rodzinę stworów o twarzach porośniętych futrem. Obok rozciągał się alpejski krajobraz, zupełnie zwyczajny, gdyby nie szybujące nad śniegiem nagie kobiety. Jeszcze dalej rozpościerał się usłany ludzkimi czaszkami step. Na horyzoncie widać było pociąg, który pluł czarnym dymem wprost w przepiękne niebo. Następny obraz przedstawiał wyspę na morzu, którego powierzchnię wzburzyła jedna jedyna fala. Z piany wynurzała się ludzka twarz.

Wszystkie obrazy cechował ten sam gorączkowy pośpiech, który nadawał im pozory szkiców i dodatkowo wzmacniał ich siłę wyrazu. Clem musiał przyznać, że dziwnie go poruszały; nie wiedział, czy to dlatego że jest zmęczony, czy tylko przez to że znalazł wystawę w tak niespodziewanym miejscu. Nie próbowały przypadkiem się widzowi, nie grały na sentymencie - przedstawiały zawartość obcych umysłów. Był zachwycony, że udało mu się odkryć takie cuda.

Błądząc tak wzrokiem, zupełnie zatracił poczucie kierunku. Musiał zgasić latarkę, żeby poszukać najbliższej lampy ulicznej - wtedy ujrzał płonące całkiem niedaleko ognisko. Z braku innych punktów orientacyjnych ruszył prosto w jego kierunku. Płonęło w małym parku, posadowionym w samym środku betonowej pustyni. Kiedyś park szczylił się zapewne różaną rabatą, ozdobnymi krzewami, może nawet ławeczkami dla spacerowiczów i nosił imię jednego z zasłużonych ojców miasta. Teraz został z niego żalosny trawnik, prawie całkiem zdeptany. Na trawie zgromadzili się mieszkańcy kartonowego miasta. Większość zwinęła się w koce i płaszczki i posnęła, ale pięciu czy sześciu czuwało. Stali przy ogniu, rozmawiali i podawali sobie papierosa z rąk do rąk.

Na niskim murku przy parkowej furtce siedział Murzyn z szopą dredów na głowie. Na widok Clema wstał i zagroził mu wejście. Clem nie zatrzymał się. Strażnik nie chciał mu chyba nic zrobić, w parku panował spokój, śpiący nie mieli koszmarów, bo spali spokojnie. Ludzie przy ognisku rozmawiali szeptem, a kiedy się śmiali - co od czasu do czasu się zdarzało - nie był to śmiech chrapliwy i pełen rozpaczki, jaki zwykle słyszał wśród bezdomnych.

- Kto ty jesteś? - zapytał Murzyn.
- Nazywam się Clem. Zabłądziłem.
- Nie wyglądasz na takiego, co śpi na ulicy, facet.
- Bo nie śpię na ulicy.
- To po co tu przyszedłeś?
- Już mówiłem: zabłądziłem.

Murzyn wzruszył ramionami.

- Tam jest dworzec Waterloo. - Wyciągnął rękę mniej więcej w tym kierunku, z którego przyszedł Clem. - Ale nieprędko będzie jakiś pociąg. - Zauważył, jak Clem zerka do parku. - Przykro mi, stary, nie możesz wejść. Jeśli masz gdzie spać, to zjeżdżaj.

Clem nie ruszył się z miejsca. Coś w sylwetce jednego ze stojących przy ogniu mężczyzn przykuło jego wzrok.

- Kto to jest? - zapytał. - Ten, co teraz mówi. Murzyn obejrzał się przez ramię.
- Gentile - odparł.
- Gentile? - powtórzył Clem. - Chyba Gentle.

Mówił cicho, ale głos musiał daleko się nieść w nocnej ciszy, bo w tej chwili człowiek przy ognisku umilkł i odwrócił się w stronę furtki. Trudno go było rozpoznać, gdy stał tyłem do światła, ale Clem wiedział już, że się nie myli. Tamten zwrócił się do swoich towarzyszy i coś powiedział, po czym podszedł do furtki.

- Gentle? Co ty tutaj robisz? - zapytał Clem.

Murzyn odsunął się na bok i przepuścił Gentle'a, który przyjrzał się bacznie przybyszowi.

- Czy ja cię znam? - W jego głosie nie było wrogości, ale nie było też śladu zachęty. - Chyba tak...

- Tak, przyjacielu. Znasz mnie.

*

Poszli na spacer brzegiem rzeki, zostawiając za sobą ognisko i śpiących przy nim ludzi. Clem dość szybko zorientował się, że Gentle bardzo się zmienił. Przede wszystkim nie wiedział, kim jest, ale to był dopiero wierzchołek góry lodowej. Mówił bezbarwnym tonem, a twarz miał zupełnie nieprzeniknioną, co Clema na przemian drażniło i uspokajało. Gdzieś zniknęła - być może bezpowrotnie - jakaś część Gentle'a, którą Clem i Taylor dobrze znali. Zanosilo się jednak na to, że Gentle może zyskać coś w zamian. Clem chciał przy nim wtedy być, opiekować się nim jak anioł stróż.

- Czy to ty namalowałeś te wszystkie obrazy?

- Do spółki z Mondayem. Malowaliśmy razem.

- Nigdy nie widziałem, żebyś malował takie cuda.

- Znam te miejsca - odparł Gentle. - Znam tych ludzi. Kiedy biorę farby do ręki, wraca mi pamięć. Ale powoli. Mam taki zamęt w głowie... - Dotknął palcami czoła, na którym widniało kilka źle zagojonych rozcięć. - Ty mnie nazywasz Gentle'em, ale mam jeszcze inne imiona.

- John Zacharias?

- Na przykład. Jest też we mnie człowiek, który nazywa się Joseph Bellamy i Michael Morrison, i jakiś Almoth, i Fitzgerald, i Sartori. Wszyscy są mną, Clemie, chociaż to chyba niemożliwe, prawda? Pytałem Mondaya, Carol, Irisha; wszyscy mówią, że człowiek może mieć dwa, czasem trzy imiona, ale nie dziesięć.

- Może przypominasz sobie swoje inne wcielenia, Gentle.

- Jeśli to prawda, nie chcę ich pamiętać. To boli. Nie mogę zebrać myśli. Chcę być jednym człowiekiem, mieć jedno życie; chcę wiedzieć, gdzie się zaczynam i kończę, zamiast trwać i trwać.

- Co w tym strasznego? - Clem naprawdę nie potrafił zrozumieć jego wątpliwości.

- Boję się, że będę żył wiecznie - powiedział Gentle. Mówił spokojnie, jak filozof, który stanął na skraju przepaści i opisuje rozciągającą się w dole otchłań na użytek tych, którzy nie chcieli lub nie mogli przy nim być. - Że jestem połączony z całym światem i mogę

się w nim zatracić. Chciałbym być tym czy tamtym człowiekiem, ale nie wszystkimi jednocześnie. Jeżeli będę wszystkimi, będę nikim. - Zatrzymał się i położył Clemowi dłonie na ramionach. - Kim jestem? Powiedz mi, proszę. Jeśli mnie kochasz, zrób to dla mnie. Kim jestem?

- Jesteś moim przyjacielem.

Nie była to zbyt wyrafinowana odpowiedź, ale innej Clem nie znał. Gentle przyglądał mu się przez dobrą minutę, jakby próbował ocenić siłę tego argumentu w walce z przepełniającym go lękiem. Wreszcie koniuszki ust uniosły mu się w niepewnym uśmiechu, oczy zaszkliły się łzami.

- Widzisz mnie, prawda? - spytał szeptem.

- Naturalnie.

- Nie oczami, chodzi mi o to, że widzisz mnie w swojej głowie. Istnieję w twoim umyśle. Widzisz mnie.

- Jasno i wyraźnie.

To była szczerza prawda. Gentle skinął głową i uśmiechnął się szeroko.

- Ktoś już próbował mnie tego nauczyć - powiedział. - Ale go nie rozumiałem. - Zamyślił się. - Nieważne, jak się nazywam. Imiona nic nie znaczą. Jestem tym, kim jestem dla ciebie. I w tobie. Twoim przyjacielem.

Objął Clema, przytulił ze wszystkich sił, a potem puścił go i cofnął się. Łzy już wysychały.

- Kto mógł mnie tego uczyć?

- Może Judith?

Gentle pokręcił głową.

- Cały czas widzę jej twarz, ale to nie ona. To był ktoś, kogo już nie ma.

- Taylor? Pamiętasz Taylora?

- On też mnie znał?

- On cię kochał.

- Co się z nim stało?

- To zupełnie inna historia.

- Inna? A może jedna i ta sama?

*

Szli brzegiem Tamizy, zadając sobie nawzajem pytania i udzielając odpowiedzi. Na prośbę Gentle'a Clem opowiedział mu dzieje Taylora - od życia do śmierci i od śmierci do świata. W zamian Gentle podzielił się z nim przemyśleniami na temat podróży, z której

wrócił. Pamiętał niewiele szczegółów, ale był pewien, że w przeciwieństwie do Taylora nie trafił do światła. Po drodze stracił przyjaciół - ich imiona mieszały mu się z imionami postaci, którymi był - i stał się świadkiem śmierci wielu innych ludzi. Ale widział też cuda, które namalował na murach: niebo bez słońca, połyskujące zielenią i złotem; pałac luster, piękny jak Wersal; rozległe, tajemnicze pustynie i lodowe katedry, które wypełniał dźwięk dzwonów. Clem słuchał opowieści, które otwierały przed nim nieznaną dotąd perspektywę, i dochodził do wniosku, że idea nieskończonej jaźni, przeżywającej niezliczone przygody, coraz mniej mu się podoba. Pomysły, od których próbował początkowo odwieść Gentle'a, wyglądały coraz bardziej kusząco - ale wiedział, że prowadzą prosto w pułapkę. Ich łagodność i ciepło mogły go stłamsić i okaleczyć. Musiał oduczyć się myśleć w taki sposób, jeżeli miał u boku tego człowieka odwiedzić krainy, w których dusze zmarłych pławiły się w świetle, a byt stawał się funkcją myśli.

- Po co wróciłeś? - zapytał.

- Też chciałbym to wiedzieć.

- Powinniśmy znaleźć Judith. Ona może wiedzieć o tym wszystkim więcej niż my obaj razem wzięci.

- Nie chcę zostawić tych ludzi, Clemie. Przyjęli mnie jak brata.

- Rozumiem cię, ale teraz nie mogą ci pomóc, Gentle. Nie wiedzą, co się dzieje.

- My też nie - zauważył Gentle. - Słuchali, kiedy opowiadałem im swoją historię. Patrzyli, jak maluję, zadawali pytania, nie śmiali się z moich wizji. - Zatrzymał się i wskazał stojący na drugim brzegu gmach parlamentu. - Niedługo zasiądą tam nasi prawodawcy. Czy powierzyłbyś im sekrety, które ci zdradziłem? Jak by zareagowali, gdybyśmy opowiedzieli im o zmarłych, którzy wracają na ziemię, i o światach, gdzie niebo jest złoto-zielone?

- Nazwaliby nas wariatami.

- Właśnie. I posłaliby nas do rynsztoka, do Mondaya, Carol, Irisha i całej reszty.

- Oni nie dlatego tkwią w rynsztoku, że mają wizje, Gentle, tylko dlatego, że ktoś ich skrzywdził. Albo sami się skrzywdzili.

- To zaś oznacza, że nie mogą walczyć z rozpaczą w taki sposób jak inni ludzie. Nie mają jak zapomnieć o bólu. Piją i popadają w obłąd, a dzień później są jeszcze bardziej zagubieni. Mimo to prędzej zaufałbym właśnie im niż biskupom i ministrom. Są nadzy, ale czy nagość nie jest stanem ludzi świętych?

- I bezbronnych - stwierdził Clem. - Nie możesz wciągać ich w tę wojnę.

- A kto mówi, że będzie wojna?

- Judith. Zresztą nawet gdyby nic nie mówiła, wojna wisi w powietrzu.

- Czy Judith wie, kto będzie naszym wrogiem?
- Nie, ale szykuje się okrutna bitwa i jeśli zależy ci na tych ludziach, nie wystawiaj ich w pierwszej linii. Wygraj wojnę, a oni będą na ciebie czekać.
- Zbudują pokój - mruknął Gentle po długim namyśle.
- Czemu nie? Mogą szerzyć dobrą nowinę.
- To mi się podoba. - Gentle pokiwał głową. - Oni też będą zadowoleni.
- To jak, poszukamy Judith?
- Dobrze, tylko najpierw muszę się pożegnać.

*

Wstał nowy dzień i gdy znaleźli się w przejściu podziemnym, cienie ze smoliście czarnych zrobiły się sinoblękitne. Promienie słońca znajdowały jakoś drogę wśród betonowych mostów i ścian, skradały się ku progom parku.

- Gdzie byłeś? - spytał Irish przy furtce. - Myśleliśmy już, że się nam urwał.
- Chciałbym wam przedstawić mojego przyjaciela - odparł Gentle. - To jest Clem. Clemie, to są Irish, Carol i Benedict. Gdzie Monday?
- Śpi - odparł Benedict, nocny strażnik.
- Clem? To jakieś zdrobnienie? - spytała Carol.
- Od Clementa.
- Ja cię znam... Kiedyś roznosiłeś zupe, prawda? Chyba się nie mylę? Mam świetną pamięć do twarzy.

Weszli do parku. Ognisko dogasało, ale żaru wystarczyło jeszcze, żeby rozgrzać skostniałe dłonie. Gentle przykucnął i szturchnął popioły kijem. Skinął na Clema, żeby podszedł bliżej. Clem postąpił krok i nagle zamarł w bezruchu.

- Co się stało? - zdziwił się Gentle.
- Clem powiódł wzrokiem po leżących dookoła ludziach. Było ich co najmniej dwudziestu, wciąż pogrążonych w sennych marzeniach.
- Posłuchaj - powiedział.
- Jeden ze śpiących śmiał się - tak cicho, że ledwie było go słyszeć.
- Kto to? - spytał Gentle.
- Śmiech musiał być zaraźliwy, bo i on się uśmiechnął.
- Taylor - odparł Clem.
- Nie ma tu żadnego Taylora - stwierdził Benedict.
- Właśnie że jest.

Gentle wstał i przyjrzał się swoim ludziom. W kącie parku spał Monday. Leżał na

plecach, niedbale przyrzucony kocem. Brzask znalazł sobie drogę pomiędzy betonowymi filarami, liznął jego blade wargi, brodę i padł mu na pierś. Monday śmiał się przez sen, jakby słońce go łaskotało.

- To jest ten chłopak, z którym malowałem - wyjaśnił Gentle.

- Monday.

- Właśnie.

Podeszli bliżej. Monday uśmiechał się cały czas; słońce złościło meszek nad jego górną wargą. Oczy miał zamknięte, a jednak kiedy się odezwał, mówił tak, jakby wszystko widział:

- Proszę, proszę! Gentle wrócił z podróży. Jestem pod wrażeniem, naprawdę.

Nie był to dokładnie głos Taylora - krtań, z której się dobywał, była o dwadzieścia lat za młoda - ale miał tę samą melodię i brzmiało w nim znajome ciepło.

- Clem chyba ci mówił, że kręcę się w pobliżu.

- Oczywiście - przytaknął Clem.

- Dziwne czasy nastały, co? Zawsze powtarzałem, że urodziłem się nie w porę, ale wygląda na to, że przynajmniej umarłem we właściwym momencie. Możesz wszystko zyskać albo wszystko stracić.

- Od czego mam zacząć? - zapytał Gentle.

- To ty jesteś maestrem, Gentle. Nie ja.

- Maestrem? Ja?

- Nie przypomniał sobie jeszcze wszystkiego, Tay - wyjaśnił Clem.

- Lepiej żeby się pospieszył. Wakacje się skończyły, Gentle. Czeka cię robota. Będiesz uzdrowicielem. Jak spieprzysz sprawę, pochłonie nas pustka, która już szczyrzy kły. A wtedy... - Uśmiech zniknął z twarzy Mondaya. - Wtedy żadna dusza nie będzie mogła oglądać światła, bo światło zgaśnie. Gdzie twój Chowaniec?

- Kto?

- Mistyf.

Gentle'owi serce zabiło żywiej.

- Raz go już straciłeś, musiałem go dla ciebie szukać. I znalazłem. Oplakiwał swoje dzieci, pamiętasz?

- O kim mówisz? - zdziwił się Clem.

- Nie znałeś go - odparł Taylor. - Pamiętałbyś.

- Gentle też chyba nie pamięta - zauważył Clem, spoglądając na zatroskanego maestra.

- Nie, nie, mistyf gdzieś mu tam tkwi w myślach. Jego nie sposób zapomnieć. Dalej, Gentle. Powiedz, jak się nazywał. Zrób to dla mnie. Masz jego imię na końcu języka.

Na twarzy Gentle'a odmalowało się cierpienie.

- Kochałeś go, Gentle. Jak nikogo innego - kusił Taylor. - Jak się nazywał? Mów!

Imię!

Gentle zmarszczył brwi i bezgłośnie poruszał wargami, aż wreszcie z jego gardła dobył się dźwięk:

- Pie...

Monday się uśmiechnął.

- Dobrze...

- Pie'oh'pah.

- A nie mówiłem? Ich się nie zapomina.

Gentle powtarzał imię mistyfa w kółko, jakby miało moc zaklęcia.

- Gdzie jest teraz? - zapytał Taylor. - Wiesz?

Gentle przykucnął przy pogrążonym we śnie Mondayu.

- Odszedł. - Próbował chwycić w palce promyk słońca.

- Nie rób tego - poradził mu Taylor. - W ten sposób łapiesz tylko ciemność.

Gentle patrzył, jak słońce pada mu na otwartą dłoń.

- Mówisz, że odszedł? - powtórzył Taylor. - Dokąd, na miłość boską? Jak mogłeś go drugi raz zgubić?

- Jest w Pierwszym Dominium. Umarł i odszedł tam, gdzie nie mogłem za nim pójść.

- Przykro mi to słyszeć.

- Ale znów się spotkamy, kiedy zrobię, co do mnie należy.

- Nareszcie dochodzimy do sedna sprawy - mruknął Taylor.

- Jestem Pojednawcą - ciągnął Gentle. - Przybyłem tu, żeby otworzyć dominia...

- W rzeczy samej, maestro.

- ...w noc letniego przesilenia.

- Co za wyczucie czasu - zauważył Clem. - To już jutro.

- Zrobię to - powiedział Gentle. Wstał. - Wiem, kim jestem. On nie może mnie już skrzywdzić.

- Kto taki? - zainteresował się Clem.

- Mój nieprzyjaciel. - Gentle obrócił twarz do słońca. - Ja sam.

Tymczasem ten nieprzyjaciół, dawny autarcha Sartori, już po paru dniach pobytu w Londynie zaczął tęsknić za leniwymi świtami i żalobnymi zmierzchami w dominium, z którego przybył. Tutaj dzień wstawał stanowczo za szybko, a później równie gwałtownie się kończył. Trzeba będzie to zmienić, postanowił. Planował zbudować w Nowym Yzordderrex pałac z luster i szkła nasyconego sztuką, by mogło chłonać blask świtu i przetrzymać go, aż zacznie nadciągać zmierzch. Tak, wtedy będzie szczęśliwy.

Nie oczekiwał specjalnego oporu przy próbie przejęcia władzy w Piątym Dominium - zwłaszcza po tym, z jaką łatwością poradził sobie z członkami Tabula Rasa. Żył już tylko jeden z nich; reszty Sartori się pozbył, zapędziwszy ich w kozi róg w ich własnych kryjówkach. Zajęli mu po parę minut - umierali szybko, bez zbędnych płaczów i modlitw. Wcale go to nie dziwiło. Ich przodkowie mieli wielką moc i silną wolę, ale nawet najszlachetniejsza krew musi rzednąć z pokolenia na pokolenie, toteż wnuki wnuków ich wnuków były już tylko nędznymi tchórzami.

Jedyną niespodziankę w tym dominium - i to miłą - sprawiła mu kobieta, z którą sypiał, niezrównana, nieśmiertelna Judith. Pierwszy raz posmakował jej ciała w sypialni Quaisoir, gdy - pomyliwszy ją z żoną - kochał się z nią wśród muślinów. Dopiero później, kiedy szykował się do opuszczenia Yzordderrex, usłyszał od Rosengartena, że Quaisoir została okaleczona i że w pałacu widziano jej sobowtóra. To był ostatni raport, jaki wiemy Rosengarten złożył swojemu panu. Chwilę później odmówił wykonania rozkazu, nie chciał się udać wraz z autarchą do Piątego Dominium. Urodził się w Drugim, szczycił się tym, że mieszka w Yzordderrex, i jeżeli miał umrzeć, chciał, by stało się to pod niebem, na którym świeci kometa. Sartori miał ochotę skarcić go za niedopełnienie obowiązków, ale nie chciał rozpoczynać pobytu w nowym świecie z rękami splamionymi krwią. Pozwolił więc Rosengartenowi odejść i sam udał się w podróż, przekonany, że kobieta z królewskiego łóżka została gdzieś w mieście. Ledwie jednak przywdział maskę brata i zaczął żyć jego życiem, znowu się spotkali - tym razem w sztucznym ogrodzie Kleina.

Zawsze poważnie traktował wszelkie znaki i omeny, dobre i złe. Judith wróciła do jego życia, co oznaczało, że byli sobie przeznaczeni; najwyraźniej zresztą ona - choć nieświadomie - czuła to samo. Spotkał kobietę, przez którą rozpoczął się cały ten smętny

korowód śmierci i samotności. Dodawała mu siłę, przy niej komórki jego ciała przypominały sobie, jakim wielkim był kiedyś człowiekiem. Otrzymał drugą szansę - mógł zacząć wszystko od nowa w towarzystwie ukochanej istoty. Miał okazję zbudować imperium, którego wspaniałość zatrze wszelkie ślady klęski. To, jak się kochali, najlepiej dowodziło, że są dla siebie stworzeni; doskonalszego sprzężenia erotycznych impulsów nie potrafił sobie wyobrazić. Kiedy potem wyszedł w miasto, zabijał z niezwykłym ożywieniem i zapalem.

Musiał minąć trochę czasu, zanim Judith zrozumie, że zeswatało ich przeznaczenie. Na razie brała go za Gentle'a i wściekła by się, gdyby nagle pozbawił ją złudzeń. Z czasem jednak przekona ją do siebie. Musi. Nawet w tym żyjącym beztrudnie mieście zdarzało mu się ocierać o koszmary i spotykać potwory, przy których najohydniejsze poczwary z In Ovo wyglądały kusząco. Ona mogła go przed nimi obronić, scałować mu pot z czoła i ukołysać do snu. Nie obawiał się, że go odrzuci. Miał argument, przy którym wszystkie opory moralne przestawały się liczyć - od dwóch dni nosiła w łonie jego dziecko.

Jego pierwsze dziecko. Wiele razy próbowali z żoną założyć dynastię. Najpierw Quaisoir regularnie zdarzały się poronienia, a potem jej zatrute kreauchee ciało przestało produkować komórki jajowe. Judith zaś była niesamowita - nie dość, że dawno nie zaznał takiej rozkoszy, to jeszcze miłość przynosiła owoce. W odpowiednim momencie (kiedy pozbędzie się tego irytującego Oscara Godolphina, na którym zakończy się ród właścicieli Judith) powie jej o tym, a ona doceni doskonałość tego związku drżącą w jej łonie.

3

Jude nie spała. Żądanie Celestine nie dawało jej zasnąć. Chciała mieć je jak najszybciej z głowy, żeby móc przestać o niej myśleć. Wołała też, żeby Gentle - gdy wróci z kolejnej nocnej włączki - nie zastał jej śpiącej (choć jeszcze dwa dni wcześniej taki pomysł uznalaby za niezwykle kuszący). Gentle poślinił i ukradł jej jajo. Będzie mogła odpocząć, dopiero kiedy je odzyska, a on pojedzie na Highgate Hill. Nie wcześniej.

Świt zakradał się już do miasta, kiedy Gentle wrócił. Nie mogła nic wyczytać w jego twarzy, dopóki nie znalazł się kilka kroków od niej, a wtedy uśmiechał się już promiennie. Czule ją zbeształ, że na niego czekała. Nie trzeba było, powiedział. Nic mu nie groziło. Na tym jednak uprzejmości się skończyły, zauważył, że jest zaniepokojona, i zaczął ją wypytywać, co się stało.

- Byłam w domu Roxborougha.
- Mam nadzieję, że nie poszłaś tam sama? Tym ludziom nie można ufać.
- Pojechałam z Oscarem.
- Co u niego słychać?
- Nie żyje - odparła bez ogródek.
- Co się stało? - Gentle był szczerze zasmucony.
- To bez znaczenia.
- Nie dla mnie. Chciałbym wiedzieć.
- Dowd był w wieżowcu. To on zabił Godolphina.
- Ale ciebie nie skrzywdził?
- Nie, chociaż próbował.
- Nie powinnaś była jechać tam beze mnie. Co ci do głowy strzeliło?

Wyjaśniła mu to najprościej, jak potrafiła:

- W podziemiach wieżowca Roxborough pogrzebał więźnia. Kobietę.
- I zachował ten sekrecik dla siebie - mruknął Gentle.

Jude miała wrażenie, że w jego głosie brzmi nuta podziwu, ale darowała sobie rzucanie oskarżeń.

- A ty poszłaś wykopać jej kości, tak? - zapytał.
- Poszłam ją uwolnić.

Tymi słowami przykuła jego uwagę.

- Nie rozumiem...
- Ona żyje.

- A zatem nie jest zwykłą kobietą. - Uśmiechnął się przelotnie. - Co ten Roxborough tam wyrabiał? Hodował ładacznicę z niebiańskim rodowodem?

- Do Celestine to określenie nie pasuje. - Jude zarzuciła przynętę, nazywając więźnia po imieniu, ale Gentle nie zareagował. - Ona jest człowiekiem. W każdym razie była.

- A czym jest teraz?

Jude wzruszyła ramionami.

- Czymś... innym. Nie znam się na tym. Ma wielką moc. Omal nie zabiła Dowda.
- Dlaczego?
- Chyba lepiej będzie, jak sama ci opowie.
- Dlaczego miałbym jej słuchać?
- Chce się z tobą zobaczyć. Mówi, że cię zna.
- Naprawdę? A nie mówiła skąd?

- Nie, prosiła tylko, żebym wspomniała o Nisi Nirvanie.

Gentle tylko się roześmiał.

- To ci coś mówi? - zapytała.

- Pewnie! To taka bajka dla dzieci. Nie znasz jej?

- Nie - odparła Jude, natychmiast zdając sobie sprawę, dlaczego nie może jej znać.

Gentle powiedział to na głos:

- Oczywiście, że nie. Nigdy nie byłeś dzieckiem.

Przyglądała mu się uważnie, niepewna, czy okrucieństwo, jakie wyczuwała w nim ostatnio - w tej chwili także - nie jest przypadkiem dziecinną naiwnością.

- Spotkasz się z nią?

- Niby po co? Nawet jej nie znam.

- Ale ona cię zna.

- O co ci chodzi? Dlaczego próbujesz mi wcisnąć jakąś babę?

- Podszedł bliżej. Próbowwała nie dać po sobie poznać, że czuje do niego niechęć, ale nie potrafiła się opanować. - Przysięgam, Judith, że nie znam żadnej Celestine. Kiedy wychodzę z domu, myślę tylko o tobie...

- Nie chcę teraz o tym rozmawiać.

- O co ty mnie podejrzewasz? Nic złego nie zrobiłem, słowo! - Gentle założył ręce na piersi. - Ranisz mnie, Judith. Nie wiem, czy robisz to celowo, ale tak właśnie jest. Ranisz mnie.

- To dla ciebie nowe doświadczenie, co?

- Co to ma być? Jakaś nauczka? Błagam, nie dręcz mnie. Mamy zbyt wielu wrogów, żeby stawać przeciwko sobie.

- Ja z nikim nie walczę. I nie chcę walczyć.

- To dobrze. - Gentle rozłożył ramiona. - Chodź do mnie.

Jude ani drgnęła.

- Judith!

- Chcę, żebyś się spotkał z Celestine. Obiecałam jej, że cię znajdę. Pomyśli, że ją okłamałam.

- Dobrze, pójdę do niej, ale możesz być pewna, że wrócę, kochanie. Nie wiem, kim jest ta Celestine, nie wiem, jak wygląda. Pragnę tylko ciebie. Nigdy nie pragnąłem cię tak jak teraz.

Wiedziała, że czeka, by zapytała dlaczego. Przez chwilę odmawiała mu tej satysfakcji, lecz widząc jego promienną twarz, nie mogła dłużej powstrzymać ciekawości.

- Dlaczego?
- Nie chciałem ci jeszcze o tym mówić...
- O czym?
- Będziemy mieli dziecko, Judith.

Wytrzeszczyła oczy, oczekując wyjaśnień - że znalazł na ulicy sierotę albo chce ściągnąć jakiegoś malca z innego dominium. Ale w głębi duszy wiedziała, że nie o to mu chodzi. Serce szybciej jej zabiło. Gentle mówił o dziecku, które narodzi się z ich nocnego zespolenia. Będzie jego skutkiem.

- To moje pierwsze dziecko - dodał. - Twoje chyba też?

Chciała nazwać go kłamcą. Skąd mógł wiedzieć, że jest w ciąży, skoro ona jeszcze nie wiedziała? Ale był bardzo pewny siebie.

- Zostanie prorokiem. Zobaczysz.

Już widziałam, pomyślała. Kiedy jajo wciągnęło ją do wnętrza jej ciała, widziała, co je czeka. Zielone miasto, żywa woda - i ranny Gentle, który wyjął jajo z czyjejś drobnej dłoni. Czy to było pierwsze proroctwo dziecka?

- Nikt w tym dominium nie potrafiłby się tak kochać jak my - mówił Gentle. - Dziecko jest tego dowodem.

- Wiedziałaś, co robisz?
- Wiązałem z tobą pewne nadzieje...
- A moje zdanie nic cię nie obchodziło? Jestem tylko macicą, tak?!
- Nie to miałem na myśli...
- Chodzącą macicą!
- To brzmi absurdalnie.
- Bo to jest absurd.

- Jak możesz tak mówić? Jak coś, co od nas pochodzi, może nie być doskonałe? - Gentle mówił teraz z niemal religijną czcią. - Ja się zmieniam, kochanie. Odkrywam, czym jest czułość i miłość, myślę o przyszłości, snuję plany. To ty mnie tak zmieniłaś.

- To znaczy jak? Ze wspaniałego kochanka stajesz się świetnym ojcem? Nowy dzień, nowy Gentle?

Wyglądał, jakby miał gotową odpowiedź, ale ugryzł się w język.

- Oboje wiemy, ile dla siebie znaczymy - powiedział. - Warto mieć na to jakiś dowód. Proszę cię, Judith... - Wciąż miał rozłożone ramiona, ale Jude nie zamierzała się przytulić. - Uprzedzałem, że będą mi się zdarzały błędy. Prosiłem, żebyś mi wybaczyła. Teraz też o to proszę.

Spuściła wzrok i pokręciła głową.

- Odejdź.

- Spotkam się z tą kobietą, jeśli tak ci na tym zależy, ale zanim wyjdę, chcę, żebyś mi coś obiecała. Obiecuj, że nie będziesz próbowała skrzywdzić życia, które nosisz.

- Idź do diabła!

- Tu nie chodzi o mnie, nawet nie o dziecko, tylko twoje dobro. Gdybyś przeze mnie miała zrobić sobie krzywdę, moje życie straciłoby sens.

- Nie potnę się, jeśli o to ci chodzi.

- Nie o to.

- A o co?

- Jeżeli będziesz próbowała usunąć tę ciążę, dziecko łatwo się nie podda. Odziedziczyło naszą determinację i naszą siłę. Będzie walczyć o życie. Może cię zabić. Rozumiesz, co mówię?

Jude wzdrygnęła się.

- Powiedz coś - naciskał Gentle.

- Nie mam ci do powiedzenia nic, co chciałbyś usłyszeć. Porozmawiaj z Celestine.

- Może pojedziesz ze mną?

- Idź. Już.

Jude podniosła wzrok. Promienie słońca zalały pokój; Gentle jednak stał w cieniu. Przyświecał mu wspaniały cel, ale on sam miał naturę kłamcy i fałszerza.

- Chciałbym móc do ciebie wrócić - powiedział.

Milczała.

- Jeżeli cię tu nie zastanę, zrozumieć.

Wyszedł bez dalszych słów. Dopiero trzask drzwi na dole wyrwał Jude z otępienia. Nagle zdała sobie sprawę, że Gentle nie oddał jej niebieskiego jaja. Uwielbiał symetrię i pewnie cieszył się, że ma w kieszeni coś, co należy do niej, skoro ona nosi w sobie cząstkę jego istoty.

ROZDZIAŁ 50

1

Mimo że znał bezdomnych z South Bank zaledwie od kilku godzin, trudno mu się było z nimi pożegnać. Przez ten krótki czas czuł się w ich towarzystwie bezpieczniej niż niekiedy z przyjaciółmi znanymi od lat. Jego nowi towarzysze byli przyzwyczajeni do tego, że coś muszą stracić - ten motyw przewijał się przez wszystkie życiorysy, które poznał - tak że obeszło się bez melodramatycznych wystąpień. Żegnali go w ciszy. Tylko Monday, którego cierpienie wyrwało Gentle'a z letargu, nieśmiało próbował go zatrzymać.

- Już niedużo murów zostało do pomalowania - mówił. - Zajmie nam to parę dni, góra tydzień.

- Przykro mi, ale nie mam tyle czasu - odparł Gentle. - Nie mogę dłużej odkładać tego, po co wróciłem.

Monday naturalnie spał, gdy Gentle rozmawiał z Taylorem (kiedy się obudził, bardzo go zdumiał szacunek okazywany mu przez wszystkich), ale pozostali - zwłaszcza Benedict - mogli co nieco dodać do spisu cudów, których byli świadkami.

- Czym się zajmuje Pojednawca? - spytał Gentle'a. - Bo jeżeli wybierasz się do innych dominiów, facet, to chcemy iść z tobą.

- Nie zamierzam opuszczać Ziemi, ale w razie czego pierwsi się o tym dowiedzie.

- A jeśli się już nie spotkamy? - zapytał Irish.

- To będzie znaczyło, że mi nie wyszło.

- I że nie żyjesz?

- Tak.

- Nie bój się, on nie spieprzy sprawy - uspokoiła Irisha Carol. - Prawda, skarbie?

- Co mamy zrobić z tą naszą wiedzą? - dopytywał się Irish, któremu brzemień tajemnicy ciążyło chyba najbardziej. - Bez ciebie straci sens.

- Wcale nie. Opowiecie o mnie innym i legenda przetrwa do chwili, aż otworzą się przed ludźmi wrota dominiów.

- Czyli mamy o tym mówić?

- Każdemu, kto zechce was wysłuchać.

Rozległy się pomruki aprobaty. Mieli przynajmniej jakiś powód, żeby pamiętać niezwykłą historię i tego, który ją opowiedział.

- Gdybyś nas potrzebował, wiesz, gdzie szukać - dodał Benedict.

Gentle z Clemem podeszli do furtki.

- A gdyby ktoś o ciebie pytał? - zainteresowała się Carol.

- Powiedźcie, że spotkaliście jakiegoś świra i skopaliście go z mostu do rzeki.

Kilku się uśmiechnęło.

- Tak właśnie powiemy, maestro - obiecał Irish. - Ale pamiętaj, jeśli prędko do nas nie wrócisz, znajdziemy cię.

*

Wyszli na Waterloo Bridge. Dochodziła szóstka i choć ruch w kierunku północnym nasilał się z każdą chwilą - pierwsi ludzie spieszyli do pracy - taksówek było jak na lekarstwo. Ruszyli więc przez most pieszo, licząc, że złapią coś przy Strand.

- W różnym towarzystwie spodziewałbym się cię znaleźć - odezwał się Clem - ale to chyba było najdziwniejsze z możliwych.

- Szukałeś mnie tam - zauważył Gentle - więc musiałeś mieć jakieś przeczucie.

- Chyba tak...

- Poza tym możesz mi wierzyć, że obracałem się już w bardziej niezwykłych kręgach. Znacznie bardziej.

- W to nie wątpię. Któregoś dnia, niedługo, opowiesz mi o swojej podróży, dobrze?

- Postaram się, chociaż bez mapy będzie mi trudno. Mówiłem Pie, żeby naszkicował mapę, na wypadek gdybym kiedyś znów zabłądził w dominiach...

- Wtedy mógłbyś znaleźć drogę z powrotem.

- Właśnie.

- A ty? Nie mogłeś rysować sam?

- Jakoś nigdy nie było czasu. Ciągle coś mnie rozpraszało.

- Powiedz mi chociaż... Hej! Taxi!

Clem wyskoczył na jezdnię i pomachał na kierowcę, a kiedy wsiedli, powiedział mu, dokąd ma jechać. Taksówkarz zerknął w lusterko.

- To panów znajomy?

Odwrócili się i zobaczyli pędzącego przez most Mondaya. W kilka sekund dopadł taksówki, wetknął pomazaną farbami twarz przez okienko i zaczął błagać, żeby wzięli go ze sobą.

- Szefie, nie możesz mi tego zabronić. To by było nie fair! Dałem ci kredę, nie? Co ty byś zrobił bez kredy i farb, szefie?

- Nie mogę ryzykować, że coś ci się stanie.

- To będzie moja wina i moja sprawa.

- Jedziemy czy nie? - zdenerwował się kierowca.

- Szefie, weźcie mnie ze sobą, proszę.

Gentle wzruszył ramionami i skinął głową. Uśmiech, który zdążył już zniknąć z twarzy Mondaya, wrócił w pełnej krasie. Chłopak wgramolił się do auta, ściskając puszkę z kredą jak amulet.

- Wziąłem kredę. Może się jeszcze przydać. Nigdy nie wiadomo, czy nie będzie trzeba w trymiga machnąć jakiegoś nowego dominium na ścianie, nie?

*

Nie jechali długo, ale nawet na tym krótkim odcinku mogli się przekonać - znaki były wszędzie, drobne, lecz w masie łatwo zauważalne - że fale upałów i wściekłe burze dają się mieszkańcom miasta we znaki. Ludzie wyklócali się na chodnikach i na jezdniach, wszyscy krzywili się i marszczyli gniewnie brwi.

- Tay mówił coś o pustce, która ma nas pochłonać - przypomniał sobie Clem, gdy na światłach czekali, aż ludzie rozdziela dwóch wściekłych kierowców, którzy próbowali nawzajem udusić się krawatami. - Myślicie, że to ma z tym coś wspólnego?

- To jakiś obłąd, panie. Cholerny obłąd - odezwał się taksówkarz. - Przez ostatnie pięć dni policja zanotowała więcej morderstw niż od początku roku. Gdzieś o tym czytałem... A morderstwa to jeszcze nie wszystko. Ludzie świrują, panie! Świrują! Mój kumpel, co też na taryfie jeździ, był we wtorek koło Arsenału, jak mu kobieta wyskoczyła przed maskę! Bum! Pod koła mu się rzuciła, panie! Tragedia!

Przechodnie wreszcie walczących rozdzielili i odeskortowali do przeciwnych narożników skrzyżowania.

- Nie wiem, co się dzieje - dodał kierowca - ale to jakiś obłąd!

Włączył radio i zaczął fałszywie pogwizdywać w takt nadawanej ballady. Samochody ruszyły.

- Czy możemy to jakoś powstrzymać? - spytał Clem. - Czy też teraz już będzie coraz gorzej i gorzej?

- Mam nadzieję, że Pojednanie załatwi sprawę, ale nie jestem pewien. To dominium tak długo było odcięte od reszty, że dławi się własnym gównem.

- Może trzeba będzie po prostu zburzyć mury - powiedział Monday z uśmiechem

urodzonego wandalą na twarzy. Potrząsnął puszką. - Pokaż tylko które, a ja je rozwalę. Spokojna głowa.

2

Gentle ostrzegał ją, że dziecko jest bardziej zdeterminowane od innych. Nie miała powodu, żeby mu nie wierzyć. Zastanawiała się tylko, co to właściwie znaczy, poza tym, że próbując je usunąć, naraziłaby się na jego gniew? Czy będzie szybciej rosło? Czy do wieczora brzuch jej napęcznieje, a rano odejdą wody płodowe i zacznie rodzić? Leżała w sypialni ociążała od upału, modląc się, żeby pełne zachwytu opowieści, które słyszała od młodych matek, okazały się prawdziwe i w jej wypadku. Miała nadzieję, że jej organizm zareaguje normalnie i uwolni do krwiobiegu naturalne hormony, które pomogą mu wyżywić i wydać na świat potomstwo.

Kiedy zadzwonił dzwonek u drzwi, miała ochotę go zignorować, ale tajemniczy goście łatwo się nie poddawali. W końcu zaczęli ją nawoływać przez okno - jeden wołał „Judy”, drugi - co było dziwne - „Jude”. Usiadła na łóżku i przez chwilę miała wrażenie, że coś się w niej zmieniło: serce tłukło się pod czaszką, a myśli musiała wyciągać gdzieś z trzewi, żeby wziąć się w garść i pójść otworzyć drzwi. Zanim zeszła na dół, głosy ucichły i nie zdziwiłaby się, gdyby na progu nie zastała nikogo. Ktoś tam jednak stał: młody, umazany farbą chłopak, który na jej widok odwrócił się i zawołał dwóch innych mężczyzn. Stali po drugiej stronie ulicy, wpatrzeni w jej okna.

- Jest! - krzyknął. - Szefie! Jest tutaj!

Ruszyli do drzwi, a jej serce (wciąż dudniące w skroniach) zaczęło bić w istic samobójczym tempie. Oparła się o framugę. Mężczyzna idący obok Clema spojrzał jej w oczy i uśmiechnął się. To nie był Gentle - w każdym razie nie ten, który zabrał jej jajo i przed paroma godzinami wyszedł z tego domu. Ten, którego miała przed sobą, nie golił się od kilku dni, a czoło miał całe w strupach. Cofnęła się, ale nie zdążyła zatrzęsnąć drzwi gościom przed nosem.

- Nie podchodź - powiedziała.

Widząc strach na jej twarzy, zatrzymał się dwa metry od progu. Dał znak chłopcu, żeby sobie poszedł.

- Wiem, jak wyglądam - powiedział. - Ale to naprawdę ja, Jude.

Cofnęła się jeszcze o dwa kroki od plamy słońca, w której stał (światło go kochało - nie tak jak tego drugiego, którego zawsze oglądała w cieniu), cała roztrzęsiona, jakby zaraz miała dostać histerycznych drgawek. Oparła się o poręcz przy schodach.

- To niemożliwe - stwierdziła.

Nie odpowiedział. Tym razem jego współnik w tym oszustwie, Clem (kto by pomyślał?!), zabrał głos:

- Musimy porozmawiać, Judy. Mogę wejść?

- Ale sam. Oni zostaną tutaj.

- Sam.

Podszedł do drzwi, pokazał jej puste dłonie.

- Co się stało? - zapytał.

- To nie jest Gentle - wyjaśniła. - Gentle mieszka ze mną od dwóch dni. I dwóch nocy.

A to... Ja go nie znam.

Intruz to słyszał. Widziała jego twarz ponad ramieniem Clema: wyrażała taki szok, jakby każde jej słowo było niczym cios w brzuch. Im dłużej tłumaczyła Clemowi, co się wydarzyło, tym mniej wierzyła, że to prawda. Tego Gentle'a, który nic nie rozumiejąc stał teraz za progiem, w słońcu, zostawiła samego na schodach pracowni. A skoro tak, to kochanek, który do niej przychodził - który zabrał jej jajo i ją zapłodnił - był kimś innym.

Zobaczyła, jak usta Gentle'a składają się w imię tego drugiego:

- Sartori.

Zrozumiała, że to prawda - rzeźnik Yzordderrex zakradł się do jej łóżka, serca i łona. Bała się, że dreszcze zupełnie zawładną jej ciałem, ale na razie ze wszystkich sił trzymała się tego upalnego, materialnego świata. Uznała, że ci ludzie - jego wrogowie - powinni dowiedzieć się o wszystkim.

- Wejdz - zwróciła się do Gentle'a. - I zamknij drzwi. Mimo że chłopiec wszedł razem z nim, nie miała siły protestować.

- Nie zrobił ci krzywdy? - spytał Gentle.

- Nie - odparła. Żałowała niemal, że to prawda, że nie dał jej poznać swojego prawdziwego, zwyrodniałego „ja”. - Mówiłeś mi, że się zmienił, Gentle, że stał się potworem. Plugawym potworem. A on wygląda dokładnie tak samo jak ty.

Czuła narastający gniew. Cieszył ją, bo przemieniał irracjonalną odrazę w inne uczucie, czystsze i mądrzejsze. Gentle nieświadomie wprowadził ją w błąd opisem Sartoriego. Stworzyła sobie w wyobraźni obraz istoty tak skalanej okrucieństwem, że prawie nieludzkiej. Tymczasem nie zmylił jej złośliwie; chciał po prostu całkowicie odciąć się od

potwora, który nosił jego twarz. A teraz zrozumiał swój błąd i było mu wstyd. Nie podchodził bliżej, czekał, aż Jude zapanuje nad sobą. Była silna - i ta siła pozwoliła jej wytrwać i dokończyć opowieść. Nie było sensu ukrywać przed Gentle'em i Clemem ostatniego oszustwa Sartoriego, skoro prawda i tak wkrótce musiała wyjść na jaw. Położyła rękę na brzuchu.

- Jestem w ciąży - powiedziała. - To jego dziecko. Sartoriego.

W innym, bardziej racjonalnym świecie udałoby się jej może odszyfrować wyraz twarzy Gentle'a, tu jednak musiała się poddać. Był zbyt złożony. Na pewno gniew, na pewno rozczarowanie; może lekka zazdrość? Nie pożądał jej po powrocie z Imajiki - świadomość misji Pojednawcy przygasila jego libido. Teraz jednak, kiedy okazało się, że ten drugi jej dotykał, więcej, dał jej rozkosz (czyżby widział na jej twarzy poczucie winy, równie nieudolnie maskowane jak jego zazdrość?), czuł się urażony jako właściciel. Jak każde uczucie w ich związku, także i to było niejednoznaczne.

Clem, kochany, czuły Clem rozłożył szeroko ramiona i zapytał:

- Dasz się przytulić?

- Jezu, pewnie że tak! Z przyjemnością.

Objęli się mocno.

- Powinam była się domyślić - szepnęła, żeby chłopak i Gentle jej nie słyszeli.

- Teraz łatwo ci to mówić. - Clem całował jej włosy. - Ja tam się cieszę, że żyjesz.

- Nie groził mi. Nie dotknął mnie, dopóki...

- ...o to nie poprosiłaś?

- Nie musiałam prosić. Wiedział.

Skrzypnęły drzwi. Podniosła głowę i zobaczyła, jak Gentle z chłopcem wychodzą z domu. Gentle osłonił oczy dłonią i spojrzał w niebo. Zrozumiała, że to on był czcicielem słońca, którego widziała w Pucharze Bostońskim. Niewiele to zmieniało, ale nie zamierzała rezygnować z tej drobnej satysfakcji.

- Sartori jest bratem Gentle'a, tak? - spytał Clem. - Obawiam się, że ciągle nie mogę się rozeznąć w kwestiach pokrewieństwa.

- Nie są braćmi, lecz bliźniakami. Sartori jest jego idealnym odbiciem.

- Jak idealnym? - Spojrzał na nią, uśmiechając się ironicznie.

- No... doskonałym.

- Czyli nie było wcale tak źle z nim mieszkać?

- Ani trochę. - Pokręciła głową. - Mówił, że mnie kocha - dodała po chwili.

- Mój Boże...

- Wierzyłam mu.

- Ile dziesiątek mężczyzn ci to powtarzało?

- Wiem, wiem, ale to było co innego...

- Gdzieś już to słyszałem...

Jude przyglądała się wpatrzonemu w słońce Gentle'owi, zdumiona, że udaje się jej zachować taki spokój. Czy samo wspomnienie łączącego ich uczucia wystarczyło, żeby wszystkie strachy zbladły?

- O czym myślisz? - zainteresował się Clem.

- Że jest w nim coś, czego Gentle'owi brakuje. Nie musisz mi mówić, że to obrzydliwe: jest niszczycielem i mordercą, który unicestwiał całe krainy. Jak mogę coś do niego czuć?

- Chcesz usłyszeć jakiś banał?

- Mów.

- Czujesz to, co czujesz, i już. Jedni kochają marynarzy, inni facetów w gumowych kombinezonach i boa z piór. Tacy jesteśmy. Nie tłumacz się, nie przepraszaj. To wszystko.

Ujęła jego twarz w dłonie i pocałowała go.

- Jesteś cudowny. Przeżyjemy to, prawda?

- Przeżyjemy. Będzie dobrze. Ale na razie lepiej chyba byłoby znaleźć twojego kochasia, dla dobra nas... - Clem zamilkł, gdy Jude mocniej przycisnęła mu dłonie do policzków. Spoważniała. - Co się stało?

- Celestine. Wysłałam go do Highgate, do domu Roxborougha.

- Chyba nie nadążam...

- Źle się stało. - Jude podbiegła do drzwi i zawołała Gentle'a.

Spojrzał na nią, wrócił pod dom i wysłuchał tego, co przed chwilą mówiła Clemowi.

- Co takiego jest w Highgate? - zapytał.

- Kobieta, która chciała się z tobą spotkać. Czy imię Nisi Nirvana coś ci mówi?

Gentle zmarszczył brwi.

- To jakaś bajka - odparł.

- Nie, Gentle. Ona żyje naprawdę. Przynajmniej niedawno żyła

obrazem ozdobić ściany pałacu. Mimo że spędził w tym mieście niewiele czasu - dosłownie kilka tygodni od narodzin do chwili, gdy wyruszył do Pojednanych Dominiów - ojciec Londyn i matka Tamiza wyedukowali go po królewsku. Rzecz jasna, metropolia widziana z Highgate Hill, gdzie w tej chwili się znajdował, rozciągała się znacznie dalej i była bardziej ponura niż miasto, które wtedy opuścił, ale wyglądała dostatecznie znajomo, żeby budzić wzruszenie. Od profesjonalistek z okolic Drury Lane uczył się seksu; nad rzeką dowiedział się, jak wygląda morderstwo, kiedy w niedzielne ranki fale wyrzucały na brzeg ofiary sobotnich rzezi; w Lincoln's Inn Field przyswajał sobie prawo, a w Tyburn patrzył, jak wymierza się sprawiedliwość. Te doświadczenia po części go ukształtowały. Jednej tylko lekcji sobie nie przypominał; nie przyswoił jej sobie ani w Londynie, ani w innych miastach, które pamiętał: jak być architektem. Zakładał jednak, że w którymś momencie musiał mieć jakiegoś nauczyciela. To przecież w jego głowie powstała wizja pałacu, który przeszedł do legendy, chociaż jego wieże legły w gruzach. Gdzie zrodziła się iskra tego geniuszu - w genach czy w historii? Może odkryje tę tajemnicę, dopiero gdy zbuduje Nowe Yzorderrex. Jeśli będzie cierpliwy i uważny, oblicze mistrza powinno objawić się w murach miasta.

Zanim jednak położy pod nie fundamenty, będzie musiał sporo domów wyburzyć. Takie prostackie budowle jak wieżowiec Tabula Rasa, który właśnie wyłonił się zza drzew, pójdą na pierwszy ogień. Pogwizdując, przeszedł dziedziniec i stanął przy drzwiach. Ciekaw był, czy kobieta, z którą Jude kazała mu się spotkać - Celestine - słyszy jego trele.

Drzwi były otwarte, ale wątpił, by jakiś złodziej (nawet największy oportunist) odważył się zakraść do środka. Powietrze przy wejściu niemal skrzyło się od magii. Przypomniała mu się ukochana Wieża Osi.

Przeszedł przez foyer do drugich drzwi i znalazł się w znajomym pokoju. Dwa razy w życiu szedł po tutejszej wiekowej podłodze. Najpierw na dzień przed Pojednaniem przyszedł do Roxborougha, podając się za Pojednawcę - dla perwersyjnej przyjemności uściśnięcia rąk dostojnym gościom, zanim podstępem wyśle ich wszystkich do piekła. Drugi raz zjawił się tu w noc po ceremonii, kiedy burze rozdzierały niebo od Muru Hadriana po Land's End. Zamierzali z Chantem - jego nowym chowańcem - zlikwidować Luciusa Cobbitta, nieświadomego współnika sabotażu. Nie znalazłszy go w Clerkenwell, postanowił stawić czoło wścieklej nawałnicy (całe zagajniki legły wtedy wyrwane z korzeniami, a na Highgate Hill trafiony przez piorun człowiek spłonął żywcem), ale i w domu Roxborougha nikogo nie zastał. Nigdy nie udało mu się znaleźć Cobbitta, który - wypędzony przez dawnego maestra z bezpiecznego schronienia przy Gamut Street - padł zapewne ofiarą rozszalałych żywiołów.

Pokój był pusty. Lordowie, którzy postawili ten dom, nie żyli, podobnie jak ich

potomkowie, którzy później wybudowali nad nim wieżowiec. Panowała tu przyjemna cisza. Czas na hałaśliwą zabawę nadejdzie później, na razie jednak Sartori wszedł przez kominek na schody i znalazł się w bibliotece, o której istnieniu nie miał do tej pory pojęcia. Czuł pokusę, żeby porozglądać się trochę po uginających się od ksiąg półkach, ale moc, którą czuł na progu, powodowała coraz silniejsze mrowienie w palcach i przyciągała nieodparcie.

Zanim ujrzał kobietę, usłyszał jej głos. Dobiegał z korytarza, w którym unoszący się w powietrzu kurz był gęsty jak mgła u ujścia Tamizy. Ledwie mającżył w nim obraz zniszczeń: książki, zwoje i manuskrypty podarte w strzępy, na wpół zagrzebane pod potrzaskanymi regałami, a w głębi - wyrwa w ścianie. Stamtąd właśnie usłyszał:

- Czy to ty, Sartori?

- Tak.

- Podejdź bliżej, chcę cię zobaczyć. Zatrzymał się przed górą gruzu.

- Myślałam już, że cię nie znalazła. Albo że nie chciałeś przyjść.

- Jak mógłbym odmówić takiemu wezwaniu? - rzekł szeptem.

- Uważasz, że przyszedłeś tu na schadzkę? - spytała zgorzkniałym, zachrypniętym od kurzu głosem.

Podobało mu się jego brzmienie. Kobiety, które potrafiły się złościć, zawsze bardziej go pociągały.

- Chodź, maestro. Niech cię zobaczę.

Wdrapał się na kocyk cegieł i zajrzał do ciemnego wnętrza. Cela wyglądała paskudnie, brudna i wstrętna jak lochy pod jego pałacem, ale kobieta, która ją zamieszkiwała, wcale nie była wychudzoną pustelniczką. Jeśli nie liczyć świeżych ran, więzienie nie zaszkodziło jej pięknemu ciału. Oplatające je macki podkreślały bujne kształty, wijąc się po udach, brzuchu i piersiach, śliskie niczym węże. Niektóre przywarły do jej głowy i muskały słodkie usta, inne błogo zaległy między nogami. Czuł na sobie jej czułe spojrzenie. Napawał się nim.

- Przystojny jesteś - stwierdziła.

Potraktował to jako zaproszenie i zaczął podchodzić bliżej. Zatrzymał się jednak, gdy warknęła zaniepokojona.

- Co za cień w tobie widzę?

- Nie musisz się go obawiać - odparł.

Oplatające ją włókna się rozdzieliły; te, które stanowiły część jej istoty, wsparły się o szorstką ścianę i pomogły Celestine podnieść się z ziemi.

- Już to słyszałam. Kiedy mężczyzna mówi, że nie ma się czego obawiać, kłamie. Ty

jesteś taki sam, Sartori.

- Nie podejść bliżej, jeżeli cię to denerwuje - odparł poruszony nie jej niepokojem, lecz mackami, które falowały delikatnie. Pamiętał, że po bliskich kontaktach z wariatkami z Bastionu Banu Quaisoir też potrafiła wypuszczać z ciała podobne wypustki. Dowodziły istnienia w kobietach siły, której kompletnie nie pojmował; sztuki, którą Hapexamendios niemal całkowicie wypenił z Imajiki. Być może, odkąd opuścił Piąte Dominium, rozkwitła w nim na nowo. Postanowił zachować ostrożność, dopóki nie zorientuje się, na co stać Celestine. - Chciałbym cię o coś zapytać. Pozwolisz?

- Mów.

- Skąd wiedziałas, kim jestem?

- Najpierw powiedz mi, gdzie się podziewałeś przez tyle lat?

Miał ochotę powiedzieć jej całą prawdę, popisać się swoimi osiągnięciami, zrobić na niej wrażenie... Ale grał przecież prawdziwego Sartoriego. Podobnie jak z Judith, musiał dobrze wybrać moment, kiedy ujawni prawdę o sobie.

- Podróżowałem - odparł.

Właściwie nie kłamał.

- Gdzie?

- Głównie po Drugim Dominium, trochę też po Trzecim.

- Byłeś w Yzordderrex?

- Kilkakrotnie.

- A na pustyni za murami?

- Też. Czemu pytasz?

- Bo i ja tam byłem, jeszcze zanim się urodziłem.

- Jestem starszy, niż mogłoby się wydawać - uprzedził. - Wiem, że tego nie widać...

- Wiem, ile masz lat, Sartori - przerwała mu. - Co do dnia.

Jej pewność siebie nie zmniejszyła bynajmniej niepokoju, który budziły w nim macki. Czyta mu w myślach? A jeśli tak - jeśli wie, kim naprawdę jest i co zrobił - to dlaczego się go nie boi?

Nic by nie zyskał, udając, że jej wiedza go nie interesuje. Uprzejmie, choć bez ogródek zapytał, jak to możliwe, szykując w myśli wyrafinowane przeprosiny, gdyby okazała się jedną z przelotnych zdobywczy maestra i chciała mu zarzucić, że o niej zapomniał. Oskarżenie zabrzmiało jednak zgoła inaczej:

- Skrzywdziłeś wielu ludzi, prawda?

- Nie więcej niż inni - zaprotestował słabo. - Naturalnie, parę razy zaszalałem, ale

przecież każdemu się to zdarza.

- Zaszalałeś? To chyba za słabe słowo. Jest w tobie zło, Sartori. Wyczuwam je, tak jak w tej kobiecie wyczułam spermę.

Wzmianka o Judith - bo kim innym mogła być owa rozpustnica? - przypomniało mu, co jej dwa dni wcześniej zapowiedział. Uprzedzał, że odnajdą ciemność w sobie nawzajem, ale wyjaśnił też, że to ludzka rzecz. Argument zadziałał. Może teraz okaże się równie skuteczny?

- To, co we mnie czujesz, to po prostu człowieczeństwo - powiedział.

- O nie - odparła, bynajmniej nieprzekonana. - To ja jestem tym, co w tobie ludzkie.

Miał ochotę ją wyśmiać, ale pod jej spojrzeniem śmiech zamarł mu na ustach.

- Co masz na myśli?

- Jeszcze nie rozumiesz? Jestem twoją matką.

*

Weszli do chłodnego holu wieżowca. Gentle prowadził. Znikąd - ani z góry, ani z podziemi - nie dobiegał żaden dźwięk.

- Gdzie jest Celestine? - zapytał.

Jude zaprowadziła ich do drzwi dawnej sali spotkań Tabula Rasa.

- Muszę to załatwić sam, jak brat z bratem.

- Ja się go nie boję - wtrącił Monday.

- A ja tak - uśmiechnął się smutno Gentle. - I nie chciałbym, żebyście widzieli, jak sikam w spodnie. Zostańcie tutaj. Migiem wrócę.

- Dobrze by było - zauważył Clem. - Bo inaczej po ciebie zejdziemy.

Po tych słowach pocieszenia Gentle zniknął w starym domu Roxborougha. Kiedy wchodził do wieżowca, wspomnienia nie dawały mu znać o sobie, teraz jednak wszystko się zmieniło. Obrazy nie były tak konkretne i namacalne jak przy Gamut Street, gdzie wydawało się, że nawet podłoga przechowała obraz tych, którzy po niej chodzili; jak przez mgłę przypominał sobie biesiady i debaty przy okrągłym dębowym stole. Nie chcąc jednak, by zatrzymała go nostalgia, przemknął szybko przez pokój, jak człowiek, który ma dość armii pochlebców. Zszedł do piwnicy.

Jude opisała mu labirynt, widok jednak był zdumiewający: tak wielka mądrość, pogrzebana w ciemnościach. Czy mógł się dziwić, że przez ostatnie dwa wieki świadomość istnienia Imajiki wygasła w Piątym Dominium niemal całkowicie, skoro wszystkie jej źródła zostały ukryte w tym lochu? Nie przyszedł jednak oglądać książek (choć była to kusząca perspektywa); przybył do Celestine, która - aby go zwabić - podsunęła mu imię Nisi Nirwany.

Nie rozumiał, co ma na myśli. Wydawało mu się, że je pamięta i że wiąże się z nim jakaś dłuższa historia, ale nie mógł sobie przypomnieć ani samej opowieści, ani tego, na czyich kolanach pierwszy raz ją usłyszał. Może Celestine znała odpowiedzi na te pytania.

W podziemiach panowało niezwykle ożywienie, nawet kurz nie zalegał spokojnie na podłodze i półkach, lecz przepływał Gentle'owi przed oczami w rozfalowanych konstelacjach. Nie błędził, ale droga od schodów do celi była dość długa i zanim doszedł na miejsce, usłyszał krzyk - kobiecy zapewne, lecz tak zniekształcony echem, że nie mógł mieć pewności. Przyspieszył kroku.

Więcej krzyków nie było, za to gdy się zbliżył - piwnica wyglądała, jakby ktoś wykopał w ścianie grotę, w sam raz nadającą się na dom dla wyroczeni - usłyszał chrobot trących o siebie cegieł. Z sufitu sypały się kawałki zaprawy, posadzka drżała mu pod stopami. Zaczął wdrapywać się po stosie gruzu, usłanym wypatroszonymi książkami niczym pole bitwy trupami. Przez szczelinę u szczytu dostrzegł gwałtowny ruch w głębi celi. Potknął się i wpadł do środka.

- Bracie? - odezwał się, zanim jeszcze odnalazł Sartoriego w ciemności. - Co robisz, bracie?

Ujrzał go wreszcie, jak podchodzi wolno do stojącej w rogu pomieszczenia kobiety, prawie nagiej, lecz wcale nie bezbronnej. Z ramion i pleców wyrastały jej podobne do strzępów ślubnej sukni włókna i pasma, wyglądające na delikatne, lecz najwyraźniej bardzo mocne. Niektóre opierały się o sufit nad jej głową, ale większość oplatała Sartoriemu głowę duszącym kapturem. Szarpał je, próbując wcisnąć pod spód palce i lepiej chwycić. Z poranionych macek sączyła się jakaś ciecz, gdy wrywał je garściami. Widać było, że wkrótce się uwolni i zemści na kobiecie.

Gentle nie wołał go już (w tym kapturze Sartori nie mógł go usłyszeć), lecz podbiegł bliżej i złapał go od tyłu za ręce. Przyszpilił mu ramiona do boków. Widział, jak Celestine przenosi wzrok z Sartoriego na niego i z powrotem. Albo wstrząs, jakiego doznała, albo wyczerpanie dało o sobie znać. Okaleczone macki rozluźniły się i opadły z twarzy Sartoriego. Celestine, zupełnie już skonfundowana, cofnęła je i zebrała przy sobie.

Sartori mógł wreszcie normalnie widzieć. Zobaczył Gentle'a, od razu przestał się szarpać i spokojnie stał w ramionach Pojednawcy.

- Dlaczego ilekroć cię widuję, bracie, zawsze próbujesz kogoś skrzywdzić? - spytał Gentle.

- Bracie? Odkąd to masz mnie za brata?

- Jesteśmy przecież braćmi.

- W Yzordderrex próbowałeś mnie zabić, nie pamiętasz? Coś się zmieniło?

- Tak. Ja się zmieniłem.

- Czyżby?

- Pogodziłem się z naszym... pokrewieństwem.

- Ładne słowo.

- Przyjąłem na siebie odpowiedzialność za to, kim byłem, jestem i kim się stanę. Muszę za to podziękować twojemu podopiecznemu z In Ovo.

- Miło mi to słyszeć. Zwłaszcza w takim towarzystwie.

Sartori obejrzał się na Celestine. Stała wyprostowana, chociaż widać było, że podtrzymują ją jedynie przyssane do ścian macki. Miała półprzymknięte oczy, drżała na całym ciele. Gentle widział, że potrzebuje pomocy, ale dopóki trzymał Sartoriego, był bezradny. Pchnął go w stronę wyjścia z grotty. Autarcha poleciał na ziemię bezwładnie jak szmaciana lalka, w ostatnim momencie podparł się rękami.

- Pomóż jej, jeśli chcesz. - Spojrzał na Gentle'a obojętnie. - To nie moja broszka.

Dźwignął się z ziemi. Gentle podniósł dłoń do ust; przez chwilę wydawało się, że Sartori może próbować jakiejś sztuczki, ale powiedział tylko:

- Chyba nie kopniesz mnie leżącego, bracie? - I żeby udowodnić, jak nisko upadł, zaczął się wyczołgiwać na zewnątrz. - Jest twoja - dodał i zniknął w korytarzu.

Kiedy Gentle mógł ponownie spojrzeć na Celestine, miała zamknięte oczy, a jej ciało zwisło bezwładnie na mackach. Ruszył w jej stronę. Z wysiłkiem uniosła powieki.

- Nie... podchodź... do... mnie... - wykrztusiła.

Nie dziwił się jej. Mężczyzna, który miał jego twarz, próbował ją przed chwilą zgwałcić albo zamordować - albo jedno i drugie. Dlaczego miałyby teraz zaufać człowiekowi, który niczym się od niego nie różnił? Nie był to też najlepszy moment, by przysięgać, że jest niewinny. Potrzebowała pomocy, nie przeprosin, a on musiał wymyślić, kto jej może pomóc. Celestine odepchnęła Jude tak samo jak jego, ale może Clem się nada.

- Zaraz tu kogoś przyślę - powiedział Gentle i wygramolił się na zewnątrz.

Sartori zniknął; pozbierał się i uciekł. Po raz drugi podążając jego śladem, Gentle ruszył do wyjścia. W połowie drogi spotkał Jude, Mondaya i Clema, którzy rozchmurzyli się na jego widok.

- Baliśmy się, że cię zamordował - wyjaśniła Jude.

- Palcem mnie nie ruszył, próbował za to skrzywdzić Celestine, która nie chce mnie teraz widzieć. Spróbujesz jej pomóc, Clemie? Tylko uważaj. Wygląda kiepsko, ale jest bardzo silna.

- Gdzie ją znajdę?

- Jude cię zaprowadzi. Ja idę po Sartoriego.

- Poszedł gdzieś na górę - wtrącił Monday.

- Nawet na nas nie spojrzał - dodała Jude. - Wyszedł z piwnicy i od razu skręcił do schodów. Coś ty mu zrobił?

- Nic.

- Nigdy nie widziałam u niego takiego wyrazu twarzy. U ciebie zresztą też nie.

- To znaczy?

- Jakby przeżył straszną tragedię - stwierdził Clem.

- Może zwycięstwo przyjdzie nam łatwiej, niż sądziłem.

Gentle wyminął ich i ruszył do schodów.

- Zaczekaj - powstrzymała go Jude. - Nie możemy zaopiekować się Celestine tutaj. Potrzebna nam jakaś bezpieczna kryjówka.

- To fakt.

- Mamy ją zabrać do pracowni?

- Nie. Znam pewien dom w Clerkenwell, tam nic jej nie grozi. Kiedyś Sartori mnie z niego przepędził, ale dom wciąż należy do mnie. Tam właśnie pójdziemy.

ROZDZIAŁ 51

Słońce w foyer sprawiło, że Gentle pomyślał o Taylorze, od którego słów - wypowiedzianych ustami śpiącego chłopca - rozpoczął się dzień. Tyle się od tego czasu zdarzyło, tak wiele zobaczył i takich objawień doznał, że świt wydawał się odległy o całe wieki. Tak już miało być aż do chwili Pojednania. Londyn, który znał dawno temu i o którym Pie powiedział kiedyś, że skrywa więcej aniołów niż Boże szaty, znów stał się miastem wielkich możliwości. Ta świadomość dodawała mu siłę, gdy przeskakując po dwa i trzy stopnie biegł na górę. Dziwne, ale naprawdę miał ochotę spotkać się znowu z Sartorim, porozmawiać z nim, dowiedzieć się, co myśli.

Jude ostrzegła go, że znajdzie na górze pusty korytarz wiodący do sali z marmurowym stołem, a na nim zwłoki Godolphina. Rzeczywiście, już u wylotu schodów powitał go odór śmierci - obrzydliwe (i zbędne) przypomnienie, że istnieje druga, ponura strona objawienia i że piękne, spokojne dni, gdy uchodził za najślynniejszego spirytystę w Europie, miały krwawe zakończenie. Poprzysiągł sobie, że drugi raz tego błędu nie powtórzy. Poprzednia ceremonia zakończyła się tragicznie za sprawą jego brata, który teraz czekał w sali na końcu korytarza. Jeżeli będzie musiał posunąć się do bratobójstwa, żeby zlikwidować zagrożenie, nie zawaha się ani chwili. Sartori był ucieleśnieniem jego niedoskonałości; zabicie go byłoby doświadczeniem oczyszczającym, pożądanym. Być może dla nich obu.

Mdła, trupia woń nasilała się z każdym krokiem. Gentle wstrzymał oddech i bezszelestnie podszedł do drzwi. Same się przed nim otworzyły. Usłyszał dobiegający z pokoju własny głos:

- Nic ci tu nie grozi, bracie. Nie z mojej strony. Nie muszę też oglądać cię upokorzonego, żeby uwierzyć w twoje dobre zamiary.

Gentle wszedł do środka. Zasłony były szczelnie zaciągnięte, ale można by oczekiwać, że nawet najgrubszy materiał przepuści choćby najślaby promyk światła. Nie tutaj. Nie same mury i kotary oddzielały to wnętrze od świata. Sartori siedział przy stole, widoczny tylko dzięki odrobinie jasności sączącej się przez uchylone drzwi.

- Nie usiądziesz? - zapytał. - Wiem, że stół nie wygląda zachęcająco...

Ciało Oscara Godolphina zniknęło, lecz blat był cały umazany krwią i pokryty psującymi się kawałkami mięsa.

- ...ale za to oficjalnie. A powinniśmy przecież rozmawiać jak istoty cywilizowane, nie sądzisz?

Gentle skinął głową, podszedł do drugiego końca stołu i usiadł. Był gotów okazywać dobrą wolę, dopóki Sartori nie spróbuje go zdradzić. Wtedy zareaguje - szybko i bezwzględnie.

- Gdzie ciało? - zapytał.

- Jest tutaj. Pogrzebię je, kiedy skończymy rozmawiać. Człowiek nie powinien gnić w takim miejscu. Chociaż... może lepszego nigdzie by nie znalazł. Sam nie wiem. Potem zagłosujemy, co z nim zrobić.

- Nagle zrobiłeś się demokratą.

- Mówiłeś, że się zmieniasz. Ja również.

- Z jakiegoś konkretnego powodu?

- O tym później. Najpierw... - Sartori zerknął na drzwi, które posłusznie się zamknęły. Pokój zatonął w całkowitej ciemności. - Nie masz chyba nic przeciwko temu? Przy takiej rozmowie nie powinniśmy się widzieć. Mam dość patrzenia w lustro...

- W Yzordderrex lustra ci nie przeszkadzały.

- Tam miałem ciało, tu czuję się... niematerialny. Nawiasem mówiąc, jestem pod wrażeniem tego, co zrobiłeś w Yzordderrex. Wystarczyło jedno twoje słowo i miasto legło w gruzach.

- Ty do tego doprowadziłeś, nie ja.

- Nie wygłupiaj się. Obaj wiemy, jak zapamięta cię historia. Intrygi nikogo nie zainteresują. Będzie wiadomo, że kiedy przybył Pojednawca, mury miasta runęły. Nie zaprzeczaj. Tak rodzą się legendy. Wyjdiesz na mesjasza, a o to ci właśnie chodzi, prawda? Pytanie tylko, co stanie się ze mną, jeśli ty zostaniesz Pojednawcą.

- Nie musimy być wrogami.

- To samo mówiłem w Yzordderrex. Próbowałeś mnie wtedy zamordować.

- Miałem powody.

- Wymień choć jeden.

- Udaremniłeś pierwszą próbę Pojednania.

- Wcale nie pierwszą; wiem jeszcze o trzech innych.

- Moją pierwszą. Zniszczyłeś moje wielkie dzieło.

- Kto ci to powiedział?

- Lucius Cobbitt.

Nastała cisza. Gentle'owi wydało się, że słyszy ruch ciemności - jakby jedwab ślizgał

się po jedwabiu. Ostatnio jednak w głowie miał taki zamęt, że zanim rozeznał się w tych szelestach, Sartori zdążył się otrząsnąć i przemówić:

- Więc Lucius żyje.

- Tylko w mojej pamięci, w domu przy Gamut Street.

- Spokojek nieźle cię wyedukował, co? Wypatroszę skurczybyka. - Sartori westchnął. - Tęsknię za Rosengartenem, był taki lojalny. Brakuje mi też Racidia i Mattalause. Miałem w Yzordderrex paru swoich ludzi. Mogłem im ufać; kochali mnie. Myślę, że to dzięki twojej twarzy: budzi miłość. Na pewno sam to zauważyłeś. Ciekawe, czy w ten sposób przejawia się twoja boskość, czy też po prostu mamy uwodzicielski uśmiech? Nie podoba mi się pomysł, że jedno jest tylko funkcją drugiego; garbus może być świętym, a chodząca piękność - potworem. Zgodzisz się chyba ze mną?

- Naturalnie.

- Widzisz? Nawet myślimy podobnie. Siedzimy tu po ciemku i rozmawiamy jak przyjaciele. Naprawdę uważam, że gdybyśmy nigdy więcej nie oglądali światła, z czasem byśmy się pokochali.

- To wykluczone.

- Dlaczego?

- Mam coś do zrobienia i nie pozwolę, żebyś mi w tym przeszkodził.

- Ostatnim razem okrutnie skrzywdziłeś wielu ludzi, maestro - mówił Sartori. - Nie zapominaj o tym. Przypomnij sobie, jak otworzyły się wrota In Ovo...

Po zmianie w jego głosie Gentle domyślał się, że Sartori wstaje od stołu - chociaż w absolutnej ciemności nie mógł być tego pewien. Sam również poderwał się gwałtownie, przewracając krzesło.

- In Ovo to paskudne miejsce - mówił dalej Sartori. - Naprawdę nie chcę, żeby jego ohyda splugawiła to dominium, lecz obawiam się, że to nieuniknione.

Teraz Gentle wiedział już z całą pewnością, że dzieje się coś dziwnego. Głos nie dobiegał z jednego punktu, lecz rozpraszał się po całym pomieszczeniu, jakby Sartori roztopiał się w mroku.

- Jeżeli wyjdiesz z tego pokoju, bracie, jeśli zostawisz mnie tu samego, potwory z In Ovo zaleją świat.

- Tym razem nie popełnię błędu.

- A kto mówi o błędach? Dopilnuję po prostu, żeby sprawiedliwości stało się zadość. Nie zostawiaj mnie tutaj.

- To chodź ze mną.

- Po co? Miałbym zostać twoim uczniem? Zastanów się, co mówisz! Mam takie samo prawo być mesjaszem jak ty, więc niby dlaczego miałbym zadowolić się rolą żalosego apostoła? Bądź tak miły i spróbuj chociaż tyle zrozumieć.

- Czy to znaczy, że muszę cię zabić?

- Spróbuj.

- Jestem na to przygotowany, bracie. Zabiję cię, jeśli mnie do tego zmusisz.

- Ja też jestem gotów. Ja też.

Gentle uznał, że dalsza dyskusja nie ma sensu. Jeżeli miał zabić Sartoriego - a wyglądało na to, że nie ma wyboru - musiał zrobić to szybko. Potrzebował jednak choć odrobiny światła. Podeszedł do drzwi, żeby je otworzyć, kiedy nagle coś musnęło mu policzek. Sięgnął ręką, żeby zerwać to coś z twarzy, ale umknęło gdzieś pod sufit. Co to mogło znaczyć? Wchodząc do pokoju, wyczuł w nim tylko jedną żywą istotę. Sartoriego. Ciemność była wtedy martwa. A zatem albo Sartori siłą woli natchnął ją iluzorycznym życiem, albo pod jej osłoną przywołał jakąś nową istotę. Tylko jaką? Nic nie mówił, nie użył chyba żadnej sztuki. Jeżeli mimo to zdołał wezwać jakieś stworzenie, musiało być słabe i głupie. Słyszał, jak tłucze się o sufit niczym ślepy ptak.

- Myślałem, że jesteśmy sami - zauważył.

- Gdyby nasza ostatnia rozmowa odbyła się bez świadków, świat nigdy by się nie dowiedział, że dałem ci szansę go ocalić.

- Potrzebowałeś kogoś, kto napisze twoją biografię?

- Niezupełnie...

- A kogo? - Gentle wyciągnął rękę, namacał palcami ścianę i zaczął się przesuwać do drzwi. - Pokaż mi go. - Położył dłoń na klamce. - Wstydzisz się?

Szarpnął jednocześnie oba skrzydła drzwi. To, co nastąpiło później, bardziej go zaskoczyło niż przeraziło: mdłe światło z korytarza zostało błyskawicznie zassane do pokoju - niczym mleko wyssane z piersi dnia, żeby nasycić wygłodniałą, czającą się w mroku istotę. Strumień światła rozdzielał się przy wejściu i opływał Gentle'a z obu stron, a dalej rozpadał się na kilkanaście mniejszych strug i rozchodził po całym pokoju. Klamki wyrwały się Gentle'owi z rąk, drzwi zatrzęsnęły się z hukiem.

Odwrócił się. Usłyszał łoskot przewracanego stołu. Część światła została wchłonięta przez to, co znajdowało się pod spodem - na podłodze leżał Godolphin. Wypatroszony, z wnętrznościami rozsnutymi wszędzie dookoła, nerkami na oczach i sercem ułożonym w kroku. Dookoła śmigwały zwabione do zwłok stwory, unosząc ze sobą cząstki wykradzonego z korytarza światła. Nie miały kończyn, twarzy, a w większości wypadków nawet głów, na

których twarz mogłaby się znajdować - bezkształtne strzępki czerni, posklejane jak odpadki w studzience kanalizacyjnej. Niektóre podrygiwały w bezmyślnym pędzie, inne leżały nieruchomo, obrzmiałe jak gnijące owoce, i rozpekły się na części, odsłaniając pozbawione nasion wnętrze.

Gentle spojrział na Sartoriego, który sam nie wchłonął ani odrobiny światła. Nad jego głową zawisła rozedrgana, podobna do grubej glisty pętla, której złowroga poświata padała mu na twarz.

- Coś ty zrobił? - zapytał Gentle.

- Są sekrety, które Pojednawca brzydziłby się poznać. To właśnie jedna z takich sztuczek. Peripeteria pochodzą z In Ovo. Z zimnego trupa nie da się wyhodować nic groźniejszego, ale peripeteria wiedzą, co to posłuszeństwo, a przecież ani ja, ani ty nie żądamy od naszych sprzymierzeńców nic więcej, nieprawdaż? Od naszych ukochanych też zresztą nie.

- No dobrze, napatrzyłem się. Możesz je teraz odesłać do domu.

- Nie, bracie, najpierw pokażę ci, co potrafią. Są malutkie, ale znają kilka oszałamiających sztuczek.

Sartori podniósł wzrok i ohydna glista spłynęła w dół, w stronę Gentle'a. Jej celem nie był jednak żywy człowiek, lecz zwłoki. W kilka chwil oplotła szyję Godolphina; mniejsze peripeteria krążyły wokół jak pulsująca chmura. Pętla zacisnęła się i zaczęła unosić w powietrze, ciągnąc trupa za sobą. Nerki spadły Godolphinowi z powiek; miał otwarte oczy. Serce ześliznęło się z krocza, w którym ziała rana po utraconej męskości. Resztki jelit wypadły z rozprutego brzucha na ziemię, pozlepiane krzepnącą krwią jak galaretą. Peripeteria ułożyły się tymczasem w szubienicę i pociągnęły pętlę do góry, aż zwłoki uniosły się nad ziemię.

- To wstrętne, Sartori - mruknął Gentle. - Daj spokój.

- Paskudny widok, prawda? Zastanów się, bracie, co potrafi armia takich istotek. Ty nie umiałbyś zapobiec jednej takiej scenie, a co dopiero tysiącom... - Sartori zawiesił głos. - A może się mylę? - spytał ze szczerym zainteresowaniem. - Mógłbyś sprawić, żeby Oscar wstał? To znaczy, wstał z martwych, rzecz jasna. - Ruszył w stronę Gentle'a. Jego twarz, rozjaśniana poświatą szubienicy, wyrażała szczerą zapał. - Jeżeli to potrafisz, przysięgam, że będę twoim uczniem. Najwierniejszym.

Minał wiszącego Godolphina i zatrzymał się dwa kroki przed Gentle'em.

- Przysięgam - powtórzył.

- Opuść go na ziemię.

- Dlaczego?

- Ten pokaz jest żaloszny i niczemu nie służy.

- Może ja też taki właśnie jestem? Może zawsze byłem żaloszny, tylko nie starczyło mi rozumu, żeby sobie to uświadomić?

Nagła zmiana tematu trochę zaskoczyła Gentle'a. Pięć minut wcześniej ten człowiek żądał szacunku należnego mesjaszowi, a teraz sobie zaprzeczał.

- Miałem takie wspaniałe marzenia, bracie! Jakie piękne miasta budowałem w wyobraźni! Jakie imperia! Ale wciąż nie mogłem wyzbyć się wątpliwości, jakby jakiś robał wżarł mi się po cichu w mózg i cały czas powtarzał: wszystko na nic, wszystko na próżno. I wiesz, co ci powiem? Miał rację. Wszystko, za co się brałem, od początku było skazane na niepowodzenie - przez to, kim dla siebie jestełmy.

Clem wspomniął, że uciekając z piwnicy Sartori wyglądał, jakby przeżył tragedię. Może tak właśnie było. Tylko co się naprawdę stało? Co go tak przygnębiło? Gentle musiał to z niego wyciągnąć. Teraz albo nigdy.

- Widziałem twoje imperium - odparł. - Rozpadło się nie dlatego, że ktoś skazał je na zagładę. Musiało runąć, bo zbudowałeś je z gówna.

- Nie rozumiesz, że to właśnie był wyrok? To ja byłem architektem i zarazem surowym sędzią, który uznał je za niewarte tego, by trwało. Od początku miałem siebie samego za przeciwnika, po prostu nigdy tego nie rozumiałem.

- A teraz doznałeś olśnienia?

- Właśnie.

- Dlaczego? Bo zobaczyłeś w tym bagnie własne odbicie? Czy o to chodzi?

- Nie, bracie. Tylko kiedy na ciebie patrzę...

- Na mnie?

Sartoriemu łzy napłynęły do oczu.

- Pomyliła nas...

- Judith?

- Celestine. Nie wiedziała, że jest nas dwóch. Skąd miała wiedzieć? Ucieszyła się na mój widok. Przynajmniej z początku.

Gentle nie spodziewał się, że w jego słowach usłyszy tyle bólu. Szczerego bólu. Sartori cierpiał jak potępieniec.

- Ale wyczuła mnie - mówił dalej. - Powiedziała, że śmierdzą złem. Brzydziła się mnie.

- I co z tego? Przecież chciałeś ją zabić.

- Wcale nie! Nie tknąłbym jej palcem, gdyby mnie nie zaatakowała.
- Strasznie się zrobiłeś czuły.
- To naturalne.
- Nie dla mnie.
- Jesteśmy braćmi, tak? Sam tak mówiłeś.
- Owszem.
- A zatem Celestine jest także moją matką. Czy nie mam prawa oczekiwać jej miłości?
- Matką?
- Tak. To twoja matka, Gentle. Po tym, jak Niewidziany ją zgwałcił, ty przyszedłeś na świat.

Gentle był zbyt wstrząśnięty, żeby zareagować. Do tej pory z trudem gromadził przypadkowe elementy łamigłówek, aż nagle poznał jej rozwiązanie - i nie mógł znieść tego nagłego oświecenia.

Sartori otarł twarz dłońmi.

- Urodziłem się po to, by grać rolę diabła, bracie - powiedział. - Przyszedłem z piekła, gdy ty pochodziłeś z nieba. Rozumiesz teraz? Wszystkie moje plany, zamiary, ambicje to jeden wielki fałsz. Ta część mnie, która jest tobą, pragnie miłości, sławy i chce czynić cuda; druga częśćka mojej istoty, ta, która pochodzi od naszego Ojca, wie, że to wszystko gówno i sprowadza mnie z obłoków na ziemię. Sam się unicestwiam, bracie. Nie pozostaje mi nic innego, jak pogodzić się ze zniszczeniem, które niosę, i żyć z nim do końca świata.

*

Sześć pięter niżej, w foyer, wyzwoliciele Celestine zdołali ją wreszcie namówić, by porzuciła mroki labiryntu i wyszła na światło dzienne. Mimo osłabienia długo się opierała, powtarzając, że nie chce mieć z nimi nic wspólnego, woli zostać pod ziemią i tam szczeznąć. Na szczęście praca z bezdomnymi nauczyła Clema, jak radzić sobie z takim uporem. Nie klócił się z nią, ale i nie wyszedł z celi. Stał na progu, przytakiwał, powtarzał Celestine, że najprawdopodobniej ma rację i niewiele jej przyjdzie z oglądania słońca. Po jakimś czasie zaczęła mu zaprzeczać, mówiąc, że wcale tak nie twierdziła i że gdyby był przyzwoitym człowiekiem, na pewno próbowałby jakoś ulżyć jej cierpieniu. Czy naprawdę chciał, by zmarła jak zwierzę? Zamknięta w ciemnym lochu? Przyznał, że istotnie zachował się niewłaściwie i jeżeli takie jest jej życzenie, zrobi, co się da, żeby zabrać ją na górę.

Posłał Mondaya po samochód Jude i zaczął wyprowadzać Celestine z celi. Najtrudniejszy moment nastąpił, gdy znalazła się na skraju otworu i ujrzała Jude - niewiele brakowało, by zmieniła postanowienie; nie chciała, jak mówiła, mieć nic wspólnego z tą

plugawą lubieżnicą. Jude nie odezwała się ani słowem, Clem zaś - istne wcielenie taktu i uprzejmości - kazał jej przynieść koce z auta. Sam zajął się wyprowadzeniem Celestine po schodach. Szli powoli, kilkakrotnie prosiła, by się zatrzymał, wczepiała się w niego z całej siły. Powtarzała wtedy, że drży nie ze strachu, lecz z nadmiaru wolności, do której jej ciało nie przywykło. Gdyby ktoś - zwłaszcza ta plugawa kobieta - zamierzała skomentować jej wygląd, miał ją natychmiast uciszyć.

Tak oto - raz wsparta na ramieniu Clema, raz odpychająca go, żeby się za bardzo na niej nie opierał, chwilami ledwie powłócząca nogami, chwilami okazująca nadnaturalną wręcz siłę mięśni - uwięziona przez Roxborougha kobieta po dwustu latach odzyskała wolność i wyszła z lochu na światło dnia.

Lecz wieżowiec Tabula Rasa nie wyczerpał jeszcze przewidzianej na ten dzień puli niespodzianek. Na parterze Clem stanął jak wryty, ze wzrokiem utkwionym w drzwi wejściowe, a raczej we wpadające przez nie światło. W promieniach słońca tańczyły miriady drobinek - kurz z drogi mieszał się z pyłkiem i nasionami drzew. Dzień był praktycznie bezwietrzny, one jednak poruszały się w ożywionym tańcu.

- Mamy gościa - stwierdził Clem.

- Tutaj? - zdziwiła się Jude.

Nie widziała w świetle zarysu ludzkiej sylwetki, ale drobinki nie poruszały się zupełnie przypadkowo. Coś nimi kierowało. Clem wiedział, co to za siła.

- Taylor - powiedział łamiącym się głosem. - Taylor przyszedł.

Zerknął na Mondaya, który bez zbędnych pytań zajął jego miejsce. Celestine, która balansowała na granicy przytomności, podniosła nagle głowę. Wszyscy patrzyli, jak Clem idzie ku drzwiom.

- To ty, prawda? - spytał szeptem.

Pyłki w świetle zawirowały gwałtownie.

- Tak myślałem. - Clem zatrzymał się kilka kroków od plamy światła na podłodze.

- O co mu chodzi? - spytała Jude. - Rozumiesz go?

Clem obejrzał się na nią z twarzą zarazem wylęknioną i pełną zachwyty.

- Chce, żebym go wpuścił. Chce wejść. - Clem postukał się w pierś. - We mnie.

Jude się uśmiechnęła. Dotąd dzień przyniósł im głównie niewesołe nowiny, ale oto na jej oczach mogło dojść do zjednoczenia, które jeszcze niedawno uznałaby za całkiem niemożliwe. Clem jednak wahał się i nie podchodził bliżej.

- Nie jestem pewien, czy dam radę - wyjaśnił.

- On cię nie skrzywdzi.

- Wiem. - Clem zerknął przez ramię na plamę blasku. Żłociste punkciki śmigły jak oszalałe. - Nie o to chodzi...

- A o co?

Clem pokręcił głową.

- Facet, mnie się udało - wtrącił Monday. - Wystarczy zamknąć oczy i wyobrazić sobie Anglię.

Clem parsknął śmiechem. Nie odrywał wzroku od światła, gdy Jude przytoczyła ostateczny argument:

- Kochałeś go.

Śmiech zamarł mu w gardle.

- Wciąż go kocham - odparł półgłosem.

- To wyjdź mu na spotkanie.

Clem po raz ostatni zerknął na Jude, uśmiechnął się i wszedł w lśniąca plamę na podłodze.

Zdaniem Jude na pozór nie stało się nic niezwykłego. Clem po prostu wyszedł na dwór przez rozświetlone słońcem drzwi. Wyczuła jednak, że jego gest znaczy coś więcej, że niesie przesłanie, jakiego nigdy by się nie domyśliła. Przypomniało jej się, co mówił Oscar, gdy udawali się we wspólną podróż do Yzordderrex: ostrzegał wtedy, że wróci odmieniona, że będzie oglądać świat w nowy, bardziej wyrazisty sposób. Teraz miała tego najlepszy dowód. Może światło zawsze miało nadnaturalne właściwości, a wszystkie drzwi oznaczały przejścia bardziej znaczące niż z pokoju do pokoju - tylko ona tego dotąd nie dostrzegała.

Clem stał w promieniach słońca jakieś pół minuty, z uniesioną otwartą dłonią, a kiedy odwrócił się do Jude, zobaczyła, że Taylor rzeczywiście przybył. Nie potrafiłaby wskazać, w czym przejawia się jego obecność. Twarz Clema nie zmieniła się ani na jotę, chyba że były to zmiany zbyt subtelne, by umiała je rozpoznać - leciutkie przechylenie głowy, zaciśnięte mocniej niż zwykle usta - a jednak nie miała wątpliwości. W słowach Clema też brzmiała nagła nuta, której wcześniej nie było:

- Zabierzcie stąd Celestine. Na górze dzieje się coś strasznego. Skręcił na schody.

- Pomóc ci? - spytała Jude.

- Nie, zostań przy Celestine. Ona cię potrzebuje.

Celestine odezwała się wtedy po raz pierwszy od wyjścia z piwnicy:

- To nieprawda.

Clem zawrócił i stanął z nią twarzą w twarz.

- Wiesz co, paniusiu? Coraz mniej cię lubię - warknął.

Jude parsknęła śmiechem, rozpoznając wściekły ton Taylora. Zdażyła już zapomnieć, jak doskonale uzupełniali się z Clemem, zanim choroba stępiła wredny charakter Taya.

- Nie zapominaj, że przez ciebie tu jesteśmy - dodał. - Gdyby Judy nas tu nie sprowadziła, dalej siedziałabyś w piwnicy i po ciemku wyskubywała sobie paprochy z pępka.

- W takim razie zabierzcie mnie tam z powrotem - odparła Celestine, mrużąc oczy.

- I właśnie dlatego... - zaczął Taylor.

Jude wstrzymała oddech. Chyba nie zamierza...

- ...dam ci buziaka i grzecznie poproszę, żebyś przestała wreszcie zrzędzić, stara sekutnico. - Taylor pocałował Celestine w czubek nosa. - Do roboty - dodał pod adresem Mondaya i zanim Celestine zdążyła zareagować, wbiegł na schody i zniknął jej z oczu.

*

Wyczerpany nagłym wybuchem żalu Sartori odwrócił się od Gentle'a i skierował w stronę krzesła, które zajmował na początku rozmowy. Nie spieszyło mu się. Szturchnął nogą łąszące się do niego potworki, obejrzał z bliska zwłoki Godolphina i rozbijał je ruchem ręki, przez co na przemian zasłaniały go i odsłaniały, gdy szedł zasiąść na swoim małym tronie. U stóp krzesła zebrało się już stadko służalczych peripeteriów, ale Gentle nie czekał, aż go nimi poszczuje; to, że Sartori wylał z siebie całą rozpacz, nie czyniło go bynajmniej mniej groźnym. Przeciwnie, w ten sposób pogrzebał ostatnią szansę na zawarcie pokoju. Gentle też wyzbył się resztek wątpliwości. Musiał raz na zawsze rozprawić się z bratem - inaczej diabeł, którym Sartori postanowił zostać, ponownie zniweczy jego wielkie dzieło. Nabrał powietrza do płuc, gotów wypuścić pneumę, gdy tylko Sartori spojrzy w jego stronę.

- Dlaczego uważasz, że możesz mnie zabić, bracie? - spytał Sartori, wciąż odwrócony plecami. - Bóg odszedł do Pierwszego Dominium, twoja matka umiera na dole. Zostałeś sam. Masz tylko swoje technienie.

Ciało Godolphina kołysało się miarowo. Sartori nadal się nie odwracał.

- Czy pomyślałeś, co się z tobą stanie, jeżeli się mnie pozbędziesz? Zabijając mnie, możesz zabić siebie.

Gentle zdawał sobie sprawę, że Sartori może przez całą noc sączyć mu takie wątpliwości do ucha. Ta zdolność świetnie uzupełniała jego własny (utracony już) dar uwodzenia; zasiewał ziarno zwątpienia, licząc, że padnie na podatny grunt. Gentle nie zamierzał dać się zwieść: z pneumą w ustach ruszył za nim. Przystanął tylko na moment, uchylając się przed wahnięciem zwłok Godolphina. Kiedy jednak Sartori nadal stał bez ruchu, Gentle był zmuszony zmarnować część oddechu na wypowiedzenie kilku słów:

- Spójrz na mnie, bracie.

Widział, że Sartori zaraz się odwróci; dostrzegł lekki skręt tułowia, ruch głowy i stóp. Zanim jednak zobaczył twarz brata, usłyszał jakiś dźwięk za plecami. Obejrzawszy się przez ramię, zobaczył trzeciego aktora na scenie - Godolphina, który właśnie spadał z szubienicy. Zdażył jeszcze dostrzec kłębiące się w trzewiach trupa potwory, gdy Godolphin rzucił się na niego. Łatwo byłoby przed nim uskokoczyć, ale bestie nie tylko zagnieździły się w zwłokach, lecz poruszały rozkładającymi się mięśniami, dokonując cudu wskrzeszenia. Ręce trupa chwyciły Gentle'a mocno.

Ciężar zwłok - powiększony jeszcze o masę mrocznych istot - powalił go na kolana i wydusił powietrze z płuc w nieszkodliwym wydechu. Zanim zdażył ponownie nabrać tchu, trup wykręcił mu ręce do tyłu.

- Nigdy nie stawaj plecami do martwego człowieka - rzekł Sartori, odwracając się wreszcie.

Na jego twarzy nie malował się triumf, chociaż jednym sprawnym manewrem unieszkodliwił przeciwnika. Przeniósł smutny wzrok na gromadę peripeteriów, które tworzyły szubienicę, i kciukiem lewej dłoni zatoczył małe kółeczko. Musiały zrozumieć ten znak, bo natychmiast się ożywiły.

- Jestem bardziej przesądny od ciebie, bracie - dodał i przewrócił stojące za nim krzesło, które zamiast upaść i leżeć bez ruchu, zaczęło się toczyć przez pokój, jakby reagowało na ruch wirujących w powietrzu istot. - Nawet cię nie dotknę, na wypadek gdyby się okazało, że za odebranie komuś życia grożą jednak jakieś konsekwencje. - Pokazał Gentle'owi otwarte dłonie. Cofnął się pod okno. - Spójrz, jestem niewinny. Umrzesz tylko dlatego, że cały świat się rozpada.

Peripeteria przyspieszyły, reagując na kolejny sygnał. Pojedynczo nie wyglądały groźnie, ale w masie budziły respekt. Wirowały coraz szybciej, aż wzbudzony przez nie pęd powietrza poderwał w górę przewrócone krzesło. Kinkiety wrywały się ze ścian wraz z kawałkami tynku, klamki odpadały od drzwi, pozostałe krzesła dołączyły do wariackiej tarantelli, trzaskając przy każdym zderzeniu. Nawet stół - choć ciężki i ogromny - drgnął i zaczął się przemieszczać. Znajdujący się w oku tego cyklonu Gentle próbował uwolnić się z lodowatego uścisku Godolphina. Gdyby miał więcej czasu, z pewnością by mu się udało, ale okalający go pierścień odłamków zaciskał się błyskawicznie. Mógł schylić głowę, by ją uchronić przed kawałkami drewna, szkła i tynku. Sartori stał pod ścianą i śledził przebieg egzekucji. Jeżeli jego twarz cokolwiek wyrażała, to chyba jedynie niezadowolenie z tego, co widział. Był niczym jagnię, które bezradnie się przygląda, jak jego towarzysz ginie gwałtowną śmiercią.

Wyglądało na to, że nie słyszy odgłosów dobiegających z korytarza - Clem wykrzykiwał imię maestra i walił rozpaczliwie w drzwi. Gentle słyszał to wyraźnie, jednak tak bardzo już osłabł, że nie miał siły zareagować. Pod ostrzałem kawałków mebli i ścian - trafiały wszędzie, w głowę, w pierś, w uda - zwiotczał w objęciach Godolphina. Na szczęście Clem (niech go Bóg błogosławi!) nie potrzebował odpowiedzi: raz za razem próbował barkiem wyważyć drzwi, aż wreszcie zamek ustąpił i oba skrzydła otworzyły się jednocześnie.

W korytarzu było naturalnie jaśniej niż w pokoju i światło tak jak poprzednim razem zostało zassane w mrok obok zaskoczonoego Clema. Peripetria rzuciły się w rozpaczliwą pogoń za strzępkami blasku i w zwartej dotąd chmurze zapanował chaos. Gentle poczuł, jak uścisk ramion Godolphina słabnie - istoty, które go ożywiały, dołączyły do swoich braci w walce o światło. Wir odłamków zwolnił, gdy zabrakło napędzającej go energii - lecz stało się dopiero w chwili, gdy kawał blatu wyrwał połówkę drzwi z zawiasów. Clem w porę dostrzegł zagrożenie i zdążył się cofnąć, ale jego krzyk zaalarmował Sartoriego.

Gentle widział, jak Sartori, porzuciwszy myśl o niewinności, z błyskiem w oku wpatruje się w intruza. Nie ruszył się spod ściany; spod sufitu spadał właśnie deszcz szczątków, na który nie miał zamiaru się wystawiać. Podniósł natomiast rękę, żeby za pomocą wydartej z oka influencji powalić Clema, zanim znów narobi mu kłopotów.

Przygnieciony zwłokami Godolphina do podłogi Gentle zdołał krzyknąć ostrzegawczo. Clem usłyszał go i dostrzegł, jak Sartori wyrывa sobie oko z oczodołu. Nie miał pojęcia, co ten gest może oznaczać. Zareagował odruchowo - schował się za ocalałym skrzydłem drzwi, nim pocisk sięgnął celu. W tym samym momencie Gentle odepchnął ciało Godolphina i stanął na nogi. Zerknął w bok, żeby upewnić się, iż Clemowi nic się nie stało, a potem skoczył w stronę Sartoriego. Miał dość powietrza w płucach, żeby wystrzelić pneumę, ale jego dłonie dopominały się o coś więcej niż samo powietrze. Chciały krwi, chciały rozszarpać mięso i łamać kości.

Nie bacząc na zalegający podłogę i wciąż sypiący się z góry gruz, zaczął biec. Sartori musiał wyczuć, że się zbliża, bo odwrócił się w jego kierunku. Gentle zdążył jeszcze ujrzeć, jak jego twarz wykrzywia się w dzikim grymasie, i w tej samej chwili go dopadł. Niesieni impetem zderzenia polecieli na zasłonięte okno. Szyna z kotarami pękła, zasłona opadła, Sartori uderzył o szybę i roztrzaskał ją w kawałki.

Tym razem pokój zalała prawdziwa powódź blasku. Światło opromieniło twarz Gentle'a, który - choć przez chwilę oślepiiony - działał dalej automatycznie. Cisnął brata na niski parapet i wypchnął go za okno. Sartori, desperacko próbując się uchronić przed

upadkiem, chwycił zerwaną zasłonę, lecz materia darła mu się w rękach. Walczył jak lew, ale w sercu Gentle'a nie było dla niego litości. Sartori zamłócił jeszcze rękoma i wypadł za okno. Krzyczał i spadał w dół, w dół i w dół.

Gentle nie widział jego upadku - i wcale tego nie żałował. Odczekał, aż krzyk się urwie, zanim cofnął się od okna i zakrył dłońmi twarz. Słońce wypaliło mu pod powiekami niebieskie, zielone i czerwone powidoki, i kiedy wreszcie mógł otworzyć oczy, powitał go widok jak po katastrofie. Jedynym ocalałym obiektem w pokoju był Clem, ale i on nie prezentował się najlepiej. Patrzył, jak stwory z In Ovo, które wcześniej walczyły o każdy okrusz światła, umierają od nadmiaru jasności. Ich ciała zmieniały się w ciemną maź, zamiast podrygiwać i fruwać, odczołgiwały się smętnie od okna.

- Widywałem ładniejsze kawałki gówna - zauważył.

Zaczął zrywać z okien kotary. Promienie słońca, rozproszone na gęstym kurzu z zasłon, rozświetlały całe pomieszczenie, aż nie został ani skrawek cienia, w którym peripetria mogłyby się ukryć.

- Taylor jest tu z nami - oznajmił, dokończywszy dzieła.

- W tym świetle?

- Lepiej, w mojej głowie. Uznaliśmy, że przydadzą ci się dwa anioły stróża, maestro.

- Też tak myślę. Dziękuję wam.

Gentle wyjrzał przez okno na zarośnięty kawałek ziemi, gdzie spadł Sartori. Nie spodziewał się zobaczyć ciała - i nie mylił się. Przez wieki panowania jako autarcha Sartori z pewnością poznał sztuki, które pozwoliły mu teraz ocalić cielesną powłokę.

Na schodach spotkali Mondaya, który biegł na górę, bo usłyszał trzask pękającego szkła.

- Myślałem, że już po tobie, szefie.

- Niewiele brakowało.

- Co zrobimy z Godolphinem? - zapytał Clem, gdy razem ruszyli w dół.

- Nic nie musimy robić. W pokoju jest teraz wybite okno...

- Chyba nigdzie nie polecą?

- Nie, ale ptaki go znajdą - odparł beztrząsco Gentle. - Lepiej żeby napasły się nim ptaki niż robactwo.

- Brzmi to sensownie, chociaż trochę ponuro - przyznał Clem.

- Gdzie Celestine? - zaciekawiał się Gentle.

- W samochodzie - odpowiedział Monday. - Siedzi pozawijana w koce i prawie się nie odzywa. Chyba słońce ją drażni.

- Po dwustu latach w ciemnicy to nie dziwota. Na Gamut Street urządzimy jej jakiś przytulny kącik. To wspaniała kobieta, panowie. I moja matka.

- Więc to po niej masz taki wredny charakter - zauważył Taylor.

- Czy ten dom, do którego jedziemy, jest bezpieczny? - zaniepokoił się Monday.

- Jeżeli pytasz, jak zagrozić do niego drogę Sartoriemu, przyznam, że to chyba niemożliwe.

Wyszli do zalanego słońcem foyer.

- Jak myślisz, co ten sukinsyn teraz robi? - spytał Clem.

- Tutaj na pewno więcej się nie pojawi. Podejrzewam, że przez jakiś czas będzie się błąkał po mieście, ale wcześniej czy później wróci tam, gdzie jego miejsce.

- To znaczy?

Gentle rozłożył ramiona.

- Do mnie - odparł.

ROZDZIAŁ 52

1

W tamto gorące popołudnie nie było chyba w Londynie uliczki bardziej nawiedzanej niż Gamut Street. Ani dzielnice słynące w całym mieście z często widywanych zjaw i widm, ani mniej znane (tylko dzieciom i wariatom), a także odwiedzane przez duchy okolice nie mogły pochwalić się większą liczbą gości z zaświatów niż ten jeden zaułek w Clerkenwell. Mimo że niewielu ludzi, nawet tych gotowych na ujrzanie cudu (a samochód, który tuż po czwartej skręcił w Gamut Street, wiozł kilka takich osób), postrzegało zjawy jak twory materialne, ich obecność dało się poznać po zimnych, nieruchomych obszarach powietrza w rozedrganej od słonecznego żaru mgiełce, która unosiła się znad asfaltu. Drugą wskazówką mogły być stada bezpańskich psów, zwabionych tu przenikliwymi gwizdami, jakie wydają niektórzy umarli. Tak oto Gamut Street dusiła się we własnym, gęstym od duchów sosie.

Gentle uprzedził, że w domu nie mogą liczyć na nadmiar wygód; był nieumeblowany, pozbawiony wody i elektryczności, za to przesycony wspomnieniami, które wszystkim przyniosą pociechę po wizycie w wieżowcu nieprzyjaciela.

- Pamiętam ten dom - stwierdziła Jude, wysiadając z auta.

- Musimy uważać - ostrzegł ją Gentle i wszedł na schodki. - Sartori zostawił w środku jednego ze swoich potworków z In Ovo. Mało nie postradałem przez niego zmysłów. Trzeba się go pozbyć, zanim wszyscy wejdziemy.

- Idę z tobą - uparła się Jude i razem stanęli pod drzwiami.

- Daj mi się najpierw rozprawić ze Spokojkiem.

- To imię tego potwora?

- Tak.

- Tym bardziej chcę go zobaczyć. Nie bój się, nie zrobi mi krzywdy. - Jude poklepała się po brzuchu. - Nie zapominaj, że noszę tu dziecko jego maestra. Nic mi nie grozi.

Gentle nie sprzeciwiał się dłużej. Odsunął się na bok, robiąc miejsce Mondayowi, który z wprawą doświadczonego włamywacza otworzył zamek. Nie zdążył jeszcze zejść ze schodków, gdy Jude już wchodziła do domu.

- Zaczekaj. - Gentle wszedł za nią do holu.
- Jak ten stwór wygląda? - spytała Jude.
- Jak małpa. Albo jak dziecko. Nie wiem. Jest bardzo gadatliwy.
- Spokojek...
- Właśnie.
- To imię świetnie pasuje do tego domu.

Stanął przy schodach, patrząc na górę, gdzie znajdował się pokój medytacyjny.

- Uważaj, Jude...
- Nie musisz mi tego powtarzać.
- Wydaje mi się, że nie rozumiesz, jaką moc...
- Przecież tam właśnie się urodziłam - odparła lodowatym tonem. Odwróciła się i spytała: - Mam rację?

- Tak.

Skinęła głową i znów spojrzała na schody.

- Powiedziałeś, że w tym domu czeka na nas przeszłość.
- To prawda.
- Moja też?
- Nie wiem, pewnie tak.
- Nic nie czuję, mam wrażenie, jakbym przyszła na cmentarz. Widzę tylko jakieś mętne, niewyraźne obrazy w głowie.
- Cierpliwości.
- Jesteś bardzo pewny swego.
- Musisz stać się całością, Jude.
- Co masz na myśli?
- Musimy się... pojednać... zjednoczyć ze wszystkim, czym byliśmy. Dopiero wtedy będziemy mogli zrobić następny krok.
- A gdybyśmy nie chcieli go zrobić? Gdybym chciała wymyślić sobie całą od początku, od zera?
- To niemożliwe. Musimy stanowić całość, jeżeli mamy wrócić do domu.
- Jeśli tak wygląda ten dom - skinieniem głowy wskazała znajdujący się na piętrze pokój - to możesz go sobie zatrzymać.
- Nie miałem na myśli kołyski.
- A co?
- Miejsce, skąd do niej trafiliśmy. Niebo.

- W dupie mam niebo. Na razie nie udało mi się jeszcze zrozumieć, co dzieje się na Ziemi.

- To niepotrzebne.

- Pozwól, że sama o tym zadecyduję. Nie mam nawet życia, które mogłabym nazwać swoim własnym, a ty już pakujesz mnie w jakiś wielki plan. Więc powiem ci, że on mnie nie interesuje. Chcę być sobą.

- Będiesz. Jako część...

- Chcę być sobą, a nie częścią całości. Chcę o sobie decydować.

- To nie są twoje słowa. Tak mówi Sartori.

- Jeśli nawet, to co z tego?

- Wiesz, co zrobił. Słyszałaś o jego zbrodniach. Dlaczego chcesz się na nim wzorować?

- To znaczy, dlaczego nie wzoruję się na tobie, tak? A od kiedy to jesteś taką chodzącą doskonałością?! - Ponieważ Gentle nie odpowiedział, wzięła jego milczenie za kolejną oznakę wyniosłości. - Nie chcesz się zniżyć do taplania w błocku?!

- Później o tym podyskutujemy.

- Podyskutujemy? - powtórzyła szyderczo. - Co to, maestro, zamierzasz nam dać lekcję etyki? Chciałabym się dowiedzieć, dlaczego niby taki z ciebie wyjątkowy facet!

- Jestem synem Celestine - odparł spokojnie Gentle.

Jude wytrzeszczyła oczy.

- Słucham?

- Jestem synem Celestine. Została uprowadzona z Piątego Dominium...

- Wiem o tym, Dowd ją porwał. Myślałam, że wszystko mi już opowiedział.

- A co, ten szczegół pominął?

- Właśnie, ten szczegół pominął.

- Mogłem ci o tym powiedzieć w miłszych okolicznościach. Przykro mi.

- Nie... To doskonałe miejsce - zapewniła Gentle'a Jude. Wróciła spojrzeniem do schodów, a kiedy znów się odezwała (co nastąpiło dopiero po długiej chwili), mówiła szeptem: - Ty szczęściarzu. Dla ciebie niebo i dom to jedno i to samo miejsce.

- Może nie tylko dla mnie - mruknął. - Może dla wszystkich.

- Wątpię.

Cisza się przedłużała. Mąciło ją tylko smętne pogwizdywanie Mondaya czekającego na schodkach przed wejściem.

- Teraz rozumiem, dlaczego tak ci zależy, żeby to wszystko wyprostować - stwierdziła

w końcu Jude. - Załatwiasz... jak to się mówi? Kontynuujesz dzieło Ojca.

- Nie myślałem o tym w ten sposób.

- Ale to prawda.

- Na to wychodzi. Mam tylko nadzieję, że do tego dorosłem. Raz wydaje mi się, że dam radę, a za chwilę...

Monday za drzwiami zaczął od nowa swoją melodyjkę.

- O czym myślisz, Jude?

- Żałuję, że nie zbierałam twoich listów miłosnych.

Znów zapadło bolesne milczenie. Jude zniknęła w głębi domu, a Gentle stał przy schodach i zastanawiał się, czy nie powinien jej dogonić - gdyby miało się okazać, że pupil Sartoriego nadal gdzieś się tam kręci. Bał się tylko, że swoją natarczywością jeszcze bardziej ją urazi. Obejrzał się na drzwi wejściowe. Były otwarte. Na progu kładła się plama słońca. W razie czego Jude będzie miała gdzie uciekać.

- Jak tam? - zawołał do Mondaya.

- Gorąco. Clem poszedł po przegryzkę i piwo. Dużo piwa. Powinniśmy zrobić imprezę, szefie. Chyba sobie zasłużyliśmy, nie?

- Zasłużyliśmy. Co z Celestine?

- Śpi. Można już wejść?

- Momencik. Pogwiźdź jeszcze trochę, dobrze? Gdzieś w tym gwizdaniu jest melodia.

Monday się roześmiał. Ten śmiech - całkiem zwyczajny, a zarazem niesamowity jak wielorybia pieśń - sprawił Gentle'owi przyjemność. Jeśli nawet Spokojek chował się po pokojach, w taki piękny dzień nie mógł im specjalnie zaszkodzić. Uspokojony Gentle zaczął wchodzić na piętro. Ciekawe, myślał, czy światło słońca zapędziło wszystkie wspomnienia w jakiś ciemny kąt. Zanim jednak pokonał połowę schodów, przekonał się, że się mylił. Stała przed nim przywołana z wyobraźni zjawia Luciusa Cobbitta - zasmarkana, zapłakana, rozpaczliwie szukająca wiedzy. Chwilę później usłyszał, jak sam udziela chłopcu rad w tę ostatnią, pamiętną noc:

- Studiując, nie zapominaj, że wszystko to już wiesz. Kiedy zechcesz coś czcić...

Zanim dane mu było skończyć drugie przykazanie, jego słowa podjął melodyjny głos płynący gdzieś z góry:

- ...czcij tylko jako swoje prawdziwe „ja”. I niczego się nie obawiaj...

Widmo Luciusa Cobbitta zbladło. Gentle szedł dalej, głos rozbrzmiewał coraz głośniejsze:

- ...i miej zawsze świadomość, że twój nieprzyjaciel też w tobie tkwi i tylko ty możesz

go uzdrowić.

Słuchając tych słów, uświadomił sobie nagle, że mądrość, którą przekazał Luciusowi, wcale nie pochodzi od niego. Sam poznał ją z ust mistyfa.

Drzwi do pokoju medytacyjnego stały otworem. Na parapecie siedział Pie i uśmiechał się do Gentle'a z przeszłości.

- Kiedy to wymyśliłeś? - zapytał maestro.

- Nie wymyśliłem, lecz nauczyłem się - odparł mistyf. - Od matki. Jej opowiedziała to jej matka... A może ojciec, kto wie? Teraz ty możesz przekazać tę mądrość dalej.

- A kim dla ciebie jestem? Synem czy córką?

- Jesteś moim maestrem - odparł zakłopotany Pie.

- To wszystko? Nadal obowiązuje nas podział na panów i sługi? Nie mów, że tak.

- Co innego mogę powiedzieć?

- To, co czujesz.

- Ech... - uśmiechnął się mistyf. - Dnia by zabrakło, gdybym miał ci opowiedzieć, co czuję.

Psotny błysk w jego oku był tak rozczulający, wspomnienie tak rzeczywiste, że Gentle z najwyższym wysiłkiem pohamował się, by nie podejść do okna i nie wziąć w ramiona powietrza wypełniającego miejsce, na którym dawno temu siedział Pie. Na razie jednak miał ważniejsze sprawy na głowie - dzieło Ojca, jak powiedziała Jude, dopominało się o jego uwagę. Kiedy na dobre pozbędzie się Spokojka, wróci tu i wysłucha znacznie ważniejszego wykładu - tym razem o mechanizmach rządzących Pojednaniem. Ta wiedza była mu pilnie potrzebna, a w domu z pewnością rozbrzmiewały echa wielu rozmów na ten temat.

- Wróć - powiedział do siedzącego na parapecie mistyfa.

- Będę czekał.

Słońce, które świeciło prosto w okno, wgrzyło się na moment w sylwetkę Pie, wycinając z niej cząstkę cienia. Gentle'owi zrobiło się niedobrze, bo pamięć podsunęła mu zupełnie inny, wstrząsający obraz: przez Wybiel przewalają się wzburzone fale, a w uszy się wwierca skowyt Pie, który wrócił do Drugiego Dominium, żeby go ostrzec.

- Odczyniony... - jęczał mistyf, zmagając się z mocą Wybielu. - Wszyscy jesteśmy... odczynieni...

Czy wiatr poniósł mistyfowi jakąś jego uspokajającą odpowiedź? Tego Gentle nie pamiętał. Usłyszał jeszcze, jak Pie każe mu odnaleźć Sartoriego. Sartori miał wiedzieć coś, z czego on, Gentle, nie zdawał sobie sprawy. Potem mistyf zamilkł i zniknął, zabrany do Pierwszego Dominium.

Gentle z bijącym sercem odepchnął od siebie ten koszmar i spojrzał trzeźwo na pusty parapet. Dlaczego Sartori był taki ważny? Nawet jeśli Pie odkrył w Pierwszym Dominium sekret pochodzenia Gentle'a i nie zdołał mu tej informacji przekazać, musiał zdawać sobie sprawę, że Sartori również nie ma o niczym pojęcia. A jednak wiedział coś, co zmusiło mistyfa do wyrwania się poza granice Królestwa Bożego i posłania Gentle'a za nim w pościg.

Słyszając dobiegający z parteru krzyk, zapomniał o zagadce i zbiegł po schodach. To Jude go wołała. Za jej głosem trafił do przestronnej, chłodnej kuchni. Jude stała przy oknie, które dawno temu straciło szyby. Powój wpelzł z ogrodu do domu, a potem zgnił w półmroku, który zagęścił nadmiarem własnych łodyg. Przez plątaninę liści przenikały tylko wąskie promyki słońca, wystarczyło ich jednak, by oświetlić Jude i Spokojka, którego przygwoździła nogą do podłogi. Z ustami rozdziawionymi jak teatralna maska wił się pod jej butem.

- To on? - spytała Jude.

- Tak.

Na widok Gentle'a Spokojek najpierw zaczął skamleć:

- ...Nic nie zrobiłem! Zapytaj ją, sam zapytaj, zobaczysz, nic nie zrobiłem! Prawda? Nic a nic. Po prostu nie chciałem wam wchodzić w drogę.

- Sartori nie będzie z ciebie zadowolony - zauważył Gentle.

- Nie miałem szans. - Nie z tobą. Nie z Pojednawcą.

- Więc o tym też wiesz.

- Teraz już tak. „Musimy stanowić całość” - zacytował, doskonale naśladowując głos Gentle'a. - „Zjednoczyć się ze wszystkim, czym byliśmy...”.

- Podśluchiwałeś.

- Musiałem. Taką już mam wścibską naturę. Ale nie zrozumiałem nic - dodał pospiesznie. - Nie szpiegowałem was, słowo!

- Kłamczuch - przerwała mu Jude i zwróciła się do Gentle'a:

- Jak go zabijemy?

- Nie ma potrzeby go zabijać. Boisz się, Spokojku?

- A jak myślisz?

- Czy jeżeli cię oszczędzę, przysięgniesz, że będziesz mi posłuszny?

- Zgodzę się na wszystko!

- Chcesz oszczędzić takie coś? - Jude nie posiadała się ze zdziwienia.

- Tak.

- Po co? Popatrz tylko na to paskudztwo. - Przycisnęła Spokojka obcasem.

- Przestań! - kwiknął Spokojek.

Gentle ukucnął przy nim

- Przysięgnij.

- Przysięgam! Przysięgam! Gentle spojrzął na Jude.

- Zabierz nogę.

- Ufasz mu?

- Nie chcę tu nikogo ani niczego zabijać. Nawet jego. Puść go, Jude.

Jude ani drgnęła.

- Powiedziałem: puść go.

Z najwyższą niechęcią uniosła stopę centymetr ponad podłogę. Spokojek wygramolił się spod niej i uczepił ręki Gentle'a.

- Jestem cały twój, *liberatore* - powiedział, przyciskając spocone czoło do dłoni maestra. - Moje życie należy do ciebie. Na Hyo, na Herateę, na Hapexamendiosa, oddaję ci moje serce.

- Przyjmuję twoje usługi.

- Czego sobie życzysz, *liberatore!*

- Na piętrze jest pewien pokój. Idź tam i zaczekaj na mnie.

- Będę czekał choćby całą wieczność.

- Wystarczy parę minut.

Spokojek wycofał się tyłem do drzwi, kłaniając się głupkowato. W progu okręcił się na pięcie i uciekł.

- Jak możesz ufać czemuś takiemu? - zdumiała się Jude.

- Na razie mu nie ufam.

- Ale nosisz się z tym zamiarem.

- Cholera by cię wzięła, gdybyś miała komuś wybaczyć, prawda, Jude?

- A ty przebaczyłybyś nawet Sartoriemu, co?

- Jest mną, moim bratem i moim synem. Jak mógłbym mu nie przebaczyć?

Mając pewność, że dom jest bezpieczny, Gentle zawołał wszystkich. Monday - urodzony poszukiwacz skarbów - poszedł rozejrzeć się po okolicznych domach, czy nie

znajdzie sprzętów, które zapewniłyby im jakieś minimum komfortu. Dwa razy przynosił narzędzie łupów, a na trzeci wypad zabrał Clema. Wrócili po półgodzinie z dwoma materacami i stosem pościeli, zbyt czystej, żeby mogła zostać porzucona i zapomniana.

- Minąłem się z powołaniem - oświadczył Clem. Uśmiechnął się filuternie, tak jak tylko Taylor potrafił. - Praca włamywacza jest o wiele ciekawsza niż bankowca.

Monday poprosił Jude, żeby pożyczyła mu samochód. Chciał pojechać do South Bank i zabrać rzeczy, które musiał zostawić, gdy popędził za Gentle'em. Zgodziła się, poprosiła tylko, żeby prędko wracał. Na razie panował dzień, powiedziała, ale gdy nadejdzie noc, każda para rąk i każdy sprawny umysł przyda się do obrony domu. Clem ułożył Celestine na większym z dwóch materaców w dawnej jadalni i siedział przy niej, aż zasnęła. Kiedy dołączył do reszty towarzystwa, charakterystyczne dla Taylora ożywienie było już mniej wyczuwalne.

- Celestine zasnęła? - spytała Jude.

- Nie wiem, czy to zwykły sen, czy śpiączka. Gdzie Gentle?

- Coś kombinuje na gorze.

- Pokłóciliście się.

- To nic nowego. Wszystko się zmienia, a my się kłócimy.

Clem usiadł na schodkach przed wejściem, otworzył piwo i napił się z wyraźną przyjemnością.

- Wiesz, chwilami się zastanawiam, czy to wszystko nie jest jedną wielką iluzją. Ty pewnie lepiej rozumiesz te rzeczy; widziałaś inne dominia, wiesz, że naprawdę istnieją... Ale kiedy poszliśmy z Mondayem po materace, parę ulic stąd widziałem ludzi, którzy żyją normalnie, spacerują jak gdyby nigdy nic. I kiedy sobie pomyślałem, że znam kobietę przez dwieście lat pogrzebaną żywcem w piwnicy, matkę syna boga, o którym nigdy nie słyszałem...

- Więc powiedział ci o tym, tak?

- Naturalnie. Kiedy tak rozmyślałem, miałem ochotę pójść do domu, zamknąć drzwi na klucz i udać, że to wszystko mi się przyśniło.

- Co cię powstrzymało?

- Głównie Monday; chłopak nie główkuje bez potrzeby, tylko akceptuje to, co widzi. No i świadomość, że Tay we mnie siedzi. Chociaż z drugiej strony wydaje mi się to tak naturalne, jakbym miał go w sobie od zawsze.

- Może tak właśnie jest... Mamy jeszcze piwo?

- Pewnie.

Naśladowując go, Jude stuknęła butelką o stopień. Kapsel odskoczył, piwo speniło się w szyjce.

- No to dlaczego chciałeś uciec? - zapytała, gdy zaspokoila pragnienie.

- Nie wiem. Może ze strachu przed tym, co ma się wydarzyć. Głupie, nie? Szykuje się coś wzniosłego, jak mówił Tay; światło spłynie na świat z krainy, o jakiej nawet nam się nie śniło. To będą Narodziny Niezwycięzonego Syna, prawda?

- Synowie mogą być spokojni. Zawsze spadają na cztery łapy.

- Martwisz się o córki?

- Tak. Hapexamendios pozabijał wszystkie boginie w Imajice, a przynajmniej próbował to zrobić. Teraz dowiedziałam się, że Gentle jest jego synem. To mi nie pomaga.

- Rozumiem cię.

- Jakaś część mnie uważa... - Jude zawiesiła głos.

- Co? Powiedz.

- Że zachowujemy się jak durnie, ufając któremuś z nich, Hapexamendiosowi albo jego Pojednawcy. Skoro był takim kochającym bogiem, dlaczego przyniósł tyle cierpienia? Nie mów mi tylko, że nie możemy poznać wszystkich jego sekretów, bo oboje wiemy, że to bzdura.

- Rozmawiałaś o tym z Gentle'em?

- Próbowałam, ale on teraz myśli tylko o jednym...

- O dwóch. O Pojednaniu i Pie'oh'pahu.

- A tak, o cudownym Pie'oh'pahu.

- Wiesz, że się z nim ożenił?

- Mówił mi o tym.

- To musiała być niesamowita istota.

- Obawiam się, że jestem do niej uprzedzona - odparła oschle Jude. - Próbowała mnie zabić.

- Gentle powiedział, że takie zachowanie nie leży w naturze Pie.

- Nie?

- Podobno to on, Gentle, kazał mu prowadzić życie dziwki i płatnego mordercy. To przez niego, jak mówi. O wszystko się obwinia.

- Obwinia się, czy tylko przyjmuje odpowiedzialność? Bo to dwie różne rzeczy.

- Nie wiem - przyznał Clem, nie chcąc się wdawać w takie subtelnosci. - Ale na pewno bez Pie czuje się zagubiony.

Jude wolała milczeć. Chciała powiedzieć, że ona też jest zagubiona i też tęskni, ale

nawet Clemowi nie mogła powierzyć tych myśli.

- Gentle mówi, że duch Pie wciąż żyje, tak jak duch Taylora - ciągnął Clem. - Kiedy będzie po wszystkim...

- On w ogóle dużo mówi - przerwała mu Jude. Miała dość powtarzanych setki razy złotych myśli Gentle'a.

- Nie wierzysz mu?

- A jakie to ma znaczenie? - spytała lodowato. - Nie pasuję do tej ewangelii. Nie jestem jego kochanką i nie będę jego apostołem.

Odwrócili się na dźwięk kroków. Gentle stał w holu. Promienie słońca odbijały się od schodów przy progu i niczym światła rampy padały na jego twarz. Był spocony, koszula kleiła mu się do ciała. Zakłopotany Clem zerwał się na równe nogi, trącąc butem butelkę. Sturlała się dwa stopnie w dół, chlapiąc pianą i piwem, zanim Jude udało się ją złapać i postawić.

- Na górze jest okropnie gorąco - stwierdził Gentle.

- Tu też. I wcale nie robi się chłodniej - zauważył Clem.

- Mogę cię prosić na słówko?

Jude widziała, że Gentle chce porozmawiać z Clemem z dala od niej, ale Clem albo był zbyt prostoduszny, żeby to zauważyć (w co raczej wątpiła), albo nie chciał podjąć tej gry. Nie ruszył się z miejsca, więc Gentle musiał podejść do drzwi.

- Kiedy Monday wróci, pojedziesz do wiejskiej posiadłości Godolphina i przywieziesz kamienie z Azylu. Dokonam Pojednania tutaj, na piętrze. Wspomnienia mi pomogą.

- Dlaczego wysyłasz Clema? - spytała Jude. Nie wstała, nawet nie odwróciła się do niego. - Ja wiem, jak się tam jedzie. On nie. Wiem również, jak wyglądają kamienie. On nie.

- Lepiej będzie, jak zostaniesz ze mną.

Tym razem się odwróciła.

- Po co? Do niczego ci się nie przydam. No chyba że po prostu chcesz mnie mieć na oku.

- W żadnym wypadku.

- To pozwól mi jechać. Wezmę sobie Mondaya do pomocy. Clem i Tay zostaną z tobą. I tak są twoimi aniołami stróżami, nie?

- Jeżeli tego właśnie chcesz... Proszę bardzo.

- Nie bój się, wrócę - uspokoiła go kpiarskim tonem. Podniosła butelkę. - Chociażby po to, żeby wypić za cud.

W jakiś czas potem, kiedy niebieski przypyływ zmierzchu zaczął zalewać ulice, wypychając dzień ku dachom, Gentle zostawił Pie i zszedł do Celestine. W jadalni panował lepszy nastrój do medytacji niż w pokoju na piętrze, gdzie z taką łatwością przywoływał wspomnienia o Pie, że chwilami zapominał, iż mistyf nie jest przy nim obecny ciałem, lecz tylko duchem. Ciem pozapalał świece i postawił je przy materacu Celestine. W ich świetle Gentle znalazł kobietę śpiącą głębokim snem bez marzeń. Nie była może wychudzona, ale rysy miała przesadnie ostre, jakby jej ciało częściowo zmieniło się w kość. Zastanawiał się, czy i jego twarz pewnego dnia podobnie spochmurnieje. Przykucnął pod ścianą u stóp materaca i wsłuchał się w równomierny, powolny rytm oddechu śpiącej.

W głowie kręciło mu się od nowin, które poznał - lub przypomniał sobie - w pokoju na górze. Podobnie jak większość znanych mu sztuk magicznych, także Pojednanie nie wiązało się z jakąś wielką ceremonią. Największe religie Piątego Dominium pławiły się wprawdzie w rytuałach, by ukryć przed wiernymi prawdę o swoim nędznym pojmowaniu istoty bóstwa (liturgie, msze, pieśni i sakramenty miały służyć wzmocnieniu tej odrobiny zrozumienia, którą święci mężowie rzeczywiście posiadli), ale teatralne ceremonie stawały się zbędne, gdy duchowni poznali prawdę. Z pomocą wspomnień mógł stać się takim właśnie kapłanem.

Przekonał się już, że zasady rządzące Pojednaniem nie są nazbyt złożone. Wyglądało na to, że co dwa stulecia zakwitał osobliwy kwiat, lotos o pięciu płatkach, który przez krótkie chwile unosił się w śmiercionośnym przestworze In Ovo, odporny zarówno na jego jad, jak i na zakusy jego mieszkańców. Ta enklawa pokoju nosiła różne nazwy, ale najczęściej - i najprościej - nazywano ją Ana. W Ana zamierzali się spotkać maestrowie. Każdy miał przynieść zapisany w głębi swojej istoty obraz dominium, z którego przybył. Od momentu, gdy złożą te obrazy w całość, proces powinien toczyć się dalej siłą rozpędu; elementy stopią się ze sobą, zasilane energią Ana rozrosną, odepchną materię In Ovo i otworzą drogę z Pojednanych Dominiów do Piątego.

- Sprawy same układają się jak najlepiej dla ciebie - rozbrzmiewał głos mistyfa z innych, lepszych czasów. - Wszystko, co zniszczone, instynktownie dąży do naprawienia. Imajica również jest pęknięta i wyczekuje Pojednania.

- To dlaczego tyle razy się nie powiodło?

- Nie było tych prób tak znowu dużo - zauważył Pie. - I zawsze o porażce decydowały zewnętrzne siły. Christos przegrał z polityką; Pineo został zniszczony przez Watykan. Zawsze

ktos obcy niweczył wysiłki maestra. My nie mamy takich wrogów.

Teraz, po latach, jego słowa brzmiały żałośnie. Gentle nie mógł sobie pozwolić na taką błogą beztroskę, dopóki Sartori pozostawał przy życiu, a on sam miał przed oczami ostatnie, rozpaczliwe spotkanie z Pie przy Wybielu.

Nie było sensu tego rozpamiętywać. Spojrzał na Celestine. Nie umiał myśleć o niej jak o matce. Może wśród niezliczonych wspomnień zebranych w tym domu były i takie, w których jako dziecko siedział u niej na kolanach, przyciskał bezzębne usta do jej piersi i karmił się jej mlekiem - ale na razie mu się wymykały. Chyba jednak upłynęło za dużo czasu, zbyt wiele żywotów i kobiet oddzielało go od kołyski. Potrafił doszukać się w sercu wdzięczności za to, że dała mu życie, ale nic więcej.

Po jakimś czasie stróżowanie przy Celestine zaczęło go przygnębiać. Zanadto przypominała trupa, leżąc tak bez ruchu, on zaś upodabniał się do sumiennego, choć obojętnego żalobnika. Już chciał wyjść z pokoju, ale zatrzymał się jeszcze i musnął policzek Celestine. Nie dotykał jej od blisko dwóch i pół stuleci - być może, nie dotknie już nigdy więcej. Wbrew temu, czego się spodziewał, jej skóra nie była wcale lodowata, lecz ciepła. Przytrzymał dłoń przy twarzy Celestine dłużej, niż zamierzał, aż gdzieś w otchłani snu poczuła jego dotyk i wyglądało na to, że zaczyna o nim snić. Jej twarz złagodniała. Błede wargi się poruszyły.

- Moje dziecko?

Nie wiedział, czy powinien odpowiedzieć, ale kiedy powtórzyła pytanie, odparł:

- Słucham, mammo?

- Czy będziesz pamiętał, co ci opowiadałam?

Co teraz? - zmartwił się Gentle.

- Nie... nie jestem pewien. Spróbuję.

- Mam powtórzyć? Chcę, żebyś zapamiętał, dziecko.

- Tak, mammo. To dobry pomysł. Powiedz mi wszystko jeszcze raz.

Uśmiechnęła się ledwie zauważalnie i zaczęła historię, którą musiała opowiadać dziesiątki razy.

- Była sobie kobieta, która nazywała się Nisi Nirvana...

W tym momencie sen, który śniła, odplynał i zaczęła się ześlizgiwać w otchłań bez marzeń. Jej głos słabł z każdą chwilą.

- Mów, mammo - odezwał się Gentle. - Ja cię słucham. Była sobie kobieta...

- ...tak...

- ...nazywała się Nisi Nirvana...

- ...tak. Zawędrowała kiedyś do miasta grzechu i niegodziwości, w którym żaden duch nie był święty, a żadne ciało zdrowe. Ktoś ją w tym mieście okrutnie skrzywdził...

Głos Celestine stał się silniejszy, ale uśmiech zniknął z jej twarzy.

- Jak ją skrzywdził, mammo?

- Tego nie musisz na razie wiedzieć, moje dziecko. Pewnego dnia się dowiesz, a wtedy zaczniesz żałować, że nie możesz o tym zapomnieć. Wiedz jednak, że była to krzywda, jaką tylko mężczyzna może wyrządzić kobiecie.

- Kto jej zrobił krzywdę?

- Mówiłam ci, dziecko, mężczyzna.

- Jaki mężczyzna?

- Nie ma znaczenia, jak się nazywał. Najważniejsze, że uciekła od niego i wróciła do swojego miasta. Wiedziała, że musi przekuć w dobro to zło, które jej wyrządzono. I wiesz, co było tym dobrem?

- Nie, mammo.

- Dziecko, śliczne, malutkie dzieciątko. Kochała je strasznie, ale kiedy urosło, zrozumiała, że wkrótce od niej odejdzie. Powiedziała więc: Zanim mnie opuścisz, chcę ci coś opowiedzieć. Wiesz, jaką historię mu opowiedziała? Zapamiętaj ją, moje dziecko.

- Mów, mammo.

- Była sobie kobieta, która nazywała się Nisi Nirvana. Zawędrowała kiedyś do miasta grzechu i niegodziwości...

- To ta sama historia, mammo.

- ...w którym żaden duch nie był święty...

- Nie skończyłaś poprzedniej historii, mammo. Zaczynasz ją od początku.

- ...a żadne ciało zdrowe. Ktoś ją w tym mieście...

- Przestań, mammo. Przestań.

- ...okrutnie skrzywdził...

Zaniepokojony Gentle cofnął dłoń, ale Celestine nie umilkła - przynajmniej nie od razu. Historia potoczyła się dokładnie tak samo: ucieczka z miasta, dobro ze zła, dziecko, śliczne, malutkie dzieciątko. W końcu Celestine zaczęła odpływać w głąb snu. Jej słowa stały się niewyraźne. Gentle podszedł do drzwi. Teraz już szeptała:

- Powiedziała więc: Zanim mnie opuścisz, chcę ci coś opowiedzieć.

Sięgnął do tyłu i otworzył drzwi, nie odrywając od niej oczu.

- Wiesz, jaką historię mu opowiedziała? Zapamiętaj ją... moje... dziecko...

Wymknął się do holu. Przypadkowy słuchacz nie zrozumiałby ostatnich słów, lecz on

wiedział, że Celestine, odpływając w czerń bez marzeń, zaczyna opowiadanie od nowa:

- Była sobie kobieta...

Zamknął drzwi. Nie wiedzieć czemu, drżał jak osika. Dobrą chwilę trwało, zanim opanował dreszcze, a kiedy odwrócił się od progu, ujrzał Clema, który stał przy schodach i grzebał w pudełku ze świecami.

- Cały czas śpi? - zapytał Clem.

- Tak. Rozmawiałaś z nią?

- Niewiele, a co?

- Właśnie opowiedziała mi przez sen pewną historię, o Nisi Nirvanie. Wiesz, co to znaczy?

- Nisi Nirvana? Gdyby Niebo. To czyjeś imię?

- Tak, i to chyba bardzo dla niej ważne. Prosiła, żeby Jude mi je przekazała.

- A ta historia?

- Cholernie dziwna.

- Może jak byłeś mały, bardziej ci się podobała.

- Może...

- Mam cię zawołać, jeśli znów zaczniesz mówić przez sen?

- Chyba nie. Tę opowieść znam już na pamięć.

Gentle wszedł na schody.

- Przydadzą ci się świece - zauważył Clem. - I jakieś zapalki.

- Faktycznie. - Wziął od Clema sześć grubych białych świec i oddał jedną. - Pięć to magiczna liczba.

- Zaniósłem ci na górę coś do jedzenia - dodał Clem. - Znajdziesz zarcie koło schodów. Nie jest może wybitne, ale można się nim najeść. A poza tym jak je tak zostawisz, zniknie, gdy tylko wróci Monday.

Nie zatrzymując się, Gentle podziękował mu, zgarnął z podłogi chleb, truskawki, butelkę piwa i wrócił do pokoju medytacyjnego, pustego jak więzienna cela. Pie tym razem nie czekał. Gentle wciąż miał umysł zaprzątnięty słowami matki. Dopiero gdy ustawił świece na kominku i próbował jedną zapalić, zza pleców dobiegł go szept mistyfa:

- Sprawilem ci ból.

Pie siedział na parapecie. Miał zatroskaną twarz.

- Nie powinienem był pytać - ciągnął. - To była czcza ciekawość. Wczoraj czy przedwczoraj słyszałem, jak Abelove pytał o to Luciusa. To mi dało do myślenia.

- Co Lucius odpowiedział?

- Że pamięta, jak ssał pierś. To jego najdawniejsze wspomnienie, sutek w ustach.

Dopiero teraz Gentle zrozumiał, o czym mówią. Jego pamięć kolejny raz wygrzebała fragment dawnej dyskusji, który odnosił się do jego obecnej sytuacji. Tutaj, w tym pokoju, rozmawiali kiedyś o wspomnieniach z dzieciństwa i maestro - tak jak teraz - był w kropce. Z tych samych powodów.

- Ale żeby zapamiętać opowieść, w dodatku taką, która ci się nie podobała...

- Nie to, że mi się nie podobała. Nie przerażała mnie jak opowieści o duchach; była gorsza...

- Nie musimy o tym rozmawiać - przerwał mu Pie i Gentle miał przez chwilę wrażenie, że temat został zamknięty. Chyba nawet nie miałby nic przeciwko temu. Wyglądało jednak na to, że jedna z niepisanych zasad w tym domu stwierdza, iż przed żadnym, nawet najbardziej niepokojącym pytaniem nie da się uciec.

- Czekaj, chciałbym to wyjaśnić - uparł się maestro. - Jeśli zdołam, bo trudno sobie czasem wyobrazić, czego może bać się dziecko.

- Chyba że będziemy słuchać jego uszami i sercem.

- To jeszcze trudniejsze.

- Ale warto spróbować, nie sądzisz? Opowiedz mi tę historię.

- No dobrze... Matka zawsze zaczynała ją tak samo: „Zapamiętaj ją, moje dziecko”, a ja już wiedziałem, co będzie dalej. „Była sobie kobieta, która nazywała się Nisi Nirvana. Zawędrowała kiedyś do miasta grzechu i niegodziwości...”.

Gentle po raz kolejny usłyszał historię Nisi Nirvany, tym razem z własnych ust. Kobieta, miasto, krzywda, dziecko, a potem nieunikniona powtórka - kobieta, miasto, krzywda...

- Gwałt w bajce dla dzieci to kiepski pomysł - zauważył Pie.

- Nigdy nie użyła tego słowa.

- Ale to właśnie jest ta krzywda, prawda?

Gentle przytaknął, chociaż czuł się z tym nieswojo. To był sekret jego matki. Jej ból. Naturalnie, Celestine i Nisi Nirvana były jedną osobą, a miasto grzechu - Pierwszym Dominium. Opowiadała mu własną historię, zakamuflowaną pod postacią ponurej bajki. Co dziwniejsze, wplotła w opowieść jego samego, a także siebie, kiedy ją relacjonowała, tworząc koło, z którego nie sposób wyjść, ponieważ wszystkie jego składniki są w nim uwięzione. Czy to właśnie poczucie zniewolenia tak go niepokoiło, gdy był mały? Pie miał inną teorię na ten temat.

- Nic dziwnego, że tak się bałeś - mówił właśnie. - Nie wiedziałeś, jaką krzywdę

wyrządono kobiecie, ale rozumiałaś, że to coś okropnego. Matka chciała dobrze, lecz twoja wyobraźnia oszalała.

Gentle nie odpowiedział; nie mógł odpowiedzieć. Po raz pierwszy w tych rozmowach z Pie wiedział więcej, niż pamięć mogła mu podsunąć. Ta zmiana strzaskała zwierciadło, w którym oglądał przeszłość. Nagle poczuł dotkliwy ból po stracie, który zmieszał się z żalem, jaki wniósł do pokoju. Zupełnie jakby historia Nisi Nirvany wyznaczała linię podziału między człowiekiem, który (nieświadomy swojej boskości) zamieszkiwał ten dom dwieście lat wcześniej, i współczesnym Gentle'em, który wiedział, że Nisi Nirvana to jego matka, a zbrodnia z jej opowieści to akt, który doprowadził do jego poczęcia. Mając tę świadomość, nie mógł już więcej bezkarnie rozgrzebywać minionych czasów. Dowiedział się o Pojednaniu wszystkiego, co konieczne; dla dłuższego babrania się w przeszłości nie znajdował usprawiedliwień. Przyszedł czas, by porzucić wspomnienia, a wraz z nimi Pie'oh'paha.

Otworzył piwo. Zapewne nie powinien był w takiej chwili pić alkoholu, ale chciał uczcić przeszłość, zanim na dobre zniknie. Przyszło mu na myśl, że w którymś momencie musieli chyba z Pie wypić za powodzenie wspólnego przedsięwzięcia. Może udałoby mu się przywołać tę chwilę i ostatni raz zatopić się we wspomnieniach. Podniósł butelkę do ust i usłyszał śmiech mistyfa. Ujrzał rozplywającą się w powietrzu postać Pie, który wznosił toast za przyszłość, i to nie kieliszkiem, lecz karafką wina. Próbował jeszcze stuknąć się z nim butelką, ale mistyf za szybko się rozwiął. Zanim przeszłość i przyszłość spełniły wspólny toast, wizja się ulotniła. Czas zaczynać.

Wrócił Monday - z parteru dobiegał jego podekscytowany głos. Gentle odstawił piwo na półkę nad kominkiem i wyszedł z pokoju, ciekaw, co się wydarzyło. Chłopak stał w drzwiach wejściowych i tłumaczył Jude i Clemowi, jak wygląda miasto. Mówił, że nigdy nie widział tak niesamowitego sobotniego wieczoru - na wymarłych ulicach tylko światła na skrzyżowaniach migały jak zwykle.

- Przynajmniej szybko dojedziemy - zauważyła Jude.

- Dokąd?

Kiedy mu wyjaśniła, ucieszył się.

- Lubię wieś - stwierdził. - Tam człowiek może robić, co mu się żywnie podoba.

- Wystarczy, jak wrócimy cali i zdrowi. On nam ufa.

- Nie ma sprawy! - Monday był cały w skowronkach. Zwrócił się do Clema: - Pilnuj szefa, dobra? Jakby coś się popieprzyło, zawsze możemy dać znać Irishowi i pozostałym.

- Powiedziałeś im, gdzie jesteśmy? - zdziwił się Clem.

- Spoko, nie przyjdą upomnieć się o łóżko. Ale coś mi się widzi, że im więcej

będziemy mieli kumpli, tym lepiej. Jestem gotowy - dodał pod adresem Jude i wyszedł przed dom.

- Nie zajmie nam to więcej niż dwie, trzy godziny - powiedziała Jude. - Uważaj na siebie, Clem. I na niego.

Spojrzała w górę schodów, ale palące się u ich stóp świece rzucały słabutki blask i nie mogła dostrzec stojącego na piętrze Gentle'a. Dopiero kiedy wyszła i z ulicy dobiegł warkot samochodu, Gentle zszedł na dół.

- Monday wrócił - poinformował go Clem.

- Słyszałem.

- Przeszkodził ci? Przykro mi.

- Nie, nie, i tak już skończyłem.

Clem spojrzał w gwiazdy.

- Upalną mamy noc.

- Może się zdrzemniesz? Ja postoję na straży.

- A gdzie ten twój przydupasek?

- Spokojek, Clemie. Jest na górze. Czuwa.

- Nie ufam mu.

- Nic nam nie zrobi. Idź się położyć.

- Rozmawiałeś z Pie?

- Więcej się chyba od niego nie dowiem. Sprawdzę jeszcze, co słychać u pozostałych maistrów z Synodu.

- Jak chcesz to zrobić?

- Zostawię ciało w pokoju na piętrze i udam się w podróż.

- To chyba niebezpieczne?

- Już to robiłem, ale w pewnym sensie masz rację, moja cielesna powłoka będzie narażona na niebezpieczeństwo.

- Obudź mnie, jak będziesz gotowy. Popilnuję cię. Jak pies.

- Idź, kimnij się godzinkę.

Clem wziął świecę i poszedł szukać miejsca do spania, a Gentle zajął jego pozycję przy wejściu. Usiadł na schodkach, oparł się plecami o futrynę i chłonał ledwie wyczuwalne powiewy nocnego zefirka. Przy Gamut Street nie świeciła się ani jedna latarnia - tylko blask księżyca i otaczających go gwiazd pozwalał dostrzec dom naprzeciwko i blade spody liści, którymi poruszał wiatr. Ukołysany do snu Gentle przegapił spadające gwiazdy.

- Jakie piękne! - powiedziała dziewczyna.

Mogła mieć najwyżej szesnaście lat, a kiedy się śmiała (tego wieczora jej towarzysz chętnie ją rozweselał), wydawała się jeszcze młodsza. Teraz jednak nie śmiała się, lecz z zadartą głową śledziła rój meteorów. Sartori nie mógł oderwać od niej wzroku.

Spotkał ją trzy godziny wcześniej na targu świętojańskim na Hampstead Heath i z łatwością wkradł się w jej łaski. Handel szedł kiepsko - kupujący jakoś nie dopisali - więc gdy tylko o zmierzchu zamknięto kramy, namówił ją, żeby przeszli się po mieście. Zaproponował, że kupią jakieś wino i powłóczą się trochę bez celu; potem znajdą jakiś miły zakątek, żeby usiąść, porozmawiać i popatrzeć w gwiazdy. Dawno już nie zabawiał się w uwodziciela - Judith to zupełnie co innego - ale stare sztuczki przychodziły mu z łatwością. Satysfakcja ze skruszenia oporów dziewczyny, w połączeniu z wypitym winem, pomogła mu złagodzić ból niedawnych niepowodzeń.

Dziewczyna - Monica - była prześliczna i posłuszna. Z początku tylko ukradkiem spoglądała mu w oczy, ale był to element gry, którą Sartori chętnie podjął, aby odwrócić myśli od nieuchronnej tragedii. Mimo nieśmiałości nie oponowała, gdy zaproponował spacer przez łąkę nieopodal zburzonych domów na tyłach Shiverick Square; napomknęła tylko coś o tym, żeby traktował ją przyzwoicie. Spełnił jej życzenie. Szli po ciemku, aż znaleźli miejsce, w którym zarośla wyraźnie rzedły, tworząc małą polankę. Niebo było bezchmurne i Monica mogła stąd bez przeszkód oglądać deszcz meteorów.

- Zawsze się trochę boję, jak widzę gwiazdy - zdradziła mu swoim bezbarwnym cockneyem.

- Dlaczego?

- No bo... Jesteśmy przy nich tacy malutcy, nie?

Wcześniej już poprosił, żeby opowiedziała mu o sobie, i poznał strzępki jej biografii - było coś o chłopcu imieniem Trevor, który mówił, że ją kocha, a potem uciekł z jej najlepszą przyjaciółką; o żabkach z porcelany, które kolekcjonuje jej matka; i o tym, że chciałyby mieszkać w Hiszpanii, bo tam wszyscy są tacy szczęśliwi.

Teraz natomiast stwierdziła bez ogródek, że Hiszpania, Trevor i porcelanowe żaby nic jej nie obchodzą. Była szczęśliwa, a widok gwiazd, który zwykle ją przerażał, dziś sprawił, że miała ochotę pofrunąć w powietrzu. Odparł, że jeśli naprawdę tego chce, mogą polatać razem. Wystarczy jedno jej słowo.

Spojrzała na niego i westchnęła z rezygnacją.

- Wiem, co masz na myśli - stwierdziła. - Wszyscy jesteście tacy sami. Latanie... Czy tak to właśnie nazywasz?

Zaczął jej tłumaczyć, że opacznie go rozumiała. Nie po to tu przyszli, żeby ją obmacywał.

- A po co? - spytała.

W odpowiedzi wyciągnął rękę - Monica nie zdążyła zaprotestować - by dokonać innego, niż myślała, choć równie pierwotnego aktu. Stawiała opór z taką samą rezygnacją, z jaką mówiła i niespełna minutę później leżała martwa na trawie. Gwiazdy spadały całym rojem, tak jak dwieście lat wcześniej; nietypowy dla końca czerwca deszcz niebieskich ciał, proroctwo nadchodzącej nocy.

Poćwiartował ją i wypatroszył z największą ostrożnością. Rozłożył resztki na polance zgodnie z uświęconą przez czas tradycją. Nie musiał się spieszyć. Najlepszy moment na dopełnienie rytuału miał nadejść bladym przedświttem, a więc dopiero za kilka godzin. Wiązał z tą ceremonią spore nadzieje. Ciało Godolphina (który, nawiasem mówiąc, nie był wcieleniem niewinności) zdążyło wystygnać, zanim go użył. Stwory zwabione tak nieatrakcyjną przynętą musiały być bardzo prymitywne. Monica jednak była ciepła i żyła za krótko, by świat zdążył ją poważnie zbrukać.

Jej śmierć otworzyła szerszą bramę do In Ovo, przez którą zamierzał sprowadzić istoty pewnego konkretnego gatunku, idealnie nadające się do zadania, jakie im jutro wyznaczy. Udowodni, co potrafi dziecko, którego żywiołem jest zniszczenie.

ROZDZIAŁ 53

Po tym, co opowiadał Monday, Jude spodziewała się ujrzeć Londyn całkiem wymarły, ale niezupełnie tak było. Między powrotem chłopaka z South Bank a wyjazdem do posiadłości Godolphina ulice - na których istotnie próżno by szukać romansujących turystów i miłośników sobotnich rozrywek - zapęłniły się ludźmi, którzy wstali z łóżek i włączyli się po mieście bez celu. Prawie wszyscy spacerowali samotnie, jakby niepokój, który wyгнаł ich z domów, był zbyt przykry, by dzielić go z innymi. Niektórzy ubrali się jak do pracy - w garnitury, krawaty, eleganckie spódnice i buty; inni ledwie zachowywali minimum przyzwoitości, chodzili boso, często półnaczy. Wszyscy przechadzali się niespiesznie, ze wzrokiem utkwionym w niebo.

Zdaniem Jude niebo nie było tego warte: owszem, dostrzegła parę spadających gwiazd, które jednak w pogodną letnią noc nie były dla niej niczym nadzwyczajnym. Mogła się tylko domyślać, że londyńczycy przebudzili się nagle z irracjonalnym przeświadczeniem, że objawienie jest bliskie, a podświadomie spodziewali się, że musi spłynąć gdzieś z wysoka.

Na przedmieściach wyglądało to podobnie, zwyczajni mężczyźni i kobiety w nocnych strojach stali na skrzyżowaniach i przydomowych trawnikach wpatrzeni w niebo. Im dalej od centrum - a może od Clerkenwell - tym rzadszy był to widok, przynajmniej do obrzeży Yoke, miejsciny, w której kilka dni wcześniej przemoczona Jude schroniła się z Gentle'em na poczcie. Przypomniła sobie, że wróciła do Piątego Dominium, żywiąc naiwną nadzieję, by drogi jej i Gentle'a znów się zeszyły. Teraz znalazła się w tym samym miejscu, ale nadzieje rozwiały się bez śladu, a ona była w ciąży z jego najgorszym wrogiem. Dwustuletnie zaloty nieodwołalnie i ostatecznie dobiegły końca.

Zielsko wokół posiadłości Godolphinów rozrosło się do monstrualnych rozmiarów i żeby przebić się do bramy, musieli użyć ostrzejszego narzędzia niż patyk, który wystarczył Estabrookowi. Mimo że rośliny pięknie się rozwijały, śmierdziały wstrętnie, jakby się rozkładały, a w pąkach miały ukryte gnijące kwiaty. Monday prowadził, siekąc nożem na prawo i lewo. Dotarli do zardzewiałej bramy, przez którą dostali się do parku. Mimo że późna godzina sprzyjała raczej ćmom i sowom, park tętnił zupełnie zwyczajnym, dziennym życiem. Ptaki szybowały w powietrzu, jakby zapomniały drogi do gniazd. Czyżby bieguny Ziemi nagle zamieniły się miejscami? Muchy, pszczoły, ważki i mrowie innych dziennych owadów

bzyczało w rozświetlonej blaskiem księżycą trawie. Natura - podobnie jak ludzie, którzy wyszli nocą z domów - również wyczuwała nieuchronność cudu i nie mogła zaznać spokoju.

Jude jednak nie straciła poczucia kierunku i chociaż w szarobłękitnym świetle wszystkie zagajniki wyglądały identycznie, bezbłędnie wskazała ten, w którym znajdował się Azyl. Brnęli więc w jego stronę, zmagając się z błotnistą ziemią i gęstwiną traw. Monday pogwizdywał, wykazując tę samą obojętność na kwestię melodii, o której wspomniał Gentle.

- Wiesz, co się jutro wydarzy? - spytała go Jude. Trochę mu zazdrościła, że zachowuje niewzruszony spokój.

- Mniej więcej. Gdzieś tam jest niebo, prawda? I szef otworzy nam do niego drogę. Kapitalna sprawa.

- Nie boisz się?

- Czego?

- Wszystko się zmieni.

- I dobrze. Mam już dość tego ogólnego popieprzenia.

Monday znów zaczął gwizdać. Przeszli bez słowa jakieś sto metrów, aż jego uwagę zwrócił jakiś dźwięk.

- Posłuchaj. - W miarę jak zbliżali się do Azylu, zgiełk czyniony przez ptaki i owady, systematycznie narastał. Do tej pory nie zwrócili na to uwagi, gdyż wiatr niósł dźwięki w przeciwnym kierunku. - To ptaki i pszczoły. Jest ich tam od zarąbania i ciut, ciut

Do tej pory nie zdawali sobie sprawy ze skali tego zjawiska. Promienie księżycy nie wnikały w głąb zagajnika, ale widać było, że na wszystkich drzewach wokół Azylu, na każdej najmniejszej gałązce siedzą ptaki. Ich wspólna woń kłuła w nozdrzach, od jazgotu bolały uszy.

- Pięknie nas obesrają, nie ma co - stwierdził Monday. - A nawet jeśli nie, to robactwo nas zagryzie.

Owady tworzyły żywą zasłonę przed zagajnikiem - tak gęstą, że po kilku krokach przestali się od nich oganiać. Znosili dzielnie pacnięcia na czole i policzkach, bzyczenie we włosach, próbując jak najszybciej przedrzeć się do pawilonu. W trawie też siedziało mnóstwo ptaków - zwykłych szarych obywateli w tym parlamencie, dla których zabrakło miejsca na drzewach. Zerwały się jak na komendę, skrzecząc przeraźliwie i płosząc braci na gałęziach. Wszystkie ptaki zgodnie zaczęły startować do lotu; łopotały ogłuszająco skrzydłami, mniejsze liście spadały z drzew pod naporem powietrza. Zanim Jude i Monday dotarli do skraju zagajnika, biegli już w podwójnym obłoku: jeden - pierzasty - wznosił się, drugi - zielony - opadał z góry.

Jude wyprzedziła chłopca, okrążyła Azyl (którego ściany były wprost czarne od insektów), dopadła drzwi i stanęła jak wryta. W środku, na skraju mozaiki, płonęło małe ognisko.

- Ktoś nas uprzedził - zauważył Monday.

- Nikogo nie widzę - odparła Jude.

Chłopiec wskazał jej leżący po drugiej stronie ogniska tobołek; miał wprawę i łatwiej było mu dostrzec życie w stercie szmat. Weszła do Azylu, ale nie musiała podchodzić bliżej, żeby wiedzieć, kogo ma przed sobą. Jakżeby inaczej? Trzykrotnie - tutaj, w Yzordderrex i ostatnio w wieżowcu Tabula Rasa - zjawiał się niespodziewanie, jakby chciał udowodnić tezę, którą niedawno wysnuł: że ich ścieżki zawsze się krzyżują, ponieważ są tacy sami.

- Dowd?

Nie poruszył się.

- Daj nóż - poprosiła Mondaya.

Uzbrojona odważyła się podejść do zawiniątka. Dowd leżał z rękoma skrzyżowanymi na piersi, jakby zamierzał tu umrzeć. Oczy miał zamknięte, ale poza tym w jego twarzy ziały same rany - pamiątki po spotkaniu z Celestine. Mimo legendarnych zdolności regeneracyjnych nie był w stanie się z nich wyleczyć. Miejscami ciało miał zdarte do kości, ale mimo to oddychał jeszcze (choć słabo) i pojękiwał, jakby śnił o karze i zemście. Jude miała ochotę zabić go we śnie i oszczędzić mu dalszych cierpień, ale ciekawiło ją, dlaczego przyszedł do Azylu. Czyżby bez powodzenia próbował wrócić do Yzordderrex? Czy raczej czekał na kogoś, kto miał stamtąd przybyć? Czasy były niepewne i obie możliwości wydały się Jude równie prawdopodobne i znaczące. Mimo że czuła, iż potrafiłaby go z zimną krwią zabić, powstrzymała się. Dowd od wieków obcował z najpotężniejszymi istotami i mógł się jeszcze przydać jako posłaniec. Przykucnęła obok i zawołała go po imieniu, przekrzykując ptaki, które gromadnie obsiadały dach pawilonu. Dowd wolno podniósł powieki. Szkliste oczy pasowały do oślizłej, poranionej twarzy.

- No proszę, świetnie wyglądasz, skarbie. - Mimo fatalnego stanu tę kwestię, jakby żywcem wyjętą z bulwarowej komedyjki, wygłosił z prawdziwie oratorską swadą. - Ja za to gównianie. Nie przysuniesz się bliżej? Nie mam siły tak głośno mówić.

Jude się zawahała. Był o krok od śmierci, ale sadystyczne skłonności z pewnością w nim nie wygasły, a wbite w ciało odłamki Osi wciąż dawały mu moc.

- Świetnie cię słyszę - odparła.

- Tchu mi wystarczy na sto słów, ale gdybym mógł mówić szeptem, starczyłoby na dwieście - próbował się targować.

- A cóż mamy sobie jeszcze do powiedzenia?

- Bardzo dużo. Wydaje ci się, że nasłuchiłaś się już o innych, co? Słyszałaś moją historię, Sartoriego, Godolphina, teraz także Pojednawcy. Ale jednej wciąż ci brakuje.

- Czyżby? - Mało ją to obchodziło. - Czyjej?

- Zbliź się.

- Albo wysłucham cię stąd, gdzie jestem, albo wcale. Posłał jej płaczliwe spojrzenie.

- Ależ z ciebie wredna suka.

- Tracisz czas. Jeśli masz mi coś do powiedzenia, mów. Czyjej historii nie znam?

Nie spieszył się z odpowiedzią, chcąc maksymalnie wyzyskać potencjał dramatyczny sceny.

- Ojca - odparł wreszcie.

- Jakiego ojca?

- Przecież jest tylko jeden: Hapexamendios. Pierwotny. Niewidziany. Ten, który mieszka w Pierwszym Dominium.

- Nie znasz jego historii.

Dowd wyciągnął rękę i złapał Jude za ramię, zanim zdążyła się odsunąć. Monday skoczył jej na pomoc, ale powstrzymała go, żeby nie rzucił się na Dowda. Kazała mu poczekać przy ognisku.

- W porządku - uspokoiła go. - Nic mi nie zrobi. Prawda? - Spojrzała na Dowda. - No jak, mam rację? Nie możesz pozwolić sobie na to, żeby mnie stracić. Stanowię twoją ostatnią publiczność i dobrze o tym wiesz. Jeżeli mnie nie opowiesz tej historii, nikomu jej nie opowiesz. Chyba że w piekle.

- To prawda - przytaknął.

- Więc mów. Wyrzuć to z siebie.

Dowd odetchnął z wysiłkiem.

- Wiesz, że kiedyś Go widziałem - powiedział. - Ojca Imajiki. Nawiedził mnie na pustyni.

- Osobiście? - spytała Jude, nie kryjąc powątpiewania.

- Niezupełnie. Słyszałem Jego głos dobiegający z Pierwszego Dominium. Ale widziałem też znaki, wiesz. Na Wybielu.

- Jak wyglądał?

- Jak człowiek. Tak mi się w każdym razie wydawało.

- Albo tak go sobie wyobraziłeś.

- Może. Jednak tego, co mi powiedział, nie musiałem sobie wyobrażać...

- Obiecał, że cię awansuje. Na alfonsa. Opowiadałeś mi o tym.

- Nie o wszystkim. Po tym spotkaniu wróciłem do Piątego Dominium. Użyłem sztuk, których mnie nauczył, żeby przemierzyć In Ovo, a potem przeczesałem calusieńki Londyn w poszukiwaniu kobiety, która zostanie błogosławiona.

- I znalazłeś Celestine?

- Właśnie, znalazłem Celestine. W Tyburn, nawiasem mówiąc, gdzie oglądała egzekucję. Nie wiem, dlaczego ją wybrałem. Może dlatego że śmiała się do rozpuku, kiedy skazaniec całował pętlę. Pomyślałem: Ta kobieta na pewno nie jest sentymentalna, nie zapłacze się, kiedy trafi do innego Dominium. Nawet wtedy nie była żadną wybitną pięknoscią, ale miała w rysach jakąś taką czystość... Jak niektóre aktorki. Te największe. Miała twarz, która potrafi okazać najróżniejsze emocje i pozostać naturalna. Może trochę się w niej zabijałem... - Dowd się wzdygnął. - Za młodu umiałem kochać. W każdym razie... przedstawiłem się jej i powiedziałem, że chcę zabrać ją do miasta ze snów, którego nigdy nie zapomni. Z początku się opierała, ale ja w tamtych czasach umiałbym namówić księżyc, żeby oddał mi swoją twarz, więc w końcu się zgodziła. Otumaniłem ją influencjami i zabrałem w podróż. Piekielną podróż, cztery miesiące drogi przez dominia. No i w końcu dotarliśmy na miejsce, do Wybielu.

- I co się tam stało?

- Wybiel się otworzył.

- I...?

- Zobaczyłem Miasto Boga.

Nareszcie coś interesującego, pomyślała Jude.

- Jak wyglądało?

- Widziałem je tylko przez chwilę...

Mimo że do tej pory odmawiała Dowdowi swojej bliskości, teraz nachyliła się nad nim i powtórzyła pytanie z ustami o kilka centymetrów od jego pokierszowanej twarzy:

- Jak wyglądało?

- Było ogromne, lśniące i przepiękne.

- Złote?

- Kolorowe. Ale trwało to tylko chwilę, bo nagle Wybiel wybrzuszył się, pękł, coś sięgnęło po Celestine i zabrało ją do środka

- Widziałeś, co to było?

- Wiele razy próbowałem sobie przypomnieć. Czasem wydaje mi się, jakbym widział sieć, czasem chmurę... Sam nie wiem. Coś ją porwało.

- A ty, naturalnie, próbowałeś ją ratować - podsunęła Jude.

- Nie. Ze strachu narobiłem w spodnie i uciekłem. Co miałem zrobić? Należała do Boga. Poza tym z perspektywy czasu można chyba powiedzieć, że miała szczęście, co?

- Bo ją porwał i zgwałcił?

- Porwał, zgwałcił i przez to udzielił jej cząstki boskości. A ja, który odwalilem całą robotę, kim byłem?

- Alfonsem.

- Właśnie, alfonsem. No, przynajmniej się zemściła - stwierdził kwaśno Dowd. - Spójrz na mnie! Odplącała mi z nawiązką!

Miał rację. Oscar i Quaisoir nie zdołali zgasić tłącej się w nim iskry życia, lecz Celestine praktycznie dopięła swego.

- Więc tak brzmi historia Ojca? - Jude nie kryła rozczarowania. - Większość słyszałam już wcześniej.

- Tak, to koniec opowieści, ale jak brzmi morał?

- Powiedz mi. Dowd pokręcił głową.

- Czy ty ze mnie szydzisz? - zapytał.

- Słucham cię przecież, prawda? Bądź wdzięczny losowi za drobne łaski. Mógłbyś leżeć tu sam, bez publiki.

- Widzisz? Miałem rację. Nie jestem sam. Mogłaś tu zajrzeć dopiero po mojej śmierci; mogłaś w ogóle się nie pojawić. Tymczasem nasze drogi po raz ostatni się skrzyżowały. W ten sposób los daje mi znać, że powinienem pozbyć się brzemia.

- Jakiego brzemia?

- Już ci mówię. - Dowd westchnął ciężko. - Przez te wszystkie lata zastanawiałem się, dlaczego Bóg wziął takiego żalostnego, godnego pogardy aktorzyne i wysłał go w podróż przez trzy dominia, każąc sprowadzić sobie kobietę.

- Chciał mieć Pojednawcę.

- I nie mógł znaleźć żony u siebie w mieście? Czy to nie dziwne? A poza tym co Go obchodzi, czy Imajica zostanie Pojednana, czy nie?

Musiała przyznać, że to interesujące pytanie. Oto mieli Boga, który zamknął się na głucho w swoim mieście, nie zamierzał zburzyć zapory oddzielającej Jego dominium od pozostałych, a zarazem dokładał wszelkich starań, żeby spłodzić dziecko, które ją obali.

- To rzeczywiście dziwne.

- Prawda?

- Znasz jakąś odpowiedź?

- Nie bardzo, ale tak sobie myślę, że musiał mieć w tym jakiś cel, nie? Po co w przeciwnym razie zadawałby sobie tyle trudu?

- Miał plan...

- Bogowie nie planują. Bogowie tworzą. Bronią. Potępiają.

- A co robi Hapexamendios?

- W tym właśnie sęk. Może ty się czegoś dowiesz. Może inni Pojednawcy już wiedzą.

- Jacy inni?

- Synowie, których zesłał na Ziemię przed Sartorim. Może zrozumieli, do czego zmierza, i Mu się sprzeciwili. To był jakiś pomysł...

- Może Christos umarł nie po to, by wybawić śmiertelników od grzechu...

- ...ale by obronić ich przed jego Ojcem?

- Właśnie.

Przyszły jej do głowy sceny, które widziała w Pucharze Bostońskim: potworny widok miasta (a może całego dominium) pochłoniętego przez mrok. Jej ciało, zazwyczaj tak podatne na wywołane wizjami drżenie, zamarło. Nie była zdenerwowana, nie czuła podniecenia - ogarnął ją lodowaty, wszechobecny strach.

- Co mam zrobić?

- Nie wiem, kochaniutka. Możesz zrobić, co zechcesz, pamiętasz?

Gdy parę godzin wcześniej siedziała obok Clema na schodkach, była przygnębiona tym, że zabraknie dla niej miejsca w nowej ewangelii. Teraz zaś ten fakt dawał jej cień nadziei. Jak powiedział kiedyś Dowd - nie była niczyją własnością. Godolphinowie wymarli, Quaisoir nie żyła; Gentle szedł w ślady Christosa, a Sartori albo budował Nowe Yzordderrex, albo kopał sobie grób. Należała tylko do siebie, i to w świecie, w którym wszystkich zaślepiła obsesja posiadania i posłuszeństwa. Mogła być jedyną osobą, która oceni tę historię chłodno i z dystansem.

- Czyli mam spory wybór.

- Może powinnaś zapomnieć o tym, co powiedziałem. - Dowd starał się zachować dziarski ton, choć głos łamał mu się coraz bardziej. - To tylko plotka, którą sprzedał ci jakiś trzeciorzędny aktorzyzna.

- Jeżeli spróbuję przeszkodzić w Pojednaniu...

- Wypowiesz wojnę Ojcu, Synowi, a zapewne także Duchowi Świętemu.

- A jeśli tego nie zrobię?

- Będiesz odpowiedzialna za wszystko, co się wydarzy.

- Dlaczego?

Dowd szeptał tak cicho, że zagłuszał go trzask ogniska:

- Bo... ja myślę, że tylko ty możesz tu coś wskórać... - Jego dłoń ześliznęła się z ramienia Jude. - To by było... tyle... - Zamrugął i zamknął oczy. - Jeszcze jedno... kochaniutka...

- Słucham.

- Może proszę o zbyt wiele...

- O co chodzi?

- Tak się zastanawiam... Czy mogłabyś mi... wybaczyć? Wiem, to... to idiotyczne, ale nie chcę umierać... wiedząc, że mnie... nienawidzisz.

Przyszło jej do głowy jego okrucieństwo wobec Quaisoir, która prosiła, by był dla niej dobry. Zastanawiała się jeszcze, gdy ponownie się odezwał:

- Byliśmy... trochę... podobni, nie uważasz?

Wyciągnęła rękę, żeby go pocieszyć, jeśli zdoła, ale zanim go dotknęła, przestał oddychać i zamknął oczy. Jęknęła; wbrew wszelkiej logice żałowała, że umarł.

- Czy coś się stało? - zainteresował się Monday.

Jude wstała.

- To zależy od punktu widzenia - odparła, zapożyczając od Dowda fatalistyczno-komediowy ton. Uznała, że warto go poćwiczyć, bo w najbliższym czasie mógł się przydać. - Masz fajki?

Monday rzucił jej paczkę papierosów. Wzięła jednego i oddała mu pudełko. Przypaliła papierosa wyjętą z ogniska zapaloną gałązką.

- Co mu się stało? - spytał chłopiec.

- Nie żyje.

- To co robimy?

Rzeczywiście, co dalej? Jeżeli w którymś momencie miała powiedzieć, że stanęła na rozstajach, to właśnie teraz. Czy powinna zapobiec Pojednaniu - nie byłoby to trudne; kamienie, o które prosił Gentle, leżały pod jej stopami - i dać się nazwać niszczycielką? Czy lepiej, żeby Pojednanie się dokonało, nawet gdyby miało zakończyć przeszłość i przyszłość?

- Ile czasu zostało do świtu? - spytała Mondaya.

Chłopiec zdobył zegarek w pierwszej wyprawie po łupy. Teatralnym gestem podsunął go sobie pod nos.

- Dwie i pół godziny.

Tak mało czasu na działanie; jeszcze mniej na podjęcie decyzji. Gdyby wróciła z Mondayem do Clerkenwell, wpakowałaby się w ślepy zaułek - to pewne. Gentle był

wysłannikiem Niewidzianego i nie zmieni planów, zwłaszcza z powodu Dowda, który przez całe życie kłamał jak najęty. Zaczęłyby jej tłumaczyć, że jego przedśmiertne słowa to zemsta na żyjących, ostatnia desperacka próba odebrania im chwały, w której sam nie mógł uczestniczyć. Może miałby rację, może dała się nabrać.

- Zbieramy kamienie czy nie? - niecierpliwił się Monday.

- Chyba nie mamy wyjścia - odparła zamyślona.

- Po co mu one?

- Są jak... most nad rzeką - mówiła z roztargnieniem Jude.

Rzeczywiście, były jak most - do Yzordderrex. Mogła tam wrócić i znaleźć kogoś, kto w tych ostatnich godzinach pomoże jej podjąć decyzję.

Rzuciła niedopalek w ognisko.

- Sam zawieszysz je na Gamut Street - dodała.

- A ty dokąd idziesz?

- Do Yzordderrex.

- Po co?

- To zbyt skomplikowane, żebym ci teraz wyjaśniała. Obiecuj mi, że zrobisz, co ci powiem.

- Zrobię.

- Dobrze. Posłuchaj mnie. Kiedy zniknę, zabierz kamienie na Gamut Street i przekaz Gentle'owi wiadomość. Osobiście, rozumiesz? Poza tym nikomu ani słowa, jasne? Nawet Clemowi.

- Rozumiem. - Monday cały się rozpromienił. Spotkał go nieoczekiwany zaszczyt. - Co mu mam powiedzieć?

- Po pierwsze, dokąd poszłam.

- Do Yzordderrex.

- Świetnie. Poza tym... ostrzeż go, że Pojednanie jest niebezpieczne i żeby wstrzymał się z rytuałem, aż się z nim skontaktuje.

- Jest niebezpieczne i ma się wstrzymać z rytuałem...

- ...aż się z nim skontaktuje.

- Zrozumiałem. Coś jeszcze?

- Nie, to wszystko. A teraz muszę znaleźć krąg.

Jude zaczęła przyglądać się mozaice, wypatrując delikatnych różnic odcieni, które wyróżniały kamienie tworzące krąg. Z doświadczenia wiedziała, że z chwilą gdy zostaną wyjęte ze swoich miejsc, Ekspres Yzordderrex ruszy w drogę. Kazała Mondayowi zaczekać

na zewnątrz. Zmartwił się, więc go uspokoiła, że nic jej nie będzie.

- Nie o to chodzi - odparł. - Chcę zrozumieć. Jeżeli Pojednanie jest takie groźne, czy to znaczy, że szef nie otworzy nam dominiów?

- Nie wiem.

- Ale ja chcę zobaczyć Patashoqua, L'Himby i Yzordderrex! - zaskomlał. Wypowiadał te nazwy jak zaklęcia.

- Wiem o tym. I możesz mi wierzyć, że nie mniej od ciebie pragnę, by dominia stanęły przed nami otworem.

Spojrzała mu w oczy w słabnącym blasku ognia. Nie była pewna, czy udało się jej go uspokoić, ale Monday mimo młodego wieku po mistrzowsku umiał ukrywać uczucia. Musiała mu zaufać, że obowiązek posłańca przedłoży ponad pragnienie ujrzenia Imajiki i przekaze choć ducha jej ostrzeżenia, jeśli nie jego dokładną treść.

- Gentle musi zrozumieć, że znalazł się w niebezpieczeństwie - powiedziała, żeby obudzić w nim sumienie.

- Postaram się go przekonać - odrzekł, rozdrażniony jej naleganiem.

Przestała go nagabywać i wróciła szukać kamieni. Nie pomógł jej. Cofnął się do drzwi i od progu zapytał:

- A jak stamtąd wrócisz?

Udało jej się znaleźć cztery kamienie. Ptaki na dachu podniosły rwetes, jakby przeczuwały, że zaraz coś się wydarzy.

- Pomyślę o tym w swoim czasie.

Ptaki zerwały się jak na komendę. Zdenerwowany Monday wypadł z Azylu na dwór. Jude zerknęła na niego przelotnie, wygrzebując następny kamień. Dzielące ich ognisko zapłonęło żywszym płomieniem, popioły wzbily się w powietrze i chmura sadzy zasłoniła drzwi. Jude przebiegła jeszcze wzrokiem mozaikę, żeby sprawdzić, czy zgarnęła wszystkie kamienie. Przez ciało przebiegały jej już dreszcze, które zapamiętała z pierwszej podróży - najlepszy znak, że korytarz do dominiów lada chwila się otworzy.

Tutaj, w Azylu, Oscar tłumaczył jej, że nieprzyjemności związane z podróżą są z każdym kolejnym razem coraz mniej dokuczliwe. Miał rację. Kiedy ściany zaczęły się jej rozmazywać przed oczami, zdążyła jeszcze zerknąć na majaczące w kłębach popiołu drzwi. Pomyślała - ponieważ - że powinna była jeszcze raz spojrzeć na świat, zanim go opuści, ale wtedy Azyl zniknął i znalazła się w In Ovo. Mieszkańcy tej ponurej krainy przemykali obok niej całymi legionami, próbując jej dosięgnąć. Miała wrażenie, że sama przemieszcza się szybciej niż z Dowdem; przemknęła przez In Ovo, zanim potwory zdążyły na serio wpaść

na jej trop.

W piwnicy domu Peccable'a było jaśniej niż ostatnio. Metr od kręgu stała lampa, rzucająca światło na ścianę, a w półmroku krył się jakiś stwór, którego twarzy Jude nie widziała. Uderzył ją jakimś tępym przedmiotem i pozbawił przytomności, zanim zdążyła cokolwiek wyjaśnić.

ROZDZIAŁ 54

1

Płaszcz nocy zaczynał spowijać Czwarte Dominium, gdy pod szczytem Lipper Bayak Gentle spotkał się z Tickiem Raw, który podziwiał spływające z nieba ostatnie kolory dnia. Siedział i jadł kolację; między nogami trzymał dwie miski - z parówkami i kiszonymi ogórkami - a obok garnuszek musztardy, w której maczał i parówki, i ogórki. Mimo że Gentle był przy nim tylko jako projekcja astralna - siedzące po turecku ciało zostawił w pokoju medytacyjnym przy Gamut Street - nie potrzebował nosa ani podniebienia, by docenić smak posiłku. Wyobraźnia robiła swoje.

Tick Raw podniósł na niego wzrok. Obecność zjawy najwyraźniej mu nie przeszkadzała.

- Chyba przyszedłeś trochę za wcześnie? - zdziwił się tylko i zerknął na kieszonkowy zegarek, uwiązany na sznurku do płaszcza. - Mamy jeszcze mnóstwo czasu.

- Wiem. Chciałem...

- ...sprawdzić, co u mnie słychać - dokończył Tick głosem kwaśnym niczym ogórki, którymi się zjadał. - Jak widzisz, jestem na posterunku. W Piątym Dominium wszystko gotowe?

- Prawie... - odparł niepewnie Gentle.

Mimo że jako maestro Sartori odbył mnóstwo takich podróży (w których wspomagany mocą sztuk umysł przenosił jego obraz i głos do innych dominiów) i łatwo przyswoił sobie zapomniane techniki, dziwnie się z tym czuł.

- Jak wyglądam? - zapytał. Przypomniawszy sobie, jak sam próbował opisać wygląd mistyfa, gdy stanęli na zboczach Lipper Bayak.

Tick Raw zmrużył oczy.

- Niematerialnie - odparł i znów zajął się jedzeniem. - Co bardzo mi odpowiada, bo parówek nie wystarczyłoby dla dwóch.

- Nadal nie mogę się przyzwyczaić do tego, co potrafię.

- Lepiej się pospiesz. Czeka nas robota.

- Powinienem być się zorientować, że masz w niej uczestniczyć, kiedy pierwszy raz tu trafiłem. Przepraszam.

- Przeprosiny przyjęte.

- Musiałeś pomyśleć, że zwariowałem.

- Na pewno... Jak by to powiedzieć? Na pewno byłem zmieszany. Całymi dniami rozmyślałem, dlaczego zrobiłeś się taki uparty. Wiesz, że Pie próbował mi coś tłumaczyć, ale ja już tak długo czekałem, aż zjawi się ktoś z Piątego Dominium, że słuchałem go jednym uchem.

- Pie liczył chyba na to, że spotkanie z tobą przypomni mi, kim jestem.

- Ile czasu ci to ostatecznie zajęło?

- Kilka miesięcy.

- Czy mistyf pomógł ci się ukryć przed samym sobą?

- Tak, naturalnie.

- Świetnie się spisał. Będzie miał nauczkę. Nawiasem mówiąc, gdzie masz ciało?

- W Piątym Dominium.

- Coś ci poradzę. Nie zostawiaj go zbyt długo bez opieki. Zauważyłem, że kiszki lubią się buntować. Może się okazać, że kiedy wrócisz, będziesz cały umazany kupą. Chociaż może to tylko moja słabość...

Tick sięgnął po następną parówkę, zanim spytał, dlaczego, do ciężkiej cholery, Gentle kazał mistyfowi pozbawić się pamięci.

- Byłem tchórzem. Nie umiałem stawić czoła klęsce.

- Tak, to trudne. Cały czas się zastanawiam, czy mógłbym ocalić Utera Musky, mojego maestra, gdybym był sprytniejszy. Tęsknię za nim.

- To ja jestem odpowiedzialny za to, co się z nim stało. Nic mnie nie tłumaczy.

- Wszyscy mamy jakieś słabości, maestro. Ja mam słabe kiszki, ty jesteś tchórzem... Nikt nie jest doskonały. Domyślam się jednak, że twoja obecność oznacza, iż podejmujemy następną próbę?

- Taki mam zamiar.

Żując, Tick Raw znów spojrzał na zegarek i coś policzył w pamięci.

- Zostało nam mniej więcej dwadzieścia godzin według rachuby Piątego Dominium.

- Zgadza się.

- Będę gotowy - zapewnił Gentle'a Tick, wkładając do ust cały spory ogórek.

- Masz kogoś do pomocy?

- Nie boczebuje - odparł Tick Raw z pełnymi ustami. Przełknął i dodał: - Nikt mnie tu

nie widział. Nadal jestem wyjęty spod prawa, chociaż, jak słyszałem, Yzordderrex padło.

- Zgadza się.

- Podobno Oś też się zmieniła. To prawda?

- Jak to? Zmieniła się?

- Nikt nie może się do niej zbliżyć, żeby sprawdzić, co się właściwie stało. Jeżeli zamierzasz odwiedzić wszystkich członków Synodu...

- Chciałbym.

- To może będziesz miał okazję się przekonać. O ile dobrze pamiętam, Drugie Dominium reprezentował jakiś Eurhetemec...

- Nie żyje.

- Kto go zastąpił?

- Mam nadzieję, że Scopique kogoś znalazł.

- Scopique jest w Trzecim Dominium, tak? Przy dziurze, z której wyrwano Oś?

- Tak.

- Kto przy Wybielu?

- Niejaki Chicka Jackeen.

- Nie znam go. Dziwne, bo wydawało mi się, że o wszystkich coś niecoś wiem. Jesteś pewien, że to maestro?

- Całkiem pewien.

Tick Raw wzruszył ramionami.

- No to poznam go w Ana. O mnie możesz być spokojny, Sartori, nie zawiodę.

- Cieszę się, że się pogodziliśmy.

- Mogę walczyć o jedzenie i kobiety, ale nie o metafizykę. Poza tym łączy nas doniosła misja. Jutro o tej porze będziesz mógł piechotą wrócić stąd do domu.

Zakończywszy rozmowę tym optymistycznym akcentem, Gentle zostawił Ticka Raw samego z nadchodzącą nocą i skierował myśli ku Kwem, gdzie spodziewał się znaleźć Scopique'a. Mógł znaleźć się tam błyskawicznie - wystarczyło sobie wyobrazić, że przemieszcza się do Trzeciego Dominium - ale pozwolił sobie na mały, podyktowany wspomnieniami skok w bok. Opuszczając Lipper Bayak, zwrócił myśli ku Beatrix, gdzie też skierował się jego duch. Wylądował na obrzeżach wioski.

Tam też, oczywiście, zapadła już noc. Doeki porykiwały cicho na skrytych w mroku zboczach, pobrzękując zawieszonymi na szyjach dzwoneczkami. W samym Beatrix panowała jednak cisza. Z zarośli przy domach zniknęły latarnie, na ulicach nie było dzieci - zgasły światła i zgasło życie. Zasmucony tym widokiem Gentle chciał już uciekać z wioski, gdy

nagle ujrzał majaczące w oddali światełko. Zbliżył się i rozpoznał człowieka, który niósł lampę - był nim Coaxial Tasko, odludek ze wzgórza, dzięki któremu mogli zapuścić się w dzicz Jokalaylau. Tasko zatrzymał się w pół drogi przez uliczkę i podniósł wyżej latarnię.

- Kto tam jest? - zawołał.

Gentle chciał się odezwać, przeprosić, pogodzić się z nim, tak jak pogodził się z Tickiem Raw, porozmawiać o obietnicach, jakie niósł następny dzień. Powstrzymał się jednak na widok wyrazu jego twarzy. Tasko nie byłby mu wdzięczny ani za przeprosiny, ani za pogaduchy o świetlanej przyszłości. Zbyt wielu ludzi, których znał, nigdy jej nie zobaczy. Jeśli domyślał się, kto gości w wiosce, najwyraźniej również uznał spotkanie za bezcelowe. Wzdrygnął się, opuścił lampę i wrócił do swoich spraw.

Gentle nie czekał dłużej. Odwrócił się ku górom i siłą myśli przeniósł się daleko od Beatrix, do Trzeciego Dominium. Wioska zniknęła i znalazł się na Kwem, gdzie światło dnia sączyło się przez tumany kurzu. Z czterech lokalizacji, w których miał nadzieję znaleźć maistrów Synodu - Lipper Bayak, Kwem, kesparat Eurhetemeców i Wybiel - tylko tej równiny nie odwiedził podczas podróży z Pie. Spodziewał się, że może mieć trudności z trafieniem na miejsce spotkania, ale Scopique był na tym pustkowiu widoczny jak latarnia morska na zdradliwym brzegu. Mimo że na wietrze kłębiły się chmury kurzu, na wpół oślepiony nimi Gentle znalazł go błyskawicznie. Scopique siedział przycupnięty w prymitywnym namiocie z koców, rozpiętych na wbitych w szarą ziemię tyczkach. Nie było to komfortowe schronienie, ale w karierze dysydenta zdarzało mu się cierpieć gorsze niewygody - zwłaszcza podczas pobytu w *maison de sante*. Kiedy wstał, żeby przywitać się z Gentle'em, uczynił to z wigorem człowieka, który na nic nie narzeka. Miał na sobie nieskazitelny trzyczęściowy garnitur z muszką. Jego twarz, mimo dość niezwykłych rysów (miał wiecznie wytrzeszczone oczy i dwa otwory nad ustami zamiast nosa), była znacznie weselsza i wysmagana wiatrem. Podobnie jak Tick Raw, on również oczekiwał gościa.

- Właź do środka! Dalej, śmiało! Chociaż tobie wiatr pewnie nie przeszkadza, co?

Była to szczerza prawda (wiatr przelatywał przez ciało astralne w niezwykły sposób, tworząc wiry wokół pępka), ale Gentle wśliznął się pod osłonę koców, gdzie mogli usiąść i porozmawiać. Scopique'owi jak zwykle usta się nie zamykały - sypał opowiastkami i anegdotami jak z rękawa, w jednym długim monologu. Był przygotowany, jak twierdził, żeby reprezentować Trzecie Dominium w świętym obszarze Ana, chociaż zastanawiał się, czy nieobecność Osi nie zaburzy równowagi rytuału. Przypomniał Gentle'owi, że Oś po to znalazła się w centrum Pięciu Dominium, by przewodzić - a może także przetwarzać - moc, która wypełnia Imajicę. Jej zniknięcie z pewnością bardzo osłabiło Trzecie Dominium.

- Sam zobacz. - Zaprowadził Gentle'a na skraj pozostałego po Osi dołu. - Będę odprawiał rytuał obok zwykłej dziury w ziemi!

- Myślisz, że to może mieć wpływ na jego przebieg?

- Kto wie? Wszyscy jesteśmy amatorami, którzy próbują udawać ekspertów. Mogę tylko oczyścić miejsce ceremonii i trzymać kciuki.

Zwrócił uwagę Gentle'a na stojącą nieopodal wypaloną skorupę sporej budowli, widoczną w tych krótkich chwilach, gdy kurz osiadał na ziemi.

- Co to jest?

- Pałac tego łajdaka.

- Kto go zniszczył?

- Ja, naturalnie. Nie chciałem, żeby jego dzieło towarzyszyło mi podczas rytuału. To i tak będzie delikatna operacja, nie potrzeba mi obcych wpływów, które mogłyby wszystko spieprzyć. I tak wyglądał jak burdel. - Scopique odwrócił się plecami do ruin. - Zdajesz sobie sprawę, że powinniśmy mieć kilka miesięcy, a nie kilka godzin na przygotowania?

- Tak...

- No i jest problem z Drugim. Wiesz, że Pie kazał mi znaleźć zastępcę na miejsce tego Eurhetemeca? Chciałem o tym z tobą porozmawiać, ale kiedy się ostatnio widzieliśmy, miałeś amnezję. Pie uparł się, żebym nie mówił ci, kim jesteś, chociaż... Mogę być z tobą szczerzy?

- A mógłbym cię przed tym powstrzymać? - spytał Gentle.

- Nie. Miałem cholerną ochotę dać ci w twarz, żebyś się otrząsnął. - Scopique spojrzał na niego spode łba, jakby wciąż chciał go spoliczkować, a przeszkadzał mu tylko brak materialnego ciała Gentle'a. - Bardzo go zasmuciłeś. A on, jak ostatni dureń, mimo wszystko cię kochał.

- Miałem swoje powody - odparł szeptem Gentle. - Mówiłeś coś o zastępcy...

- A tak! To będzie Athanasius.

- Athanasius?!

- Jest naszym człowiekiem w Yzordderrex, będzie reprezentował Drugie. Co się tak dziwisz? Zna rytuał i jest zdecydowany doprowadzić rzecz do końca.

- Athanasius jest kompletnie szalony. Wziął mnie za wysłannika Hapexamendiosa.

- No... To oczywiście bzdura...

- Próbował napuścić na mnie Madonny. To wariat!

- Każdy może mieć chwilę słabości, Sartori.

- Nie nazywaj mnie tak.

- Niewielu spotkałem w życiu takich świętych ludzi jak Athanasius.

- Przecież on w jednej chwili oddaje cześć Matce Boskiej, a zaraz potem uważa się za Jezusa!

- Może chyba czcić własną matkę. Co w tym złego?

- Czy ty na serio twierdzisz...

- ...że Athanasius to zmartwychwstały Christos? Nie. Jeżeli mielibyśmy wybierać mesjasza, głosowałbym na ciebie. - Scopique westchnął ciężko. - Posłuchaj, wiem, że poprzytykaliście się z Athanasiusem, ale spróbuj mnie zrozumieć. Kogo innego miałem zaproponować? W Imajice zostało niewielu maistrów, Sartori.

- Mówiłem ci...

- Wiem, wiem, nie lubisz tego imienia. Musisz mi wybaczyć, ale póki żyję, pozostaniesz dla mnie maistrem Sartorim. Jeśli ci to nie odpowiada i chciałbyś mieć tu kogoś, kto będzie się do ciebie inaczej zwracał, proszę bardzo, szukaj.

- Zawsze byłeś taki zawzięty?

- Nie, ale praktyka czyni mistrza.

Zropaczony Gentle pokręcił z niedowierzaniem głową.

- Athanasius... to jakiś koszmar!

- I jeszcze jedno. Na twoim miejscu nie byłbym taki pewien, czy nie drzemie w nim duch Jezusa. Zdarzały się dziwniejsze rzeczy.

- Jeszcze chwila i ja też zwariuję. Athanasius! Przecież to katastrofa!

Wściekły Gentle wypadł z namiotu, miotając przekleństwa. Optymizm, z jakim wyruszał w tę podróż, znacznie osłabł. Zamiast spotykać się w takim stanie z Athanasiusem, znalazł sobie zaciszny skrawek Postnej Drogi, gdzie mógł wszystko w spokoju przemyśleć. Sprawy nie układały się najlepiej: Tick Raw siedział na Lipper Bayak jako banita, któremu grozi aresztowanie; Scopique powątpiewał w moc Trzeciego Dominium, z którego usunięto Oś; a w dodatku trafił im się Athanasius, któremu nie zostało chyba dość rozumu, żeby w razie potrzeby umiał schronić się przed deszczem.

- Mój Boże, Pie - mruknął pod nosem. - Potrzebuję cię.

Wiatr, który wiał w stronę przejścia między dominiami, zawodził żałośnie, jakby ponaglał go do wyruszenia do Yzordderrex. Gentle opierał się jego namowom, rozważając wszystkie możliwości działania. Doszedł do wniosku, że ma trzy wyjścia. Pierwsze - zrezygnować z Pojednania, zanim niedoskonałości Synodu skumulują się i doprowadzą do kolejnej tragedii. Drugie - znaleźć maestra, który zastąpi Athanasiusa. Trzecie - zaufać opinii Scopique'a, udać się do Yzordderrex i zawrzeć rozejm z wariatem. Pierwszej możliwości nie mógł poważnie brać pod uwagę; podjął dzieło Ojca i miał święty obowiązek doprowadzić je

do końca. Drugie rozwiązanie z braku czasu nie wchodziło w grę. Zostawał mu tylko trzeci wariant, paskudny, ale nieunikniony. Musiał pogodzić się z obecnością Athanasiusa w Synodzie.

Podjąwszy decyzję, poddał się sugestii wiatru i z prędkością myśli ruszył w drogę. Pomknął wprost do bramy między dominiami, przefrunął ponad deltą rzeki i skierował się do boskiego miasta.

2

- To ty, Hoi-Polloi?

Córka Peccable'a odłożyła obuch i klękła obok Jude. Z jej zezowatych oczu płynęły łzy.

- Przepraszam! Och, przepraszam! - powtarzała. - Ja nie wiedziałam. Nie wiedziałam! Jude usiadła. W jej głowie zespół perkusyjny stroił instrumenty, ale poza tym nic jej się nie stało.

- Co ty tu robisz? - zapytała. - Myślałam, że wyjechałaś razem z ojcem.

- Bo tak było. - Hoi-Polloi hamowała łzy. - Ale zgubiliśmy się na grobli, takie mnóstwo ludzi próbowało po niej przejść. W jednej chwili szedł obok mnie, a w następnej straciłam go z oczu. Najpierw czekałam tam na niego, ale potem przyszło mi do głowy, że może wrócić tutaj, do domu, więc przyszłam...

- Ale tu go nie było.

- Nie.

Hoi-Polloi pociągnęła smutno nosem. Jude przytuliła ją, próbując szeptem pocieszyć.

- Na pewno nie zginął - ciągnęła dziewczyna. - Po prostu jest rozsądny i się ukrywa. W mieście jest niebezpiecznie. - Spojrzała niepewnie do góry, na sufit. - Jeżeli w ciągu paru dni nie wróci, może zabierzesz mnie do Piątego Dominium? Znajdzie mnie tam.

- W Piątym wcale nie jest bezpieczniej niż tutaj. Naprawdę.

- Co się dzieje z tym całym światem?

- Zmienia się. Nie pozostaje nam nic innego, jak przygotować się na zmiany, choćby i najdziwniejsze.

- Chciałabym, żeby wszystko było po staremu. Żeby papa prowadził swój interes i w ogóle...

- Żeby tulipany stały na stole w jadalni.

- Właśnie!

- Na razie to niemożliwe. Szczerze mówiąc, nie wiem, czy te czasy mogą wrócić.

Jude wstała z podłogi.

- Dokąd idziesz? - zaniepokoiła się Hoi-Polloi. - Nie możesz mnie tu zostawić!

- Przykro mi, ale nie mam wyjścia. Czeka mnie sporo pracy. Jeżeli chcesz, możesz mi towarzyszyć, ale będziesz zdana na siebie.

Hoi-Polloi pociągnęła nosem.

- Rozumiem.

- To co, idziemy?

- Nie chcę być sama. Pójdę z tobą.

*

Jude spodziewała się ujrzeć zniszczenia na ulicach, ale zaskoczyło ją wszechobecne uczucie radości. Gdzieś niedaleko rozlegał się czyjś lament, z pewnością wiele domostw pograżyło się w żalobie, ale łagodne, aromatyczne powietrze niesło także dziwną nadzieję.

- Z czego się śmiejesz? - zdziwiła się Hoi-Polloi.

Jude nie zdawała sobie sprawy, że się uśmiecha.

- Wesoło mi, bo czuje się w powietrzu nowy dzień - odparła, zdając sobie sprawę, że może to być zarazem ostatni dzień Yzordderrex. Promienne miasto zdawało się potwierdzać jej przecucie, jak chora dusza, która odzyskuje odrobinę sił na chwilę przed ostatecznym upadkiem.

Oczywiście nie powiedziała tego na głos; Hoi-Polloi i tak była wystarczająco przerażona. Szła krok za Jude, popłakując pod nosem i walcząc z czkawką. Na pewno bardziej by się zaniepokoiła, gdyby wiedziała, jaki zamęt panuje w duszy Jude, która nie miała pojęcia, gdzie szukać rady. Miasto się zmieniło; zamiast dawnego labiryntu urokliwych zaułków wszędzie rozciągały się ruiny i zgliszcza. Pożary dogasały, ale nad Yzordderrex utrzymywała się czarna zasłona dymu. Światło komety w kilku miejscach przedzierało się przez ten żałobny całun i nabierało intensywnych barw, jakby przesączało się przez zawieszony w powietrzu odłamki witraży. Nie mając lepszego pomysłu, Jude skierowała się ku najbliższej plamie światła. Dzielił ją od niej niespełna kilometr. Wiatr niósł stamtąd drobną mżawkę, a szum wody wkrótce zdradził źródło deszczyku.

Nawierzchnia ulicy pękła i szczelinę wypełniła spieniona woda z pękniętego wodociągu albo z jakiegoś podziemnego źródła. Widok ten przyciągnął sporo gapiów, chociaż żaden nie odważył się podejść blisko. Powstrzymywał ich nie strach, że grunt obsunie

im się pod nogami, lecz obawa przed niezwykłością zjawiska Woda bijąca ze szczeliny nie spływała po asfalcie w dół zbocza, ale przelewała się w górę i z zapalem płynącego na tarło łośosia pokonywała naturalne przeszkody. Tylko dzieci się jej nie bały. Kilkoro uciekło rodzicom i taplało się wesoło w zaprzeczającym prawom fizyki strumyku. Biegały i chlapały się w wodzie albo siedziały w nurcie i chichotały, gdy woda zalewała im nogi. Jude gotowa była się założyć, że w ich pokrzykiwaniach słyszy nutki seksualnej przyjemności.

- Co to za strumień? - spytała Hoi-Polloi, bardziej zirytowana niż zaskoczona, jakby ten widok osobiście ją uraził.

- Może pójdziemy wzdłuż brzegu i same się przekonamy?

- Te dzieciaki się potopią - zauważyła oschle dziewczyna.

- W wodzie głębokiej na cztery palce? Nie żartuj.

Jude ruszyła przed siebie, nie czekając na dziewczynę. Hoi-Polloi wkrótce znów znalazła się za jej plecami. Czkawka ustąpiła i szły w milczeniu. Mniej więcej dwieście metrów dalej natknęły się na drugi strumień, który łączył się z pierwszym. Płynął z zupełnie innej strony i był na tyle wartki, że niósł z dołu zbocza różne drobiazgi, głównie odpadki i śmieci; jakieś ubrania, utopione grobowniki, parę kromek przypalonego chleba, ale nie tylko - także przedmioty, które najwyraźniej celowo jej powierzono: listy poskładane w papierowe łódeczki, wianuszki wyplatane z trawy i ozdobione drobnymi kwiatkami, lalkę owiniętą pękiem wstążek. Jude wyłowila jeden liścik i rozłożyła go. Litery trochę się rozmazały, ale były jeszcze czytelne:

Tishalulle, nazywam się Cimarra Sakeo. Wysyłam ten list jako modlitwę za moich rodziców i mojego brata Boema, którzy zginęli. Widziałam cię we śnie, Tishalulle, i wiem, że jesteś dobra. Zawsze znajdziesz miejsce w moim sercu. Proszę, wypełnij też serca mojej matki i ojca, i przynieś im ukojenie.

Jude podała list Hoi-Polloi, śledząc wzrokiem połączone strugi wody.

- Kto to jest Tishalulle? - zapytała.

Hoi-Polloi nie odpowiedziała. Spoglądała w górę zbocza.

- Tishalulle? - powtórzyła Jude.

- To bogini. - Hoi-Polloi zniżyła głos do szeptu, chociaż w zasięgu głosu nie było nikogo. Upuściła list i Jude musiała podnieść go z ziemi.

- Cudze modlitwy należy szanować - powiedziała, złożyła łódeczkę z powrotem i

puściła ją na wodę.

- Ten list nigdzie nie dopłynie. Ona nie istnieje.
- To czemu boisz się nazwać ją po imieniu?
- Nie wolno wypowiadać na głos imion bogiń, papa mnie tego nauczył. To zabronione.
- Więc ona nie jest jedyną boginią?
- Nie. Oprócz niej są siostry z rzecznej delty. A papa mówił, że jest jeszcze jedna,

nazywa się Jokalaylau i mieszka w górach.

- Skąd pochodzi Tishalulle?
- Chyba z Kołyski Chzercemit, ale nie wiem na pewno.
- Jakiej kołyski?
- To takie jezioro w Trzecim Dominium.

Tym razem Jude uśmiechnęła się w pełni świadomie.

- Rzeki, śniegi i jeziora... - Przykucnęła nad brzegiem strumyka i włożyła dłoń do wody. - One przybyły w wodzie, Hoi-Polloi.

- Kto?

Chłodny strumień omywał palce Jude.

- Nie wygłupiaj się. Boginie. Są tutaj, w mieście.
- To niemożliwe. Nawet gdyby jeszcze żyły, a papa twierdzi, że to nieprawda, nie miałyby tu czego szukać.

Jude nabrała wody w dłoń i podniosła do ust. Miała słodki smak.

- Może ta woda odpowiada na czyjeś wezwanie.

Zerknęła na Hoi-Polloi, która przyglądała się jej z niesmakiem.

- Kogoś z góry?

- Wiesz, żeby gdzieś się wdrapać, trzeba mieć sporo siły. Zwłaszcza dla wody to ogromny wysiłek. Nie po to płynie pod górę, żeby podziwiać widoki. Coś ją przyciąga. Jeżeli podążymy za nią, to prędzej czy później...

- Chyba nie powinniśmy tego robić.
- Nie tylko wodę coś tam ciągnie, nas też. Nie czujesz?
- Nie - uparła się Hoi-Polloi. - W każdej chwili mogę zawrócić i pójść do domu.
- Naprawdę chcesz to zrobić?

Dziewczyna spojrzała na strugę. Los sprawił, że woda niosła akurat mniej sympatyczny ładunek: flotyllę obciętych kurzych łbów i nadpalone truchło psa.

- I ty to piłaś - zauważyła Hoi-Polloi.
- Smak ma w porządku - odparła Jude, chociaż odwróciła wzrok, żeby nie patrzeć na

psa.

Ten widok utwierdził Hoi-Polloi w jej postanowieniu.

- Tak, wracam do domu - stwierdziła. - Nie jestem gotowa na spotkanie z boginiami, nawet gdyby miały na nas czekać na górze. Za dużo nagrzeszyłam.

- Nonsens. Tu nie chodzi o grzech i wybaczenie; takie bzdury są dobre dla mężczyzn. To coś... - Jude zawiesiła głos, niepewna, jak dobrać słowa. - To coś mądrzejszego.

- Skąd wiesz? Nikt tak naprawdę tego nie rozumie. Nawet papa. Zawsze mówił, że wie, jak powstała kometa, ale kłamał. Tak samo ty kłamiesz, kiedy mówisz o boginiach.

- Czego się tak boisz?

- Gdybym się nie bała, już bym nie żyła. Nie traktuj mnie jak dziecko. Wiem, wydaję ci się śmieszna, ale gdybyś była trochę bardziej uprzejma, próbowałabyś to ukryć.

- Wcale nie uważam, że jesteś śmieszna.

- Uważasz.

- Nie, po prostu wydaje mi się, że za bardzo kochałaś papę. To nie zbrodnia. Ja bez przerwy powtarzam ten sam błąd. Zaufasz jakiemuś mężczyźnie, a on... - Jude z westchnieniem pokręciła głową. - Nieważne. Może masz rację i faktycznie powinnaś iść do domu. Kto wie, czy papa już na ciebie nie czeka. Moje zdanie się tu nie liczy.

Bez dalszej dyskusji odwróciła się plecami do Hoi-Polloi i ruszyła pod górę. Było jej przykro, że nie umiała w bardziej taktowny sposób przedstawić swoich racji. Zrobiła może pięćdziesiąt kroków, gdy usłyszała za sobą cichy tupot.

- Papa nie wróci do domu, prawda? - spytała Hoi-Polloi.

- Chyba nie.

Dziewczyna spuściła wzrok.

- Wydaje mi się, że od początku to przeczuwałam, tylko nie chciałam się przed sobą przyznać. - Kiedy podniosła oczy, wbrew oczekiwaniom Jude nie lśniły od łez. Co więcej, Hoi-Polloi wyglądała na zadowoloną, że pozbyła się wątpliwości. - Teraz obie jesteśmy samotne, prawda?

- Tak, obie jesteśmy samotne.

- Więc może pójdziemy dalej razem? To nam wyjdzie na zdrowie.

- Dziękuję, że o mnie myślisz.

- My, kobiety, musimy trzymać się razem.

Zgodnie ruszyły w drogę.

Zdaniem Gentle'a Yzordderrex wyglądało tak, jak mógłby je sobie wyobrazić chory majaczący w malignie. Nad pałacem lśniła ciemna zorza, na ulicach i placach wszędzie działy się cuda. Rzeki były z potrzaskanych chodników i w podskokach pędziły na wzgórze, kpiąc z grawitacji. Nad każdym z tych nowych źródeł powietrze mieniło się wszystkimi kolorami tęczy niczym stadko papug. Pie byłby zachwycony, pomyślał Gentle, notując w pamięci wszystkie niezwykłości, żeby umieć odmalować tę scenę w słowach, gdy spotka się z mistykiem.

Nie wszystko jednak wyglądało tak pięknie. Tęcze tryskały wśród wypalonych domów. Na progach siedziały zapłakane wdowy odziane w czerń, prawie niewidoczne na tle zgliszcz. Gentle stał właśnie przy bramie kesparatu Eurhetemeców, który jedyny wyglądał, jakby pożoga go ominęła. Był jednak całkiem opustoszały i Gentle zdążył przygotować bardzo wyrafinowaną wiązaną przekleństw na następne spotkanie ze Scopique'em, zanim znalazł człowieka, którego szukał. Athanasius z podziwem przyglądał się jednemu z drzew przy ulicy. Mimo że nie straciło jeszcze liści, kształt konarów przeziął spod listowia i nie trzeba było aspirować do roli Christosa, żeby się zorientować, iż świetnie nadawałoby się do krzyżowania ludzi. Gentle kilka razy zawołał go po imieniu, lecz Athanasius, pogrążony w swoim śnie na jawie, nie odwrócił się. Dopiero gdy Pojednawca stanął tuż obok niego, powiedział:

- Przybywasz we właściwym momencie.
- Samoukrzyżowanie - stwierdził Gentle. - To by był cud.

Teraz Athanasius na niego spojrzał. Miał pożółkłą cerę i całe czoło we krwi. Kiedy zobaczył strupy na czole Gentle'a, pokręcił głową.

- Aleśmy się dobrali... - Pokazał Gentle'owi rękę. Rany pośrodku dłoni nie pozostawiały cienia wątpliwości. - Takie też masz?

- Nie. A tych na głowie dorobiłem się w inny sposób, niż myślisz. Po co tak się krzywdzisz?

- To nie ja. Kiedy się obudziłem, już byłem tak poharatany. Nie mam się z czego cieszyć.

Gentle spojrzał na niego sceptycznie.

- Nie chciałem ich - tłumaczył z ożywieniem Athanasius. - Nie pragnąłem ani stygmatów, ani snów.

- Czemu tak się przyglądasz temu drzewu?

- Jestem głodny. Zastanawiałem się, czy wystarczy mi sił, żeby na nie wejść.

Gentle podążył za jego wzrokiem. Na wyższych gałęziach rosły kiście dojrzałych w blasku komety pasiastych mandarynek.

- Obawiam się, że niewiele ci pomogę. Za mało jest we mnie ciała, żebym mógł je zerwać. Może spadną, jak potrząsniesz drzewem?

- Już próbowałem. Zresztą mniejsza z tym, są ważniejsze sprawy niż mój pusty brzuch...

- Dobrze by było na przykład znaleźć jakieś bandaże - zauważył Gentle, chwilowo wyzbywszy się podejrzeń. - Nie chcę, byś wykrawił się na śmierć, zanim zaczniemy Pojednanie.

- To się na nic nie zda. - Athanasius spojrział na swoje dłonie. - Krwawią, kiedy chcą, i przestają, kiedy chcą. Już się przyzwyczailem.

- No to przynajmniej znajdziemy ci coś do jedzenia. Zaglądałeś do tych domów?

- Nie jestem złodziejem.

- Nie sądzę, żeby któryś z mieszkańców jeszcze tu wrócił. Zjedz coś, zanim zemdlejesz z głodu.

Podeszli do pierwszego z brzegu domu. Athanasius potrzebował zachęty ze strony Gentle'a (mimo zaskoczonego oporami natury moralnej, jakie przejawiał jego towarzysz), zanim zdecydował się kopniakiem otworzyć drzwi. Wnętrze zostało już splądrowane, ale kuchnię nikt się nie zainteresował i nie brakowało w niej zapasów. Athanasius ostrożnie wziął się za robienie kanapek. Starał się nie urazić pokaleczonych rąk, ale i tak zakrwawił chleb.

- Ależ jestem głodny! Ty pewnie pościsz, co?

- Nie. A powinienem?

- To twoja decyzja. Każdy idzie do nieba własną drogą. Znałem człowieka, który nie umiał się modlić, póki nie usiadł na gnieździe zarzi.

Gentle skrzywił się z obrzydzeniem.

- To już nie religia, tylko masochizm.

- A masochizm to nie religia? Zdziwiasz mnie.

Gentle ze zdumieniem stwierdził, że Athanasius potrafi żartować. Z każdą chwilą coraz bardziej się do niego przekonywał. Może to spotkanie wyjdzie im obu na dobre? Chociaż jeżeli poruszą sprawę Wybielu i wydarzeń, które tam zaszły, wszelki rozejm straci sens.

- Jestem ci winien wyjaśnienie - rzekł Gentle.

- Tak?

- W związku z tym, co stało się w obozie. Przez mnie straciłeś wielu wiernych.

- Nie wyobrażam sobie, żebyś mógł inaczej się zachować. Nie zdawaliśmy sobie sprawy z natury sił, z którymi zadarliśmy.

- Ja chyba dalej sobie nie zdaję sprawy.

Athanasius spochmurniał.

- Mistyf narobił sobie niezłych kłopotów, żeby wrócić i cię nawiedzić.

- To nie było nawiedzenie.

- Jak zwał, tak zwał. To, co zrobił Pie'oh'pah, wymagało wielkiego hartu ducha, ale musiał wiedzieć, jakie będą konsekwencje. Dla niego samego i dla moich ludzi.

- Nie znosił krzywdzić ludzi.

- Co takiego miał zatem do powiedzenia, że tyłu zabił?

- Chciał mieć pewność, że rozumiem, jaka jest moja rola.

- To za mało.

- Innego powodu nie umiem ci podać - odparł Gentle, pomijając wzmiankę o Sartorim.

Athanasius nie mógł znać odpowiedzi na tę zagadkę, po co więc było go drażnić?

- Dzieje się coś, o czym nie mamy pojęcia. Widziałeś wodę?

- Tak.

- I co, nie zaniepokoił cię ten widok? Bo mnie bardzo. W grze biorą udział nieznanne siły, Gentle. Nie jesteśmy sami. Może powinniśmy ich poszukać, zapytać je o zdanie?

- Jakie siły masz na myśli? Innych maistrów?

- Nie. Matkę Boską. Podejrzewam, że jest teraz w Yzordderrex.

- Ale pewności nie masz.

- Coś przecież porusza tę wodę.

- Czy gdyby się tu zjawiała, nie powinienes pierwszy się o tym dowiedzieć? Byłeś jednym z jej najwyższych kapłanów.

- To nieprawda. Oddawaliśmy jej cześć przy Wybielu, ponieważ popełniono tam zbrodnię. Pewna kobieta została stamtąd uprowadzona do Pierwszego Dominium.

Floccus Dado opowiadał o tym Gentle'owi, gdy jechali przez pustynię, ale Gentle miał wtedy tyle na głowie, że zapomniał o tej historii. Historii jego matki, naturalnie.

- Nazywała się Celestine, prawda?

- Skąd wiesz?

- Znam ją. Żyje do dziś w Piątym Dominium.

Athanasius zmrużył oczy, jakby chciał sprawdzić, czy Gentle go nie nabiera, ale po

chwili się uśmiechnął.

- A więc spotkałeś świętą kobietę. Jest jeszcze dla ciebie nadzieja.

- Kiedy będzie po wszystkim, i ty będziesz mógł ją poznać.

- Z przyjemnością.

- Ale na razie musimy trzymać się planu. Żadnych zmian, rozumiesz? Możemy iść szukać Matki Boskiej po Pojednaniu, lecz nie wcześniej.

- Czuję się taki cholernie nagi...

- Jak my wszyscy. To nieuniknione, ale jest coś jeszcze, przed czym też nie możemy uciec.

- To znaczy?

- Jedność wszechrzeczy. Zespolenie. Uzdrawienie. To pewniejsze niż grzech, śmierć i mrok.

- Ładnie powiedziane... Kto cię tego nauczył?

- Powinieneś wiedzieć, dałeś mi z nim ślub.

- Ach tak... - uśmiechnął się Athanasius. - Pozwolisz, że przypomnę ci, po co mężczyzna się żeni? Żeby stać się całością. Dzięki kobiecie.

- Ze mną jest inaczej.

- Mistyf nie był dla ciebie kobietą?

- Czasami...

- A poza tym?

- Nie był ani kobietą, ani mężczyzną. Był czystą rozkoszą.

- To brzmi jak bluźnierstwo - zauważył wyraźnie poruszony Athanasius.

Gentle nigdy nie myślał w ten sposób o łączących go z mistykiem więzach; teraz też nie miał ochoty zmagać się z takimi wątpliwościami. Dla niego Pie był nauczycielem, przyjacielem i kochankiem, a także altruistycznym zwolennikiem Pojednania. Nie wierzył, żeby jego Ojciec mógł zaaprobować taki związek, gdyby było w nim coś bluźnierczego.

- Zostawmy tę sprawę - zaproponował - bo inaczej zaraz skoczmy sobie do gardeł. Nie wiem jak ty, ale ja wołałbym tego uniknąć.

- Ja również. Nie wracajmy do tego. Dokąd się teraz wybierasz?

- Na Wybiel.

- Kto będzie tam reprezentował Synod?

- Chicka Jackeen.

- No proszę! Sam go wybrałeś?

- Znasz go?

- Niespecjalnie. Wiem, że przybył na Wybiel długo przede mną; chyba nikt z naszych nie wiedział, od jak dawna Jackeen tam siedzi. Dziwny facet.

- Gdyby to go miało dyskwalifikować, my też nie nadawalibyśmy się do tej roboty.

- To prawda.

Gentle pożyczył Athanasiusowi powodzenia i rozstali się - w uprzejmej, choć nie przesadnie życzliwej atmosferze. Zwrócił myśli ku otaczającej Yzordderrex pustyni. Wnętrze domu rozplynęło się i jego miejsce zajął Wybiel, zatopiony we mgle, w której miał szczerą nadzieję znaleźć ostatniego członka Synodu.

4

Jude i Hoi-Polloi szły z biegiem strumienia, który zbierał po drodze dopływy i zanosilo się na to, że wkrótce będzie zbyt szeroki, żeby dało się go przeskoczyć, i zbyt wartki, żeby bezpiecznie przejść go w bród. Zamiast nabrzeży ograniczały go tylko rynsztoki, ale ta sama siła, która ciągnęła go do góry, ograniczała też rozplywanie się wody na boki. Rzeka nie traciła na próżno energii, lecz biegła pod górę, podobna do zwierzęcia, które rośnie, wchłaniając inne istoty swojego gatunku. Nie można było mieć cienia wątpliwości, dokąd zmierza; na szczycie górującego nad miastem wzniesienia znajdowała się tylko jedna budowla - pałac autarchy. Jeżeli gdzieś po drodze nie otwierała się otchłań, w której ginęła cała woda, strumień musiał nieomylnie doprowadzić Jude i Hoi-Polloi do bram pałacu.

Pałacu, z którego Jude wyniosła mieszane wrażenia. Jedne - związane z Wieżą Osi i komnatą, do której ściekały modlitwy - przerażające, inne - słodkie i erotyczne, jak wspomnienia czasu spędzonego w łóżu Quaisoir, kiedy słuchała śpiewu Concupiscentii, a wyśniony kochanek, zbyt idealny, by mógł naprawdę istnieć, okrywał jej ciało pocałunkami. Nie było go już w pałacu, ona jednak wracała do labiryntu, który zbudował. Nie tylko pachniała nim („śmierdzisz spermą", powiedziała Celestine), ale nosiła w łonie owoc jego miłości. Nawet po tym, jak Taylor powiedział Celestine wprost, co o niej myśli, a Clem ją pocieszył, nadal traktowała Jude jak najpodlejszego wyrzutka. Skoro ta kobieta, która ledwie otarła się o boskość, wyczuła na jej skórze woń Sartoriego, Tishalulle z pewnością też ją rozpozna i będzie wiedziała o dziecku. Jude postanowiła zresztą powiedzieć jej prawdę. Miała swoje powody, dla których zrobiła to, co zrobiła, i nie zamierzała się z nich tłumaczyć. Chciała stanąć przed ołtarzem bogiń z sercem przepełnionym - w równych proporcjach -

pokorą wobec nich i szacunkiem dla samej siebie.

Widać już było bramę pałacu. Rzeka z hukiem toczyła spienione wody prosto w jej stronę. Oba skrzydła wrót były otwarte na oścież - Jude nie wiedziała czy pod naporem powodzi, czy wskutek jakiegoś wcześniejszego ataku - i woda swobodnie wlewała się za mury.

- Jak tam wejdziemy? - zaniepokoiła się Hoi-Polloi.

- Strumień nie jest głęboki - zauważyła Jude. - Razem możemy go pokonać w bród. Podaj mi dłoń.

Nie dając dziewczynie czasu na dyskusje, złapała ją za rękę i weszła w nurt rzeki. Woda istotnie była płytka - piana osiadała im nieco ponad kolanami - ale nurt rwący, toteż musiały iść wolno i ostrożnie. Nie widziały dna, lecz Jude czuła, jak woda wyrывa jej kamienie spod stóp. Zniszczenie bruku, którego przez dwa stulecia nie naruszyły pochody żołnierzy, niewolników i pokutników, rzecze miało zająć kilkanaście minut.

Niepewny grunt nie był zresztą jedynym niebezpieczeństwem, z jakim Jude i Hoi-Polloi musiały się liczyć. Ładunek próśb, modlitw i śmiecia, zebrany w pięciu czy sześciu niżej położonych kesparatach, był już pokaźny; kłody drewna uderzały boleśnie w łydki, szmaty owijały się wokół kolan. Jude jednak mocno trzymała się na nogach i brnęła uparcie do przodu, aż znalazły się za bramą. Od czasu do czasu zerkła za siebie, żeby dodać dziewczynie otuchy, chociaż ani przez chwilę nie groziło im poważne niebezpieczeństwo.

W obrębie pałacowych murów rzeka bynajmniej nie straciła impetu - przeciwnie, zdawała się zyskiwać nowe siły, gdy coraz bardziej wzburzona pięła się na kolejne dziedzińce. Nad pałacem kometa świeciła jaśniej niż w dole zbocza i na ponurym kamieniu kładły się delikatne, srebrzyste wzory odbitego od fal światła. W którymś momencie zapatrzona w nie Jude straciła równowagę i runęła na plecy do wody, pociągając za sobą Hoi-Polloi. Nie musiały się raczej obawiać utonięcia, ale wartki nurt niósł je swobodnie i Hoi-Polloi, znacznie lżejsza od Jude, popłynęła przodem. Obie próbowały stanąć na nogi, lecz wśród tylu wirów i zmiennych prądów było to niemożliwe. Wreszcie całkiem przypadkowo Hoi-Polloi, ciśnięta na spiętrzoną zaporę z naniesionego śmiecia, częściowo blokującą przepływ wody, zdołała podźwignąć się na kolana. Rzeka napierała cały czas, nieustępliwie próbując ją porwać, ale dziewczyna zapała się mocno i gdy Jude przepływała obok, zdołała już prawie stanąć na nogi.

- Daj rękę! - krzyknęła, jakby odpowiadając na wcześniejszą propozycję Jude.

Jude wyprężyła się jak struna, próbując dosięgnąć dłoni Hoi-Polloi, rzeka jednak miała wobec niej inne plany. Kiedy dzieliły je dosłownie centymetry, nurt obrócił Jude i pchnął

dalej z taką siłą, że na chwilę zabrakło jej tchu. Nie zdążyła nawet odpowiedzieć, lecz natychmiast wpadła pod monolityczny łuk i zniknęła Hoi-Polloi z oczu.

Woda ryczała i pieniała się gwałtownie, miotając nią na wszystkie strony i niosąc przez krążanki i kolumnady, ale Jude nie czuła lęku. Wprost przeciwnie - udzielał się jej entuzjazm rzeki. Nie mogła się doczekać, kiedy dotrze do tej, która przywołała wody - i która była zarazem ich źródłem. Dopiero na końcu tego szalonego rejsu mogło się okazać, czy Tishalulle. Jokalaylau czy jakakolwiek inna bogini, która tego dnia nawiedziła Yzorderrex, uzna ją za swoją poddaną, czy za jeszcze jeden śmieć w nurcie rzeki.

5

O ile w Yzorderrex szczegóły piękniały - każdy kolor śpiewał, każdy pęcherzyk w wodzie skrzył się jak kryształ - o tyle Wybiel wyglądał absolutnie nijako. Nawet najłżejsze tchnienie wiatru nie poruszało gęstej mgły. Otulała powalone namioty i zmarłych, którzy nie pogrzebani spoczywali w zwojach jak w całunach. Kometa nie miała w sobie dość blasku, by przebić mgłę zalegającą wyżej w powietrzu, świeciła ponuro i blado. Na lewo od Gentle'a majaczył krąg Madonn, w którym schronił się Athanasius z uczniami. Nie było w nim jednak człowieka, którego szukał. Nie widział go też po drugiej stronie, gdzie mgła ograniczała widoczność do dziesięciu kroków. Zagłębił się w nią. Wołał nie wołać Chicki Jackeena, mimo że jego głos sięgnąłby zapewne dalej niż wzrok. Zdawało się, że cała okolica zawiązała niemy spiszek i nie chciał rzucać jej wyzwania. Szedł więc w milczeniu przed siebie; ledwie rozdzielał pasma mgły, jego stopy nie zostawiały śladów na piasku. Czuł się tu bardziej zjawą niż w poprzednio odwiedzonych dominiach. Mgła i ten krajobraz idealnie pasowały do jego obecnego stanu.

Nie musiał długo błądzić. Wkrótce mgła zaczęła rzednąć i dostrzegł Chickę Jackeena, który wygrzebał z ruin obozu krzesło i stolik, usadowił się plecami do muru Pierwszego Dominium i stawiał pasjansa. Cały czas mówił do siebie. Wszyscy jesteśmy obląkani, pomyślał Gentle. Tick Raw obzera się musztardą, Scopique bawi się w podpalacza, Athanasius stygmatyk robi ofiarne kanapki, a Chicka Jackeen gada sam do siebie jak neurotyczna małpa. Wariaci, co do jednego. A on Gentle, był chyba najgorszy z nich wszystkich. Zakochał się w istocie, która przeczyła wszelkim definicjom płci, w dodatku stworzył człowieka, który niósł zagładę całym narodom. Jedyne, co pozwalało mu zachować

resztki rozumu, to świecący jasno płomień od Boga - rola Pojednawcy.

- Jackeen?

Zmieszany Chicka Jackeen podniósł wzrok znad kart.

- Och, maestro... Witaj.

- Nie mów, że się mnie nie spodziewałeś.

- Nie tak szybko. Już czas? Udajemy się do Ana?

- Jeszcze nie. Chciałem tylko sprawdzić, czy jesteś gotowy.

- Jestem gotowy, maestro. Możesz mi zaufać.

- Wygrywasz?

- Gram sam ze sobą.

- To jeszcze nie znaczy, że nie możesz wygrać.

- Nie? No... nie. Masz rację. Zatem tak, wygrywałem. Jackeen wstał od stołu i zdjął okulary, w których rozkładał karty.

- Czy odkąd tu siedzisz, ktoś wynurzył się z Wybielu?

- Nie, nikt stamtąd nie wychodził. Od czasu gdy Athanasius sobie poszedł, nie słyszałem ludzkiego głosu.

- Athanasius jest członkiem Synodu. Scopique namówił go, żeby dołączył do nas jako przedstawiciel Drugiego Dominium.

- A co się stało z Eurhetemkiem? Nie został chyba zamordowany?

- Umarł ze starości.

- Jesteś pewien, że Athanasius się do tego nadaje? - zapytał Jackeen, po czym, jakby uznając, że tym pytaniem przekroczył przewidziane w protokole spotkania granice, powiedział: - Wybacz, nie mam prawa podawać w wątpliwość twojego osądu sytuacji.

- Przeciwnie, masz do tego pełne prawo. Musimy ufać sobie nawzajem bez zastrzeżeń.

- Mnie wystarczy, że ty mu ufasz.

- W takim razie jesteśmy gotowi.

- Za pozwoleniem... jest jeszcze jedna sprawa.

- Słucham.

- Powiedziałem, że nikt się stamtąd nie wynurzył. To prawda...

- Ale coś weszło na Wybiel, tak?

- Tak. Zeszłej nocy jak zwykle spałem sobie pod stołem. - Jackeen wskazał rozłożone na ziemi posłanie. - Obudziłem się zziębnięty do szpiku kości. Nie byłem pewien, czy wciąż nie śpię, więc nie spieszyłem się ze wstawaniem, ale kiedy wygrzebałem się z koców, widziałem, jak z mgły wynurzyły się te stwory. Były ich dziesiątki.

- Jakie stwory?

- Nullianaki. Wiesz, jak wyglądają?

- Pewnie.

- Naliczyłem ich co najmniej pięćdziesiąt, i to tylko w zasięgu wzroku.

- Próbowaly ci coś zrobić?

- Chyba mnie nawet nie widziały. Wszystkie szły ze wzrokiem utkwionym w jeden punkt...

- Pierwsze Dominium?

- Nie inaczej. Zanim jednak weszły na Wybiel, rozebrały się, rozpały ogniska i spaliły to, co miały na sobie i przy sobie.

- Wszystkie?

- Wszystkie, które widziałem. To było coś niesamowitego.

- Mógłbyś mi pokazać te ogniska?

- Jasne. - Jackeen ruszył przodem, cały czas mówiąc: - Nigdy przedtem nie widziałem nullianaca, ale słyszałem o nich.

- To prawdziwe potwory. Parę miesięcy temu zabiłem jednego takiego w Vanaeph. Potem w Yzordderrex spotkałem jego brata. Zamordował dziewczynkę, którą się opiekowałem.

- Słyszałem, że wprost uwielbiają niewinne ofiary. Poza tym wszystkie są ze sobą spokrewnione, chociaż nikt nigdy nie widział samicy nullianaca. Niektórzy twierdzą, że takich samic w ogóle nie ma.

- Sporo o nich wiesz.

- Dużo czytałem. - Jackeen zerknął przez ramię na Gentle'a. - Jak to się mówi: studiując, nie zapominaj...

- ...że wszystko to już wiesz.

- Właśnie.

Słyszając z ust Jackeena tę starą maksymę, Gentle przyjrzał mu się z nowym zainteresowaniem. Czy była tak rozpowszechniona, że każdy uczeń znał ją na pamięć? Czy też Chicka Jackeen miał na myśli coś więcej? Gentle przystanął. Jackeen zatrzymał się obok niego, uśmiechając się szelmowsko. Tym razem Gentle zmienił się w pilnego studenta i wpatrywał się w jego twarz jak w książkę. I wyczytał w niej prawdę.

- Mój Boże... Lucius!

- Tak, maestro. To ja.

- Lucius! Lucius!

Mimo że minęło sporo czasu, Lucius wcale nie wyglądał najgorzej. Jego twarz nie była już twarzą młodego akolity, z którym Gentle pożegnał się przy Gamut Street, ale i tak odcisnęła się na niej ledwie dziesiąta część dwustu lat, jakie minęły od tamtej pory.

- To niewiarygodne!

- Myślałem, że mnie rozpoznałeś, tylko się ze mną bawisz.

- Skąd mogłem wiedzieć?

- Naprawdę aż tak się zmieniłem? - spytał rozczarowany Lucius. - Potrzebowałem dwudziestu trzech lat, żeby opanować sztukę zatrzymania czasu, ale wydawało mi się, że zdążyłem uchwycić resztki młodości, zanim przeminęła. To próżność z mojej strony, wybacz.

- Kiedy się tu znalazłeś?

- Całe życie temu. Najpierw wędrowałem trochę po dominiach, miałem różnych mistrzów, ale z żadnego nie byłem naprawdę zadowolony. Zawsze porównywałem ich z tobą, a oni nie mogli ci dorównać.

- Nauczycielem akurat byłem żalonym.

- Wcale nie! Nauczyłeś mnie podstaw sztuki, dzięki którym świetnie dałem sobie radę. Przynajmniej w moich oczach.

- Jedynej lekcji udzieliłem ci wtedy na schodach, w ostatnią noc. Pamiętasz?

- Oczywiście, że pamiętam! O nauce i strachu. Coś wspaniałego!

- Ale to nie były moje słowa. Luciusie. Mistyf mnie ich nauczył. Ja tylko przekazałem je tobie.

- Czy nie tym właśnie zajmują się nauczyciele?

- Ci najlepsi doskonałą mądrość, zamiast po prostu ją powtarzać. Ja niczego nie doskonaliłem. Uważałem, że wszystko, co mówię, jest doskonałe, bo spływa z moich ust.

- Chcesz powiedzieć, że jesteś kolosem na glinianych nogach?

- Na to wygląda.

- I sądzisz, że o tym nie wiedziałem? Widziałem, co się stało w Azylu. Widziałem, jak przegrywasz, i dlatego właśnie czekałem tu na ciebie.

- Nie rozumiem...

- Byłem pewien, że nie pogodzisz się z porażką. Trochę odczekałeś, ułożyłeś nowy plan, ale któregoś dnia, choćby i za tysiąc lat, musiałeś jeszcze raz spróbować.

- Kiedy przy okazji opowiem ci, jak było naprawdę, mina ci zrzednie.

- To nieważne, grunt że tu jesteś. Mój sen nareszcie się spełni.

- Jaki sen?

- Że będziemy razem pracować. Spotkamy się w Ana, jak maestro z maestrem. -

Lucius wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Jest Bóg w niebie! Odrobinę więcej tego szczęścia i chybabym umarł. No, jesteśmy na miejscu. - Zatrzymał się i wskazał plamę na ziemi kilka metrów przed nimi. - Patrz, maestro, to właśnie resztki jednego z ognisk.

W popiele zostały jakieś resztki ubrania. Gentle podszedł bliżej.

- Nie mogę go przeszukać - stwierdził. - Zrobisz to za mnie?

Lucius posłusznie pochylił się nad ogniskiem i wygrzebał strzępy ubrań: kawałki szat i płaszczy w różnych stylach, jedne bogato wyszywane na patashoquańską modłę, inne proste jak jutowe worki, jeszcze inne ozdobione medalami, jakby ich właściciel był żołnierzem.

- Nullianaki musiały tu zejść z całej Imajiki - zauważył Gentle.

- Ktoś je wezwał.

- Prawdopodobnie.

- Tylko po co?

- Wydaje mi się, że Niewidziany zabrał je do swojego pieca, Luciusie - odparł po chwili namysłu Gentle. - Spalił je.

- Chce oczyścić dominia?

- Tak. Nullianaki o tym wiedziały. Zrzuciły ubrania jak pokutnicy, bo wiedziały, że czeka je sąd ostateczny.

- Widzisz? Naprawdę jesteś mądry.

- Spalisz te resztki, kiedy odejdziesz?

- Dobrze.

- Powinniśmy podporządkować się Jego woli i oczyścić Imajicę.

- Zaraz się tym zajmę.

- Ja wracam do Piątego Dominium, żeby dokończyć przygotowania.

- Czy Azyl jeszcze stoi?

- Tak, ale nie tam się udaję. Sprowadziłem się z powrotem na Gamut Street.

- To był kiedyś piękny dom.

- Nadal na swój sposób jest piękny. Parę dni temu spotkałem cię w nim na schodach.

- Ciałem tutaj, duchem tam? Cóż może być doskonalszego?

- Być ciałem i duchem w zjednoczonym Stworzeniu.

- A tak... To rzeczywiście byłoby coś.

- I będzie. Wszystko jest jednością, Luciusie.

- Nie zapomniałem tej lekcji.

- To dobrze.

- Chciałem tylko zapytać...

- Tak?

- Czy możesz mnie od tej pory nazywać Chicką Jackeenem? Młodość przeminęła, wraz z nią mogę stracić imię.

- Niech będzie, maestro Jackeen.

- Dziękuję.

- Niedługo znów się spotkamy - powiedział Gentle i pomyślał o powrocie.

Tym razem nie szukał okrzężnej drogi, nie zwlekał z przyczyn sentymentalnych. Przemknął przez Yzordderrex, Postną Drogą nad Kołyskę, minął ciemne wzniesienia Jokalaylau, Lipper Bayak i Patashoqua (tutaj miał jeszcze wrócić), i wrócił do Piątego Dominium - do pokoju w domu przy Gamut Street.

Był dzień. Clem stał przy drzwiach i cierpliwie czekał na powrót maestra. Nie chciał zwlekać ani chwili z przekazaniem mu nowin. Gdy tylko zauważył, że twarz Gentle'a drgnęła, oznajmił:

- Wrócił Monday.

Gentle przeciągnął się i ziewnął. Łupało go w karku i krzyżu, pęcherz mało mu nie pęki, ale - wbrew temu, co prorokował Tick Raw - kiszki nie zawiodły.

- To dobrze - odparł. Wstał i pokuśtykał do kominka. Oparł się o ścianę i zaczął przestępować z nogi na nogę, żeby wróciło mu w nich czucie. - Ma kamienie?

- Tak. Ale przyjechał sam, bez Jude.

- A gdzie ona się podziała?

- Nie chciał mi nic powiedzieć. Twierdzi, że ma ci coś od niej do przekazania, ale z nikim innym nie będzie rozmawiał. Chcesz z nim pogadać? Je na dole śniadanie.

- Chętnie. Powiedz mu, żeby przyszedł. I skombinuj mi jakąś przegryzkę. Byłe nie parówki.

Kiedy Clem zszedł po schodach, Gentle otworzył okno na oścież. Ostatni dzień, który oglądał Piąte Dominium przed Pojednaniem, wstał jakiś czas temu i temperatura zdążyła wzrosnąć na tyle, że powiędły liście na drzewie obok domu. Słyszac tupot stóp Mondaya, Gentle odwrócił się do drzwi. Chłopiec wpadł do pokoju z niedojedzonym hamburgerem w jednej ręce i niedopaloną papierosem w drugiej.

- Chciałeś mi coś powiedzieć...

- Zgadza się, szefie. Mam wiadomość od Jude.

- Gdzie ona jest?

- W Yzordderrex. To część wiadomości: jest w Yzordderrex.

- Widziałeś, jak się tam udała?

- Niezupełnie. Kazała mi wyjść, więc jej posłuchałem.

- A co z resztą wiadomości?

- Miałem ci powiedzieć... - tu Monday dał popis koncentracji - ...gdzie jest, i to już zrobiłem. Kazała ci jeszcze powtórzyć, że Pojednanie jest niebezpieczne i żebyś nic nie robił, dopóki się z tobą nie skontaktuje.

- Niebezpieczne? Tak powiedziała?

- Właśnie tak. Nie żartuję.

- Wiesz, co miała na myśli?

- Możesz mnie zabić, szefie, ale nie. - Monday spojrział w ciemny kąt pokoju. - Nie wiedziałem, że masz małą. Teraz ją przyprowadziłeś?

W kącie siedział Spokojek i patrzył na Gentle'a żałośnie. Musiał w nocy zakraść się do pokoju. Monday przykucnął.

- Lubi hamburgery?

- Nie wiem, spróbuj - odparł z roztargnieniem Gentle. - Czy to wszystko, co Jude ci powiedziała: Pojednanie jest niebezpieczne?

- Wszystko, szefie, słowo honoru.

- Przyszliście do Azylu, a potem powiedziała, że nie wraca z tobą?

- Nie tak od razu. - Monday skrzywił się, gdy stworzenie, które brał za małą, wychylnęło z kąta i zaczęło się skradać po hamburgera.

Próbował wstać, ale widząc żarłoczny uśmiech zwierzątka postanowił się nie ruszać, tylko wyciągnął rękę z hamburgerem jak najdalej. Spokojek zatrzymał się, powąchał kanapkę i zamiast wydrzeć ją zębami z dłoni chłopca, wziął delikatnie do ręki, odchylając mały palec w bok.

- Powiesz mi, co było dalej? - upomniał się Gentle.

- Jasne. Kiedy przyszliśmy do Azylu, leżał tam jakiś gość i Jude trochę z nim pogadała.

- Znała go?

- Tak.

- Jak się nazywał?

- Zapomniałem - odparł Monday, a widząc mars na czole Gentle'a, zaczął się tłumaczyć: - Jakby to była część wiadomości, tobym pamiętał!

- Spróbuj sobie przypomnieć. - Gentle zaczynał węszyć spisek. - Kto to był?

Monday wstał i nerwowo zaciągnął się papierosem.

- Nie mogę... To przez te ptaki, pszczoły i w ogóle... Nie słuchałem. Jakoś tak krótko,

Cody, Coward...

- Dowd?
- Właśnie, Dowd! Mówię ci, strasznie był pociachany.
- Ale żywy.
- Przez chwilę. No więc pogadali sobie.
- I po tej rozmowie Jude powiedziała, że wybiera się do Yzordderrex?
- No tak. Kazała mi zawieźć ci kamienie i przekazać wiadomość.
- A ty zrobiłeś jedno i drugie. Dziękuję.
- Ty jesteś tu szefem, szefie. To wszystko? Jakbyś coś chciał, będę na schodkach.

Szykuje się niewąski upał.

Monday zbiegł na dół.

- A ty co tu robisz? - zapytał Gentle Spokojka.
- Nudziło mi się samemu.
- Obiecałeś, że będziesz posłuszny.
- Nie ufasz jej, prawda? Myślisz, że chce się spotkać z Sartorim.

Nie, do tej pory Gentle na to nie wpadł. Kiedy jednak Spokojek podsunął mu tę możliwość, nie wydała się wcale nieprawdopodobna. Przecież sam słyszał - tu, w tym domu - jak mówiła, co czuje do Sartoriego. Wierzyła, że i on ją kocha. Może po prostu, korzystając z chwili nieuwagi Mondaya, wymknęła się z Azylu i udała na poszukiwania ojca jej dziecka. Jeśli tak, to zachowywała się nielogicznie, uciekając w ramiona człowieka, którego wrogowi pomagała osiągnąć zwycięstwo. Nie był to jednak dzień na analizowanie takich zagadek. Jude zrobiła to, co zrobiła, i miała w tym swój cel.

Gentle podciągnął się na parapet, gdzie często siedział, planując swoje podróże, i starał się nie myśleć o Jude. W tym pokoju nie przychodziło mu to łatwo, tu przecież przyszła na świat.

W szparach między deskami z pewnością po dziś dzień tkwiły drobinki piasku, którym wysypał krąg, i to przesycone olejami, którymi namaścił jej nagie ciało. Starał się skoncentrować, ale jedna myśl nieubłaganie pociągała następną. Przypomniawszy sobie ją nagą, wyobraził sobie, jak jej dotyka śliską od olejku dłonią, jak ją całuje... Nie minęła minuta, a już członek w erekcji wypychał mu bieliznę.

Że też akurat w ten rano rozpraszały go takie myśli! W dziele, do którego się szykował, nie było miejsca na cielesne pokusy. To przez nie poprzednia próba Pojednania zakończyła się tragicznie. Tym razem nie zamierzał dać im się zwieść ani na krok z uświęconej drogi. Spojrzał zde gustowany na swoje lędźwie.

- Obetnij go sobie - poradził mu Spokojek.

Gdyby mógł tego dokonać, nie robiąc zarazem z siebie inwalidy, nie wahałby się ani chwili. Teraz darzył swoją męskość jedynie pogardą; miał ochotę pozbyć się tego napalonego idioty.

- Panuję nad sytuacją - odparł.

- To słynna ostatnia kwestia - zauważył potworek.

Kos usiadł na gałęzi i pogwizdywał beztrąsko. Gentle spojrzał w jego stronę i przeniósł wzrok wyżej, na rozpalone błękitne niebo. Udało mu się oderwać od poprzednich myśli; gdy Clem wszedł do pokoju, niosąc śniadanie, spazm cielesności minął i Gentle spokojnie przywitał swoich aniołów stróżów.

- Teraz musimy czekać - powiedział.

- Na co?

- Na powrót Jude.

- A jeśli ona nie wróci?

- Wróci. Tu się urodziła; tu jest jej dom, czy się jej to podoba, czy nie. Nie ma wyboru. Jeżeli okaże się, że spiskuje przeciw nam, Clemie... Jeśli spiknęła się z wrogiem, to przysięgam, że tu, w tym pokoju wykreślę magiczny krąg i odczynię ją tak zgrabnie, jakby nigdy nie istniała.

ROZDZIAŁ 55

1

Lekceważąca prawo ciężenia rzeka była delikatna. Mimo że ze sporą szybkością niosła Jude przez pałacowe korytarze (odarte już z obić i wyposażenia), traktowała cenny ładunek z niezwykle ostrożnością. Zamiast obijać się o ściany i kolumny, Jude unosiła się na falach, które nie wzbierały ani nie opadały gwałtownie, lecz mknęły do przodu. Wiedziała, dokąd zmierza; Wieża Osi zawsze stanowiła najbardziej niezwykły element zbudowanego przez autarchę labiryntu i choć widziała na własne oczy, jak Oś się rozpada, nie miała wątpliwości, że tam właśnie skończy się podróż. Modlitwy i prośby wiernych zmierzały tam od wieków, a siła, która wezwała wzburzone wody, postawiła własny tron na gruzach upadłego.

I rzeczywiście, woda wyniosła Jude z ogołoconych korytarzy prosto w surowe okolice wieży, zwolniła biegu i wyrzuciła ją w gęste od odpadków bajoro. Spomiędzy śmiecia wyrastały schody. Jude z wysiłkiem wczołgała się na nie i położyła - wyczerpana, lecz szczęśliwa. Fale omywały stopnie jak żwawy wiosenny przypływ, aż zaraziły ją swoją ochotą do wdrapania się na górę. Wstała więc i ruszyła dalej.

Na schodach nie paliły się wprawdzie żadne lampy, ale i tak z góry spływało światło, które - podobnie jak przy bijących z asfaltu źródłach - rozszczepiało się i tworzyło tęcze. Miało się wrażenie, że wyżej pałac też jest zalany, i to wodą, która całkiem inną drogą dostała się do wnętrza. Jude nie zdążyła dojść nawet do połowy schodów, gdy u szczytu stanęły dwie kobiety. Obie były ubrane w proste, luźne szaty w kolorze lnu. Wyższa z nich (o posturze prawdziwej olbrzymki) miała rozpiętą suknię i obnażone piersi, przy których trzymała dziecko. Wyglądała podobnie dziecinnie jak jej pociecha; miała rzadkie włosy, okrągłą twarz i rumianą cerę. Jej towarzyszka była starsza, szczuplejsza i bardziej śniada. Rozpuszczone siwe włosy opadały jej na ramiona jak kaptur. Na rękach nosiła rękawiczki, na nosie okulary. Przyglądała się Jude z dziwnie profesjonalnym dystansem.

- Jeszcze jedna dusza ocalona z powodzi - stwierdziła.

Jude zatrzymała się. Kobiety nie próbowały bronić jej wstępu, ale chciała znaleźć się przy nich jako gość, a nie intruz.

- Czy mogę...
- Naturalnie - odparła kobieta z dzieckiem. - Chcesz poznać boginie?
- Tak.
- Czyli jesteś z Bastionu Banu?

Zanim Jude zdążyła zareagować, druga z kobiet zaprotestowała:

- Oczywiście że nie! Spójrz tylko na nią!
- Ale przyniosła ją woda.
- Woda poniesie każdą, która odważy się w niej zanurzyć. Nas też przyniosła, prawda?
- Dużo was jest? - spytała Jude.
- Setki. Teraz już może nawet tysiące.

Nie zdziwiła się zbytnio. Skoro nawet ona, obca w dominiach, zaczęła podejrzewać, że boginie wciąż żyją, to o ileż większe nadzieje musiały żywić kobiety żyjące tu na co dzień i pamiętające Tishalulle i Jokalaylau!

Kiedy weszła na schody, kobieta w okularach się przedstawiła:

- Nazywam się Lotti Yap.
- A ja Judith.
- Miło nam cię poznać, Judith - odezwała się kobieta z dzieckiem. - Jestem Paramarola. A ten maluch nazywa się Billo.

- To twoje dziecko?
- A gdzie ja bym znalazła mężczyznę, który by mnie obdarzył takim maleństwem?
- Dziewięć lat spędziłyśmy w Aneksie - wyjaśniła Lotti. - Jako goście autarchy.
- Oby zwiądl jego kolec, a jagody zgniły - dodała Paramarola.
- Skąd jesteś?

- Z Piątego Dominium - odparła Jude, słuchając ich jednym uchem. Jej uwagę przyciągnęło okno po drugiej stronie zachlapanego korytarza - a właściwie nie okno, raczej roztaczający się za nim widok. Zdumiona podeszła do parapetu. Zobaczyła coś naprawdę niecodziennego. W samym środku pałacowego kompleksu woda wymiotła do czysta obszar o promieniu blisko pół kilometra - zburzyła ściany i kolumny, zniosła dachy, porwała sprzęty. Z jeziora wystawały tylko kamieniste wyspy w miejscu najwyższych wież, a tu i ówdzie narożnik któregoś z amfiteatrów, ocalały chyba po to, by sztywnić z dumy i zadufania architekta. Zanosilo się zresztą na to, że powódź niebawem pochłonie i te fragmenty budowli; woda płynęła wśród nich niespiesznie, ale sam jej ciężar musiał być wystarczający, by zburzyć resztki arcydzieła Sartoriego.

Pośrodku tego miniaturowego morza znajdowała się wyspa większa niż inne. Zamiast

plaży miała szczątki komnat, uniesione nurtem i skupione wokół Wieży Osi; zamiast wysokiego wybrzeża - kamienie ze ścian wieży, przemieszane z okazałymi odłamkami Osi, a dalej wznosiła się sama wieża, wyszczerbiona, lśniąca piramida, w której zdawało się, że płonie biały ogień. Widząc ogrom zniszczeń (woda w kilka dni, a może nawet godzin, miała zmieść budowlę, którą autarcha projektował i tworzył przez dziesięciolecia), Jude zaczęła się dziwić, że bez szwanku dotarła tak daleko. Siła, którą w źródłach na zboczach góry traktowała jak niewinną, choć świadomą moc, tutaj objawiła pełnię swoich niszczycielskich możliwości.

- Widziałyście, jak to się stało? - zapytała.

- Widziałam samą końcówkę - odparła Lotti. - Muszę przyznać, że było na co popatrzeć. Jak te wieże padały...

- Bałyśmy się - wtrąciła Paramarola.

- Mów za siebie - skarciła ją Lotti. - Woda nie po to nas uwolniła, żeby zaraz utopić. Bo widzisz, kiedy byłyśmy uwięzione w Aneksie, wezbrała, wyrwała drzwi i zburzyła ściany.

- Przecież wiedziałyśmy, że boginie się zjawia, prawda?

- Nie uwierzyłyście, kiedy mówiono, że nie żyją?

- Nigdy. Mogły zostać pogrzebane żywcem, mogły zasnąć, mogły nawet postradać rozum. Ale żyły.

- Rola ma rację - przytaknęła Lotti. - Czekaliśmy na ten dzień.

- Wasz triumf może się okazać krótkotrwały.

- Co masz na myśli? Przecież autarchy już nie ma.

- Autarcha odszedł, ale jego Ojciec pozostał.

- Jego ojciec? - zdziwiła się Paramarola. - Myślałam, że autarcha jest bękartem.

- To kto jest jego ojcem?

- Hapexamendios.

Paramarola parsknęła śmiechem, ale Lotti szturchnęła ją pod żebro.

- To nie żarty, Rola.

- Niemożliwe!

- A widzisz, żeby Judith się śmiała? Bo ja nie. - Lotti zwróciła się do Judith: - Możesz to udowodnić?

- Nie...

- To skąd ten pomysł?

Jude nie wiedziała, jak przekonać ludzi o pochodzeniu Sartoriego, ale optymistycznie zakładała, że w stosownym momencie dozna olśnienia. Tymczasem była rozczarowana i

wściekła. Jeżeli będzie musiała opowiedzieć historię swojego żalosego romansu z autarchą Sartorim wszystkim, którzy staną jej na drodze do bogiń, świat się skończy, zanim dojdzie do połowy. Nagle wpadła na świetny pomysł.

- Oś jest najlepszym dowodem - powiedziała.

- Jak to? - Lotti z nowym zainteresowaniem przyglądała się kobiecie, którą powódź rzuciła jej do stóp.

- Nie dałby rady ruszyć jej z miejsca, gdyby Ojciec mu nie pomógł.

- Ale przecież Oś nie jest własnością Niewidzianego - zauważyła Paramarola. - Nigdy nie była.

Jude zmieszała się trochę.

- Rola ma rację - przyznała Lotti. - Posługiwał się nią, żeby kontrolować słabych mężczyzn, ale nigdy do niego nie należała.

- A do kogo?

- Mieszkała w niej Uma Umagammagi.

- Kto taki?

- Siostra Tishalulle i Jokalaylau; przyrodnia siostra córek rzecznej delty.

- To w Osi była bogini?

- Tak.

- I autarcha o tym nie wiedział?

- Nie. Ukryła się w Osi przed Hapexamendiose, kiedy przemierzał Imajicę. Jokalaylau schowała się w śniegu, a Tishalulle...

- ...w Kołysce Chzercemit - dokończyła Jude.

- No właśnie. - Lotti była wyraźnie pod wrażeniem jej wiedzy.

- Uma Umagammagi schroniła się w kamieniu - ciągnęła Paramarola, jakby opowiadała dziecku bajkę. - Myślała, że on jej nie zauważy w takiej kryjówce. Ale uczynił Oś środkiem Imajiki i przelał w nią swoją moc. Uma Umagammagi została uwięziona.

Co za ironia losu! - pomyślała Jude. Architekt Yzorderrex zbudował swoją fortecę - ba, całe imperium! - wokół uwięzionej bogini. Analogia do sytuacji Celestine też nie uszła jej uwagi. Roxborough nieświadomie kontynuował niechlubną tradycję, grzebiąc Celestine w fundamentach swego domu.

- Gdzie są teraz boginie? - zapytała Jude.

- Na wyspie. Za kilka dni wezwą nas i pobłogosławią.

- Nie mam tyle czasu. Jak mogę dostać się na wyspę?

- Zostaniesz wezwana, gdy nadejdzie czas.

- Nie mogę czekać. Teraz albo nigdy. - Jude rozejrzała się po korytarzu. - Dziękuję za lekcję. Może jeszcze się spotkamy.

Postanowiła wybrać prawą odnogę korytarza, gdy nagle Lotti złapała ją za rękaw.

- Ty nic nie rozumiesz, Jude. Przy boginiach jesteśmy bezpieczne. Nic nam tu nie grozi, nawet Niewidziany jest bezsilny.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz. Naprawdę chcę w to wierzyć, ale muszę je ostrzec. Na wypadek gdybyście jednak nie miały racji.

- Lepiej będzie, jeśli pójdziemy z tobą. Sama nigdzie nie trafisz.

- Zaczekaj - powstrzymała Lotti Paramarola. - Czy to rozsądne? Ona może być groźna.

- A my nie? Przecież dlatego nas zamknęli. Zapomniałaś?

2

Już atmosfera na ulicach przywodziła na myśl jakiś postapokaliptyczny karnawał - woda tańczyła wesoło, dzieci chichotały, powietrze mieniło się barwami tęczy - ale w okolicach zatopionego dziedzińca wrażenie to było stokroć silniejsze. Także i tutaj nie brakowało dzieci. Chłopcy i dziewczynki (żadne chyba nie miało więcej niż pięć lat) bawili się tłumnie w korytarzach, wypełniając je melodyjnym śmiechem, jaki nie rozbrzmiewał w tych murach, odkąd je wybudowano. Wody też było pełno - stała w kałużach, ciekła strumykami, jak kurtyna spływała ze zworników łukowatych przejść, w komnatach bulgotały źródła, a pod sufit były fontanny. W każdej struzce Jude wyczuwała tę samą wolę i świadomość, co w rzece, którą przyniosła ją do pałacu; to była żywa woda, przepelniona duchem bogiń. Promienie stojącej w zenicie komety przez każdą możliwą szczelinę wdzierały się do wnętrza gmachu, zmieniały kałuże w cudowne jeziora i wplatały się w bryzgi tryskające z rzygaczy.

Po korytarzach kręciły się również tłumy kobiet. Niektóre (jak wyjaśniła Lotti) były dotąd uwięzione w Bastionie Banu lub jego budzącym grozę Aneksie, inne dały się ponieść instynktowi, podażyły z biegiem strumieni i same znalazły drogę na pałacowe wzgórze, zostawiwszy na dole żywych lub martwych mężów.

- Czy tu w ogóle nie ma mężczyzn?

- Tylko chłopcy - odparła Lotti.

- Oni wszyscy są jak dzieci - zauważyła Paramarola.

- W Aneksie był taki kapitan, prawdziwy bydlak - mówiła dalej Lotti. - Kiedy przyszła woda, musiał chyba opróżnić pęcherz, bo jego trup przepłynął koło naszej celi ze spuszczonej spodniami...

- I wiesz co? - wtrąciła Paramarola. - Jeszcze trzymał ptaszka w ręce. Miał wybór: albo tak zostać, albo pływać...

- ...ale nie puścił go i utonął.

Paramarola śmiała się tak serdecznie, że jej sutek wysliznął się dziecku z ust. Mleko trysnęło maluchowi na buzię, co wywołało następną falę wesołości. Jude nie pytała, skąd Paramarola ma pokarm, skoro ani nie urodziła dziecka, ani - najwyraźniej - nie jest w ciąży. To była po prostu jedna z wielu tajemnic, jakie czekały ją podczas tej podróży - taka sama, jak pełna połyskliwych ryb kałuża, która przylgnęła do ściany; jak woda udająca ogień, z której kobiety robiły sobie korony; jak niewiarygodnie długi węgorz niesiony przez grupę ludzi - łeb ryby spoczywał na barkach dziecka, a ciało było kilkanaście razy oplecione na ramionach sześciu kobiet. Gdyby zaczęła się domagać wyjaśnienia choćby jednego z tych cudów, musiałaby wypytać o wszystkie, a wtedy nigdy nie ruszyłyby z miejsca.

Wreszcie jednak dotarli do wypłukanej przez wodę płytkiej zatoczki, położonej nieco powyżej brzegu wielkiego jeziora. Zasilały ją drobne strumyczki, które rażno wpływały do góry po kamieniach. Woda przelewała się przez krawędzie zatoki, przy której (i w której) kręciło się ze trzydzieścioro dzieci i kobiet. Jedne bawiły się, inne rozmawiały - ale większość stała nago w wodzie, wpatrzona ponad wzburzonymi wodami jeziora w wyspę Umy Umagammagi. Kiedy Jude z przewodniczkami zbliżyły się do nich, fala nadciągnęła od wyspy i rozbiła się o skraj zatoczki. Dwie kobiety, które trzymając się za ręce stały przy brzegu, rzuciły się na wodę i dały unieść cofającej się fali prosto w stronę wyspy.

W całej tej scenie było coś niepokojąco erotycznego, chociaż w innych okolicznościach Jude pewnie zaprzeczyłaby, że odniosła takie wrażenie. Tutaj jednak podobne świętoszkowate zachowanie byłoby całkowicie nie na miejscu. Puściła wodze fantazji. Zastanawiała się, jakie to uczucie, zanurzyć się w tym nagim tłumie, gdzie jedyną oznakę męskości można by znaleźć między nóżkami oseska. Mogłaby otrzeć się piersią o pierś, poczuć, jak ktoś całuje jej palce, pieści kark, i odpowiedzieć taką samą pieśczęcią.

- Jezioro jest bardzo głębokie - odezwała się Lotti. - Sięga daleko do wnętrza góry.

Ciekawe, co się stało ze zmarłymi, pomyślała Jude. Z tymi, których towarzystwo tak sobie chwalił Dowd. Czy woda zabrała ich razem z ludzkimi błaganiami, które spod Wieży Osi spadały w tę samą czeluść? Czy też roztopili się w wielkiej zupie z trupów (w której płęć mężczyzn całkiem zanikła, a kobiety znalazły ukojenie) i razem z modlitwami stali się częścią

niezmordowanej powodzi? Miała nadzieję, że tak właśnie się stało. Jeżeli boginie chciały mieć coś do powiedzenia w starciu z Niewidzianym, potrzebowały każdej zapomnianej dotąd cząstki mocy. Mury między kesparatami runęły i wartkie strumienie zrównywały pałac z miastem, ale należało jeszcze upomnieć się o przeszłość, zachować cuda, jakie skrywała... Przecież nawet w takim mieście musiały zdarzać się cuda. Ze strony Jude nie było to jakieś czysto abstrakcyjne pragnienie - wszak sama była jednym z tych cudów, kopią kobiety, która nie mniej okrutnie od męża rządziła Yzorderrex.

- Czy tylko w ten sposób można dostać się na wyspę? - zapytała.

- Żaden prom tam nie kursuje, jeśli o to ci chodzi - odparła Lotti.

- W takim razie popłynę w pław.

Ubranie krępowało jej ruchy, ale nie czuła się na tyle swobodnie, żeby je zrzucić i nago zanurzyć się w wodzie. Podziękowała w paru słowach Lotti i Paramaroli i zaczęła schodzić po kamieniach okalających zatoczkę.

- Mam nadzieję, że się mylisz, Judith! - zawołała za nią Lotti.

- Ja też. Naprawdę.

Ta wymiana zdań i niezbyt zgrabne ruchy Jude zwróciły uwagę kąpiących się kobiet, które jednak nie sprzeciwiły się jej obecności. Im bliżej była wody, tym bardziej chciała jak najszybciej dostać się na wyspę. Dawno już nie pływała i wydawało się jej mało prawdopodobne, że oprze się wirom i nurtowi, jeśli postanowią nie dopuścić jej w pobliże wieży. Wierzyła tylko, że nie będą próbowały jej utopić. Woda przyniosła ją przecież aż tu, do pałacu, nie czyniąc jej najmniejszej krzywdy. Jedyne różnica (aczkolwiek, trzeba przyznać, niebagatelna) polegała na tym, że teraz była znacznie głębsza.

Do krawędzi zatoczki sunęła już następna fala, której na spotkanie wyszła kobieta z dzieckiem. Zanim jednak zdążyli się w nią zanurzyć, Jude wzięła krótki rozbieg i skoczyła w dół. O włos wyprzedziła kobietę z dzieckiem i zanurkowała w jeziorze. Z początku poszła na dno jak kamień. Młóćąc rozpaczliwie rękoma, otworzyła oczy, ale nie mogła się połapać, gdzie jest dół, a gdzie góra. Na szczęście woda wiedziała, co robić; wypchnęła ją jak korek do góry, prosto w pianę, dobre dwadzieścia metrów od brzegu. Jude pędziła ku wieży. Zdążyła jeszcze dostrzec wypatrującą jej Lotti, a potem wir obrócił ją raz i drugi, aż straciła orientację. Kiedy fala zwróciła ją ku wyspie, Jude zaczęła płynąć z całych sił. Woda chyba zadowolona się wspomaganiami jej wysiłków; nurt opływał wieżę spiralą w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara.

Blask komety, który kładł się na powierzchni fal, nie pozwalał dojrzeć dna. Jude była zadowolona. To, że z łatwością utrzymywała się na wodzie, nie znaczyło jeszcze, że chciała

zobaczyć, jak głębokie jest jezioro. Musiała płynąć przed siebie, nie uległa więc pokusie rozkoszowania się rytmem fal. Ten luksus - podobnie jak odpowiedzi na pytania, które wcześniej ją zaprzętały - musiał poczekać.

Znajdowała się już niespełna pięćdziesiąt metrów od brzegu wyspy, ale jej wysiłki odnosiły coraz mizerniejszy skutek. Spirala, po której się poruszała, i tak zacieśniała się bez jej udziału, toteż Jude w końcu całkowicie poddała się nurtowi. Dwukrotnie okrążyła wyspę, zanim dotknęła stopami leżących na dnie kamieni; mimo kołysania mogła w tym czasie dobrze przyjrzeć się świątyni Umy Umagammagi. Naturalnie w pobliżu wyspy woda była najbardziej wzburzona. Napierała na tworzące wieżę monumentalne głązy, wypłukiwała spomiędzy nich zaprawę, wgryzała się w nie od góry i od dołu, przeciwstawiając ich masie i powadze matematycznie regularny upór fal. Kiedy zabrakło łączącego je spoiwa, kamienne bloki (dorównujące wzrostem człowiekowi) balansowały jak akrobaci, wsparte rogiem o róg. Woda przepływała między nimi, niezmordowanie przekształcając niezniszczalną wieżę w kolumnę z kamienia i światła. Zerodowany kamień sypał się strużkami ze ścian i osiadał na brzegu w postaci drobnutkiego, miękkiego piasku. To na nim położyła się Jude, gdy wydostała się z wody, witana chichotem bawiącej się nieopodal czwórki dzieci.

Odpoczęła chwilę, a potem ruszyła w stronę świątyni. Drzwi były nie mniej zniszczone od ścian i wewnątrz zasłaniała tylko połyskliwa kurtyna wody. Przed progiem czekało kilkanaście kobiet. Jedna z nich - dziewczyna, która dopiero wyrosła z młodzieńczych lat - chodziła na rękach; inna chyba próbowała śpiewać, ale melodia tak bardzo zlewała się z szumem wody, że Jude nie była pewna, czy to jej głos płynie jak strumień, czy jakaś strużka szemrze tak melodyjnie. Podobnie jak przy basenie, tak i tu nikt nie sprzeciwił się jej obecności, nikt też nie zwrócił uwagi, że pojawiła się w mokrym, ale kompletnym ubraniu, podczas gdy inne kobiety były mniej lub bardziej rozebrane. Wszystkie tkwiły w stanie błógiwego otepienia. Jude nie poddała mu się tylko dzięki swojej silnej woli. Bez wahania weszła za wodną zasłonę, odprowadzana cichym pomrukiem pozostałych.

W środku nie dostrzegła żadnych materialnych przedmiotów, na których mogłaby zaczepić wzrok. W powietrzu unosiły się lśniące kształty, które składały się i rozkładały na jej oczach, jakby czyjeś niewidzialne ręce robiły origami ze światła. Nie chodziło jednak o uzyskanie zwyczajnego podobieństwa do świata materialnego - figury zmieniały się nieustannie; zanim nabrały określonego kształtu, już przechodziły w inny. Spojrzała w dół, na swoje ręce. Widziała je jeszcze, ale nie były już rękoma z krwi i kości. Błyskawicznie nauczyły się sztuczki ze światłem i rozkwiatały setkami kształtów, żeby przyłączyć się do zabawy. Wyciągnęła rękę, żeby dotknąć innego origami. Przez ułamek sekundy dostrzegła

kobietę, z której brało początek - widziała ją w podobny sposób, jak mogłaby widzieć człowieka oblepionego wydętym przez wiatr, wilgotnym prześcieradłem: przykleiłoby się na chwilę do jego biodra, twarzy, piersi, a potem wydeło ponownie, zacierając obraz. Była jednak pewna, że kobieta się uśmiechała.

Mając pewność, że nie jest ani samotnym, ani źle widzianym gościem, weszła głębiej. Erotyczne obietnice, które niósł widok zatoki, teraz stawały się rzeczywistością. Rozpływała się jak kropla mleka w ciekłym powietrzu, ocierając się o ciała innych kobiet. Docierały do niej na wpół uformowane, niedokończone myśli. Chciała się rozpuścić bez reszty, przeniknąć przez ściany i połączyć z opływającą je wodą... A może już się w niej znalazła? Może ciało, które uważała za swoje, było tylko wytworem tych wód, przywołanych dla ukojenia samotnej wyspy? Może, może, może... Te rozważania nie istniały w oderwaniu od wrażeń cielesnych, lecz łączyły się z nimi w rozkoszy. Jej nerwy, coraz bardziej wyczulone na dotyk, posłusznie przenosiły te doznania.

Zdała sobie sprawę, że otacza ją coraz mniej kobiet. Idąc w głąb świątyni, posuwała się coraz wyżej; jeśli nawet miała pod stopami posadzkę, zatraciła świadomość jej istnienia w chwili, gdy przekroczyła próg, i teraz wznosiła się bez wysiłku, opanowana tym samym duchem, który poruszał przeczące prawu grawitacji wody. Przed sobą i u góry też dostrzegła ruchomy kształt, inny jednak, bardziej gibki niż te, które widziała przy wejściu. Zbliżała się do niego, jakby ją przywoływał; w duchu modliła się, żeby we właściwej chwili znaleźć właściwe słowa i wyrazić myśli, które przepełniały jej głowę. Kształt stawał się coraz wyraźniejszy i o ile wcześniej, na dole, mogła mieć wątpliwości, czy świetliste origami widzi naprawdę, czy tylko je sobie wyobraża, o tyle teraz podobne rozdwojenie nie miało sensu.

Widziała oczyma wyobraźni - i jednocześnie wyobrażała sobie, że widzi - świetlisty symbol w powietrzu: prześwietlona blaskiem woda tworzyła wstęgę Möbiusa, pulsowała rytmicznie i emanowała jaskrawymi kolorami, które opadały wokół Jude niczym deszcz. Miała przed sobą tę, która obudziła źródła, tę, która wezwała rzeki, łagodną siłę, która obróciła pałac w ruinę i z miejsca, którym dawniej władał strach, uczyniła dom dla dzieci i wód. Stała przed Umą Umagammagi.

Mimo że bacznie przyglądała się jej świetlistemu obrazowi, nie widziała śladu żywej istoty - nic w nim nie oddychało, nie pociło się, nie rozkładało. Promieniał za to taką czułością, że choć bogini nie miała twarzy, Jude wydawało się, że widzi jej uśmiech, pocałunki, łagodne spojrzenie. I miłość. Bogini nie znała jej przecież, ale Jude czuła się tak spokojna i utulona, jak tylko miłość potrafi uspokoić i utulić. W całym swoim życiu nie zaznała takiego stanu jak w tej chwili, kiedy żadna cząstka jej istoty nie musiała się niczego

obawiać. Być żywym stworzeniem - to znaczy nawet w chwilach największej błogości bać się, że rozkosz się skończy.

Tutaj jednak podobne lęki wyglądałyby absurdalnie. Ta kobieta kochała ją bezgranicznie i na wieki.

- Słodka Judith - rozległ głos bogini, tak dźwięczny i melodyjny, że te kilka sylab brzmiało jak aria operowa. - Co cię sprowadza, słodka Judith? Jaka sprawa może być tak pilna, że ryzykujesz dla niej życie?

Kiedy Uma Umagammagi przemówiła, Jude dostrzegła odbicie własnej twarzy w powierzchni wstęgi: zadrżało, zapłonęło i zmieniło się w świetlistą nić, która wplotła się w symbol bogini. Czyta w moich myślach, pomyślała Jude. Stara się zrozumieć, dlaczego tu przyszedłam; kiedy zrozumie, weźmie odpowiedzialność na siebie. A ja będę mogła na zawsze zostać przy niej.

- Rzeczywiście - powiedziała bogini po chwili. - Ponuro to wygląda. Musisz wybierać, czy zapobiec Pojednaniu, czy dopuścić do niego i zaryzykować, że Hapexamendios cię skrzywdzi.

- Właśnie. - Jude była jej wdzięczna, że oszczędziła jej wyjaśniania wszystkich szczegółów. - Nie wiem, co zamierza Niewidziany. Może nic...

- ...a może zechce na zawsze okaleczyć Imajicę.

- Mógłby to zrobić?

- Czemu nie? Wiele, bardzo wiele razy niszczył nasze świątynie i krzywdził nasze siostry, zarówno osobiście, jak i przez swoich wysłanników. Jest śmiertelnie niebezpieczny.

- Ale czy mógłby zniszczyć całe dominium?

- Nie lepiej od ciebie znam jego myśli, będzie mi jednak żal, jeżeli szansa scalenia kręgu zostanie zmarnowana.

- Kręgu? Jakiego kręgu?

- Kręgu Imajiki. Zrozum, siostrze, nikt nigdy nie zamierzał dzielić dominiów w taki sposób. Dokonały tego pierwsze ludzkie duchy, które na Ziemi przybrały ciała. Zresztą na początku nie było w tym nic złego. W ten sposób oswajały się z sytuacją, która je przerażała. Podnosiły głowy i widziały gwiazdy; patrzyły w dół - widziały ziemię. Do nieba nie miały dostępu, za to ziemię mogły dzielić, posiadać i toczyć o nią wojny. Z tego podziału wyrosły następne. Ludzie pogubili się w tym rozróżnianiu krajów i narodów - kształtowanych i nazywanych, rzecz jasna, przez mężczyzn. Kazali się nawet grzebać w ziemi, żeby bez reszty ją posiąść, od światła woleli towarzystwo robaków. Byli ślepi na Imajicę i krąg został przerwany. Hapexamendios, którego ich wola powołała do istnienia, urósł w siłę, porzucił ich

i udał się do Pierwszego Dominium...

- ...mordując po drodze boginie.

- Istotnie, wyrządził ogromne krzywdy, ale byłoby jeszcze gorzej, gdyby znał kształt Imajiki. Mógłby odkryć, jaki sekret kryje się w środku kręgu i wejść właśnie tam.

- A co to za sekret?

- Wrócisz do miejsca, które jest bardzo niebezpieczne, słodka Judith. Im mniej będziesz wiedziała, tym lepiej dla ciebie. Kiedy nadejdzie czas, razem, jak siostry, odkryjemy tę tajemnicę. A na razie pomyśl o tym, że błąd syna jest także błędem ojca, z czasem zaś wszystkie błędy same się unicestwią.

- Jeśli tak, to po co mam wracać do Piątego Dominium?

Zanim Uma Umagammagi zdążyła odpowiedzieć, zabrzmiał inny głos. Przed oczami Jude pojawiły się w powietrzu drobniutkie pyłki światła, kłując ją po całym ciele, jakby ogień muskał lód.

- Dlaczego jej ufasz?

- Ponieważ ma czyste serce, Jokalaylau - odparła bogini.

- Jak może mieć czyste serce, skoro znalazłszy się tu, gdzie zginęła jej siostra, nie uroniła ani jednej łzy? Jak może mieć czyste serce kobieta, która bez cienia wstydu staje przed nami, nosząc w łonie dziecko autarchy Sartoriego?

- Między nami nie ma miejsca na wstyd.

- Między wami może nie - odparła Jokalaylau, teraz już dobrze widoczna. - Między mną i nią jest go mnóstwo.

Podobnie jak druga bogini, także i ona przebywała w wieży w swojej pierwotnej postaci - tworzyła kształt bardziej złożony i mniej miły dla oka, ruchy, które go ożywiały, były bardziej gwałtowne. O ile wstęga Umy Umagammagi marszczyła się delikatnie, o tyle Jokalaylau cała zdawała się gotować, siejąc na wszystkie strony kłującymi szpilkami.

- Wstyd byłby jak najbardziej na miejscu w wypadku kobiety, która sypiała z naszym wrogiem - dodała.

Mimo lęku, jakim napawała ją Jokalaylau, Jude postanowiła powiedzieć coś na swoją obronę.

- To nie takie proste - odezwała się. Odwagi dodawała jej frustracja: Jokalaylau zniszczyła jej łagodny związek z boginią. - Nie wiedziałam, że jest autarchą.

- A kim? Może nic cię to nie obchodziło?

Kłótnia zaogniłaby się pewnie, gdyby nie Uma Umagammagi, która przemówiła tym samym co przed chwilą spokojnym głosem:

- Słodka Judith, pozwól, że porozmawiam z siostrą. Więcej wycierpiała z rąk Niewidzianego niż ja i Tishalulle, i niechętnie wybacza tym, których dotknął - osobiście lub rękoma swoich apostołów. Zrozum jej ból, a ja przekonam ją, by zrozumiała twój.

- Przepraszam - powiedziała Jude. - Zachowałam się... niestosownie.

- Jeżeli zaczekasz na brzegu, niedługo znów się spotkamy.

Od chwili, gdy bogini wspomniała o jej powrocie do Piątego Dominium, Jude zdawała sobie sprawę, że chwila rozstania nadejdzie. Nie była jednak gotowa, żeby tak szybko porzucić jej gościnę. Kiedy grawitacja się o nią upomniała, odczuła ją jak fizyczny ból. Nic jednak nie mogła na nią poradzić. Jeśli nawet Uma Umagammagi wiedziała, jak cierpi (a jak mogła nie wiedzieć?), nie zrobiła nic, by jej ulżyć, lecz cofnęła się w głąb wieży, pozwalając Jude opaść jak płatek z kwiatu - lekko, lecz z poczuciem straty gorszym niż gdyby odtrąciła ją siłą. Origami kobiet, które minęła na niższym poziomie, wciąż składały się i rozkładały przepięknie, kurtyna wody w drzwiach szemrała tak samo melodyjnie jak przedtem, ale nie mogło zagłuszyć poczucia straty. Muzyka wody, wcześniej tak radosna, teraz brzmiała elegijnie - jak pieśń żniwiarzy, którzy cieszą się z darów natury, lecz zarazem lękają się zimy, która niebawem nadejdzie.

A zima czekała po drugiej stronie zasłony. Wprawdzie dzieci nadal wesoło bawiły się na brzegu, a w jeziorze rozgrywało się precudne widowisko z udziałem światła i wody, ale Jude nie mogła opanować żałoby po rozstaniu z kochającym duchem bogini. Jej łzy zaskoczyły czekające na progu kobiety. Podeszły, żeby ją pocieszyć, ale pokręciła przecząco głową i rozstały się bez słowa, pozwalając jej zejść na brzeg. Usiadła nad wodą, bojąc się obejrzeć do tyłu, na świątynię, w której ważył się jej los. Wołała patrzeć na jezioro.

I co dalej? - pomyślała. Gdyby boginie wezwały ją do siebie i oznajmiły, że nie nadaje się do tego, by podejmować jakiegokolwiek decyzje w związku z Pojednaniem, byłaby szczęśliwa. Oddałaby sprawę w dobre ręce i wróciła do okalających jezioro zabudowań. Po jakimś czasie nauczyłaby się żyć na nowo i przybyłaby ponownie na wyspę, tym razem jako nowicjuszka, gotowa poznać tajniki świetlnego origami. Gdyby jednak po prostu ją odepchnęły, jak chciała Jokalaylau, i przegnały ze świątyni... Co wtedy? Jakaż wiedzę posiadała, by pozbawiona ich rady decydować, co lepsze, a co gorsze przy Pojednaniu? Żadnej.

Wkrótce łzy żalu obeschły, ale jego miejsce zajęło straszliwe poczucie osamotnienia, jakby znalazła się w piekle - w pilnie strzeżonej części, wydzielonej dla kobiet, które kochały bez umiaru i zniesławione utraciły swoją szansę na doskonałość.

ROZDZIAŁ 56

W ostatnim liście do syna, pisany w noc przed wypłynięciem do Francji (skąd zamierzał szerzyć dobrą nowinę Tabula Rasa w całej Europie) Roxborough - postrach maestrów - opisywał koszmar, z którego się przebudził.

Śniłem, że jadę powozem przeklętymi uliczkami Clerkenwell. Nie muszę chyba pisać dokąd - wiesz to, podobnie jak wiesz, jakie bezeceństwa tam wyprawiano. Jak to często w snach bywa, byłem całkowicie bezwolny. Kilkakrotnie wołałem na woźnicę, błagając go, żeby miał na względzie dobro mej duszy i pozwolił mi wysiąść, lecz moje słowa nie miały nad nim żadnej władzy. Kiedy jednak skręciliśmy w Gamut Street i zza rogu wyłonił się dom maestro Sartoriego, przerażona Bellamare stanęła dęba i nie chciała ruszyć z miejsca. Zawsze była moją ulubioną klaczą, teraz zaś czułem wobec niej taką wdzięczność za to, iż nie chciała wieźć mnie pod te przeklęte drzwi, że wyskoczyłem z powozu, by jej podziękować.

Ledwie moje podeszwy dotknęły ziemi, gdy brukowce jak żywe przemówiły dudniącym, płaczliwym głosem. Zawtórowały im cegły ze ścian, dachówki, balustrady i kominy - wszystkie uderzyły w płacz, łącząc się w żalobnym krzyku, który wzniósł się pod niebiosa. Nigdy przedtem nie słyszałem podobnego zgiełku, nie mogłem jednak zatkać sobie uszu - czyż nie byłem po części odpowiedzialny za ten smutek? Słyszałem, jak mówią:

- Panie, jesteśmy zwykłymi, niechrzconymi kamieniami. Nie mamy nadziei, że znajdziemy się w Twoim królestwie, błagamy jednak, byś zesłał nam burzę i w słusznym gniewie zgniótł nas na proch; oczyść nas i zniszcz, nie pozwól, byśmy cierpiał, widząc, co się wokół nas dzieje.

Zadziwił mnie ten lament, synu. Zapłakałem nad nimi i zawstydzilem się, słysząc, jak błagają Wszchemogącego, podczas gdy ja byłem tysiąckroć bardziej winny niż one! Och, jakże marzyłem wtedy, żeby stopy poniosły mnie w inne, mniej ohydne miejsce! Przysięgam, że w takiej chwili nawet palenisko hutniczego pieca byłoby miłym schronieniem, złożyłbym w nim głowę, słuchając hosann, zamiast przebywać tam, gdzie działy się rzeczy tak straszne. Lecz nie mogłem się cofnąć. Przeciwnie, moje nogi zbuntowały się i poniosły mnie do drzwi domu. Próg zbryzgany był spienioną krwią, jak gdyby męczennicy zostawili znak dla anioła zagłady, który mógł sprawić, że ziemia się rozstąpi i na wieki pochłonie przeklęte domostwo.

Z wnętrza dobiegały znane mi głosy mężczyzn, którzy debatowali o swej pogańskiej filozofii.

Klęknąłem w kałuży krwi i zawołałem, by wyszli do mnie i razem ze mną błagali Wszechmogącego o przebaczenie. Oni jednak śmiali się szyderczo, nazwali mnie głupcem i tchórzem, kazali odejść. Co też uczyniłem - w pośpiechu uciekłem z tej ulicy, a kamienie powtarzały mi, że powinienem wyruszyć na krucjatę, nie bojąc się zemsty Boga, albowiem zaparłem się grzechów przeklętego domu.

Taki miałem sen. Zapisuję go natychmiast po przebudzeniu i każę jak najprędzej wysłać list, żeby cię ostrzec, jak niebezpieczne są okolice Clerkenwell. Do mojego powrotu nie zapuszczaj się w ogóle na południe od Islington. We śnie objawiono mi, że gdy nadejdzie czas, Gamut Street zostanie unicestwiona za zbrodnie, których była świadkiem. Nie chciałbym, by choć jeden włos spadł z twojej ślicznej głowy za to, że w obłędzie dopuściłem się występków przeciw prawu Pana naszego. Mimo że Wszechmogący złożył w ofierze swojego jedyne Syna, który cierpiał i umarł za nasze grzechy, wiem, że nie zażąda takiego poświęcenia ode mnie. Jestem Jego najpokorniejszym sługą i modłę się, by uczynił mnie swym posłusznym narzędziem, aż opuszczę ziemski padół i doczekam sądu ostatecznego.

Niech Bóg czuwa nad tobą do naszego ponownego spotkania.

Prom, na którego pokład Roxborough wszedł zaledwie kilka godzin po napisaniu tego listu, zatonął zaraz po wyjściu z portu w Dover, choć szkwał nie dał się we znaki żadnym innym statkom w okolicy. Nikt nie ocalał.

Dzień po otrzymaniu listu zapłakany adresat zajrzał do stajni, do boksu ulubionej klaczy ojca. Od wyjazdu właściciela Bellamare zachowywała się niespokojnie i chociaż dobrze знаła młodego Roxborougha, wierzgnęła i kopnęła go w podbrzusze. Nie zginął na miejscu, z pękniętym żołądkiem i śledziona przeżył jeszcze sześć dni, lecz uprzedził ojca, którego ciało morze wyrzuciło dopiero tydzień później, i pierwszy znalazł się w rodzinnym grobowcu.

*

Pie'oh'pah opowiedział tę smutną historię Gentle'owi, gdy śladem Scopique'a zmierzali z L'Himby do Kołyski Chzercemit. Była to jedna z wielu opowieści - zabawnych, absurdalnych, smutnych - które umilały im podróż. Mistyf podsuwał je Gentle'owi nie jako elementy jego biografii (choć zazwyczaj tym właśnie były), ale dla rozrywki. Wszystkie zaczynały się w ten sam sposób:

- Słyszałem kiedyś o człowieku, który...

Zwykle historie zajmowały mu dosłownie kilka minut, nad tą jednak rozwodził się dłużej; cytował dosłownie cały list Roxborougha. Gentle nie miał pojęcia, skąd znał jego treść, rozumiał jednak, dlaczego mistyf postanowił nauczyć się go na pamięć i zadał sobie tyle trudu, by przekazać mu go słowo w słowo. Pie musiał przypuszczać, że sen Roxborougha ma głębsze znaczenie, i włączył go do swoich nauk jako ostrzeżenie dla maestra. Ostrzeżenie przed tym, co niesie przyszłość.

A przyszłość właśnie nastąpiła. Od powrotu Mondaya czas włókł się niemiłosiernie, lecz Jude nie było nigdzie widać. Z braku innego zajęcia Gentle zaczął rozbierać list Roxborougha na czynniki pierwsze, szukając jakiegoś klucza, który pomógłby mu zrozumieć zagrożenie. Zastanawiał się, czy jego autor znajdował się wśród duchów, które rano majaczyły w rozedrganym od gorąca powietrzu. Czy wrócił, żeby oglądać koniec ulicy, którą przeklinał? Jeżeli tak właśnie było, jeśli podsłuchiwał pod drzwiami tak jak we śnie, musiał być chyba równie sfrustrowany jak mieszkańcy domu. Nie mógł się doczekać, kiedy rozpoczną dzieło, które w jego mniemaniu musiało doprowadzić do katastrofy.

Mimo wątpliwości, jakie budziło zachowanie Jude, Gentle nie mógł uwierzyć, by próbowała zniweczyć jego Wielkie Dzieło. Skoro mówiła, że Pojednanie może być niebezpieczne, musiała mieć po temu powody. Powstrzymał się więc od przyniesienia kamieni do pokoju medytacyjnego, ale też bał się, że nie wytrzyma długo przymusowej bezczynności. Nie chciał, żeby skusiły go do przedwczesnych przygotowań. Czekał więc, czekał i czekał. Upał się wzmagał, w pokoju zrobiło się duszno. Scopique miał rację, takie zadanie wymaga miesięcy przygotowań, a nie godzin. Teraz zaś i te godziny bezpowrotnie umykały. Jak długo można zwlekać? Kiedy zrezygnować z czekania na Jude i zacząć ceremonię? Czy miał czas do szóstej? A może do zmroku? Gentle nie umiał tego ocenić.

Niepokój wyczuwało się nie tylko w domu, ale i w całej okolicy. Nie było kwadransa, żeby do rozbrzmiewającego w mieście chóru nie dołączyła kolejna syrena. Kilka razy w pobliskich kościołach odzywały się dzwony - biły na trwogę, a nie po to, by wezwać wiernych. Z niedalekich ulic dobiegały krzyki i wrzaski. Niosły się daleko w powietrzu tak gorącym, że umarły by się spocili.

Tuż po pierwszej Clem zajrzał do pokoju. Miał wytrzeszczone ze strachu oczy i mówił głosem Taylora:

- Ktoś wszedł do domu.
- Kto?
- Jakiś duch z innego dominium. Jest na dole.
- Jude?

- Nie, to prawdziwa potęga. Nie czujesz? Wiem, że nie zadajesz się już z kobietami, ale nosa się tak łatwo nie traci. Mam rację?

Wyszli z pokoju. W domu było cicho. Gentle nie wyczuwał niczyjej obecności.

- Gdzie ona jest? - zapytał.

- Jeszcze przed chwilą tu była - odparł zakłopotany Clem. - Słowo daję.

Gentle chciał podejść do schodów, gdy Clem złapał go za ramię.

- Najpierw anioły - powiedział, ale Gentle już zaczął schodzić. Cieszył się, że długi letarg dobiegł końca, nie mógł się doczekać, kiedy powita gościa. Może przynosi mu wiadomość od Jude?

Drzwi frontowe stały otworem. Na schodkach połyskiwało rozlane piwo, nigdzie jednak nie było śladu Mondaya.

- Gdzie się podział ten chłopak?

- Wciąż gapi się w niebo. Podobno widział latający spodek.

Gentle się zdziwił. Clem położył mu dłoń na ramieniu i skinął na drzwi do jadalni. Ze środka dobiegał ledwie słyszalny szloch.

- Mamo! - krzyknął Gentle. Zapominając o ostrożności, zbiegł ze schodów. Clem deptał mu po piętach.

Szloch ucichł. Gentle wziął głęboki wdech (z myślą o obronie), nacisnął klamkę i pchnął drzwi barkiem. Nie były zamknięte na klucz, toteż otworzył je bez trudu i wpadł do środka. W jadalni panował półmrok; ciężkie, pachnące pleśnią zasłony ledwie przepuszczały pojedyncze promienie słońca, które rozpraszały się na wirującym w powietrzu kurzu. Wyłaniały z ciemności pusty materac. Kobieta, która na nim leżała i której Gentle nie spodziewał się już ujrzeć chodzącej o własnych siłach, stała pod przeciwległą ścianą. Pociągała nosem. Na widok syna zasłoniła się prześcieradłem i odwróciła do ściany. Gentle przypuszczał, że gdzieś w głębi muru pękła rura, bo słyhać było szum płynącej wody.

- Wszystko w porządku, mamó - odezwał się. - Nic ci nie grozi.

Celestine bez słowa podniosła rękę i wpatrywała się w swoją dłoń jak w lustro.

- Duch wciąż tu jest - zauważył Clem.

- Gdzie?

Clem wskazał Celestine. Gentle natychmiast podszedł do niej i rozłożył szeroko ramiona, oddając się duchowi.

- Chodź do mnie - powiedział. - Gdziekolwiek jesteś, chodź.

W pół drogi do ściany poczuł na twarzy kropelki wody - drobne, niewidoczne. Przyjemnie chłodziły skórę i orzeźwiały. Westchnął.

- Pada? Tutaj? - zdziwił się.

- To bogini - wyjaśniła Celestine, podnosząc wzrok znad dłoni, która spływała wodą, jakby w jej środku było źródło.

- Jaka bogini?

- Uma Umagammagi.

- Dlaczego płakałaś, mamó?

- Bałam się, że umieram. Myślałam, że przyszła po mnie.

- Ale nie...

- Nadal tu jestem, synku.

- Czego w takim razie chce?

Celestine podała Gentle'owi rękę.

- Chce, żebyśmy się pogodzili. Chodź ze mną do wody, moje dziecko.

Gentle wziął ją za rękę. Pociągnął go ku sobie, wystawiając twarz na deszcz, który zmył ostatnie ślady łez. Wyraz smutku ustąpił miejsca błogości. Gentle czuł się podobnie - miał ochotę przymknąć oczy i poddać się rozkoszy. Oparł się jednak pokusie. Jeżeli woda chciała mu coś przekazać, powinna się pospieszyć. Każda zwłoka oznaczała zagrożenie dla Pojednania.

- Powiedz mi... - Stał obok matki. - Powiedz, czy zostaniesz z nami...

Deszcz nie odpowiadał, w każdym razie Gentle nie usłyszał odpowiedzi. Jego matka coś jednak musiała usłyszeć, bo rozpromieniła się i ścisnęła go mocniej za rękę. Upuściła prześcieradło, wystawiając brzuch i piersi na muśnięcia deszczu, i Gentle pierwszy raz zobaczył ją nagą. Na jej ciele wciąż znać było ślady walki z Dowdem i Sartorim, lecz gojące się rany tylko podkreślały jej urodę. Patrzył z podziwem; wiedział, że to jego matka, ale był bezsilny.

Celestine wolną ręką otarła łzy i otworzyła oczy. Gentle nie zdążył odwrócić wzroku - i przeżył wstrząs; nie dlatego że odczytała w jego spojrzeniu pożądanie, ale dlatego że to samo zobaczył w jej oczach.

Cofnął się kilka kroków, płacząc się w zaprzeczeniach. Była znacznie mniej zawstydzona od niego. Zawołała go do siebie, w deszcz, cichym jak westchnienie głosem. Kiedy wciąż się odsuwał, usłyszał wyraźniejsze słowa:

- Bogini chce cię poznać. Chce zrozumieć, co robisz.

- Kontynuuję... dzieło... Ojca - odparł Gentle, po części broniąc się, po części tłumacząc. Za wszelką cenę chciał odgrodzić się od tej uwodzicielskiej siły.

Ale bogini - jeśli rzeczywiście w kroplach deszczu była jakaś bogini - nie dała się tak

łatwo zbyć. Celestine zaniepokoiła się, gdy wodna mgiełka odsunęła się od niej, podążyła za Gentle'em i rozbłysła kolorami w pojedynczym promieniu słońca.

- Nie bój się jej - powiedział Clem. - Nie masz nic do ukrycia.

Gentle jednak odruchowo cofał się coraz dalej od matki i od mgły, aż poczuł tuż za plecami uspokajającą obecność aniołów.

- Strzeżcie mnie - poprosił drżącym głosem.

Clem objął go od tyłu.

- To kobieta, maestro - mruknął. - Od kiedy to boisz się kobiet?

- Od zawsze. Trzymaj mnie, na litość boską!

Deszcz uderzył w ich twarze i Clem sapnął z rozkoszy, zauroczony jego łagodnością. Gentle zacisnął dłonie na jego przedramionach, nie dając mu rozluźnić uścisku, ale chmura wody nie próbowała ich rozłączyć. Przez jakieś pół minuty omywała im twarze, a potem wypłynęła z pokoju przez otwarte drzwi.

Gentle odwrócił się do Clema.

- Nic do ukrycia, tak? Chyba ci nie uwierzyła.

- Zrobiła ci coś?

- Nie, włożyła mi tylko do głowy! Dlaczego każde paskudztwo, jakie spotkam, pakuje mi się do mózgu?

- Stamtąd musi być wspaniały widok - odparł Taylor, uśmiechając się ustami swojego kochanka.

- Chciała tylko sprawdzić, czy masz uczciwe zamiary, synku - stwierdziła Celestine.

- Uczciwe zamiary? - powtórzył Gentle zjadliwie. - A kim ona jest, żeby mnie oceniać?

- Mówiłeś o dziele Ojca, ale twoje plany dotyczą wszystkich żywych istot w Imajice.

Celestine nie podniosła prześcieradła, więc kiedy podeszła bliżej, Gentle spuścił wzrok.

- Zasłoń się, mamó, na miłość boską! Narzuć coś na siebie!

Odwrócił się i wyszedł do holu.

- Nie wiem, kim jesteś, ale wynoś się z tego domu! - zawołał pod adresem intruzki. - Poszukaj jej na dole, Clemie. Ja pójdę na piętro.

Wbiegł po schodach na górę, wściekły na myśl o tym, że duch mógł nawiedzić pokój medytacyjny. Drzwi były otwarte, Spokojek siedział przycupnięty w kącie.

- Gdzie ona jest?! - krzyknął Gentle. - Tutaj?!

- Kto?

Gentle nie odpowiedział. Obszedł całe pomieszczenie jak więzień celę, bijąc otwartą dłońią w ściany. Nie słyszał szumu wody, w powietrzu nie czuł najdrobniejszego nawet kapuśniaczku. Zadowolony, że pokój uniknął splugawienia, wrócił do drzwi.

- Gdyby zaczęło tu padać, drzyj się, jakby cię ze skóry obdzierali.

- Jak sobie *życzysz, liberatore*.

Gentle trzasnął drzwiami i przeszukał pozostałe pokoje. Nie znalazłszy nikogo, wszedł na drugie piętro, żeby się rozejrzeć. Powietrze było suche jak pieprz. Schodził już na parter, gdy z ulicy dobiegł śmiech Mondaya. Nigdy nie słyszał, żeby chłopiec śmiał się tak beztroško. Pełen najgorszych przecuć, przyspieszył kroku. Od Clema na dole dowiedział się, że na parterze nikogo nie ma, i wybiegł przed dom.

Monday musiał sporo czasu spędzić z kredą w ręce. Cały chodnik przed drzwiami pokrywały rysunki - i to nie kopie zdjęć roznegliżowanych panienek, lecz skomplikowane, abstrakcyjne kształty, które spływały z krawężnika na rozmiękczony słońcem asfalt. Artysta stał bez ruchu na środku jezdni. Gentle natychmiast rozpoznał tę pozę: głowa odrzucona w tył, oczy zamknięte - jakby kąpał się w powietrzu.

- Monday!

Chłopiec go nie słyszał. Pławił się w rozkoszy, mieniąca się woda ściekała mu po włosach - mógłby się chyba utopić, gdyby na widok Gentle'a bogini nie postanowiła się wycofać. Kapuśniaczek natychmiast wyparował, Monday otworzył oczy, zmrużył je i śmiech zamarł mu na ustach.

- Gdzie się podział ten deszcz?

- Nie padał żaden deszcz.

- Tak? A co powiesz na to, szefie? - Monday wyciągnął przed siebie ręce, po których jeszcze spływała woda.

- Uwierz mi, to nie deszcz.

- Nie wiem, co to było, ale było miłe. - Chłopiec ściągnął przemoczoną koszulkę i wytarł nią twarz. - Wszystko gra, szefie?

Gentle rozglądał się po ulicy, wypatrując bogini.

- Będzie grało. Możesz wracać do pracy, Monday. Nie ozdobiłeś jeszcze drzwi.

- Co mam na nich machnąć?

- To ty jesteś artystą, nie ja - odparł z roztargnieniem Gentle.

Nie zwrócił dotąd uwagi, jak wiele istot nawiedziło Gamut Street. Duchy nie tylko stały wszędzie na chodniku - kołysały się jak wisielcy wśród zwiędłych liści, siedziały wyczekująco na dachach. Przyszło mu do głowy, że zachowują się bardzo przyjaźnie; miały

powody, żeby życzyć mu powodzenia. Pół rok temu, gdy z Pie'oh'pahem wyruszał w podróż, mistyf udzielił mu gorzkiej lekcji na temat bólu, jaki jest udziałem wszystkich duchów.

„Żaden duch nie jest szczęśliwy. Tłoczą się przy bramie, ale nie mają dokąd pójść”.

Czy Gentle nie żywił wówczas nadziei, że u kresu wędrówki znajdą lekarstwo na cierpienie zmarłych? Pie znał je już wtedy; nie mógł doczekać się chwili, gdy znów nazwie maestra Pojednawcą i powie mu, że w jego pamięci tkwi klucz do wrót, przy których czekają udręczone dusze.

- Cierpliwości - szepnął Gentle. Wiedział, że i tak go usłyszą. - Już niedługo, obiecuję. Już niedługo.

Słońce osuszało krople boskiego deszczu na jego twarzy. Z przyjemnością wystawił się na jego ciepło i odszedł kawałek od drzwi. Monday wrócił na schodki i znów wesoło pogwizdywał.

Gamut Street bardzo się zmieniła - domu pilnowały anioły, na ulicy padał lubieżny deszczyk, na drzewach przesiadywały duchy. A on, maestro, przechadzał się wśród nich, szykując się do dzieła, które na zawsze zmieni wszystkie światy. Taki dzień już się nie powtórzy.

Gentle stracił jednak dobry nastrój, gdy dochodził do końca uliczki. Jeśli nie liczyć odgłosu jego kroków i przenikliwych gwizdów Monday, świat zamarł w zupełnej ciszy. Umilkły syreny, które przed południem tak hałasowały, dzwony ucichły, nikt nie krzyczał - zupełnie jakby wszelkie życie z dala od Gamut Street złożyło śluby milczenia. Przyspieszył kroku. Albo jego podniecenie udzieliło się pobliskim duchom, albo po prostu te akurat były bardziej niespokojne, bo kręciły się nerwowo, wzbijając kurz z rynsztoków. Nie próbowały Gentle'a zatrzymać - rozstępowały się przed nim jak lodowata kurtyna. Przekroczył niewidzialną granicę uliczki i rozejrzał się na boki. Psy, które zbiegły się jakiś czas temu, gdzieś się pochowały, ptaki poznikały z dachów i drutów telefonicznych. Wstrzymał oddech, nasłuchując oznak życia w okolicy - warkotu silnika, skowytu syreny, ludzkiego głosu. Nic z tego. Coraz bardziej zdenerwowany odwrócił się i spojrzał w głąb Gamut Street. Bardzo nie chciał jej porzucać, przypuszczał jednak, że nic jej nie grozi, dopóki jest strzeżona przez duchy. Nie mając ciał, nie mogłyby wprawdzie przeszkodzić napastnikom, ale sama ich obecność - i liczba - powinna odstraszać intruzów. Ruszył w stronę Gray's Inn Road. Zaczął biec. Żar lał się z nieba, ale Gentle nie zwolnił, dopóki nie znalazł się na skrzyżowaniu. Gray's Inn Road i High Holborn były jednymi z większych arterii komunikacyjnych w tej dzielnicy; nawet gdyby stanął na tym rogu w zimną, grudniową noc, zobaczyłby jakiś samochód. Teraz jednak obie ulice były puste i ciche. Z pobliskich przecnic, placów i

zaułków nie dobiegał nawet najlżejszy szmer. Strefa spokoju, która przez dwieście lat chroniła Gamut Street przed obcymi wpływami, musiała się ogromnie rozszerzyć. Jeżeli mieszkańcy Londynu nie wyprowadzili się gremialnie z miasta, to najwyraźniej unikali tych okolic.

A jednak mimo pozornej martwoty coś wisiało w powietrzu i Gentle nie mógł po prostu okręcić się na pięcie i wrócić na Gamut Street. Do jego nozdrzy docierał niezwykle zapach, tak delikatny, że woń rozmiękłego asfaltu niemal całkowicie go tłumiała, ale tak przy tym niezwykle, że nie potrafił go zignorować. Stał więc na rogu, czekając na jakiś podmuch powietrza, aż leciutki zefirek potwierdził jego podejrzenia. Mdląco słodki zapach mógł pochodzić tylko z jednego źródła i tylko jeden człowiek w Londynie (i w całym Piątym Dominium) miał do niego dostęp. Ten właśnie człowiek otworzył In Ovo i wypuścił z niego potwory znacznie groźniejsze od bezrozumnych istot, które Gentle spotkał w wieżowcu Tabula Rasa. Tylko raz w życiu widział podobne bestie i czuł ich odór. Dwieście lat temu, gdy wyrządziły niepowetowane szkody. Ponieważ wiatr był ledwie wyczuwalny, nie mógł przynieść woni aż z Highgate, a zatem Sartori i jego legiony musieli znajdować się gdzieś w pobliżu. Może o dziesięć przecznic stąd, może tylko o dwie... Może lada chwila wychyną zza rogu Gray's Inn Road.

Nie miał czasu do stracenia. Niebezpieczeństwo, przed którym ostrzegła go Jude, mogło w ogóle nie istnieć. Natomiast ten zapach był rzeczywisty, podobnie jak istoty, które go wydzielały. Nie mógł dłużej odwlekać rytuału. Zawrócił i rzucił się biegiem w stronę domu, jakby horda potworów już deptała mu po piętach. Duchy rozproszyły się przed nim, gdy w pełnym pędzie skręcił w Gamut Street. Monday, który rysował coś przy wejściu, upuścił krede.

- Już pora, chłopcze! - krzyknął Gentle. Jednym skokiem przesadził stopnie przy drzwiach. - Przynies kamienie na górę.

- To znaczy, że zaczynamy?

- Zaczynamy.

Monday wyszczerzył zęby w uśmiechu, wrzasnął triumfalnie i wpadł do domu, mijając w progu Gentle'a, który podziwiał zdobiący drzwi rysunek. Obraz został ledwie naszkicowany, ale prezentował się znakomicie; przedstawiał olbrzymie oko, z którego we wszystkich kierunkach strzelały promienie światła. Gentle wszedł do domu, zadowolony, że takie ogniste spojrzenie powita każdego - wroga czy przyjaciela - kto stanie na progu. Zamknął drzwi na zasuwkę. Kiedy stąd wyjdę, pomyślał, dzieło mojego Ojca będzie już skończone.

ROZDZIAŁ 57

Jude czekała na plaży. Nie wiedziała, jakie dyskusje i kłótnie toczą się w świątyni Umy Umagammagi, ale procesja wiernych ustała. Fale nie wyrzucały już na brzeg kobiet ani dzieci, a po jakimś czasie wody jeziora uspokoiły się i wygładziły niczym lustro, jakby rządzące nimi siły zajęły się innymi, dalece ważniejszymi sprawami. Nie miała zegarka, więc mogła tylko zgadywać, ile czasu upłynęło, ale pozycja komety na niebie wskazywała, że powinna go mierzyć raczej w godzinach niż w minutach. Nie była pewna, czy boginie rozumieją powagę sytuacji i konieczność pośpiechu. Może wieki niewoli i wygnania tak bardzo je otepiły, że teraz mogły debatować tygodniami, nie zdając sobie sprawy z upływu czasu? Zarzucała sobie, że bardziej ich na to nie uczuliła. W Piątym Dominium dzień mijał nieubłaganie i nawet jeśli udało się przekonać Gentle'a, by odwleknął rozpoczęcie ceremonii, nie mógł czekać w nieskończoność. I trudno było mieć o to do niego pretensję. Przekazała mu tylko krótką wiadomość - i to przez niezbyt godnego zaufania posłańca - żeby zachował ostrożność. To mogło nie wystarczyć, by zgodził się zaryzykować powodzenie Pojednania. W przeciwieństwie do niej nie znał makabrycznych wizji z Pucharu Bostońskiego, toteż na dobrą sprawę nie rozumiał, o co toczy się gra. Kontynuował - jak sama powiedziała - dzieło Ojca; z całą pewnością nie przypuszczał, że może w ten sposób zniszczyć Imajicę.

Dwa razy musiała porzucić te ponure rozmyślenia - najpierw młoda dziewczyna przyniosła jej coś do jedzenia i picia (za co Jude była jej bardzo wdzięczna), a potem natura upomniała się o swoje prawa i Jude musiała znaleźć jakieś ustronne miejsce. Zdawała sobie sprawę, że zachowuje się niedorzecznie, kryjąc się z tym oddawaniem wody, ale nawet napatrzywszy się na przeróżne cuda, nie umiała się pozbyć nawyków z Piątego Dominium. Może z czasem nauczy się nie przejmować takimi drobiazgami, ale jeszcze nie teraz.

Kiedy wróciła z kryjówki wśród skał, znów rozbrzmiewała przed świątynią pieśń, która dawno ucichła. Zamiast iść na plażę, Jude skierowała się ku wejściu. Przyspieszyła kroku, widząc, jak woda w jeziorze ożywia się i burzy, a fale zaczynają się rozbijać o skały. Boginie najwyraźniej podjęły decyzję. Chciała jak najszybciej ją poznać - to naturalne - ale nie umiała wyzbyć się poczucia, że wraca do świątyni jak oskarżona na salę sądową.

Kobietom przed świątynią udzieliła się atmosfera wyczekiwania. Musiały jednak bardzo różnie interpretować swoje przecucia - jedne się uśmiechały, inne były ponure.

- Mam wejść do środka? - spytała.

Dziewczyna, która przyniosła jej jedzenie, pokiwała głową. Chyba chciała ją ponaglić, by reszta nie musiała czekać. Jude weszła za wodną kurtynę. Wnętrze świątyni bardzo się zmieniło. Świadomość, że zmysły i intuicja łączą się tu w jedno, była równie silna jak przedtem, ale to, co nimi odbierała, nie wyglądało już tak zachęcająco. Zgasło świetliste origami, zniknęły gdzieś ciała, z których brało początek. Wyglądało na to, że Jude jest jedyną w wieży przedstawicielką świata materialnego, w dodatku wystawioną na działanie światła znacznie mniej delikatnego niż wzrok Umy Umagammagi. Zmrużyła oczy, ale powieki nie radziły sobie z blaskiem, który płonął jej pod czaszką. Przerzął; chciała się cofnąć, ale powstrzymało ją wspomnienie łagodnej bogini, która gdzieś tam wciąż musiała być.

- Bogini? - zaryzykowała Jude.

- Jesteśmy tutaj - odparła Uma Umagammagi. - Razem: Jokalaylau, Tishalulle i ja.

Kiedy bogini wymieniła ich imiona, Jude zaczęła dostrzegać jakieś kształty w oślepiającej poświacie. Nie przypominały wiecznie zmiennych symboli, które widziała wcześniej; zamiast abstrakcyjnych kształtów widziała łagodnie nakreślone ludzkie sylwetki, które unosiły się nad jej głową. Zdziwiła ją ta zmiana. Jeżeli wcześniej mogła dzielić z Umagammagi i Jokalaylau ich prawdziwą naturę, to dlaczego teraz pokazywały jej się pod tak zwyczajnymi postaciami? Nie wróżyło to nic dobrego. Czy boginie odziały się w materię, ponieważ uznały ją za niegodną oglądania ich prawdziwych kształtów? Starła się uchwycić jakieś szczegóły ich wyglądu, lecz albo zawodził ją niedoskonały wzrok, albo boginie nie chciały się jej pokazać. W jej umyśle formowały się tylko ogólne wrażenia - że są nagie, mają świetliste oczy, a ich ciała ociekają wodą.

- Widzisz nas? - usłyszała obcy głos, który musiał należeć do Tishalulle.

- Oczywiście, ale... nie w pełni.

- A nie mówiłam? - odezwała się Uma Umagammagi.

- O czym? - zdziwiła się Jude, zanim zrozumiała, że te słowa były skierowane do sióstr bogini.

- Jest rzeczywiście niezwykła - przyznała Tishalulle.

Jej głos zmieniał się w niezwykły sposób. Kiedy Jude się w niego wsłuchiwała, postać bogini zarysowała się wyraźniej, jakby z każdą sylabą przybywało szczegółów w obrazie. Miała orientalne rysy i bladą cerę - bez cienia koloru na policzkach, wargach i powiekach. A jednak jej twarz była subtelna. Światło jej oczu podkreślało symetrię i łagodność rysów. Całe ciało Tishalulle pokrywały rysunki, które Jude wzięła z początku za tatuaże. Kiedy przyjrzała się im dokładniej (co uczyniła bez fałszywego wstydu), zrozumiała, że wciąż się poruszają.

Znajdowały się nie na skórze bogini, lecz w niej - tysiące malutkich dziurek, które rytmicznie otwierały się i zamykały. Zwróciła uwagę, że tworzą kilka ławic, z których każda pulsuje niezależnym od pozostałych, falującym ruchem: jedna wyrastała spomiędzy ud bogini, inne przepływały po jej nogach i rękach, aż po czubki palców. Co jakieś dziesięć, piętnaście sekund wszystkie otworki zbiegały się w zwarte skupiska i wypływała z nich jakaś substancja, jak gdyby odtwarzając ciało Tishalulle.

- Chyba powinnaś wiedzieć, że znam twojego Gentle'a - stwierdziła bogini. - Tuliłam go w mojej Kołysce.

- Nie jest już mój.

- A stanowi to dla ciebie jakąś różnicę, Judith?

- Naturalnie że nie - wtrąciła Jokalaylau. - Jego brat grzeje jej łóżko. Autarcha. Rzeźnik Yzordderrex.

Jude spojrzała na Boginię Wielkich Śniegów. Szczegóły tej postaci wymykały się jej oczom bardziej niż sylwetka Tishalulle, uparła się jednak, żeby zobaczyć ją taką, jaka jest naprawdę. Utkwiła wzrok w spirali zmrożonego ognia, który płonął we wnętrzu istoty Jokalaylau, i patrzyła, jak strzela na boki ognistymi łukami, wykreślając kontur ciała bogini. Błyski trwały krótko, ale wystarczyły, by Jude zorientowała się, że ma przed sobą dostojną Murzynkę o ciężkich powiekach, które przysłaniały pałające zarem oczy. Jokalaylau skrzyżowała ręce w nadgarstkach i splotła palce, odginając je w tył. Wcale nie wyglądała groźnie, ale kiedy wyczuła, że Jude ją obserwuje, przeszła gwałtowną przemianę - bujne ciało błyskawicznie skurczyło się i zwiędło, oczy zapadły się w głąb czaszki, usta zmarszczyły się i odsłoniły zęby, wśród których uwijały się robaki pożerające język.

Jude krzyknęła z odrazą i w oczach Jokalaylau zapłonął dawny ogień. Chrapliwy śmiech zadudnił echem w całej świątyni.

- Wcale nie jest taka niezwykła, siostró. Spójrz, jak się trzęsie.

- Zostaw ją w spokoju - odezwała się Uma Umagammagi. - Dlaczego musisz wszystkich ludzi wystawiać na próbę?

- Żyjemy tylko dlatego, że stawiliśmy czoło najgorszemu i udało się nam przeżyć. Ona by w górach zamarzła.

- Wątpię. Słodka Judith...

- Nie boję się śmierci - odparła roztrzęsiona Jude. - Ani jarmarcznych sztuczek.

- Spójrz na mnie, Judith.

- Chcę, żeby zrozumiała...

- Słodka Judith...

- ...że nie można mną pomiatać.

- ...spójrz na mnie.

Dopiero teraz Jude posłuchała Umy Umagammagi. Tym razem nie musiała zmagać się z niedoskonałością swoich zmysłów. Bogini ukazała się jej w swojej prawdziwej postaci. Zakrawało to na paradoks; była wiekową kobietą, tak zasuszoną, że niemal zatraciła wszelkie oznaki płci, miała lekko wydłużoną, bezwłosą czaszkę i małe oczy, zagubione w siateczce zmarszczek, a jednak całe ciało wyrażało piękno, które Jude dostrzegła w świetlistym symbolu, w jego drzeniu, migotaniu, niezmordowanym ruchu.

- Widzisz mnie teraz?

- Tak.

- Nie zapomnieliśmy naszych ciał. Znamy słabe strony twojej istoty, pamiętamy ból i niewygody, wiemy, co to znaczy zostać raną - w serce, w głowę, w łono.

- Wierzę ci.

- Nie wyjawimy ci sekretów naszego istnienia, gdybyśmy nie wierzyły, że pewnego dnia możesz znaleźć się pośród nas.

- Pośród was?

- Są bóstwa, które powstają wskutek zbiorowego wysiłku ludzkiej woli. Inne rodzą się w rozpalonych sercach gwiazd, jeszcze inne na zawsze pozostają niematerialną abstrakcją. Ale są i takie, odważę się twierdzić, że najdoskonalsze i najbardziej kochające, które wyrastają z żywych dusz. Takie właśnie jesteśmy, siostró. Zachowałyśmy pamięć naszego życia i śmierci. Rozumiemy cię, słodka Judith, i nie zamierzamy oskarżać.

- Jokalaylau też nie?

Bogini Wielkich Śniegów odsłoniła się przed Jude w całej okazałości. Spod jej skóry przeświecała falująca bladość, oczy - poprzednio świetliste - były całkiem ciemne, zimne i bezlitosne.

- Chcę, żebyś zobaczyła, co ojciec ojca twojego dziecka zrobił z moimi poddanymi.

Dopiero teraz Jude zrozumiała, że błądy odcień skóry bogini pochodzi od śniegu. Zawieja szalała w jej ciele, zadając ból tysiącem lodowych igiełek. Śnieg zalegał w olbrzymich zaspach, ale na żądanie Jokalaylau dał się przewiać w inne miejsce i odsłonił miejsce okrutnej zbrodni. Wszędzie leżały zamrożone trupy kobiet z wyłupionymi oczami i odciętymi piersiami. Przy niektórych widać było inne, mniejsze ciała - zwłoki zgwałconych dzieci i poćwiartowanych niemowląt.

- To tylko kilka krzywd, które wyrządził - dodała bogini.

Mimo że widok był wstrząsający, Jude tym razem zdołała nad sobą zapanować i

patrzyła, dopóki Jokalaylau nie zaciągnęła nad sceną śnieżnej kurtyny.

- Czego ode mnie żądacie'? - spytała Jude. - Mam dorzucić następne ciało do stosu? Jeszcze jedno dziecko? - Położyła dłoń na brzuchu. - To dziecko?

Do tej pory nawet nie przypuszczała, jak zaborcza jest w stosunku do istoty, którą w sobie nosi.

- Należy do rzeźnika - zauważyła Jokalaylau.

- Nie - odparła Jude. - Do mnie.

- Weźmiesz na siebie odpowiedzialność za jego uczynki?

- Naturalnie - przytaknęła Jude, dziwnie podekscytowana tą perspektywą. - Zło można przekuć w dobro; to, co pęknięte, można naprawić.

Zastanawiała się, czy boginie mają świadomość, skąd czerpie swoje myśli; czy wiedzą, że na swój własny, macierzyński użytek przyswoiła sobie filozofię Pojednawcy. Jeśli nawet tak było, wcale jej przez to mniej nie szanowały.

- Duchem będziemy z tobą, siostró - obiecała Tishalulle.

- Odsyłacie mnie? Znowu?!

- Przybyłaś tu w poszukiwaniu odpowiedzi. Możemy ci jej udzielić.

- Wiemy, że czas nagli - dodała Uma Umagammagi. - Przetrzymałyśmy cię tutaj nie bez powodu. Przez ten czas przemierzyłam całą Imajicę, szukając wskazówek, które pomogłyby nam rozwikłać tę zagadkę. We wszystkich dominiach maestrowie czekają na chwilę, gdy będą mogli przystąpić do Pojednania...

- To znaczy, że Gentle jeszcze nie zaczął?

- Nie, czeka na wieści od ciebie.

- Co mam mu powiedzieć?

- Zajrzałam w ich serca, żeby sprawdzić, czy nie kryją spisku...

- Znalazłaś coś?

- Nie. Nie są oczywiście bez skazy, ale któż jest? Wszyscy chcą, aby Imajica stała się całością. I wierzą, że mogą do tego doprowadzić.

- A wy? Też w to wierzycie?

- Tak - odpowiedziała Tishalulle. - Oni, rzecz jasna, nie mają pojęcia, że w ten sposób zamkną krąg. Może gdyby o tym wiedzieli, przemyśleliby sprawę.

- Dlaczego?

- Ponieważ koło jest domeną naszej płci, nie ich - wyjaśniła Jokalaylau.

- To nieprawda - zaprotestowała Uma Umagammagi. - Należy do każdej istoty, w której umyśle się zrodzi.

- Mężczyźni są niezdolni do rodzenia, siostró. Czyżbyś o tym nie słyszała?

- To też może się zmienić, jeśli z naszą pomocą wyzbędą się swoich lęków - uśmiechnęła się Uma Umagammagi. Dobrze wiedziała, że jej słowa budzą więcej pytań, niż dają odpowiedzi. Spojrzała na Jude. - Zajmiemy się tym, kiedy wrócisz. Teraz musisz się spieszyć.

- Powiedz Gentle'owi, żeby stał się Pojednawcą - przypomniała Tishalulle. - I nie powtarzaj mu ani słowa z naszej rozmowy.

- Czy muszę mu to oznajmić osobiście? Skoro już raz go odwiedziłaś, czy nie mogłabyś tam wrócić i przekazać mu tej wiadomości? - spytała Jude, patrząc na Umę Umagammagi. - Chciałabym tu zostać.

- Wiemy o tym, ale teraz Gentle nam nie zaufa. Musisz to załatwić osobiście.

- Rozumiem.

Jude straciła nadzieję, że dalszymi prośbami coś wskóra. Zadała proste pytanie, dostała prostą odpowiedź i musiała z nią wrócić do Piątego Dominium, chociaż wcale nie miała na to ochoty.

- Czy mogę jeszcze o coś spytać?

- Słuchamy.

- Dlaczego objawiłyście mi się w taki sposób?

- Żebyś rozpoznała nas, kiedy zasiądziemy przy twoim stole - powiedziała Tishalulle. - Albo kiedy spotkasz nas na ulicy.

- Czy to znaczy, że przybędziecie do Piątego Dominium?

- Być może... Po Pojednaniu czeka nas tam sporo pracy.

Judith wyobraziła sobie, że Londyn mógłby stać się widownią takich zmian, jakie widziała w pałacu: matka Tamiza występuje z brzegów, niesie brud z Whitehallu i Mall, płynie przez miasto, zmienia place w baseny, a katedry w parki wodne. Od razu zrobiło się jej lżej na duszy.

- Będę na was czekać - odparła, podziękowała boginiom i ruszyła do wyjścia.

Fale już na nią czekały, miękkie jak poduszki. Zeszła prosto na plażę i rzuciła się na wodę. Tym razem nie musiała płynąć - woda niczym rydwan przeniosła ją na brzeg jeziora, na skały, skąd pierwszy raz skoczyła w fale. Lotti Yap i Paramarola zniknęły, ale i bez nich nie miałyby kłopotu ze znalezieniem drogi powrotnej. Woda rozmyła ściany wielu korytarzy i komnat - zarówno w pobliżu wieży, jak i przy niżej położonych dziedzińcach - i wszędzie, aż do zburzonych bram pałacu roztaczała się panorama stawów i fontann. Powietrze zrobiło się bardziej przejrzyste, toteż wzrokiem sięgała do leżących daleko w dole kesparatów, portu i

morza, które z pewnością tęskniło do bogiń.

Na schodach stwierdziła, że woda opadła, pozostawiając po sobie sterty śmieci. Lotti Yap uwijała się wśród nich jak kolekcjoner wyrzuconych przez morze przedmiotów, który nagle trafił do raju. Na jednym z niższych stopni siedziała Hoi-Polloi i gawędziła z Paramarolą.

Przywitały się i dziewczyna opowiedziała, jak po chwili wahania poddała się rzece, która uniosła Jude w dal. Woda przetransportowała ją bezpiecznie do podnóża schodów, a chwilę później zniknęła, jakby odwołana do innych obowiązków.

- Właściwie straciłyśmy już nadzieję, że cię jeszcze spotkamy - przyznała Lotti. Wyrzebywała spisane na kartkach modlitwy i prośby, rozkładała je, czytała i chowała do kieszeni. - Widziałas jakieś boginie?

- Widziałam.

- Są piękne? - zaciękała się Paramarola.

- Na swój sposób...

- Opowiedz nam o nich.

- Nie mam czasu. Muszę wracać do Piątego Dominium.

- To znaczy, że znalazłaś odpowiedź - stwierdziła Lotti.

- Owszem. Nie musimy się o nic martwić.

- A nie mówiłam? Świat ma się dobrze.

- Mogę iść z tobą? - spytała Hoi-Polloi, gdy Jude zaczęła kluczyć wśród stert odpadków.

- Myślałam, że zaczekasz z nami - zauważyła Paramarola.

- Wrócę spotkać się z boginiami, ale chciałabym najpierw zobaczyć Piąte Dominium, zanim wszystko się pozmienia. Bo przecież się pozmienia, prawda?

- Naturalnie - przytaknęła Jude.

- Chcesz coś do czytania na drogę? - zaproponowała Lotti, podając jej garść modlitw. - To niesamowite, co ludzie potrafią wymyślić.

- Powinny trafić na wyspę. Zabierzcie je i zostawcie przy drzwiach świątyni.

- Ale przecież boginie nie mogą odpowiadać na każdą prośbę porzuconych kochanków, okaleczonych dzieci...

- Nie bądź taka pewna. Jutro wstanie zupełnie nowy dzień.

Z Hoi-Polloi u boku Jude pożegnała się z nowymi znajomymi - drugi raz w ciągu godziny - i skierowała się mniej więcej w stronę bramy.

- Wierzysz w to, co powiedziałaś Lotti? - zainteresowała się dziewczyna, gdy schody

zostały daleko w tyle. - Czy naprawdę jutro wszystko się zmieni?

- W ten czy w inny sposób...

Nie chciała, by odpowiedź zabrzmiała aż tak dwuznacznie, ale może jej język wiedział swoje. Mimo że opuszczała świątynię zbrojna w słowa istot znacznie od niej potężniejszych, jakoś nie mogła zapomnieć wizji ze skarbca Oscara i wyczytanego w Pucharze Bostońskim proroctwa, że wszystko obróci się w pył.

Zbeształa się w duchu za brak wiary. Skąd brała się w niej ta arogancka duma, która kazała wątpić w mądrość samej Umy Umagammagi? Postanowiła na razie o niej zapomnieć. Może pewnego cudownego dnia spotka boginie na ulicy w Piątym Dominium i przyzna im się, że nawet rozmowa z nimi nie rozwiała do końca jej śmiesznych wątpliwości. Teraz jednak z pokorą przyjmie ich radę i zanieśnie Pojednawcy dobre wieści.

ROZDZIAŁ 58

Gentle nie był jedynym mieszkańcem domu przy Gamut Street, który wyczuł w popołudniowej bryzie odór In Ovo. Rozpoznał go również Spokojek, dawny więzień rozciągającego się między dominiami piekła. Kiedy Gentle zajrzał do pokoju medytacyjnego, potworek siedział przy oknie. Miał łyzy na policzkach i rozpaczliwie szczękał zębami.

- On tu przyjdzie, prawda? - zapytał. - Widziałeś go, *liberatore*?

- Tak, przyjdzie, i nie, nie widziałem. Nie bój się, nie pozwolę, żeby tknął cię palcem.

Spokojek uśmiechnął się krzywo, ale zęby tak mu latały, że wyglądał groteskowo.

- Mówisz jak moja matka. Co noc mi powtarzała: nie bój się, nic ci się nie stanie.

- Przypominam ci matkę?

- No, nie masz cycków. Nie była żadną pięknoscią, ale wszyscy moi ojcowie ją kochali.

Z parteru dobiegł jakiś łoskot. Spokojek podskoczył.

- To nic takiego, Clem zamyka okiennice.

- Chciałbym się na coś przydać. Co mógłbym robić?

- To co w tej chwili. Obserwuj ulicę. Jeżeli kogoś zobaczysz...

- Wiem, mam się drzeć, jakby mnie ze skóry obdzierali.

*

Kiedy zamknięto okiennice, dom pogrzyżył się w półmroku. Clem, Monday i Gentle pracowali w milczeniu, bez wytchnienia. Zanim przenieśli wszystkie kamienie na górę, powoli zapadł zmierzch. Wychylony z okna Spokojek obdzierał garściami liście z gałęzi i wrzucał je do pokoju. Gdy Gentle zapytał go, co robi, wyjaśnił, że po zmroku liście zasłaniają mu widok, więc postanowił je usunąć.

- Proponuję, żebyś przeniósł się na drugie piętro, kiedy zacznę Pojednanie.

- Jak sobie życzysz, *liberatore*. - Spokojek zsunął się z parapetu i podniósł wzrok na Gentle'a. - Mam tylko jedną prośbę...

- Tak?

- ...dość delikatnej natury.

- Śmiało, słucham.

- Niedługo rozpocznie się ceremonia. Boję się, że dłużej nie będę miał zaszczytu ci

towarzyszyć. Po udanym Pojednaniu staniesz się sławny. Nie twierdzą, że już nie jesteś... - dodał pospiesznie Spokojek. - Jesteś, jesteś, jak najbardziej. Ale od jutra wszyscy będą cię znali jako Pojednawcę, człowieka, który osiągnął coś, co nie udało się samemu Christosowi. Zostaniesz papieżem, zaczniesz pisać pamiętniki... - tu Gentle się roześmiał -...i już się nie spotkamy. Tak zresztą powinno być, nie przeczę. Tylko tak się zastanawiałem, czy zanim staniesz się beznadziejnie sławny, mógłbyś mnie... pobłogosławić.

- Pobłogosławić?

Spokojek podniósł ręce, jakby chciał z góry odeprzeć ewentualne protesty.

- Nic nie mów! Rozumiem! I tak byłeś dla mnie ponad miarę łaskawy...

- Nie o to chodzi. - Gentle przykucnął obok Spokojka, tak samo jak wtedy, gdy Jude przydepnęła potworkowi głowę. - Zrobiłbym to, gdybym mógł, ale nie wiem jak. Nie jestem mesjaszem ani nawet kapłanem, nigdy nie wygłosiłem kazania, nikogo nie wskrzesiłem z martwych.

- Ale masz apostołów - zauważył Spokojek.

- Nie. Miewałem przyjaciół, którzy byli w stanie mnie ścierpieć, i kochanki, które umiały mi się przypodobać. Nikomu nie umiałem dać natchnienia; jeśli nawet miałem taką moc, rozmieniałem się na drobne jako uwodziciel. Nie mam prawa nikogo błogosławić.

- W takim razie przepraszam, więcej o tym nie wspomnę. - Spokojek znowu wziął Gentle'a za rękę i przywarł do niej głową. - Życie bym za ciebie oddał, *liberatore*.

- Mam nadzieję, że to nie będzie konieczne.

Spokojek spojrzał mu w oczy.

- Prawdę mówiąc, ja też.

Odwrócił się i zaczął zbierać liście z podłogi. Wepchnął sobie dwa zwiłki do nosa, żeby nie czuć ohydnej woni In Ovo. Resztę Gentle kazał mu zostawić. Zapach żywicy był o wiele przyjemniejszy od tego, który przepełniłby dom, gdyby Sartori się w nim zjawił (co zdaniem Gentle'a prawie na pewno musiało nastąpić). Spokojek wdrapał się z powrotem na okno.

- Widzisz coś? - zaciekawiał się Gentle.

- Nic.

- A czujesz?

- Ach... piękna noc, *liberatore*. Ale on i tak przyjdzie tu, żeby ją zepsuć.

- Pewnie masz rację. Zostaniesz tu jeszcze chwilę? Chciałbym rozejrzeć się z Clemem po domu. Gdybyś coś zobaczył...

- Będzie mnie słychać aż w L'Himby.

Spokojek dotrzymał słowa. Gentle nie zdążył jeszcze zejść po schodach, gdy dobiegł go jazgot, od którego kurz sychnął się z belek stropowych. Krzyknął do Mondaya i Clema, żeby sprawdzili, czy drzwi są pozamykane, i pobiegł z powrotem na górę. Drzwi pokoju otworzyły się z hukiem i wypadł z nich rozwrzeszczany Spokojek. Gentle nie zrozumiał ani słowa, jednak rzucił się prosto do drzwi, robiąc po drodze wdech, żeby odeprzeć atak sprzymierzeńców Sartoriego. W kręgu na podłodze materializowały się dwie postaci. Nigdy nie oglądał końcowego etapu podróży przez Imajicę z tej perspektywy, toteż stanął jak wryty i wytrzeszczył oczy. Widok nie był przyjemny - zbyt wiele pojawiało się w nim oślizłych, krwawych kształtów - ale śledził go z narastającym podnieceniem, tym bardziej że w jednej z postaci szybko rozpoznał Jude. Drugą okazała się zezowata, mniej więcej siedemnastoletnia dziewczyna, która w chwilę po przybyciu padła na kolana. Płakała ze strachu i z ulgi jednocześnie. Nawet Jude, która czwarty raz odbyła taką podróż, była roztrzęsiona. Przewróciłaby się, gdyby Gentle jej nie złapał.

- In Ovo... - wysapała. - Prawie nas... pochłonęło... - Jedną nogę miała rozciętą od kolana po kostkę. - ...Zęby...

- Nic ci nie będzie - uspokoił ją Gentle. - Nie straciłaś przecież nogi. Clem! Clem!

Clem pojawił się w drzwiach; Monday stanął za jego plecami.

- Mamy coś, żeby ją opatrzyć?

- Pewnie! Zaraz przyniosę...

- Nie - wtrąciła Jude. - Chcę zejść na dół. Lepiej nie zakrwawić podłogi w tym pokoju.

Monday zajął się Hoi-Polloi, a Clem z Gentle'em wzięli Jude pod ramiona.

- In Ovo nigdy wcześniej tak nie wyglądało - stwierdziła Jude. - Jakiś obłęd...

- To przez wizytę Sartoriego - wyjaśnił Gentle. - Werbował sobie żołnierzy.

- Na pewno bardzo poruszył całe towarzystwo.

- Myśleliśmy, że już po tobie - stwierdził Clem.

Jude spojrzała na niego. Była blada jak ściana, uśmiechnęła się niepewnie - ale przynajmniej się uśmiechnęła.

- Nigdy nie wątpcie w posłańca. Zwłaszcza gdy przynosi dobre wieści.

*

Do północy zostały trzy godziny i cztery minuty, nie mieli więc czasu na długą rozmowę, ale Gentle koniecznie chciał usłyszeć - choćby pokrótce - co skłoniło Jude do podróży do Yzordderrex. Ułożyli ją wygodnie we frontowym pokoju, zaopatrzonym przez Mondaya w zdobyczne poduszki, zapas jedzenia i stosik kolorowych pism. Clem opatrzył jej nogę, Jude zaś postarała się w kilku zdaniach streścić, co przeżyła od opuszczenia Azylu.

Nie było łatwo, kilka razy brakowało jej słów, by opisać, co widziała w mieście. Gentle słuchał w milczeniu. Spochmurniał, gdy usłyszał, jak Uma Umagammagi sprawdzała wszystkich członków Synodu, czy mają czyste intencje.

- Ja też byłem w Yzordderrex - powiedział, gdy Jude skończyła. - Sporo się tam zmieniło.

- Na lepsze.

- Ruiny nigdy mi się nie podobały, nawet te najbardziej malownicze.

Jude spojrzała na niego z ukosa, ale nie odpowiedziała.

- Czy nic nam tu nie grozi? - spytała Hoi-Polloi. - Jest tak ciemno...

- Oczywiście, że nic nam nie grozi. - Monday objął ją i przytulił. - Pozamykaliśmy się na cztery spusty. On tu na pewno nie wlezie, prawda, szefie?

- Kto? - zdziwiła się Jude.

- Sartori.

- A jest gdzieś w pobliżu?

Milczenie Gentle'a wystarczyło Jude za odpowiedź. - I co, sądzicie, że powstrzyma go zamek w drzwiach?

- A nie? - zaniepokoiła się Hoi-Polloi.

- Jeżeli naprawdę będzie chciał tu wejść, to nie - odparła Jude.

- Nie odważy się - mruknął Gentle. - Kiedy rozpocznie się Pojednanie, przez cały dom popłynie wielka moc... moc mojego Ojca.

Dla Jude pomysł ten był chyba równie ohydny jak - zdaniem Gentle'a - dla Sartoriego, ale odpowiedziała łagodnie:

- Jest twoim bratem, nie zapominaj. Nie byłabym taka pewna, że nie zechce uczestniczyć w dzisiejszych wydarzeniach. A wtedy po prostu wejdzie i weźmie sobie to, po co przyszedł.

Gentle spiorunował ją wzrokiem.

- Masz na myśli moc, o której mówiłem? Czy siebie?

- Jedno i drugie - odparła Jude po chwili wahania.

- Zrobisz, co zechcesz. - Gentle wzruszył ramionami. - Podejmowałaś już sama pewne decyzje i nie miałaś racji. Przydałaby ci się odrobina wiary, Jude. - Wstał. - Wiary w to, co wszyscy poza tobą wiedzą.

- To znaczy?

- Że za kilka godzin ten dom przejdzie do legendy.

- Właśnie... - szepnął Monday.

Gentle uśmiechnął się i dodał:

- Zostańcie tutaj i uważajcie na siebie.

Wyszedł z pokoju.

Jude wsparła się na Clemie, żeby wstać. Zanim dokuśtykała do drzwi, Gentle był już na schodach. Nie powiedziała ani słowa, lecz on zatrzymał się na chwilę i - nie odwracając głowy - rzekł:

- Nie chcę tego słyszeć.

Ruszył dalej zgarbiony, ciężkim krokiem. Wiedziała, że chociaż mówi jak prorok, toczy go ten sam robal wątpliwości, który i jej nie dawał spokoju. Gentle bał się, że jeśli spojrzy jej w oczy, robal napasie się jej widokiem i go zadławi.

Na progu przywitał go zapach żywicy, który (zgodnie z oczekiwaniami) maskował paskudny odór dolatujący przez okno. Poza miłą wonią pokój - w którym odpoczywał, bawił się i dyskutował o zagadkach wszechświata - nie miał mu nic do zaoferowania. Zatechły od nadmiaru sztuk i influencji, wydał mu się nagle najgorszym miejscem na Ziemi, jakie mógł wybrać na dokończenie wielkiego dzieła. Chociaż... przecież przed chwilą zbeształ Jude za to, że brakuje jej wiary. Miejsce nie miało tu nic do rzeczy - wszystko zależało od wiary maestra w świat nadprzyrodzony i od woli, która z tej wiary brała początek.

Rozebrał się i podszedł do kominka, żeby zdjąć stojące na nim świece i rozstawić je na obwodzie kręgu. Z bliska kominek przywodził na myśl kaplicę i Gentle uklęknął przed pustym paleniskiem. Słowa modlitwy same cisnęły mu się na usta. Zaczął odmawiać na głos „Ojcze nasz”. Okazja była po temu doskonała, chociaż następnego dnia pacierz można będzie odłożyć do lamusa pełnego pamiątek z odległych czasów, zanim przyszło królestwo Jego i stała się wola Jego tak na niebie, jak i na Ziemi.

Poczuł na karku delikatne muśnięcie. Urwał w pół słowa, otworzył oczy. Pokój był pusty, ale mrowienie nie ustępowało. Wiedział, że było to coś więcej niż zwykłe wspomnienie, delikatne napomknienie o nagrodzie, jaka go czeka, gdy dopełni dzieła. Nie pragnął sławy ani wdzięczności wszystkich dominiów - tylko Pie'oh'paha. Wydawało mu się przez chwilę, że na poplamionej ścianie nad kominkiem majaczy rozedrgana jak światło świec twarz mistyfa. Athanasius twierdził, że miłość, którą czuł do Pie'oh'paha, jest zła. Wtedy nie dał mu się przekonać i teraz też w to nie wierzył. Wola dokonania Pojednania i chęć zespolenia się z mistyfam łączyły się w jedno w jego duszy.

Modlitwa uleciała mu z głowy, ale się tym nie martwił. Sam mógł sprawić, by się spełniła. Wstał z kolan, zdjął z kominka świecę i z uśmiechem stanął w kręgu - nie jako zwykły podróżnik, lecz jako maestro, który wykorzysta moc kamieni, by czynić cuda.

*

Leżąc w salonie na parterze Jude wyczuła gwałtowny przepływ energii. Zapowiadał go ból w piersi i w brzuchu, lekki, jakby nabawiła się niestrawności. Próbowała rozmasować sobie żołądek, a kiedy to nie pomogło, wstała i z wysiłkiem wyszła na korytarz, zostawiając Mondaya i Hoi-Polloi samych. Chłopiec zabawiał dziewczynę paplaniną i rysowaniem. Wziął do ręki świecę i sadzą kreślił na ścianach kształty, które później poprawiał kredą. Hoi-Polloi bardzo się podobały jego wizje. Jude słyszała jej śmiech - po raz pierwszy w życiu - nawet z holu, gdzie Clem pilnował zamkniętych na głucho drzwi frontowych. Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu.

- Też to czujesz? - zapytała w końcu Jude.

- Tak. Nic miłego, prawda?

- Myślałam, że tylko ja się męczę.

- Dlaczego?

- Nie wiem, może za karę...

- Dalej podejrzewasz, że nie jest z nami szczerzy?

- Nie. - Jude spojrzała w stronę schodów. - Wszystko, co robi, robi w dobrej wierze. Jestem tego pewna. Uma Umagammagi zajrzała mu do głowy...

- Musiał być wściekły.

- Nie wiem, czy był, ale wystawiła mu pochlebny opinię.

- No i co?

- Wiem, że ktoś coś knuje.

- Sartori?

- Nie. To ma jakiś związek z ich ojcem i całym tym cholernym Pojednaniem. - Jude skrzywiła się, gdy ból brzucha gwałtownie się nasilił. - Nie boję się Sartoriego, lecz coś mi nie pasuje... - Zacisnęła zęby. - Tutaj, w domu.

Odwróciła się do Clema. Wiedziała, że słuchał jej - jak zawsze - jako przyjaciel, ale nie mogła oczekiwać wsparcia. I on, i Tay byli aniołami Pojednania i gdyby kazała im wybierać - albo ona, albo Pojednanie - musiałyby przegrać.

Znów doleciał ją śmiech Hoi-Polloi, nie tak bez troski jak poprzednio, lecz przekorny, z ewidentnie seksualnym podtekstem. Odwróciła się plecami do pokoju, z którego dobiegał, i do Clema.

Jej wzrok padł na drzwi jedyne pomieszczenia, do którego jeszcze nie zaglądała. Były lekko uchylone, sączył się zza nich blask świecy. Nie spodziewała się znaleźć wsparcia u Celestine, lecz nie miała wyboru. Otworzyła drzwi na oścież. Materac był pusty, stojąca przy

nim prawie wypalona świeca nie mogła oświetlić całej jadalni, toteż Jude musiała dobrze wyteńczyć wzrok. Celestine stała pod ścianą naprzeciw wejścia.

- Dziwię się, że wróciłaś - stwierdziła.

Od ostatniego ich spotkania Jude słyszała wiele cudownych słów, a jednak było coś niesamowitego w tym, jak Celestine mieszała różne głosy. Przenikały się, jeden dominował, drugi zdawał się rozbrzmiewać w tle, jakby ta cząstka jej umysłu, która miała kontakt z bóstwem, nigdy nie zespoliła się w pełni z drugą, bardziej prymitywną częścią.

- Dziwisz się? Dlaczego?

- Myślałam, że zostaniesz z boginiami.

- Korciło mnie, żeby to zrobić.

- Ale musiałaś wrócić. Dla niego.

- Byłam tylko posłańcem, to wszystko. Nic mnie z Gentle'em nie łączy.

- Nie chodzi mi o Gentle'a...

- Rozumiem.

- ...tylko o...

- Wiem, kogo masz na myśli.

- I nie możesz znieść dźwięku jego imienia? - Celestine, do tej pory wpatrzona w płomień świecy, przeniosła wzrok na Jude. - Co zrobisz, kiedy umrze? Bo chyba zdajesz sobie sprawę, że musi umrzeć? Gentle'owi, tak jak wszystkim zwycięzcom, marzy się wspaniałomyślność. Chciałby wybaczyć bratu wszystkie grzechy, ale zbyt wielu pokrzywdzonych się o niego upomni.

Do tej pory Jude nie brała tej możliwości pod uwagę. Nawet w wieżowcu, gdy wiedziała, że Gentle zamierza dopaść brata i z nim skończyć, jakoś nie wierzyła, że Sartori zginie. Celestine jednak miała rację - i boscy, i ludzcy mieszkańcy Imajiki zażądają jego głowy. Gentle może mu okazać litość, Jokalaylau nie. Niewidziany też nie.

- Jesteście do siebie bardzo podobni, wiesz o tym? - ciągnęła Celestine. - Dwie kopie perfekcyjnych oryginałów.

- Nie znałaś Quaisoir - zauważyła Jude. - Nie wiesz, czy jestem od niej gorsza.

- Kopia jest z natury niedoskonała. Przyznaję, że instynkt cię nie zawiódł. Pasujecie do siebie. Chciałabyś z nim być, prawda? Nie zaprzeczaj...

- Dlaczego miałabym otworzyć przed tobą serce?

- A nie po to do mnie przyszłaś? Nikt w tym domu nie będzie ci współczuł.

- Co to, podsłuchujesz pod drzwiami?

- Odkąd tu jestem, słyszę wszystko, co się w domu dzieje. A to, czego nie słyszę,

czuję. A jeśli nie czuję, to potrafię przewidzieć.

- Na przykład?

- Na przykład to, że mały Monday przeleci tę młodą prawiczkę, którą przywiozłaś z Yzordderrex.

- Do tego nie trzeba być prorokiem.

- I że stwór z In Ovo niedługo się z nami rozstanie.

- Jaki stwór?

- Spokojek. Przydepnęłaś go, pamiętasz? Niedawno prosił maestra, żeby go pobłogosławił. Przed świtem odbierze sobie życie.

- Dlaczego?

- Bo wie, że kiedy Sartori zginie, dla niego nie będzie miejsca na tym świecie, choćby nie wiem jak gorąco przysięgał wierność zwycięzcy. Ma łeb na karku. Chce sam wybrać moment, kiedy odejdzie.

- Czy to ma być dla mnie jakaś nauczka?

- Nie sądzę, żebyś była zdolna do samobójstwa.

- I słusznie. Mam po co żyć.

- Mówisz o dziecku?

- I o przyszłości. Londyn się zmieni, tak jak Yzordderrex się zmieniło. Woda wystąpi z brzegów...

- ...i wielkie siostry wszystkich obdzielą swoją miłością.

- Czemu nie? Ciem mówił mi, że kiedy bogini się ukazała, wszystkim wam sprawiła rozkosz. Mam rację?

- Pewnie tak, ale nie wyobrazasz sobie chyba, że ty i ja staniemy się przez to siostrami? Nic poza płcią nas nie łączy, prawda?

Te słowa miały zboleć, lecz przede wszystkim sprawiły, że Jude ujrzała Celestine w innym świetle. Dlaczego tak się upierała, że łączy je tylko płć? Dlatego że nie była to prawda, a u podstaw ich wrogości leżał związek, o którym nie chciała mówić. Pogarda Celestine pozwoliła Jude zapomnieć o dawnym dla niej szacunku i dostrzec, co jeszcze mają ze sobą wspólnego. Już przy pierwszym spotkaniu Celestine jej wytknęła, że śmierdzi spermą. Dlaczego? Bo pod tym względem wcale się nie różniły. Podobnie było z kwestią ciąży i dziecka, do której wracała przy każdej okazji. Celestine była matką dziecka z tej samej dynastii bogów i półbogów; ją również wykorzystano i nigdy się po tym nie pozbierała. Kiedy wściekała się na Jude - plugawą kobietę, która nie chciała pokajać się za to, że jest lubieżnicą - w istocie walczyła z własną słabością.

Jaką? To też było łatwo zgadnąć - i ubrać w słowa. Celestine zadała proste pytanie. Teraz przyszła pora na Jude.

- Czy to naprawdę był gwałt? - zapytała.

Celestine posłała jej mordercze spojrzenie. Odpowiedziała jednak spokojnie:

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Cóż... spróbuję wyrazić to inaczej. Czy ojciec Sartoriego wziął cię siłą?

Celestine udała, że dopiero teraz zrozumiała intencje Jude. I była wstrząśnięta.

- Oczywiście! Jak śmiesz mnie o to pytać?

- Wiedziałaś chyba, dokąd idziesz? Wiem, że Dowd dał ci coś na sen, ale przecież nie mogłaś przespać całej drogi przez dominia. Musiałaś wiedzieć, że na końcu podróży czeka cię coś niesamowitego.

- Nie...

- Nie pamiętasz? Ależ pamiętasz doskonale, każdy kilometr. Nie przypuszczam też, żeby Dowd przez cały ten czas milczał jak zakłęty. Był dumny z tego, że Bóg wybrał go na stręczyciela, nieprawdaż? - Odbierając milczenie Celestine jak prowokację, Jude z zadowoleniem mówiła dalej. - A zatem powiedział ci, dokąd się wybieracie, tak czy nie? Uprzedził, że waszym celem jest Święte Miasto, że czeka cię spotkanie z Niewidzianym i że On będzie cię kochał. Nie tylko o tym wiedziałaś, ale to ci pochlebiało.

- Nieprawda.

- Nie? A jak było naprawdę? Kazał aniołom, żeby cię przytrzymały, kiedy będzie to robił? Nie sądzę... Położyłaś się i pozwoliłaś mu na wszystko, na co miał ochotę, bo dzięki temu stałaś się oblubienicą Boga i matką Chrystusa...

- Przestań.

- Jeżeli się mylę, oświeć mnie. Powiedz, że krzyczałaś, szarpałaś się i próbowałaś Mu wydrapać oczy.

Celestine spiorunowała ją wzrokiem, ale milczała.

- Dlatego właśnie tak mną gardzisz, przez to śmierdę dla ciebie spermą. Poszłam do łóżka z tym samym Bogiem co ty i nie lubisz, kiedy ci się o tym przypomina.

- Nie osądzaj mnie, kobieto! - krzyknęła nagle Celestine.

- To i ty mnie nie osądzaj! Zrobiłam to, na co miałam ochotę, z mężczyzną, którego pożądałam, a teraz ponoszę konsekwencje. Ty postąpiłaś tak samo. Różni nas to, że ja się nie wstydzę, ty tak. I dlatego nie jesteśmy siostrami, Celestine.

Jude nie miała ochoty słuchać dalszych obelg, ruszyła więc do drzwi. Kiedy Celestine się odezwała, nie zaprzeczała niczemu. Mówiła szeptem, zatopiona we wspomnieniach:

- Skąd miałam wiedzieć, że to miasto grzechu i niegodziwości? Myślałam, że Bóg mnie wybrał, pobłogosławił, że będę Jego...

- Oblubienicą? - Jude zatrzymała się i spojrzała na nią.

- To łagodne określenie, ale niech będzie. Oblubienicą - westchnęła Celestine. - Nigdy nie zobaczyłam mojego małżonka.

- A kogo widziałas?

- Nikogo. Miasto było pełne ludzi, cienie przemykały w oknach, drzwi zamykały się, gdy szłam ulicą, ale nikt mi nie pokazał swojej twarzy.

- Bałaś się?

- Nie. To takie piękne... Kamienie promieniały światłem, wysokie domy prawie zasłaniały niebo. W życiu nie widziałam nic podobnego. Szłam przed siebie i myślałam: Zaraz przyśle anioła, który zabierze mnie do Jego pałacu. Ale anioł się nie zjawił.

Zewsząd otaczało mnie miasto, a ja szłam i szłam, aż się zmęczyłam. Usiadłam, żeby chwilę odpocząć, i zasnęłam.

- Zasnęłaś?!

- Właśnie! Wyobrażasz sobie? Przyszłam do Miasta Boga i zasnęłam. Śniło mi się, że wróciłam do Tybum, gdzie znalazł mnie Dowd. Patrzyłam, jak wieszają człowieka. Przepchnęłam się przez tłum pod samą szubienicę. - Celestine podniosła głowę. - Pamiętam, że przyglądałam mu się, jak podrygiwał na sznurze. Miał rozpięte spodnie. Stał mu. - Celestine skrzywiła się z niesmakiem, lecz musiała dokończyć opowieść. - Położyłam się pod nim na ziemi, na oczach tłumu ludzi, a on pęczniał i czerwieniał coraz bardziej. Kiedy skończył, wytrysnął. Chciałam się odsunąć, ale nogi trzymałam rozłożone i nie zdążyłam. Skapnął na mnie. Nie było tego wiele, parę kropeł, ale każdą z nich czułam jak ogniste dotknięcie w głębi ciała. Chciało mi się płakać. I wtedy usłyszałam głos.

- Jaki głos?

- Dobiegał z ziemi, spode mnie. Szept.

- Co mówił?

- Powtarzał w kółko dwa słowa: Nisi Nirvana. Nisi Nirvana. Nisi... Nirvana.

Łzy trysnęły strumieniami z oczu Celestine. Nie próbowała nad nimi zapanować.

- To Hapexamendios do ciebie przemówił? - zapytała Jude.

Celestine pokręciła głową.

- Po co miałby to robić? Dostał to, na czym mu zależało. Położyłam się przed nim i spałam, kiedy mnie zapładniał. Zdążył już wrócić do swoich aniołów.

- Jeśli nie on, to kto?

- Nie wiem. Dużo o tym myślałam, przerobiłam nawet tę historię na bajkę dla mojego synka, żeby tajemnica nie zginęła razem ze mną. Wydaje mi się, że nigdy nie chciałam jej rozwikłać. Bałam się, że jeżeli poznam odpowiedź, serce mi pęknie, cały świat się skończy. Teraz już wiesz, czemu się wstydzę.

- Poznałam twoją historię, ale nie widzę w niej powodów do wstydu.

Jude powstrzymywała łzy od chwili, gdy Celestine zaczęła swoją makabryczną opowieść. Teraz płakała - trochę z bólu, trochę wskutek dręczących ją wątpliwości, ale przede wszystkim z powodu uśmiechu, który po tych słowach rozkwitł na twarzy Celestine. A także dlatego że Celestine rozłożyła szeroko ramiona i objęła ją mocno, jakby tuż przed zagładą świata znalazła dawno zagubioną ukochaną istotę.

ROZDZIAŁ 59

1

Na drodze do Pojednania Gentle odzyskał wprawdzie pamięć i odnalazł swoją tożsamość, lecz najważniejsze z jego wspomnień - sam akt Pojednania - wciąż pozostawało dla niego tajemnicą.

Kiedy poprzednio próbował go dokonać, działał w zupełnie innych okolicznościach. Przede wszystkim ceremonii towarzyszyło zamieszanie, jakie cechuje wszystkie wielkie uroczystości. Wkraczał w wyznaczony kamieniami krąg jak bokser na ring. Nie zdążył się nawet zmęczyć, a już otaczała go aura zwycięstwa. Jego opiekunowie i wielbiciele zbierali się wokół, jakby z góry chcieli mu pogratulować sukcesu. Teraz był sam. Po drugie, wówczas czekały go bardzo konkretne nagrody - wiedział, jakie kobiety będą go kochały, jakie bogactwo i sława staną się jego udziałem. Tym razem walczył o zupełnie inną nagrodę, której nie dałoby się przeliczyć na brzęczące monety i splamione dziewiczą krwią prześcieradła. Był narzędziem w rękach wyższej, mądrzejszej siły.

To właśnie pozwalało mu zapomnieć o strachu. Kiedy otworzył umysł, żeby rozpocząć Pojednanie, nagle poczuł wielki spokój, choć chwilę wcześniej z lękiem szedł schodami na górę. Zapowiedział Jude i Clemowi, że dom nie zaznał dotąd mocy, jakie będą przepływać przez jego mury - i miał rację. Czuł, jak poruszają jego osłabiony umysł, ponaglają go, by zebrał myśli, ogarnął nimi całe dominium i wciągnął je do kręgu.

Zaczął od pokoju, w którym siedział. Jego umysł rozpostarł się we wszystkich kierunkach, także do góry i w dół, obejmując całe pomieszczenie. To było łatwe. Swobodnie czerpał z doświadczeń całych pokoleń poetów, którzy tworzyli w więziennych celach.

Tylko ściany ograniczały jego ciało; drzwi stały się ustami, okna oczami - takie proste porównania nie wymagały żadnego wysiłku z jego strony. Później uwzględnił w swoim więziennym poemacie deski, tynk, szkło i tysiące innych drobiazgów, a kiedy stały się częścią jego istoty, przełamał ich granice i zapuścił się dalej w otwarty teren.

Zaczął się rozpędzać. Jego wyobraźnia gnała po schodach w dół i równocześnie wybiegała na dach, intelekt zaś, obciążony dosłownością, zostawał w tyle. Instynktowna

wrażliwość podsunęła mu stosowne metafory dla całego domu, zanim świadomość znalazła się na parterze.

Ciało stało się miarą dla całego budynku - piwnica znajdowała się w jego brzuchu, włosy zastąpiły dach, kregosłup zajął miejsce schodów. Dostarczywszy mu tych dowodów identyczności, myśli wybiegły z domu, przeniknęły po dachówkach, rozproszyły się po ulicach. Nie przejmował się obecnością Sartoriego, który musiał kryć się gdzieś w mroku. Umysł miał ruchliwy jak żywe srebro; był zbyt podekscytowany, żeby szukać wroga, którego już pokonał.

Ruch przychodził mu z coraz większą łatwością. Wchłonięcie ulic nie sprawiło mu więcej problemów niż zagarnięcie domu. Ciało miało swoje rury i przewody, skrzyżowania dróg, kanały ściekowe i eleganckie fasady, rzeki i ich źródła, gmach parlamentu i katedrę.

Zaczynał widzieć, jak cały Londyn zostaje odwzorowany w jego ciele, krwi i kościach. Zdał sobie sprawę, że właściwie nie ma w tym nic dziwnego. Gdzie architekt, który chce zbudować miasto, szuka natchnienia? Najpierw w ciele, w którym żyje od dziecka; dla każdego twórcy to ono jest pierwszym i najważniejszym modelem. Ciało staje się jego szkołą, knajpą, jatką i kościołem, więzieniem, burdelem i domem wariatów. Na ulicach Londynu nie stanął żaden gmach, który nie powstałby wcześniej w prywatnym mieście anatomii architekta. Wystarczyło otworzyć umysł i pogodzić się z tym, a wszystkie dzielnice należały do niego i dołączały do zbioru form w jego głowie.

Poleciał na północ przez Highbury i Finsbury Park do Palmer's Green i Cockfosters. Skręcił na wschód z biegiem rzeki, minął Greenwich z jego wieżą zegarową, skierował się do Tilbury. Na zachodzie wchłonał Marylebone i Hammersmith, na południu Lambeth i Stratham, gdzie dawno, dawno temu spotkał Pie'oh'paha.

Nazwy zresztą wkrótce straciły wszelkie znaczenie. Szczegóły ulic i dzielnic zacierały się jak oglądane z okien startującego samolotu, wchodząc w skład innego, rozleglejszego obrazu, jeszcze bardziej ekscytującego dla ambitnego ducha. Na wschodzie migotały wody Morza Północnego, na południu spokojny tej nocy kanał La Manche. Czy jego ciało, które sprostało miastu, poradzi sobie teraz? A dlaczego by nie? Przepływem wody rządziły te same prawa - obojętne, czy płynęła zmarszczką na jego czole, czy rowem między dwoma kontynentami. Czy jego złożone na podołku dłonie nie przypominały dwóch lądów, pofałdowanych i zrytych dolinami, niemal stykających się półwyspami?

Nie zostało nic, co nie znalazłoby odbicia w jego ciele - żadne morze, miasto, ulica, dom, pokój. Był w Piątym Dominium, a ono było w nim. Niósł je do Ana jako mapę i poemat napisany ku czci jedności wszechrzeczy.

*

W innych dominiach odbywała się podobna pogoń za podobieństwami.

Siedząc w kręgu na zboczu Lipper Bayak, Tick Raw wciągnął już w sieć swojego ciała zarówno Patashoqua, jak i drogę, która biegła od jego bram w stronę gór. W Trzecim Dominium Scopique (którego obawy, że brak Osi może pokrzyżować ich plany, rozwiały się bez śladu) rozprzestrzenił się po Kwem i sięgał w kierunku pustynnej niecki Mai-Ké. Mieszkańcy L'Himby, do którego się udawał, gromadzili się w świątyniach, podnieceni słowami proroków, którzy ubiegłej nocy wyszli z ukrycia i głosili nieuchronność Pojednania.

Nie mniej od nich podekscytowany Athanasius zmierzał właśnie Postną Drogą do granic Trzeciego Dominium. Przeniknął nad oceanem i sięgnął wysp, podczas gdy inna, mniej delikatna część jego osobowości przemierzała odmienione Yzordderrex. Napotykał przeszkody nieznane Scopique'owi, Tickowi Raw czy nawet Gentle'owi. Oślizłe cudactwa na ulicach nie poddawały się łatwym analogiom, ale zapraszając go do Synodu, Scopique dokonał znakomitego wyboru. Obsesja na punkcie Christosa, krwawiącego boga, pozwoliła Athanasiusowi docenić dar bogiń, którego nie dostrzegłby ktoś mniej opętany ideą śmierci i zmartwychwstania. Ruiny Yzordderrex były dla niego odbiciem zniszczeń w jego wnętrzu, w muzyce obrazoburczych wód słyszał echo tętniącej krwi, która płynęła z jego ran, przeobrażona miłością Matki Przenajświętszej w delikatny, uzdrawiający kordiał.

Tylko Chicka Jackeen na posterunku przy granicy Pierwszego Dominium musiał zmagać się z abstrakcjami, gdyż nie było w pobliżu krajobrazu, którego fizyczną naturę zdołałby naśladować. Mógł się koncentrować tylko na pustce Wybielu. O dominium, które rozpościerało się za Wybielem (miał je wchłonąć i przenieść do Ana) nie wiedział nic.

Lata studiów nad sekretem Wybielu sprawiły jednak, że wcale nie był bezradny. Ciało nie dostarczało mu wprawdzie żadnych analogii dla wielkiej niewiadomej za murem, ale w jego głowie krył się obszar równie niedostępny dla postronnych obserwatorów i równie otwarty na sondowanie myślą. Chicka Jackeen użył swojego umysłu (który - choć niewidzialny - kierował każdym świadomym działaniem i w którym zrodziła się trzymająca go w Synodzie wiara) jako obrazu Pierwszego Dominium. Jego naga czaszka, odarta ze skóry i włosów, stała się ścianą Wybielu, jej wnętrze zaś było zarazem Bogiem Pierwszego Dominium i myślami Chicki Jackeena.

Kiedy noc dobiegnie końca, z obu zostanie zdjęta klątwa niewidzialności. Wybiel zniknie, a Bóstwo wróci do Imajiki. Kiedy zaś to nastąpi, kiedy to samo Bóstwo, które zgarnęło nullianaki do pieca i na zawsze wypaliło ich zło, połączy się z dominiami, ześle wszystkim objawienie, jakiego świat nie widział. Dla umarłych, zniewolonych w ich

obecnym stanie i niezdolnych znaleźć bramę na zewnątrz, zapłonie światelko, które ich poprowadzi. Żywi zaś przestaną się bać i wyjdą z domów równi bogom, obnosząc się publicznie ze swymi prywatnymi niebiosami w głowach.

*

Zajęty swoją pracą Gentle nie miał czasu śledzić, co robią inni maestrowie, ale ponieważ z pozostałych dominiów nie dochodziły żadne niepokojące wieści, był spokojny. Ból i upokorzenia, które musiał znieść, by się znaleźć się w Ana, zostały mu wynagrodzone przez te kilka godzin, które spędził w kręgu. Ogarnęła go błogość, jaką zwykle odczuwał tylko przez mgnienie oka; musiał zmienić zdanie na jej temat, dotąd sądził bowiem, że podobnej rozkoszy nie można doświadczać dłużej, gdyż człowiekowi serce pęknie. Mylił się. Trwał w ekstazie - i wciąż żył. Nie tylko żył, rozkwitał; z każdym miastem i morzem, które zagarnął, coraz lepiej panował nad Pojednaniem.

Wchłonał już prawie całe Piąte Dominium; mieściło się w nim bez trudu, pomagało mu odszukać prawdziwą moc Pojednawcy. Nie liczyła się biegłość w sztukach i influencjach, nie chodziło o pneумы, wskrzeszenia ani egzorcyzmy. Musiał umieć przełożyć miriady cudów całego dominium na alfabet ciała i nie ugiąć się pod ich ciężarem. Musiał zagłębić się w świat aż do najmniejszego szczegółu, dać mu się przeniknąć, a jednocześnie panować nad jego przyprawiającą o obłęd złożonością i zachwycać się panoramą, którą ogarniał. Musiał wreszcie zachować pamięć człowieka, którym był.

Sprawiało mu to taką przyjemność, że śmiał się w głos. Dobry humor bynajmniej go nie rozpraszał - przeciwnie, ułatwiał mu zadanie: robiło mu się lekko na duszy i bez trudu sięgał myślami wszędzie, w obszary świetliste i mroczne. Odbierał swoją nagrodę i wracał, jak goniec wysłany z wierszem do ziemi obiecanej, który przynosił ją - rozkwitającą - ze sobą.

2

W pokoju na drugim piętrze Spokojek usłyszał śmiech *liberatore* i zaczął podskakiwać z radości. Cóż innego mógł znaczyć ten śmiech, jeśli nie rychłe ukończenie wspaniałego dzieła? Nawet nie rozumiejąc konsekwencji tego faktu, musiał przyznać, że to wszystko, w czym uczestniczył, cudownie osłodziło jego ostatni dzień w świecie żywych. A gdyby miało się okazać, że istoty jego pokroju wiodą jakieś życie po śmierci (czego w żadnym wypadku

pewien nie był), zrobi furorę, opowiadając o tej nocy swoim praojcom.

Bojąc się, że przeszkodzi Pojednawcy, zakończył taniec zwycięstwa i już miał wrócić na stanowisko wartownika na parapecie, gdy doleciał go dźwięk, który dotąd zagłuszał tupotem stóp. Spojrzał na sufit. Wiatr nagle wzmógł się i zaklekotał dachówkami - tak przynajmniej myślał Spokojek, dopóki nie zwrócił uwagi, że drzewo pod oknem stoi nieporuszone jak Kwem w dzień zrównania dnia z nocą.

Spokojek nie pochodził z plemienia bohaterów. Przeciwnie - jego rodowe legendy wymieniały głównie sławnych pochlebców, dezertarów i tchórzy. Dlatego też instynkt podpowiadał mu, by uciekać na dół najszybciej, jak go krótkie nóżki poniosą. Ze względu na Pojednawcę zwalczył jednak pierwszy odruch i ostrożnie podkradł się pod okno. Przy odrobinie szczęścia mógłby się zorientować, co się właściwie dzieje.

Wgramolił się na parapet, położył na plecach i wysunął głowę na zewnątrz, żeby zerknąć do góry. Niestety, brudna mgła przesłoniła gwiazdy i dach skrył się w ciemności. Spokojek wychylił się jeszcze dalej, chociaż parapet wrzynał mu się boleśnie w kościsty grzbiet. Z okna poniżej dobiegał radosny śmiech Pojednawcy. Spokojek chciał mu zawtórować, gdy coś ciemnego jak dach i brudnego jak mgła wyciągnęło się w dół i zatkało mu usta. Atak był tak gwałtowny, że potworek puścił framugę okna i zatoczył się w tył. Ten jednak, kto go przydusił, trzymał mocno. Wciągnął go na dach. Na widok zebranych na górze istot Spokojek zrozumiał, że popełnił kilka błędów. Po pierwsze, zatkał sobie nos, przez co nie wyczuł, że się zbliżają. Po drugie, za bardzo przejmował się teoriami teologicznymi, które twierdziły, że zło pochodzi spod ziemi. Nieprawda, oj nieprawda! Wypatrywał Sartoriego i jego armii na ulicy, a zupełnie zaniedbał okoliczne dachy, które dla zwinnych stworzeń były równie wygodnym traktem.

Naliczył ich najwyżej sześć - ale też więcej nie było potrzeba. Gek-a-geków bali się wszyscy, nawet inni mieszkańcy In Ovo; tylko najsilniejsi i najbardziej zadufani w sobie maestrowie odważali się je przywoływać do dominiów. Były podobne do tygrysów i zwinne jak one, miały dłonie wielkości ludzkiej głowy i głowy płaskie jak ludzka dłoń. Zwykle miały także przezroczyste ciała, tu jednak zawarły z ciemnością jakiś pakt i zrobiły się całkiem czarne. Poza tym jednym, który złapał Spokojka, wszystkie leżały na kalenicy. Maestro krył się za nimi, ale teraz wstał i półgłosem kazał postawić potworka na nogi.

- No, Spokojku... - szepnęła dość cicho, by nie słyszano go na dole, wystarczająco jednak głośno, żeby przerażony Spokojek posikał się po nogach. - Dziś nie skończy się na rozlewie twoich szczyń.

Przyglądanie się umierającemu Spokojkowi nie sprawiło Sartoriemu szczególnej satysfakcji. Radość, jaką czuł rano, kiedy po przywołaniu gek-a-geków rozmyślał o bliskiej już konfrontacji z Gentle'em, wyparowała z niego wraz z litrami potu. Silne z natury gek-a-geki przetrwałyby zapewne bez uszczerbku na zdrowiu wędrowkę z Shiverick Square na Gamut Street, ale w żadnym dominium mieszkańcy In Ovo nie przepadali za światłem niebios. Zamiast ryzykować osłabienie swojej sfory, Sartori przesiedział z nią cały dzień wśród drzew, odliczając wlokące się niemiłosiernie godziny. Tylko raz poszedł na krótki spacer i przekonał się, że ulice zupełnie opustoszały. Właściwie powinien się ucieszyć - wyglądało na to, że przemknę z gek-a-geka-mi niezauważony do domu przy Gamut Street. Kiedy jednak wrócił do cienistego zagajnika, gdzie nawet bzyczenie much nie mąciło letniej ciszy, wróciły lęki, które dotychczas zawsze udawało mu się odsunąć na bok. Karmiły się widokiem wymarłego miasta. Czy nie mogło się okazać, że jego plany będą musiały ustąpić przed czyimiś innymi, ważniejszymi zamierzeniami? Zdawał sobie sprawę, że idea zbudowania Nowego Yzordderrex jest bezwartościowa; powiedział o tym bratu, kiedy spotkali się w wieżowcu. Ale przecież nawet jeżeli nie zbuduje w Piątym Dominium nowego imperium, wciąż miał po co żyć. W domu przy Gamut Street czekała na niego Judith, tęskniła za nim (taką miał nadzieję) nie mniej niż on za nią. Chciał, żeby ich związek przetrwał, chociaż byłby zakałą w idealnym świecie Gentle'a. Puste ulice sprawiły, że zaczął się obawiać, czy nie jest to kolejne marzenie, które nie da się zrealizować.

Nie mógł się doczekać, kiedy pójdzie na Gamut Street; był pewien, że tam przynajmniej spotka żywe istoty. Gdy jednak zjawił się na miejscu, niewielką przyniosło mu to pociechę. Tłum duchów tylko mu przypomniiał, jak paskudna potrafi być śmierć; dźwięki, które dobiegały z domu (dziewczęcy chichot z parteru, później donośny śmiech jego brata z pokoju medytacyjnego) wyglądały na oznaki kretyńskiego optymizmu.

Najchętniej wyrzuciłby z głowy te wszystkie myśli, lecz nie było od nich ucieczki - chyba że w ramionach ukochanej. Wiedział, że Jude jest w domu, ale kiedy uwolnione zostały tak potężne siły, nie odważył się wejść. Nade wszystko chciał się dowiedzieć (i te informacje wyciągnął w końcu od Spokojka), jak się Jude miewa i gdzie dokładnie jest. Zakładał dotąd (błędnie, jak się okazało), że cały czas towarzyszyła Pojednawcy. Tymczasem Spokojek twierdził, że była w Yzordderrex. Wróciła z niewiarygodnymi opowieściami, które jednak nie zrobiły na Pojednawcy wielkiego wrażenia i po krótkim zamieszaniu Gentle wziął się do

pracy. Sam Sartori chciał wiedzieć, czego Jude szukała w Yzordderrex. Niestety, Spokojek odparł, że nie ma o tym zielonego pojęcia i nie dało się z niego nic więcej wydusić, chociaż gek-a-geki wykręciły mu ręce, a jeden rozłupał mu czaszkę i zapuścił jęzor do mózgu. Sartori zostawił zwłoki sforze do zabawy; odszedł na drugi kraniec dachu, żeby w spokoju przetrawić uzyskane informacje.

Dużo by dał za grudkę kreauchee, która albo pomogłaby mu zachować cierpliwość, albo dodała odwagi - załomotałby wtedy do drzwi i wywołał Jude na dwór, żeby kochać się z nią wśród zjaw. Był jednak za słaby, żeby stawić czoło siłom, które przenikały dom. Wiedział, że niedługo Pojednawca ogarnie całe dominium i uda się do Ana, a wówczas magiczny krąg skoncentruje moc na przetransportowaniu go przez In Ovo. Siły, które pozwalały mu odwzorować cały świat we własnym ciele, staną się zbędne. Wtedy właśnie - między odejściem Pojednawcy do Ana a jego powrotem i zakończeniem rytuału - Sartori przystąpi do ataku. Wejdzie do domu, poszczuje Gentle'a (i wszystkich, którzy staną w jego obronie) gek-a-gekami, a sam upomni się o Judith.

Myśląc o niej (i o kreauchee, za którym bardzo się stęsknił), wyjął z kieszeni niebieskie jajo i przytknął je do ust. Przez ostatnie kilka godzin całował je chyba z tysiąc razy, oblizywał, ssał - ale wciąż chciał wchłonąć je głębiej w siebie, poczuć je w trzewiach, tak jak ją, kiedy znów będą się parzyć. Odrzucił głowę w tył i połknął jajo. Bez oporu ześliznęło mu się do żołądka, zapewniając kilka chwil spokoju w oczekiwaniu na godzinę zemsty.

*

Gdyby ciało Clema nie miało dwóch lokatorów, porzuciłoby zapewne posterunek przy drzwiach, zanim Pojednawca zakończyłby swoje dzieło. Wywołany działaniem przewalających się przez dom sił ból brzucha zelżał po jakimś czasie. Clem najchętniej poszukałby sobie jakiegoś cichego kąta, żeby zasnąć i śnić. Tay pilnował go jednak surowo i gdy Clem dekoncentrował się choć na chwilę, wyraźnie wyczuwał jego obecność i dezaprobatę (na co dzień byli z Tayem tak subtelnie złączeni, że zauważali się wzajemnie, dopiero gdy dochodziło do jakiegoś konfliktu interesów). Trwał więc na stanowisku, chociaż nie mógł się oprzeć wrażeniu, że nie jest już potrzebny.

Knot świecy, którą postawił obok drzwi, tonął w roztopionym wosku. Clem schylił się i wyszczerbił krater świecy, żeby nadmiar wosku spłynął na bok, gdy nagle z ulicy dobiegło go plaśnięcie, jakby ktoś rzucił na kamienie śniętą rybę. Wstał i przytknął ucho do drzwi. Nic więcej nie usłyszał. Czy to możliwe, żeby z drzewa spadł jakiś owoc? A może tej nocy w Clerkenwell miał spaść inny, jeszcze dziwniejszy deszcz? Poszedł do pokoju, w którym po południu bawili się Monday i Hoi-Polloi. Musieli znaleźć sobie jakiś bardziej zaciszny kącik,

bo zniknęli gdzieś, zabierając przy okazji dwie poduszki. Miło mu się zrobiło na myśl o tym, że w taką noc są w tym domu młodzi kochankowie; życzył im w duchu jak najlepiej. Podeszedł do okna. Na ulicy było ciemniej, niż się spodziewał, i chociaż widział schody przed wejściem, nie potrafił rozpoznać, czy coś na nich leży wśród wymalowanych przez Mondaya wzorów.

Bardziej zdziwiony niż zdenerwowany wrócił do drzwi. Jeszcze chwilę nasłuchiwał, a kiedy nie doszły go żadne nowe dźwięki, miał ochotę zapomnieć o całej sprawie. Po cichu liczył jednak na to, że na Gamut Street rzeczywiście pada niezwykle, nadnaturalny deszcz. Ciekawość nie pozwoliła mu zignorować tajemnicy. Odsunął świecę od drzwi. Przy okazji chlapaną woskiem i zdusił płomień, ale świece stojące przy schodach rzucały dość światła, żeby znalazł i otworzył zasuwki.

*

Jude się obudziła. Godzinę wcześniej przyłożyła głowę do poduszki - rozmawiała jeszcze przez jakiś czas po tym, jak się pogodziły, ale w końcu zmęczenie dało o sobie znać. Celestine spała - leżała na podłodze, tylko głowę oparła na materacu - i chrapała donośnie. Dźwięk, który obudził Jude, najwidoczniej uszedł jej uwagi.

Drzwi jadalni były uchylone. Sączyła się przez nie słodka woń, od której Jude robiło się trochę niedobrze. Usiadła, rozmasowała kark i wstała z materaca. Zanim się położyła, zdjęła buty, teraz zaś zamiast szukać ich po omacku, wyszła bosą z pokoju. W holu zapach był znacznie silniejszy i z całą pewnością dolatywał z ulicy. Drzwi frontowe były otwarte. Anioły, które stały przy nich na straży, zniknęły.

Zawołała Clema i ruszyła do drzwi. Świece na schodach na piętro rzucały słabą poświatę, w której coś połyskiwało tuż za progiem. Przyspieszyła kroku, modląc się w duchu do bogiń, żeby czuwały nad nią i Clemem. Niech to nie będzie on, prosiła. Widziała już kałużę krwi, w której leżały strzępy ciała. Niech to nie będzie Clem.

Nie był. Stanąwszy w drzwiach, dostrzegła w bezkształtnej masie resztki czyjejś twarzy. Rozpoznała ją od razu - zausznik Sartoriego, mały Spokojek. Miał wydłubane oczy i wyrwany język, ale to na pewno był Spokojek. Tylko istota pochodząca z In Ovo mogła jeszcze trzepotać się tak jak on, zachowując pozory życia, które w rzeczywistości już z niej uszło.

Jude rozejrzała się po zaciemnionej ulicy, wołając Clema. Nie od razu się odezwał.

- Wracaj do środka! - krzyknął po chwili dziwnie zduszonym głosem. - Na miłość... boską... wracaj...

- Clem?

Kiedy przekroczyła próg, powitały ją następne rozpaczliwe okrzyki:

- Nie wychodź! Wracaj!

- Bez ciebie nie wrócę - oznajmiła, przestępując nad głową Spokojka. Z ciemności dobiegł gardłowy dźwięk, podobny do warczenia psa, w którego pysku zalał się rój pszczoł.

- Kto tam jest?

Nikt się nie odezwał, ale była pewna, że jeśli będzie cierpliwa, doczeka się odpowiedzi. I wiedziała, czyj głos usłyszy. Zaskoczył ją jednak zbolący ton Sartoriego:

- Nie tak miało być...

- Jeżeli zrobiłeś coś Clemowi...

- Nie chciałem nikogo skrzywdzić.

Jude wiedziała, że to kłamstwo, ale zdawała sobie sprawę, że Sartori nic Clemowi nie zrobi, dopóki potrzebny mu będzie zakładnik.

- Puść go - powiedziała.

- A przyjdiesz do mnie?

Odczekała z odpowiedzią ułamek sekundy, żeby nie okazać nadmiernej uległości.

- Tak - odparła. - Przyjdę.

- Nie, Judy! - krzyknął Clem. - Nie rób tego! On nie jest sam!

Teraz - gdy jej oczy przywykły do ciemności - dostrzegła, że Clem mówi prawdę. W pobliżu kręciły się nerwowo paskudne, smukłe stwory. Jeden stał na tylnych łapach i ostrzył pazury o drzewo, inny przycupnął w rynsztoku - był tak blisko, że widziała przeświecające spod przezroczystej skóry wnętrzności. Ich brzydota nie robiła na niej wrażenia. Takie odpadki zbierały się na śmietniku każdego dramatu - szczątki porzuconych postaci, zaplamione kostiumy, potraskane maski. Ich obecność nie miała znaczenia. Jej ukochany zabrał je ze sobą, bo czuł się z nimi związany. Jej mogło być ich żal, bardziej jednak litowała się nad nim, bo tak nisko upadł.

- Nie ruszę się, dopóki Clem nie stanie na progu obok mnie - zapowiedziała.

- Zaufam ci - stwierdził Sartori po chwili wahania.

Potwory z In Ovo zawtórowały mu pomrukami. Dwa następne wynurzyły się z ciemności. Clem szedł między nimi. Każdy trzymał w pysku jego jedną rękę. Podeszły na tyle blisko, że widziała, jak się ślinią, i dosłownie wypłuły więźnia. Clem upadł na asfalt, całe ramiona miał umazane pianą z ich pysków. Jude chciała mu pomóc, ale kiedy dwa prowadzące go gek-a-geki cofnęły się, bestia stojąca przy drzewie odwróciła łeb w jej stronę. Łakome spojrzenie wylupiastych, czarnych jak u rekina ślepi wbiła w leżącą na drodze zdobycz. Jude bała się, że wystarczy jeden jej ruch, by gek-a-gek zaatakował; czekała więc na

progu, aż Clem sam pozbiera się z ziemi i do niej podejdzie. Ręce miał całe w bąblach od śliny gek-a-geków, ale poza tym wyglądał nieźle.

- Nic mi nie jest... - stęknął. - Wracaj do domu.

Milczała. Dopiero gdy wszedł na schodki, zaczęła z nich powoli schodzić.

- Wracaj! - rzucił rozkazująco.

Objęła go i wyszeptwała:

- Nie kłóć się ze mną. Wejdź do domu i zamknij drzwi. Ja zostanę tutaj.

Chciał coś powiedzieć, ale go uciszyła.

- Powtarzam, nie kłóć się ze mną. Ja chcę się z nim spotkać, Clemie. Chcę... być z nim.

A teraz proszę cię, jeśli mnie kochasz, wejdź do środka i zamknij drzwi.

Wiedział zbyt dobrze, czym jest miłość (zwłaszcza taka, która zaprzecza przyjętym standardom), i nie próbował dłużej się z nią spierać.

- Nie zapominaj, co zrobił - przypomniał jej tylko.

- To też część jego natury - odparła i uwolniła się z jego objęć.

Łatwo było odejść od światła. Ból, który tajemnicze siły obudziły w jej kościach, słabł, gdy oddalała się od domu. Przyspieszyła kroku, nie mogąc się doczekać wysnionego uścisku. Oboje go pragnęli. Mimo że zabrakło tych, którzy dali początek ich miłości - Quaisoir rozpadła się w proch, Gentle stał się półbogiem - Jude i Sartori byli ucieleśnieniem łączącej ich namiętności i nic nie mogło ich rozdzielić.

Tylko raz obejrzała się w stronę domu. Clem stał jeszcze na progu i patrzył w jej stronę. Nie tracąc więcej czasu na przekonywanie go, by wszedł do środka, odwróciła się i zapytała:

- Gdzie jesteś?

- Tutaj - odparł jej kochanek i wynurzył się zza szeregów swojego legionu.

Oplatała go cienka świetlista nić, tak delikatna, jakby utkał ją widmowy pajak z In Ovo. W paru miejscach widniały na niej podobne do pereł zgrubienia, które nabrzmiewały i ściekały z włókien, spływały Sartoriemu po twarzy i rękach, skapywały na ziemię pod jego stopami. Bardzo pochlebnie prezentował się w tym blasku, ale Jude koniecznie chciała zobaczyć jego prawdziwą twarz. Przebiła wzrokiem magiczną zasłonę - i przekonała się, że błyskotliwy dandys, którego spotkała na przyjęciu u Kleina, zniknął bezpowrotnie. Z jego oczu wyzierała rozpacz, usta miał ściągnięte, włosy w nieładzie. Istniała możliwość, że zawsze tak wyglądał, tylko maskował się jakąś banalną influencją, ale Jude nie mogła w to uwierzyć. Zmienił się fizycznie, bo coś zmieniło się w jego wnętrzu.

Mimo że stanęła przed nim całkiem bezbronna, nie próbował jej nawet dotknąć, czekał

na zaproszenie jak grzesznik, który boi się z własnej woli podejść do ołtarza. Podobała się jej ta jego nowa nieśmiałość.

- Nie skrzywdziłem aniołów - rzekł.

- Nie powinienes był ich w ogóle dotykać.

- To nie moja wina. Gek-a-geki są niezdarne. Zrzuciły z dachu kawał mięsa.

- Widziałam go.

- Chciałem zaczekać, aż moc osłabnie, i wtedy z fasonem upomnieć się o ciebie. -

Sartori zawiesił głos. - Zgodziłabyś się, żebym cię zabrał?

- Tak.

- Nie byłem pewien. Trochę się bałem, że mnie odrzucisz, a wtedy mógłbym się zrobić okrutny. Jesteś całym moim rozsądkiem. Bez ciebie zwariuję.

- W Yzordderrex jakoś sobie radziłeś. Całe lata.

- Byłaś przy mnie, chociaż znałem cię pod innym imieniem.

- Mimo to byłeś okrutny.

- Wyobraź sobie, do czego byłbym zdolny, gdyby nie twoja twarz... - powiedział Sartori, jakby pełen podziwu dla tej nowej możliwości. - Oblaskawiłaś mnie.

- Tym dla ciebie jestem? Twarzą?

- Przecież wiesz... - zniżył głos do szeptu.

- Powiedz mi, słucham.

Sartori obejrzał się przez ramię na gek-a-geki. Jude nie słyszała, żeby coś mówił, ale cofnęły się w mrok, jakby zastraszone jego spojrzeniem. Odwrócił się do niej i obiema dłońmi dotknął jej twarzy; małe palce oparł od dołu o szczękę, kciuki w kąciach ust. Miał lodowate ręce, chociaż noc była gorąca i asfalt wciąż promieniował nagromadzonym za dnia ciepłem.

- Zostało nam niewiele czasu - zaczął - więc będę się streszczał. Nie ma dla nas przyszłości. Może wczoraj była jeszcze jakaś nadzieja, ale dziś...

- Słyszałam, że chcesz zbudować Nowe Yzordderrex.

- Chciałem. Mam doskonały model. Tutaj. - Poglądził ją po wargach. - Zmiotłbym z powierzchni ziemi te żalosne zaułki i stworzył miasto na twój obraz i podobieństwo.

- Co się stało? Zmieniłeś zdanie?

- Nie mamy tyle czasu, najdroższa. Mój brat przystąpił do swojego wielkiego dzieła. Kiedy skończy... - Sartori westchnął ciężko. - Kiedy skończy...

- To co? - Jude widziała, że bardzo chciałby się z nią czymś podzielić, ale coś go przed tym powstrzymuje.

- Słyszałem, że wróciłaś do Yzordderrex.

Chciała go jeszcze przycisnąć, żeby dokończył poprzednie zdanie, ale bała się przesadzić. Miała nadzieję, że przy odrobinie cierpliwości zdoła jeszcze pociągnąć go za język.

- Tak - odparła - byłam w Yzordderrex. W pałacu wiele się zmieniło.

To go zaciekało.

- Kto przejął władzę? Chyba nie Rosengarten, co? Wiem, niebytowcy. Athanasius, ten przeklęty klecha...

- On też nie.

- A kto?

- Boginie.

Świetlista pajęczyna wokół głowy Sartoriego zafalowała gwałtownie.

- Jedna z nich zawsze była w pałacu - wyjaśniła Jude. - Nazywa się Uma Umagammagi. Słyszałeś kiedyś o niej?

- Legendy...

- Ukryła się w Osi.

- Bzdura! Oś jest własnością Niewidzianego, tak jak cała Imajica.

Pierwszy raz słyszała, żeby mówił tak wiernopoddańczym tonem.

- My też? - spytała.

- My możemy przed tym uciec, ale to niełatwe, kochanie. Jest naszym Ojcem; chce, żebyśmy byli Mu posłuszni. Do końca. - Zapadła kolejna przykra cisza, tym razem zakończona nieśmiałą prośbą: - Przytulisz mnie?

W odpowiedzi rozłożyła ramiona. Jego dłonie zsunęły się z jej twarzy, prześliznęły po włosach i splotły za jej plecami.

- Kiedyś wydawało mi się, że budując miasta, staję się równy Bogu - szeptał. - I że jeżeli któreś z nich wyjdzie mi dostatecznie wspaniałe, będzie trwało wiecznie. A ja razem z nim. Ale przecież wszystko przemija, prawda? Wcześniej czy później...

Słyszała w jego słowach rozpacz będącą dokładnym przeciwieństwem wizjonerskiego zapалу Gentle'a, jak gdyby w czasie, gdy ich znała, zamienili się umysłami. Gentle, niewierny kochanek, przynosił ludziom niebo, Sartori zaś, dawny wysłannik piekiel, tylko dzięki miłości trwał przy zdrowych zmysłach.

- A na czym miałyby polegać dzieło boskie, jeśli nie na budowaniu miast? - spytała.

- Nie wiem.

- Może to nie nasza sprawa - zauważyła Jude, udając charakterystyczną dla

zakochanych obojętność wobec przyziemnych problemów. - Zapomnijmy o Niewidzianym. Mamy siebie nawzajem. I mamy dziecko. Możemy być razem tak długo, jak tylko zechcemy.

Ile w tych słowach kryło się prawdy i nadziei! Jude czuła się paskudnie, manipulując w ten sposób ukochanym. Jednak słyszała w jego słowach echo tych samych wątpliwości, które i z niej uczyniły wyrzutka. Pogodziła się z tym, że musi wykorzystać łączące ich uczucie, by ostatecznie rozwikłać zagadkę. Skuteczność fortelu nie pomogła jej bynajmniej uciszyć wyrzutów sumienia. Kiedy Sartori zaszlochał cicho, chciała wszystko mu wyznać - ale zwalczyła tę pokusę i kazała mu cierpieć. Miała nadzieję, że wyrzuci z siebie dręczące go myśli, chociaż nigdy wcześniej nie musiał ich zapewne wyraźnie formułować.

- Nie będzie dziecka... - jęknął. - Nie możemy być razem...

- Dlaczego? - Jej głos nadal tchnął optymizmem. - Jeśli chcesz, możemy stąd odejść. Teraz, zaraz. Ukryjemy się.

- Nie mamy dokąd iść.

- Coś sobie znajdziemy.

- Nie. Nie ma dla nas kryjówki.

Odsunął się od niej. Cieszyła się, że płacze - przez łzy trudniej mu było wyczytać przebiegłość w jej twarzy.

- Powiedziałem Pojednawcy, że sam niosę sobie zagładę - ciągnął Sartori. - Że widziałem swoje dzieła i od początku spiskowałem przeciwko nim. Ale potem zadałem sobie pytanie: Czyimi oczami patrzę? I wiesz, jak brzmi odpowiedź, Judith? Oczami Ojca. Mojego Ojca...

Judy przypominały się słowa Clary Leash: mężczyzna jako niszczyciel całego świata. A czy mógł istnieć mężczyzna doskonalszy niż Bóg Pierwszego Dominium?

- ...skoro oglądam swoje dzieła Jego oczami i chcę je zniszczyć... to co On widzi? I czego chce?

- Pojednania.

- Pojednania... A dlaczego? To nie jest żaden początek, Judith, to koniec. Kiedy Imajica stanie się jednością, On obróci ją w perzynę.

Jude odchyliła się i spojrzała mu w twarz.

- Skąd o tym wiesz?

- Chyba zawsze wiedziałem.

- I nic nie mówiłeś? Całe to gadanie o przyszłości...

- Bałem się sam przed sobą przyznać, że to prawda. Nie mogłem uwierzyć, że nie jestem panem swojego losu. Ty to rozumiesz; widziałem, jak walczyłaś, żeby patrzeć na świat

własnymi oczami. Jesteśmy w tym do siebie podobni. Nie umiałem pogodzić się z tym, że jakaś cząstka mnie w rzeczywistości należy do Niego.

- A teraz się pogodziłeś. Co się zmieniło?

- Widzę cię moimi oczami, kocham moim sercem... Kocham cię, Judith, a to znaczy, że się od Niego uwolniłem. Mogę potwierdzić to... co... wiem. - Rozpłakał się, ale nadal trzymał ją w ramionach, cały drżący. - Nie mamy gdzie uciec, najdroższa. Zostało nam najwyżej parę minut, kilka słodkich chwil. Potem nastąpi koniec.

Słuchała go, ale myślami była w domu, z którego wyszła. Mimo słów Umy Umagammagi, mimo zapалу maestra i tragedii, do jakiej mogła doprowadzić jej interwencja, musiała zapobiec Pojednaniu.

- Możemy Go jeszcze powstrzymać - zauważyła.

- Za późno. On już wygrał. Możemy mu się jednak sprzeciwić w inny, czystszy sposób.

- To znaczy?

- Możemy razem umrzeć.

- To nie byłby sprzeciw, tylko klęska.

- Nie chcę żyć, jeżeli On ma być we mnie stale obecny. Wolę położyć się tu, na ziemi, obok ciebie, i umrzeć. To nie będzie bólało.

Rozpiął marynarkę. Za pasek miał zatknięte dwa sztylety. Połyskiwały odbitym światłem pajęczej nici, ale i tak wydawały się ciemne w porównaniu z błyskiem w jego oczach. Łzy już obeschły. Sartori się rozpromienił.

- Nie ma innego wyjścia - dodał.

- Nie potrafię...

- Potrafisz. Jeżeli mnie kochasz, potrafisz. Wyrwała się z jego objęć.

- Chcę żyć.

- Nie zostawiaj mnie - powiedział na wpół błagalnie, na wpół grożąc. - Nie zostawiaj mnie mojemu Ojcu, proszę cię. Jeżeli mnie kochasz, nie oddawaj mnie Jemu.

Wyciągnął sztylety z za pasa i podał jej jeden rękojeścią do przodu, jak handlarz śmiercią. Wytrąciła mu go z ręki. Sztylet nie upadł jeszcze na ziemię, gdy odwróciła się i spojrzała na dom, pełna nadziei, że Clem ciągle stoi na progu. Istotnie - stał, a sądząc z blasku, jaki bił od wejścia, musiał zapalić i przenieść pod drzwi wszystkie zgromadzone świece. Ruszyła w jego stronę, nie zwracając uwagi na Sartoriego. Wypowiedział tylko jej imię, ale nie miała cienia wątpliwości - groził jej. Nie odpowiedziała (wystarczyło, że od niego uciekła), tylko zerknęła za siebie. Schylił się po nóż, wyprostował i powtórzył:

- Judith...

Tym razem ostrzeżenie zabrzmiało znacznie poważniej. Kątem oka dostrzegła jakiś ruch. Gek-a-gek spod drzewa pędził prosto na nią. Jego płaski łeb był wielki jak właz do studzienki kanalizacyjnej, a pysk najeżony zębami chyba po sam żołądek.

Sartori krzyknął coś, próbując go powstrzymać, ale niesforny gek-a-gek nie posłuchał. Jude rzuciła się biegiem w stronę domu. Dobiegł ją głośny okrzyk Mondaya. Chłopak pojawił się w drzwiach, ubrany tylko w przybrudzone szorty. W ręce trzymał prowizoryczną maczugę i wywijał nią nad głową jak opętany. Jude zrobiła unik, żeby uchylić się przed przypadkowym ciosem, i wpadła na schodki. Clem, który stał za plecami chłopca, chciał ją wciągnąć do środka, ale zatrzymała się, krzyknęła na Mondaya, żeby się schował - i zobaczyła depczącego jej po piętach gek-a-geka. Monday nie cofnął się, lecz uderzył na odlew. Maczuga świsnęła w powietrzu i trafiła prosto w łeb potwora. Zmiażdżyła jedno z wyłupiastych ślepi, lecz niesiony rozpędem gek-a-gek doskoczył do Mondaya i jednym ze świeżo wyostrzonych pazurów rozorał mu skórę na plecach. Chłopak wrzasnął z bólu i byłby upadł, gdyby Clem nie złapał go wpół i nie pchnął w głąb domu.

Gek-a-gek znalazł się dosłownie o metr od stóp Jude. Z odrzuconym w tył łbem był z wściekłości, ale Jude nie widziała jego rozwartego pyska - patrzyła na Sartoriego. Szedł w stronę domu z nożami w rękach, towarzyszyły mu dwa gek-a-geki. Nie odrywał od niej wzroku. Miał smutne oczy.

- Właz! - ryknął Clem.

Jude otrząsnęła się i wbiegła do środka. Jednooki gek-a-gek skoczył za nią, ale Clem był szybszy, zatrzasnął mu drzwi przed nosem. Hoi-Polloi zamknęła zasuwki. Ranny potwór - i jego zraniony pan - zostali w ciemnościach na dworze.

*

Siedzący piętro wyżej Gentle nic nie słyszał. Dzięki mocy kręgu przebył już In Ovo i znalazł się w Ana, które Pie nazywał Domem Splotu. Tutaj właśnie miał z innymi maestrami przeprowadzić przedostatnią fazę Pojednania. Zmysły stały się w Ana zbędne i Gentle czuł się jak we śnie - wszystko wiedział, ale sam pozostał incognito i obserwował sam siebie z dystansu. Nie płakał za ciałem, które zostało na Ziemi przy Gamut Street; nie zmartwiłby się, gdyby nie mógł już do niego wrócić. Tutaj, w Ana, mógł istnieć w doskonalszej formie, niczym cyfra w złożonym równaniu, której nie można usunąć ani pomniejszyć, a która zarazem wpływa na sumę całości.

Zdawał sobie sprawę, że nie jest w Ana sam - mimo że fizyczny wzrok był mu zbędny, jego wyobraźnia dysponowała paletą barw i obrazów tak żywą i obszerną jak nigdy przedtem.

Nie musiał bawić się w fałszerza. Zyskał w swej metempsychozie wizjonerski talent, o jakim nigdy nie śmiał marzyć. W myślach bez trudu znajdował drogę do swoich towarzyszy.

Wyobraził sobie Ticka Raw ubranego w przypadkowo zestawione szaty, w jakich zobaczył go pierwszy raz w Vanaeph, uszyte jednak nie z materiału, lecz z cudów Czwartego Dominium: kurtka z gór, przyprószona śniegiem Jokalaylau; koszula z Patashoqua, spięta pasem jego murów; blask złotozielonej aureoli na twarzy, na której panował ruch jak na Drodze Patashoquańskiej.

Scopique'a widział w mniej jarmarcznych barwach: szary pył Kwem otulał go jak postrzępiony płaszcz, jego drobinki wykreślały w fałdach materii najpiękniejsze widoki Trzeciego Dominium - Kołyskę Chzercemit, świątynie L'Himby, Postną Drogę, a nawet tory kolejowe; dym z komina lokomotywy piał się pod ciemne, burzowe chmury.

Odziany w brudne łachmany Athanasius niósł w zakrwawionych dłoniach doskonały wizerunek Yzordderrex - od grobli po pustynię, od portu po teatr „Iipse”. Ocean wypływał mu ze zranionego boku, a cierniowa korona na skroniach rozkwitała, obsypując go płatkami w tęczy kolorach.

Chicka Jackeen siedział w blasku błyskawic. Wyglądał tak samo jak dwieście przesileń wcześniej, na schodach domu Gentle'a. Wtedy płakał i ze strachu był blady jak ściana, teraz rozkazywał burzy, zamiast się jej bać. Ogniste łuki, które przeskakiwały mu między palcami, tworzyły surowy, przepiękny obraz, odkrywały sekret Pierwszego Dominium i z własnej doskonałości czyniły nową tajemnicę.

Gentle zastanawiał się, jak widzą go pozostali maestrowie - być może, nie podzielali jego malarskiej żądzy patrzenia na świat i wyobraźnia podsuwała im wrażenia znacznie subtelniejsze od tych, jakich mógł dostarczyć wzrok. Przypuszczał, że tak byłoby nawet lepiej, i wiedział, że z czasem uwolni się od dokuczliwej dosłowności, tak jak pozbędzie się cielesnej skorupy, która nosiła jego imię. Nie czuł się związany ani z Gentle'em, którego zostawił w pokoju medytacyjnym, ani z jego historią. Związek z każdym „ja” był jedną wielką tragedią, nieodwołalnie skazywał człowieka na stratę i cierpienie. Gdyby nie to, że chciał jeszcze zobaczyć Pie'oh'paha, modliłby się, żeby nagrodą za Pojednanie był stan wiecznego niebytu w Ana.

Wiedział, naturalnie, że to niemożliwe. Azyl Ana istniał tylko przez krótką chwilę, w dodatku służył wtedy bardziej uniwersalnym celom niż ukojenie jednej zbolalej duszy. Maestrowie zrobili, co do nich należało, przenieśli dominia do sanktuarium Ana i wkrótce mieli stać się zbędni - wróć do swoich kręgów, zostawią dominia, by same się połączyły i odepchnęły In Ovo jak wzburzone morze daleko od granic Imajiki. Można było tylko

zgadywać, co będzie dalej. Osobiście wątpił, by nastąpiło jakieś ogólne, gwałtowne objawienie, by wszyscy mieszkańcy Piątego Dominium w jednej chwili odczuli, że są wolni. Proces będzie raczej powolny i potrwa całe lata. Najpierw rozejdą się plotki, że jeżeli ktoś wie, gdzie szukać, może znaleźć osnute mgłą mosty prowadzące w nieznaną; potem plotki znajdą potwierdzenie, mosty zmieniają się w groble, tajemnicza mgła w wielkie chmury, a pokolenie lub dwa później dzieci będą przychodzić na świat z wrodzoną świadomością, że pięć dominiów stoi przed nimi otworem. Pewnego dnia ludzkość odkryje w Imajice własne Bóstwo i nie było ważne, kiedy ten dzień nadejdzie. Od chwili gdy pojawi się pierwszy most - choćby najwęższy - Imajica stanie się jednością. Każdy obywatel Piątego Dominium - od niemowlęcia w kołysce po starca na łożu śmierci - zostanie w pewnym sensie uzdrowiony i każdy oddech da mu większą radość.

*

Jude odczekała chwilę w holu, by się upewnić, że Monday żyje, a potem podeszła do schodów. Moc, która sprawiła im tyle bólu, przestała płynąć przez dom - najwidoczniej ceremonia weszła w następną (być może ostatnią) fazę. Clem podszedł do Jude, niosąc dwie następne maczugi.

- Ile jest tych potworów? - zapytał.

- Ze sześć...

- W takim razie idź popilnuj tylnego wejścia. - Podał Jude broń.

- Wy się nimi zajmijcie - odparła Jude. - Spróbujcie je powstrzymać, jak długo zdołacie.

- A ty gdzie idziesz?

- Muszę przeszkodzić Gentle'owi.

- Przeszkodzić mu?! Mój Boże, dlaczego?

- Dowd miał rację. Jeżeli Gentle dokona Pojednania, będzie po nas.

Clem rzucił maczugi na podłogę i złapał Jude za ramiona.

- Nie, Judy, wiesz, że nie mogę ci na to pozwolić.

Mówili do niej obaj - i Clem, i Taylor. Dwa głosy się zmieszały. To było chyba jeszcze gorsze od Sartoriego i jego bestii; taki rozkaz z ust człowieka, którego kochała. Starła się jednak zachować spokój.

- Puść mnie - powiedziała i złapała się poręczy.

- Zamać ci w głowie, Judy - mówili Clem z Taylorem. - Nie wiesz, co robisz.

- Wiem doskonale, do cholery! - Jude usiłowała się im wyrwać, ale mimo bolesnych bąbli na rękach trzymali ją mocno. Próbowała szukać pomocy u Monday, lecz on wraz z

Hoi-Polloi zaparli się plecami o drzwi, w które nieustępliwe gek-a-geki łomotały mocarnymi łapami. Deski były solidne, ale nie mogły długo wytrzymać takich ciosów. Wiedziała, że albo dotrze do Gentle'a, zanim potwory wedrą się do środka, albo wszystko będzie stracone.

Nagle ponad łoskot wzniósł się głos, który tylko raz słyszała podniesiony:

- Puśćcie ją.

Opatulona prześcieradłem Celestine pojawiła się w drzwiach z jadalni. Padające na nią światło świec chybotало niespokojnie, ona jednak szła zdecydowanym krokiem. Anioły obejrzały się na nią, napotkały jej hipnotyzujący wzrok, ale nie wypuściły Jude.

- Ona chce...

- Wiem, co chce zrobić - ucięła Celestine. - Jeżeli jesteście naszymi strażnikami, brońcie nas, ale ją puśćcie.

Uścisk aniołów zelżał. Nie czekając, aż zmienią zdanie, Jude wyrwała im się i wbiegła na schody. Była w połowie drogi, gdy odwróciła się, słysząc z dołu krzyk. Hoi-Polloi i Monday padli na ziemię, środkowa deska w drzwiach pękła i olbrzymia łapa sięgnęła do środka - na szczęście pazury przecięły tylko powietrze.

- Biegnij! - krzyknęła Celestine, stając u stóp schodów. Jude odwróciła się i popędziła na piętro.

Na górze było znacznie ciemniej, ale z każdym krokiem coraz wyraźniej widziała szczegóły wnętrza. Schody pod jej stopami zmieniły się nagle w cudowny labirynt słoi i sęków, w którym z przyjemnością można by się zagubić. Nie tylko wzrok gwałtownie się jej wyostrzył. Poręcz, której dotykała, była gładsza niż jedwab, żywica pachniała oszałamiająco, kurz miał cudowny smak. Odepchnęła nadmiar wrażeń - zdjęła rękę z poręczy, wstrzymała oddech - i skoncentrowała się na drzwiach u szczytu schodów. Mimo to szła z trudem. Skrzypienie stopni brzmiało jak dźwięki orkiestry, cienie na podeście zmieniały się i falowały, błagały o jedno jej spojrzenie. Ale było coś, co dodawało jej sił - zamieszanie na parterze nie słabło. Hałas narastał. Głos Sartoriego wzniósł się ponad ogólną wrzawę:

- Dokąd to, najdroższa? Nie możesz mnie tak zostawić. Nie pozwolę ci na to. Spójrz! Kochanie, spójrz na mnie! Mam nasze sztylety.

Nie odwróciła się. Zamknęła oczy i zatkała sobie uszy, ostatnie stopnie pokonała ślepa i głucha. Dopiero gdy weszła na piętro, odważyła się rozejrzeć. Rzeczywistość natychmiast upomniała się o jej zmysły. Każde zagłębienie w każdym łebku gwoźdźcia w drzwiach powtarzało: „Zaczekaj, przyjrzyj mi się z bliska”. Kurz wzbijany jej stopami tworzył konstelacje, w których mogłaby zabłądzić. Dotarła do drzwi ze wzrokiem utkwionym w klamkę i z całej siły zacisnęła na niej dłoń. Zabolało, ale przynajmniej pokusy zmysłów na

chwile zbladły. Zdażyła nacisnąć klamkę i pchnąć drzwi. Sartori znów coś krzyczał, lecz jego głos dobiegał na górę zniekształcony, jakby tonął w nadmiarze wrażeń.

Miała przed sobą drugiego Sartoriego. Siedział nagi pośrodku ułożonego z kamieni kręgu, w tradycyjnej pozycji medytacyjnej - ze splecionymi nogami, z zamkniętymi oczami i otwartymi dłońmi opartymi na kolanach, żeby chwycić w nie spływające z niebios błogosławieństwa. Wiele innych obiektów dopominało się o jej uwagę - kominek, okno, podłoga, belki stropowe - ale nawet połączywszy wysiłki, nie mogły rywalizować z cudem ludzkiej nagości, zwłaszcza nagości tego ciała, które kochała i przy którym spędziła tyle nocy. Ani plamy na ścianach, upodabniające je do mapy jakiegoś nieznanego lądu, ani zapach zmiądzonych liści na parapecie nie mogły jej teraz zdekoncentrować. Wszystkimi zmysłami uczepliła się Pojednawcy. Zawołała go po imieniu.

Nie poruszył się. Nie wiedziała, gdzie błąka się jego umysł, ale z pewnością znalazł się bardzo daleko od domu (a raczej dom stał się mikroskopijną cząstką jego świata) i nie reagował na najbardziej nawet rozpaczliwe wezwania. Stała na krawędzi kręgu. Nic nie sugerowało, że wewnątrz kręgu szaleje energetyczny wir, ale dobrze pamiętała, jak skończyła się dla Dowda i jednego z jego pustkowców nierozważna próba wskoczenia do Ekspresu Yzordderrex. Z parteru dobiegł ją ostrzegawczy krzyk Celestine. Nie było czasu na ostrożność. Cokolwiek miało się stać, niech się stanie. Była gotowa wziąć na siebie wszelkie konsekwencje.

Zacisnęła zęby i przekroczyła granicę okręgu. Natychmiast poczuła znajome swędzenie, ukłucia bólu i drgawki, które towarzyszyły podróży między dominiami, i przez chwilę bała się, że krąg wyekspeduje ją w drogę do In Ovo. Jednak dzieło mistrzów blokowało tę prostą funkcję kręgu, więc czuła tylko narastający ból, który w końcu zmusił ją do uklęknienia przed Gentle'em. Popłakała się i bluznęła najgorszymi przekleństwami. Na razie krąg jej nie zabił, ale miała wrażenie, że nie wytrzyma długo jego naporu. Musiała się spieszyć.

Z wysiłkiem otworzyła zaciśnięte kurczowo powieki. Ani jej krzyki, ani przekleństwa nie wywołały żadnej reakcji Gentle'a. Złapała go za ramiona i potrząsnęła ze wszystkich sił. Był zupełnie rozluźniony i leciał jej przez ręce, ale przynajmniej zareagował - albo na jej dotyk, albo na samą jej obecność w magicznym kręgu. Zrobił gwałtowny wdech, jakby wyciągnęła go z jakiejś pozbawionej powietrza otchłani.

- Gentle! Otwórz oczy! Otwórz oczy, ty skurwysynu!

Cierpiał. Oddychał coraz szybciej i coraz gwałtowniej, a jego twarz, dotychczas błoga i pogodna, wykrzywiła się w bolesnym grymasie. Podobał jej się ten widok; Gentle w roli

mesjasza robił się cwany... Pora skończyć z tym samozadowoleniem. Jeśli to, co robiła, sprawiało mu przykrość, sam sobie był winien. Za bardzo wdał się w ojca.

- Słyszysz mnie? Gentle, musisz przerwać ceremonię! Słyszysz?! Przerwij rytuał!

Zamrugął.

- Świetnie, Gentle! Doskonale! - Czują się jak nauczycielka, która próbuje zmusić do współpracy leniwego ucznia. - Dalej, postaraj się! Prędszej! No, otwórz oczy, bo sama ci je otworzę! Ostrzegam!

Kciukiem prawej dłoni uniosła mu lewą powiekę, ale Gentle przewrócił oczami i odsłoniła tylko białko. Nadal był bardzo daleko od niej, a ona nie wiedziała, czy wytrzyma napór kręgu dostatecznie długo, żeby przywabić Gentle'a do domu.

- Za późno, kochanie - dobiegł ją z podestu głos Sartoriego. - Nie czujesz tego? Spóźniłaś się.

Nie musiała się odwracać, wiedziała, że stał przy schodach ze sztyletami w dłoniach i smutkiem malującym się na twarzy. Nie zareagowała. Musiała bez reszty skupić się na obudzeniu Gentle'a.

Nagle przyszło olśnienie. Sięgnęła ręką w dół, do jego krocza; od oczu do genitaliów. Z pewnością Pojednawca miał w sobie dość z dawnego Gentle'a, żeby niepokoić się o swoją męskość. W ciepłym pokoju jego moszna zrobiła się miękka i luźna, Jude poczuła w dłoni ciężar jego jąder. Były takie delikatne... Złapała je mocno.

- Otwórz oczy - powtórzyła. - Bo jak nie, to słowo daję, zrobię ci krzywdę.

Nie zareagował, więc zacisnęła dłoń.

- Zbudź się!

Nic z tego. Ścisnęła jeszcze mocniej i przekręciła rękę w nadgarstku.

- Obudź się!

Zaczął jeszcze szybciej oddychać, a kiedy szarpnęła trochę mocniej, nagle otworzył oczy. Ostatnie sapanie przeszło w przeciągły, bolesny jęk. Gentle złapał Jude za szyję. Musiała puścić jego jądra, ale w tej chwili nie miało to już znaczenia. Najważniejsze, że się obudził - i był wściekły. Wypchnął ją poza obwód koła. Upadła niezdarnie na podłogę.

- Musisz przerwać rytuał!

- Zwariowałaś?! - warknął.

- Mówię serio! Musicie przerwać ceremonię! To spisek! - Podniosła się na kolana. - Dowd miał rację, Gentle, nie można dopuścić do Pojednania.

- Już nie możesz nam przeszkodzić. Spóźniłaś się.

- Zrób coś! Na pewno jest jakiś sposób!

- Jeżeli jeszcze raz się do mnie zbliżysz, zabiję cię. - Gentle powiódł wzrokiem po kamieniach. Krag był nienaruszony. - Gdzie Clem? - spytał. - Clem!

Dopiero teraz spojrzął przez otwarte drzwi w stronę schodów i dostrzegł majaczącą na podeście sylwetkę. Skrzywił się z odrazą i Jude zdała sobie sprawę, że nie ma już szans go przekonać. Jego teoria spiskowa znalazła potwierdzenie.

- Widzisz, najdroższa? - odezwał się Sartori. - Mówiłem ci przecież, że się spóźniłaś. - Dwa gek-a-geki łąsiły mu się do nóg. W rękach miał sztylety, ale tym razem nie zamierzał jej jednego dać. Sam ją zabije. - To koniec, kochanie.

Przeszedł przez próg.

- Zróbmy to tutaj, w pokoju, w którym nas stworzono. Znasz lepsze miejsce?

Jude nie musiała odwracać się do Gentle'a, by wiedzieć, że słucha z uwagą. Czy Sartori był jej ostatnią nadzieją? Czy mógł użyć argumentu, który przekona Gentle'a?

- Będę musiał zadbać o nas oboje, najdroższa - ciągnął Sartori. - Ty jesteś na to za słaba. Nie widzisz tak jasno jak ja.

- Nie chcę... umierać.

- Nie masz wyjścia. Zginiesz albo z ręki syna, albo Ojca. Tylko taki masz wybór, Ojciec albo syn.

Zza pleców dobiegł ją szept Gentle'a. Dwie sylaby:

- Och, Pie...

Sartori zrobił drugi krok. Wyszedł z cienia w krag światła. W oczach wzbierały mu łzy rozpacz, spierzchnięte usta wyglądały jak pokryte kurzem, przez bladą skórę przeświecały kości czaszki, odsłonięte zęby układały się w uśmiech szkieletu. Sartori był wcieleniem śmierci. Jeżeli ona, która go kochała, potrafiła to dostrzec, także Gentle musiał to rozumieć.

Sartori postąpił jeszcze krok w stronę Jude i wznosił oba sztylety. Nie spuściła wzroku - spojrziała mu w oczy, jakby chciała go sprowokować, żeby zbezpieścić stalowym ostrzem tę samą skórę, którą nie tak dawno czule pieścił.

- Byłem gotów umrzeć za ciebie - szepnął. Błyszczące w blasku świec ostrza zawisły nieruchomo w najwyższym punkcie łuku. - Czemu więc ty nie miałabyś umrzeć dla mnie?

Nie czekał na odpowiedź, lecz uderzył oboma sztyletami jednocześnie. Odwróciła głowę, przez co chybiły jej oczu, a gdy miały rozorać jej policzek i szyję, stojący za nią Pojednawca krzyknął przenikliwie. Cały pokój się zatrzęsł. Jude przewróciła się i ostrza sztyletów minęły ją o centymetry. Świece na kominku zachwiały się i pogasły, ale w pokoju nie zapanowała ciemność. Tworzące krag kamienie migotały jak maleńkie ogniska zduszone gwałtownym podmuchem wiatru, tryskały iskrami na wszystkie strony. Na obwodzie koła stał

Gentle, w ręce trzymał kamień. Za jednym zamachem uzbroił się i przerwał krąg - i dobrze zdawał sobie sprawę z tego, co zrobił. Wydawało się, że nagle osłabł. Stał nieruchomo, stracił impet, który pchnął go do przerywania ceremonii.

Jude zerwała się z podłogi, chociaż pokój drżał coraz gwałtowniej. Czuła pod stopami solidne deski, ale w ciemności widziała tylko gwoździe, którymi umocowano je do legarów. Mimo poświaty magicznych kamieni reszta pomieszczenia tonęła w mroku. Jude odwróciła się w stronę kręgu. Miała wrażenie, że porusza się w absolutnej pustce.

Każdemu wstrząsowi towarzyszył trzask drewna i pękającego tynku, a w tle rozlegało się gardłowe bulgotanie, którego źródło ujrzała, stanąwszy na skraju koła. Ciemność, która je wypełniała, była rzeczywiście ciemnością pustki. W kręgu ziało wejście do In Ovo, wyrwany z transu Gentle nie zdążył go zamknąć. Więźniowie dzielącej dominia pustki, poruszeni niedawną wizytą Sartoriego, zwęszyli szansę ucieczki i tłoczyli się w czarnej dziurze.

Gek-a-geki przy drzwiach podniosły radosny wrzask, przeczuwając bliskie spotkanie z braćmi, lecz mimo pozornie ogromnej siły niewielki miałyby udział w nadchodzącej masakrze. W otchłani kłębiły się potwory, przy których wyglądały niewinnie jak kociaki. Jude była przerażona, ale jeśli tylko tak mogła zapobiec Pojednaniu - trudno, musiała to zrobić. Historia zatoczy koło, a maestro ponownie zostanie potępiony.

Gentle też dostrzegł nadciągające bestie i ich widok zmroził mu serce. Jude, zdecydowana za wszelką cenę powstrzymać go przed zamknięciem kręgu, próbowała wyrwać mu kamień z ręki i wyrzucić przez okno.

Już nie patrzył na nią, lecz na kogoś za jej plecami. Sartori! Jude odskoczyła w bok, drugi raz uniknęła ciosu sztyletów i oparła się o kominek. Odwróciwszy się, ujrzała braci stojących twarzą w twarz.

Sartori powiódł za nią wzrokiem i wtedy Gentle uderzył z góry na dół trzymanym oburącz kamieniem. Wytrącił Sartoriemu sztylet z ręki. Sypnęły się iskry. Chciał zadać następny cios, mierząc w drugie ostrze, lecz tym razem Sartori zdążył cofnąć rękę. Gentle trafił więc w pustą dłoń brata. Trzask zmiażdżonych kości wybił się ponad ryki potworów z In Ovo, trzeszczenie desek i łoskot pękających murów.

Sartori zaskowyczał z bólu i podniósł okaleczoną dłoń, podsuwając ją bratu pod nos, jakby oczekiwał wyrazów współczucia. Kiedy jednak Gentle odruchowo na nią spojrział, Sartori zadał mu z boku cios drugą ręką, zdrową i zbrojną w nóż. Gentle dostrzegł kątem oka błysk stali, zdążył się uchylić, ale sztylet rozciął mu rękę od nadgarstka po łokieć i sięgnął kości. Trysnęła fontanna krwi. Gentle upuścił kamień, Sartori zaś wkroczył do kręgu, siekąc sztyletem na odlew.

Bezbronny Gentle cofnął się, odchylił, stracił równowagę i upadł. Wystarczyłby jeden cios, żeby go w tym momencie dobić, ale Sartori chciał nacieszyć się bliskością brata. Usiadł mu okrakiem na brzuchu i ciął po rękach, którymi maestro próbował zasłonić się przed ostatnim pchnięciem.

Jude po omacku szukała sztyletu na rozedrganej podłodze. Nie mogła oderwać wzroku od złowrogich kształtów, które niemal wystawiały łby z In Ovo, węsząc wolność. Wiedziała, że sztylet na nic się jej przeciwko nim nie przyda, ale mogłaby zadźgać Sartoriego. Sam przecież chciał się nim zabić. Jeżeli znajdzie ostrze, może uda się jej użyć go zgodnie z przeznaczeniem.

Zanim namacała sztylet, usłyszała bolesny szloch, a odwróciwszy się, zobaczyła Gentle'a przyciśniętego do ziemi. Był potwornie poraniony - miał rozprutą pierś, rozciętą skórę na szczęcie, policzku i skroniach, dłonie i przedramiona całe we krwi. Jednak szlochał nie on, lecz Sartori, który właśnie podniósł sztylet do ostatniego ciosu. Płacząc, mierzył prosto w serce brata.

Jego rozpacz była przedwczesna. Sztylet opadał już po łuku, gdy Gentle wykrzesał z siebie resztki sił, szarpnął się i ostrze, chybiwszy serca, weszło pod obojczykiem w płuco. Śliska od krwi rękojeść wysunęła się Sartoriemu z ręki, ale sztylet już nie był potrzebny. Po ostatnim desperackim spazmie Gentle znieruchomiał.

Sartori wstał i spojrzał w pustkę In Ovo. Potwory znajdowały się tuż pod powierzchnią, on jednak bez pośpiechu podziwiał roztaczającą się wokół niego panoramę. Wreszcie jego wzrok spoczął na Jude.

- Najdroższa... - powiedział cicho. - Patrz, co narobiłaś. Oddałaś mnie mojemu Ojcu Niebieskiemu.

Schylił się po kamień, który wypadł Gentle'owi z ręki, i z delikatnością malarza kładącego ostatnią warstwę farby na płótnie wstawił go na miejsce.

Nie od razu wszystko wróciło do normy. Mroczne kształty kłębiły się jak przedtem i zbliżały do Piątego Dominium, zanim się zorientowały, że ktoś zamknął im drogę. Ogień w kamieniach zaczął przygasać. Sartori rzucił półgłosem jakiś rozkaz i gek-a-geki odsunęły się od drzwi, schylając płaskie łby do ziemi. Jude bała się, że idą po nią, ale ich pan kazał im zabrać Gentle'a. Obeszły krąg z dwóch stron, delikatnie wyciągnęły ze środka ciało i odsunęły je Sartoriemu z drogi.

- Na parter z nim - powiedział głośniejsze.

Stwory posłusznie cofnęły się i wyszły, zostawiając go samego w kręgu.

Zapanował przerażający spokój. Ostatni ślad In Ovo zniknął, blask w kamieniach zgasł

niemal całkowicie. Jude patrzyła, jak Sartori siada w środku koła.

- Nie rób tego... - ostrzegła.

Podniósł głowę i chrząknął, jakby zdziwiony, że nie jest sam w pokoju.

- Już po wszystkim - odparł. - Muszę tylko popilnować kręgu do północy.

Z parteru dobiegł jęk Clema, który musiał właśnie zobaczyć, co gek-a-geki wywlekły na podest. Potem rozległ się stłumiony łoskot, gdy zrzuciły Gentle'a ze schodów i Jude wiedziała, że zaraz przyjdą po nią. Zostały jej dosłownie sekundy, żeby jakoś wywabić Sartoriego z kręgu. Znała tylko jeden sposób - jeżeli miałby zawieść, podda się ostatecznie.

- Kocham cię - powiedziała.

Nie widziała go już, ale czuła, że na nią patrzy.

- Wiem - odparł wypranym z emocji głosem. - Ale mój Ojciec Niebieski bardziej mnie umiłuje. Zresztą wszystko jest już w Jego rękach.

Słyszała za plecami kroki gek-a-geków, czuła na karku ich lodowaty oddech.

- Nie chcę cię już nigdy więcej oglądać - dodał Sartori.

- Odwołaj gek-a-geki, proszę. - Przypomniała sobie, jak złapały Clema, niemal odgryzając mu rękę.

- Jeżeli odejdziesz stąd z własnej woli, nawet cię nie tkną. Ja muszę kontynuować dzieło Ojca.

- On cię nie kocha...

- Wyjdz.

- Jest niezdolny...

- Wyjdz!

Jude wstała; nie miała nic więcej do powiedzenia, nie mogła nic zrobić. Kiedy odwróciła się plecami do kręgu, gek-a-geki otarły się o jej nogi z obu stron i odprowadziły ją do drzwi. Do końca pilnowały, czy nie będzie próbowała ich panu zaszkodzić. Na podest wyszła już sama. Clem szedł właśnie na górę z maczugą w ręce, ale kazała mu się zatrzymać; bała się, że jeśli wejdzie choćby jeden stopień dalej, gek-a-geki rozszarpią go na strzępy.

Drzwi pokoju medytacyjnego zatrzasnęły się za nią z hukiem. Odwróciła się. Gek-a-geki usiadły przed progiem i pilnowały wstępu do pokoju. Ostrożnie, jakby obawiała się, że jeszcze mogą się na nią rzucić, powoli na palcach podeszła do schodów i dopiero tam odważyła się przyspieszyć.

Na parterze paliły się świece, ale scena, którą Jude ujrzała, była jeszcze bardziej przynębiająca niż to, co widziała na górze. Gentle leżał z głową na kolanach matki. Prześcieradło, którym owinęła się Celestine, zsunęło się z ramion i jej nagie piersi znaczyły

kręw syna.

- Żyje? - spytała Jude szeptem.

- Na razie tak - odpowiedział Clem cicho.

Nie musiała pytać, co go trzyma przy życiu. Drzwi domu były otwarte, a właściwie wyłamane, bo zwisały przekrzywione na jednym zawiasie. Z odległego kościoła dobiegały dźwięki dzwonu. Biła północ.

- Krąg został zamknięty - stwierdziła Jude.

- Jaki krąg? - zdziwił się Clem.

Nie odpowiedziała; jakie to miało teraz znaczenie? Celestine spojrzała jednak na nią pytająco. Jude postanowiła udzielić im najprostszej możliwej odpowiedzi.

- Imajica jest kołem.

- Skąd wiesz? - zapytał Clem.

- Boginie mi powiedziały.

Teraz, gdy podeszła bliżej, widziała, że Gentle kurczowo trzyma się życia - w jak najbardziej dosłownym sensie. Ścisnął rękę Celestine i patrzył jej w oczy. Dopiero gdy Jude usiadła obok nich na najniższym stopniu, odwrócił się w jej stronę.

- Nie... wiedziałem...

- Też nie mogłam w to uwierzyć - odparła Jude, mając na myśli knowania Hapexamendiosa.

- Myślę o... kole... Nie wiedziałem, że Imajica tworzy krąg...

- To była tajemnica bogiń.

- Hapexamendios o niczym nie wie? - zdumiała się Celestine. Głos miała równie delikatny jak światło świec, które kładło się na jej ustach.

Jude pokręciła przecząco głową.

- Jeśli zatem zechce unicestwić dominia, ogień jego gniewu zatoczy krąg... - Celestine urwała.

Jude zmarszczyła brwi. Rozumiała, że to bardzo ważne stwierdzenie, ale była zbyt zmęczona, żeby się nad nim głowić.

- Moje dziecko... - Celestine zerknęła na Gentle'a.

- Tak, mamó?

- Idź do Niego. Przenieś się duchem do Pierwszego Dominium i znajdź swojego Ojca.

Zdawało się, że Gentle'owi brakuje siły, żeby chociaż odetchnąć, nie mówiąc już o takich podróżach. Jednak choć ciało bardzo osłabło, duch wciąż mógł być zdolny do wędrówki. Gentle sięgnął do twarzy matki. Złapała go za rękę.

- Co chcesz zrobić? - zapytał.

- Ściągnąć na siebie Jego ogień.

Jude zerknęła na Clema, lecz podobnie jak ona absolutnie nic nie zrozumiał. Po co dopominać się o śmierć, skoro i tak nastąpi - i to bardzo niedługo?

- Musisz go zwieść - ciągnęła Celestine. - Pójdź do Niego jako kochający syn i zajmij Go czymś. Schlebiaj Mu. Powiedz, jak bardzo chcesz zobaczyć Jego twarz. Zrobisz to dla mnie?

- Dobrze, mammo.

Zadowolona z syna Celestine odsunęła jego dłoń i położyła mu ją na piersi. Ostrożnie złożyła jego głowę na podłodze. Miała dla niego jeszcze jedną wskazówkę:

- Kiedy się tam udasz, idź przez wszystkie dominia. On nie może się zorientować, że istnieje inna droga. Rozumiesz?

- Tak, mammo.

- A gdy znajdziesz się na miejscu, wsłuchaj się w głos. Będzie dobiegał z ziemi. Usłyszysz go, jeśli się postarasz. Powtarza dwa słowa...

- Nisi Nirvana.

- Właśnie.

- Pamiętam je: Nisi Nirvana.

Z tym imieniem na ustach odszedł, jakby mogło mu służyć za błogosławieństwo na drogę. Celestine nie rozczulała się nad nim dłużej. Wstała, owinęła się prześcieradłem i stanęła na schodach.

- Muszę porozmawiać z Sartorim - oznajmiła.

- To nie będzie łatwe - uprzedziła ją Jude. - Zamknął drzwi i wystawił strażę.

- Jest moim synem. - Celestine spojrzała ku górze. - Spotka się ze mną.

Weszła na piętro.

ROZDZIAŁ 60

1

Opuszczając dom, Gentle nie myślał o Ojcu, do którego się udaje, lecz o matce, którą zostawia za sobą. Od powrotu z wieżowca Tabula Rasa mieli dla siebie stanowczo za mało czasu. Klęczał kilka minut przy jej łóżku, słuchając historii Nisi Nirvany; był przy niej, gdy bogini objawiła im się pod postacią deszczu (zawstydzony swoim pożądaniem i niezdolny mu zaprzeczyć); a przed chwilą utuliła go, gdy się wykrwawiał. Dziecko, kochanek, trup. Ta odrobina wspólnych przeżyć musiała im wystarczyć.

Nie wiedział, dlaczego Celestine wysłała go w tę podróż, ale był tak zdezorientowany, że po prostu jej posłuchał. Miała swoje powody, a on musiał jej zaufać. Tego, co naprawdę stało się podczas ceremonii, też do końca nie rozumiał. W jednej chwili znajdował się tak daleko od ciała, że był gotów całkiem o nim zapomnieć, w następnej znalazł się w pokoju medytacyjnym; Jude miażdżyła mu jądra, on sam wrzeszczał z bólu, a jego brat wchodził po schodach z błyszczącymi sztyletami w rękach. Widząc morderczy wyraz twarzy Sartoriego, zrozumiał przynajmniej, dlaczego Pie dał się rozedrzeć na strzępy, żeby kazać mu go znaleźć. W desperacko wykrzywionej twarzy Gentle widział odbicie ich Ojca. Zawsze musiało w niej być, ale nigdy przedtem go nie zauważył. Dostrzegał w Sartorim tylko własne zdeformowane piękno i powtarzał sobie, jak to miło być niebem dla takiego piekła. Co za ironia losu! Był bezmyślnym sługą Ojca, jego gońcem i błaznem. I prawdopodobnie nigdy by się o tym nie dowiedział, gdyby Jude siłą nie wyrwała go z Ana i nie pokazała mu niszczyciela, którego znał z lustra.

Niestety, otrzeźwienie przyszło zbyt późno, a on nie mógł nic zrobić, by naprawić krzywdy, które wyrządził. Miał tylko nadzieję, że matka lepiej wie, gdzie szukać okruchów nadziei. Dlatego teraz stał się jej posłańcem; posłusznie uda się do Pierwszego Dominium i spełni jej prośbę.

*

Zgodnie z jej zaleceniem wybrał dłuższą, okrężną drogę, która prowadziła przez tereny znane mu z czasu, gdy odwiedzał członków Synodu. Miał ogromną ochotę zboczyć z kursu i

spędzić dzień w ich towarzystwie, ale zdawał sobie sprawę, że nie może zwlekać.

Widział ich jednak w przelocie, co dowodziło, że wyszli cało z ostatnich niespokojnych chwil w Ana i rozpromienieni triumfem wrócili do swoich dominiów. Tick Raw stał na zboczu Lipper Bayak z zadartą głową i wył jak szaleniec; musiał chyba obudzić całe Vanaeph i poważnie zaniepokoić strażników przy bramach Patashoqua. Na Kwem Scopique gramolił się z krateru po Osi, na którego dnie odprawiał rytuał. W oczach miał łyzy radości. W Yzordderrex Athanasius klęczał przed bramą kesparatu Eurhetemeców. Dłonie zanurzył w wodzie ze źródła, które omywało mu twarz jak liżący pana pies. A kiedy Gentle zwolnił na granicy Pierwszego Dominium, znalazł Chickę Jackeena zapatrzonego w Wybiel - czekał, aż mur runie i odsłoni Pierwsze Dominium.

Ledwie jednak wyczuł obecność Gentle'a, rozejrzał się dookoła.

- Maestro, to ty?

Właśnie przy nim Gentle najbardziej chciał być w tej cudownej chwili, ale nie odważył się zatrzymać. Skryty za Wybielem Bóg mógłby podsłuchać ich rozmowę, Gentle zaś dobrze wiedział, że musiałby ostrzec Jackeena, który okazał mu tyle przywiązania. Wolał nie ryzykować. Pomknął naprzód, słysząc, jak Jackeen woła go znowu. Zanim młody maestro zdążył krzyknąć po raz trzeci, Gentle przeleciał przez Wybiel. Jeszcze nie ujrzał Pierwszego Dominium, gdy w uszach zabrzmiały mu słowa matki:

- Zawędrowała kiedyś do miasta grzechu i niegodziwości, w którym żaden duch nie był święty, a żadne ciało zdrowe.

Wreszcie zostawił Wybiel za sobą i zawisł w powietrzu na obrzeżach Miasta Boga.

Nic dziwnego, że Sartori został architektem, pomyślał. Miasto Boga - jego budowa zajęła zapewne wiele stuleci, ale stworzyła je istota, dla której stulecie trwało nie dłużej niż jeden oddech - mogło być natchnieniem dla całej rzeszy geniuszów. Rozpościerało się w trzech kierunkach od Wybielu. Ulice - szersze niż Droga Patashoquańska i idealnie proste - ciągnęły się aż po horyzont, a budynki były tak wysokie, że między nimi niebo ledwie prześwitywało. Gentle nie wiedział, czy po niebie krąży jakieś słońce, czy może satelita, ale miasto nie potrzebowało światła z góry; przez płyty chodników, cegły i kamienie domów biegły świetliste linie - i to w takiej ilości, że na ulicach i placach tworzyły się tylko najbłedsze z białych cieni.

Z początku sunął powoli, w każdej chwili spodziewając się spotkania z mieszkańcami, ale kiedy po przebyciu kilku skrzyżowań wciąż nikogo nie widział, zaczął się rozpędzać. Zwalniał tylko w takich momentach, gdy zdawało mu się, że dostrzega wśród zabudowań ślady życia. Nie był dość zręczny, by uchwycić konkretną twarz, nie chciał też nieproszony

pchać się do domów - parę razy miał jednak wrażenie, że poruszają się zasłony w oknach, jak gdyby jakiś wścibiśki, ale płochliwy obywatel cofał się od parapetu, zanim Gentle zdążył mu się przyjrzeć. Zresztą nie brakowało i innych oznak życia: dywany na trzepakach falowały jeszcze, jakby właściciele dopiero przed chwilą przestali je czyścić i uciekli z podwórek; z winorośli spadały liście, potrącone przez umykających w popłochu zbieraczy.

Wyglądało na to, że choć porusza się bardzo szybko (znacznie szybciej niż pojazdy, które znał), nie ma szans wygrać wyścigu z wieścią o własnym przybyciu, która zagoniła mieszkańców pod dachy. Nic po nich nie zostało - ani zapomniany zwierzak domowy, ani dziecko, żaden śmieć, żaden rysunek na murze. Wzorowi obywatele pędzili spokojne życie w zamkniętych domach, za zasłoniętymi oknami.

Widok opustoszałej metropolii mógłby być przygnębiający, gdyby nie same domy. Zbudowano je z materiałów o tak różnych barwach i fakturze, a przenikające je światło dodawało im tyle uroku, że - chociaż puste - zdawały się żyć własnym życiem. Budowniczy wyrzucili ze swojej palety brązy i szarości, chociaż najwyraźniej udało im się znaleźć kamień, bruk i cegłę we wszystkich wyobraźalnych barwach i odcieniach. Przemieszali je z odwagą, na jaką nie zdobyłby się żaden architekt z Piątego Dominium. Każda kolejna ulica pyszniła się niezwykłymi kolorami - liliowe i bursztynowe fasady domów, fioletowe kolumnady, place brukowane w szachownicę w odcieniach ochry i błękitu. Nie brakowało gryzącego szkarłatu i oślepiającej bieli, tu i ówdzie, rzadziej rozrzucone, migwały plamy czerni - pojedyncze płytki, cegły, fragmenty zaprawy.

Jednak nawet i to piękno musiało z czasem wyblaknąć. Kiedy Gentle poznał tysięczną taką ulicę (a wszystkie były równie pięknie wytyczone i równie odważnie kolorowe), zaczął mieć dość nadmiaru barw i kształtów. Dlatego ucieszył się, gdy w jednej z przecznicy zapłonęła błyskawica - domy na ułamek sekundy wyblakły w białym świetle. Skręcił w poszukiwaniu jej źródła i znalazł się na placu, na środku którego stał samotny nullianac. Z odrzuconą w tył głową słał pioruny prosto w niebo, ledwie widoczne z dna miejskiego kanionu. Gentle nie widział jeszcze istoty jego rodzaju, której błyskawice miałyby taką siłę. W tym mieście nullianaki niosły w głowach niszczycielską, prawdziwie boską moc.

Nullianac wyczuł obecność intruza, zaprzestał prób z błyskawicami i wzbił się w powietrze. Gentle nie wiedział, czy teraz stwór jest dla niego groźny. Skoro Hapexamendios uczynił z nullianaców swoją elitarną gwardię, mógł je obdarzyć różnymi mocami. Ale nie było sensu się wycofywać - musiał zapytać o drogę, bo inaczej w nieskończoność błąkałby się po mieście.

Nullianac był nagi, lecz nie sprawiał wrażenia ani zmysłowego, ani delikatnego. Ciało

miał prawie tak samo białe jak światło błyskawic, bez śladów narządów płciowych czy wydalniczych; nie miał włosów, sutków, pępka. Obracał się w miejscu, nie mogąc nigdzie dostrzec istoty, której obecność czuł. Być może, zwiększenie destrukcyjnej mocy przytępiło mu zmysły, bo namierzył Gentle'a dopiero w odległości kilku metrów.

- Szukałeś mnie? - zapytał Gentle.

Nullianac odwrócił się w jego stronę. Między dłońmi jego czaszki zapłonął łuk elektryczny. Z jego trzasków wyłoniło się jedno słowo:

- Maestro.

- Znasz mnie?

- Ależ oczywiście! - Zbliżając się do Gentle'a, nullianac kołysał głową na boki jak zahipnotyzowany wąż. - Po co tu przyszedłeś?

- Chcę się spotkać z moim Ojcem.

- Ach tak...

- Przybyłem oddać Mu cześć.

- Tak jak my wszyscy.

- Niewątpliwie. Możesz mnie do Niego zaprowadzić?

- On jest wszędzie - odparł nullianac. - To Jego miasto; jest tu w każdej drobinie materii.

- Czyli kiedy mówiąc, patrzę w ziemię, słyszy mnie, tak?

Nullianac się zawahał.

- W ziemię... nie. Nie mów do ziemi.

- A gdzie się mam zwrócić? Do ścian? Do nieba? A może do ciebie? Czy mój Ojciec jest także w tobie?

Błyskawice w głowie nullianaca wyraźnie się ożywiły.

- Nie. Nie przypuszczam...

- Czy w takim razie mógłbyś zaprowadzić mnie tam, gdzie naprawdę mógłbym oddać Mu cześć? Mamy mało czasu.

Ta uwaga chyba najbardziej trafiła nullianacowi do przekonania, bo skinął śmiercionośnym łbem.

- Zaprowadzę cię. - Wzleciał wyżej i odwrócił się tyłem do Gentle'a. - Ale masz rację, musimy się pospieszyć. Jego sprawa nie może czekać.

Jude z najwyższą niechęcią myślała o tym, że ma puścić Celestine samą na górę - wiedziała przecież, co tam zastanie - ale zdawała sobie sprawę, że jej obecność zniweczyłaby szansę, jaką mogło przynieść spotkanie Celestine z Sartorim. Została więc na parterze, nasłuchując (podobnie jak Clem, Monday i Hoi-Polloi), co dzieje się na piętrze. Pierwszym dźwiękiem, jaki usłyszeli, było warczenie gek-a-geków. Później rozległ się głos Sartoriego, który ostrzegał intruza, że ryzykuje życie, próbując wejść do pokoju. Celestine coś odpowiedziała, ale zniżyła głos niemal do szeptu i sens jej słów nie dotarł na parter. Jude miała wrażenie, że w ciszy upłynęło następne kilka minut. Czy na pewno? Może były to tylko sekundy ciągnące się niemiłosiernie w oczekiwaniu na nieunikniony tumult. Nie zastanawiając się dłużej, zdmuchnęła najbliższe świece i na palcach zaczęła wchodzić na górę.

Bała się, że anioły będą próbowały ją powstrzymać, ale zajęły się ciałem Gentle'a i nie przeszkodziły jej. W połowie schodów zorientowała się, że Celestine stoi jeszcze pod zamkniętymi drzwiami, ale gek-a-geki nie bronią jej już wstępu do pokoju; na rozkaz Sartoriego cofnęły się posłusznie, przypadły do ziemi i czekały na kolejny znak. Z miejsca, w którym się zatrzymała, Jude słyszała urywki rozmowy.

- ...to koniec, mamó - doleciał ją chrapliwy szept Sartoriego.

- Tak, moje dziecko. - Głos Celestine brzmiał kojąco, nie było w nim śladu potępienia.

- On wszystkich zabije...

- O tym też wiem.

- Musiałem przypilnować Mu kręgu... Tego właśnie chciał...

- A ty musiałeś Go posłuchać. Rozumiem cię, moje dziecko. Naprawdę. Ja też musiałam Mu służyć, prawda? To nie zbrodnia.

Po tych słowach przebaczenia szczęknięt zamek i drzwi wolno się otworzyły. Ze swojego punktu obserwacyjnego Jude widziała tylko belki stropowe w pokoju. Musiało padać na nie światło świecy albo poświata nici z In Ovo, która ciągnęła się za Sartorim na ulicy.

- Wejdiesz? - zapytał.

Przy otwartych drzwiach było go znacznie lepiej słychać.

- A chcesz, żeby weszła?

- Tak, mam, proszę. Chcę, żebyśmy razem doczekali końca.

Znajomy motyw, pomyślała Jude. Najwyraźniej nie robiło mu różnicy, na czyjej piersi złoży głowę, byle nie musiał umierać w samotności. Celestine nie wahała się dłużej, lecz bez słowa weszła do środka. Drzwi pozostały otwarte, gek-a-geki nie stanęły ponownie na straży. Celestine zniknęła. Jude miała ogromną ochotę wejść wyżej i zajrzeć do pokoju, ale bała się, że potwory Sartoriego wyczują jej obecność. Usiadła więc ostrożnie na stopniu w pół drogi między maestrem na piętrze i jego umierającym bratem na parterze. Siedziała wsłuchana w ciszę domu, ulicy i świata. Zaczęła układać w myślach modlitwę.

Bogini... To ja, Judith, twoja siostra. Naddciąga wielki ogień, bogini. Jest blisko. Boję się...

Sartori znów przemówił, ale tak cicho, że nawet przy otwartych drzwiach nie rozróżniła słów. Jego szloch wyrwał ją jednak z zamyślenia; straciła wątek pacierza.

Mniejsza z tym. I tak wyraziła wszystko, co czuła.

Wielki ogień jest blisko. Boję się...

Co jeszcze mogła dodać?

*

Szybkość, z jaką przemieszczali się Gentle z nullianakiem, nie sprawiła bynajmniej, że miasto nagle wydało się mniejsze. Przeciwnie - gdy mijały minuty, a oni przelatywali nad tysiącami sięgających horyzontu ulic i tysiącami wielobarwnych i niebotycznych budynków, rozmach tego dzieła coraz bardziej zakrawał na obłąd. Kuszące barwy, cudowne kształty i niezrównane detale wyciskały na mieście piętno zbiorowego szaleństwa, jakby powstało pod wpływem natrętnej wizji, która kazała architektowi w każdym wolnym skrawku dominium wystawić pomnik ku czci własnego bezmiar. Brak oznak życia na ulicach sprawił, że w głowie Gentle'a zrodziło się niejasne podejrzenie.

- Kto tu mieszka? - zapytał.

- Hapexamendios.

- Kto jeszcze?

- To Jego miasto - odparł nullianac.

- Nie ma innych mieszkańców?

- To Jego miasto.

Ta odpowiedź wszystko wyjaśniała. Miasto było bezludne. Drzenie liści i kołysanie zasłon powodowało jego pojawienie się w okolicy, albo - co bardziej prawdopodobne - stanowiły element złudzeń wymyślonych przez budowle, by wytrzymać stulecia bezczynności.

W końcu jednak, kiedy mieli za sobą nieprzeliczone mnóstwo identycznych ulic, coś zaczęło się zmieniać. Kolory gmachów stały się żywsze, jakby lada chwila miały popłynąć strumieniem z przesyconych nimi kamieni. Fasady, bardziej ozdobne, nabrały doskonalszych proporcji. Gentle zaczął się domyślać, że zbliżają się do źródła perfekcji, którego pozostałe ulice były tylko mniej wyrafinowanym odbiciem.

Nullianac odezwał się, potwierdzając jego przypuszczenia:

- Spodziewał się ciebie. Rozesłał moich braci na obrzeża miasta, żeby cię wypatrywali.

- Dużo was jest?

- Dużo. Ale o dwa mniej. - Nullianac odwrócił się do Gentle'a. - O tym chyba nie muszę ci przypominać. Ty ich zabiłeś.

- Bo inaczej oni zabiliby mnie.

- Przynajmniej mielibyśmy się czym pochwalić, nie uważasz? Zabić syna Boga - to jest coś!

Błyskawice zatrzęszczały w taki sposób, jakby nullianac się zaśmiał, ale chyba nawet dźwięk żałobnej kołatki brzmiałby weselej.

- Nie boisz się? - spytał Gentle.

- Czego miałbym się bać?

- Mój Ojciec może usłyszeć, co mówisz.

- Jestem Mu potrzebny. Poza tym nie przejmuję się tym, że mógłbym umrzeć... - Nullianac się zawahał. - Chociaż szkoda by było nie zobaczyć pożaru w dominiach.

Gentle nie zrozumiał.

- Urodziłem się po to, by wypalić dominia - tłumaczył nullianac - ale za długo czekałem na tę chwilę.

- To znaczy?

- Tysiące lat, maestro. Wiele tysięcy.

Myśl o tym, że jego przewodnik jest od niego wielokrotnie starszy, a w dodatku niecierpliwie wyczekuje bliskiej już zagłady Imajiki, kazała Gentle'owi zamilknąć. Zastanawiał się, czy nullianac długo jeszcze będzie musiał czekać. Jego poczucie czasu zawodziło, gdy nie mógł mierzyć chwil oddechem i biciem serca; nie miał pojęcia, czy opuścił swoje ciało dwie minuty temu, pięć, czy może dziesięć. Była to zresztą kwestia czysto akademicka: od momentu Pojednania Hapexamendios mógł wybrać dowolny moment do ataku i jedyną pocięchą stanowiła dla Gentle'a obecność nullianaca, który na pewno zostawi go samego, gdy Bóg wezwie gwardię do siebie.

Siatka ulic się zagaęciła. Nullianac zwolnił i opadł niżej, tuż nad powierzchnię gruntu.

Otoczające ich budynki były aż groteskowe w swej ozdobności - każdy skrawek fasady pokrywały delikatne zdobienia. Piękno ustąpiło miejsca obsesji; nadmiar ozdób wyglądał makabrycznie, przywodził na myśl wijące się, bezrozumne glisty. Podobna dekadencja zapanowała w świecie kolorów, które na przedmieściach wydały się Gentle'owi takie wyrafinowane. Subtelne różnice odcieni zniknęły bez śladu, każda barwa rywalizowała z wszechobecnym szkarłatem, lecz zamiast cieszyć wzrok, raziła go boleśnie. Ulice stały się też mniej świetliste niż przedtem. Wprawdzie w kamieniu wciąż połyskiwały świecące żyły, lecz rzeźbienia odbierały im blask i wszędzie dookoła zalegały głębokie cienie.

- Dalej nie mogę ci towarzyszyć, Pojednawco. Idź sam.

- Czy mam powiedzieć Ojcu, kto mnie znalazł? - spytał Gentle, licząc na to, że drobnym pochlebstwem wyciągnie z nullianaca jakąś użyteczną informację.

- Nie mam imienia. Jestem moim bratem, a on jest mną.

- Rozumiem... Cóż, szkoda.

- Jesteś dla mnie miły, Pojednawco. Odwdzięczę ci się tym samym.

- Słucham?

- Powiedz mi, które miejsce w dominiach mam zniszczyć w twoim imieniu, a dopilnuję, by tak się stało. Wybierz sobie jakieś miasto, kraj... Co tylko zechcesz.

- Dlaczego miałbym chcieć to robić?

- Bo jesteś synem Ojca. Chcesz tego samego co On.

Gentle się skrzywił.

- Więc nie? - spytał nullianac.

- Nie.

- W takim razie żaden z nas nie ma daru, który mógłby ofiarować drugiemu.

Nullianac odwrócił się, wzbił w powietrze i odleciał. Gentle nie musiał pytać go o drogę - mógł iść tylko dalej przed siebie, prosto w przytłoczone przepychem serce metropolii. Mógł, rzecz jasna, poruszać się z szybkością myśli, nie chciał jednak bez potrzeby drażnić Niewidzianego. Szedł więc jak zwykły przechodzień, przemykał wśród cieni pomiędzy budynkami, które groziły zawaleniem się od nadmiaru ozdób.

Tak jak wspaniałość przedmieść poddała się dekadenskiemu nieumiarkowaniu, tak i dekadencja ustąpiła przed patologią. Zmysły nie reagowały na nią zwykłym niesmakiem czy odrazą, lecz strachem. Fakt, że nadmiar piękna może doprowadzić do paniki, kompletnie zaskoczył Gentle'a. Kiedyż to wykształcił w sobie tak wyrafinowany gust? On, prymitywny fałszerz i sybaryta, który nie używał słowa „dość” i nie wiedział, co znaczy „za dużo”. Kim się stał, że widok Miasta Boga napawał jego ducha przerażeniem?

Nigdzie nie widział śladu samego architekta. Zamiast brnąć dalej w całkowity mrok, zatrzymał się i zawołał:

- Ojczy?

Jego głos nie miał tu wielkiej mocy, ale w ciszy niósł się daleko, z pewnością słyszano go we wszystkich domach w promieniu kilkunastu przecznic. Hapexamendios - o ile w ogóle znajdował się gdzieś w pobliżu - milczał.

- Ojczy! - powtórzył Gentle. - Chcę Cię zobaczyć!

Spojrzał w głąb zaciemnionej ulicy, wypatrując Niewidzianego. Nic się nie poruszało, panowała całkowita cisza, ale dzięki chwili koncentracji Gentle zaczynał rozumieć, że jego Ojciec - choć z pozoru nieobecny - jest przy nim: z lewej i z prawej, u dołu, pod stopami, i u góry, nad głową. Połyskujące fałdy nad oknami to jego skóra, kształtne łuki były jego kośćmi, szkarłatny, prześwietlony blaskiem chodnik - jego ciałem. Gentle widział rdzeń kręgowy i szpik kostny, zęby, rzęsy i paznokcie. Kiedy nullianac mówił o wszechobecności Hapexamendiosa, nie miał na myśli jego ducha. W Mieście Boga Bóg był całym miastem.

Tylko dwukrotnie w życiu Gentle czuł coś podobnego. Pierwszy raz w Yzordderrex, powszechnie nazywanym „bogiem miast”, które (co teraz widział) było mimowolną kopią arcydzieła Ojca, stworzoną przez Sartoriego. Drugi raz - gdy próbował przyswoić sobie Piąte Dominium jako ciąg podobieństw i zagarnąwszy Londyn zdał sobie sprawę, że każda część miasta, od kopuły katedry po najdrobniejszy kanał ściekowy, znajduje odzwierciedlenie w jego ciele.

Tutaj na własne oczy oglądał dowody tej teorii. Świadomość tego, zamiast dodać mu sił, jeszcze bardziej go przeraziła, nie mógł bowiem nie myśleć o tym, jak ogromne jest ciało Ojca. W drodze do Jego miasta przemierzył cały kontynent i nigdzie nie widział nic podobnego. Ciało Ojca niewyobrażalnie zwielokrotnione służyło za surowiec cieślom i murarzom Jego woli. A jednak... Czym właściwie było Miasto Boga, jeśli nie pułapką cielesności? Kim był architekt, jeśli nie jego więźniem?

- Ojczy... - westchnął Gentle.

Tym razem - może dlatego że przemówił z takim smutkiem - doczekał się odpowiedzi:

- Świetnie się spisałeś.

Monotonny ton był Gentle'owi znajomy. Tę samą ledwie uchwytną modulację miał głos, który przemówił do niego w cieniu pod Osią.

- Powiodło ci się tam, gdzie inni zawiedli - ciągnął Hapexamendios. - Zboczyli z wytyczonej drogi albo dali się ukrzyżować. Ty jednak, Pojednawco, wytrwałeś.

- Dla Ciebie, Ojczy.

- W nagrodę za wierną służbę czeka na ciebie miejsce u mego boku. W moim mieście i w moim sercu.

- Dziękuję - odparł Gentle, pełen obaw, że na tym szczodrym gościu rozmowa się zakończy.

Znaczyłoby to, że zawiódł matkę. Powiedz Mu, że chcesz zobaczyć Jego twarz, mówiła. Zajmij Go czymś. Schlebiaj Mu. Właśnie, pochlebstwo to doskonały pomysł!

- Chcę się od Ciebie uczyć, Ojczy. Chcę zabrać Twoją mądrość do Piątego Dominium.

- Zrobiłeś, co do ciebie należało, Pojednawco. Nie masz po co wracać do Piątego Dominium. Zostaniesz ze mną i będziesz podziwiał moje dzieło.

- Jakie dzieło?

- Wiesz jakie. Słyszałem, twą rozmowę z nullianakiem. Dlaczego udajesz, że mnie nie rozumiesz?

Gentle nie umiał zinterpretować subtelnej zmiany w głosie Hapexamendiosa - czy Ojciec naprawdę był ciekawy, czy też wściekły na syna, który próbuje Go oszukać?

- Nie śmiałem zgadywać Twoich planów, Ojczy - odparł Gentle, przeklinając się w duchu za popełnioną gafę. - Myślałem, że sam będziesz mi chciał o nich opowiedzieć.

- A po co miałbym ci mówić o czymś, co już wiesz? - Bóg nie dawał się łatwo przekonać. - Posiadłeś przecież wszelką niezbędną wiedzę...

- Jeszcze nie - wtrącił Gentle, dostrzegając dla siebie szansę.

- Powiem ci, co zechcesz. Czego ci brakuje?

- Twojej twarzy, Ojczy.

- Mojej twarzy?

- Pragnę ją zobaczyć.

- Widziałeś moje miasto - odparł Niewidziany. - To właśnie jest moja twarz.

- Nie masz innego oblicza, Ojczy? Naprawdę?

- A to ci nie wystarczy? Czy nie jest doskonałe? Czy nie błyszczy?

- Aż za bardzo, Ojczy. Jest dla mnie nazbyt wspaniałe.

- Jak coś może być nazbyt wspaniałe?

- Jestem po części człowiekiem, Ojczy. To, co we mnie ludzkie, jest słabe. Patrzę na Twoje miasto i drżę z podniecenia. To prawdziwe arcydzieło...

- Istotnie.

- Twój genialny.

- W rzeczy samej.

- Proszę Cię jednak, Ojczy, byś zesłał mi inną, prostszą wizję. Pokaż mi twarz, z której

moja twarz wzięła początek. Chcę poznać tę część mnie, która jest Tobą.

Rozległ się dźwięk do złudzenia przypominający westchnienie.

- Tobie może się to wydać śmieszne - nalegał Gentle - ale pokonałem tę drogę po to, by ujrzeć jedną, jedyną twarz. Umiłowane oblicze. - Słowa te były wystarczająco prawdziwe, by zabrzmiało w nich autentyczne uczucie; istotnie, u kresu podróży chciał zobaczyć ukochaną twarz. - Czy proszę o zbyt wiele?

Coś poruszyło się w półmroku. Gentle wyteżył wzrok. Czy otworzą się przed nim jakieś gigantyczne wrota? Lecz Hapexamendios powiedział:

- Odwróć się, Pojednawco.

- Mam odejść?

- Nie, po prostu nie patrz.

Prośba brzmiała paradoksalnie: odwróć wzrok, jeśli chcesz coś zobaczyć. Zanosilo się jednak na coś więcej niż zwykle objawienie bóstwa. Odkąd Gentle znalazł się w Pierwszym Dominium, pierwszy raz usłyszał dźwięk inny niż głos - ciche szelesty, stłumiony tupot, piski i buczenie dobiegały ze wszystkich stron. Wszędzie też zaczął się ruch, nieznaczny z początku, jakby monolityczne budowle miękły w oczach i pochylały się ku tajemnicy, do której on odwrócił się plecami. Stopień na schodach rozpękł się, ze środka wyciekł szpik; ściana pękła i ze szczeliny trysnął szkarłat, jakiego dotąd nie widział, płynął coraz żwawszą strużką, gdy kamienne płyty traciły kształty i poddawały się woli Niewidzianego. Balkon nad głową Gentle'a rozpadł się, uwalniając zęby; z parapetów odwinęły się zwoje jelit, pociągając za sobą całe płachty skóry.

Rozpad postępował coraz szybciej i Gentle mimo zakazu obejrzał się przez ramię. Cała ulica falowała, jedne kształty rozplływały się, inne zajmowały ich miejsce, jedne padały, inne powstawały. Chaotyczne przeobrażenia zdawały się prowadzić donikąd i Gentle chciał już odwrócić wzrok, gdy jedna ze ścian runęła wprost w serce wiru przemian i na mgnienie oka dostrzegł ukrytą za nią ludzką postać. Rozpoznał jej twarz i zachował ten obraz przed oczami, kiedy się odwrócił. Drugiej takiej twarzy nie było w całej Imajice - mimo że smutna i poraniona, nie miała sobie równych.

Pie żył. Czekał na niego w głębi ciała Ojca, był więźniem więźnia. Gentle z trudem pohamował instynkt, który mu kazał rzucić się w sam środek zamieszania i wydrzeć Ojcu mistyfa. Mógłby powiedzieć, że Pie jest jego mistrzem, odnowicielem, przyjacielem doskonałym. Powstrzymał się jednak; bał się, że doprowadziłby do katastrofy. Spojrzał jednak ponownie na skrecającą się w konwulsjach ulicę, wypatrując znajomego widoku.

Mistyf sprawiał wrażenie ciężko poranionego, ale i tak wyglądał lepiej, niż Gentle się

spodziewał. Być może, czerpał siłę z krainy, w której powstało miasto Hapexamendiosa - przecież w tym dominium jego rodacy ćwiczyli się w sztuce, zanim Bóg przybył i zbudował tę metropolię.

Jak miał przekonać Ojca, żeby oddał mu Pie? Jak błagać? Jak Mu schlebiać? Rozmyślał nad tym, gdy zamieszanie z wolna się uspokajało, aż wreszcie usłyszał głos Hapexamendiosa:

- Pojednawco?
- Tak, Ojczy?
- Chciałeś zobaczyć moją twarz.
- Tak, Ojczy.
- Odwróć się i patrz.

Gentle posłuchał. Ulica, na której stał, wciąż jeszcze przypominała arterię komunikacyjną - domy stały jak dawniej, miały drzwi i okna, lecz ich twórca zaczerpnął z nich znaczne fragmenty budulca, żeby na użytek Gentle'a odtworzyć swoje ciało. Miał, naturalnie, ludzką postać i w pierwszym wcieleniu nie był pewnie wiele większy od syna. Teraz jednak objawił się Gentle'owi jako postać trzykrotnie od niego wyższa, chwiejący się na nogach olbrzym, zrodzony z ulicy, którą ograbił z materii, ale i utrzymywany przez nią w równowadze.

Jak na tak wielkie rozmiary, stworzył się dość nieporadnie, jak gdyby zapomniał, co to znaczy „być całością”. Głowę miał ogromną; składały się na nią odłamki tysiąca czaszek wydarte ze ścian domów, tak jednak niezręcznie dopasowane, że drżący mózg, który miały osłaniać, wyzierał przez szpary. Jedną rękę miał Bóg potężną i długą, a przy tym zakończoną dłonią tylko trochę większą od dłoni Gentle'a; druga kończyna była karłowata, jakby uschnięta, za to jej palce miały po kilkanaście stawów. Tułów Hapexamendiosa był jedną wielką płataniną niedopasowanych elementów: płuca pulsowały w klatce o tysiącu żeber, serce tłukło się o delikatny mostek, który - zbyt słaby, żeby utrzymać je w piersi - już zaczynał pękać. Ale najdziwniej wyglądało jego zdeformowane krocze - nie zdołał uformować wyraźnego organu płciowego i spomiędzy nóg zwisały mu krwawe, bezużyteczne strzępy ciała.

- Czy teraz mnie widzisz? - zapytał Bóg. Jego głos, dotąd bezbarwny i monotony, brzmiał niczym chór, gdy dziesiątki potrzaskanych krtani próbowało formować słowa. - Czy jesteśmy... podobni?

Gentle wytrzeszczył z odrazą oczy, lecz musiał przyznać, że istotnie dostrzega podobieństwo. Nie umiałby go wskazać w kończynach, torsie czy w narządach płciowych, ale

nie miał wątpliwości, że jest do Ojca podobny. Zobaczył samego siebie w ruinie, która zastępowała Hapexamendiosowi twarz - może było to tylko odbicie odbicia odbicia, w dodatku w rozbitym lustrze, ale na pewno się nie mylił. Widok ten sprawił mu ogromny ból - nie dlatego, że rozumiał łączące ich pokrewieństwo, ale dlatego że nagle ich role zdawały się odwracać. Mimo okazałej postury, Bóg przybrał postać dziecka. Miał nieproporcjonalnie wielką, głowę jak u płodu, i nie do końca wykształcone kończyny. Był wprawdzie bardzo stary, ale nie umiał rozstać się ze swoim ciałem, podczas gdy Gentle, młody i naiwny, pogodził się z tym stanem.

- Dość już się napatrzyłeś, Pojednawco?

- Niezupełnie.

- O co ci jeszcze chodzi?

Gentle zdawał sobie sprawę, że musi przemówić właśnie teraz, zanim ciało Ojca rozpadnie się, a ściany zasklepią.

- Chcę tego, co jest w Tobie, Ojcie.

- We mnie?

- Mówię o Twoim więźniu, Ojcie. Chcę go odzyskać.

- Nie mam więźniów.

- Jestem Twoim synem, krwią z krwi, kością z kości. Dlaczego mnie okłamujesz?

Niezgrabna głowa się zatrzęsła. Serce biło coraz mocniej o pękniętą kość, ręce Boga podrygiwały niespokojnie.

- Nie chcesz, żebym się czegoś dowiedział. - Gentle ruszył w stronę zdeformowanego olbrzyma. - Twierdziłeś, że powiesz mi wszystko, co zechcę, w nagrodę za wierną służbę. Tymczasem coś przede mną ukrywasz.

- To nieprawda.

- W takim razie pozwól mi zobaczyć mistyfa. Pokaż mi Pie'oh'paha.

Ciało Boga zatrzęsło się, zadrżały stojące wokół niego mury. Ze szczelin tworzącej Jego czaszkę mozaiki trysnęło światło - to małe, wściekłe myśli wypalały powietrze pomiędzy fałd Jego mózgu. Gentle uświadomił sobie, że dziecinna postać, tak z pozoru delikatna, odzwierciedla tylko drobną cząstkę istoty Hapexamendiosa. Bóg był miastem wielkim jak cały świat. Jeżeli moc, która je stworzyła i ożywiała płynącą w kamieniach krwią, stałaby się siłą niszczycielską, nullianaki wyglądałyby przy niej jak niewinne baranki.

Powietrze nagle zgęstniało. Gentle przybył do miasta jako duch i wydawało mu się, że żadna przeszkoda go nie powstrzyma, tymczasem właśnie natknął się na barierę, której nie umiał pokonać. Mimo lęku, jakim napawała go moc Ojca, nie cofnął się; wiedział, że na tym

spotkanie by się zakończyło i Hapexamendios zająłby się swoim ostatnim dziełem, nie uwolniwszy więźnia.

- Gdzie jest mój szczerzy, posłuszny syn? Co się z nim stało?

- Stoi przed Tobą. Nadal chce Ci służyć, ale prosi, żebyś uczciwie go traktował.

W spękanej czaszce Boga zapłonął siny ogień; iskry strzeliły z jej szczytu w powietrze. Przenosiły obrazy, fragmenty myśli Boga. Pie był jedną z nich.

- A tobie nic do mistyfa - powiedział Hapexamendios. - Jest mój.

- Nie, Ojczy.

- Jest mój.

- Ożeniłem się z nim, Ojczy.

Wyładowania lekko przygasły, Bóg zmrużył oczy.

- Dzięki niemu przypomniałem sobie, kim jestem i co to znaczy być Pojednawcą. - mówił dalej Gentle. - Nie byłoby mnie tutaj... W ogóle nie mógłbym ci służyć, gdyby nie Pie'oh'pah.

- Może kiedyś i on kochał cię... - odparły połączone głosy. - Teraz jednak żądam, byś o nim zapomniał. Na zawsze.

- Dlaczego?

Hapexamendios odpowiedział mu tak samo, jak od wieków odpowiadają rodzice, których dzieci zadają zbyt wiele pytań:

- Bo ja tak mówię.

Ale Gentle nie dał się tak łatwo uciszyć.

- Co takiego wie mistyf, Ojczy?

- Nic.

- Wie, skąd pochodzi Nisi Nirvana? O to chodzi?

Ogień w głowie Niewidzianego zafalował gwałtownie. Bóg był wściekły.

- Kto ci o niej powiedział?

- Moja matka - odparł Gentle, uznając, że nie ma sensu kłamać.

Wszelki ruch w ciele Boga zamarł, nawet tłukące się o mostek serce znieruchomiło, tylko błyskawice nie gasły. Następne słowo wypłynęło nie z połączonych gardel, lecz wprost z ognia. Miało cztery sylaby - i śmiertelnoścą moc:

- Ce-les-ti-ne.

- Tak, Ojczy.

- Ona nie żyje - stwierdziły błyskawice.

- Żyje, Ojczy. Przed chwilą mnie tuliła do piersi. - Duch Gentle'a podniósł

przezroczystą rękę. - Trzymała moją dłoń, całowała moje palce. I prosiła...

- Nie chcę tego słyszeć!
- ...żebym ci przypomniał...
- Gdzie ona jest?
- ...o Nisi Nirvanie.
- Gdzie ona jest?! Gdzie?! Gdzie?!

Hapexamendios, do tej pory nieruchomy, zerwał się na nogi i wyrzucił ręce nad głowę, jakby chciał je skąpać w ogniu wyładowań.

- Gdzie ona jest?! - ryknął głosem ognia i dziesiątków gardeł. - Chcę ją zobaczyć!
Chcę ją zobaczyć!

*

Jude wstała ze schodów. Gek-a-geki zawarczały gardłowo; bały się. Odczołgały się od drzwi z brzuchami przy ziemi jak psy, które spodziewają się lania.

Spojrzała na parter. Anioły klęczały przy rannym maestrze, Monday i Hoi-Polloi cofnęli się od drzwi w krąg światła, jak gdyby mógł ich ochronić przed drzemiaczami w pobliżu mocami.

- Mamo... - wyszeptał Sartori.
- Tak, moje dziecko?
- On nas szuka, mammo.
- Wiem.
- Czujesz to?
- Tak, synku. Czuję.
- Przytul mnie, mammo. Przytul mocno.

*

- Gdzie?! - krzyczał Bóg. - Gdzie?!

W błyskawicach nad jego głową migwały fragmenty obrazów, które oglądał w wyobraźni. Meandrująca rzeka. Jakieś miasto - mniej doskonałe niż Jego metropolia, ale dzięki temu piękniejsze od niej. Znajomy dom. Gentle dostrzegł oko, które Monday namalował na drzwiach; gek-a-geki wybiły mu źrenicę. Widział własne ciało, pochylonego nad nim Clema, schody i idącą po schodach Jude.

I pokój na piętrze, a w nim krąg, w którym siedział jego brat. Ich matka klęczała na obrzeżu koła.

- Ce-les-ti-ne - powiedział Bóg. - Ce-les-ti-ne.

*

Wypowiedział to słowo Sartori, lecz mówił zupełnie obcym głosem. Jude, która znalazła się już u szczytu schodów, widziała, jak poruszył ustami. Twarz miał mokrą od łez i pozbawioną wyrazu. Nigdy nie widziała tak pustych rysów - był jak naczynie, które wypełnia obca dusza.

- Synku? - zaniepokoiła się Celestine.

- Odsuń się od niego - mruknęła Jude.

Celestine wstała.

- Źle się czujesz, moje dziecko?

Głos zabrzmiał ponownie - tym razem niósł wściekle zaprzeczenie:

- Nie jestem żadnym dzieckiem!

- Chciałeś, żebym cię utuliła. Pozwól mi to zrobić.

Sartori podniósł głowę i spojrzał na Celestine obcym wzrokiem.

- Nie zbliżaj się - ostrzegł ją.

- Chcę cię przytulić - odparła Celestine i zamiast cofnąć się, przekroczyła granicę kręgu.

Na podeście gek-a-geki szalały ze strachu, jak obłąkane waliły łbami w ściany. Z ust Sartoriego płynął potworny, rozpaczliwy głos, który powtarzał:

- Nie zbliżaj się. Nie zbliżaj się.

Celestine nie dała się łatwo zbyć. Ukłękła przed Sartorim, a kiedy się odezwała, mówiła nie do syna, lecz do Ojca - do Boga, który zabrał ją do miasta niegodziwości:

- Pozwól mi się dotknąć, najdroższy. Chcę Cię dotknąć, tak jak Ty mnie dotykałeś.

- Nie! - zawył Hapexamendios, ale ręce Jego syna nie były mu posłuszne i Sartori nie odepchnął matki.

Bóg krzyczał jeszcze, gdy Celestine objęła ich obu - ciało i zamieszkującego je ducha.

Niewidziany zaprotestował, lecz do uszu Jude zamiast słów doleciał nieartykułowany jęk, zarazem żalony i przerażający.

W Pierwszym Dominium Gentle patrzył, jak błyskawice nad głową Ojca skupiają się w oślepiającą kulę ognia, która wystrzeliła do przodu jak meteor.

Chicka Jackeen - w Drugim Dominium - widział, jak płomień rozświetlił Wybiel. Ukłękął na kamienistej ziemi. Ogień z pewnością oznaczał zwycięstwo.

Boginie w Yzordderrex lepiej orientowały się w sytuacji. Kiedy meteor przebił Wybiel i wpadł do Drugiego Dominium, woda wokół świątyni uspokoiła się, żeby nie ściągnąć na nie zagłady. Matki uciszyły dzieci, strumyki zamarły, jeziora przestały falować. Ogień nie był jednak przeznaczony dla nich; meteor przeleciał nad miastem, nie czyniąc nikomu krzywdy.

Tylko na chwilę przyćmił kometę.

*

Gentle odprowadził wzrokiem ognisty pocisk i odwrócił się do Ojca.

- Co zrobiłeś?

Uwaga Boga jeszcze przez chwilę była skupiona na Piątym Dominium, ale gdy Gentle powtórzył pytanie, Hapexamendios otrząsnął się i spojrział na niego.

- Posłałem mój ogień po tę dziwkę - odparł, znów przemawiając dziesiątkami gardeł.

- Dlaczego?

- Bo cię splugawiła... To przez nią pragniesz miłości.

- Czy to coś złego?

- Miłość jest słabością. Nie możesz na niej budować miast, nie możesz tworzyć arcydzieł.

- A co z Nisi Nirvaną? Czy ona też jest słabością?

Gentle uklęknął i przyłożył dłonie do chodnika. Gdyby miały w tym miejscu jakąkolwiek rzeczywistą moc, zaczęłyby rozgrzebywać ziemię. Jego duch nie potrafił jednak przeniknąć w jej głąb - ta sama siła, która nie pozwalała mu zbliżyć się do Ojca, broniła mu dostępu do podziemi Jego dominium. Mógł tylko zadawać pytania.

- Kto to powiedział, Ojczy? Kto powiedział „Nisi Nirvana”?

- Zapomnij, że kiedykolwiek słyszałeś te słowa. Dzwinka nie żyje. Wszystko skończone.

Gentle zacisnął pięści i zaczął bić nimi w ziemię.

- Nie ma tu niczego poza mną - mówiły połączone gardła. - Jestem wszędzie. Moje ciało jest światem, a świat jest moim ciałem...

*

Na Lipper Bayak Tick Raw zakończył już swój radosny taniec. Siedział na skraju kręgu, czekając, aż z domów wynurzą się pierwsi ciekawscy i zaczną o wszystko wypytywać, gdy ognista smuga przecięła niebo Czwartego Dominium. Podobnie jak Chicka Jackeen, Tick również przypuszczał, że widzi gwiazdę zwycięstwa. Wstał, żeby w ten sposób oddać jej cześć.

Niżej na zboczach Lipper Bayak ludzie również dostrzegli płomień nad szczytami Jokalaylau, a teraz cieszyli się jak dzieci, widząc pędzący po niebie meteor. Kiedy znalazł się w zenicie, w Vanaeph na chwilę zapanował dzień. Zaraz potem ogień rozświetlił Patashoqua i opuścił Czwarte Dominium, zagłębiwszy się we mgle, która z jednej strony podeszła pod miasto. Tam właśnie znajdowało się przejście z krainy zielonozłotych niebios do świata

błękitu.

*

W Clerkenwell utworzyły się dwa podobne obszary mgły - jeden na południowy wschód od Gamut Street, drugi bliżej jej północno-zachodniego krańca. Oba znaczyły nowo otwarte wrota do Pojednanych Dominiów. Nagle obłok na północnym zachodzie zapłonął oślepiającym światłem. Z Czwartego Dominium przybywała ognista kula.

W okolicy kręciło się trochę duchów, które - choć nieświadome znaczenia poświaty - wyczuły, że niesie zagrożenie i cofnęły się przed nią. Chciały uprzedzić mieszkańców domu, ale poruszały się zbyt wolno. Były w połowie drogi na Gamut Street, gdy obłok został rozdarty na pół i ogień Niewidzianego rozjaśnił pograżone w ciemności ulice Clerkenwell.

Monday porzucił ciepły krąg światła świec i wyszedł na próg; niedobitki sfory Sartoriego podniosły straszny jazgot, postanowił więc przepędzić je spod domu, gdy nagle noc zmieniła się w dzień.

Stojąca na schodach Jude patrzyła, jak Celestine całuje syna w usta, a potem - z siłą, której nikt by się po niej nie spodziewał - bierze go na ręce i wyrzuca z kręgu. Ocknął się i próbował wstać. Nie zdążył już wrócić do kręgu. Ogień był szybszy.

Okno rozbryznęło się w migotliwą chmurę odłamków i płomienie wypełniły pokój. Gorący podmuch przewrócił Jude, ale ujrzała jeszcze, że Sartori zasłania twarz dłońmi, jakby chciał ukryć się przed zagładą, a Celestine rozkłada szeroko ramiona, z radością witając ognisty pocisk. Spłonęła w mgnieniu oka, ogień jednak wydawał się nienasycony i pochłonałby dom aż do fundamentów, gdyby nie miał takiego rozpędu - przeleciał przez pokój, zburzył ścianę naprzeciw okna i pomknął w stronę drugiego obłoku mgły, który tej nocy pojawił się w Clerkenwell.

- Co to było, do ciężkiej cholery?! - zawołał z dołu Monday.

- Bóg - odparła Jude. - Wpadł do nas na chwilę.

*

W Pierwszym Dominium Hapexamendios przekrzywił zniekształconą głowę. Nie potrzebował osadzonej w spękanej czaszce maszynerii, żeby widzieć, co się dzieje w Jego dominium (miał oczy dosłownie wszędzie), ale odruchowo, jakby poruszony wspomnieniem prawdziwego ciała, które miał kiedyś, obrócił się - najlepiej jak potrafił - i spojrzął za siebie.

- Co to jest? - zapytał.

Gentle nie widział jeszcze ognistej kuli, ale czuł, że jest coraz bliżej.

- Co to jest?! - powtórzył Hapexamendios.

Nie czekając na odpowiedź, zaczął pospiesznie demontować swoją podobiznę. Gentle

obawiał się tej chwili - chociaż zarazem niecierpliwie jej wyczekiwał. Bał się, gdyż wiedział, że ciało, z którego wystrzelił ogień, będzie jego celem ostatecznym; gdyby rozsypało się zbyt szybko, ognista kula nie miałaby w co uderzyć. Czekał zaś, gdyż tylko po rozpadzie ciała mógł mieć nadzieję na znalezienie Pie. Bariera oddzielająca go od Ojca zmiękła, gdy Hapexamendios zajął się rozplataniem swych członków. Gentle'owi na razie nie udało się drugi raz dostrzec mistyfa. Skoncentrował się na wniknięciu w ciało Boga, lecz Bóg, chociaż nie mógł mu poświęcić całej swej uwagi, stawiał zdecydowany opór. Gentle dostał się w szpony potężnej siły.

- Co to jest? - zapytał Hapexamendios po raz trzeci.

Chcąc zyskać choćby kilka bezcennych sekund, Gentle odpowiedział zgodnie z prawdą:

- Imajica tworzy krąg.

- Krąg?

- To twój ogień, Ojcze. Wraca tu.

Hapexamendios nie tracił czasu na zbędne słowa. Natychmiast zrozumiał, co znaczy odpowiedź Gentle'a, uwolnił go z uścisku i skupił się całkowicie na rozpadzie ciała.

Niezdarna postać nikła w oczach i w końcu Gentle dostrzegł Pie gdzieś w jej wnętrzu. Tym razem mistyf również go zobaczył. Młócił wątlymi ramionami, próbując przedrzeć się przez wir szczątków, ale zanim Gentle zdołał wyrwać go z więzienia, ziemia rozstała się mistyfowi pod nogami. Wyciągnął jeszcze ręce, szukając jakiegoś oparcia w ciele Boga, lecz za szybko się rozpadało. W ziemi ziała podobna do grobu dziura. Pie posłał ukochanemu ostatnie rozpaczliwe spojrzenie i zniknął mu z oczu.

Gentle zawył z bólu. Zagłuszył go podobny skowyt, dobywający się z ust Ojca, który też krzyczał - bardziej jednak z wściekłości niż ze smutku. Drżał cały i miotał się, próbując przyspieszyć proces dekompozycji.

Ogień znajdował się tuż za Jego plecami. Gentle miał wrażenie, że w płomieniach widzi twarz matki, jakby uformowaną z popiołu. Z szeroko otwartymi ustami i oczami przybyła spotkać się z Bogiem, który zgwałcił ją, odrzucił, a teraz zamordował. Przelotna wizja zniknęła i ogień dopadł swego stwórcy, wydając na niego wyrok.

Duch Gentle'a z szybkością myśli odskoczył na bezpieczną odległość; Hapexamendios (świat był jego ciałem, jego ciało - całym światem) nie miał szans uciec. Niekształtna głowa eksplodowała, ogień pochłoniął rozpryskujące się odłamki, wypalił serce i wnętrzności, rozpostarł się na niesymetryczne kończyny i pożarł je aż po czubki palców.

Skutek zagłady Boga natychmiast dał się odczuć w całym mieście. Wszystkie ulice od

jednego końca dominium do drugiego zatrzęsły się, gdy z epicentrum rozeszły się fale zniszczeń. To, że Gentle nie musiał bać się o własną skórę, nie sprawiło bynajmniej, że ze spokojem przyglądał się katastrofie. Patrzył na śmierć swojego Ojca i nie miał powodów do radości i satysfakcji, gdy ten, który go spłodził, chwiał się na nogach i krwawił. Wyniosłe wieże waliły się w gruzy, sypiąc rokokowym deszczem odłamków; łuki triumfalne nie przypominały już kamiennych budowli, lecz padały na ziemię jak zwykle kawałki ciała; ulice falowały i zmieniały się w żywe mięso; domy zrzucały kościane dachy. Mimo postępującego spustoszenia Gentle nie ruszył się z miejsca, w którym ogień pochłoniął jego Ojca; wciąż liczył na to, że gdzieś w tym chaosie odnajdzie Pie'oh'paha. Wyglądało jednak na to, że ostatnim świadomym wysiłkiem Hapexamendios postanowił na zawsze rozdzielić kochanków: otworzył ziemię i pogrzebał w niej mistyfa jak w grobie. Dopilnował, żeby Gentle nie miał szans go znaleźć.

Pojednawca odszedł z umierającego Miasta Boga. Nie wrócił jednak okreśną drogą przez wszystkie dominia, lecz pomknął w kierunku, z którego przybyła ognista kula. Lecąc, coraz lepiej zdawał sobie sprawę, jak wielka jest skala zjawiska, które obserwował. Gdyby wszystkie istoty, które dokonały żywota na Ziemi, trafiały tutaj, do Pierwszego Dominium, połączona materia ich ciał nigdy nie dorównałaby ogromowi Miasta Boga. Poza tym tutaj zwłoki nie gniły w glebie, by dać życie nowym pokoleniom - same stawały się glebą, same były życiem. Kiedy zaś tego życia zabraknie, zostanie tylko zepsute mięso, zgnilizna na zgniliznie - dominium brudu zanieczyszczone po wszystkie czasy.

Gentle wpadł w obłok mgły, który oddzielał miasto od Piątego Dominium - i z ulgą wynurzył się z niego na spokojnych uliczkach Clerkenwell. Wyglądały ponuro, zwłaszcza po wspaniałościach metropolii, z której przybywał. Wiedział jednak, że w powietrzu unosi się słodki zapach letnich liści (choć w swojej obecnej postaci nie mógł go poczuć) i że z High Holborn lub z Gray's Inn Road dobiega miły dla ucha warkot silnika samochodu - widocznie jakiś łebski facet, wiedząc, że najgorsze minęło, wracał do swoich zajęć, chociaż wątpliwe było, żeby o tak wczesnej porze zaczynał jakąś legalną pracę. Gentle w każdym razie życzył mu jak najlepiej, nawet jeśli gość był bandziorem.

Dominium zostało ocalone i dla złodziei, i dla świętych.

*

Jude nie czekała, aż dym się rozwieje, lecz od razu weszła do pokoju. Zlekceważyła ostrzegawcze wołanie Clema i zniknęła w mroku, szukając Sartoriego. Gek-a-geki padły, ich zwłoki dygotały jeszcze na progu. Ogień ich nie dosięgnął, ale musiały umrzeć, gdy zabrakło utrzymującej je przy życiu mocy ich pana. Sartoriego znalazła bez trudu, leżał tam, gdzie

pchnęła go Celestine, obrócony w stronę kręgu.

Ogień, który przyniósł śmierć jego matce, poparzył całe jego ciało. Spopielone ubranie wtopiło się w pokryte pęcherzami plecy, włosy spłonęły, twarz żywcem się upiekła, a jednak Sartori - podobnie jak jego leżący przy schodach brat - uparcie nie chciał się rozstać z życiem. Drapał palcami po deskach, poruszał ustami, odsłaniając białe zęby w trupim uśmiechu. Nawet w jego mięśniach drzemały jeszcze resztki energii; kiedy jego nabiegłe krwią oczy spoczęły na Jude, spróbował dźwignąć się z podłogi, ale przetoczył się tylko na plecy. Ból musiał dodać mu sił, bo złapał Jude za rękę i przyciągnął ją do siebie.

- Moja matka...

- Odeszła.

Jego twarz wyrażała zdumienie

- Dlaczego? - Zadygotał. - Ona chyba tego... chciała. Dlaczego?

- Żeby być przy tym, jak ogień pochłonie Hapexamendiosa - odparła Jude.

Sartori pokręcił głową.

- Jak... to... możliwe?

- Imajica tworzy zamknięty krąg - wyjaśniła Jude, a widząc, że nadal jej nie rozumie, dodała: - Ogień wrócił do tego, kto go przysłał.

Nareszcie dotarł do niego sens jej słów.

- Nie ma Go już?

Jude miała ochotę odpowiedzieć: „Mam nadzieję”, lecz tylko skinęła potakująco głową.

- Mojej matki też? - Drgawki osłabły, ale i jego głos ścichł. - Zostałem sam...

Ogarnął go bezgraniczny smutek. Jude bała się, że nawet najdelikatniejszą pieśczętą zrobi mu krzywdę, ale zarazem wyglądało na to, że odmawiając mu pociechy, rani go jeszcze bardziej. Delikatnie oparła dłoń na jego dłoni.

- Nie sam - powiedziała. - Jestem przy tobie.

Nie zareagował, może nawet w ogóle jej nie słyszał. Myślami był gdzie indziej.

- Nie powinienem był robić mu krzywdy - szepnął. - Nie można krzywdzić własnego brata.

Ledwie jego słowa przebrzmiały, z dołu schodów dobiegł cichy jęk, a zaraz po nim radosny okrzyk Clema i wrzask Mondaya:

- Szefie, och, szefie! Szefie!

- Słyszysz? - spytała Jude.

- Tak...

- Chyba jednak go nie zabiłeś.

Usta Sartoriego drgnęły w dziwnym tiku, który dopiero po chwili zinterpretowała jako namiastkę uśmiechu. Myślała, że cieszy się z tego, że Gentle przeżył, ale nie o to mu chodziło.

- Mnie to już nie pomoże - stwierdził.

Z całej siły zacisnął trzymaną na brzuchu dłoń. Zadrżał spazmatycznie, a gdy krew wystąpiła mu na usta, podniósł rękę do twarzy, jakby próbował się zasłonić. Splunął na dłoń i wyciągnął ją do Jude.

- Weź je - powiedział i otworzył pięść.

Poczuła, że coś wpadło jej w dłoń. Nie spuściła jednak wzroku, lecz patrzyła na jego twarz, dopóki nie odwrócił się w stronę kręgu. Zdała sobie sprawę, że patrzył na nią ostatni raz w życiu, próbowała go jeszcze zawołać, wymówiła jego imię, powiedziała, że go kocha, że nigdy nie chciała się z nim rozstać i że zawsze już będą razem, jeśli teraz z nią zostanie. Na próżno. Znalazłszy krąg, jego oczy zgasły. Umierając, nie patrzył na nią, lecz na łono, z którego przyszedł na świat.

Na dłoni Jude leżało zakrwawione niebieskie jajo.

Upłynęło sporo czasu, zanim wstała z klęczek i wyszła na schody. Ciało Gentle'a zniknęło. W blasku świec widziała tylko Clema, który uśmiechał się od ucha do ucha i płakał ze szczęścia. Słyszając jej kroki, podniósł wzrok.

- Co z Sartorim? - zapytał.

- Nie żyje.

- A Celestine?

- Odeszła.

- Ale to już koniec, prawda? - odezwała się Hoi-Polloi. - Przeżyliśmy.

- Tak?

- Tak - stwierdził Clem. - Gentle widział, jak Hapexamendios został unicestwiony.

- A gdzie on się podział?

- Wyszedł. Ma dość sił...

- Na jeszcze jedno życie?

- Na dwadzieścia, farciarz jeden - odparł Tay.

Jude objęła obu stróżów Gentle'a, przytuliła ich i wyszła przed dom. Gentle stał na ulicy, opatulony jednym z prześcieradeł Celestine, wsparty na ramieniu Mondaya. Patrzył na drzewo przy domu z numerem dwudziestym ósmym. Ogień Hapexamendiosa spalił większość liści, pozostawiając nagie, osmalone gałęzie. Lekki wietrzyk poruszał listkami,

które ocalały. Po tak długim okresie bezruchu najłżejszy wiatr był prawdziwym wybawieniem, ostatecznym dowodem, że Imajica wyszła cało z kłopotów i na nowo nabierała oddechu.

Jude nie wiedziała, czy powinna do niego podejść; może chciał tę chwilę zadumy mieć tylko dla siebie. Wkrótce jednak zbłądził wzrokiem w jej stronę i choć przyświecały im tylko gwiazdy i dogasające płomyki na gałązkach, jego uśmiech prezentował się jak zwykle olśniewająco i zachęcająco. Kiedy zesza ze stopni, przekonała się, że uśmiech Gentle'a jest w istocie wąty, a rany głębsze od powierzchownych cięć.

- Przegrałem - powiedział Gentle.

- Imajica została zjednoczona - odparła. - To nie porażka.

Odwrócił wzrok i spojrzał w ciemność, gdzie poruszały się niewyraźne kształty.

- Duchy wciąż tu są. Obiecałem im, że znajdę dla nich wyjście z tego świata. Po to wyruszyłem z Pie w podróż, chciałem wskazać Taylorowi drogę... Zawiodłem.

- Może nie ma żadnej drogi - wtrącił się ktoś trzeci.

Clem stanął w drzwiach, ale głos należał do Taya.

- Obiecałem ci odpowiedź - rzucił smutno Gentle.

- Znalazłeś ją. Imajica jest kołem, z którego nie ma wyjścia. Krążymy w nim bez końca, a to wcale nie takie złe. Cieszymy się z tego, co mamy.

Gentle zdjął rękę z ramienia Mondaya i odwrócił się plecami do drzewa, Jude i stojących na progu aniołów. Kiedy ze schyloną głową odkuśtykał na środek jezdni, odpowiedział Tayowi głosem tak cichym, że tylko anioł mógł go usłyszeć:

- To nie wystarczy.

ROZDZIAŁ 61

1

Można powiedzieć, że dni, które nastąpiły po letnim przesileniu, były dla mieszkańców domu przy Gamut Street równie niezwykle jak wszystko, co wydarzyło się przedtem. Świat, który wszędzie dookoła wracał do życia, najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy, że tamtej nocy jego istnienie zawisło na włosku. Jeśli wyczuwał w sobie jakieś zmiany, doskonale się maskował. Tropikalne upały ustąpiły bez śladu; nowy dzień przywitał ich słońcem bladym - jak na angielskie lato przystało - i kapuśniaczkami, stając się wzorem dla ludzkich zachowań w nadchodzących tygodniach. Irracjonalne wybuchy gniewu, które z każdego skrzyżowania potrafiły uczynić miniaturowe pole bitwy, szybko się skończyły. Nie spotykało się już wpatrzonych w gwiazdy, lunatykujących zjaw, które widzieli Monday i Jude.

W innym niż Londyn mieście zmiany szybko by zostały odkryte - ku ogólnej radości mieszkańców. Gdyby mgła, która zaległa nad Clerkenwell, pojawiła się w Rzymie, najdalej po tygodniu Watykan wydałby oficjalny komunikat w jej sprawie; gdyby zauważono ją w Mexico City, miejscowa biedota, stęskniona za lepszym życiem w innym świecie, błyskawicznie by się nią zainteresowała. Ale w Anglii... Ach, Anglia! Nigdy nie miała szczęścia do mistyków, a kiedy Tabula Rasa wymordowała prawie wszystkich znaczących wywoławców i mistrzów sztuki, nie został nikt, kto podjąłby się uwolnienia umysłów spętanych dogmatami i codziennością.

Nie znaczy to jednak, że pojawienie się mgły przeszło całkowicie bez echa. Londyńskie zwierzęta szybko się zorientowały, co się święci, i tłumnie przybywały do Clerkenwell. Bezpańskie psy, które królowały w okolicach Gamut Street przed przybyciem sfory Sartoriego, wróciły, węsząc w powietrzu nieziemskie wonie. Zjawiły się również koty. Miauczały głośno, kryjąc się po gałęziach - wścibskie, ale ostrożne. W ciągu trzech pierwszych dni po przesileniu pszczoły i ptaki dwukrotnie zgromadziły się na Gamut Street w podobnie oszalamiającej liczbie, jak wcześniej wokół Azylu. Wszystkie te stada, sfory i roje rozprasały się wkrótce, odkrywając źródło nęcących je zapachów - przenikały do nowego dominium, żeby żyć pod innym niebem.

*

Żadne dwunogi nie zapuszczały się do Czwartego Dominium, lecz ruch w drugą stronę rozpoczął się szybko. Od Pojednania minął nieco ponad tydzień, gdy na progu domu pod numerem dwudziestym ósmym stanął Tick Raw. Przedstawił się Clemowi i Mondayowi i zapytał o maestra. Dom przy Gamut Street z pewnością prezentował się bardziej komfortowo niż jego chata pod Vanaeph - zdobyte przez Mondaya i Clema łupy bardzo mu w tym pomagały - ale wrażenie przytulności było dość powierzchowne. Gek-a-geki zostały pochowane razem z ich panem w grobie na Shiverick Square; domownicy naprawili drzwi frontowe, zmyli krwawe plamy ze schodków, wyszorowali podłogę w pokoju medytacyjnym; tworzące krąg kamienie, zapakowane oddzielnie w płótno, trafiły pod klucz. Jednak wspomnienia gwałtownych zgonów, czułych chwil, objawień i spotkań po latach nie dało się zatrzeć.

- Tworzycie historię - powiedział Tick Raw, sadwiąc się przy łóżku Gentle'a.

Pojednawca wracał do zdrowia. Przesypiał po dwadzieścia - i więcej - godzin na dobę, a kiedy nie spał, prawie nie ruszał się z łóżka.

- Napatrzyłeś się na różne wojny, przyjacielu, co? - dodał Tick.

- Więcej niżbym chciał.

- Wyczuwam smród In Ovo.

- To gek-a-geki. Ale nie przejmuj się, nie żyją.

- Wdarły się tu podczas ceremonii?

- Nie, to skomplikowana historia. Spytaj Clema; wszystko ci opowie.

- Nie chcę urazić twoich przyjaciół... - Tick Raw wyjął z kieszeni słoik ogórków i parówkę. - Wolałbym jednak usłyszeć to od ciebie.

- Za dużo już o tej sprawie myślałem i nie chcę do niej wracać.

- Przecież wygraliśmy! Nie należałoby trochę poświątować?

- Świątujcie sobie z Clemem. Ja muszę się wyspać.

- Jak chcesz, przyjacielu, jak chcesz. - Tick Raw wycofał się pod drzwi. - Ach, tak się zastanawiałem... Mógłbym się tu zatrzymać na parę dni? Całe Vanaeph chciałoby zobaczyć Piąte Dominium, zaofiarowałem się, że będę przewodnikiem. Sęk w tym, że sam jeszcze za dobrze go nie znam...

- Czuj się jak u siebie w domu. I wybac mi mój nędzny występ w roli gospodarza.

- Nie musisz mnie przeproszać. Śpij.

Wieczorem Tick wypytał Mondaya i Clema, którzy zrelacjonowali mu ostatnie wydarzenia.

- Kiedy poznam czarującą Judith? - zapytał.

- Nie jestem pewien, czy w ogóle poznasz - przyznał Clem. - Od pogrzebu Sartoriego nie pojawiła się w tym domu.

- Gdzie teraz jest?

- Nie mam pojęcia, ale jest z nią Hoi-Polloi - wtrącił Monday. - Takie już moje zasmarkane szczęście.

- Dobra, posłuchaj mnie - powiedział Tick Raw. - Zawsze umiałem postępować z damami. Pokaż mi miasto, ale tak porządnie, a ja zapoznam cię z paroma ciekawymi kobietami.

Monday wyciągnął rękę z kieszeni (gładził się po oburzoną nieobecnością Hoi-Polloi członku) i złapał dłoń, której Tick Raw nie zdążył jeszcze wyciągnąć do uścisku.

- Porządny z ciebie gość. Wycieczkę po Londynie masz jak w banku.

Tick Raw zwrócił się do Clema:

- A co z Gentle'em? Może marnieje z braku damskiego towarzystwa?

- Po prostu jest zmęczony. Niedługo wydobrzeje.

- Nie byłbym taki pewien. Wygląda jak ktoś, kto wolałby nie żyć.

- Nie mów tak.

- Dobrze, nic nie mówiłem. Ale to fakt. Wszyscy to wiemy.

*

Ożywienie, jakie Tick Raw wniósł w życie domu, tylko podkreślało prawdziwość jego słów. Dni mijały, łączyły się w tygodnie, a Gentle nadal nie wstawał z łóżka. Marniał, jak to powiedział Tick, w oczach i Clem musiał przyznać, że zaczyna się czuć podobnie jak w ostatnim okresie życia Taylora - znowu ktoś kochany odchodzi ze świata, a on jest całkowicie bezradny. Tym razem nie mógł liczyć na miłe chwile, jakie spędzał z Taylorem, snując wspomnienia lepszych czasów, bo Gentle nie życzył sobie fałszywego pocieszenia, zabawy, współczucia. Bładł z dnia na dzień, coraz bardziej upodabniając się do pościeli, w której leżał. Czasem anioły słyszały, jak mówi przez sen dziwnymi językami, tak jak kiedyś przy Tayu, lecz mówił od rzeczy; jego umysł błąkał się po obcych krainach bez celu i mapy.

Tick Raw został z nimi przez miesiąc. Wychodził z Mondayem o świcie, wracał w nocy, poznawszy nowe oblicza miasta i nabrawszy apetytu na nowe, nieznane dominium. Wszystko go zachwycało, wszystkim potrafił się cieszyć. Odkrył w sobie zamiłowanie do pasztecików z węgorka i muzyki Elgara; uwielbiał niedzielne południa w Speaker's Corner i nocne spacerowanie śladami Kuby Rozpruwacza; pokochał wyścigi psów, jazz, kamizelki z Savile Row i kobiety urzędujące na tyłach dworca King's Cross. Jeśli chodzi o Mondaya, to widać

było, że znajduje pocieszenie po stracie Hoi-Polloi. Kiedy Tick Raw oznajmił, że musi wracać do Czwartego Dominium, chłopak był zrozpaczony.

- Nie martw się - pocieszył go Tick. - Wrócę. I to nie sam.

Zanim ruszył w drogę, zajął jeszcze do Gentle'a.

- Chodź ze mną do Czwartego Dominium - zaproponował. - Najwyższy czas, żebyś zobaczył Patashoqua.

Gentle pokręcił głową.

- Nie widziałeś przecież Merrow Ti' Ti'!

- Wiem, co ci chodzi po głowie, Ticku. I naprawdę jestem ci za to wdzięczny, ale nie chcę więcej widzieć Czwartego Dominium.

- A czy jest coś, co dla odmiany chciałbyś zobaczyć?

Odpowiedź Gentle'a była prosta:

- Nie.

- Daj spokój, Gentle! Nudny jesteś. Zachowujesz się tak, jakby wszystko było stracone, a to nieprawda!

- Dla mnie jest.

- Ona jeszcze wróci, zobaczysz.

- Kto?

- Judith.

Gentle omal nie parsknął śmiechem.

- Nie ją straciłem.

Nagle Tick Raw zrozumiał swój błąd - i zamurowało go jak nigdy w życiu.

- Aha... - stęknął bezradnie.

Po raz pierwszy, odkąd Tick miesiąc wcześniej zjawił się przy jego łóżku, Gentle spojrzął na niego z żarem w oczach.

- Powiem ci coś, czego nikomu nie mówiłem - rzekł.

- Słucham...

- Kiedy byłem w mieście mojego Ojca... - Gentle zawahał się, jakby już zabrakło mu przekonania, że powinien kontynuować. Po chwili jednak dokończył: - Widziałem Pie'oh'paha.

- Żywego?

- Z początku tak.

- Jezu! Jak zginął?

- Ziemia się pod nim rozstała.

- To straszne, naprawdę straszne.

- Rozumiesz teraz, czemu dla mnie to nie jest zwycięstwo?

- Tak, Gentle, rozumiem, ale...

- Przestań, Ticku. Nic mi już nie tłumacz.

- ...tyle rzeczy się zmieniło! Może w Pierwszym Dominium też zdarzają się cuda, tak jak w Yzordderrex! Nie można tego wykluczyć.

Gentle zmrużył oczy. Uważnie obserwował swojego gościa.

- Nie zapominaj, że Eurhetemecowie przybyli do Pierwszego Dominium na długo przed Hapexamendiose - ciągnął Tick. - I umieli wtedy czynić cuda. Może te czasy wróciły? Ziemia nigdy nie zapomina. Ludzie tak, maestrowie też, ale ziemia? Nigdy. - Wstał. - Chodź, przekonamy się. Co masz do stracenia? Jeżeli nogi nie będą cię słuchać, zaniosę cię na własnych plecach.

- Nie będziesz musiał. - Gentle odrzucił koc i wstał z łóżka.

*

Sierpień jeszcze się wprawdzie nie zaczął, ale poprzednie miesiące były tak intensywne, że lato przedwcześnie się wypaliło. Kiedy Gentle wyszedł z Clemem i Tickiem Raw na Gamut Street, na progu powitał go pierwszy jesienny chłód. Już w dwa dni po Pojednaniu Clem odkrył obłok mgły, który skrywał przejście do Pierwszego Dominium, ale nie próbował się do niego dostać. Tyle się nasłuchiwał o Mieście Niewidzianego, że wcale nie miał ochoty oglądać jego potworności. Chętnie jednak odprowadził maistrów do przejścia. Znajdowało się niespełna kilometr od domu, ukryte na tyłach opuszczonego biurowca. Wał szarej mgły, dwa razy wyższy od człowieka, falował i burzył się w kącie zapomnianego podwórka.

- Pójdziemy przodem - zaproponował Clem. - Przecież jesteśmy twoimi aniołami stróżami.

- I tak zrobiliście już więcej, niż do was należało - odparł Gentle. - Zostańcie tutaj, to nie potrwa długo.

Clem nie upierał się przy swoim, lecz odsunął na bok i przepuścił maistrów. Tick Raw i Gentle zagłębili się we mgłę. Gentle, który już wielokrotnie pokonywał granice między dominiami, przyzwyczał się do towarzyszącej przejściu krótkotrwałej dezorientacji, ale nic - nawet krwawe koszmary, które dręczyły go po Pojednaniu - nie przygotowało go na makabryczny widok, jaki roztoczył się przed nimi po drugiej stronie. Tick Raw jak zwykle zareagował błyskawicznie - zwymiotował, gdy tylko z mgły powiało zgnilizną, i chociaż nie zawrócił w miejscu (nie chciał zostawić Gentle'a samego), wystarczyło mu jedno spojrzenie.

Zakrył oczy rękoma.

Całe dominium, aż po widnokrąg, gniło; ze wszystkich stron otaczały ich morza i góry rozkładającej się materii. Na niebie, które poprzednio umknęło uwagi Gentle'a, dwa żółtawe księżycy wyzierały zza chmur barwy starych sińców. Oświeślały krajobraz tak potworny, że chyba najgorszy padlinożerca z Kwem wolałby umrzeć z głodu, niż pożywić się mięsem z Miasta Boga.

- To było Miasto Boga - powiedział Gentle. - To był mój Ojciec. To był Niewidziany, Ticku! - Rozwścieczony dopadł do Ticka Raw, złapał go za ręce i oderwał mu je od twarzy. - Patrz, do cholery, patrz! Powtórz mi to, co mówiłeś o cudach! Mów, Ticku! Mów! Mów!

*

Kiedy znów wynurzyli się z mgły, Tick nie wrócił z Gentle'em do domu, lecz wymruczawszy krótkie przeprosiny, zniknął w mroku. Tłumaczył się, że musi mieć chwilę na dojście do siebie. Obiecał, że wróci, gdy tylko trochę się pozbiera.

Istotnie, trzy dni później zjawił się w domu, trochę jeszcze roztrzęsiony i zawstydzony. Okazało się, że Gentle nie wrócił do łóżka, lecz ożywił się wyraźnie, chociaż nie wróciła mu dawna pogoda ducha. Wyjaśnił Tickowi, że łóżko przestało być dla niego bezpiecznym azylem. Kiedy zamykał oczy, widział pod powiekami rzeźnię Pierwszego Dominium, ze wszystkimi ohydnyymi szczegółami. Odpoczywał tylko wówczas, gdy ze zmęczenia zasypiał natychmiast po przyłożeniu głowy do poduszki i jego umysł nie miał czasu rozpamiętywać koszmarów.

Na szczęście Tick znów zadbał o rozrywkę - tym razem w postaci ośmiorga turystów (czy też „wycieczkowiczów”, jak wolał mówić) z Vanaeph, którym miał przedstawić sekrety i ciekawostki Piątego Dominium. Zanim wycieczka się rozpoczęła, goście chcieli koniecznie złożyć hołd Pojednawcy. Każdy odczytał przygotowane w bólach, przesadnie wyrafinowane wystąpienie, a następnie przekazał Gentle'owi specjalnie przywieziony prezent: wędzone mięso, perfumy, przedstawiającą Patashoqua wyklejankę ze skrzydeł zarzi, tomik erotyków pióra siostry Pluthero Quexosa.

Była to pierwsza z wielu grup, które przez następne tygodnie Tick Raw oprowadzał po Piątym Dominium, nie kryjąc się bynajmniej z tym, że nieźle na nich zarabia. Klientów łąpał na hasło „Weekend w mieście Sartoriego”. Im bardziej zadowoleni wracali do Vanaeph, zachwyceni pasztecikami z węgorka i Kubą Rozpruwaczem, tym więcej chętnych zapisywało się na następne terminy. Tick zdawał sobie sprawę, że fenomenalna koniunktura długo się nie utrzyma; wkrótce duże patashoquańskie biura podróży wejdą na rynek, a wtedy będzie miał nad nimi tylko jedną przewagę: swoim podopiecznym mógł zagwarantować (choćby

króciutką, ale zawsze) audiencję u maestro Sartoriego.

Gentle wiedział, że niedługo Piąte Dominium będzie musiało uznać fakt Pojednania - czy mu się to podoba, czy nie. Pierwszych turystów z Patashoqua i Vanaeph można było nie zauważyć, ale kiedy zaczną przyjeżdżać z rodzinami i przyjaciółmi - a były wśród nich istoty, których kształty i rozmiary przyciągnęłyby powszechną uwagę - mieszkańcy Ziemi nie przejdą koło nich obojętnie. Gamut Street stanie się świętym zaułkiem, który podróżni będą przemierzać w obu kierunkach; nie da się wtedy dłużej tu mieszkać. Opuści dom z Clemem i Mondayem i zostawi, by zmienić się w kapliczkę.

Kiedy ten dzień nadejdzie - a stanie się to niedługo - będzie musiał podjąć decyzję niezmierniej wagi. Czy powinien znaleźć sobie kryjówkę w Anglii, czy też wyjechać do kraju, do którego nie trafił jeszcze w żadnym ze swoich dwudziestu paru żywotów? Jedno było pewne - nie wybierał się do żadnego z pozostałych dominiów. Rzeczywiście, nie widział jeszcze Patashoqua, ale stracił istotę, z którą chciałby to miasto oglądać.

*

Jude również przeżywała trudne, niezwykle chwile. Pod wpływem impulsu porzuciła towarzystwo z Gamut Street, chociaż nie wykluczała, że w swoim czasie jeszcze tam wróci. Im dłużej jednak pozostawała z dala od Clerkenwell, tym trudniej było jej myśleć o powrocie. Dopóki Sartori żył, nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo będzie go jej brakowało. Nie wiedziała, skąd bierze się w niej taki żal po jego śmierci, ale nie miała wyrzutów sumienia z jego powodu. Straciła wszystko, co w życiu ważne. Noc w noc zrywała się z płaczem ze snu w małym mieszkanku, które wynajmowały na spółkę z Hoi-Polloi (do starego mieszkania nie chciała wracać, budziłoby zbyt wiele wspomnień). Zawsze dręczył ją ten sam koszmar - stała na schodach domu przy Gamut Street, na piętrze Sartori płonął żywcem, a ona nie mogła postąpić ani kroku naprzód. Kiedy Hoi-Polloi nią potrzęsała, Jude zawsze wybudzała się z tymi samymi słowami na ustach:

- Zostań przy mnie. Zostań przy mnie...

Wiedziała, że odszedł na zawsze i kiedyś będzie musiała się z tym pogodzić, ale zostawił jej pamiątkę. Nastąpiła jesień i pamiątka niedwuznacznie dawała o sobie znać - kopała tak mocno, że Jude nie mogła spać, nawet gdy nie męczyły jej koszarne sny. Nie lubiła oglądać się w lustrze. Jej brzuch upodobił się do połyskliwej kopuły, piersi nabrzmiały i zrobiły się tkliwe. Na szczęście Hoi-Polloi zawsze służyła jej wsparciem. Lepszej towarzyszki Jude nie mogła sobie wymarzyć; dziewczyna z Yzordderrex była wierna, chętna do nauki i miała głowę na karku. Z początku obowiązujące w nowym dominium zwyczaje stanowiły dla niej wielką zagadkę, ale z czasem poznała je lepiej i polubiła.

Ten stan rzeczy nie mógł jednak trwać wiecznie. Gdyby zostały na Ziemi i Jude zdecydowałyby się tutaj urodzić dziecko, jaka czekałaby je przyszłość? To dominium dopiero w niewiadomej przyszłości miało docenić cud Pojednania, a tymczasem niezwykle talenty, jakie dziecko na pewno będzie przejawiać, nie zostaną zauważone - lub wręcz doprowadzą do jego odrzucenia.

W połowie października podjęła decyzję. Nie oglądając się na Hoi-Polloi, odejdzie z Piątego Dominium i znajdzie w Imajice kraj, w którym dziecko - mały prorok, melancholik czy zwyczajny erotoman - będzie mogło swobodnie się rozwijać. Zdawała sobie sprawę, że podróż będzie musiała rozpocząć z okolic Gamut Street. Ta perspektywa nie była może zbyt atrakcyjna, ale Jude nie miała czasu do stracenia; bała się, że dalsza bezsenność osłabi ją tak bardzo, iż nie będzie w stanie ruszyć się z miejsca. Podzieliła się przemyśleniami z Hoi-Polloi, która ochoczo zadeklarowała, że nie odstąpi jej ani na krok. Poczyły niezbędne przygotowania i cztery dni później rozstały się z przytulnym mieszkankiem, zabrawszy ze sobą tylko garść cennych drobiazgów; miały nadzieję sprzedać je w Czwartym Dominium.

Wieczór był chłodny, mgliste halo otaczało księżyc. W jego blasku na ulicach Clerkenwell połyskiwała pierwsza mroźna skorupka. Jude nalegała, żeby po drodze zajrzały na Shiverick Square, by mogła się pożegnać z Sartorim. Monday i Clem bardzo się postarali zamaskować zarówno jego mogiłę, jak i grób gek-a-ge-ków, toteż chwilę trwało, zanim trafiła na miejsce. Spędziła tam dwadzieścia minut; Hoi-Polloi czekała za ogrodzeniem. Jude wiedziała, że Sartori nie dołączył do krążących po okolicy duchów - nie urodził się, jak one, lecz został stworzony, żył kradzionym życiem. Po śmierci mógł istnieć tylko w jej pamięci - i w ich dziecku. Nie płakała po nim; już wcześniej zrobiła, co mogła, błagając go, by żył i został z nią. Powiedziała tylko ziemi na Shiverick Square, że kocha to, co ona skrywa, i prosiła, by dała Sartoriemu spokojny sen.

Wyszła z cmentarzyka. Razem z Hoi-Polloi wyruszyły na poszukiwanie bramy do Czwartego Dominium, w którym panował dzień i w którym Jude zamierzała znaleźć sobie nowe imię.

*

W domu pod numerem dwudziestym ósmym było tej nocy głośno. Wyprawiano przyjęcie ku czci Irisha, który właśnie skończył trzymiesięczną odsiadkę za drobną kradzież. Prosto z więzienia przyszedł na Gamut Street z Carol, Benedictem i paroma skrzynkami kradzionej whisky, żeby wypić za wolność. Dom zdążył się już zmienić w prawdziwy skarbiec, tyle prezentów nazwozili maestrowi wycieczkowicze Ticka Raw, i nie było końca pijackiej zabawie z całą tą tajemniczą zbieraniną. Gentle był chyba równie podchmielony i

wesolutki jak Irish (jeśli nie bardziej); po trwającej od tygodni abstynencji już odrobina whisky zamała mu w głowie i stanowczo opierał się próbom wciągnięcia go w poważną rozmowę, chociaż Clem nie ustępował i twierdził, że sprawa jest pilna. Dopiero po dłuższej chwili udało mu się zaciągnąć Gentle'a w cichy kąt i wytłumaczyć, że Judith jest w pobliżu. Gentle spoważniał.

- Przyjdzie tutaj?

- Raczej nie - odparł Clem, oblizując się, jakby czuł na wargach jej smak. - Ale jest blisko.

Gentle'a nie trzeba było dłużej namawiać. Zawołał Monday a i wyszli przed dom. Na ulicy dostrzegli jednak tylko duchy, jak zwykle niespokojne i ponure. Teraz tym bardziej rzucało się to w oczy, że z domu dobiegały odgłosy radosnej zabawy.

- Nie widzę jej - poskarżył się Gentle Clemowi, który stanął za jego plecami. - Jesteś pewien, że się nie mylisz?

- Sądziś, że mógłbym nie wyczuć obecności Jude? - odezwał się Taylor. - Jestem pewien.

- W którą stronę mamy iść? - spytał Monday.

- Może ona nie chce, żebyśmy ją widzieli - zauważył Clem.

- Ale ja chcę się z nią spotkać - uparł się Gentle. - Wypijemy po kieliszku za stare czasy. Dokąd, Tay?

Zaraz ruszył w stronę wskazaną przez anioły. Monday z butelką w ręku szedł tuż za nim.

*

Błada mgła, za którą kryło się Czwarte Dominium, falowała leniwie, kłębiła się, ale cały czas tworzyła nieprzerwaną zasłonę. Już miały się w nią zagłębić, gdy Jude spojrzała w niebo, gdzie świeciła Wielka Niedźwiedzica, której już nigdy nie zobaczy.

- Wystarczy tych pożegnań - powiedziała.

Weszły we mgłę.

Zza ich pleców dobiegł odgłos kroków i głos Gentle'a. Jude przewidziała, że ich obecność może zostać odkryta, i wraz z Hoi-Polloi omówiły taką możliwość. Teraz nie odwróciły się więc, lecz przyspieszyły kroku. Mgła zgęstniała, ale po paru krokach zaczęło przez nią przebijać światło dnia; zrobiło się cieplej. Gentle znowu zawołał Jude, lecz nikt go nie usłyszał w zgiełku Czwartego Dominium.

Zatrzymał się na granicy zamglonego obszaru. Obiecał sobie, że nie opuści Piątego Dominium, ale krążący mu w żyłach alkohol osłabił to postanowienie. Korciło go, żeby pójść

dalej.

- To jak, szefie? - spytał Monday. - Wchodzimy czy nie?

- A co wolisz?

- Właściwie...

- Serce ci się rwie do Hoi-Polloi, co?

- Jeszcze jak, szefie! Co noc śnią mi się zezowate dziewczyny.

- No tak... Jeżeli chcemy gonić sny, chyba jest to dobry powód, żeby wejść w tę mgłę.

- Poważnie?

- Jedyne powód.

Gentle wziął od Mondaya butelkę i pociągnął solidny łyk.

Zanurzili się we mgłę. Zaczęli biec. Ziemia pod ich stopami miękła i jaśniała, chodnik zmienił się w piasek, noc się skończyła i nastał dzień.

Jude i Hoi-Polloi mignęły im przez moment - szare sylwetki na tle pawiego nieba - i rzucili się za nimi w pogoń. Światło robiło się coraz jaśniejsze, hałas narastał. Gdy ostatecznie wynurzyli się z przejścia między dominiami, przywitały ich krzyki rozentuzjasmowanych ludzi. Kupcy i złodzieje tłoczyli się ze wszystkich stron, a dwie kobiety właśnie znikwały w tłumie. Gentle i Monday ruszyli w pościg, lecz ludzka masa sprzysięgła się chyba przeciw nim, bo po półgodzinie bezowocnego pościgu wrócili na ten sam tętniący życiem bazar. Musieli pogodzić się z porażką.

Wywołane alkoholem lekkie, miłe zawroty głowy ustąpiły bez śladu. Ich miejsce zajął zwyczajny ból. Gentle słał się na nogach.

- Uciekły - stwierdził. - Dajmy sobie spokój.

- Cholerny świat!

- Ludzie przychodzą i odchodzą, nie można się do nich za bardzo przywiązywać.

- Za późno - odparł smętnie Monday. - Ja już się przywiązałem.

Mrużąc oczy, Gentle spojrzał na obłok mgły. Wydał w zadumie wargi. Po drugiej stronie był już zimny październik.

- Wiesz co? - odezwał się w końcu. - Przejdziemy się do Vanaeph i poszukamy Ticka Raw. Może on coś poradzi.

Monday cały się rozpromienił.

- Prawdziwy z ciebie bohater, szefie. Prowadź!

Gentle stanął na palcach, próbując się rozejrzeć.

- Kłopot w tym, że nie mam zielonego pojęcia, gdzie jest Vanaeph.

Zatrzymał pierwszego z brzegu przechodnia i zapytał, jak może się dostać na Lipper

Bayak. Zgodnie z wskazówką przedarli się na skraj targowiska, skąd ujrzeli oddzielające ich od Lipper Bayak, obwiedzone murem miasto. Monday wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- To Patashoqua? - zapytał, powtarzając nazwę, którą nauczył się traktować niemal jak zaklęcie.

- Tak.

- Malowaliśmy je na murach, szefie. Pamiętasz?

- Pamiętam.

- Jak wygląda?

Gentle zerknął na trzymaną w rękę butelkę. Ciekaw był, czy niezwykle podniecenie, jakie odczuwał, minie wraz z towarzyszącym mu bólem głowy.

- Szefie?

- Tak?

- Pytałem, jak wygląda Patashoqua?

- Nie wiem, nigdy tam nie byłem.

- Może czas coś z tym zrobić?

Gentle wepchnął Mondayowi butelkę w dłoń i westchnął.

- Tak, przyjacielu - uśmiechnął się. - Chyba masz rację.

2

Tak oto zaczęła się ostatnia pielgrzymka maestra Sartoriego - zwanego także Johnem Furie Zachariasem, Gentle'em i Pojednawcą Dominiów - w Imajice.

Nie planował jej, lecz obiecawszy Mondayowi, że odnajdą kobietę z jego snów, nie mógł go zostawić i wrócić do Piątego Dominium. Poszukiwania rozpoczęli naturalnie od Patashoqua, które rozkwitało jak nigdy; służyła mu bliskość nowo otwartego dominium. Gentle, który od roku rozmyślał o tym, jak wygląda miasto za murami, znalazłszy się w środku musiał doznać rozczarowania. Za to Monday reagował na Patashoqua z niewiarygodnym wręcz entuzjazmem, który boleśnie przypominał Gentle'owi jego własne zachwyty, gdy z Pie pierwszy raz wkroczył do Czwartego Dominium.

Nie trafili w mieście na ślad Jude i Hoi-Polloi, udali się więc do Vanaeph, żeby spotkać się z Tickiem. Dowiedzieli się, że ich przyjaciel jest obecnie w podróży. Za to pewien człowiek o sokolim wzroku twierdził, że kobiety, które pasowały do opisu Jude i Hoi-Polloi,

próbowały złapać autostop na Drodze Patashoquańskiej. Godzinę później Gentle i Monday wzięli z nich przykład i pościg przez dominia rozpoczął się na dobre.

Dla maestra była to podróż zupełnie inna od poprzednich. Za pierwszym razem nie wiedział, kim jest, nie doceniał wagi spotkań z ludźmi i znaczenia miejsc, które z Pie odwiedzali. Później, jako duch, mknął z szybkością myśli, odwiedzając członków Synodu. Obowiązki nie pozwalały mu zwolnić i napawać się oglądanymi po drodze cudami. Dopiero teraz miał dość czasu - i wiedzy - by odbywać pielgrzymkę świadomie, i choć wyruszył w nią bez entuzjazmu, wkrótce cieszyła go tak jak Mondaya.

Więści o zmianach w Yzorderrex doszły do wszystkich, najmniejszych nawet wioseczek; upadek rządzonego przez autarchę imperium stał się powodem do ogólnej wesołości i świętowania. Rozeszły się również pierwsze plotki o uzdrowieniu Imajiki, toteż gdy Monday opowiadał ludziom, skąd przybywa (co czynił przy każdej sposobności), mogli z Gentle'em liczyć na poczęstunek i setki pytań ze strony żądnych nowin gospodarzy. Wiedząc, że drzwi do Piątego Dominium stoją otworem, wielu z nich zamierzało się tam wybrać. Pytali więc, jakie dary mają zabrać do rajskiej krainy, która sama w sobie jest przecież niezwykła. Kiedy padało takie pytanie, Gentle (choć zwykle w tych rozmowach nie przerywał Mondayowi) zabierał głos:

- Weźcie wasze rodzinne sagi - mówił. - Weźcie wiersze, żarty, kołysanki. Niech ludzie w Piątym Dominium zrozumieją, jakie cuda czekają ich tutaj.

Wtedy gospodarze popatrywali na niego z ukosa i odpowiadali, że w ich rodzinnych historiach i dowcipach nie ma nic szczególnego.

- Coś o was mówią - tłumaczył wtedy Gentle. - A to wy jesteście najwspanialszym darem dla Piątego Dominium.

*

- Szefie, moglibyśmy zbić fortunę, gdybyśmy przywieźli na handel mapy Anglii - zauważył któregoś dnia Monday.

- Zależy nam na pieniądzach?

- Tobie może nie, szefie, ale ja bardzo je lubię.

I masz rację, pomyślał Gentle. Rzeczywiście, sprzedaliby już pewnie z tysiąc map, a dotarli dopiero na skraj Trzeciego Dominium. Ludzie kopiowałyby je w nieskończoność, za każdym razem dodając coś od siebie. Gentle pomyślał, że przez całe życie własnymi rękoma nie stworzył niczego, co miałoby trwałą wartość. Jednak w przeciwieństwie do malowanych przez niego falsyfikatów, mapy nie podlegałyby przekleństwu ustalonego oryginału; autorzy uzupełniali je, poprawiali, zapełniali białe plamy, opracowywali na nowo legendy. A nawet

gdy wprowadzono na nich wszelkie możliwe poprawki, wciąż trudno było je nazwać skończonymi. Przecież zmieniał się oryginał, który odzwierciedlały. Rzeki rozlewały się szerzej, zmieniały bieg albo całkiem wysychały, jedne wyspy tonęły w morzu, inne się z niego wynurzały, nawet góry rosły. Zwlekał z tym od miesięcy, ale uznał w końcu, że warto poświęcić jeszcze trochę czasu na wykreślenie mapy, o której od dawna marzył.

*

Zdarzało im się spotykać na swojej drodze osoby, które - nieświadome, z kim mają do czynienia - chępiły się bliższym lub dalszym związkim z najsłynniejszym synem Piątego Dominium, maestrem Sartorim, i chętnie o nim opowiadały. Opowieści te brzmiały różnie, zwłaszcza gdy przychodziło do opisywania towarzysza, z którym maestro podróżował. Jedni mówili o pięknej kobiecie, inni o jego bracie imieniem Pie, jeszcze inni (najmniej liczni) - o mistyfie. Z początku Monday miał kłopoty z zachowaniem tajemnicy, ale Gentle uparł się, by podróżowali incognito, i kazał mu przysiąc, że ich nie zdradzi. Chłopiec dotrzymał słowa. Milczał jak grób, gdy podróżni opowiadali o maestrze niestworzone historie: o nocach posłubnych spędzonych na suficie sypialni; o zagajnikach wyrastających w jedną noc w miejscu, gdzie Sartori się zdrzemnął; o kobietach, które zaszły w ciążę, gdy napiły się z jego kubka. Z początku świadomość, że stał się bohaterem zbiorowej wyobraźni, niezmiernie Gentle'a bawiła, z czasem jednak zaczęła mu coraz bardziej ciążyć. Czuł się jak duch przy tych innych, żywych wersjach samego siebie; niewidzialny pośród słuchaczy jego dziejów, które stale obrastały w nowe szczegóły i ozdobniki.

Pocieszał się, że nie jest jedyną osobą, o której powstają legendy. Nie brakowało innych historii, którymi karmiono ich wszędzie, gdzie wypytywali o Jude i Hoi-Polloi - opowieści o czyniących cuda kobietach. Po upadku Yzordderrex w dominiach pojawiło się nowe, nieznanne dotąd plemię koczowniczych czarownic, które świętowały wyzwolenie i odprawiały swoje rytuały (dotąd zarezerwowane dla domowego ogniska) publicznie, by wszyscy mogli je oglądać. W przeciwieństwie do historii maestro Sartoriego, w większości nie mających nic wspólnego z rzeczywistością, relacje o obdarzonych mocą kobietach potwierdzały dowody. Gentle i Monday napotykali je na każdym kroku. W okolicach Mai-Ké, które Gentle zapamiętał z pierwszej pielgrzymki jako suchą, piaszczystą nieckę, rozciągały się zielone pola, zapowiadające pierwsze od sześciu lat żniwa - a wszystko dzięki pewnej kobiecie, która wykryła podziemną rzekę i za pomocą influencji i modłów wywabiła wodę na powierzchnię. W jednej ze świątyń w L'Himby sybilla wyrzeźbiła w kamieniu (za pomocą własnych palców i śliny) wizję miasta zgodną z jej proroczymi wizjami, które w ciągu roku miały się spełnić. Przepowiednia miała tak hipnotyzującą moc, że wierni

wymaszerowali na ulice i zrównali z ziemią te części L'Himby, które najbardziej je szpeciły. W Kwem, dokąd trafili w poszukiwaniu Scopique'a, odkryli, że miejsce dołu po wyrwanej Osi zajęło jezioro o kryształowo czystej wodzie. Jego dna nie było jednak widać, gdyż w toni bez ustanku powstawało nowe życie - głównie ptaki, które w pełni upierzone, rozkrzyżczanymi stadami zrywały się znad wody do lotu.

Tutaj zresztą Gentle i Monday spotkali się z cudotwórczynią osobiście. Kobieta, która stworzyła jezioro (w sensie dosłownym, jak twierdzili jej akolici - w jedną noc napełniła je własnym moczem), wprowadziła się do wypalonych ruin pałacu autarchy. Licząc na to, że może wiedzieć coś na temat Jude i Hoi-Polloi, Gentle postanowił ją odwiedzić. Nie ukazała mu się, ale przynajmniej odpowiedziała na pytanie. Nie widziała podróżnych, które odpowiadałyby podanemu przez niego opisowi, ale mimo to może mu powiedzieć, gdzie je znajdzie. W tych dniach, wyjaśniła, kobiety wędrują tylko w dwóch kierunkach: albo idą do Yzordderrex, albo je opuszczają.

Podziękował i spytał, jak może się odwdzińczyć. Powiedziała, że nic od niego nie chce, ale byłaby mu wdzięczna, gdyby na godzinę czy dwie przysłał do niej swojego chłopca. Nieco upokorzony Gentle wyszedł z pałacu i zapytał Monday, czy nie zechciałby poświęcić nieznanym trochę czasu. Ponieważ Monday nie miał nic przeciwko temu i szybko zniknął w buduarze cudotwórczyni, Gentle został sam nad brzegiem rodzącego ptaki jeziora. Pierwszy raz zdarzyło mu się, że kobieta w poszukiwaniu rozkoszy wybrała innego mężczyznę. Jeżeli miałby wątpić, że jego dni minęły bezpowrotnie, miał tego najlepszy dowód.

Kiedy po dwóch godzinach Monday wrócił (trochę oszołomiony i z wypiekami na twarzy), znalazł Gentle'a nad wodą, wśród kamiennych kopczyków. Maestro już dawno porzucił pomysł narysowania mapy Imajiki.

- Co oznaczają te kamienie? - zdziwił się chłopak.

- Liczyłem moje romanse - odparł Gentle. - Jeden kopczyk to sto kobiet.

Kopczyków było siedem.

- To wszystkie?

- Więcej nie pamiętam.

Monday przykucnął obok niego.

- Założę się, że chciałbyś znów się z nimi wszystkimi pokochać.

- Nie - odparł Gentle po chwili zadumy. - Moje dzieło jest skończone. Kobiety zostawię młodszym. - Wrzucił trzymany w ręku otoczak do jeziora. - Dobrze się domyślasz. To Jude.

Od tego momentu nie musieli się już błąkać bez celu, gonić za plotkami. Wiedzieli, gdzie szukać Jude i Hoi-Polloi. W parę godzin od opuszczenia Kwem znaleźli się na Postnej Drodze, która - o dziwo - wcale się nie zmieniła. Jak zwykle panował na niej ogromny ruch. Była jak strzała wymierzona w rozpalone serce Yzordderrex.

ROZDZIAŁ 62

1

Do Piątego Dominium zawitała zima - niespieszna, ale nieubłagana. Ostatni dzień października przyniósł kres łagodnej jesieni, która pozwalała mieszkańcom miasta wybierać się na nocne spacerunki bez ciepłych płaszczy, czapek i rękawiczek. Na Gamut Street pierwszy raz zawitały większe grupy londyńczyków, którzy świętowali wigilię Wszystkich Świętych i przyszli osobiście się przekonać, ile prawdy jest w niezwykłych plotkach na temat Clerkenwell. Większość szybko odeszła w swoją stronę, ale najodważniejsi postanowili trochę zostać. Kręcili się przed domem z numerem dwudziestym ósmym, zdumiewali zdobitymi drzwiami malunkami, spoglądali ciekawie na zwęglone drzewo, które skrywało dom przed światłem gwiazd.

Od tamtej pory mróz kąsał coraz bardziej dokuczliwie, aż pod koniec listopada zapędził pod dachy nawet najodporniejsze na chłód kocury. Jednakże ruch na Gamut Street nie ustawał. Noc w noc zwyczajni obywatele spotykali tutaj turystów z Czwartego Dominium. Clem zaczynał już rozpoznawać stałych bywalców Clerkenwell. Widział, że czują się coraz pewniej, bo przekonują się, że niezwykle wrażenia nie oznaczają bynajmniej początków obłądzenia. Dostrzegali coraz to nowe cuda i kolejno musieli odkrywać ich źródło, ponieważ po jakimś czasie zawsze znikali. Inni, zapewne bardziej strachliwi, przychodzili z przyjaciółmi, żeby samotnie nie stawać twarzą w twarz z nieznanym. Pokazywali im Gamut Street jak swój najtajniejszy sekret, mówili szeptem i śmiali się głośno, gdy okazywało się, że przyjaciele widzą to samo co oni.

Wieści rozchodziły się po mieście, lecz w tych gorzkich dniach była to jedyna pociecha dla mieszkańców domu pod numerem dwudziestym ósmym. Tick Raw spędzał w nim wprawdzie coraz więcej czasu i okazał się uroczym kompanem, ale Clem bardzo tęsknił za Gentle'em. Nie zdziwiło go jego nagłe zniknięcie (wiedział coś, czemu sam maestro zaprzeczał: że prędzej czy później Gentle opuści Piąte Dominium), lecz najbliższego towarzysza miał teraz w człowieku, z którym dzielił umysł. Zbliżająca się pierwsza rocznica śmierci Taya obu ich przygnębiała. Obecność tylu żywych istot na Gamut Street sprawiła, że

zamieszkujące ją przez całe lato duchy poczuły się nagle wydziedziczone; ich smutek był zaraźliwy. Tay cieszył się, mogąc towarzyszyć Clemowi w przygotowaniach do wielkiego dzieła, lecz teraz ich rola aniołów stróżów się skończyła i podzielał pragnienia wszystkich duchów z Clerkenwell - chciał odejść.

Z nadejściem grudnia Clem zaczął się zastanawiać, jak długo będą jeszcze razem, skoro z godziny na godzinę Tay wydawał się coraz bardziej przybity. Długo bił się z myślami, ale w końcu uznał, że po Bożym Narodzeniu odejdzie z Gamut Street. Wycieczkowicze Ticka Raw obejmą dom maestra we władanie, a on wróci do siebie, gdzie przed rokiem świętowali z Taylorem powrót Niezwyciężonego Słońca.

2

Jude i Hoi-Polloi nie spieszyły się w swej podróży przez dominia; kiedy do wyboru było tyle dróg i przy każdej czekało ich tyle miłych spotkań i zdarzeń, pośpiech wydawał się zupełnie nie na miejscu. Miały mnóstwo czasu; nic ich nie goniło, nic nie wzywało - tak w każdym razie utrzymywała Jude. Kiedy od czasu do czasu w rozmowie wypływała kwestia celu ich wędrówki, zmieniała temat, nie chcąc mówić o mieście, do którego - w głębi serca nie miała co do tego wątpliwości - musiały w końcu trafić. Mimo że unikała wymawiania jego nazwy, i tak słyszały ją wszędzie, z ust wszystkich spotkanych kobiet, a gdy Hoi-Polloi przyznawała się, że z niego pochodzi, pytaniom nie było końca.

Czy to prawda, że przy każdym przypływie woda niesie do portu mrowie ryb z głębin oceanu; wiekowych istot, które znają tajemnicę pochodzenia kobiet i które co noc płyną zamienionymi w rzeki ulicami, by na wzgórzu oddawać cześć boginiom? Czy to prawda, że kobiety nie potrzebują tam mężczyzn, żeby zająć w ciążę? I że niektórym udaje się nawet wyśnić dziecko? Czy w mieście naprawdę tryskają fontanny, których woda przywraca młodość? Czy drzewa rodzą w nim owoce, jakich świat nie widział? I tak dalej, i tak dalej.

Jude dawała się zwykle namówić, żeby opowiedzieć o tym, co widziała w Yzordderrex, ale jej opowieści o zniszczonym przez wodę pałacu i przeczących prawu ciążenia rzekach bladeły w porównaniu z plotkami, jakie krążyły na temat miasta. Po kolejnej rozmowie, w której proszono, by opisała cuda, o jakich nie miała pojęcia - zupełnie jakby słuchaczki wołały słuchać jej fantazji, niż poczuć gorycz rozczarowania - powiedziała Hoi-Polloi, by nie wciągała jej więcej w podobne dysputy. Wyobraźnia nie chciała jednak

odrzuć plotek i z każdym przebyłym kilometrem Postnej Drogi wizja miasta, które ich oczekuje, stawała się coraz bardziej przerażająca. Jude martwiła się, że wyniesione z Yzordderrex błogosławieństwa okażą się po tak długiej nieobecności bezwartościowe. A może boginie wiedziały, że powiedziała Sartoriemu - szczerze - że go kocha? Jeśli tak, i jeśli wróci do świątyni bogiń, potępienie ze strony Jokalaylau będzie jej ostatnim doświadczeniem w życiu.

Na Postnej Drodze strach Jude nie miał wielkiego znaczenia - nie mogli z Hoi-Polloi zawrócić, tym bardziej że obie były coraz bardziej wyczerpane. Miasto przyzywało je uparcie, nie bacząc na mgły dzielące dominia. Musiały razem do niego wejść i wspólnie stawić czoło osądom, cudom i głębinowym rybom.

*

Ależ Yzordderrex się zmieniło! Do Drugiego Dominium zawitała pora roku cieplejsza od tej, w której Jude poznawała miasto. Wszechobecna woda sprawiła, że zapanował tu iście tropikalny klimat. Wilgotność powietrza zapierała dech w piersi. Z rozpadlin i grot pod miastem woda wypłukała ogromne ilości nasion i zarodników, które pod wpływem sztuk bogiń dojrzewały z nadnaturalną szybkością. Prastare rośliny, w większości od dawna uważane za wymarłe, zieleniły się wśród gruzów, zmieniając kespary w gęste dżungle. Przez ostatnie pół roku Yzordderrex stało się miastem zapomnianym, oddanym we władanie kobietom i dzieciom, ocalonym przez florę od ostatecznego upadku. Wszędzie w powietrzu unosił się zapach dojrzałych owoców, które pyszniły się kolorami na pnączach, gałęziach drzew i krzewów. Ich woń przyciągała zwierzęta, jakie nigdy chyba nie zawitałyby do starego Yzordderrex. A wśród tych sypiących się jak z rogu obfitości darów pieniały się wieczne rzeki - karmiły wyniesione spod ziemi nasiona i płynęły wytrwale pod górę, wolne jednak od flotyli próśb. Albo modlitwy zostały wysłuchane, albo chrzest w wodzie sprawił, że mieszkańcy sami stali się dla siebie uzdrowicielami i odnowicielami.

Jude i Hoi-Polloi nie poszły do pałacu pierwszego dnia. Nie uczyniły tego również dnia następnego, ani nawet dzień później. Najpierw znalazły dom Peccable'a i rozgościły się w nim, chociaż tulipany w jadalni zastąpiły kwiatami, które wyrosły wprost z podłogi, a pozbawiony części dachu budynek zmienił się w ptaszarnię. Po długiej podróży, w której nigdy nie miały pewności, gdzie będą spać następnej nocy, kwiaty i ptaki były tylko drobnymi niewygodami. Jude i Hoi-Polloi zasnęły w podobnych do altan łóżkach, ukołysane gruchaniem i trelami. Kiedy się obudziły, znalazły dość jedzenia. Mogły nazrywać owoców, popić je chłodną, czystą wodą ze strumienia na ulicy, a nawet - w którejś z większych rzek - nałapać ryb, które stanowiły podstawę wyżywienia żyjących w pobliżu klanów.

Owe rozbudowane rodziny składały się z mężczyzn i kobiet, którzy musieli należeć do wojsk i tłumów toczących krwawe walki w noc upadku autarchy. Jednak albo z wdzięczności za przetrwanie rewolucji, albo dzięki kojącemu działaniu bujnie rozwiniętej natury ludzie ci zmienili się nie do poznania. Te same ręce, które wtedy mordowały i okaleczały, teraz odbudowały kilka okolicznych domów, i to nie po to, by stawić czoło dżungli czy wodzie, lecz w ścisłej z nimi współpracy. Tym razem kobiety wzięły na siebie rolę architektów. Chrzest w strumieniach natchnął je ideą zbudowania nowego miasta na gruzach dawnej metropolii.

W każdym ich dziele Jude dostrzegała odbicie spokojnej, wysmakowanej estetyki bogiń.

Domy nie sprawiały wrażenia wybudowanych w pośpiechu, nie było też widać, by zostały podporządkowane jakiemuś ogólnemu zamysłowi. Epoka imperium dobiegła końca, a wraz z nią skończył się czas dogmatów, edyktów i konformizmu. Każdy na własną rękę rozpinał sobie dach nad głową, włączając w konstrukcję cieniste, zasobne w owoce drzewa. Efektem były domy tak rozmaite jak oblicza tworzących je kobiet. Taki Sartori, jakiego poznała przy Gamut Street, na pewno by im przyklasnął. Kiedy widzieli się po raz przedostatni, musnął ją przecież w policzek, prawda? Powiedział, że marzyło mu się miasto zbudowane na jej obraz i podobieństwo. Jeżeli miał na myśli po prostu kobietę, to takie właśnie miasto wyrastało z ruin.

Za dnia miały więc szeleszczące sklepienie, szmerzące rzeki, ciepło i śmiech, a nocą spały pod pierzastym dachem i śniły łagodne, słodkie sny. Cieszyły się takim życiem przez tydzień. Ósmej nocy Hoi-Polloi zbudziła Jude i zawołała ją do okna.

- Spójrz - powiedziała.

Jude wyjrzała na zewnątrz. Gwiazdy świeciły nad miastem i odbijały się srebrzyście w pobliskiej strudze wody. W strudze, w której widać było też inne kształty - bardziej namacalne, choć wcale nie mniej srebrzyste. Płatki mówiły prawdę; w górę strumienia podążały istoty, których nie wyłowilby żaden kuter, choćby nie wiedzieć jak daleko na morzu zarzucił sieci. Niektóre miały w sobie coś z delfinów, inne przypominały kalmary, jeszcze inne płaszczki, ale wszystkie łączyło ledwie uchwytnie piętno człowieczeństwa, ukryte w ich przeszłości (albo przeszłości) równie głęboko jak ich domy w oceanie. Czasem trafiało się stworzenie wyposażone w prawdziwe łapy - bardziej wówczas podskakiwało w wodzie, niż płynęło; innym razem Jude mignął jakiś wijący się, węgorzowaty stwór o dziwnie ssaczym łbie, z na wpół ludzkim błyskiem w oku i ustami zdolnymi chyba do formowania słów.

Widok tych istot był tak ekscytujący, że Jude nie potrafiła odejść od okna, dopóki cała

ławica nie zniknęła jej z oczu. Nie miała wątpliwości, dokąd płyną; wiedziała też, że sama będzie musiała za nimi podążać.

- Bardziej już nie wypoczniemy - powiedziała do Hoi-Polloi.

- Czy to znaczy, że czas udać się na wzgórze?

- Chyba tak.

O świcie wyszły z domu Peccable'a, chcąc pokonać jak największy odcinek, zanim kometa wdrapie się wysoko na niebo i wilgotny upał zacznie wysysać z nich siły. Droga na górę nigdy nie była łatwa - teraz też, mimo chłodnego poranka, okazała się mordęgą dla Jude, która miała wrażenie, że zamiast żywej istoty dźwiga w łonie bryłę ołowiu. Kilkakrotnie musiały się zatrzymywać, by mogła usiąść w cieniu i złapać oddech; za czwartym razem stwierdziła, że oddycha coraz płycej, a ból w brzuchu przyprawia ją niemal o utratę przytomności. Krzyki Hoi-Polloi zwróciły uwagę przechodniów. Zdążyli przenieść Jude na kopczyk porośnięty kwitnącymi trawami, gdy odeszły wody płodowe.

Niespełna godzinę później, mniej niż kilometr od miejsca, w którym znajdowała się Brama Świętych Creaze i Evendown, w zagajniku, gdzie roilo się od maleńkich ptaszków o turkusowych piórkach, Jude powiła jedyne dziecko autarchy Sartoriego.

3

Mimo że Gentle i Monday uzyskali od stwórczyni jeziora dokładne wskazówki, do Yzordderrex dotarli całe sześć tygodni później niż Jude i Hoi-Polloi. Na pewno po części zawdzięczali to Mondayowi, którego apetyt seksualny wyraźnie się zmniejszył po przygodzie w pałacu w Kwem, przez co chłopiec nie narzucał już tak gorączkowego tempa podróży jak wcześniej. Przede wszystkim jednak odpowiedzialny był za to Gentle, którego entuzjazm dla sztuki kartograficznej niespodziewanie wzrósł po niedawnym okresie niskowym. Nie było godziny, żeby nie przypomniał sobie prowincji, którą przemierzył, punktu orientacyjnego, który zapamiętał - a wtedy zatrzymywał się, wyjmował własnoręcznie rysowany atlas i z religijnym namaszczeniem nanosił na mapy nowe szczegóły, recytując jak litanię nazwy wyżyn, nizin, lasów, równin, dróg i miast. W tej sytuacji nie było mowy o pośpiechu, nawet jeśli mieli przez to przegapić dogodną podwózkę lub przemoknąć do suchej nitki w nagłej ulewie. Powtarzał Mondayowi, że mapa Imajiki to największe dzieło jego życia i żałuje, iż zabrał się za nią tak późno.

Mimo tych przerw z każdym dniem zbliżali się do miasta, aż kiedy pewnego dnia wstali z posłań pod krzakiem głogu i przebili wzrokiem rozwiewające się mgły, dostrzegli w oddali olbrzymią, zazielenioną górę.

- Co to może być? - zdziwił się Monday.

- Yzordderrex - odparł nie mniej zaskoczony Gentle.

- A gdzie pałac? Gdzie aleje? Widzę tylko mnóstwo drzew i tęcze.

Gentle też nie umiał tego wyjaśnić.

- Kiedyś miasto było całe szaro-czarne i krwawe.

- A teraz jest zielone jak wszyscy diabli!

Im bardziej się do niego zbliżali, tym zieleńsze się wydawało. Dolatujący do nich słodki zapach roślin sprawił, że Monday wkrótce przestał się krzywić i doszedł do wniosku, że Yzordderrex nie będzie takie znów najgorsze. Skoro zmieniło się w puszcę, to może wszystkie jego mieszkanki stały się dzikuskami, odzianymi tylko we własny uśmiech i sok z jagód. Nie zmartwiłby się tym specjalnie.

To, co zobaczyli już na niższych zboczach góry, przerastało, rzecz jasna, najniezwyklejsze wyobrażenia chłopca. Widoki, które mieszkańcy Nowego Yzordderrex uznawali za naturalne - zwariowane rzeki i drzewa rodem z pierwotnych puszczy - kompletnie zaskoczyły Gentle'a i Mondaya. Po jakimś czasie darowali sobie głośne zachwyty i brnęli przez gąszcz, stopniowo pozbywając się nagromadzonego podczas wędrówki bagażu.

Gentle zamierzał udać się do kesparatu Eurhetemeców i poszukać Athanasiusa, ale po tak odmienionym mieście szło się bardzo wolno, toteż bardziej szczęściu niż sprytowi mogli zawdzięczać, że po godzinie stanęli przed właściwą bramą. Ulice w tym kesparacie były równie zarośnięte jak w innych, tarasy upodobiły się do dziczałego sadu, z którego drzew spadał zaścielający ziemię gruz.

Monday zaproponował, żeby się rozdzielili. Gentle uprzedził go jeszcze, że gdyby zobaczył gdzieś na drzewie ukrzyżowanego Jezusa, będzie to Athanasius, spotkali się jednak wkrótce przy bramie, nie znalazłszy nikogo. Gentle musiał więc zapytać bawiące się przed bramą dzieci, czy nie widziały człowieka, który do niedawna mieszkał w kesparacie.

- On sobie poszedł - powiedziała dziewczynka mniej więcej sześciolatka, z wplecioną we włosy winoroślą, która zdawała się wyrastać jej z głowy.

- Wiesz dokąd?

- Nie.

- A kto może to wiedzieć?

- Nikt - odparła dziewczynka w imieniu swojej małej bandy.

Poszukiwania Athanasiusa utknęły w martwym punkcie.

- Dokąd teraz? - spytał Monday, gdy dzieci wróciły do zabawy.

- Pójdziemy za wodą - odparł Gentle.

Ruszyli dalej pod górę, przeciwnie do ruchu komety, która dawno już minęła zenit. Byli zmęczeni i co krok musieli walczyć z pokusą, żeby nie położyć się w miękkiej trawie. Gentle nie odpuszczał jednak Mondayowi, przypominając mu, że na łonie Hoi-Polloi będzie mu się odpoczywało znacznie przyjemniej niż w hamaku, a jej pocałunki ożywią go bardziej niż kąpiel w jeziorze. Miał chyba dar przekonywania, bo chłopiec odnalazł w sobie takie pokłady energii, że Gentle zaczął mu zazdrościć. Wreszcie dotarli do znaczących dawne mury pałacu kopców ciemnego gruzu. Wyrastały z nich kolumny, z których niegdyś zwieszały się skrzydła olbrzymich wrót, zmiecione później przez rzekę. Woda wspinała się strużkami na prawą kolumnę i tryskała prosto na szczyt lewej, tworząc nad wejściem pryskający kropelkami łuk. Był to widok tak olśniewający, że Gentle stanął jak wryty.

Monday sam wszedł między kolumny i po chwili Gentle usłyszał jego radosny krzyk:

- Szefie! Prędszej, szefie!

Gentle przebiegł pod wodnym łukiem, dał mu się spryskać ciepłym deszczem i znalazł się w pałacu. Monday brodził po pachnącym wodnymi liliami zatopionym dziedzińcu w stronę postaci, którą wypatrzył na drugim brzegu, przy kolumnadzie. To była Hoi-Polloi. Mokre włosy kleiły się jej do czoła, jakby właśnie wyszła z wody, łono zaś, na którym Monday tak bardzo chciał złożyć głowę, miała nagie i odsłonięte.

- Nareszcie! - powiedziała, patrząc na Gentle'a.

Napalony kochaś pośliznął się w pół drogi; roztrącił rękoma lilie, łapiąc równowagę.

- Spodziewałyście się nas? - zdziwił się.

- Naturalnie. Ciebie może nie, ale maestra... Tak, wiedziałyśmy, że jest blisko.

- Ale cieszysz się na mój widok? - wyrwało się Mondayowi. - Bo cieszysz się, prawda?

Rozłożyła ramiona.

- A jak myślisz?

Chłopak wydał triumfalny okrzyk i rozchlapując wodę, rzucił się w jej stronę, zdzierając po drodze przemoczoną koszulę z grzbietu. Gentle brnął za nim. Kiedy wyszedł na drugi brzeg, Monday miał na sobie już tylko bieliznę.

- Skąd wiedziałyście, że przyjdziemy?

- Znaki są wszędzie - odparła Hoi-Polloi. - Chodź, zaprowadzę cię na górę.

- A co, sam nie trafi? - zaprotestował Monday.

- Później będziemy mieli dla siebie mnóstwo czasu - uspokoiła go dziewczyna. - Najpierw muszę go zabrać do komnat.

W porównaniu z drzewami rosnącymi w pałacowych murach, te, które rozplenili się niżej na zboczach góry, sprawiały wrażenie karłowatych. Tym z pałacu dobrze służyła wyczuwalna na każdym kroku aura świętości. Wśród ich korzeni i na gałęziach Gentle widział kobiety i dzieci, nigdzie jednak nie było ani jednego mężczyzny; przypuszczał, że gdyby nie eskorta Hoi-Polloi, zostaliby z Mondayem wyproszeni. Mógł się tylko domyślać, jak próbowano by wyegzekwować taki nakaz, ale nie wątpił, że istoty, których moc przenikała tutejsze powietrze i ziemię, umiałyby sobie z nimi poradzić. Wiedział, kim są - boginiami, o których pierwszy raz usłyszał w Beatrix, w kuchni Larumday Splendid.

Z konieczności szli okrężną drogą. W kilku miejscach nie mogli rwących rzek przejść w bród i Hoi-Polloi musiała prowadzić ich do grobli i mostów, a potem wracać do ścieżki na drugim brzegu. Im dalej się zapuszczali, tym silniejsze wydawały się Gentle'owi emanacje świadomej myśli i choć niezliczone pytania cisnęły mu się na usta, wolał milczeć, niż odsłonić głębię swojej naiwności. Hoi-Polloi rzucała od czasu do czasu zdawkowe uwagi, tak wyrwane z kontekstu, że same w sobie stanowiły zagadkę:

- ...ogień bywa taki zabawny... - zauważyła w pewnej chwili, gdy mijali stertę poskręcane metalu, dawną maszynę wojenną autarchy. Kiedy indziej znów, nad stawem o błękitnej wodzie, w którym pływały wielkie jak ludzie ryby, dodała: - Chyba mieszkają w mieście, tak jak my... ale jest tak głęboko pod wodą, że zapewne nigdy go nie zobaczę. Co innego dzieci, im na pewno się uda. I to właśnie jest cudowne...

W końcu stanęli przed wejściem, które zasłaniała wodna kurtyna. Hoi-Polloi odwróciła się do Gentle'a.

- Czekają na ciebie - powiedziała.

Monday podszedł bliżej, gotowy wejść za zasłonę, ale Hoi-Polloi zatrzymała go i pocałowała w szyję.

- Tylko maestro - wyjaśniła. - Chodź, popływamy.

- Co ty na to, szefie?

- Możesz iść - uspokoił go Gentle. - Nic mi się nie stanie.

- W takim razie do zobaczenia - rzucił na pożegnanie Monday, z ulgą dając się odciągnąć dziewczynie.

Zanim młodzi zniknęli mu z oczu, Gentle zanurzył się w chłodną kurtynę i wszedł do znajdującej się za nią komnaty. Jej rozmiary i surowość zaskoczyły go, tak ostry stanowiła kontrast z rozpasaną naturą. Zachował się tu cień szalonych ambicji autarchy. W rozległym,

pustym pomieszczeniu wyrosło zaledwie kilka pnączy, a poza wodną zasłoną w wejściu i drugą, podobną, opadającą z łuku naprzeciwko, nie płynął przez nie żaden strumień. Nie znaczy to, że wpływ bogiń pozostał całkiem niezauważalny. W ścianach pozbawionej dawniej okien sali ze wszystkich stron wybito otwory, przez które wpadało łagodne światło. Nieopodal łuku znajdował się jedyny mebel z komnacie - krzesło, na którym siedziała Judith z dzieckiem na kolanach. Podniosła wzrok na Gentle'a i uśmiechnęła się do niego.

- Już się bałam, że zabłądziłeś - powiedziała.

Miała piękny, jakby świetlisty głos; kiedy mówiła, promienie światła falowały delikatnie.

- Nie wiedziałem, że czekasz - odparł Gentle.

- To nic. Nie podejdziesz bliżej?

Gentle ruszył w jej stronę.

- Z początku nie sądziłam, że za nami pójdziesz, ale potem pomyślałam sobie: przyjdzie, przyjdzie, będzie przecież chciał zobaczyć dziecko.

- Szczerze mówiąc... nie myślałam o dziecku.

- Za to ono myślało o tobie - odparła wesoło Jude.

Dziewczynka, którą trzymała na kolanach, miała zaledwie kilka tygodni, ale rozkwitała nie gorzej od drzew i kwiatów w mieście. Siedziała samodzielnie, wczepiwszy silną rączkę we włosy matki. Mimo że piersi Jude były odsłonięte i wyglądały przytulnie, mała nie zamierzała ani jeść, ani spać. Szarymi oczami pytająco wpatrywała się w Gentle'a.

- Co u Clema? - spytała Jude, gdy Gentle stanął przy niej.

- Kiedy go ostatnio widziałem, trzymał się nieźle, ale potem, jak sama wiesz, uciekłem bez pożegnania. Mam wyrzuty sumienia. Tyle że jak już zacząłem...

- Wiem, nie było odwrotu. Miałam to samo.

Gentle przykucnął i wyciągnął rękę do dziecka. Dziewczynka złapała ją bez namysłu.

- Jak jej dałeś na imię?

- Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu...

- Jak to?

- Nazwałam ją Huzzah.

- Serio? - uśmiechnął się. - Cześć, Huzzah. Jestem Gentle.

- Ona cię zna - stwierdziła Jude. - Wiedziała też o istnieniu tego pokoju, zanim powstał. I o tym, że prędzej czy później się tu zjawisz.

Gentle nie pytał, jak to możliwe, że dziecko dzieli jej wspomnienia - po prostu do katalogu niezwykłości Nowego Yzordderrex doszła jeszcze jedna tajemnica.

- A co na to boginie? - zapytał.

- Na co?

- Nie przeszkadza im, że jest dzieckiem Sartoriego?

- Ani trochę - odparła Jude. Jej głos zmiażdżył na wspomnienie Sartoriego. - Całe miasto... całe miasto dowodzi, że ze zła może narodzić się dobro.

- Ona jest czymś więcej niż dobrem.

- To prawda.

Dziewczynka tak ochoczo wyciągała rączki do Gentle'a, że mało nie spadła matce z kolan.

- Chyba rozpoznaje ojca - stwierdziła Jude i z małą na ręku wstała.

Gentle również się podniósł. Patrzył, jak Jude niesie Huzzah do rozrzuconych na ziemi zabawek. Dziecko wskazało je i zagulgotało radośnie.

- Tęsknisz za nim? - zapytał.

- W Piątym Dominium tęskniłam - odparła Jude. Schyliła się po jakąś zabawkę. - Tutaj już nie. Huzzah to zmieniła. Właściwie do czasu jej przyjścia na świat nigdy nie czułam się całkowicie prawdziwa, jakbym była tworem umysłu tej drugiej Judith. - Jude wyprostowała się i odwróciła do Gentle'a. - Wiesz, że wciąż nie mogę sobie przypomnieć tych wszystkich lat, które przeżyłam? Czasem wychwytyję jakieś strzępki, ale nic, czego mogłabym się ucześcić. Żyłam we śnie, Gentle, i Huzzah mnie z niego obudziła. - Pocałowała dziecko w policzek. - Dzięki niej istnieję naprawdę, bo przedtem byłam tylko kopią. Tak jak on. Oboje o tym wiedzieliśmy. Przynajmniej udało nam się stworzyć coś nowego. Nie tęsknię za nim, ale żałuję, że nie mógł jej chociaż raz zobaczyć. Wtedy też by zrozumiał, co to znaczy istnieć naprawdę.

Jude ruszyła z powrotem na krzesło, ale Huzzah wyciągnęła rączki do Gentle'a i krzyknęła stanowczo.

- Proszę, proszę... - mruknęła Jude. - Zawsze miałeś powodzenie... - Usiadła i dała małej zabawkę: mały niebieski kamyk. - Kochanie, zobacz. Co to jest? Co to takiego?

Huzzah zagulgotała ze szczęścia i ze zrećnością, jakiej nikt by się po takim maleństwie nie spodziewał, wyjęła kamyk z dłoni matki. Zachichotała i przytknęła go do ust, jakby chciała go pocałować.

- Dużo się śmieje - zauważył Gentle.

- Dzięki Bogu. Patrz, co ja wygaduję! Ciągłe Mu dziękuję.

- Stare nawyki...

- O nie, ten na pewno uda mi się wykorzenić.

Huzzah nie odejmowała kamyka od ust.

- Nie, kochanie, nie rób tego - ostrzegła ją matka. - Myślisz, że Wybiel się rozpadnie? - spytała Gentle'a. - Mam tu przyjaciółkę, Lotti; twierdzi, że Wybiel nie przetrwa już długo, a wtedy będziemy musieli znosić smród Pierwszego Dominium, gdy tylko wiatr powieje z tamtej strony.

- Może da się zbudować jakiś mur?

- Kto by miał to zrobić? Nikt się tam nawet nie zbliży.

- Boginie też nie?

- I bez tego mają co robić, tutaj i w Piątym Dominium. Chcą uwolnić wody na Ziemi.

- To będzie niezwykły widok.

- Chyba tak. Może wrócę, żeby go podziwiać.

Huzzah przestała chichotać i znów bacznie obserwowała Gentle'a, wyciągając do niego rączkę. Tym razem ścisła w piąstce niebieski kamyczek.

- Chyba chce ci go dać - zauważyła Jude.

Gentle uśmiechnął się do małej.

- Dziękuję - powiedział. - Ale myślę, że powinnaś go zatrzymać.

Huzzah przekrzywiła główkę, wpatrując się w niego uważnie; nie miał wątpliwości, że rozumie każde jego słowo. Nie cofnęła rączki.

- Śmiało - rzuciła Jude zachęcająco.

Ostrożnie wziął kamyczek do ręki. Musiał przyznać, że mała dłoń trzymała go mocno. Był chłodny i ciężki.

- No to zawarliśmy pokój - oznajmiła Jude. - Tak na poważnie.

- Nawet nie wiedziałem, że toczyliśmy wojnę.

- Właśnie takie wojny są najgorsze, nie uważasz? Ale ta już się skończyła. Na zawsze.

Kurtyna wodna zafalowała leciutko i Jude obejrzała się za siebie. Miała dotąd poważną twarz, ale kiedy odwróciła się z powrotem do Gentle'a, uśmiechała się szeroko.

- Na mnie już czas - powiedziała.

Dziecko zachichotało, łapiąc w rączki powietrze.

- Spotkamy się jeszcze? - zapytał.

Jude pokręciła głową.

- Po co? - spytała, zniżając głos. - Powiedzieliśmy już wszystko, przebaczyliśmy sobie nawzajem. To koniec.

- Mogę zostać w Yzordderrex?

- Naturalnie! - zaśmiała się Jude. - Tylko po co?

- Bo tu kończy się moja pielgrzymka.

- Tak? - Jude odwróciła się i ruszyła w stronę łuku. - A mnie się wydawało, że zostało ci jeszcze jedno dominium.

- Już w nim byłem. Wiem, jak wygląda.

Zapadła cisza, którą przerwało dopiero pytanie Jude:

- Czy Celestine opowiedziała ci swoją historię? Na pewno tak...

- Tę o Nisi Nirwanie?

- Tak. Mnie opowiedziała ją w noc przed Pojednaniem. Zrozumiałeś ją?

- Nie bardzo.

- Ach tak...

- Czemu pytasz?

- Ja też jej nie rozumiałam i myślałam, że może... - Jude wzruszyła ramionami. - Sama nie wiem, co myślałam.

Stała pod łukiem. Huzzah zerkała ciekawie za wodną kurtynę, za którą, jak przypuszczał Gentle, stał ktoś, kto nie był zwyczajną istotą ludzką.

- Hoi-Polloi mówiła wam chyba, że mamy gości? - spytała Jude, widząc malujące się na jego twarzy zaskoczenie. - Przybyli do nas w konkury. Z oceanu. Niektórzy są prześliczni. Urodzą się nam cudne dzieci... - Jej uśmiech lekko zbladł. - Nie smuć się, Gentle. My już mieliśmy swoje pięć minut.

Odwróciła się i z dzieckiem na rękach zniknęła za spływającą z łuku zasłoną. Gentle słyszał jeszcze, jak Huzzah śmieje się na powitanie kogoś, kto czekał po drugiej stronie i objął je srebrzystymi ramionami. Potem kurtyna się rozjarzyła, a kiedy światło zgasło, rodzina Jude zniknęła.

Dobre kilka minut stał w pustej komnacie. Wiedział, że Jude nie wróci (nie był nawet pewien, czy chciałby, żeby wróciła), nie chciał jednak wychodzić, dopóki nie utrwali w pamięci wszystkiego, co między nimi zaszło. Dopiero wtedy wyszedł. Zapadał zmierzch i dzika puszcza zrobiła się uroczą w zupełnie nowym sensie. Spod leśnego sklepienia i znad jezior napływała sina mgła, melodyjne śpiewy wieczornych ptaków zastąpiły trele, które słyszał za dnia, buczenie pszczół ustąpiło przed cichym jak oddech szelestem skrzydeł nocnych motyli.

Mondaya nie było nigdzie w pobliżu. Gentle czuł się nieswojo, chociaż mógł do woli rozkoszować się idylliczną atmosferą pałacu. Nie nadawał się do życia w tym mieście. Za dnia zbyt wiele było w nim życia, nocą zaś - zbyt wiele miłości. Nigdy nie czuł się tak bardzo niematerialny jak w tej chwili; nawet w drodze, kiedy unikali ognisk, przy których ludzie

snuli bezsensowne opowieści, wiedział, że wystarczy się przedstawić, a wszyscy będą go podziwiać i czcić. Tutaj, w Yzordderrex był nikim. W mieście pojawiło się nowe życie, a wraz z nim nowe tajemnice i nowe związki.

Być może, jego stopy zrozumiały to lepiej niż głowa, bo zanim ostatecznie zdał sobie sprawę, że jest w pałacu zbędny, wyszedł już za mury i znalazł się na drodze wiodącej w dół zbocza. Nie skierował się ku rzecznej delcie, lecz prosto na pustynię. Mimo że podczas rozmowy z Jude nie widział sensu dalszej podróży, teraz nie oponował, gdy nogi niosły go coraz dalej i dalej.

Kiedy poprzednio wyszedł na pustynię, niósł rannego Pie, a ze wszystkich stron otaczał go tłum uchodźców. Teraz nikt mu nie towarzyszył. Wiedział, że i bez dodatkowego brzemienia ta wędrówka będzie wyczerpująca. Wcale go to nie martwiło; nie przejąłby się nawet, gdyby zmarł po drodze. Jude mogła mówić, co chciała; jego pielgrzymka dobiegła końca.

Dochodząc do skrzyżowania, na którym spotkał Floccusa Dado, usłyszał za sobą krzyk. W półmroku dostrzegł Mondaya, półnagi chłopiec galopował na jakiejś pasiastej odmianie muła.

- Co ty sobie wyobrażasz, szefie? Wybierasz się gdzieś beze mnie?

- Szukałem cię, ale nie znalazłem. Myślałem, że chcecie z Hoi-Polloi założyć rodzinę.

- A gdzie tam! - prychnął Monday. - Ona ma dziwne pomysły. Powiedziała, że pokaże mi jakieś ryby. Na to ja, że ryb nie lubię, bo mi ości w gardle stają. No bo tak przecież jest, nie? Człowiek się może udławić, normalna sprawa. A ona spojrzała na mnie, jakbym puścił bąka, i mówi, że chyba jednak powinienem iść z tobą, szefie. Ja nawet nie wiedziałem, że już wyjechałeś z miasta. Znalazła mi tego dziwoląga... - Monday poklepał zwierzaka po szyi - ...i kazała jechać w tym kierunku. - Obejrzał się w stronę miasta i zniżył głos. - Dobrze, żeśmy się już stamtąd wynieśli. Jak dla mnie, to wszędzie było stanowczo za dużo wody. Widziałeś tę bramę, szefie? Jak jakaś cholerna fontanna!

- Nie widziałem. Chyba musiała niedawno wytrysnąć.

- No właśnie! To miasto tonie! Wynośmy się stąd. Wskakuj, szefie!

- Jak się wabi?

- Tolland. - Monday wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Gdzie jedziemy?

Gentle wyciągnął rękę przed siebie.

- Nic nie widzę - zaprotestował Monday.

- W takim razie to dobry kierunek.

Monday jak zwykle wykazał się zmysłem praktycznym. Przed wyjazdem zaopatrzył się w prowiant - z koszuli zrobił sobie węzełek i napelnił go soczystymi owocami, które musiały im na razie wystarczyć. Nie zatrzymali się, gdy zrobiło się ciemno, lecz jechali równym tempem przez całą noc. Zmieniali się tylko w siodle, żeby jadąc we dwójkę nie przemęczyć wierzchowca. Pilnowali też, by Tolland dostawał co najmniej taki sam przydział owoców jak oni, a poza tym pestki, ogryzki i skórki z ich porcji.

Jadąc, Monday zwykle drzemał, Gentle natomiast - mimo zmęczenia - nie mógł zasnąć. Cały czas się głowił, jak wykreślić to pustkowie w atlasie. Nie wypuszczał z ręki kamienia, który dostał od małej Huzzah; ręka tak mu się pocila, że chwilami pot zbierał mu się w dłoni w małe kałuże. Wtedy chował kamyk do kieszeni - tylko po to, by za chwilę stwierdzić, że nieświadomie go wyjął i znów obraca w palcach.

Czasem patrzył w tył, na Yzordderrex. Wyglądało niesamowicie, gdy skryte w mroku zbocza połyskiwały srebrzyście, jak gdyby płynące ulicami rzeki stanowiły idealne zwierciadła dla gwiazd. Ale nie tylko miasto przyciągało jego uwagę - prowadzący od bram trakt w wielu miejscach lśnił podobnym blaskiem.

Wszystkie te cuda zatarły się jednak z nadejściem świtu. Yzordderrex zniknęło w oddali, z przodu zaś majaczyły niskie burzowe chmury. Gentle od razu je rozpoznał; taki właśnie kolor miało niebo, które widzieli z Tickiem podczas krótkiej wizyty w Pierwszym Dominium. Wybiel wciąż oddzielał Drugie Dominium od zgnilizny Hapexamendiosa, ale nie był w stanie całkiem jej zneutralizować. Sine chmury rozciągały się coraz szerzej, aż zajęły cały horyzont i wspięły się do zenitu nad głowami Gentle'a i Mondaya.

Na szczęście nie wszystko, co widzieli, równie mocno ich przygnębiało. Przynajmniej nie byli sami. Kiedy na widnokręgu pojawiły się resztki obozowiska niebytowców, dostrzegli wśród nich około trzydziestu wpatrzonych w Wybiel ludzi. Któryś z nich zauważył zbliżających się podróżnych, wieść o ich przybyciu rozeszła się w całej grupie i jeden z niebytowców rzucił się biegiem w ich kierunku.

- Maestro! - krzyczał. - Maestro!

Chicka Jackeen nie posiadał się ze szczęścia, że widzi Gentle'a, ale po pierwszych gorących powitaniach szybko spochmurniał.

- Co zrobiliśmy źle, maestro? - dopytywał się. - Przecież chyba nie tak to miało wyglądać?

Gentle próbował mu wszystko wyjaśnić. Jackeen reagował na przemian zdumieniem i odrazą.

- Czyli Hapexamendios nie żyje? - upewnił się.
- Tak, nie żyje. Całe Pierwsze Dominium jest Jego ciałem, które teraz gnije na potęgę.
- Co się stanie, kiedy Wybiel też zgnije?
- Tego nie wiem. Obawiam się jednak, że całe Drugie Dominium poczuje ten smród.
- Co teraz zamierzasz?
- Nie mam żadnego pomysłu.

Chicka Jackeen spojrzał na Gentle'a zdumiony.

- Ale przecież jak tu szedłeś... Miałeś chyba jakiś plan?
- Przykro mi, że cię rozczarowałem, lecz prawda jest bardziej prozaiczna: przybyłem tu, bo nie miałem już dokąd iść - odparł Gentle, patrząc w stronę Wybielu. - Hapexamendios był moim Ojcem, Luciusie. Może w głębi serca czuję, że powinienem dołączyć do Niego w Jego dominium.

- Wybacz, szefie, że się wtrącam... - odezwał się Monday.

- Tak?

- ...ale to kretyński pomysł.

- Idę z tobą, maestro - oznajmił Chicka Jackeen. - Chcę to zobaczyć na własne oczy. Martwy Bóg... Byłoby o czym dzieciom opowiadać, nie sądzisz?

- Dzieciom?

- No wiesz... Albo dzieci, albo pamiętniki. A do pamiętników nie mam cierpliwości.

- Żartujesz sobie? Dwieście lat na mnie czekałeś, a teraz mówisz, że nie masz cierpliwości?

- Już nie, maestro. Chcę żyć.

- Nie dziwię ci się.

- Ale najpierw chcę zobaczyć Pierwsze Dominium.

Stanęli właśnie przed Wybielem. Chicka Jackeen poszedł podzielić się z niebytowcami nowiną o przybyciu Pojednawcy i ich wspólnych planach, Monday zaś skorzystał z okazji i powtórzył swoją opinię:

- Nie rób tego, szefie. Nie musisz niczego udowadniać. Wiem, że się wpieniłeś, kiedy nikt nie zrobił w Yzordderrex balangi na twoją cześć, ale kij im w oko! Niech się chrzanią z tymi swoimi rybami...

Gentle położył mu dłonie na ramionach.

- Nie bój się - powiedział. - To nie jest misja samobójcza.

- Więc po co ten pośpiech? Jesteś zrypany, szefie. Prześpij się, zjedz coś, nabierz sił. Jutro też będzie dzień.

- Czuję się dobrze - zapewnił go Gentle. - I mam talizman.

- To znaczy?

Gentle pokazał mu kamyk.

- A cóż to za jajo?!

- Jajo? - Gentle zważył kamień w dłoni. - Może i masz rację...

Podrzucił go w powietrze. Niebieski kamień poleciał dziwnie wysoko. W najwyższym punkcie zamarł na ułamek sekundy, a potem spokojnie, jakby igrając z grawitacją, spłynął na dłoń Gentle'owi. Jednocześnie spadł leciutki deszczyk. Monday zamruczał z rozkoszy.

- Deszcz znikąd - powiedział. - Pamiętam go.

Gentle zostawił go sam na sam z wodą zmywającą mu kurz z twarzy i odwrócił się do Jackeena, który skończył rozmawiać z niebytowcami. Cofnęli się i spode łba popatrywali na maestra.

- Uważają, że to pewna śmierć - wyjaśnił Jackeen.

- Mogą mieć rację - mruknął Gentle. - Na pewno chcesz iść ze mną?

- Nigdy w życiu nie byłem tak pewny jak w tej chwili.

Weszli na ziemię niczyją, oddzielającą materialną rzeczywistość Drugiego Dominium od pustki Wybielu. Jeden z przyjaciół Jackeena krzyknął coś, co inni zaraz podchwycili, ale słów nie dało się zrozumieć. Jackeen zatrzymał się i odwrócił. Gentle nie ponaglał go, sam jednak przyspieszył. Był przygotowany na nasilający się odór zgnilizny. Zamiast wstrzymać oddech, zaciągnął się głęboko ostrą wonią gnijącego ciała Ojca.

Usłyszał kolejny wrzask - tym razem jednak krzyczał Jackeen, bardziej chyba zdumiony czymś niż przestraszony. Ton jego głosu przykuł uwagę Gentle'a, który obejrzał się przez ramię. Nie dostrzegł jednak Chicki; nicość Wybielu zdążyła na dobre ich rozdzielić. Zaczął brnąć dalej. Nagle przybyło mu sił, nogi pracowały niczym tłoki, serce waliło jak młotem.

Wybiel rozsnuwał się przed nim, wynurzały się z niego niewyraźne kształty Pierwszego Dominium.

- Maestro! - krzyczał tymczasem Jackeen. - Maestro, gdzie jesteś?!

Gentle zwolnił kroku.

- Tutaj! Luciusie, tutaj!

- Zaczekaj! - wysapał Jackeen. - Zaczekaj na mnie! - Wynurzył się nagle z pustki i oparł Gentle'owi dłoń na ramieniu. Wyglądał, jakby nagle lat mu ubyło. - Woda... -

wykrztusił.

- Co woda?!

- Woda przybyła za tobą, maestro! Jest tutaj!

Nie skończył mówić, gdy woda ich dogoniła. I to jak! Opływała stopy Gentle'a migotliwymi strugami, ochlapywała mu kostki i łydki, srebrnymi wężami sięgała mu do rąk - a właściwie do kamienia, który trzymał w dłoni. Zdawało mu się, że znów słyszy śmiech Huzzah, czuje dotyk jej malutkich paluszków. Na pewno wiedziała, co przyniesie mu jej dar, tak jak Jude musiała zdawać sobie z tego sprawę. Stał się ich wysłannikiem, tak jak przedtem był posłańcem swojej matki. Uśmiechnął się na wspomnienie tamtej słodkiej misji.

Jajo sprowadziło mżawkę, od której dodatkowo przybywało im wody pod nogami, jednak szybko szmer pojedynczych kropel zmienił się w werbel ulewy i zaczął się istny potop. Z nieba spadało tyle wody, że bez trudu wypłukiwała z powietrza materię Wybielu. Po chwili wokół maestra zrobiło się wyraźnie jaśniej - odkąd Hapexamendios otoczył swoje dominium pustką, kraj ten nie widział tyle światła naraz. Zachwyty na twarzy Jackeena błyskawicznie ustąpił miejsca panice.

- Potopimy się! - krzyknął Chicka Jackeen, z trudem utrzymując równowagę w coraz głębszej wodzie.

Gentle nie cofnął się; zdawał sobie sprawę, co powinien zrobić. Niepomny fal, które rozbijały mu się o plecy, i przypląwu, który próbował ściąć go z nóg, podniósł do ust prezent od Huzzah i ucałował go - tak jak ona to robiła - a potem zebrał resztki sił i rzucił jajem daleko przed siebie, w odsłaniający się przed nimi krajobraz. Kamień wyleciał mu z dłoni napędzany nie mocą jego mięśni, lecz własnymi pragnieniami, i woda rzuciła się za nim w pogoń: rozdzieliła się, opłynęła maistrów z obu stron i runęła na pustkowia Pierwszego Dominium.

*

Zmycie całego dominium musiało jej zająć wiele tygodni, może nawet miesięcy ciężkiej harówki, której postępów nikt by nie obserwował, ale przez następne parę godzin maestrowie, stojący na skraju dawnego Miasta Boga, mogli podziwiać choć cząstkę wykonanej przez wodę pracy. Chmury, które dotąd trwały na niebie równie nieruchome jak kraj, nad którym zawisły, zaczęły się nagle burzyć, kotłować i dawać upust swej złości w potężnych burzach, od których wzbierały oczyszczające dominium rzeki.

Woda nie wzgardziła szczątkami Hapexamendiosa. W każdej jej kropli przejawiała się wola bogiń, toteż raz po raz zmywała tę rzeźnię, wypłukiwała trucizny i zgarniała oczyszczoną materię w parujące kopce.

Pierwszy skrawek ziemi wyłonił się pod stopami maistrów i błyskawicznie rozszerzył w poszarpany półwysep o wysokich brzegach, sięgający daleko w głąb dominium. Fale rozbijały się o niego bez wytchnienia, niosąc nowe zapasy bożej gliny. Z początku Gentle zachowywał cierpliwość i nie ruszał się z miejsca, nie mógł jednak bez końca odmawiać zaproszeniu. Nie bacząc więc na ostrzeżenie Jackeena, ruszył przed siebie przesmykiem, żeby z bliska oglądać niezwykły spektakl. Nowa ziemia ociekała jeszcze wodą, tu i ówdzie strzelały błyskawice, ale grunt zdążył już stwardnieć. Wszędzie też było pełno nasion, przyniesionych - jak domyślał się Gentle - aż z Yzordderrex. Zanosilo się więc na to, że wkrótce w Pierwszym Dominium rozkwitnie życie.

Zanim dotarł do końca półwyspu, chmury (lżejsze o całą masę wody) częściowo się rozproszyły. W głębi lądu proces, który śledzili z Jackeenem od początku, dopiero się zaczynał; burze rozchodziły się po niebie we wszystkich kierunkach. W blasku ich ogni widział kręte rzeki, które z niesłabnącą energią kontynuowały swoje dzieło. Na samym półwyspie światło było jednak łagodniejsze - wyglądało na to, że Pierwsze Dominium ma własne słońce. Nie czekając, aż bardziej się ociepli, Gentle wyjął zza pazuchy atlas i pióro, rozsiadł się na błotnistej ziemi i zabrał do pracy. Nie wykreślił jeszcze mapy obszaru dzielącego Yzordderrex od Wybielu i choć zdawał sobie sprawę, że będą to karty najmniej zapelnione w całym atlasie, tym bardziej musiał się przyłożyć do ich narysowania. Chciał, żeby ich pustka wyglądała pięknie.

Po mniej więcej godzinie wytężonej pracy usłyszał Chickę Jackeena - najpierw jego kroki, potem głos:

- Mówisz w dziwnych językach, maestro.

Gentle nie zdawał sobie sprawy, że recytuje na głos nazwy kolejnych miejsc na mapie, których lista musiała być dla postronnego słuchacza całkiem niezrozumiała. Dla niego zaś każde z nich było przystankiem w pielgrzymce.

- Malujesz nowy świat? - zapytał Jackeen.

Bał się podejść bliżej, żeby nie przeszkodzić artyście.

- Nie, nie, kończę rysować mapę... - Zawahał się. - Chociaż nie, wcale nie kończę. Dopiero zaczynam.

- Mogę zerknąć?

- Jeśli chcesz...

Lucius przykucnął obok Gentle'a i zajrzał mu przez ramię. Pełniejszego obrazu pustyni Gentle chyba nie zdołałby stworzyć. Próbował właśnie wykreślić kształt półwyspu, na którym siedział, i odmalować widok, który mieli przed sobą. Na razie wszystkiego były dwie, trzy

linie, ale początek został zrobiony.

- Tak się zastanawiałem... Mógłbyś tu przyprowadzić Mondaya?
- Potrzebujesz czegoś, maestro?
- Chcę, żeby zaniósł te mapy do Piątego Dominium i dał je Clemowi.
- Kto to jest Clem?
- Anioł.
- Aha...
- To jak, przyprowadzisz go?
- Teraz?
- Jeśli łaska... Już prawie skończyłem.

Jak zwykle posłuszny Jackeen wstał i ruszył w drogę powrotną do Drugiego Dominium, zostawiając Gentle'a sam na sam z jego pracą. Gentle dokończył niezręczny rysunek półwyspu, zaznaczył biegnącą środkiem kropkowaną linię (swoją ślad), a na jej końcu postawił krzyżyk (oznaczający miejsce, w którym siedział). Następnie przejrzał cały atlas, żeby sprawdzić, czy mapy są ułożone we właściwym porządku. Uderzyło go, że właściwie stworzył w nim swój autoportret: podobnie jak on, mapy były niedoskonałe, ale chyba dla nich i dla niego była jeszcze nadzieja na lepszą przyszłość; z czasem powstaną ich doskonalsze wersje, które będą odtwarzane i poprawiane bez końca.

Chciał już odłożyć atlas na ziemię, gdy usłyszał niezwykłą, zgodną nutę w szumie rozbijających się o brzeg fal. Zszedł do skraju urwiska; grunt nie zgęstniał jeszcze należycie i groził osunięciem się, ale Gentle przechylił się ponad krawędzią. To, co zobaczył i usłyszał, sprawiło, że cofnął się, uklęknął i drżącą ręką zaczął pisać list, który zostawił przy atlasie.

List był z konieczności krótki. Gentle coraz wyraźniej słyszał wyróżniające się z huku fal słowa. Rozpraszały go swoimi obietnicami.

- ... Nisi Nirvana... - powtarzały. - ... Nisi Nirvana... Kiedy skończył notkę, odłożył ją wraz z piórem obok atlasu i wrócił na krawędź stromego brzegu, słońce Pierwszego Dominium wynurzyło się zza chmur i zalało wzburzone morze światłem. Fale na chwilę uspokoiły się i Gentle'owi mignęło dno, po którym się przetaczały: nie była to bynajmniej ziemia, lecz drugie niebo. Świeciła na nim kula tak piękna, że wszystkie ciała niebieskie w całej Imajice, wszystkie gwiazdy, słońca i księżyce połączywszy swój blask nie miały szans jej dorównać.

Odnalazł bramę, którą jego Ojciec chciał na wieki zamknąć i ukryć pod swoim miastem; wrota, zza których dobiegał szept powtarzający bajkowe imię jego matki. Od tysięcy lat pozostawały zamknięte, teraz zaś otworzyły się i dała się słyszeć muzyka wielu

głosów, skierowana do wszystkich błakających się po Imajice duchów. Wzywała je do domu, gdzie miały zaznać wiecznej radości.

W tym chórze Gentle rozpoznał znajomy głos. Zanim zobaczył tego, kto nim przemawiał, jego wyobraźnia uformowała ukochaną twarz, jego ciało poczuło na sobie wyimaginowane ramiona - i nagle z bramy wynurzyła się istota o tej właśnie twarzy i tych ramionach. Już nie musiał jej sobie wyobrażać.

- Skończyłeś? - usłyszał.

- Tak - odparł. - Skończyłem.

- To dobrze - uśmiechnął się Pie'oh'pah. - W takim razie możemy zaczynać.

*

Niebytowcy, których Chicka Jackeen zostawił za sobą na granicy dominiów, zapuszczali się coraz dalej na półwysep, w miarę jak popychała ich naprzód coraz większa ciekawość i brawura. Był wśród nich także Monday, ale zanim Jackeen zawołał go i wyjaśnił, że ma się spotkać z Pojednawcą, chłopiec krzyknął głośno i wskazał na drugi koniec półwyspu. Jackeen okręcił się na pięcie i wraz z innymi ujrzał dwie objęte, przytulone sylwetki. Później długo dyskutowali o tym, co naprawdę widzieli. Wszyscy zgadzali się wprawdzie, że jedną z postaci był maestro Sartori, ale co do drugiej opinie były podzielone: jedni widzieli kobietę, inni mężczyznę, jeszcze inni chmurę z płonącym w środku okruchem słońca. O ile jednak nie mogli się porozumieć w kwestii tego widoku, o tyle późniejsze wydarzenia nie budziły kontrowersji: przytulone postaci zeszły na skraj urwiska, zrobiły krok do przodu i rozpląnęły się w powietrzu.

*

Dwa tygodnie później, w przedostatni dzień smętnego grudnia, Clem siedział przy kominku w jadalni domu pod numerem dwudziestym ósmym (od świąt prawie się stamtąd nie ruszał), gdy nagle usłyszał głośne łomotanie do drzwi. Nie miał zegarka - czas nic przecież teraz nie znaczył - ale domyślał się, że dawno minęła północ. Jeśli niespodziewany gość nie był po prostu jakimś spragnionym towarzystwa nocnym markiem, mógł okazać się niebezpieczny, ale Clem miał tak ponury nastrój, że nie przejąłby się zbytnio, gdyby nagle stała mu się jakaś krzywda. I tak nic już go nie trzymało w tym życiu - Gentle odszedł, Judy również, a ostatnio opuścił go nawet Taylor.

Pięć dni wcześniej Tay wyszeptał:

- Clem... Muszę odejść.

- Odejść? - powtórzył Clem. - Dokąd?

- Ktoś otworzył bramę. Umarli wracają do domu. Muszę odejść.

Płakali razem - łzy płynęły z oczu Clema, szloch Taylora wstrząsał jego ciałem - ale nic nie mogli na to poradzić. Zabrzmiął zew i chociaż Taya ogarnął bezgraniczny smutek, nie mógł dłużej egzystować między życiem a śmiercią i gdzieś w głębi ducha odczuwał radość, że ten stan wreszcie się skończy. Ich niezwykle związek dobiegał końca; żywi i umarli musieli się rozstać.

Do czasu odejścia Taya Clem nie rozumiał, co to znaczy stracić kogoś. Cierpiał po utracie fizycznego ciała ukochanej osoby, to fakt, lecz rozstanie z duchem (który wrócił do niego w tak cudownych okolicznościach) było bez porównania gorsze. Nie wyobrażał sobie, że mógłby pozbyć się jeszcze choćby ułamka duszy i wciąż pozostać człowiekiem. W mrocznych dniach, które potem nastąpiły, kilkakrotnie myślał o samobójstwie; może wtedy mógłby podążyć za Tayem i przejść przez tę samą tajemniczą bramę, która nagle stanęła otworem? To, że tego nie zrobił, wynikało raczej z wrodzonego poczucia odpowiedzialności niż z braku odwagi: był jedynym w Piątym Dominium świadkiem cudów, jakie wydarzyły się przy Gamut Street. Gdyby go zabrakło, kto by o nich opowiadał?

Takie nakazy brzmiały jednak niepoważnie o dwunastej w nocy, gdy wstał sprzed kominka i wyszedł do holu. Przyszło mu do głowy, że jeżeli nocni goście przynosili mu w prezencie śmierć, to chyba powinien ją przyjąć. Bez pytania otworzył drzwi - i ku swemu ogromnemu zdumieniu zobaczył Mondaya. Zacinał deszcz ze śniegiem, obok chłopca stał drżący z zimna obcy mężczyzna. Rzadkie, mokre włosy kleiły mu się do czoła.

- To jest Chicka Jackeen - oznajmił Monday, wciągając gościa do domu. - Jackie, to jest Clem, ósmy cud świata. Co to, za mokry jestem, żebyś mnie uściskał?

Clem rozłożył ramiona. Monday rzucił mu się na szyję.

- Myślałem, że już z Gentlem nie wrócicie.

- No, jeden z nas rzeczywiście nie wrócił.

- Domyślałem się tego. Tay poszedł za nim, tak jak wszystkie duchy.

- Kiedy to się stało?

- W Boże Narodzenie.

Jackeen szczękał zębami, więc Clem zagonił go przed kominek, w którym palił połamanymi resztkami mebli. Dorzucił do ognia dwie nogi od krzesła i zaproponował Jackeenowi, żeby rozgościł się i odtajał. Maestro z wdzięcznością przysunął się do ognia. Monday musiał być ulepiony z twardszej gliny, bo sięgnął po stojącą przy kominku butelkę whisky, pociągnął kilka głębokich łyków i wziął się do sprzątania pokoju. Przepychając stół do kąta, wyjaśnił tylko, że będą potrzebować dużo miejsca do pracy. Odsłoniwszy w ten sposób kawał podłogi, wyciągnął zza pazuchy wykreślony przez Gentle'a atlas i rzucił go

Clemowi pod nogi.

- Co to jest?

- Mapa Imajiki.

- Dzieło Gentle'a?

- Tak jest. - Monday kucnął, otworzył atlas i podał Clemowi kilka luźnych kartek. - Jest jeszcze list - dodał.

Kiedy Clem czytał skreśloną w pośpiechu notkę, Monday zaczął rozkładać na ziemi arkusze z mapami, stykając je krawędziami, by tworzyły nieprzerwaną wstęgę. Wręcz kipiał entuzjazmem, usta mu się nie zamykały:

- Rozumiesz, czego od nas chce, prawda? Mamy wyrysować tę mapę na wszystkich murach, jakie znajdziemy! Na chodnikach! Na swoich czołach, do diabła! Wszędzie, kapujesz? Wszędzie!

- Ambitne zadanie - zauważył Clem.

- Pomogę wam - oznajmił Chicka Jackeen. - Na ile dam radę.

Wstał od ognia i stanął obok Clema, skąd mógł objąć wzrokiem całą otwierającą się przed nimi panoramę.

- Ale chyba nie tylko po to tu przyszedłeś, co? - podpuszczał go Monday. - Przyznaj się.

- No, nie... Bo ja... szukam żony. Ale to będzie musiało poczekać.

- Święte słowa, kurczę! Na razie to jest nasze główne zadanie.

Monday wyszedł z kręgu, w jaki ułożyły się arkusze atlasu. Przed nimi rozpościerała się Imajica, a raczej ten jej skrawek, który Pojednawca widział na własne oczy: Patashoqua i Vanaeph; Beatrix i góry Jokalaylau; Mai-Ké, Kołyska, L'Himby i Kwem; Postna Droga, rzeczna delta i Yzordderrex. Dalej znajdowało się skrzyżowanie pod miastem, pustynia i wąski szlak, prowadzący do granicy Drugiego Dominium. Po jej drugiej stronie kartki były prawie puste - wędrowiec naszkicował tylko półwysep, na którym siedział. Obok niego napisał: „To jest nowy świat”.

- A tutaj maestro zakończył pielgrzymkę. - Jackeen pokazał krzyżyk przy końcu półwyspu.

- Czy tam został pogrzebany? - zainteresował się Clem.

- O nie. Odszedł do krainy, której nasze światy są tylko nędzną namiastką. Maestro opuścił ten krąg, rozumiesz?

- Nie rozumiem. Jeżeli nie ma go w kręgu, to gdzie się podział? Dokąd oni wszyscy poszli?

- Weszli do środka.

Clem zaczął się uśmiechać.

- Pozwolisz? - Jackeen wyjął mu z ręki kartkę z wiadomością od Gentle'a.

„Przyjaciele”, pisał maestro. „Pie jest tutaj. Znalazł mnie. Pokażcie te strony świata, żeby wszyscy zbłąkani wędrowcy mogli trafić do domu”.

- Nasze zadanie jest chyba jasne, panowie. - Jackeen schylił się i położył list Gentle'a w środku koła, zaznaczając miejsce, do którego odszedł duch Pojednawcy. - Kiedy je wykonamy, mapa wskaże nam dalszą drogę. Pójdziemy za nim, bez wątpienia. Pewnego dnia wszyscy za nim pójdziemy.

KONIEC